

Danielle Steel
Album rodzinny

*Mojej rodzinie:
Beatrix, Trevorowi, Toddowi,
Nicholasowi, Samancie, Victorii
i Vanessie... a zwłaszcza –
z całego serca – Johnowi
z miłością*

d.s.

„Bóg umieścił człowieka w rodzinie”, pokrzepiające słowa z Biblii... rodziny z pokrewieństwa, obowiązku, konieczności, pożądania... a czasami, jeśli ktoś ma szczęście, z miłości. Rodzina i dom, słowa oznaczające stabilność, pewny fundament, miejsce, z którego się odchodzi i do którego się wraca po wsparcie; miejsce, gdzie życie się zaczyna i kończy, i o którym się pamięta... Echa zawsze dźwięczące w uszach, w sercu... Wspomnienia szlachetne jak figurka z kości słoniowej, pomalowana delikatnymi kolorami, pokryta ledwie widzialnymi ornamentami, gdzieniegdzie zarysowana czy wyblakła, ale zawsze piękna... Rodzina... jakie wspomnienia przywołuje... jakie obrazy... jakie marzenia...

Prolog 1983

Byla dopiero jedenasta, a słońce świeciło tak jasno, że trzeba było przymrużać oczy. Lekkie podmuchy wiatru plątały kobiece włosy. Dzień tonął w niezwyklej ciszy, przerywanej tylko świergotem ptaków i brzęczeniem owadów. Powietrze wypełniał odurzający zapach kwiatów... lilii, gardenii, frezji układających się w bajecznie kolorowy dywan.

Ward Thayer nie był w stanie cieszyć się tym porankiem. Otworzył oczy, rozejrzał się wokół niewidzącym wzrokiem. Dzisiaj Ward Thayer nie był sobą. Stał w słońcu, obojętny na wszystko. Gdzie podział się jego zniewalający urok? Znowu zamknął oczy, zapragnął ich więcej nie otworzyć, tak jak ona. Mocno zacisnął powieki. Z oddali dał się słyszeć głos. Nie potrafił rozróżnić słów, dobiegały go puste dźwięki. Ward nie czuł nic. Nic. Dlaczego? Dlaczego nic nie czuję?, zapytał siebie. Czy naprawdę nic do niej nie czułem? Czy to wszystko było kłamstwem? Ogarnęła go panika... nie mógł przypomnieć sobie jej twarzy... koloru oczu... sposobu, w jaki układała włosy... Przerażony, otworzył oczy. Oślepiło go słońce. Tańczyły przed nim jasne, migotliwe promienie. Poczł zapach kwiatów. Usłyszał przelatującą pszczołę. Pastor wypowiadał kolejne słowa modlitwy za Faye Price Thayer, kiedy Ward poczuł kobiecą dłoń wsuwającą się pod jego ramię.

Popatrzył na kobietę i doznał olśnienia. Teraz mógł sobie wszystko przypomnieć. Przyglądał się córce i odnajdywał w jej rysach szukane przez pamięć szczegóły. Młoda kobieta przypominała Faye Price Thayer. Tylko przypominała, bo Ward wiedział najlepiej, że nie ma drugiej takiej kobiety. Druga Faye nie istnieje. Spoglądał na blond włosy córki i tęsknił za Faye.

Dziewczyna stała w milczeniu. Była ładna, ale bardzo zwyczajna, tym różniła się od Faye. Jasne włosy miała upięte w ciasny kok. U jej boku stał poważnie wyglądający mężczyzna, raz po raz dotykający jej ramienia. Ta para mieszkała daleko. Wszyscy się rozjechali.

Czy ona naprawdę odeszła? Ward próbował sobie to uświadomić, kiedy poczuł spływające po policzkach łzy. Błysnęły flesze. Była to nie lada gratka, coś w sam raz na pierwsze strony gazet: „Zbolały wdowiec po Faye Thayer”. Ward należał do żony zawsze, nawet śmierć nie mogła tego zmienić. Wszyscy do niej należeli, wszyscy byli z nią związani: córki, syn, współpracownicy, przyjaciele. Dzisiaj zebrali się, aby oddać ostatni hołd kobiecie, która odeszła na zawsze.

Rodzina stała w pierwszym rzędzie żałobników. Córka Vanessa z mężczyzną w okularach, dalej bliźniacza siostra Vanessy, Valerie. Kobieta o włosach koloru płomieni, opalonej twarzy, ubrana w czarną, doskonale skrojoną jedwabną sukienkę. Wyglądała na osobę, której się powiodło. Obok niej stał mężczyzna sprawiający takie samo wrażenie.

Wszyscy przyglądali się tej udanej parze. Ward pomyślał, jak bardzo Val jest podobna do Faye. Nigdy wcześniej nie widział tego tak wyraźnie. Lionel. On także był podobny do Faye, ale nie aż tak uderzająco. Wysoki, przystojny blondyn, zmysłowy, elegancki i delikatny, a przy tym mający w sobie tyle godności. Ward, dostrzegając jego zamyślenie, zastanowił się, czy wspomina tych, których kochał i którzy odeszli... Gregory i John; utracony brat, najdroższy przyjaciel.

Myślał, jak dobrze Faye znała Lionela, nawet lepiej, niż on sam znał siebie. Tak samo było ze stojącą obok niego Anne. Bardzo wyładniała ostatnimi czasy, nabrała pewności siebie i ciągle młodo wyglądała, w przeciwieństwie do trzymającego ją za rękę siwowłosego mężczyzny. Każde z dzieci, jak i wszyscy inni, przybyło, aby pożegnać się z Faye, postacią niepowtarzalną; aktorką, reżyserem, legendą, żoną, matką, przyjacielem. Byli tu wielbiciel, byli i tacy, którym dała się we znaki. Faye potrafiła być bardzo twarda, ale także potrafiła dużo dawać z siebie. Jej rodzina wiedziała o tym najlepiej. Dużo wymagała, ale otrzymali od niej znacznie więcej.

Całą drogę powrotną Ward rozpamiętywał swe życie z Faye; epizod po epizodzie, aż do ich pierwszego spotkania w Guadalcanal. Dzisiaj znowu tu byli... Morze ludzkich twarzy, oświetlonych jasnym słońcem Los Angeles. Całe Hollywood stanęło przed Faye Price Thayer. Ostatni hołd, pożegnalny uśmiech, łza wzruszenia. Ward patrzył na dzieci. Były mocne i urodziwe... jak ona. Jakże była z nich dumna, myślał, czując łzy biegnące po policzkach... jakże oni byli z niej dumni... w końcu. Zajęło to dużo

czasu... a teraz jej już nie ma... Czy to możliwe? Przecież dopiero wczoraj... dopiero wczoraj byli w Paryżu... na południu Francji... w Nowym Jorku... w Guadalcanal.

Guadalcanal 1943

Rozdział pierwszy

Upał w dżungli był tak strasznie dokuczliwy, że nawet stojąc bez ruchu, miało się wrażenie brodzenia w brudnej, lepkiej papce. Również emocje osiągnęły temperaturę wrzenia. Mężczyźni tłoczyli się, wzajemnie przepychali. Każdy marzył o chwili, kiedy wreszcie ona się ukaże. Każdy chciał poczuć jej zapach, dotknąć jej. Wielu żołnierzy siedziało wprost na ziemi. Krzesła dla wszystkich pragnących ją zobaczyć i usłyszeć zabrakło już dawno. Mężczyźni czekali od zachodu słońca. Patrząc na nich, miało się wrażenie, że czekali od wieków; tak spragnieni, że przestali zwracać uwagę na upływający czas. Byli gotowi czekać nawet pół życia.

Była dla nich uosobieniem oddalonych o tysiące kilometrów stąd, a przecież tak kochanych matek, siostr, przyjaciółek, dziewczyn, żon... Setki rozmów zlewały się ze sobą w jednostajny szum. Nad tłumem unosił się obłok dymu z papierosów. Mundury zwilgotniałe od potu kępowały młode ciała, mokre włosy opadały na czoła przedwcześnie wydorosłych chłopców.

Był rok 1943. Wojna trwała już tak długo, że nawet nie pamiętali, kiedy się rozpoczęła i trudno im było wyobrazić sobie jej koniec. Dzisiejszego wieczoru miało nastąpić coś niezwykłego. Tylko mała grupa pechowców, którym akurat wypadła służba, nie mogła chociaż na chwilę przenieść się w inny świat. Większość z nich zrobiła wszystko, co w ich mocy, żeby zobaczyć Faye Price.

Zespół zaczął grać. Powietrze trochę się rozrzedziło, dokuczliwy upał zamienił się w zmysłowe ciepło. Po raz pierwszy od długiego czasu żołnierze kołysali się w rytm muzyki, przeniesieni w prawie już zapomniany świat beztroski i rozrywki. Czekali na Faye nie tyle w wygłodniałym pożądaniu, co w ogromnej tęsknocie. Czuli narastanie tego uczucia. Dźwięk

klarnetu powodował, że długie oczekiwanie wydawało się już nie do zniesienia. Muzyka przenikała zmysły, niemalże raniła, wstrzymywała oddechy, umieruchamiała ciała, twarze zastygały w napięciu. Scenę spowijały ciemności, niewielki snop światła z reflektora oświetlał kurtynę. Po chwili zebrani ujrzeli postać wyłaniającą się zza zasłony. Najpierw ich oczom ukazały się stopy, sukienka ze srebrnej lamy i wreszcie nieskazitelnie piękna twarz. Tłum zafalował i westchnął głęboko. Stała przed nim kobieta o jasnych, rozpuszczonych włosach, srebrzysta sukienka ciasno opinała jej ciało. Jej oczy tańczyły, jej usta się uśmiechały, wyciągała do nich ręce i śpiewała, a jej głos był mocny i głęboki. Wydawało się, że nikt nigdy nie śpiewał tak pięknie, nikt nie dorównywał jej urodą. Ruchy Faye, będące odbiciem rytmu muzyki, podkreślały piękno jej doskonałego ciała.

O Boże! – jęknął któryś z żołnierzy. W odpowiedzi stu innych uśmiechnęło się ze zrozumieniem. Wszyscy oni czuli to samo. Nie wierzyli, że występ Faye dojdzie do skutku, aż do momentu, gdy ją zobaczyli. Faye była znana ze swej aktywności. Podróżowała po wszystkich ogarniętych wojną kontynentach, występowała we frontowych koszarach. Rok wcześniej, tuż po tragedii Pearl Harbour, Faye postanowiła śpiewać dla żołnierzy. Dreczyło ją poczucie winy, że nie bierze żadnego udziału w wojnie. Tak rozpoczęło się krążenie między Europą, Stanami i wyspami Pacyfiku, trasy koncertowe w przerwach pomiędzy jednym a drugim filmem. Kiedy tylko miała kilka dni wolnych od zajęć na planie, wyjeżdżała w trasę. Tak samo było teraz.

Żołnierz siedzący blisko sceny zauważył puls bijący na szyi Faye. Dopiero wtedy uwierzył, że rzeczywiście ją widzi, że była realna, w zasięgu jego ręki. Wystarczyło tylko sforsować barierkę przy scenie i już mógłby jej dotknąć, poczuć zapach jej ciała. Ta świadomość kompletnie go odurzała, dosłownie nie mógł oderwać wzroku od kobiety.

Mając dwadzieścia trzy lata, Faye Price była już gwiazdą Hollywood. Gdy miała dziewiętnaście lat, nakręciła swój pierwszy film i od tamtej pory kroczyła od sukcesu do sukcesu. Miała wszelkie atuty gwiazdy filmowej: urodę, osobowość, talent, a także umiejętność zrobienia z nich odpowiedniego użytku. Na dodatek natura obdarzyła ją wspaniałym głosem, o niespotykaniu dużej skali. Ze swymi długimi blond włosami i zielonymi oczami stanowiła uosobienie kobiecego wdzięku. Jednak wcale nie krągłe biodra i pełne piersi były jej głównymi atutami, i nie one czyniły z niej gwiazdę. Faye nie była tuzinkową ślicznotką, miała klasę i silną osobowość. Potrafiła oczarować i zjednać sobie wszystkich. Mężczyźni pragnęli ją przytulać, kobiety naśladować, a dzieciom kojarzyła się z księżniczką z bajki.

Opuściła rodzinne małe miasteczko w Pensylwanii i przeniosła się do Nowego Jorku. Została modelką. Po sześciu miesiącach zarabiała więcej niż jakakolwiek inna dziewczyna w mieście. Jej fotografie znajdowały się na okładkach wszystkich liczących się magazynów. Fotografowie uwielbiali z nią współpracować, ale Faye w skrytości ducha była znudzona pozowaniem. Uważała to zajęcie za jałowe. Próbowwała o tym rozmawiać z koleżankami, ale nie znajdowała zrozumienia. Z całego tłumu otaczających Faye ludzi tylko dwóch dostrzegło tkwiący w niej potencjał możliwości i talentu. Jeden z nich został później jej agentem. Drugi, producent filmowy, Sam Warman, już po pierwszym spotkaniu miał pewność, że Faye to dosłownie kopalnia złota. Widywał zdjęcia Faye i był pod wrażeniem jej urody, ale dopiero osobisty kontakt uświadomił mu, że ma do czynienia z nietuzinkową postacią. Rzadko zdarzało się spotkać osobę, która każdym, nawet najmniejszym gestem, ruchem, spojrzeniem przykuwała uwagę, a swego rozmówcę nie pozostawiała obojętnym na żadną wypowiedzianą przez siebie kwestię. Sam Warman i agent Abe byli zgodni, że Faye pod ich okiem wyrośnie na gwiazdę pierwszej wielkości. Spekulacje obu panów nie były bezpodstawne, jako że Faye odznaczała się również siłą charakteru i wytrwałością w dążeniu do celu. Nie kompromisami. Pragnęła dokonać czegoś istotnego, sprawdzić się w nowych zadaniach. Abe był o Faye tak doskonałego zdania, że Sam postanowił zaryzykować i dać jej rolę w filmie kręconym w Hollywood. Rola była epizodyczna i nie wymagała szczególnego talentu. Faye potraktowała tę szansę jak wyzwanie. Postanowiła pokazać, że nawet drugoplanowa rola zagrana z całym zaangażowaniem potrafi zapaść w serca widzów. Efekt był wspaniały. Publiczność w salach kinowych siedziała jak zaczarowana, a przed Faye otworzyły się wrota do kariery. Reżyserzy zachwycali się jej wyrazistą twarzą, ekspresją i tajemniczym wyrazem wielkich, zielonych oczu. Za rolę w czwartym filmie Faye dostała Oscara.

W ciągu czterech lat nakręciła siedem filmów, a przy realizacji piątego Hollywood odkrył umiejętności wokalne Faye. Kiedy wybuchła wojna, młoda aktorka postanowiła śpiewać dla żołnierzy. Robiła to z pasją i poświęceniem. Przyfrontowa scena stawała się na moment renomowanym teatrem, w którym odbywał się wielki show. Bez spektakularnych dekoracji i ogromnej orkiestry Faye dawała wspaniały koncert, na jaki było stać tylko największych artystów. Patrzący na nią mężczyźni mieli wrażenie, że Faye stanowiła kwintesencję wszystkiego, czego oczekiwał Bóg, stwarzając kobietę. Wprawiała ich w zachwyt i zdumienie, każdy chciał trzymać ją w ramionach, całować jej usta, zanurzać ręce we włosach, czuć bicie jej serca w miłosnym uścisku. Nagle jeden z siedzących na widowni

mężczyzn nie wytrzymał i, nie zważając na kpiące uśmieшки innych, krzyknął:

– Do cholery, czyż ona nie jest fantastyczna?

Te słowa podziały jak magiczne zaklęcie, za sprawą którego znikło napięcie, a emocje znalazły ujście. Żołnierze krzyczeli, bili brawo i domagali się bisów. Po skończonym występie oklaskom nie było końca. Faye znowu wyszła na scenę, aby zaśpiewać żołnierzom jeszcze kilka piosenek. Gdy z powrotem znalazła się za kulisami, nie mogła powstrzymać łez. Przecież tak niewiele zrobiła dla tych chłopców. Jakże wszystko było inne w tropikalnej dżungli, tysiące kilometrów od domu. Ileż radości można wtedy sprawić kilkoma piosenkami, połyskującą suknią, zgrabnymi nogami, kokieterijnym zachowaniem. Ilu z tych młodych ludzi zobaczy ponownie swoje rodziny? To był powód, dla którego to wszystko robiła. Mimo że było to wbrew jej artystycznemu credo i naturze, dla żołnierzy przeistaczała się w wampa. W Los Angeles nigdy nie założyłaby zbyt obcisłej sukni, ale zdawała sobie sprawę, że mężczyźni na froncie chcieli ją widzieć pełną cielesnego powabu i uwodzicielską. Faye nie czuła się tym ani speszona, ani znieważona. Widziała, że taki jej wygląd pozwala żołnierzom poczuć się mężczyznami, zapomnieć o koszmarze tuż za ich plecami.

– Panno Price? – Oficer sztabowy usiłował przekrzyczeć tłum po drugiej stronie kurtyny.

Spoglądał na zroszone potem twarz i szyję Faye. W duchu podziwiał jej urodę i nie wiadomo, skąd wiedział, że ta kobieta ma o wiele więcej do zaofiarowania – nie tylko piękne ciało. Czuł, jak narastało w nim uwielbienie o nieznanej dotąd sile. Oto stała przed nim Faye Price; zmysłowa i pociągająca tak bardzo, że zapragnął wziąć ją w ramiona i pocałować. Instynktownie nawet wyciągnął rękę. Natychmiast pożałował tego gestu. Uznał się za żalostnego faceta łasego na blichtrz wystudiowanej gwiazdy filmowej. Kim ona właściwie jest, myślał. Przecież na jej sukces pracowało wiele anonimowych osób. Ten zrobił jej makijaż, tamten wymyślił fryzurę, inny zaprojektował stroje. Jeszcze jedna ładna dziewczyna, z której zrobili piękność. Oficera ogarnęły wątpliwości. Zdrowy rozsądek nakazywał ujrzeć w Faye tylko słodką lalkę, ale intuicja upierała się, że jest inaczej. Zajrzał jej w oczy i... intuicja zatriumfowała. Jaśniały wrażliwością i szczerością.

– Dowódca chciałby zjeść z panią kolację – oznajmił donośnie, gdy spojrzała w jego stronę.

– Będzie mi bardzo miło, ale muszę jeszcze raz wyjść na scenę – odpowiedziała.

Następne pół godziny należało do żołnierzy. Dwie piosenki zaśpiewali z nią wszyscy, a finałowa ballada, liryczna i tkliwa, sprawiła, że wielu słuchaczy ukradkiem wycierało łzy. Przed ich oczami pojawiły się znowu matki, żony, siostry, narzeczone...

– Dobranoc, niech Bóg ma was w swojej opiece – pożegnała się zachrypniętym głosem.

Tłum nagle zamilkł. Żołnierze wstawali z miejsc, kierowali się do wyjścia z zaimprovizowanego teatru. Kładli się do łóżek, ciągle o niej myśląc. W uszach nadal mieli dźwięki jej piosenek.

Przypominali sobie najdrobniejsze szczegóły jej wyglądu; twarz, ramiona, nogi, usta otwierające się jakby do pocałunku. Zapamiętali sposób, w jaki się do nich uśmiechała, jak popadała w zadumę, pamiętali jej oczy w chwili pożegnania. Wszystkie te wrażenia przechowywali w swej pamięci przez długie miesiące jak największe skarby.

– Ona jest naprawdę niezwykła – nietypowo dla siebie skomentował przysadzisty sierżant.

Nikt nie dziwił się nagłej zmianie tonu i słownictwa. Faye wniosła nadzieję. Na długo zapadła w serca. Tego wieczoru wszyscy rozmawiali i myśleli tylko o niej. Pechowcy, którym akurat wypadła służba, próbowali udawać, że nie jest to znowu taka strata. W gruncie rzeczy czuli się jednak skrzywdzeni i tylko męska duma powstrzymywała ich od wyrzekania na złośliwość losu.

W kilka minut po koncercie Faye zawiadomiła dowódcę, że chciałaby jakoś spotkać się z tymi, którzy byli na służbie. Prośba była tak serdeczna i niecodzienna, że dowódca, aczkolwiek zaskoczony, wyraził zgodę. Funkcję opiekuna Faye podczas objazdu koszar pełnił adiutant dowódcy, ten sam oficer, który przekazywał zaproszenie na kolację. Około północy nie było w bazie ani jednego nieszczęśliwego człowieka, a obecni na koncercie nawet zazdrościli. Nie wiadomo, co było lepsze. Pechowcy ze służby rozmawiali z nią, wymieniali uściski dłoni, a nade wszystko widzieli ją z zupełnie bliska.

Oficer towarzyszący Faye przez cały czas uważnie ją obserwował, nabierając coraz większej sympatii; zdecydował, że powie jej o tym, ale ciągle nie nadarzała się sposobność. Początkowo sądził, że panna Faye Price, wielka gwiazda Hollywood, bywalczyni salonów, opływająca w dostatki i luksus, nie ma zielonego pojęcia o piekle Midway czy Morza Koralowego, o krwawych bitwach morskich, jak ta o Guadalcanal. Młody oficer musiał jednak przyznać, że nawet nie biorąc udziału w walkach,

Faye potrafiła wczuć się w sytuację zwykłego żołnierza, zdać sobie sprawę, że codzienność Guadalcanal wygląda inaczej niż wieczór jej koncertu. Bardzo go tym ujęła. Ward Thayer przysłuchiwał się rozmowom Faye z żołnierzami. Widział, jak wielkie robiła na nich wrażenie. Dawła im ciepło, jakiego nie zaznali od miesięcy, współczucie, jakiego nie byli w stanie otrzymać od innych mężczyzn. Do tego była jeszcze tak piękna i pociągająca. Ward w pewnej chwili pomyślał, że Faye Price nie istnieje, bo to niemożliwe, żeby człowiek z krwi i kości miał aż tyle zalet. Kusiło go, aby wyciągnąć rękę i dotknąć jej ramienia. Udowodnić sobie, że to nie iluzja, lecz rzeczywistość. Chciał ją przytulić, przynieść ulgę w zmęczeniu, ale wtedy przypomniał sobie, że w ostatnich dwóch latach życia wiele razy bywał stokroć bardziej wyczerpany.

Minęła już dwunasta trzdzieści, obóz spowijały całkowite ciemności. Ward wracał z Faye do kwatery.

– Ciekawe, czy dowódca wybaczy mi, że nie zjadłam z nim kolacji – zaczęła rozmowę Faye. Usiłowała się uśmiechnąć, walcząc ze zmęczeniem.

– Pewnie będzie miał złamane serce, ale jakoś się z tego wykaraska – odrzekł adiutant, wiedząc, że kolacja i tak nie doszłaby do skutku. Dowódca, już po zaproszeniu Faye, został wezwany na naradę z generałami. Dotarli oni do Guadalcanal helikopterami. – Myślę, że dowódca będzie pani bardzo wdzięczny za wizytę w naszej bazie – dodał po chwili.

– To dla mnie wielki zaszczyt – odpowiedziała Faye, przysiadając na białej skale. Wpatrywała się w Warda.

Nie mógł oprzeć się wrażeniu, że nigdy wcześniej nie widział równie zielonych, niesamowitych oczu. Ogarnęła go fala bolesnego rozrzewnienia. Odwrócił się. Gdy zaciągał się do armii, złożył sobie przyrzeczenie, że wszystkie delikatne uczucia zostawi w Stanach. Do tej pory mu się udawało. Nie pozwalał sobie na słabości, nie rozklejał się. To nie był czas ani miejsce na romantyczne uniesienia. W Guadalcanal codziennie ktoś umierał. W Guadalcanal twardniały serca. Kątem oka dostrzegł, że Faye nadal go obserwuje. Istotnie, kobieta przyglądała się blond czuprynie Warda, jego szerokim ramionom. Stał tyłem do niej, więc nie była w stanie zobaczyć wyrazu jego niebieskich oczu. Ogarnęło ją współczucie dla Warda i innych żołnierzy. Rozmyślała o niedawnym koncercie, o tym, ile radości sprawiła żołnierzom, śpiewając i uśmiechając się, zastanawiała się nad potwornością takich miejsc jak Guadalcanal. Ciepłe, ludzkie gesty pojawiały się tam tylko od święta, a najrzadszym gościem był śmiech. Odwiedzając żołnierskie bazy, Faye uświadomiła sobie, jak bardzo cieszyło ją, gdy mogła tym chłopcom podarować chociażby iluzję normalności i beztroski. Miała ochotę pogłaskać Warda po

włosach, gdy ten odwrócił się, ukazując swą dumną, zaciętą twarz. W głowie adiutanta rozgrywała się prawdziwa bitwa. Ścierały się, walcząc o lepsze, chęć poddania się urokowi Faye i strach przed uleganiem emocjom.

– Spędziliśmy ze sobą cały wieczór – mówiła, uśmiechając się, Faye – a ja nawet nie znam pana imienia. Wiem tylko, że jest pan adiutantem dowódcy.

– Thayer, Ward Thayer.

Wydało jej się, że już słyszała to nazwisko, nie mogła sobie jednak przypomnieć ani gdzie, ani kiedy. Wzrok mężczyzny był chłodny i taksujący, Faye przyszło na myśl, że twarz Warda była naznaczona piętnem. Za dużo przeżył i widział, aby traktować mnie po partnersku. Rozumiem jego cynizm, usprawiedliwiała go Faye.

– Chyba jest pani bardzo głodna, panno Price – zagadnął Ward, uprzytomniwszy sobie, że aktorka od kilku godzin nie miała nic w ustach.

Faye przytaknęła nieśmiało.

– Tak, jestem głodna. Myśli pan, że powinniśmy obudzić dowódcę i zapytać, czy zostało coś z planowanej kolacji? – Oboje rozśmieszył ten pomysł.

– Przypuszczam, że będę mógł zorganizować coś w innym miejscu – odrzekł Ward, spoglądając na zegarek.

To jednak bardzo intrygujący człowiek, pomyślała Faye. Przez cały czas walczyła z pokusą zadawania mu pytań, dowiedzenia się, kim właściwie był. Chciała zbliżyć się do niego. Wiedziała, że zaintrygował ją jego chłód i dystans.

– Czy byłoby nietaktem, jeżeli zaprosiłbym panią do naszej polowej kuchni? – uśmiechnął się do Faye. Na moment z jego twarzy zniknęło piętno Guadalcanal, a pojawił się wyraz zawiąskiej młodości. – Założę się, że ciągle można tam znaleźć jakieś znakomite kąski – dodał.

Faye złożyła ręce w dziękczynnym geście.

– Byłabym ogromnie wdzięczna za kanapkę.

– Zobaczymy, co się da zrobić.

Po dwudziestu minutach znaleźli się w ogromnej żołnierskiej stółce. Faye usiadła na długiej ławie, delektując się zapachem stojącego przed nią gulaszu. Szczerze powiedziawszy, gulasz nie był jej ulubionym daniem, ale po tak długim, wyczerpującym dniu każda potrawa smakowała znakomicie. Ward jadł to samo.

– Jak w elitarnym klubie, prawda? – spojrzął na Faye z kpiącym uśmiechem.

– Mniej więcej, z wyjątkiem tej siekaniny – odcięła się.

– O Boże, niech pani nie mówi tak głośno, bo jeszcze usłyszysz kucharz i poczuje się zobligowany, by panią uszczęśliwić – wykrzywił twarz w zabawnym grymasie.

Roześmieli się oboje. Mimowolnie poddawał się nastrojowi, towarzystwo Faye sprawiało mu wyraźną przyjemność.

– Skąd pochodzisz?

Niepostrzeżenie zaczęli się do siebie odnosić jak przyjaciele. Kilka godzin spędzonych za linią frontu bardzo zbliżało. Czas miał zupełnie inny wymiar, bardzo osobiste pytania, zadawane po chwilowej znajomości, wydawały się zupełnie na miejscu.

– Z Pensylwanii – odpowiedziała Faye w zamyśleniu.

– Podobało ci się tam?

– Nie bardzo, byliśmy biedni. Wszystkim, czego pragnęłam, było jak najdalej uciec. Wyjechałam natychmiast po maturze.

Patrzył na nią i nie potrafił sobie wyobrazić Faye biednej, żyjącej w prowincjonalnym miasteczku.

– A ty skąd jesteś, adiutancie?

– Mam na imię Ward, zapomniałaś? – zapytał z udawanym oburzeniem, Faye zaczerwieniła się leciutko. – Wychowałem się w Los Angeles – dokończył. Wydawało się, że chciał jeszcze coś dodać, ale zrezygnował.

– Wrócisz tam po... no, po tym wszystkim? – Faye tak bardzo nienawidziła słowa wojna, że nie chciała go nawet wymawiać. Teraz tak samo było z Wardem. Wojna kosztowała go zbyt wiele, zadała rany, których nie można zobaczyć, ale też nie można wyleczyć. Faye instynktownie wyczuwała, że jej rozmówca należy do ludzi, którzy nigdy nie zapomną o przeżytych koszmarze.

– Tak, myślę, że tak.

– Masz tam rodziców?

Nareszcie nadeszła ta chwila, kiedy mogła go o coś zapytać, spróbować poznać, dlaczego był smutny, dlaczego było w nim tyle dystansu i cynizmu. Okna stołówki szczelnie zaciągnięto grubymi zasłonami. Obowiązywało całkowite zaciemnienie. Dla Warda było to zupełnie normalne, Faye zdążyła się już przyzwyczaić.

– Moi rodzice nie żyją – odpowiedział. Oczy zaszyły mu smutkiem, ile już razy w ciągu tego wieczoru mówili o śmierci?

– Przepraszam.

– Nie byliśmy w zbyt dobrych stosunkach – uciął Ward.

Faye usiłowała spojrzeć mu w oczy, ale on ciągle uciekał wzrokiem.

– Jeszcze gulaszu, czy może coś bardziej wyszukanego na deser? – zapytał uprzejmie. – Podobno gdzieś tu jest ukryty kawałek szarlotki.

– Nie, dziękuję. Przez tę sukienkę nic więcej nie zdołam w siebie wcisnąć. – Faye odpowiedziała z uśmiechem.

Popatrzył na sukienkę ze srebrnej lamy. Ward zdał sobie sprawę, że ten elegancki strój wydawał mu się, w przypadku Faye, czymś zupełnie naturalnym. Pomyślał przez chwilę o Kathy i jej sztywno nakrochmalonych, białych bluzkach, niewygodnych ubraniach, jakie zwykle nosiła...

Ward wyszedł z kuchni, by za minutę powrócić z talerzem owoców i szklanką mrożonej herbaty. Kostki lodu – prawdziwy skarb w tropikach. Faye wystarczająco wiele razy odwiedzała bazy wojskowe, aby docenić wartość napoju, który został jej zaszerwowany. Piła go z wielkim namaszczeniem, od czasu do czasu uśmiechając się do mężczyzn wchodzących i wychodzących z kuchni. Każdy z nich przystawał na moment, aby na nią popatrzeć. Było to dla niej zupełnie normalne, więc uśmiechała się niemal odruchowo, za każdym razem spoglądając na Warda. Ten udawał zdruzgotanego adoratora. Oboje doskonale bawili się tą sytuacją. Żołnierze przemykający przez stołówkę byli senni i zmęczeni, wielu z nich ziewało.

– To zabawne, mój widok wyraźnie wzmaga ich pragnienie snu. Działam jak proszki nasenne – skomentowała Faye, pociągając kolejny łyk herbaty. – Przypuszczam, że wy, oficerowie, wylegujecie się do południa. Jeżeli wstawalibyście o czwartej nad ranem, nie moglibyście być w formie o tej porze.

Wiedziała, że to nieprawda, ale lubiła się z nim droczyć, czuła, że to go trochę rozwesela.

Spojrzał na nią zdezorientowany.

– Dlaczego to robisz, Faye?

Pierwszy raz zwrócił się do niej po imieniu. Stało się to zupełnie spontanicznie, usta same powiedziały: „Faye”. Nagłe odrzucenie konwenansów nie zrobiło na kobiecie wrażenia, przynajmniej nie zareagowała na to w żaden widoczny sposób.

– Myślę, że potrzebuję tego... Chcę jakoś odwdziżyć się losowi, że jest dla mnie łaskawy. Nigdy nie uważałam, że to wszystko mi się należy. W życiu trzeba spłacać wszelkie zobowiązania.

Ward poczuł, jak wilgotnieją mu oczy. Te słowa były jak cytaty z Kathy. On, Ward Thayer, nigdy nie czuł się czymkolwiek zobowiązany, nigdy tak nie myślał o zaznanym szczęściu, a poza tym bilans wypadał tragicznie. Przynajmniej od...

– Dlaczego kobiety zawsze tak postępują?

– Nie tylko kobiety, niektórzy mężczyźni także, ty na pewno też. Jeżeli coś ci się udaje, to chcesz się podzielić swoim szczęściem.

– Nic dobrego nie przytrafiło mi się w tym cholernym życiu, przynajmniej od kiedy jestem tutaj. Popatrzył na nią piorunującym wzrokiem. –

Przecież ciągle żyjesz, Ward – przemawiała do niego ciepłym, łagodnym głosem, ale oczy rozszerzyły jej się w zdumieniu.

– Czasami to za mało.

– Tutaj to zupełnie wystarczy. Rozejrzyj się, każdego dnia ktoś cierpi od ran, ktoś dowiaduje się, że do końca życia będzie kaleką, a ilu z was w ogóle nie wróci do domów...

Po raz pierwszy od czterech miesięcy Ward musiał walczyć ze łzami napływającymi mu do oczu. Faye trafiła go prosto w serce.

– Próbuję o tym nie myśleć.

– Pewnie masz rację, ale może gdybyś o tym pomyślał, byłbyś szczęśliwy tylko dlatego, że żyjesz – odpowiedziała.

Zaprzagnęła przytulić Warda do siebie, ukoić jego cierpienie zzerające duszę. Ward powoli podniósł się z krzesła.

– Zupełnie mi to obojętne. Nikogo nie obchodzi, czy żyję, czy umarłem.

– To potworne – powiedziała zszokowana i przerażona. – Co się z tobą dzieje?

Ward nakazał sobie powstrzymać się od dalszych wynurzeń. W duchu pragnął, aby Faye wyszła, żeby nie musiał już na nią patrzeć. Ani z nią rozmawiać. Stali naprzeciw siebie w milczeniu, gdy nagle Ward, wbrew swym wewnętrznym obietnicom, zaczął mówić. Do diabła, co to za różnica, kiedy i z kim o tym rozmawiam? To niczego nie zmienia, pomyślał.

– Pół roku temu ożeniłem się z pielęgniarką ze szpitala polowego. Dwa miesiące później zginęła podczas nalotu pieprzonych japońskich bombowców. Od tamtego czasu jakoś nie potrafię dobrze się tutaj czuć, rozumiesz?

Faye opadła ciężko na krzesło, pokiwała głową. A więc wyjaśniło się, teraz wiedziała, dlaczego Ward miał pustkę i obojętność w oczach. Zastanawiała się, jak długo trwa przychodzenie do siebie po takim szoku i czy to w ogóle jest możliwe, aby ochłonać.

– Przepraszam, Ward – powiedziała cicho.

Nie przychodziły jej do głowy żadne inne słowa. Nie było sensu mówić, że ludzi spotykają jeszcze większe nieszczęścia, to nie było pocieszenie dla niego.

– Przepraszam, Faye – uśmiechnął się zakłopotany. To nie jej wina, nie miała nic złego na myśli, nie prowokowała mnie. Jakaż ona jest inna od Kathy, myślał o swej żonie, o jej nieśmiałości i zwyczajności, jak bardzo w niej to kochał. Patrzył na Faye: doskonałość i piękno w najdrobniejszych szczegółach.

– Przepraszam – powtórzył – nie chciałem ci tego mówić. Wiem, że już niejednego coś takiego spotkało.

Faye знаła setki podobnych historii z Guadalcanal, ale ciągle nie potrafiła na nie zobojętnieć.

Idąc w stronę dżipa, pomyślała, że wcale nie żałuje straconej kolacji z dowódcą. Podzieliła się tą refleksją z Wardem.

– Bardzo miło mi to słyszeć – odpowiedział, uśmiechając się powściągliwie.

Faye zapragnęła wziąć Warda za rękę, ale poczuła, że opuściła ją cała pewność siebie. W chwilach jak ta była jedną z wielu milionów kobiet na świecie, a nie sławną aktorką, której sympatia mogła być pożyczana za zaszczyt. Na dodatek „kobieta zwyczajna” odkryła, że nawet w Hollywood nie zdarzyło jej się widzieć mężczyzny o równie pięknym, acz chłodnym uśmiechu.

– Naprawdę cieszę się, że zjedliśmy razem kolację – jeszcze raz stwierdziła Faye.

– Dlaczego to tak podkreślasz? Nie musisz litować się nade mną. Jestem już całkiem dorosłym facetem i potrafię się sobą zająć.

Faye przeczuwała, że Ward trochę pozuje. Stara się być twardy, nie rozczulać nad sobą, nie sprawiać wrażenia potrzebującego pomocy. Desperackie próby zapomnienia o wydarzeniach sprzed czterech miesięcy musiały dzisiaj skończyć się fiaskiem. Wspomnienia odżyły, pamięć natrętnie podsuwała coraz to nowe szczegóły. Prowadząc samochód, Ward na nowo rozpamiętywał fakt, że Kathy zginęła dokładnie w dwa miesiące po ślubie.

Dżip zatrzymał się przy namiocie, w którym miała spać Faye.

– Mimo wszystko myślę, że twoja wizyta była diabelnie miła – rzucił Ward.

– Dzięki. – Zapanowała niezręczna cisza. Oboje zastanawiali się, jak rozpocząć rozmowę, ale brakowało im pomysłów. Warda intrygowało, czy Faye jest z kimś związana. Faye chciała dowiedzieć się, czy Ward ciągle jeszcze kochał pielęgniarkę.

– Dziękuję za kolację – zaczęła Faye z nieśmiałym uśmiechem.

Ward otworzył drzwiczki samochodu po jej stronie.

– Mówiłem ci, prawie jak w klubie...

– Następnym razem spróbuję baraniny.

Pożartowali jeszcze chwilę, zmierzając do wejścia do namiotu. Wydawało się, że tylko mówiąc pół żartem, pół serio byli w stanie porozumiewać się bezproblemowo. Znaleźli się przy namiocie. Ward uchylił jedną z jego klap, torując Faye drogę. Ich spojrzenia się spotkały. Po raz

pierwszy od kilku godzin Faye odnalazła w oczach Warda głęboką zadumę.

– Jeszcze raz przepraszam, że ci to wszystko powiedziałem. Nie chciałem obarczać cię swoimi problemami – rzekł, obejmując ją ramieniem.

– Dlaczego mnie przepraszasz? O co ci w ogóle chodzi? Czy masz tutaj kogoś innego, z kim mógłbyś porozmawiać?

– Wszyscy w bazie wiedzą, co się stało – wzruszył ramionami. – Nie rozmawiamy o tym.

Łzy, z którymi walczył od kilku godzin, popłynęły mu po policzkach. Wstydził się ich, chciał odejść. Odwrócił się, a wtedy Faye powstrzymała go.

– Już dobrze, Ward, już dobrze...

Przytuliła go mocno i także się rozpląkała. Ward rozpacział nad swą nieżyjącą żoną. Faye płakała po dziewczynie, której nigdy nie знаła, po tysiącach żołnierzy, którzy już stracili życie. Płakała nad tymi, którzy mieli zginąć, nim skończy się wojna. Płakali nad szaleństwem, od którego nie mogli uciec. Ward spoglądał na Faye przez łzy, począł gładzić ją po włosach. Wydała mu się nieskończenie piękna. Ze zdumieniem odkrył, że ta myśl nie wywołała w nim poczucia winy. Kathy prawdopodobnie nie miałaby nic przeciwko... kto wie, jak potoczyłoby się życie z Kathy... Kathy odeszła na zawsze... już nigdy nie będzie przytulał Kathy... już nigdy nie zobaczy Faye... Wiedział o tym doskonale i zapragnął jej. Teraz.

Faye usiadła na jedynym, znajdującym się w namiocie krześle. Patrzyła na Warda sadowiącego się na jej śpiworze. Wzięli się za ręce, mieli ochotę jeszcze długo patrzeć na siebie, powiedzieć sobie wiele czułych, szczerych słów.

– Nigdy cię nie zapomnę, Faye Price. Będę myślał o tobie.

– Ja też będę o tobie myślała, będę przy tobie w myślach.

Ward uwierzył w jej słowa. Pomimo hollywoodzkiego wyglądu, sukienki ze srebrnej lamy, Faye wydawała mu się zwykła i przystępna. Srebrną suknię nazywała „kostiumem”, a to wiele mówiło o jej stosunku do hollywoodzkiego image’u. I bardzo mu się to podobało.

– Być może, pewnego dnia odwiedzę cię w studio.

– Będę czekała, Ward – odrzekła cichym, ale zdecydowanym głosem. Oczywiście miała ciągle mokre od łez, lecz piękne.

– Czy będziesz zmuszona mnie wyrzucić? – patrzył na nią, rozbaawiony.

– Oczywiście, że nie! – odpowiedziała zirytowana.

– W takim razie, możesz mnie oczekiwać.

– Świetnie – odrzekła, próbując uśmiechem zamaskować zmęczenie.

Było już po czwartej, wyczerpanie dawało o sobie znać. Do tego świadomość, że za dwie godziny trzeba wstać i ruszyć w dalszą drogę. Faye podróżowała od dwóch miesięcy. Na trasę wyruszyła bez odpoczynku, zaraz po skończeniu zdjęć do swego największego filmu. Była na planie dzień w dzień przez trzy miesiące. Po powrocie czekała na nią następna rola filmowa. Jej życie było intensywne, jak życie każdej wielkiej gwiazdy, ale w głębi duszy Faye pozostała po prostu ładną dziewczyną o dobrym sercu. Ward wyczuwał to i zdawał sobie sprawę, że bardzo łatwo mógłby się w niej zakochać.

Podniósł się ze śpiwora, ucałował rękę Faye.

– Dziękuję, Faye. Jeżeli już nigdy cię nie zobaczę, to dziękuję ci za tę noc.

Wpatrywali się w siebie.

– Pewnego dnia znowu się spotkamy – powiedziała.

Mówiła to dla niego, nie będąc pewna, czy rzeczywiście coś takiego jest możliwe. Atmosfera stawała się coraz bardziej napięta. Ward postanowił jakoś ją rozładować.

– Założę się, że mówisz to wszystkim facetom – zażartował.

Faye, rozbawiona, podeszła do klapy namiotu.

– Jesteś niemożliwy, Ward.

Odwrócił się, spoglądając na nią przez ramię.

– Niezła jesteś, panno Price.

Od teraz była dla niego po prostu Faye. Tak ją zapamięta, trudno mu było o niej myśleć jako o wielkiej gwiazdce filmowej; aktorce, piosenkarce, ważnej postaci... Dla niego pozostanie Faye. Ward oprzytomniał z zachwytem, pytając poważnie:

– Zobaczymy się jeszcze, nim wyjedziesz?

Nagle stało się to dla obojga najważniejszą sprawą na świecie.

– Może moglibyśmy rano napić się kawy. – Wiedziała, że odlot z jednego miejsca w drugie był zawsze poprzedzony takim samym rytuałem. Półprzytomni po całonocnym graniu i biesiadowaniu muzycy nie byli w stanie sprawnie zebrać swoich rzeczy, zwykle ostatnie dwie godziny przed odlotem poświęcano na desperackie próby dojścia do siebie, aby zaraz po opadnięciu w fotel zasnąć kamiennym snem, aż do lądowania w kolejnej bazie. Faye przechodziła przez to niezliczoną ilość razy, wiedziała, że rano nie ma na nic czasu, ale... Może dałoby się wygospodarować choć chwilkę na kawę z Wardem?

– Poszukam cię.

– Będę w pobliżu.

O siódmej rano Faye zastała muzyków w stołówce. Miała nadzieję spotkać tam Warda, ale na próżno rozglądała się po twarzach żołnierzy. Nie wiedziała, że dowódca miał dla niego rozkazy, więc ostatecznie

zobaczyli się przed dziewiątą, kiedy Faye stała już na schodkach samolotu. Natychmiast dostrzegła go w tłumie. Zauważył z oddali, jak dawała mu znaki, patrząc na niego oczami pełnymi paniki. Sprawilo mu to przyjemność.

– Przepraszam, Faye... dowódca...

Silniki samolotu zagłuszyły jego słowa. Faye stała wśród mężczyzn. Jeden z nich komenderował pozostałymi przy ładowaniu bagażu.

– W porządku, rozumiem! – odkrzyknęła.

Uśmiechnęła się czarująco, ale wyglądała na zmęczoną. Ward pomyślał, że spała najwyżej dwie godziny. On spał nawet o połowę krócej, ale dla niego nie było to niczym nadzwyczajnym. Przyglądał się jej. Miała na sobie jasnoczerwony kombinezon, a na stopach płaskie sandały. Poczłł stary, znajomy ból w sercu. Przypomniała mu się twarz Kathy...

Na lotnisku panował nieprawdopodobny hałas, ktoś wykrzykiwał imię Faye, grzały się silniki samolotu.

– Muszę już iść! – krzyknął Ward.

– Wiem!

Złapał jej rękę w mocnym, krótkim uścisku. Miał ochotę ją pocałować, ale nie śmiał.

– Do zobaczenia w studio.

– Co takiego? – zapytała. Speszył ją gest Warda. Nikt przedtem nie brał jej w ten sposób za rękę.

– Powiedziałem, że zobaczymy się w studio.

Uśmiechnęła się do niego. Nagle uświadomiła sobie, że być może nigdy go już nie zobaczy.

– Trzymaj się!

– Jasne.

W warunkach Guadalcanal nie należało niczego gwarantować ani obiecywać. W każdej sekundzie życia czałło się niebezpieczeństwo. Nawet nie było pewne, czy samolot Faye nie zostanie zestrzelony gdzieś po drodze. Milcząco godzili się na wszelkie ewentualności, dopóki ich samych nie dotknęła tragedia. Ward ciągle miał przed oczami twarz Kathy.

– Uważaj na siebie, powodzenia.

Powodzenie – miała go wystarczająco dużo. Zastanawiał się, czy w jej życiu istniał jakiś mężczyzna, ale nie było czasu na pytania.

Faye wraz z muzykami zniknęła we wnętrzu samolotu, rzucając przez ramię ostatnie spojrzzenie na Warda.

Nie było już czerwonego kombinezonu i sandałów. Pewno na zawsze, przemknęło Wardowi przez głowę Oddaleni od siebie, myśleli, czy dane będzie im spotkać się w przyszłości. Patrzyła na niego z okna samolotu, zastanawiając się, dlaczego tak bardzo ją poruszył. Już nie pierwszy raz ktoś okazał

jej zainteresowanie, ale pierwszy raz zrobiło to na niej wrażenie. Próbowała dociec, co było w tym mężczyźnie? Co sprawiło, że nie był jej obojętny? Powtarzała sobie, że Ward nie jest odpowiednim człowiekiem dla niej. On ma swoją wojnę, ja mam swoją w trasie, w Hollywood... stwierdziła refleksyjnie.

– Żegnaj, Wardzie Thayer, powodzenia – szeptała.

Usiadła w fotelu, samolot unióś się w powietrze, ale twarz Warda towarzyszyła jej jeszcze przez długie miesiące. Nie mogła zapomnieć o jego głębokich niebieskich oczach, które nawiedzały ją w snach. Po jakimś czasie zniknęły. Nareszcie.

Hollywood 1945

Rozdział drugi

W studio panowała absolutna cisza, napięcie sięgało zenitu. Moment, na który oczekiwano od czterech miesięcy, właśnie miał nadejść, lecz nikt ze zgromadzonych nie cieszył się z tego. Kończyła się realizacja jedyne w swoim rodzaju filmu, przy którym wszystko szło gładko; panowała przyjacielska atmosfera na planie, a gwiazdy i reżysera otaczano uwielbieniem. Główną rolę męską kreował Christopher Arnold, według panujących opinii pierwszy amant i talent Hollywood. Oceny zdawały się usprawiedliwione. Aktor był profesjonalistą. Dawał temu wyraz w każdej odtwarzanej scenie. W ostatniej z nich stał na planie ze łzami w oczach, patrząc za odchodzącą, też zapłakaną partnerką, Faye Price. Arnold szczerze się wzruszył, naprawdę żałował końca współpracy z Faye.

– Koniec ujęcia! – zakomenderował ktoś z ekipy technicznej. Nagłą ciszę przerwał krzyk, a po nim wiwatom, uściskom, pocałunkom nie było końca. Wniesiono szampana dla całej ekipy i studio zamieniło się w salę bankietową. Faye stała w objęciach patrzącego jej w oczy Christophera Arnolda.

– Fantastycznie było pracować z tobą, Faye.

– Mogłabym powiedzieć to samo.

Wymienili porozumiewawcze uśmiechy. Trzy lata temu mieli ze sobą romans i z tego powodu Faye wahała się, czy przyjąć tę rolę. Czas pokazał, że obawy były płonne. Christopher zachowywał się jak dżentelmen w każdym calu. Od pierwszego do ostatniego dnia zdjęć. Wspomnienie dawnego związku nie zakłóciło współpracy nawet w najmniejszym stopniu.

Arnold uśmiechał się ciepło do Faye, powoli wypuszczając ją z objęć.

– Myliłem się, myśląc, że wszystko już skończone. Będę tęsknił za tobą.

Roześmieli się oboje.

– Ja też będę tęskniła.

Faye rozglądała się po rozbawionych uczestnikach spontanicznego przyjęcia. Reżyser namiętnie całował dekoratorkę wnętrz, która o mało co nie została jego żoną. Faye bardzo ich oboje lubiła. Odkąd zaczęła grać, coraz bardziej fascynowała ją reżyseria.

– Co będziesz teraz robić, Chris?

– Za tydzień wyjeżdżam do Nowego Jorku, a potem żegluję do Francji. Chciałbym posiedzieć kilka dni na Riwierze, nim lato dobiegnie końca. Wszyscy mi to odradzają. Mówią, że już za późno, ale ja nie rezygnuję. Co mi tam rozsądne rady!

Popatrzył na nią, robiąc przewrotną minę. Był o dwadzieścia lat starszy od Faye, ale nie wyglądał na tyle. Doskonale wiedział, że uchodzi za najprzystojniejszego mężczyznę w mieście.

– Masz ochotę pojechać ze mną?

Jego uroda nie robiła na Faye już takiego wrażenia jak dawniej.

– Nie, dzięki – odrzekła. Uśmiechnęła się i pogroziła mu żartobliwie palcem:

– Nie zaczynaj od nowa, Chris. Byłeś taki poprawny.

– Jasne, ale w pracy, a teraz mówię o urlopie.

– Czyżby?

Zamierzała trochę się z nim podroczyć, gdy nagle studio ogarnęło coś na kształt paniki. Faye nie mogła zrozumieć, o co chodziło. Patrzyła w przerażeniu na płaczących, biegających bezładnie ludzi. Zdezorientowana, złapała Chrisa za ramię.

– Co? Co on powiedział? Co? – Chris usiłował się czegoś dowiedzieć od człowieka stojącego po jego prawej stronie. – Mój Boże... – Odwrócił się do Faye. Bez słowa ją objął i głosem drżącym z emocji oznajmił:

– To koniec, Faye... wojna się skończyła. Japończycy skapitulowali.

Nareszcie! Nareszcie koniec. Kilka miesięcy wcześniej w Europie, teraz w Stanach. Faye płakała w objęciach Chrisa. Na salę wniesiono nowe skrzynki z szampanem. Pośród radosnego zamieszania i okrzyków „To koniec” głośno strzelały korki.

Kilka godzin później Faye nadal w euforycznym uniesieniu wracała do swego domu w Beverly Hills. Gdy wydarzyło się Pearl Harbour, miała dwadzieścia

jeden lat. Teraz miała dwadzieścia pięć, była dojrzałą kobietą u szczytu kariery zawodowej. Już od jakiegoś czasu powtarzała sobie, że nie może osiągnąć nic bardziej znaczącego. Nie potrafiła sobie nawet czegoś takiego wyobrazić. Jednak los ciągle ją zaskakiwał. Otrzymywała coraz ciekawsze role, prestiżowe nagrody i zarabiała krocie. Rok temu przeżyła ciężki okres, zmarli rodzice. Ojciec był nieuleczalnie chory na raka, matka miała wypadek, prowadząc samochód na oblodzonej jezdni niedaleko Youngstown. Faye długo nie mogła poradzić sobie ze świadomością, że została sama, nie miała przecież rodzeństwa. Po śmierci rodziców sprzedała ich mały dom w Grove City, w Pensylwanii. Mimo wszystko Faye rzadko czuła się samotna, lubiła swoją pracę, miała wielu przyjaciół. Czasami jednak dopadał ją smutek. Przygnębiało uczucie, że do nikogo nie należała...

Faye nadal zadziwiała, że zrobiła tak błyskotliwą karierę, że prowadziła światowe życie. Przecież jeszcze cztery lata temu, gdy wybuchła wojna, nie żyła w ten sposób. Dwa lata temu wróciła z ostatnich koncertów dla żołnierzy. Kupiła dom, nakręciła sześć filmów, i chociaż ciągle chciała znowu wyruszyć w trasę, nigdy nie mogła znaleźć czasu – życie wydawało się nieprzerwanym pasmem premier, wywiadów, bankietów. Gdy kręciła film, musiała wstawać codziennie o piątej nad ranem i spędzać wiele godzin na planie. Tak samo było i tym razem. Następna realizacja miała się rozpocząć za pięć tygodni, ale każda rola wymagała wcześniejszych przygotowań, więc Faye już teraz czytała po parę stron scenariusza dziennie. Według zapewnień agenta, grając w tym filmie, zdobędzie Oscara. Faye nieco bawił jego entuzjazm. Miała już przecież w swoim dorobku jednego Oscara, dwa razy była nominowana. Abe przekonywał jednak, że film będzie wybitny i Faye wierzyła mu. Miała do niego zaufanie, był jej opiekunem i dobrym duchem.

Skreśliła w Summit Drive, mijając rezydencje Pickfairów, a potem Chaplinów. Zatrzymała samochód przed swoją bramą, czekając, aż strażnik ją otworzy. Był starszym, siwowłosym człowiekiem. Pracował u Faye od roku. Uśmiechając się, zapytał:

- Jak minął dzień, panno Price?
- Bardzo pracowicie. Słyszałeś ostatnie wiadomości, Bob?

Jego twarz zdradzała, że o niczym nie wiedział.

– Wojna się skończyła! – uśmiechnęła się serdecznie na widok łez spływających po policzkach Boba. Wiedziała, że strażnik nie był zmobilizowany podczas I wojny, ale stracił na niej jedyne go syna. Druga wojna, przywołując wspomnienia, wniosła smutek do życia rodziny Boba.

- Czy jest pani pewna?

– Jestem absolutnie pewna. Wojna się skończyła – potwierdziła Faye.

– Dzięki Bogu – powiedział Bob drżącym głosem. Odwrócił się, by otrzeć łzy wzruszenia. – Dzięki Bogu – powtórzył.

Strażnik zamknął wypolerowaną do połysku mosiężną bramę. Faye pożegnała się z nim i ruszyła do domu. Tu funkcję odźwiernego pełnił kamerdyner Arthur. Jeżeli Faye wybierała się gdzieś wieczorem, to Arthur był również szoferem. Na ogół Faye sama prowadziła swego pięknego, ciemnoniebieskiego lincolna continentala z otwieranym dachem. Uwielbiała jeździć nim po Los Angeles. Wieczorami przesiadała się do rolls-royce'a, wtedy za kierownicą zasiadał Arthur. Z początku kupno rollsa wydawało się Faye nedorzecznością, była zszokowana, że mogła o tym myśleć. A kiedy samochód należał już do niej, czuła się zakłopotana, potwierdzając, że to jej własność. Pokusa była jednak silniejsza. Wystarczyło, że na chwilę wsiadła do niego, poczuła cudowny zapach luksusu, miękkie, szare dywany pod stopami, popatrzyła na misterne, eleganckie drewniane elementy wyposażenia... Zdażyła już nieco przywyknąć do zbytków, na jakie pozwalały jej odnoszone sukcesy. Przecież nikt przez nie nie cierpiał, Faye tłumaczyła sobie samej, że miała prawo wydawać pieniądze, jak jej się podoba. No, do pewnego stopnia, uzupełniała w myślach.

W jej życiu nie było nikogo, z kim mogłaby się podzielić zarobioną fortuną, a samej trudno było wydać wszystko. Część pieniędzy zainwestowała za radą Abe'a, pozostałe czekały na pomysły, co z nimi zrobić. Faye nie gustowała w ekstrawagancjach, w jakich lubowali się jej znajomi z planu. Większość z nich kupowała diamenty i szmaragdy, obnosząc je potem na premierach i przyjęciach. W modzie były też sobolowe i szynszylowe futra. Faye miała futro z białych lisów, które kupiła przed rokiem w Nowym Jorku. Nic nadzwyczajnego jak na Hollywood, ale wyglądała w nim tak szykownie, że budziła powszechny zachwyty. We Francji sprawiła sobie czarne sobole, a na co dzień nosiła norki. Moje powszednie norki, myślała, wspominając dzieciństwo, kiedy marzyła o posiadaniu drugiej pary butów.

Rodziców Faye bardzo doświadczył wielki kryzys w latach trzydziestych. Oboje na długo stracili pracę. Ojciec imał się różnych zajęć, ale popadał w coraz większą depresję, czując się bezsilny wobec losu. Matka po wielu trudach znalazła pracę sekretarki. Wyprawy do kina były dla Faye jedyną ucieczką od przerażającej rzeczywistości. Oszczędzała każdego centa, aby tylko kupić jeszcze jeden bilet, usiąść w ciemnej sali, i z otwartymi ustami wpatrywać się w ekran. Po maturze wyjechała do Nowego Jorku, zaczęła pracować jako modelka, już wtedy fascynowało ją aktorstwo.

Teraz, po latach, marzenia się spełniły, i Faye wchodziła po marmurowych schodach swego własnego domu w Beverly Hills. Arthur, angielski kamerdyner o poważnej twarzy, otwierał przed nią drzwi. Faye była jedną z niewielu osób, które Arthur obdarzał uśmiechem. Oboje z żoną byli zgodni, że Faye była najlepszym pracodawcą w ich życiu; zupełnie pozabawiona fanaberii i manieryczności hollywoodzkich gwiazd, a na dodatek najmłodsza. Faye na nikim nie robiła wrażenia zadufanej w siebie. Ujmowała życzliwością i taktem. W jej domu pracowało się z przyjemnością. Faye rzadko wydawała przyjęcia, więc podstawowym zajęciem były rutynowe porządki. W rozmowach z żoną Arthur nazywał Faye „młodą panienką”.

– Dobry wieczór, Arthurze.

– Panno Price – kamerdyner patrzył na Faye rozognionym wzrokiem – czyż to nie wspaniała wiadomość?

– To rzeczywiście wspaniała wiadomość, Arthurze – Faye w odpowiedzi przesłała mu promienny uśmiech.

Arthur nie miał synów na froncie, ale wielu jego krewnych mieszkających w Anglii poważnie ucierpiało podczas nalotów. Przez lata wojny do codziennych zwyczajów weszły analizy sytuacji w Europie, wychwalanie pod niebiosa lotników RAF-u. Jakże miło było pomyśleć, że od dzisiaj ten rytuał stracił rację bytu.

Faye weszła do gabinetu, usiadła przy małym angielskim biurku, zamierzając przeczytać listy. Wyciągnęła rękę po pierwszy z nich i nagle zamarła w bezruchu, zastanawiając się, ilu z żołnierzy widzianych przez nią w bazach doczekało dnia zwycięstwa. Patrzyła przez okno na doskonale utrzymany ogród, basen... Czuła łzy spływające jej po policzkach. Tragedia wojny, zniszczone kraje, zabici ludzie i świat, w którym żyła. Czy możliwe są aż tak skrajne rzeczywistości? Pomyślała o Wardzie. Nie spotkali się więcej, ale ciągle o nim pamiętała. Wiele razy planowała ponowną trasę koncertową szlakiem żołnierskich baz i nigdy nie mogła doprowadzić sprawy do końca. Zawsze na przeszkodzie stał brak czasu.

Spojrzała znowu na biurko z korespondencją i rachunkami. Usiłowała przegnać wspomnienia ze świadomości, ale nie było to łatwe. Ostatnimi czasy przede wszystkim pracowała, właściwie nie miała życia osobistego. Co prawda, była jakiś czas temu związana z pewnym reżyserem, lecz szybko odkryła, że bardziej niż on sam fascynował ją jego zawód. Była dumna z jego sukcesów, cieszyła się nimi, ale ekscytacja bardzo szybko się wypaliła i każde z nich poszło swoją drogą. Od tamtej pory panował zupełny zastój.

Faye nigdy nie była bohaterką hollywoodzkich plotek i skandali, a jeżeli już z kimś pokazywała się publicznie, to dlatego, że darzyła tę osobę uczuciem. Jak na jedną z największych gwiazd, prowadziła nadzwyczaj spokojne, poukładane życie. Bardzo dbała o swoją prywatność i strzegła jej przed wścibskimi dziennikarzami. Agent nalegał, żeby bardziej udzielała się towarzysko, zamiast spędzać popołudnia i wieczory w domu, przygotowując się do ról albo czytając scenariusze. Abe czasami oskarżał ją o ukrywanie się, a jego nagabywanie przybierało na sile w przerwach między kolejnymi filmami.

Nadchodzące pięć tygodni Faye zamierzała wykorzystać na solidne szlifowanie roli i odrobinę odpoczynku. Umówiła się w San Francisco z pewną starszą aktorką, z którą zaprzyjaźniła się jeszcze na początku swojej kariery. W drodze powrotnej zamierzała spotkać się z przyjaciółmi w Pebble Beach. Miała zaplanowany weekend z Hearstami w ich ogromnej posiadłości, z prywatnym zoo. Resztę czasu chciała spędzić w domu, oddając się swemu ulubionemu zajęciu: wylegiwaniu się w słońcu, pośród pachnących kwiatów i brzęczących pszczół.

Faye przymknęła oczy, rozmarzona, nie usłyszała, kiedy Arthur wszedł do pokoju z filiżanką herbaty. Kroki Arthura nigdy nie były słyszalne. Mimo prawie dwumetrowego wzrostu poruszał się wręcz z kocią gracją. Teraz stał przed nią w nienagannym stroju, ze srebrną tacą w dłoni, znajdująca się na niej filiżanka pochodziła z kompletu kupionego osobiście przez Faye w Limognes. Prosty, biały serwis z malutkimi niebieskimi kwiatkami był jej ulubioną zastawą. Arthur postawił herbatę na stoliku przykrytym białym obrusem. Dzisiaj wyjątkowo Faye mogła pozwolić sobie na kilka ciasteczek przysłanych przez Elizabeth. Podczas kręcenia filmu musiała dbać o linię, ale właśnie rozpoczynały się pięciodniowe wakacje, więc nie przejmowała się figurą.

Kamerdyner bezszelestnie wyszedł z gabinetu, pozostawiając Faye w zamyśleniu rozglądającą się po ulubionych sprzętach. W pokoju znajdowały się półki z książkami, starymi i nowymi, część z nich stanowiła bardzo rzadkie egzemplarze; wazy malowane w kwiaty; rzeźby, które zaczęła kupować kilka lat temu; dywan z Aubusson w kwiatowy wzór w niebiesko-bładoróżowym, przydymionym kolorze, wypolerowane do blasku srebro. W holu wisiał kryształowy francuski żyrandol. Jadalnia była wyposażona w angielski stół, stylowe krzesła i kolejny kryształowy żyrandol. Faye bardzo lubiła swój dom i to nie tylko ze względu na piękno zgromadzonych w nim przedmiotów, ale także z powodu kontrastu do biedy, w jakiej dorastała. Świadomość, że dostatek zdobywała własnymi rękami, że był świadectwem pracy, sprawiała, iż Faye tym

bardziej ceniła swój majątek. Za jadalnią znajdował się pokój gościnny. Był urządzony ze smakiem. Meble w stylu angielskim i francuskim, nowoczesność ze starociami. Ten eklektyzm był zamierzony. Różowy marmur kominka komponował się z francuskimi, inkrustowanymi krzesłami i, darowanymi przez wiernego przyjaciela, obrazami impresjonistów. Wąskie, eleganckie schody prowadziły na górę: do sypialni, buduaru i łazienki. Planując wystrój tych pomieszczeń, Faye realizowała swe dziecięce tęsknoty i marzenia. W pomieszczeniach dominowała biel, a głównym akcentem dekoracyjnym były duże lustrzane powierzchnie. Na łóżku w sypialni leżała narzuta z białych lisich skór. Stojący w niej biały marmurowy kominek był repliką kominka w buduarze. Ściany łazienki pokrywał biały marmur i glazura. Ostatnim pomieszczeniem na piętrze był mały salonik, gdzie Faye siadywała wieczorami, ucząc się ról, czytając scenariusze albo pisząc listy do przyjaciół. Drugą część domu zajmowała służba. Nad garażem dobudowano mieszkanie, w którym mieszkał Bob z żoną. W dużym ogrodzie znajdował się sporych rozmiarów basen, domek ze stołem do bilarda i barkiem oraz garderoba dla gości. Faye zwykła nazywać tę posiadłość swoim światem i nie lubiła dłużej poza nią przebywać. Perspektywa wyjazdu do San Francisco także nie napawała jej szczególnie entuzjazmem.

Ociągając się, spakowała w końcu walizki. Wybierała się do Harriet Fielding, swej starej przyjaciółki, która kilka lat temu cieszyła się wielką sławą na Broadwayu. Zaprzyjaźniły się, gdy Faye debiutowała. Znajomość była zażyła i owocna dla nich obu. Faye darzyła Harriet ogromnym szacunkiem, a ta przekazała jej wiele tajników aktorskiej profesji. Wizyta rozpoczęła się od rozmowy na temat roli, jaką niedługo miała kreować Faye w swym najnowszym filmie. Bez wątpienia stało przed nią wielkie zadanie, a na dodatek mężczyzna obsadzony w roli partnera Faye nie miał najlepszej opinii. Mówiło się, że współpraca z nim jest bardzo trudna. Faye wcześniej z nim nie pracowała, ale nie była też szczególnie ciekawa. Miała wątpliwości, czy nie popełniła błędu, przyjmując rolę. Harriet starała się pokazać Faye pozytywne strony decyzji, rozwodząc się nad głębią odtworzonej postaci, możliwością zabyśnięcia, pokazania pełni umiejętności.

– Dokładnie to mnie martwi – zareplikowała Faye. – Co będzie, jeśli nie podołam i położę rolę?

Rozmowy z Harriet zastępowały Faye rozmowy z matką, zwłaszcza że Harriet była kobietą światową, damą, doskonale zorientowaną w pracy

Faye. Matka, prosta kobieta, nigdy naprawdę nie rozumiała istoty zawodu córki, chociaż była z niego ogromnie dumna. Wszyscy sąsiedzi i znajomi słuchali jej opowieści o życiu Faye w Hollywood.

– Harriet, mówię poważnie. Co będzie, jeśli wypadnę fatalnie? – indygowała Faye.

– Moja droga, każdemu z nas zdarzają się potknięcia. Nie martw się, wszystko będzie dobrze, a jeżeli coś pójdzie nie tak, to spróbujesz jeszcze raz i na pewno będzie lepiej. – W głosie Harriet dało się słyszeć udawaną irytację. – Staraj się, jak możesz, i nie będziesz miała kłopotów.

– Mam nadzieję, że masz rację – odpowiedziała Faye.

Wspólne spacerowanie po wzgórzach San Francisco były dla Faye chwilkami szczególnie miłymi, bo Harriet należała do niewielu osób, przed którymi otwierała swe serce. Harriet ujmowała ją swą mądrością i poczuciem humoru.

Kiedy rozmowa zesłała na temat mężczyzn, zapytała Faye, czy przypadkiem nie pojawił się ktoś istotny w jej życiu.

– Jak dotąd nie spotkałam nikogo odpowiedniego – rzekła Faye.

– Ależ na pewno ktoś taki musi być – Harriet wpatrywała się badawczo w twarz Faye. – Boisz się?

– Być może, ale na razie żaden z nich nie był dla mnie. Owszem, mogłam mieć wszystko; kwiaty, szampana, egzotyczne wieczory, bajkowe noce, przyjęcia, czasami bardzo drogie podarunki, ale to nie to, czego tak naprawdę chciałam. Żaden z tych mężczyzn nie wydawał mi się autentyczny, nigdy.

– Dzięki Bogu. Jeżeli jest tak, jak mówisz, to rzeczywiście nie warto się angażować, ale na pewno są jeszcze inni mężczyźni. Przecież w Los Angeles nie mieszkają tylko playboye, lekkoduchy i naciągacze. – Stwierdziła Harriet.

Żadna z nich w to nie wątpiła, ale pozycja i wygląd Faye sprawiały, że miała cały tłum adoratorów złożony z, jak nazywała ich Harriet, lekkoduchów.

– Może zwyczajnie nie miałam czasu, żeby poszukać.

Najśmieszniejsze, że Faye nigdy nie potrafiła wyobrazić sobie życia u boku żadnego ze znanych jej mężczyzn, nawet Gable’a. Jej ideałem była nieco bardziej wielkomiejska wersja przeciętnego mieszkańca Grove City. Taki ideał w zimie odgarniałby śnieg sprzed domu, przynosił choinkę na Boże Narodzenie, chodził na długie spacerowanie z żoną i dziećmi. Faye marzyła o kimś zwyczajnym, prawdziwym, z kim mogłaby porozmawiać, dla kogo najważniejsza byłaby rodzina, a nie splendory wynikające z faktu gwiazdorstwa lub, co gorsza, podczepianie się pod czyjeś sukcesy

i odcinanie od nich kuponów. Myśląc o tym, przypomniała sobie o nowej roli i wciągnęła Harriet w dyskusję o technikach aktorskich, których chciała spróbować. Dopóki nie miała rodziny, całą energię koncentrowała na pracy i starała się być bardzo twórcza. W życiu zawodowym mogła więc mówić o pełnym sukcesie, natomiast w życiu prywatnym... Harriet niepokoiła się, że Faye była ciągle sama. Przestrzegała ją przed zgorzknieniem, które mogło bardzo niekorzystnie odbić się na karierze i kondycji psychicznej.

– Przyjedziesz zobaczyć mnie na planie? – Faye patrzyła na Harriet dziecięcym, proszącym wzrokiem.

Stara przyjaciółka pokręciła głową.

– Przecież wiesz, że nie cierpię tego miejsca.

– Ale ja cię potrzebuję.

Harriet dostrzegła samotność w oczach Faye, wzięła ją pod rękę i dowodziła:

– To wspaniale, bo ja też ciebie potrzebuję jako przyjaciela. Jednak nie jestem ci potrzebna do tego, by kierować twoimi poczynaniami aktorskimi. Jesteś o wiele bardziej utalentowana ode mnie i świetnie dasz sobie radę. Moja obecność na planie tylko by cię rozpraszała.

Po raz pierwszy w życiu Faye potrzebowała moralnego wsparcia z obawy, że nie poradzi sobie z rolą. Mimo zapewnień Harriet nie czuła się ani odrobinę pewniejsza. Z ciężkim sercem opuszczała San Francisco, udając się w dalszą drogę na wybrzeże, do posiadłości Hearstów, modnie przez nich zwanej „Casa”. Przez całą drogę rozmyślała o Harriet i dzieciństwie w Pensylwanii. Poczowała się bardzo samotna, zatęskniła za rodzicami. Po raz pierwszy w życiu miała wrażenie, że otacza ją pustka. Usiłowała wmówić sobie, że złe samopoczucie to skutek zdenerwowania nowym filmem, ale w głębi duszy wiedziała, że tylko się oszukuje, bo tak naprawdę pragnęła kochać i być kochaną. Przypomniała sobie wszystkich mężczyzn, których знаła, i doszła do wniosku, że żaden z nich nie wypełni tej pustki.

Faye dojechała do Hearstów w szczególnie refleksyjnym nastroju. Przez posiadłość przewijały się rzesze gości, codziennie wydarzało się coś zabawnego, ale Faye nie potrafiła pozbyć się uczucia dojmującej samotności. Tak naprawdę miała jedynie pracę. Wokół niej było mnóstwo ludzi, otaczał ją tłum znajomych, ale wiedziała, że tylko dwoje z nich, Harriet Fielding i agent Abe Abramson, liczyło się dla niej. Właściwie Faye odetchnęła z ulgą, opuszczając rozbawione towarzystwo. Wyruszyła w drogę powrotną do Los Angeles. Cieszyła się na myśl o powrocie do domu, gdzie, na szczęście, nie trzeba było bez przerwy się uśmiechać.

Gdy dotarła na miejsce, otworzyła sobie drzwi własnym kluczem i poszła prosto do sypialni. Wyciągnęła się na narzucie z lisów, zrzuciła buty, z przyjemnością stwierdzając, że powraca jej dobry humor, z zachwytem chłonęła atmosferę swego domu, o wiele miłszego i przytulniejszego niż Hearstów, z entuzjazmem pomyślała o filmie, *Mężczyźni?* Nic takiego! Najważniejsze, że miała pracę dającą jej dużo, dużo radości.

Następny miesiąc Faye spędziła, pracowicie przygotowując się do roli. Nauczyła się na pamięć całego tekstu, chodziła po domu, powtarzając go linijka po linijce. Analizowała poszczególne sceny, wczuwała się w postać, którą miała kreować; kobietę doprowadzoną do szaleństwa przez męża i w efekcie zabijającą go. Końcowa scena zabójstwa budziła w Faye wiele obiekcji. Przede wszystkim zadawała sobie pytanie, czy nie straci sympatii publiczności, czy nadal będzie popularna? To było dla niej najważniejsze pytanie.

Nadszedł dzień rozpoczęcia zdjęć. Faye pojawiła się w studio wczesnym rankiem, punktualnie o umówionej godzinie. W ręce trzymała czerwoną aktówkę ze skóry aligatora, zawierającą scenariusz oraz torebkę z przyborami do makijażu i kilkoma drobiazgami, które zawsze mogły się przydać. Bez zbędnego zamieszania udała się do garderoby. Powściągliwość zachowania życzliwi Faye poczytywali za zaletę; adwersarze, a byli nimi głównie ci, którzy zazdrościli jej profesjonalizmu, za irytującą pozę.

Wytwórnia przydzieliła Faye garderobianą. Niektórzy aktorzy korzystali z pomocy swojej służby domowej, Faye jednak nie potrafiła wyobrazić sobie Elizabeth w roli garderobianej. Tym razem trafiła do niej miła Murzynka, z którą już kiedyś pracowała. Kobieta miała duże doświadczenie, udzielała cennych rad, no i miała ogromne poczucie humoru; żartami doprowadzała Faye do łez. Obie panie bardzo ucieszyły się na swój widok. Pearl porozwieszała kostiumy, odstawiła torbę z przyborami do makijażu. Zignorowała aktówkę, pomna swego błędu, jaki popełniła, nie wiedząc, że Faye nie lubi, aby ktokolwiek dotykał jej scenariusza. Przyniosła kawę z mlekiem odmierzonym dokładnie według upodobań Faye. O siódmej do studia przybył fryzjer, zastał aktorkę jedzącą śniadanie złożone z jednego jajka na miękko i kromki chleba. Pearl była powszechnie znana ze swej skłonności do rozpieszczania gwiazd, ale Faye nigdy tego nie wykorzystywała.

– Pearl, chcesz mnie zepsuć na resztę życia? – Faye patrzyła na garderobianą, a jej oczy wyrażały wdzięczność.

– Właśnie o to mi chodzi – odpowiedziała Pearl, uśmiechając się na myśl o współpracy z Faye. Była urzeczona ciepłem, godnością i pogodą ducha młodej aktorki. Opowiadała o niej swoim przyjaciółom i była dumna, że mogła z nią pracować.

Po dwóch godzinach Faye była gotowa do wyjścia na plan. Stała w drzwiach studia ubrana w ciemnoniebieską sukienkę, uczesana i umalowana dokładnie wedle wskazówek reżysera. Kamery czekały na włączenie, reżyser konferował o czymś z inżynierem światła. Prawie wszyscy aktorzy byli obecni. Brakowało jedynie odtwórcy głównej roli. „Jak zwykle”, Faye usłyszała czyjś zniecierpliwiony szept. Westchnęła cicho, usiadła na krześle, zastanawiając się, czy jej partner zawsze jest taki punktualny. W razie potrzeby mogli zagrać sceny bez jego udziału, ale takie zachowanie podczas pierwszego dnia pracy nie wróżyło nic dobrego na przyszłość. Faye przyglądała się niebieskim pantoflom, wydobytym dla niej z rekwizytorni, gdy nagle poczuła na sobie czyjś wzrok. Podniosła oczy i zobaczyła wysokiego, przystojnego, niebieskookiego blondyna. Pomyślała, że to na pewno jeszcze jeden aktor, który chciał się z nią przywitać, nim zaczną się zdjęcia. Uśmiechnęła się, ale mężczyzna nawet nie drgnął.

– Faye, ty mnie chyba nie pamiętasz?

Miała wrażenie, że rzeczywiście gdzieś go widziała. Na pewno go spotkała... Gdzie to mogło być... Mężczyzna wpatrywał się w nią zmieszany, prawie przestraszony. Gdzieś w zakamarku pamięci odezwało się wspomnienie, ale ciągle zbyt blade, aby odtworzyć konkretną sytuację. Czy kiedyś z nim grałam?, myślała Faye.

– Właściwie nie ma powodu, żebyś mnie pamiętała.

Mówił cichym, spokojnym głosem, starając się ukryć rozczarowanie. Faye czuła się coraz bardziej niezręcznie.

– Spotkaliśmy się dwa lata temu w Guadalcanal. Przyleciałaś, by zaśpiewać dla żołnierzy, ja byłem adiutantem dowódcy.

O mój Boże... W jednej chwili przypomniała sobie tamtą przystojną twarz, rozmowę o pielęgniarce, która zginęła w czasie nalotu w dwa miesiące po ślubie... Patrzyli na siebie w osłupieniu... Jak mogła zapomnieć? Jego twarz prześladowała ją miesiącami, ale nie sądziła, że jeszcze kiedyś się spotkają. Uśmiechnął się na widok ręki wyciągniętej na powitanie. Ileż razy zastanawiał się, czy Faye go pozna.

– Witaj w domu, poruczniku.

Zasalutował elegancko.

– Teraz majorze, dziękuję.

– Przepraszam, nie wiedziałam. – Poczwała ulgę, oto stał przed nią żywy. – Wszystko u ciebie w porządku?

– Tak, oczywiście.

Odpowiedział tak szybko, że Faye przez moment zastanawiała się, czy to prawda. Wystarczyło jednak tylko popatrzeć, wyglądał znakomicie.

– Co tutaj robisz?

– Mówiłem ci, mieszkam w Los Angeles, pamiętasz? Mówiłem też, że cię odwiedzę pewnego dnia w studio. Zwykle dotrzymuję obietnic.

Uśmiechnęła się w odpowiedzi. Dwa lata temu wyglądał inaczej niż dzisiaj. Zupełnie stracił chłopięce rysy, zmęźniał i wyprzystojniał... Faye uświadomiła sobie, że cały czas czekali na kapryśnego aktora. Studio nie było najlepszym miejscem na spotkanie po latach.

– Jak zdołałeś tutaj wejść, Ward?

Ciągle pamiętała jego imię.

– No cóż, nieco gotówki, opowieść o naszym spotkaniu w Guadalcañal, i jestem... – odpowiedział z uśmiechem, w jego oczach pojawiły się diabelskie ogniki.

Roześmiała się.

– Przekupstwo, żeby się tu dostać? Dlaczego?

– Mówiłem ci, że chciałbym się z tobą zobaczyć.

Chciałbym się z tobą zobaczyć, zgrabnie powiedziane, ale nie wspominał, ile razy w ciągu tych dwóch lat myślał o niej... Tysiąc razy chciał napisać list, ale zawsze brakowało mu śmiałości. Zresztą i tak, zamiast do rąk Faye, list trafiłby pewnie do kosza, jako wynurzenia kolejnego wielbiciela. Poza tym nie znał adresu, więc co miał napisać na kopercie? Faye Price, Hollywood, USA? W końcu zdecydował się poczekać do końca wojny. Dzisiaj, po tylu miesiącach zwątpienia i nadziei, miał Faye przed oczami. Widział ją, słyszał jej głos. Na jawie. A ile razy wcześniej słyszał go w snach?

– Kiedy wróciłeś?

Zdecydował się być zupełnie szczery. Odpowiedział z uśmiechem:

– Wczoraj, ale nie mogłem przyjść od razu, bo musiałem załatwić kilka spraw.

Przed wszystkim chciał uporządkować kwestie związane z domem, którego nigdy nie lubił, bo wydawał mu się za duży, zatrzymał się w hotelu.

– W porządku, rozumiem – odrzekła Faye. Niespodziewanie poczuła się bardzo szczęśliwa, widząc Warda całego i zdrowego. Jego obecność była jakby przesłaniem od wszystkich żołnierzy, których spotkała, śpiewając w bazach. Teraz stał przed nią bez munduru, ubrany jak każdy inny, a jednak wyjątkowy... Faye nigdy przedtem nie czuła, żeby ktoś tak bardzo jej się podobał.

Wreszcie zjawił się spóźniony aktor. Reżyser zawołał całą ekipę na plan, wydał kilka pospiesznych poleceń. W pierwszej scenie grali Faye i jej partner, na którego czekano cały ranek.

– Idź już lepiej, Ward. Muszę teraz popracować – powiedziała Faye, po raz pierwszy w życiu doświadczając sytuacji dokonywania wyboru między mężczyzną i pracą.

– Nie mógłbym popatrzeć?

Faye w odpowiedzi pokręciła przecząco głową. Ward zrobił minę głęboko rozczarowanego dziecka.

– Nie dzisiaj. Pierwszy dzień jest zawsze bardzo trudny, za kilka tygodni wszyscy będziemy o wiele bardziej rozluźnieni.

Wardowi bardzo się to spodobało... „za kilka tygodni”... Nie tylko tygodni, mieli przed sobą całą przyszłość. Patrzył na nią, a Faye tymczasem zadawała sobie pytanie, kim właściwie jest Ward. Prawie nic o nim nie wiedziała.

– Zjemy razem obiad? – szepnął Ward.

W studiu gaszono światła, Faye zaczęła coś mówić, uściśliła rękę Warda, reżyser pokrzykiwał. Ward próbował przytrzymać jej dłoń, spojrzeli sobie w oczy. Nagle stało się dla Faye jasne, że stał przed nią prawdziwy mężczyzna. Walczył na wojnie, wrócił do domu, stracił pierwszą żonę, a dzisiaj przyszedł tu specjalnie dla niej, dla Faye. Być może nie trzeba więcej wiedzieć, przynajmniej na pierwszy raz.

– Dobrze – odpowiedziała.

Ward poprosił o jej adres. Zapisała go na kartce. Na myśl, że będzie podejmować Warda w swym dostatnim domu, poczuła się zażenowana. Nie żyła wystawnie, jak jej koledzy po fachu, ale ciągle dużo lepiej od przeciętnego człowieka. Spodziewała się więc, że Ward będzie nieco speszony. Trudno, nie było czasu na ustalanie innego miejsca spotkania. Podsunęła Wardowi karteczkę z adresem i lekko popchnęła w kierunku wyjścia. Pięć minut później słuchała ostatnich instrukcji reżysera, przedstawiono jej też filmowego partnera. Był to silny, intrygujący mężczyzna. Jego aparycja robiła duże wrażenie na kobietach. Po kilku godzinach pracy ogłoszono przerwę, którą Faye wykorzystała na ploteczki z Pearl. Siedząc w zaciszu garderoby, relacjonowała jej swe wrażenia. Aktor, mimo atrakcyjnej powierzchowności, wydał się jej niesympatyczny, jakby czegoś mu brakowało, odrobiny uroku, ciepła...

– Wiem, co ma pani na myśli, panno Price. Są dwie rzeczy, których nie ma ten człowiek: serca i rozumu.

Faye wybuchnęła śmiechem. Pearl miała zupełną rację. Był zarozumiałcem i bufonem. Do wszystkiego potrzebował tabunu sekretarek, gońców, pomocników. Na każdym kroku podkreślał swą wielkość i niezwykłość. Jego zachcianki równały się bezdyskusyjnym rozkazom. Pod koniec dnia Faye dostąpiła zaszczytu, została zaproszona na obiad. Aktor,

rozmawiając z nią, kierował wzrok na określone partie jej ciała. Poczwała niesmak.

– Przepraszam, Vance, jestem już umówiona.

To był błąd. Po co się przed nim tłumaczy? Nawet gdyby miała siedzieć cały wieczór sama, wołałaby to od spotkania z Vance'em.

– Jutro wieczorem?

Pokręciła przecząco głową i odeszła. Nie widziała współpracy z Vance'em Saint George'em w zbyt różowych kolorach. Bywał niezłym aktorem, ale prywatnie...

O szóstej po południu, po dwunastu godzinach na planie, praca była skończona. Faye przebrała się w pośpiechu, pożegnała z Pearl i z głową pełną myśli o kimś zupełnie innym niż Vance, pobiegła do zaparkowanego samochodu. Jechała do Beverly Hills najszybciej jak potrafiła. Weszła do domu i od razu skierowała się na górę.

– Czy podać pani szklaneczkę sherry?! – krzyknął za nią Arthur.

Zatrzymała się w połowie schodów, odpowiadając z uśmiechem, na którego widok zawsze robiło się Arthurowi ciepło koło serca.

– Będę miała gościa o ósmej.

– Rozumiem. Czy Elizabeth ma przyjść i przygotować dla pani kąpiel? Mogłaby też przynieść dla pani sherry.

Arthur już nieraz widział Faye zupełnie wyczerpaną, ale dzisiaj, po dwunastu godzinach, nie wyglądała nawet na zmęczoną.

– Nie, dziękuję, nie trzeba.

– Czy przyjmie pani gościa w salonie?

Arthur uważał to pytanie za retoryczne, tym większe było jego zdziwienie, gdy w odpowiedzi usłyszał:

– Nie, w gabinecie.

Uśmiechnęła się jeszcze raz i ruszyła dalej. Jakiż to beznadziejny pomysł, żeby spotykać się tutaj, myślała zde gustowana Faye. No trudno, ważne, że Ward wrócił z wojny cały i zdrowy, powiedziała sobie w końcu. Weszła do buduaru, otworzyła wszystkie szafy, by po chwili wyciągnąć z jednej z nich białą jedwabną sukienkę z peleryną na ramiona z szarego jedwabiu. Dobrała do niej szare buty na płaskim obcasie, obok sukni położyła kolczyki z szarych pereł i torebkę z szarego jedwabiu. Całość wyglądała elegancko, może bardziej strojnie, niż zamierzała, ale to nie było złe. Nie chciała urazić Warda zbyt skromnym strojem, a poza tym była przecież gwiazdą. Przeszła do łazienki. Odkręciła kurki i wsłuchując się w szum wody, rozmyślała o Wardzie Thayerze.

Rozdział trzeci

Za pięć ósma Faye czekała na Warda w gabinecie, jeszcze raz robiąc sobie wyrzuty, że nie umówiła się z nim gdzieś na mieście. Próbowwała sobie tłumaczyć, że jego nagłe pojawienie się po przypadkowym spotkaniu dwa lata temu w Guadalcanal było zbyt szokujące, aby podejmować racjonalne decyzje. Tak czy owak stało się. Mieli dzisiaj zjeść razem obiad. Serce biło jej jak oszalałe. Była to całkiem emocjonująca perspektywa. Ward bardzo jej się podobał, a na dodatek intrygował swoją tajemniczością.

W korytarzu zadzwonił dzwonek. Arthur poszedł otworzyć drzwi, a Faye próbowała się opanować i wyglądać na zupełnie odprężoną. W tym momencie do gabinetu wszedł Ward, popatrzył na nią szafirowymi oczami, sprawiając, że przeszedł ją dreszczyk podniecenia. Niedawny żołnierz wspaniale prezentował się w cywilnym ubraniu. Doskonale skrojony garnitur podkreślał zgrabną sylwetkę i szerokie ramiona. Faye wciąż czuła się odrobinę dziwnie w towarzystwie Warda. Może dlatego, że okoliczności, w których się poznali, były tak dramatyczne? Powtarzała sobie, że to spotkanie jest po prostu ładnym gestem. Nie ma powodu do paniki. Jeżeli nie przypadną sobie do gustu, to nie będą przecież musieli więcej się widywać. Musiała przyznać, że ujął ją determinacją, z jaką dążył do ich spotkania.

– Usiądź, proszę.

Faye czuła się zakłopotana ciszą panującą w pokoju. Szukała w myślach tematu, od jakiego mogliby zacząć rozmowę. Ward tymczasem rozglądał się po gabinecie, z nieukrywaną przyjemnością patrzył na gustownie dobrane szczegóły umeblowania; drobiazgi i ozdoby, maleńkie rzeźby, dywan z Aubusson. Podszedł do półki z białymi krukami.

– Skąd one się tu wzięły, Faye?

– Kupiłam je na aukcji, jakiś czas temu. To pierwsze wydania. Jestem z nich bardzo dumna.

W gruncie rzeczy była dumna ze wszystkiego, co posiadała. Pracowała na to ciężko i doskonale знаła wartość swego majątku.

– Czy mógłbym je obejrzeć? – zapytał Ward, patrząc na Faye przez ramię.

Do pokoju wszedł Arthur, wnosząc dzin z tonikiem dla Faye i whisky z lodem dla Warda. Trunki zaserwowano w szklankach od Tiffany’ego, kupionych przed rokiem w Nowym Jorku.

– Oczywiście, proszę bardzo.

Faye patrzyła, jak Ward ostrożnie wyjmując z półki dwie książki, otwiera je, przygląda się uważnie stronie tytułowej, stronom końcowym i skórzanej, starej oprawie. Po skończonych oględzinach podniósł na nią rozradowany wzrok.

– Tak, jak myślałem, to są książki mojego dziadka – podał jej jedną z nich, wskazując na exlibris na ostatniej stronie. – Sam mam kilka z nich.

Uświadomiło to Faye, jak mało wiedziała na temat Warda. Zapropo-
nowała mu drinka i zaczęły rozmawiać. Ward mówił dużo i chętnie, ale Faye nie mogła pozbyć się uczucia, że jej gość ciągle zachowuje dystans, zdołała się jedynie dowiedzieć, że dziadek interesował się statkami, wakacje spędzał na Hawajach i tam urodziła się matka Warda. Nie powiedział zbyt wiele o swym ojcu, a Faye nie chciała nalegać.

– Ty jesteś ze wschodu, Faye, prawda?

Kolejna zmiana tematu, Faye wydawało się, że Ward uparł się, aby pozostać dla niej zagadką. Przystojny, kulturalny, sprawiał wrażenie światowca, i to właśnie tak zaciekawiało Faye. Postanowiła, że postara się dowiedzieć o nim czegoś więcej, kiedy będą jedli obiad. Tymczasem Ward patrzył na nią z zachwytem w oczach.

– Tak, z Pensylwanii, ale mam wrażenie, że zawsze mieszkałam tutaj.

Roześmiał się.

– Domyślam się, że po kilku latach spędzonych w Hollywood trudno sobie wyobrazić inne życie.

Ward dopił drinka, wstał z fotela i wyciągając rękę po pelerynę Faye, powiedział:

– Chyba powinniśmy już wyjść, zarezerwowałem stolik na dziedzi-
wiątą.

Faye umierała z ciekawości, dokąd ją zabierał, ale nie chciała być zbyt dociekliwa i wypytywać o szczegóły. Ward pomógł jej założyć płaszcz, przeszli do holu. Rozejrzał się dookoła i powtórzył to, co powiedział wcześniej:

– W twoim domu jest mnóstwo prześlicznych rzeczy.

Wydawał się koneserem ładnych, stylowych mebli. Bez trudu rozpoznał angielski stolik stojący w pobliżu drzwi. Jedyne nie był w stanie domyślić się, ile dom znaczył dla Faye.

– Dziękuję, wszystko zgromadziłam sama.

– To musiała być zabawa.

Zabawa? Dla niej to było o wiele więcej niż zabawa, przynajmniej gdy urządziła dom. Teraz przywykła do dostatku, przedmioty straciły

swe poprzednie znaczenie, bo nawet bez nich Faye czuła się teraz bezpieczna.

Ward szarmanckim gestem otworzył drzwi wejściowe, na co Arthur zareagował osłupieniem. Według niego, zachowanie Warda urażało etykietę. Młody człowiek przesłał kamerdynerowi beztroski uśmiech i szczęśliwy zbiegł po marmurowych schodach. Za chwilę oboje z Faye znaleźli się przy jasnoczerwonym fordzie z opuszczanym dachem. Karoseria nosiła ślady licznych napraw; mimo tych niedoskonałości samochód wyglądał zabawnie.

– Cóż za wspaniały samochód, Ward.

– Dzięki. Pożyczyłem go na dzisiejszy wieczór. Mój pojazd cały czas stoi na kołkach, ale mam nadzieję, że uda mi się go uruchomić.

Faye nie spytała o markę samochodu. Zgrabnie wśliznęła się do małego forda, który prowadzony wprawna ręką Warda podjechał pod bramę. Bob czekał na nich w pogotowiu.

– Masz potwornie poważnego kamerdynera, pani – przypomniał sobie na jego widok dezaprobatę Arthura.

Rzeczywiście, Arthur i Elizabeth byli poważni, ale tak serdeczni, że Faye nie zamieniłaby ich na nikogo innego.

– Myślę, że oni mnie psują – rzekła Faye zakłopotana.

– Nie ma w tym nic złego. Powinnaś się tym cieszyć.

– Cieszę się – wyrzuciła z siebie Faye, jednocześnie starając się zapanować nad szalejącymi na wietrze włosami.

– Może podnieść dach? – zaproponował uprzejmie Ward, kiedy skierowali się na drogę prowadzącą do miasta.

– Nie, nie, wszystko w porządku – odpowiedziała Faye zgodnie z prawdą. Cóż z tego, że wiatr płatał jej włosy? Może to nawet dodawało uroku temu trochę staroświeckiemu wieczorowi, mającemu w sobie coś z nastroju randek w Grove City. Siedząc obok Warda, Faye miała wrażenie, że na powrót stała się zwykłą dziewczyną i bardzo jej się ta zmiana podobała. Jediną irytującą sprawą była świadomość, że jutro musi wstać o piątej rano, więc spotkanie nie może zbyt długo trwać.

Zatrzymali się przed restauracją Cira. Na widok Warda, twarz odźwiernego rozjaśniła się w uśmiechu.

– Panie Thayer, wrócił pan!

– Jasne, John, ale uwierz mi, to nie było łatwe!

Mężczyźni uścisnęli sobie po przyjacielsku dłonie, gdy nagle odźwierny zapytał z przerażeniem:

– Panie Thayer, co stało się z pana samochodem?

– Jeszcze przez jakiś czas musi postać na kołkach. Mam nadzieję, że uda mi się go doprowadzić do porządku w przyszłym tygodniu.

– Dzięki Bogu, myślałem, że zamienił go pan na tego grata.

Faye była nieco zaskoczona uwagami na temat samochodu. W zdumienie wprowadził ją fakt, że Ward okazał się być stałym bywalcem w restauracji Cira. Kierownik sali niemal rozplakał się ze wzruszenia na jego widok, wszyscy kelnerzy przyszedli złożyć Wardowi gratulacje z okazji powrotu, a następnie odprowadzili ich do najlepszego stolika. Ward zamówił drinki i poprosił Faye do tańca.

– Jesteś tutaj najpiękniejszą dziewczyną, Faye – szepnął, prowadząc ją po parkiecie.

Podniosła na niego oczy i uśmiechnęła się.

– Nie muszę pytać, czy bywałeś tu wcześniej.

Roześmiał się w odpowiedzi i po mistrzowsku wykonał taneczny obrót. Kim jest Ward? – ta myśl nie dawała Faye spokoju. Kim właściwie był ten szarmancki młody człowiek? Playboym z Los Angeles? Osobistością? Coraz bardziej ją to intrygowało. Może był aktorem, o którym nigdy przed wojną nie słyszała? Oczywiście był nie byle kim, a więc kim? Poważnie ją to nurtowało. Czuła się dziwnie, będąc w restauracji z kimś, kogo właściwie nie знаła.

– Coś mi mówi, że nie chcesz się przede mną ujawnić, panie Thayer. Ward roześmiał się na widok jej przenikliwego spojrzenia.

– Nic podobnego.

– W porządku, no to kim jesteś?

– Już całkiem sporo wiesz. Nazywam się Ward Thayer i mieszkam w Los Angeles – odrzekł, wymieniając przy tym stopień wojskowy i numer.

Faye roześmiała się niepewnie.

– To mi nie mówi nic nowego i wiesz co – spojrzała mu prosto w oczy – myślę, że nieźle się bawisz moim kosztem, odgrywając tajemniczego faceta. Nagle zdałam sobie sprawę, że wszyscy w mieście cię znają. Wszyscy, oprócz mnie, panie Thayer.

– Och, zaraz wszyscy! Tylko kelnerzy, byłem kelnerem...

Wyjaśnienia Warda przerwało bardzo spektakularne wejście nowych gości. Kobieta, ubrana w czarną, niesamowicie obcisłą suknię, miała ogniście rude włosy. Nie ulegało wątpliwości, pojawiła się Rita Hayworth. Towarzyszył jej mąż, Orson Welles. Co wieczór bywali w tym lokalu. Orson popisывał się piękną małżonką. Faye sądziła, że Rita była najpiękniejszą kobietą, jaką kiedykolwiek widziała. Kiedyś miała okazję zobaczyć ją z pewnej odległości, zostawiło to niezatarte wrażenie. Teraz Rita zatrzymała się tuż obok Faye, za chwilę podeszła bliżej, okręciła na pięcie i nieznacznie potknęła o Faye. Ta już była gotowa przeproszać ją za niezręczność, ale następane

wydarzenie dosłownie odebrało jej mowę. Rita bezceremonialnie rzuciła się na szyję Wardowi, szczebiocząc przy tym i obściskując go. Orson Welles z boku obserwował poczynania żony, na przemian mierząc spojrzeniem zaferowaną Ritę i Faye. Po chwili Rita wypuściła Warda z objęć, dla odmiany zasypując go gradem słów.

– Mój Boże, Ward, wróciłeś! Ty niegrzeczny chłopcze, przez te wszystkie lata nie dałeś znaku życia. Ludzie ciągle o ciebie pytali, a ja nigdy nie wiedziałam, co odpowiedzieć...

Na powrót oplotła go ramionami, uśmiechając się tak, że każdy mężczyzna mógłby spłonąć z pożądania. Była tak pochłonięta powitaniem, że nie zauważyła Faye.

– Witaj w domu, okropny chłopcze. – Odwróciła głowę, spojrzała przelotnie na Faye. – Och, rozumiem, czy jutro będziemy o tobie czytać w plotkarskich rubrykach, panie Thayer?

– Rita, uspokój się, na miłość boską, wróciłem dopiero dwa dni temu.

– Nie zasypiasz więc gruszek w popiele. – Przeniosła wzrok na Faye i uśmiechnęła się do niej szeroko. – Miło mi cię widzieć.

Grzeczne, puste słowa, pomyślała Faye.

– Opiekuj się dobrze moim przyjacielem – zakończyła Rita, poklepując Warda po policzku. Odeszła do Wellea, który na powitanie zsalutował Wardowi. Po chwili Faye i Ward siedzieli przy stoliku. Ward podniósł szklankę z alkoholem, a Faye, łapiąc go za rękę, miała wrażenie, że pęknie ze złości.

– W porządku, majorze, teraz tylko prawda – cedziła słowa, wtórował im śmiech Warda. – Dość tej zabawy, chciałabym wiedzieć, co się tutaj dzieje. Kim, do diabła, jesteś? Aktorem? Reżyserem? Gangsterem? Byłeś właścicielem tej restauracji?

Oboje śmiali się z tej sytuacji, ale śmiech Warda był cokolwiek szerszy.

– A może byłem zigołakiem? Nie przyszło ci to do głowy?

– To bzdura. Powiedz mi wreszcie, kim jesteś. Po pierwsze, skąd znasz tak dobrze Ritę Hayworth?

– Grywałem w tenisa z jej mężem, a jeżeli chodzi o ścisłość, poznałem ich tutaj.

– Kiedy pracowałeś jako kelner, zgadza się?

Znowu była rozbawiona. Nakazała sobie jednak zachować kamienny wyraz twarzy. Zmusiła Warda do patrzenia jej prosto w oczy i wysłuchania, co miała do powiedzenia.

– Przestań się śmiać. Sytuacja już dawno przestała być zabawna, zapraszasz mnie na obiad, spotykamy się u mnie w domu, wprawia

mnie to w zakłopotanie, i nagle okazuje się, że niepotrzebnie, bo ty jesteś niebywale ustosunkowany. Ja nie mam takich znajomych.

– Cóż ja słyszę, moja piękna.

– To znaczy? – zaczerwieniła się.

– A co powiesz na temat Gable’a?

Rumieniec zrobił się bardziej intensywny.

– Czy wierzysz we wszystko, co piszą w gazetach?

– Nie we wszystko, ale słyszałem sporo od moich przyjaciół.

– Nie widziałam się z nim od lat. – Faye zrobiła tajemniczą minę, a Ward nie śmiał dopytywać się o szczegóły. – A teraz nawet nie próbuj zmieniać tematu, tylko mów, kim, do cholery, jesteś?

Ward nachylił się do Faye i szepnął jej do ucha:

– Jestem Królewskim Koniuszym.

Faye nie mogła powstrzymać się od śmiechu. Kierownik sali podszedł do stolika z wielką butelką szampana i kartą dań.

– Witam pana z powrotem w domu. Cieszę się, że pan jest z nami, panie Thayer.

– Dziękuję.

Ward zamówił obiad, wznosił toast i już do końca wieczora nie przestawał żartować. Po wyjściu z lokalu odwiózł Faye do domu. Zatrzymał samochód przed bramą, wziął Faye za rękę i tonem zgoła innym niż w restauracji zaczął mówić:

– Jeżeli mam być szczerzy, Faye, to jestem bezrobotnym żołnierzem. Nie mam pracy, nigdy nie miałem, nie mam mieszkania, pozbyłem się go jeszcze, zanim mnie zmobilizowali, znają mnie u Cira, bo chodziłem tam często przed wojną. Nie chcę udawać, że jestem kimś ważnym, bo to nieprawda. Ty jesteś gwiazdą, Faye, a ja zwariowałem na twoim punkcie w dniu, kiedy się poznaliśmy, ale nie chcę cię okłamywać. Jestem po prostu Wardem Thayerem, dokładnie tak jak myślisz: człowiekiem bez pracy, bez domu, z pożyczonym samochodem.

Nie dawała wiary jego słowom. Już od dawna Faye z nikim nie spędziła tak miłego wieczoru.

Ward był inteligentny, dowcipny i przystojny, świetnie tańczył. Emanowało z niego ciepło, a przy tym był bardzo zajmujący. Doskonale orientował się w sprawach, o których Faye nie miała najmniejszego pojęcia. Ujmował ją bezpretensjonalnością, tak rzadką w snobistycznym i pozerским Hollywood.

– Kimkolwiek jesteś, to był cudowny wieczór – powiedziała Faye, spoglądając na zegarek wskazujący drugą. Nawet nie chciało jej się myśleć, jak będzie się czuła po mniej niż trzech godzinach snu.

- Spotkamy się jutro? – zapytał Ward z nadzieją w głosie.
- Faye pokręciła głową.
- Nie mogę, Ward. Muszę codziennie wstać za piętnaście piąta.
- Jak długo to potrwa?
- Aż do skończenia filmu.

Ward spojrział na nią kompletnie zdruzgotany. Może tylko przez grzeczność powiedziała, że wieczór był miły? Przecież czekał na nią dwa lata, śnił i marzył. Przecież starał się, żeby wszystko dobrze wypadło. Chciał się umawiać codziennie, bawić do upadłego. Nie chciał czekać z boku na skończenie filmu.

– A niech to, nie mogę tak długo czekać. Może pojutrze? Dzisiaj poszłabyś spać, a następnym razem odwiózłbym cię wcześniej. – Spojrzała na zegarek. – Nie zdawałem sobie sprawy, że zrobiło się tak późno. – Przemawiał głębokim, łagodnym głosem. – Ja też uważam, że to był cudowny wieczór, Faye. – Ward był w niej zakochany po uszy. Przez dwa lata marzył o dniu, w którym ujrzy Faye, jak dzieci marzą o prezentach gwiazdkowych. Dwa lata temu obiecał sobie, że pierwszą rzeczą, jaką zrobi po wojnie, będzie skontaktowanie się z Faye. Nareszcie mógł realizować swoje zamiary. Chciał, żeby Faye zakochała się w nim równie po wariacku, jak on zakochał się w niej. Ward należał do osób, które prawie zawsze osiągały wytyczony cel, ale tego jeszcze o nim nie wiedziała.

Wpatrywał się w Faye błagalnym wzrokiem. Nie mogła powiedzieć „nie”.

– W porządku, Ward, spotkamy się pojutrze, pod warunkiem, że odwieziesz mnie wcześniej, inaczej padnę ze zmęczenia.

– Możesz na mnie polegać – odrzekł.

Patrząc na Faye, miał ogromną ochotę ją pocałować. Nie chciał jednak zachowywać się jak natarczywy wielbiciel, więc bardzo się kontrolował. Dla niego Faye była kimś bardzo ważnym. Ward obszedł dookoła samochód, otworzył drzwi po jej stronie. Teraz stali na zewnątrz, trzymając się za ręce.

– Świetnie się bawiłam, dziękuję ci.

Podeszli razem do marmurowych schodów. Faye walczyła z pokusą zaproszenia Warda na drinka. Rozsądek sprzeciwiał się temu pomysłowi, podsuwając koszmarnie wizje całego dnia na planie po bezsennej nocy. Ward pocałował ją delikatnie we włosy.

– Będę tęsknił za tobą.

Faye pokiwała głową i jakby zupełnie nie kontrolując słów, powiedziała:

– Ja też będę za tobą tęskniła, Ward...

Tak, Ward wiedział, jak ją sobą zainteresować, jak sprawić, żeby za nim tęskniła. Być może z innym mężczyzną byłoby to przerażające, ale nie z Wardem, z nim czuła się wspaniale, tak wspaniale, że nie mogła się bać.

Rozdział czwarty

Następnego dnia Faye pojawiła się na planie punktualnie. Pearl przyniosła dla niej trzy filiżanki mocnej kawy.

– Włosy staną mi dęba od takiej ilości kofeiny.

– Tak, kochanie, ale jeśli nie wypijesz, to możesz zasnąć podczas sceny miłosnej.

– To i tak jest możliwe.

Kobiety roześmiały się porozumiewawczo. Obie nie ceniły partnera Faye. Ten, tak jak poprzedniego dnia, przybył na plan mocno spóźniony i od razu zaczął na wszystko narzekać. W jego garderobie było za gorąco, więc kazał otworzyć okna, wtedy zaczął cierpieć od przeciągu. Irytowali go fryzjer i charakteryzator. Nie podobało mu się oświetlenie w garderobie. Reżyser, doprowadzony skargami do rozpaczy, zarządził przerwę. Faye postanowiła w tym czasie posiedzieć w garderobie, a gdy się tam znalazła, czekała na nią Pearl z gazetami. Faye otworzyła jedną z nich i aż usiadła z wrażenia. Bardzo długo czytała artykuł, jakby przetrawiając całą jego treść. „...Szczęśliwie powrócił do domu playboy, sukcesor milionów Stoczni Thayera, Ward Cunningham Thayer IV. Wczorajszej nocy widziano go u Cira, witającego się serdecznie z Ritą Hayworth i jej mężem. Wygląda na to, że w życiu Warda pojawiła się dama, Faye Price, mająca na koncie jednego Oscara i całkiem okazałą kolekcję złamanych serc, zastanawiamy się, czy samotny wdowiec będzie próbował na nowo ułożyć sobie życie. Wszystko wskazuje, że tak. Szybka robota, Ward, jesteś w domu dopiero od trzech dni! Nawiasem mówiąc, Faye obecnie pracuje nad nowym filmem. Partneruje jej Vance Saint George, co pozwala prorokować reżyserowi Louisowi Bernsteinowi sporo dodatkowej pracy... Nie z powodu Faye, jak można się domyślać. Powodzenia, Ward, a raczej powodzenia dla was obojga! Czy zadzwonią dla nich dzwony weselne? Poczekamy, zobaczymy...”

– O rany, ależ oni są szybcy – mruknęła Faye, uśmiechając się do Pearl.

Doniesienia prasowe wprawiły ją w dobry humor i zaintrygowały. „Playboy, spadkobierca milionów Stoczni Thayera...”, przecież знаła to

nazwisko, aż dziwne, że niczego nie skojarzyła. Playboy. Spadkobierca. Faye nie była zupełnie pewna, czy podobały jej się te określenia. Nie chciała, aby Ward pomyślał, że chodzi jej o pieniądze. Nie chciała też być kolejną zdobyczą playboya. Ogarnęła ją niechęć, prysł czar poprzedniego wieczoru. Ward przestał jej się wydawać zwykłym facetem z Grove City, w gruncie rzeczy nie miał z nim przecież nic wspólnego. Pearl zauważyła nagle zmianę nastroju Faye i więcej już nie wracała do tematu Warda.

Reszta dnia na planie upłynęła pod znakiem lamentów i narzekań Vance'a Saint George'a, psującego humor wszystkim osobom, które z nim pracowały. Wychodząc ze studia o szóstej po południu, Faye czuła się totalnie wyczerpana, nawet nie chciało jej się zmywać makijażu. Ograniczyła się jedynie do przebrania w szorty i beżowy sweter. Postanowiła jechać prosto do domu, właśnie wkładała kluczyk do stacyjki lincolna continental, gdy usłyszała za sobą klakson. Spojrzała w lusterko wsteczne i zobaczyła w nim znajomy, mały czerwony samochodzik. Westchnęła głęboko, nie była w nastroju na rozmowy. Czuła się potwornie zmęczona i chciała być sama. Nie interesowało jej nawet towarzystwo Warda Thayera. Mniejsza o to, że był przystojny, poza tym był playboyem, a Faye nie miała ochoty dzielić życia z kimś takim. Ward wyskoczył z forda, energicznie zatrzęsął drzwiami i z naręczem kwiatów oraz butelką szampana w mgnieniu oka znalazł się przy samochodzie Faye. Natychmiast posłał jej czarujący uśmiech, na który Faye nie odpowiedziała równie entuzjastycznie.

– Czy poza uwodzeniem śmiertelnie zmęczonych całodniową pracą aktorek nie masz nic lepszego do roboty, panie Thayer?

– Posłuchaj, Kopciuszku, nie denerwuj się. Wiem, że jesteś wykończona, ale pomyślałem, że to może cię trochę rozweselić i umilić drogę do domu. Chyba że mógłbym cię porwać na drinka do hotelu Beverly Hills. Czy mam jakieś szanse?

Ward wyglądał jak pełne oczekiwania dziecko i Faye niemal się uśmiechnęła.

– Przy okazji, kto jest twoim rzecznikiem prasowym?

W głosie Faye brzmiała nutka irytacji, która cokolwiek zbiła Warda z tropu.

– Przypuszczam, że to sprawka Rity. Przepraszam... czy bardzo się zezłościłaś?

Faye nie miała pojęcia, że za notatką prasową ukrywała się niechęć dziennikarki Heddy Hopper do Orsona Wellesa. Hedda, kiedy tylko mogła, pisywała o wydarzeniach pogłębiających Orsona. Wylewne powitanie Rity Hayworth z innym mężczyzną było gratką nie lada.

Faye zaczynała kapitulować, na Warda nie można było długo się gniewać. Był tak rozbrajający i szczerze uszczęśliwiony z powodu spotkania z Faye, że nawet jego reputacja playboya przestawała mieć znaczenie. Musi się mieć na baczności i nie dać zwieść gładkim słówkom, postanowiła.

– Przynajmniej dowiedziałam się, kim jesteś, Ward.

Z uśmiechem wzruszył ramionami.

– Sama wiesz, że to nijak ma się do rzeczywistości.

Taktownie przemilczał wzmiankę o „całkiem okazałej kolekcji złamanych serc”, kierując rozmowę na inne tory.

– Czy powinniśmy zastosować się do sugestii?

W oczach Warda pojawiły się tajemnicze ogniki. Faye nie знаła go wystarczająco dobrze, aby wiedzieć, czy mówił poważnie, czy żartował.

– Do jakiej sugestii? – Była tak zmęczona, że nie potrafiła sobie niczego przypomnieć.

– Pamiętasz, napisali tam o dzwonach kościelnych... moglibyśmy zrobić im niespodziankę i pobrać się.

– Cóż za wspaniały pomysł! – Udała zachwyty, spoglądając na zegarek. – Teraz jest dwadzieścia pięć po szóstej, jeżeli wzięlibyśmy ślub o ósmej, to zdążyliby to wydrukować w porannych gazetach.

– Znakomicie. – Ward obiegił lincolna dookoła i już po chwili siedział obok Faye. Uśmiechnął się do niej, a ona poczuła, że dalszy opór był kompletnie bezsensowny. Musiała przyznać, że odpowiadało jej towarzystwo Warda i była z nim szczęśliwa. – Ruszamy, Faye.

– Coś takiego, ja mam prowadzić? Jak będzie wyglądało to małżeństwo?

– Czytasz gazety, prawda? Napisano w nich, że jestem playboyem, a playboye nigdy nie prowadzą, oni są wożeni.

– Chyba mylisz ich z żigolakami, to nie to samo, Ward.

Roześmieli się oboje, Ward, nie napotyając protestów ze strony Faye, przysunął się blisko.

– Dlaczego nie można wozić playboya? Jestem zmęczony, miałem bardzo ciężki dzień. Poszedłem na lunch z trójką przyjaciół i wypiliśmy cztery butelki szampana.

– Serce mi się kraje, obiboku. Ja pracowałam od szóstej rano, a ty cały dzień piłeś szampana. Faye próbowała udawać złą, ale widząc ogromną limuzynę, która zajechała po Vance’a Saint George’a, musiała się roześmiać.

– To właśnie to, czego ci trzeba – rzekł Ward całkiem serio.

– Po co mi taki samochód? Nie żartuj, lubię sama prowadzić – zaprote-
stowała rozbawiona.

– To nie przystoi damie – Ward zrobił lekko zgorszona minę. – Poza
tym nie pasuje do ofiary playboya.

– Jestem twoją ofiarą, naprawdę?

– Mam nadzieję, że będziesz – spojrzał na zegarek, a potem na Faye.
– O której bierzemy ślub? Powiedziałaś, że o ósmej, więc powinniśmy
już jechać, a może jednak wstąpimy na drinka?

Faye pokręciła głową, ale nie potrafiła być już tak przekonująca, jak
na początku spotkania.

– Nie, wolałabym teraz pojechać do domu, panie Thayer. Przypomi-
nam ci, że jestem pracującą dziewczyną i zdarza mi się bywać wyczerpa-
ną.

– Nie potrafię sobie wyobrazić przyczyny. Przecież wczoraj poszłaś
spać o dziesiątej.

– Nie – splotła ręce i uśmiechnęła się do Warda. – Miałam randkę
z playboyem milionerem. – Stało się oczywiście, że znowu bardzo do-
brze się ze sobą bawili. Cała znajomość wydała im się miłym absurdem,
jakby żartowali z samych siebie. Faye postanowiła traktować Warda
z przymrużeniem oka, tak jak on traktował ją.

– Doprawdy – Ward udawał zszokowanego – kto to był?

– Nie pamiętam, jak się nazywał.

– Miły?

– Powiedzmy. Potworny łgarz, ale oni wszyscy są tacy.

– Przystojny?

Faye popatrzyła figlarnie.

– Bardzo. No dobra, poderwałaś go, ale nie zapominaj, że masz jeszcze
przyjaciół, z którymi powinnaś się spotykać. – Otoczył ją ramieniem, po-
czuła zmysłowy zapach jego wody po goleniu. – Jedziemy na drinka. Obie-
cuję, że odwiozę cię wcześniej.

– Nie mogę, Ward, usnę z głową na stoliku.

– Nie przejmuj się. Jak zaśniesz, to cię uszczypnę.

– Czy mówiłeś poważnie o spotkaniu z przyjaciółmi?

Faye zdrętwiała na samą myśl o jakimkolwiek spotkaniu. Jediną rze-
czą, jakiej pragnęła, było jak najszybciej znaleźć się w domu. Chciała
popracować nad scenariuszem. Granie z Vance'em zmuszało ją do po-
dwójnego wysiłku. Czowała się zobowiązana dawać z siebie wszystko,
w innym wypadku cały film zrobiłby klapę.

– Żartowałem z tymi przyjaciółmi – Ward pokręcił głową. – Miałem
na myśli tylko nas dwoje. Zaprosiłbym cię do siebie, ale nie mam domu

i to bardzo komplikuje moje plany na przyszłość. Miałem zamiar zamieszkać w domu moich rodziców, ale jeszcze ciągle nie jest uporządkowany, a w ogóle to jest za duży. Chwilowo uwiłem sobie gniazdko w hotelu Beverly Hills, więc w tym momencie mogę ci zaoferować jedynie hotelowy bar.

Zapraszanie Faye do pokoju w hotelu byłoby wielce nietaktowne. Ward ani przez chwilę nie brał tego pod uwagę. Ona nie była takim typem dziewczyny. Swoboda obyczajów nie leżała w jej naturze. Zachowywała się jak dama i Ward umiał to docenić.

– Za pół godziny odwiozę cię do domu, co ty na to? Zgadzasz się?

– Zgadzam się... mój Boże, ależ ty jesteś uparty. Cieszę się, że nie pracuję dla ciebie, Ward.

– Mój maleńki kurczaczek – Ward pogłaskał Faye po policzku. – Wiedziałem, że się dogadamy, zamieńmy się miejscami, to poprowadzę.

– Ward zgrabnie prześliznął się na miejsce za kierownicą.

– A co z twoim samochodem? Nie będziesz go potrzebował?

– Najpierw cię odwiozę i wrócę taksówką.

– Nie będzie to kłopotliwe, Ward?

Patrzył na nią uradowany.

– W najmniejszym stopniu, maleństwo. Dlaczego nie oprzesz sobie głowy na zagłówek? Odpoczęłabyś po drodze do hotelu. Wyglądasz na zmęczoną.

Faye lubiła sposób, w jaki Ward do niej przemawiał, lubiła jego spojrzenie, lubiła, gdy jego dłoń dotykała jej dłoni. Przyglądała mu się spod w półprzymkniętych powiek.

– Co słyszeć na planie?

– Vance Saint George to irytujący człowiek. Nie wiem, w jaki sposób udało mu się zająć tak daleko. Ward wiedział. Saint George sypiał zarówno z kobietami, jak i mężczyznami. Świadczył te przysługi wszystkim w mieście, w ten sposób zyskując protektorów.

– Czy jest dobry? – spytał, nie dzieląc się z Faye swoją wiedzą.

– Byłby, gdyby przestał przejmować się przeciągami, ilością makijażu, jaką ma na twarzy. Trudno z nim pracować, bo on się nigdy nie przygotowuje, spóźnia całe godziny.

– Rozumiem, że ty jesteś straszliwą profesjonalistką, panno Price – Ward popatrzył na nią z podziwem.

– Kto ci to powiedział? – zapytała z uśmiechem.

– Jadłem lunch z Louistem B. Mayerem. Powiedział, że jesteś najlepszą aktorką w Hollywood. Oczywiście zgodziłem się z tą opinią.

– Sporo wiesz. Nie było cię przez cztery lata, umknęły ci moje najlepsze filmy – powiedziała, nie potrafiąc ukryć dumy. Ward skwitował to uśmiechem. Było mu z nią dobrze, czuł się szczęśliwszy niż z kimkolwiek innym.

– Tak, ale nie zapominaj, że widziałem cię w Guadalcanal – popatrzył czule, znowu dotykając jej ręki. – Ilu jeszcze ludzi może się tym pochwalić? Oboje roześmieli się na myśl o tysiącach oddziałów, które odwiedziła w czasie wojny. – No dobra, mniejsza o to...

Dojechali do pomalowanego na różowo hotelu. Ward wyskoczył z samochodu i w kilku susach znalazł się przy drzwiach, z galanterią otwierając je przed nią.

– Obawiam się, że nie jestem odpowiednio ubrana – Faye popatrzyła na szorty.

– Faye Price, nawet gdybyś przyszła w stroju kąpielowym, to i tak z radości całowałiby twoje stopy.

– Teraz też będą? – zapytała z uśmiechem. – A może raczej dlatego, że przyszedłam z Wardem Thayerem?

– Co za absurd!

Pytanie Faye nie było jednak zupełnie bezpodstawne, ponieważ zaprowadzono ich do najlepszego stolika w restauracji. Po godzinnej pogawędce, w trakcie której pojawiło się trzech łowców autografów, Faye zaczęła nalegać, aby wyszli. W drzwiach lokalu błysnął im przed oczami flesz aparatu fotograficznego.

– Cholera, nienawidzę tych numerów! – Ku zdenerwowaniu Faye, fotoreporter podążył za nimi samochodem.

– Dlaczego nie zostawia nas samych? Dlaczego muszą robić z tego wielką sprawę?

Faye chroniła swoje życie prywatne przed prasą. Podobna przygoda przytrafiła się jej wcześniej, ale tym razem nie chodziło o człowieka, z którym była związana. Przecież to była zaledwie jej druga randka z Wardem.

– Jesteś sławna, dzieciaczku. Nic nie można na to poradzić. – Ward zastanawiał się, czy Faye miała coś przeciwko widywaniu ich razem. Może w jej życiu był ktoś inny? Nigdy wcześniej nie zastanawiał się nad tym, ale teraz postanowił dowiedzieć się, o co chodziło. Gdy dojechali do domu, zapytał:

– Czy to komplikuje twoje sprawy, Faye?

Uśmiechnęła się na widok smutku w jego oczach.

– Nic z rzeczy, które masz na myśli. Po prostu nie lubię obnosić mojej prywatności.

– W takim razie musimy być bardziej dyskretni – rzekł Ward.

Postanowienie okazało się chwilowe, bo już następnego dnia zjechał po Faye bardzo niecodziennym, raczej mało dyskretnym samochodem. Był to przedwojenny, montowany na zamówienie model dusenberga. Najpiękniejszy pojazd, jaki Faye widziała w życiu. Udali się nim do Mocambo, gdzie Charlie Morrison, siwowłosy właściciel restauracji, powitał Warda z ogromnym entuzjazmem, uściskami i poklepywaniem po ramieniu, wyrażając zachwyt z powodu jego szczęśliwego powrotu do domu. Poprowadził ich do stolika, w prezencie od firmy zaserwował ogromną butelkę szampana.

Mocambo było najwytworniejszym lokalem w mieście, po sali latały żywe ptaki, a każdego wieczoru na parkiecie i przy stolikach można było spotkać śmietankę filmowego świata.

– Nie przypuszczam, żeby nasza wizyta przeszła niezauważona, Ward. Charlie może sam zadzwonić do gazet. – Ward popatrzył na Faye zatroskanym wzrokiem.

– Czy naprawdę bardzo ci to przeszkadza?

Podejrzewał, że fotografia zrobiona poprzedniego dnia przy wyjściu z hotelu Beverly Hills, pokazująca ich biegnących do samochodu, którą opublikował poranny „L.A. Times”, nie wprawiła Faye w zachwyt.

– Mam wrażenie, Ward, że nie wiesz, jak nie rzucać się w oczy – uśmiechnęła się. Oboje wiedzieli, że to była prawda. – W zasadzie żadne z nas nie ma nic do ukrycia, ale byłoby miło mieć trochę prywatności. Cóż, chyba nie jest nam to pisane.

Faye przemyślała sobie wszystko poprzedniej nocy i doszła do wniosku, że nie musieli się kryć.

– Nigdy się tym nie przejmowałem. – Ward małymi łykami pociągał szampana. Jego skłonność do tego trunku była powszechnie znana. – Taki już mamy świat...

Jeśli jest się dziedzicem fortuny i jeździ montowanym na zamówienie dusenbergiem... wtedy można tak sądzić, pomyślała Faye.

Po chwili uśmiechnęła się do Warda, rozbawiona własnymi myślami.

– Jak mało o tobie wiedziałam, gdy spotkaliśmy się w Guadalcanal. Nie miałam pojęcia, że jesteś zepsuty do szpiku kości, że bywałeś w najdroższych lokalach, wypijając tam morze szampana...

Faye pokpiwała sobie z Warda, a ten nie wydawał się dotknięty. Sam zdawał sobie sprawę, że w jego przeszłości można było znaleźć jeszcze mnóstwo niezbyt chwalebnych epizodów. Wojna w pewien sposób

odmieniła jego życie i charakter. To były najcięższe cztery lata. Doświadczyl biedy, strachu, niebezpieczeństw. Przez ten czas nigdy nie starał się wykorzystywać przedwojennych koneksji, swojej pozycji czy nazwiska, chociaż na pewno wielu orientowało się, kim byli Thayerowie. Śmierć żony była dla Warda przeżyciem, z którym nie mógł sobie poradzić, nigdy wcześniej nie doświadczył takiego bezmiaru smutku. Teraz w jego życie wkroczyła Faye Price.

Wniosła powiew przepychu, swą intrygującą osobowość, poczucie realizmu i ogromny talent. Ward był zadowolony, że Faye nie znała jego przeszłości, obawiał się, że wtedy nie darzyłaby go sympatią, uznając za lekkomyślnego bawidamka. Rzeczywiście od czasu do czasu Ward był niepoprawny, lubił się zabawić, ale w zasadzie był człowiekiem poważnym. Oboje, Ward i Faye, mieli za sobą przeszłość, która ukształtowała ich osobowości, zdeterminowała charaktery. Lubili się za to, jacy byli, a nie za to, co posiadali. Stanowili dobraną parę, co szybko zauważyły Hedda Hopper i jej koleżanka po fachu, Louella Parsons.

– Jakie są twoje cele życiowe, Faye? – spytał Ward, opróżniając już czwarty kieliszek szampana. – Co chciałabyś robić za dziesięć lat od dziś?

Co prawda, trzymał się całkiem dobrze, ale było wiadome, że jeżeli nie zwolni tempa, to w krótkim czasie upije się, czyli zrobi coś, co nigdy nie przydarzyło się Faye. Zmarszczyła czoło, wyczuwając, że pytanie Warda jest zupełnie poważne, a na dodatek sama się nad tym zastanawiała.

– Naprawdę cię to interesuje, Ward? – upewniła się.

– Oczywiście.

– Zawsze, kiedy myślę o przyszłości, czuję się jak na rozstaju dróg. Widzę dwie i nie wiem, którą iść.

– Gdzie te drogi prowadzą? – Ward był zaintrygowany odpowiedzią. Jego ciekawość narastała z każdą minutą.

– Jedna z dróg reprezentuje to wszystko – popatrzyła znacząco po sali restauracyjnej – ci sami ludzie, miejsca, sprawy... moja kariera... więcej filmów... więcej sławy. – Faye była zupełnie szczerą. – Więcej tego samego – głos jej zadrżał.

– A druga droga? – Ward wziął ją za rękę. – Gdzie wiedzie druga droga, Faye?

Przez chwilę patrzyła mu głęboko w oczy, a później zaczęła mówić:

– W przeciwną stronę... mąż, dzieci, życie z daleka od tego, co mam tutaj, a bliżej realiów mojego dzieciństwa. Nie mogę sobie tego łatwo wyobrazić, ale wiem, że to możliwe, jeśli zechcę. To trudna decyzja.

– Uważasz, że nie możesz mieć obu rzeczy naraz?

Faye pokręciła głową.

– Bardzo w to wątpię. Pomyśl o mojej pracy. Wstaję o piątej rano, pracuję do szóstej po południu, nigdy nie wracam do domu wcześniej niż między siódmą a ósmą. Który mężczyzna by to zniósł? Napatrzyłam się na hollywoodzkie małżeństwa, nie kończące się śluby i rozstania. Oboje wiemy, jak to wygląda. Nie tego pragnę, jeżeli zdecyduję się na stabilizację.

– Czego chcesz, Faye... to znaczy czego pragniesz, jeśli twoje życie się ustabilizuje?

Uśmiechnęła się. To zabawne rozmawiać w ten sposób na trzeciej randce, ale może między nimi działo się coś niezwykłego?

Widzieli się trzy razy w ciągu trzech dni. Faye miała wrażenie, że zaczynała Warda poznawać, że stawali się sobie bliscy. Dwa lata temu w Guadalcanal spędzili ze sobą kilka godzin i już wtedy czuli, że to nie będzie zwyczajna, przelotna znajomość. Faye zastanawiała się nad pytaniem Warda. – Myślę, że chciałabym poczucia bezpieczeństwa, małżeństwa na lata, dobrego i trwałego, z mężczyzną, którego kochałabym i szanowałabym. Chciałabym mieć dzieci.

– Ile? – Zapytał Ward, robiąc minę, która rozbawiła Faye.

– Przynajmniej dwanaścioro – zabrzmiała odpowiedź.

– Aż tyle... Dobry Boże, nie wystarczyłoby pięcioro albo sześcioro?

– Mogłabym na to przystać.

– Całkiem miła koncepcja, w sam raz dla mnie.

– Dla mnie też, ale ciągle trudno mi sobie to wyobrazić – westchnęła Faye.

– Czy kariera jest aż tak ważna?

– Nie mam pewności, ale od sześciu lat bardzo ciężko pracowałam na sukces. Nie byłoby mi łatwo nagle wszystko rzucić... A może byłoby? – roześmiała się. – Jeszcze jeden film jak ten, który kręcę teraz, i być może pożegniam się ze wszystkim w ciągu jednego dnia.

Faye wysunęła dłoń z ręki Warda, ale już po sekundzie Ward na powrót delikatnie ujął jej palce.

– Chciałabym zobaczyć, jak pewnego dnia zostawiasz filmy – twarz Warda nabrała nagle tak poważnego wyrazu, że Faye lekko się przestraszyła.

– Dlaczego? – zapytała.

– Ponieważ cię kocham i dlatego chciałabym, żebyś zdecydowała się na drugą drogę, która prowadzi do spełnienia. Pierwsza możliwość to droga do samotności. Myślę, że sama już o tym wiesz.

Faye wolno skinęła głową. Patrząc Wardowi w twarz, zastanawiała się, do czego zmierzał. Nie wiedziała, co powiedzieć. Cofnęła swoją dłoń.

– Ward, dopiero co wróciłeś do domu, wszystko wydaje ci się inne, jeszcze przez jakiś czas będziesz miał bardzo emocjonalne podejście...

Faye próbowała ostudzić zapał Warda, takie postępowanie wydawało jej się słuszne. Tłumaczyła sobie, że zbyt mało go znała, że oboje poddawali się nastrojowi święta po zakończonej wojnie.

Ward znowu ujął jej rękę i ucałował koniuszki palców.

– Faye, to nie żaden impuls. Nigdy przedtem nic takiego nie czułem. Wiem to od dnia, kiedy spotkaliśmy się w Guadalcanal. Nie mogłem ci o tym powiedzieć, bo jedynej rzeczy, jakiej wtedy byłem pewien, to tego, że mogą mnie zabić. Ale przetrwałem, jestem w domu, a ty jesteś najbardziej niesamowitą kobietą, jaką kiedykolwiek poznałem.

– Jak możesz coś takiego mówić? – Faye wyglądała na rozstrojoną. Ward chciał ją przytulić, ale w restauracji, gdzie wszędzie czaili się spragnieni sensacji fotoreporterzy i dziennikarze, tego typu gesty były zbyt ryzykowne. Oznaczały wielkie plotkarskie nagłówki w najbliższych wydaniach gazet. – Nawet mnie nie znasz, widziałeś mnie śpiewającą dwie godziny w Guadalcanal, potem pół godziny rozmawialiśmy, odkąd wróciłeś, umówiliśmy się dwa razy. – Faye chciała Warda zniechęcić, zanim sprawy posuną się zbyt daleko. Nie była pewna, dlaczego tak postępowala, może po prostu przerażało ją tempo. Wszystko działo się zbyt szybko. Jednocześnie miała wrażenie, że już nigdy nie chciałaby się z nim rozstać. Pragnęła wziąć go za rękę, pójść na spacer po plaży i pomyśleć, że zawsze będą razem, do końca życia. Ale przecież tak się nie zdarza? A może jednak? Tak? Nie? Może? ... Może to ta jedyna i prawdziwa miłość, o której wszyscy marzą? – Jest za wcześnie, Ward – powiedziała w końcu.

– Za wcześnie na co? – Ward spojrzał na Faye. – Za wcześnie, żeby ci mówić, że cię kocham? Dobrze, być może za wcześnie, ale to fakt, zakochałem się w tobie lata temu.

– W takim razie to złudzenie.

– Nie, to nie żadne złudzenie. Jesteś dokładnie taka, jak myślałem: inteligentna, praktyczna. Jesteś skromna, ciepła, masz poczucie humoru i jesteś piękna. Nie przejmujesz się opiniami prasy na swój temat, lubisz to, co robisz. Jesteś najprzyzwoitszą kobietą, jaką kiedykolwiek spotkałem, na dodatek jesteś świetna w swoim zawodzie. Dzięki cechom, o których mówiłem wcześniej, potrafisz ciężko pracować... Jeśli w ciągu najbliższych pięciu minut nie uda mi się ciebie stąd wyciągnąć,

żeby cię pocałować, to oszaleję, więc nie protestuj i nic nie mów, bo pocałuję cię tutaj!

W oczach Warda było mnóstwo smutku, ale Faye nie mogła powstrzymać się od śmiechu.

– Ward, co będzie, jeśli za pół roku dojdiesz do wniosku, że mnie nienawidzisz?

– Dlaczego miałyby się tak stać?

– Mam wady, które w końcu dostrzeżesz. Ward, nie wiesz, kim jestem, a ja nie znam ciebie.

– W porządku, w takim razie musimy się poznać – rzekł Ward, pieszcząc palce Faye. – Pamiętaj, że będę tak długo za tobą chodził i nie dam za wygraną, dopóki nie powiesz „tak” – Ward wyglądał na zadowolonego z siebie, jednym haustem opróżnił kieliszek z szampanem. – Zgoda?

– Czy zrobiłoby jakąś różnicę, gdybym powiedziała, że nie?

– Absolutnie żadnej. – Uśmiechnął się triumfująco.

Faye uwielbiała ten nicponiowaty wdzięk Warda, szczególnie ujmujący, gdy się do niej uśmiechał, jak teraz. Trudno było oprzeć się jego urokowi, a Faye nie była nawet pewna, czy chciała się opierać. Miała kilka romansów, ale żaden z tamtych mężczyzn nie równał się z Wardem. Już dawno sobie obiecała, że przenigdy nie powieli hollywoodzkiego schematu życia gwiazdy filmowej. Nie chciała epatować publiczności kolejnymi związkami, zaręczynami i rozstaniem, szeroko komentowanymi przez prasę. Nie życzyła sobie tak spektakularnej popularności, która bardzo szybko mijała, pozostawiając zgorzknienie. Ward był w jej typie, ale nie mogła się angażować po trzech dniach znajomości!

– Jesteś niemożliwy – skwitowała Faye.

– Wiem – stwierdził Ward, promieniejąc samozadowoleniem, za chwilę spowaźniał, pochylił się do niej i zapytał rzeczowo:

– Może masz mi za złe, że nie pracuję?

– Nie, jeśli stać cię na to, żeby nic nie robić. Pytanie tylko, czy cię to nie nudzi?

Faye była bardzo ciekawa odpowiedzi Warda. Sama od lat ciężko pracowała i nie potrafiła sobie wyobrazić życia polegającego jedynie na graniu w tenisa i wychodzeniu na lunch z przyjaciółmi. Obawiała się, bo wszystko na to wskazywało, że Ward prowadził dokładnie taki tryb życia i zdawał się czuć bardzo szczęśliwy.

– Faye – wyprostował się i popatrzył jej w oczy – kocham swoje życie. Odkąd pamiętam, zawsze dobrze się bawiłem. Mój ojciec zmarł na atak serca, kiedy miał czterdzieści sześć lat, wtedy przyrzekłem sobie, że

nigdy nie będę żył tak jak on. Moja matka miała czterdzieści trzy lata i myślę, że zamartwiła się na śmierć. Moi rodzice nigdy nie robili tego, co chcieli. Nie zmarnowali ani minuty na rozrywki, cholera, oni nawet dla mnie nie mieli czasu. Przysiągłem sobie, że ja nie będę tak postępował z moimi dziećmi, z moim życiem. Nie mógłbym wydać wszystkich pieniędzy rodziców, nawet gdybym próbował. Mój dziadek żył dokładnie jak oni, umarł, gdy miał pięćdziesiąt sześć lat – z przepracowania. Więc co? Kogo to obchodzi, jak ciężko pracowałeś, kto o tym pamięta w chwili twojej śmierci? Dlatego postanowiłem cieszyć się życiem i tak właśnie robię. Nie dbam o to, co o mnie powiedzą, jak mnie będą nazywać. Nie mam zamiaru umierać w wieku czterdziestu pięciu lat, przedtem będąc obcym dla żony i dzieci. Ja chcę się nimi opiekować, znać je, i chcę, żeby one też mnie znały. Nie wiem, jaki był mój ojciec, nie miałem okazji go poznać. Też widzę dwa drogowskazy. Jeden wskazuje na drogę moich rodziców. Nigdy nią nie pójdę. Drogę, którą właśnie kroczę, pokazuje drugi i bardzo mi się ona podoba. Mam nadzieję, że nie potępisz mnie za to. – Ward wziął głęboki oddech.

– Oczywiście, jeżeli sobie życzysz, zawsze mogę znaleźć jakąś pracę.

Faye była zszokowana. Ward mówił poważnie, to jasne. Składanie takich deklaracji po trzech dniach znajomości uznała w duchu za pochopne. Zaczęła mówić dopiero po dłuższej chwili.

– Z mojego powodu nie musisz nic zmieniać w swoim życiu, Ward. Jakim prawem miałabym cię o to prosić? Nikomu nie wyrządzasz tym krzywdy. – Faye spojrzała na Warda i dodała łagodnie:

– Nie mogę uwierzyć, że wszystko, co powiedziałeś, jest prawdą.

Ward skinął głową, bez słowa. Patrzyli na siebie w milczeniu. Ward wziął Faye za rękę i poprowadził na parkiet. Kiedy wrócili do stolika, Ward poczuł, że już ani minuty dłużej nie zniesie tej ciszy, jaka między nimi zalegała. Pomyślał, że przytłoczył ją swoimi wynurzeniami na temat życia rodzinnego, więc zapytał:

– Dobrze się czujesz, Faye?

– Nie wiem – powiedziała szczerze, podnosząc na niego wzrok. – To naprawdę zrobiło na mnie wrażenie.

– Dobrze – rzekł, otaczając ją ramieniem. Podziwiał suknię, w którą była ubrana: jedwabną, morskiego koloru, z odsłoniętymi plecami. Faye miała dobry gust, co bardzo Warda cieszyło. Tęsknił za dniem, kiedy obsypie ją prezentami: sukniami, biżuterią, futrami.

Reszta wieczoru upłynęła na rozmowach już zupełnie błałych. Faye wmawiała sobie, że nic się nie stało, a Ward wydawał się jeszcze bardziej

szczęśliwy niż zwykle. Cieszyło go, że wyznał Faye, co do niej czuł. Gdy po kolacji odwiózł ją do domu, zaprosił ją na drinka. Przez chwilę żałowała swojej propozycji, natychmiast jednak pomyślała, że nic jej ze strony Warda nie groziło, znała jego myśli. Nagle uświadomiła sobie śmieszność swoich obaw. Do diabła. Ward przecież nie miał zamiaru jej zgwałcić!

– Jesteś cudowna, Faye, nawet piękniejsza, niż zapamiętałem – rzekł Ward, biorąc w dłonie kieliszek z koniakiem.

– Powinieneś pójść do okulisty.

Komplementy Warda czasami wprawiały ją w zakłopotanie. Uwielbienie miał wypisane na twarzy.

– Co jutro robisz? – zapytała Faye, bardziej z chęci przzerwania panującej ciszy niż ciekawości.

– Jedno wiem na pewno, nie idę do pracy – odrzekł Ward.

W pewien sposób sybarytyzm Warda był rozbijający i wprawiał Faye w dobry humor. Podczas kolacji Ward zupełnie szczerze powiedział jej, co myśli o pracowitym życiu. Co więcej, Faye nie mogła wyżyć się wrażenia, że był dumny z tego, że nic nie robił.

– Szkoda, że jutro pracujesz. Faye. Moglibyśmy spędzić miły dzień...

Faye natychmiast wyobraziła sobie konsekwencje takiego postępku. Teraz nie mogła nawet myśleć o dniach spędzonych na leniwych spacerach po plaży, robieniu kosztownych zakupów, urządzaniu wycieczek. Musiała przyznać, że ta propozycja była kusząca, ale teraz w żaden sposób nie mogła z niej skorzystać.

– Chciałbym cię zabrać do kasyna w zatoce Avalon, ale wtedy musielibyśmy przenocować na wyspie Cataliny, a ty pewnie nie będziesz miała wolnego weekendu – ciągnął Ward.

Faye pokręciła głową.

– Nie będę, aż do skończenia filmu.

Faye delektowała się aromatem koniaku, rozmyślając o tym, ile zabaw i rozrywek Ward miał w zanadru.

– Jest tyle miejsc, w które chciałbym cię zabrać: Paryż, Wenecja, Cannes. Wojna się skończyła, można jeździć, dokąd się chce.

Roześmiała się na te słowa. Odstawiła swój kieliszek, mówiąc:

– Naprawdę jesteś zepsuty, mój przyjacielu. Tymczasem ja muszę pracować. Nie mogę przerwać filmu w połowie i wyruszyć w podróż dookoła świata.

– Dlaczego nie?

– Nie wypuściliby mnie ze studia. Po tym filmie mój agent ma zamiar odnowić kontrakt i jestem pewna, że będę zajęta przez bardzo, bardzo długi czas.

– To znaczy, że po tym filmie twój kontrakt się kończy? – W oczach Warda zagościły ogniki niemalże dzieciennego entuzjazmu.

Faye skinęła głową, ubawiona jego reakcją.

– Hurra! Dlaczego nie miałabyś sobie zafundować rocznego urlopu?

– Zwariowałaś? Równie dobrze mogłabym pożegnać się z filmem na zawsze, Ward. Nie mogę tego zrobić!

– Dlaczego? Przecież jesteś jedną z najlepszych aktorek. Nie uważasz, że mogłabyś zastopować na rok, a potem zacząć od miejsca, w którym skończyłaś?

– Wątpię.

– Nie wierz w to, Faye. Możesz się wycofać i wrócić, kiedy będziesz chciała.

– To ryzykowne. Nie igrałabym w ten sposób z moją karierą.

Patrzył na Faye poważnie. Ich znajomość rozgrywała się w zawrotnym tempie, jakiego żadne nie oczekiwało.

– Stoisz na rozstaju dróg, Faye. Którą z nich tak naprawdę chcesz wybrać? Karierę czy małżeństwo, dzieci, stabilizację, rodzinę, prawdziwe życie?

Faye wstała z fotela, podeszła do okna i popatrzyła na ogród. Po chwili odwróciła się, miała łzy w oczach, była zdenerwowana.

– Przestań, Ward! Chcę, żebyś przestał.

– Nie wiem, o co ci chodzi – odpowiedział Ward, zdezorientowany. Nie chciał wyrządzić jej przykrości.

– Przestań torturować mnie tymi nonsensami. Prawie się nie znamy, jesteśmy sobie obcy. Łatwość, z jaką ulegasz emocjom, pozwala mi sądzić, że w przyszłym tygodniu może zachwycić cię ktoś zupełnie inny. Urabiałam sobie ręce po łokcie, żeby dojść do tego, co mam, i nie jestem gotowa, by teraz wszystko rzucić. Może nigdy tego nie zrobię. A już na pewno nie stanie się tak z powodu zwariowanego faceta, który myśli, że dwa lata temu się we mnie zakochał, ponieważ wtedy rozmawiałam z nim przez pół godziny. W ten sposób nie zmienię mojego życia, Ward. Nic mnie nie obchodzi, ile masz pieniędzy i jak bardzo jesteś beztroski. Ja pracuję od osiemnastego roku życia i nie mam ochoty teraz przestać. Osiągnęłam coś i nie rozstanę się z tym aż do czasu, kiedy uznam, że czuję się zupełnie bezpiecznie. Nie chcę więcej słuchać twoich głupot, Ward. – Łzy spływały Faye po policzkach. – Chcesz się ze mną widywać? Dobrze. Zabierz mnie na obiad, tańcz ze mną, baw mnie, ale nie proś o porzucenie kariery dla kogoś, kogo nie znam; nawet jeśli go lubię, nawet jeśli on mnie interesuje. – Faye odwróciła się do okna, łkanie wstrząsało całym jej ciałem.

Ward podniósł się z fotela, podszedł do niej, otoczył ramieniem, wargami delikatnie dotykał jej włosów.

– Ze mną zawsze będziesz bezpieczna, kochanie, zawsze... Obiecuję ci to. Rozumiem twój strach. Nie chciałem cię zdenerwować. Byłem podekscytowany, przepraszam.

Wolno odwrócił ją do siebie. Serce mu się krajało na widok łez, dotknął ustami jej ust. Faye, zamiast go odepchnąć, przysuwała się coraz bliżej, spragniona czułości, którą jej ofiarował. Nigdy wcześniej tak bardzo nie potrzebowała pocieszenia.

Wydawało się, że ich pocałunek trwał godziny. Dłonie Warda wędrowały po jej plecach, usta szukały jej ust. Faye zaplotła ręce na jego karku. Czowała, jak odpływa fala strachu i złości. Kochała go do szaleństwa, sama nie wiedząc dlaczego. Może uwierzyła w jego deklaracje o poczuciu bezpieczeństwa, którego nigdy nie zaznała ani w domu rodziców, ani w żadnym dotychczasowym związku. Nie chodziło tylko o pieniądze. Faye była zauroczona osobowością Warda; tym, że żyje w ulubiony przez siebie sposób, że w pełni siebie akceptuje, że ją uwielbia. Pocałunek został przerwany w momencie, gdy zaczęli pragnąć czegoś więcej. Nie byli na to gotowi. Faye czuła podniecenie i strach, zdawała sobie sprawę, że żałowałyby swego zachowania. Ward pomyślał, że jeszcze moment, a zupełnie straciłby kontrolę nad sobą. Chciał kochać się z Faye na podłodze koło kominika, w białej sypialni, na schodach, w wannie, gdziekolwiek. Jego ciało płonęło z pożądania, ale wiedział, że na spełnienie musi poczekać.

Kiedy spotkali się następnego wieczora, spędzili godzinę, całując się w samochodzie przed bramą domu Faye. Potem pojechali na przyjęcie do Biltmore Bowl. Na ich widok fotoreporterzy zwijali się jak w ukropie. Faye tym razem pogodziła się z nieuniknionym zainteresowaniem prasy. Nie miała pojęcia, dokąd zaprowadzi ją ten związek, ale postanowiła dać mu szansę. Wyglądała przepięknie w sięgającym do kostek futrze z lisa i czarno-białej, satynowej sukni. Ward prowadził Faye pod rękę, towarzyszył im trzask aparatów fotograficznych. Według umowy, Ward wcześniej odwiózł Faye do domu. Późne powroty zaczynały się bardzo niekorzystnie odbijać na kondycji Faye. W tej sytuacji szczęściem były wielogodzinne spóźnienia Vance'a Saint George'a. Faye mogła uciąć sobie drzemkę.

– Dobrze się bawiłaś? – zapytał Ward, spoglądając na Faye opierającą głowę na jego ramieniu. – Uważam, że było całkiem miło.

Przyjęcie urządzono z okazji promocji nowego filmu, więc pojawiły się na nim wszystkie znaczące osobistości.

– Owszem, dość. – Faye zaczynała lubić nocne wyprawy z Wardem.

– Jeśli nie kręciłabyś tego cholernego filmu, moglibyśmy się naprawdę zabawić – rzekł Ward, odgarniając lok z czoła Faye. – Podtrzymuję to, co powiedziałem tamtej nocy. Proszę, nie przedłużaj kontraktu.

– Ward, uspokój się, jestem pracującą dziewczyną. – Faye próbowała patrzeć na niego z dezaprobatą, ale nie mogła powstrzymać się od śmiechu.

– To twoja decyzja, lecz pamiętaj, że zawsze możesz wybrać coś innego – powiedział Ward, spoglądając znacząco na Faye. Dojechali do domu, pocałowali namiętnie na pożegnanie i tym razem Ward musiał stoczyć walkę ze sobą, żeby nie wziąć Faye na ręce i nie zanieść do sypialni.

– Pójdę już – w głosie Warda pobrzmiwała desperacja. W ten sposób żegnali się jeszcze przez kilka następnych tygodni, aż do pewnej październikowej soboty. Faye nie musiała być na planie, a Arthur i Elizabeth mieli wolny weekend. Po południu przyszedł Ward. Wyszli do ogrodu. Spacerując, rozmawiali o wojnie, o dzieciństwie Faye w Pensylwanii, o tym, jak bardzo chciała opuścić tamto miejsce, o Nowym Jorku, o monotonii życia modelki. W chwili szczerości Faye wyznała Wardowi, że kręcenie filmów także niekiedy bywa bardzo nudne.

– Czasem myślę, że mogłabym robić coś innego. Chciałabym korzystać bardziej z umysłu niż twarzy i figury.

Ward był zainteresowany pomysłem Faye.

– Co chciałabyś robić, Faye? Pisać? Może scenariusze? – zagadnął Ward, szeroko uśmiechając się na widok przerażenia w oczach Faye.

Pokręciła głową.

– Nie potrafiłabym.

– Więc co?

– Chciałabym reżyserować – wyrzuciła z siebie.

To było bardzo ambitne marzenie. Ward jeszcze nie słyszał o żadnej kobiecie reżyserze.

– Myślisz, że MGM by na to poszło?

– Wątpię, ale wiem, że dałabym sobie radę. Gdy patrzę na Saint George'a, mam ochotę krzyczeć. Wiem dokładnie, co powinien zrobić. Wiem, jakie dać mu instrukcje, Vance jest ograniczony, musi mieć wszystko dokładnie wyłożone. Trzeba nim nieustannie kierować, żeby osiągnąć skutek, ale uwierz mi – Faye spojrzała na Warda – takich jak on jest niewielu.

Ward zerwał czerwony kwiatek, założył go Faye za ucho i uśmiechając się, zapytał:

– Czy mówiłem ci ostatnio, że jesteś niesamowita?

– Nie mówiłeś mi tego od co najmniej godziny. – Faye uśmiechnęła się łagodnie. – Psujesz mnie. Nikt nie był dla mnie lepszy, niż ty jesteś.

Ward nie mógł się powstrzymać od pokusy i pół żartem, pół serio spytał:

– Nawet Gable?

– Przestań! – Faye wykrzywiła się do Warda i zaczęła uciekać.

Dogonił ją, a potem długo całował w altance. Brakowało mu tchu. Czuł, że ogarnia go pożądanie, że trudno oderwać od niej usta, rękę...

– Oszaleję – jęknął, gdy szli z powrotem do domu.

Faye skinęła głową. Jej także nie było łatwo panować nad sobą, ale nie chciała postępować nierozważnie. Ward od początku uczciwie powiedział, o co mu chodzi. Uleganie pożądaniu i namiętnościom mogło w tej sytuacji wiele skomplikować. Ward chciał od niej wszystkiego, jej kariery, ciała, dzieci, życia. Chciał, aby dla niego wszystko poświęciła... i czasami ta perspektywa wydawała jej się całkiem kusząca. Ostatnio nawet wspomniała agentowi, aby nie spieszył się z podpisywaniem kontraktu. Ale wziął to życzenie za objaw szaleństwa i Faye musiała mu wytłumaczyć, że chce się zastanowić nad swymi dalszymi zamierzeniami. Ale jak tu myśleć, kiedy Ward znajdował się w pobliżu?

– Ja też przy tobie wariuję, wiesz o tym – szepnęła Faye, gdy wchodzili po marmurowych schodach na górę. Herbatę postanowili wypić w saloniku, o wiele mniejszym, cieplejszym i przytulniejszym niż gabinet. Ward rozpalili ogień w kominku, a potem usiedli obok siebie, wpatrując się w płomień.

– Dostałam propozycję zagrania w świetnym filmie – powiedziała Faye bez entuzjazmu. Taki sam brak entuzjazmu wykazała w rozmowie z Abe'em, czym doprowadziła swego agenta do ataku furii.

– Jaka obsada?

– Jeszcze nie ustalono, ale mają kilka znakomitych możliwości.

– Chcesz przyjąć tę propozycję? – ton Warda niczego nie sugerował, nie było w nim irytacji, ale Faye długo zastanawiała się nad odpowiedzią.

– Po prostu nie wiem – popatrzyła na Warda, czuła błogie zadowolenie.

– Potwornie mnie rozleniwiasz, Ward.

– Co w tym złego?

Pochylił głowę, ustami delikatnie muskał jej szyję, a ręką leniwie głaskał pierś. Faye miała zamiar zaprotestować, ale pieścizota była zbyt

przyjemna. Nie chciała go odpychać, nie chciała tego robić od dnia, gdy go poznała, chociaż byłoby mądrzej, mądrzej... Czemu nie potrafiła zebrać myśli? Potrafiła tylko czuć. Palce Warda wędrowały po jej ciele, kolanach, podnosiły spódnicę, napotkały uda... Drżała. Ward nagle odsunął się od niej, schował twarz w dłoniach, dyszał ciężko.

– Faye, nie mogę, muszę wyjść...

Miał łzy w oczach, podszedł do niej, pocałował ją jeszcze raz i wtedy zdecydowała się ich wspólna przyszłość. Sposób, w jaki Faye odwzajemniła pocałunek, podpowiedział mu, że powinien zostać. Faye wstała i bez słowa poprowadziła Warda do białej sypialni. Położyli się na narzucie z białych lisów. Ward rozbierał Faye, szepcząc, jak bardzo jest piękna, ona odpowiadała tym samym. Nadzy, owinęli się białym futrem lisa, jego ręce objęły ją mocno, wargi zapłonęły na jej ustach. Po chwili przyjęła go w siebie, z jej ust wyrwał się okrzyk długo powstrzymywanego pragnienia. Przeszywały ją gorące fale rozkoszy. Ward nie marzył nigdy o czymś więcej, niż ofiarowała mu Faye. Oddali się sobie bez reszty. Kochali się z gwałtowną, pierwotną namiętnością, a potem leżeli zmęczeni, cudownie spełnieni, spokojni.

Ward podniósł głowę, patrzył na Faye zamglonym wzrokiem.

– Faye, kocham cię ponad życie.

– Nie mów tak.

Jego namiętność była chwilami przerażająca, nie pozwalała myśleć, że pewnego dnia wszystko może się skończyć. Co wtedy będzie? Faye nie zniosłaby tego, wiedziała o tym już teraz.

– Dlaczego mam nie mówić? Przecież to prawda.

– Ja też cię kocham.

Objął ją i pocałował, odwzajemniła pocałunek i poczuła znowu jego twardniejącą męskość. Kochali się długo, delikatnie, czule, nie mogąc sobą nasycić, jakby chcieli odkupić wszystkie lata, które spędzili bez siebie.

– Co teraz zrobimy, kochanie? – zapytał Ward.

Była północ. Faye usiadła na brzegu łóżka, przyglądała się swemu kochankowi z miłością. Po chwili wstała, przeciągnęła się leniwie.

– Może byśmy się wykąпали? – zaproponowała. Nagle jej twarz przybrała tragiczny wyraz. – O Boże, zapomniałam o obiedzie.

– Nie, nie zapomniałaś – przyciągnął ją do siebie. – To była wspianiała uczta.

Faye zaczerwieniła się lekko. Poszli do łazienki, napełnili wannę wodą, zanurzyli się w niej oboje. Ward gładził stopą nogę Faye.

– Przed chwilą o coś pytałem – przypomniał.

Faye zmarszczyła czoło.

– O co?

– Pytałem: „co teraz”?

Faye uśmiechnęła się tajemniczo.

– Odpowiedziałam: „kąpiel...”

– Pięknie, ale doskonale wiesz, co miałem na myśli. Faye, ja nie chcę mieć z tobą romansu. – Ward patrzył na Faye odrobinę zakłopotany, mając w pamięci cudowne godziny spędzone w sypialni. – Romans choćby nie wiem jak gorący, nie jest kwintesencją moich marzeń.

Faye milczała, czuła, jak serce bije jej coraz szybciej i szybciej.

– Czy wyjdzie pani za mnie, panno Price?

– Nie.

Faye gwałtownie podniosła się i wyszła z wanny. Ward patrzył zupełnie zszokowany.

– Dokąd idziesz?

Faye odwróciła się. Była zachwycająco piękna, stojąc nago na tle białych marmurów sypialni.

– Przecież nie powiem dzieciom, że ich ojciec oświadczył się w wannie. Jak mogłabym powiedzieć im coś takiego?

Roześmiał się z ulgą, oczekiwał nie takiej odpowiedzi.

– Nie ma problemu.

Ward dogonił Faye w sypialni, przewrócił na białą narzutę, a sam padł jej do stóp, mówiąc:

– Czy wyjdiesz za mnie, najdroższa?

Faye uśmiechnęła się do niego szczęśliwa, a zarazem niepewna swej decyzji, ale Ward mógł dać jej wszystko, za czym tęskniła, małżeństwo, dzieci... jego dzieci. Z nim miała wystarczająco dużo odwagi, aby przenieść swój świat do góry nogami.

– Tak – wyszeptwała Faye. Ward natychmiast zamknął jej usta pocałunkiem i w ten sposób nie mogła już zmienić zdania.

– Naprawdę? Naprawdę wyjdiesz za mnie? – musiał być pewny, zanim rzuci jej świat pod nogi.

– Tak, tak, tak...

– Kocham cię, o Boże, jak ja cię kocham...

Przytulał ją i całował, potargane włosy spadały mu na czoło. Nagle jego twarz przybrała surowy wyraz, ale oczy się śmiały.

– Ostrzegam, że jeśli powiesz naszym dzieciom, w co byłem ubrany, gdy ci się oświadczałem, to napytasz sobie biedy Nie ryzykuj, pani Thayer.

– No cóż, kochanie, zastanowię się nad tym. Ward przysiadł na łóżku. Po chwili leżał obok Faye. Upłynęły godziny, nim znowu znaleźli się w łazience. Faye postanowiła w ogóle nie kłaść się tej nocy. Siedzieli w kąpieli, rozmawiając o planach na życie, śmiejąc się z zamieszania, jakie wywołają,

obwieszczając swój ślub i zarazem zakończenie kariery Faye. Mówiąc o tym, Faye miała wrażenie, że dobrze przemyślała swoją decyzję. W końcu osiągnęła już naprawdę dużo, zdobyła Oscara, krytyka była jej przychylna, nakręciła dwanaście interesujących filmów. W takim momencie można odejść. Może nawet trzeba? Wyciągnęła się w wodzie, uśmiechając do swego przyszłego męża, pierwszy raz w życiu czuła się bezpieczna. Wiedziała, że dokonała dobrego wyboru.

– Nie będziesz żałowała?

– Nawet przez minutę. – Faye głęboko w to wierzyła.

Ward patrzył na nią trochę niepewny, ale szczęśliwszy niż kiedykolwiek wcześniej. Jeszcze tego samego dnia chciał rozpocząć poszukiwanie nowego domu, ale Faye ostudziła jego zapał, przypominając mu, że praca nad filmem jeszcze potrwa.

– Jak sądzisz, kiedy skończycie film?

– Myślę, że około pierwszego grudnia, pod warunkiem, że Vance Saint George czegoś nie skomplikuje.

– W takim razie weźmiemy ślub piętnastego grudnia. Gdzie pojedziemy w podróż poślubną? Meksyk? Hawaje? Europa? Wybieraj! – Ward nie przestawał się uśmiechać, głośno planując najbliższą przyszłość.

– Miałam wielkie szczęście, że cię znalazłam – powiedziała Faye refleksyjnie, przyglądając się Wardowi.

Pocałowali się i z ociąganiem wyszli z wanny. Faye zeszła do kuchni, aby przygotować kawę. Gdy niedługo potem jechali do wytwórni, mieli ochotę krzyczeć ze szczęścia.

Nadchodzące dwa miesiące zapowiadały się na bardzo pracowite, tyle mieli do zrobienia i tyle jeszcze czekało ich w przyszłości.

Beverly Hills 1946–1952

Rozdział piąty

Ślub Faye i Warda odbył się w Hollywoodzkim Kościele Prezbiteriańskim, przy North Gower, w pobliżu Bulwaru Hollywoodzkiego. Tego dnia Faye wyglądała olśniewająco, ubrana w satynową suknię koloru kości słoniowej, przybraną ornamentami z maleńkich perełek. Luźno spływające na ramiona złote włosy zdobiła korona także koloru

kości słoniowej, wysadzana takimi samymi perełkami, welon ścielił się na kilka metrów. Szyję okalał naszyjnik z diamentów, ślubny prezent od Warda, dawniej ulubiony klejnot jego babki.

Agent Abe poprowadził Faye przez kościół do miejsca, gdzie stał Ward, a stamtąd młoda para, nieustannie się uśmiechając, podeszła do ołtarza.

Po ceremonii wyszli przed kościół, wysłuchali setek życzeń wszelkiej pomyślności, składanych przez wzruszone kobiety, rozgorączkowane nastolatki – wielbicielki Faye. Na głowy Faye i Warda spadły tysiące płatków róż, posypał się ryż. Wreszcie nowożeńcy zniknęli we wnętrzu nowego, kupionego kilka tygodni wcześniej dusenberga i pomknęli w kierunku Baltimore Bowl, gdzie oczekiwało ich czterystu zaproszonych gości.

To był najszczęśliwszy dzień w życiu Faye. Nazajutrz gazety opublikowały całe kolumny zdjęć ze ślubu, ale największa sensacja związana z zamążpójściem Faye wydarzyła się dopiero w trzy tygodnie później. Po powrocie z Acapulco, z podróży poślubnej, Faye oświadczyła publicznie, że kończy karierę zawodową. Gazety nadały tej wiadomości ton sensacji, albowiem wcześniej w ogóle o tym nie mówiono. Dość wspomnieć, że nawet Abe był kompletnie zaskoczony i zszokowany decyzją Faye.

Doniesienia podkreślały, że aktorka postanowiła zrezygnować nie ze względu na fortunę męża, ale ponieważ czuła, że dokonała już wystarczająco dużo w swym zawodzie, a teraz pragnęła skoncentrować się tylko na życiu rodzinnym. Ward był w widoczny sposób uszczęśliwiony postanowieniem żony. Nareszcie spełniło się jego marzenie, aby mieć Faye tylko dla siebie. Mogli wylegiwać się w łóżku, jak długo chcieli. Kochać się, kiedy przyszła im na to ochota, tańczyć całe noce... Byli wolni i szczęśliwi. Aby dać wyraz swej radości, Ward zabrał Faye na zakupy i obdarował ją tak hojnie, że szafy Faye zawierały tuziny kreacji i wszystkie możliwe futra świata. Sejf na biżuterię szybko okazał się za mały. Ward często znikał na godzinkę lub dwie, aby powrócić z kolejnymi klejnotami. Faye miała wrażenie, że jej życie zamieniło się w nieustanne Boże Narodzenie. Uwielbiała dostawać od Warda coraz to nowe podarunki, ale czasami, gdy przymierzała nowe futro, za jedyne strój mając sznur pereł, upominała go:

– Ward, to szaleństwo. Skończ z tym!

– Dlaczego? – pytał Ward z nieodłączną lampką szampana w ręce, przyglądając jej się w zachwycie.

Zdawało się, że wypijał codziennie litry szampana, ale nigdy nie robił wrażenia pijanego, więc Faye się tym nie przejmowała.

– Ward, to wszystko jest niepotrzebne. Kochałabym cię tak samo, nawet gdyby pewnego dnia przyszło nam otulać się gazetami, żeby nie umrzeć z zimna.

– Cóż za obrzydliwy pomysł – skrzywił się Ward, patrząc przez okno na strzeliste limby. – Chociaż muszę przyznać, że wyglądałabyś bajecznie, ubrana tylko w stronę z doniesieniami sportowymi i nic poza tym – dodał.

– Głuptas – Faye podbiegła, aby go ucałować. Ward odstawił kieliszek z szampanem, posadził sobie Faye na kolanach. – Ward, czy ciebie rzeczywiście na to wszystko stać? Nie powinniśmy tyle wydawać, kiedy żadne z nas nie pracuje.

Faye niekiedy miała poczucie winy z powodu nieustannego świętowania. Powiedziała prasie, że „dokonała wystarczająco dużo w swoim zawodzie”, ale rozrzutność Warda czasami ją przerażała i stawiała pod znakiem zapytania słuszność decyzji o rozstaniu się z filmem. W ciągu trzech miesięcy wydał fortunę tylko na prezenty dla Faye.

– Kochanie, możemy wydawać dziesięć razy tyle – zapewnił.

Nie było to zupełnie zgodne z tym, co twierdzili finansowi doradcy Thayerów. Ward nie liczył się z ich zdaniem, uważając, że są bez fantazji. Nie wiedzą, co to klasa i gest. Napomnienia, aby zachował więcej rozsądku w postępowaniu z pieniędzmi, irytowały go. Wiedział, że odziedziczył wielką fortunę i mógł pozwolić sobie na szaleństwa, przynajmniej do czasu, kiedy zdecydują się prowadzić bardziej unormowane życie. Mając dwadzieścia osiem lat, Ward nie miał zamiaru jeszcze tego robić, zbyt dobrze się bawił. Był przekonany, że w tym momencie jego życie z Faye u boku osiągnęło stan absolutnej doskonałości. Nie widział potrzeby, żeby cokolwiek zmieniać.

– Gdzie dzisiaj zjemy obiad? – zapytał Ward.

– Może znowu w Grove, jeśli nie jesteś znudzony tym miejscem – zaproponowała. Lubiła staroświecki sentymentalizm tej restauracji w cieniu palm.

Ward roześmiał się w odpowiedzi, zawołał służącego i polecił zarezerwować stół. W ich rezydencji zatrudniona była cała armia ludzi. Ward nie lubił domu swego dzieciństwa, kupił więc wielką, piękną willę należącą niegdyś do jednej ze sławnych aktorek. Ogrody willi były tak ogromne, że właściwie można było nazywać je parkiem. Pośrodku znajdował się staw z łabędziami i fontannami. Pomędzy zielenią wytyczono alejki. Całość przypominała posiadłość na południu Francji. Nową siedzibę wyposażono w antyki przewiezione z domu Faye. Sprzedano go tego samego dnia, kiedy ukazało się ogłoszenie. Z domu rodziców Warda zabrali tylko te

przedmioty, które obojgu przypadły do gustu. Resztę wyposażenia swej siedziby kupili razem na aukcjach i w sklepach z antykami w Beverly Hills. W ten sposób ich wspólny dom był prawie zupełnie urządzony, a Ward coraz częściej mówił o wystawieniu na sprzedaż domu rodziców. Nie było sensu dłużej go utrzymywać. Kiedyś, zasugerowany radami prawników, myślał, że wprowadzi się do niego, gdy się ożeni. Jednak animozja była silniejsza. Cóż z tego, że był to odpowiedni dom dla dużej rodziny. Ward wiedział, że nie dla jego rodziny.

Teraz więc prawnicy zaczęli nalegać, aby jak najszybciej pozbyć się go i zainwestować pieniądze w jakiś dochodowy interes. Ward przyznawał im rację, ale nie podchodził do sprawy ani zbyt energicznie, ani zbyt rzeczowo.

Tamtego popołudnia Faye i Ward spacerowali po ogrodzie, odpoczywali przy stawie, rozmawiali i całowali się. Wzajemna, ogromna fascynacja trwała, nigdy nie robili wrażenia zmęczonych sobą. Arthur przyniósł im na tacy dwa kieliszki z szampanem. Faye była wdzięczna Wardowi, że zatrudnił kamerdynera i jego żonę, oni także wydawali się szczęśliwi w nowym miejscu.

Arthur zwykł aprobować zachowanie Warda, ale czasami nie mógł oprzeć się wrażeniu, że pan zachowuje się jak mały chłopiec. Jak inaczej wytłumaczyć zakup powoziku i czwórki koni, aby Faye mogła urządzać sobie przejażdżki po ogrodzie. W garażach stało sześć samochodów z karoseriami wypolerowanymi do połysku przez dwóch zatrudnionych na stałe szoferów. Faye czasami czuła się winna z powodu zbytku, jakim była otoczona. Nigdy wcześniej czegoś podobnego nie widziała i nawet przez myśl jej nie przemknęło, że można prowadzić podobnie wystawne życie. Kiedy mówiła o tym Wardowi, ten obracał wszystko w żart tak zgrabnie, że Faye przestała dopatrywać się niestosowności w swym życiu, wpływającym szybko i przyjemnie.

– Nie pijesz szampana? – Ward uśmiechnął się do żony. Wydawała mu się jeszcze piękniejsza niż zwykle, nawet gdy była u szczytu kariery. Od ślubu przybyło jej kilka kilogramów, zaróżowiły się policzki, a oczy nabrały blasku. Ward uwielbiał całować Faye w ogrodzie, w sypialni... Uwielbiał ją całować wszędzie, o każdej porze. Po prostu uwielbiał swą żonę, ona także kochała go do szaleństwa.

– Nie, wołałabym napić się lemoniady.

– Paskudztwo – skwitował Ward, robiąc przy tym grymas obrzydzenia.

Wstali i trzymając się za ręce, poszli do domu. Kochali się długo, a wieczorem, po kąpieli, wyszli do restauracji. Faye wiedziała, że ten beztroski,

idylliczny czas prędzej czy później dobiegnie końca. Kiedyś przyjdą na świat ich dzieci, a to zobowiązuje, wtedy trzeba będzie wydorosnąć. Na razie oboje mieli wrażenie, że wciąż przeżywają miesiąc miodowy.

Tego wieczoru w Grove Ward ofiarował jej kolejny klejnot, pierścionek z trzema szmaragdami w kształcie gruszek. Na jego widok Faye tylko jęknęła:

– Ward, o Boże...

Ward uwielbiał wprawiać Faye w zdumienie, kochał, gdy zachwycała się prezentami od niego.

– Dzisiaj jest nasza trzecia rocznica, głuptasku.

Przez trzy miesiące małżeństwa panowała między nimi idealna harmonia, przeżywali najbardziej radosne chwile życia. Ward wsunął jej pierścionek na palec i poprosił do tańca. Tańczyli do chwili, gdy Ward zauważył, że jego żona wygląda na zmęczoną. Pomyślał, że przecież już od miesięcy zarywają noce i Faye może być tym znużona.

– Dobrze się czujesz? – zapytał.

– Świetnie – odpowiedziała Faye, ziewając. Było dopiero około jedenastej, zwykle o tej porze bywała w znakomitej formie. Dzisiaj ziewała, a na dodatek przez cały wieczór nic nie jadła ani nie piła.

– Domyślam się, o co chodzi. Miodowy miesiąc się skończył – Ward udawał zdruzgotanego – znudziłaś się mną!

– Nie... ojej, jakie to straszne, przepraszam, to znaczy...

– Rozumiem, nic nie musisz wyjaśniać – Ward dalej ciągnął swoją grę.

Przez całą drogę do domu stroił sobie żarty z samopoczucia Faye. Po powrocie poszedł do łazienki umyć zęby, a gdy wszedł do sypialni, znalazł żonę śpiącą kamiennym snem. Nie udało mu się jej obudzić, choć nie tak łatwo zrezygnował. Nazajutrz, natychmiast po zjedzeniu śniadania, Faye dostała ataku nudności. Ward wpadł w panikę. Pierwszy raz widział ją w takim stanie i nalegał, aby zawiadomić lekarza.

– Na litość boską, Ward, nic mi nie jest. To pewnie tylko mała niedyspozycja. Czy z tak błahego powodu zamierzasz wzywać lekarza? Nie jestem chora – protestowała.

– Nie jesteś chora? Może jeszcze powiesz, że czujesz się świetnie? Spójrz na siebie, jesteś okropnie blada! Wracaj do łóżka i leż, dopóki nie przyjdzie lekarz – zdecydował Ward.

Pan doktor zbadał Faye, ale nie stwierdził żadnej choroby, oświadczył natomiast, że w listopadzie państwo Thayerowie zostaną rodzicami.

– Dziecko? Będziemy mieli dziecko! Nasze dziecko!

Ward zareagował w typowy dla siebie sposób, zaraz po wyjściu lekarza zaczął skakać i tańczyć po pokoju. Co chwilę pytał Faye, jaki chciałaby dostać prezent, co mógłby zrobić, aby poczuła się lepiej. Następnego ranka o macierzyństwie Faye poinformowały gazety. Wielkie nagłówki głosiły: „Była królowa srebrnego ekranu oczekuje pierwszego dziecka”. Wiadomość przedostała się do prasy za sprawą Warda, który nie potrafił i nie chciał zachować dyskrecji. O swoim szczęściu mówił każdemu napotkanemu znajomemu, każdemu, kto tylko chciał go słuchać; z radości odwiedził okoliczne, ekskluzywne magazyny, zasypując żonę istnym gradem prezentów. Faye oponowała, żartobliwie skarżąc się, że nie ma już miejsca na składanie niezliczonej liczby nowych broszek, naszyjników i innych klejnotów. W odpowiedzi Ward zaproponował wybudowanie małej chatki, specjalnie aby przechowywać w niej biżuterię Faye, z taką samą fantazją zabrał się do gromadzenia wyprawki dla dziecka. Oprócz wszystkich mniej lub bardziej fikuśnych fatałaszków w rodzaju miniaturowego futerka z norek, zakupiona została także cała armia pluszowych misiów, a pewnego dnia do ogrodu przyjechała ekipa robotników, którzy zmontowali karuzelę. Pierwsza honorowa runda na koniku należała do Faye. Odbyła się pod czujnym okiem Warda.

Przyszła mama, po pierwszych trudnych tygodniach, cieszyła się znakomitym samopoczuciem. Narzekała jedynie, że jest ogromna jak balon i tylko patrzeć, jak wzniesie się w powietrze. Ward przyjął ten komentarz z oburzeniem. Sam uważał, że mimo zaokrąglonej sylwetki Faye była nadal zjawiskowo piękna. Nie mógł doczekać się rozwiązania. Na miesiąc przed narodzinami dziecka zarezerwowano miejsce w najlepszym szpitalu, a poród miał przyjmować najlepszy specjalista.

– Wszystko co najlepsze dla mojej ukochanej i mojego dziecka – miał Ward, wznosząc toast szampanem, zachęcając żonę, aby ona także nieco wypła.

Faye jednak zupełnie straciła chęć na alkohol. Były dni, gdy pragnęła, żeby Ward przestał znajdować upodobanie w zwyczaju popijania szampana od rana do wieczora. Nie lubiła się skarżyć, a przy tym Ward był dla niej bardzo serdeczny, więc nie protestowała, gdy mąż zamówił skrzynkę ich ulubionego szampana i kazał przesłać dla niej wprost do szpitala.

– Niech czeka w pogotowiu, aż nadejdzie odpowiedni moment. Mam nadzieję, że będzie schłodzony – Ward wyraził swoje życzenia.

– Podejrzewam, kochanie, że mogą tam mieć większe zmartwienia niż twój szampan – powiedziała z uśmiechem Faye.

Personel szpitala, w którym miała się znaleźć Faye, był przyzwyczajony do nietypowych życzeń. Rodziły w nim wszystkie wielkie gwiazdy i na ogół miały raczej niecodzienne wymagania.

– Nie mogę sobie wyobrazić, że można myśleć o czymkolwiek innym niż szampan dla mojej najdroższej. Cóż może być ważniejszego? – zastanawiał się Ward.

– Myślę, że są ważniejsze rzeczy...

Z oczu Faye Ward mógł bez trudu wyczytać, co sugerowała. Był dokładnie tego samego zdania. Objął ją i pocałował namiętnie. Zgodnie z zaleceniem lekarza, aż do narodzin dziecka nie mogli się kochać. Faye brakowało fizycznej miłości. Wydawało jej się, że kochali się wieki temu. W każdą noc Ward dotykał jej okrągłego brzucha i szeptał:

– Tak trudno mi to znieść, prawie tak trudno jak przed naszym pierwszym razem.

Przewidywany termin porodu przypadał za trzy dni, ale lekarz, podając datę, uświadomił im, że pierworodni czasami nie spieszą się na ten świat, więc nie trzeba się jego kalkulacjami przesadnie sugerować.

– Przepraszam – powiedziała Faye, mrużąc oczy. Od kilku dni nieustannie czuła się zmęczona. Najmniejszy wysiłek sprawiał jej kłopot. Czuła się ociężała i wyczerpana. Nawet sprowadzony poprzedniego popołudnia kucyk nie wyciągnął jej z łóżka.

– Nie mogę się ruszyć. Po prostu nie mam siły – odpowiedziała na zachęty Warda, aby zeszła i zobaczyła konika.

Tego popołudnia nie miała ochoty na obiad. Położyła się do łóżka już o czwartej.

– Może napijesz się szampana? Pomogłoby ci to zasnąć – zaproponował Ward późnym wieczorem. Odmówiła, kręcąc głową. Bolały ją plecy, od kilku godzin było jej niedobrze, miała wrażenie, że zapada na grypę.

– Nie sądzę, żeby istniało coś, co pomogłoby mi teraz zasnąć.

Po chwili dodała, że jednak istnieje, ale na razie to zakazany owoc.

– Myślę, że będziesz znowu w ciąży, jeszcze zanim wyjdiesz ze szpitala. Nie zdołam trzymać rąk przy sobie dłużej niż godzinę po porodzie.

Faye uśmiechnęła się na myśl o takim przebiegu wypadków.

– Oto przynajmniej jedna rzecz, na którą czekam z niecierpliwością.

Ward delikatnie pocałował żonę i poszedł zgasić światło. Na powrót położył się do łóżka i wtedy usłyszał jęk. Spojrzał na Faye i zobaczył, że ma twarz wykrzywioną bólem. Po sekundzie jej rysy się wygładziły. Patrzyli na siebie zdumieni.

– Co to było? – zapytał Ward.

– Nie jestem pewna – odpowiedziała Faye.

Przeczytała, co prawda, kilka książek, ale mimo to trudno jej było stwierdzić, co właściwie powinna uznać za początek porodu. Osoby, z którymi rozmawiała, przestrzegały ją przed mylącymi symptomami, więc czuła się dezorientowana. Nie wiedziała, czy to już. Ward uznał, że może lepiej będzie, jeżeli zostawi zapalone światło. Kiedy jednak przez następne dwadzieścia minut nic się nie zdarzyło, postanowił je wyłączyć. Pokój zaległ ciemności i Faye po raz drugi jęknęła. Tym razem ból był silniejszy, czoło Faye zrosiło się potem.

– Dzwonię po lekarza – zdecydował szybko Ward. Serce łomotało mu w piersiach, dłonie nagle zrobiły się zupełnie suche.

– Uspokój się, nic mi nie jest. Nie możemy niepokoić tego biednego człowieka w każdą noc na miesiąc wcześniej, zaraz mi przejdzie – tłumaczyła Faye.

– Ale przecież termin porodu masz za trzy dni.

– To prawda, ale sam doktor powiedział, że może być później. Odprężmy się i poczekajmy do rana.

– Czy mam zostawić zapalone światła?

Pokręciła głową w odpowiedzi. Ward wśliznął się do łóżka najdelikatniej jak potrafił, jakby bojąc się, że wszelkie gwałtowne ruchy i wstrząsy mogłyby spowodować eksplozję brzucha Faye. Rozczuliła się delikatnością męża, patrzyła na niego z rozrzwinięciem, gdy poczuła nową falę bólu, tak gwałtownego, że zacisnęła zęby i usiadła na łóżku.

– Ward...

Ward leżał koło niej jak sparaliżowany. Na dźwięk głosu żony, wystraszonego i bezbronnego, instynktownie wziął ją w ramiona.

– Zadzwońmy po lekarza, kochanie... – perswadował Ward.

– Nie chciałabym mu przeszkadzać o tej porze.

– To jego praca – stwierdził Ward, ale Faye nalegała, żeby zaczekać do rana.

Około siódmej nie było argumentów, które mogłyby przekonać Warda. Tym razem musiało się zacząć, mniejsza o to, co mówili znajomi o mylących symptomach. Bóle pojawiały się regularnie co pięć minut, a Faye za każdym razem z trudem powstrzymywała się od krzyku. Doktor, słysząc relację, uspokoił go, że to dopiero pierwsza faza porodu i wszystko jeszcze prawdopodobnie potrwa. Na koniec poprosił o przywiezienie Faye do szpitala.

– Czy mógłby pan dać mojej żonie jakiś środek znieczulający? – zapytał Ward, wstrząśnięty widokiem Faye cierpiącej już piątą godzinę.

– Najpierw proszę przywieźć żonę, potem zadecydujemy – polecił lekarz.

– Co to ma znaczyć, do cholery! Ona prawie mdleje z bólu, a pan mi każe czekać. – Ward poczuł, że koniecznie musi się czegoś napić, tym razem znacznie mocniejszego od szampana.

– Panie Thayer, zrobimy wszystko, co w naszej mocy, ale teraz proszę zachować spokój i jak najszybciej przywieźć żonę do szpitala.

– W porządku, będę za dziesięć minut. Jeżeli się uda, to za pięć.

Doktor odłożył słuchawkę, ale wcale nie wybierał się natychmiast do szpitala. Jako bardzo doświadczony położnik wiedział, że do narodzin dziecka pozostało jeszcze kilka godzin, a może nawet cały dzień. Poszedł do łazienki wziąć prysznic. W planie miał jeszcze golenie i lekturę porannej gazety. Nie było sensu iść do szpitala, bez względu na to, jakiej panice uległ młody ojciec.

W szpitalu znano już przypadek taty do tego stopnia przejętego porodem, że nachodził lekarzy na tydzień przed przewidywanym terminem, jednak zachowanie Warda bardzo zaskoczyło doktora, nie spodziewał się tego po nim. Fakt, że Thayerowie wybrali go spośród innych położników, potwierdzał opinię o jego wysokich kwalifikacjach. Czuł się dumny. Podczas gdy doktor niespiesznie sposobił się do wyjścia, Ward zastał Faye leżącą w łazience, skapaną w wodach płodowych.

– Wody właśnie odeszły – powiedziała ochryłym głosem.

Z wysiłkiem podniosła się z podłogi, usiadła na brzegu wanny, w oczach miała przerażenie.

– O Boże, dzwonię po karetkę! – wykrzyknął Ward.

Słyszając to, Faye uśmiechnęła się i spróbowała wyprostować plecy.

– Ani mi się waż. Wszystko w porządku – zaprotestowała Faye. Jej wygląd wcale nie potwierdzał tego, co mówiła. Cała drżała ze strachu, tak samo jak jej mąż. – Co powiedział lekarz?

– Żeby cię zaraz przywieźć.

– Świetnie – popatrzyła na Warda. – Rzeczywiście musimy jechać. Mam wrażenie, że to nie jest fałszywy alarm. Ward pomógł jej przejść do buduaru. Wiedząc, że za chwilę pojedzie do szpitala, gdzie się nią fachowo zajmą, odzyskała na chwilę dobry humor.

– W co mam się ubrać – zastanawiała się przed otwartymi szafami. Warda ogarnęła irytacja.

– Faye, na miłość boską, czy to teraz takie ważne? Załóż koszulę nocną.

– Co za głupi pomysł, przecież tam może być pełno fotografów.

– Nie przejmuj się – powiedział Ward z uśmiechem, wyciągając z szafy pierwszą z brzegu sukienkę.

Pomógł jej się ubrać, a następnie poprowadził w stronę schodów. Gdy tam dotarli, uparł się, że weźmie Faye na ręce, ale ona stwierdziła dzielnie, że da sobie radę. Dziesięć minut później wsiadła do dusenberga, usadowiła się na siedzisku z ręczników, Ward otulił ją sobolami i pomknęli w stronę szpitala. Na miejscu zapakowano Faye na wózek, z którego ciągle chciała zsiadać, i przewieziono na oddział porodowy. Ward pozostał na szpitalnym korytarzu i chodząc w kółko, spędził tam najbliższe sześć godzin. Wszystkie jego wysiłki, aby zobaczyć się z lekarzem, okazały się daremne, aż nagle o drugiej trzydzięci zobaczył go wychodzącego z sali porodowej. Czoło miał lekko wilgotne, na szyi dyndała maseczka zakrywająca usta podczas zabiegów. Ward natychmiast podbiegł do niego i wyciągnął rękę na powitanie.

– Gratulacje! Ma pan tłuściutkiego, ślicznego synka – powiedział doktor, uśmiechając się.

Ta wiadomość wprawiła Warda w stan oszołomienia, jakby zdarzyło się coś, czego zupełnie nie przewidywał. Przyglądał się lekarzowi rozszerzonymi oczyma.

– Dziecko waży dwa kilogramy osiemset gramów, żona czuje się bardzo dobrze.

– Mogę ją teraz zobaczyć? – Ward czuł, jak ustępowało napięcie całego ciała. Ogarnęła go ogromna ulga. Faye czuła się bardzo dobrze, dziecko zdrowe.

– Za kilka godzin, teraz śpi. Wie pan, wysyłanie tych maluchów na świat to bardzo ciężka praca.

Doktor znowu się uśmiechnął, zdecydowany na razie nie mówić, że poród Faye był wyjątkowo ciężki i o mały włos doszłoby do cięcia cesarskiego, że pod koniec porodu musieli podać jej tlen i narkozę, dzięki której teraz spała i nabierała sił.

– Bardzo panu dziękuję, doktorze – powiedział Ward, pochylając lekko głowę. Potem przez szpitalne korytarze puścił się biegiem do wyjścia. Krzyknął na szofera, żeby jechał najszybciej, jak się dało. Chciał zabrać z domu prezenty, jakie już od dawna leżały przygotowane na ten dzień; wielką diamentową broszkę, bransoletę i pierścioneł, pięknie zapakowane w aksamitne pudełko od Tiffany'ego. Oprócz podarunków Ward umierał z tęsknoty za drinkiem. Przed dom podjechali z piskiem opon, o mało nie zderzając się ze ścianą. Ward wyskoczył z samochodu, wbiegł do saloniku, nalał sobie podwójną whisky i pomyślał, że oto przeżywa jeden z bardziej niesamowitych dni. Dzisiaj został ojcem. Z radości miał ochotę

krzyżeć na całe gardło. Pomyślał, że Faye na pewno ucieszy się z prezentów, ale żadna radość nie mogła się równać jego szczęściu – cudowna żona i syn. Chłopak. Jego pierworodny. Podczas kąpieli i golenia Ward nieustannie rozmyślał, jak w przyszłości będzie się nim zajmował, zabierał na wycieczki. Ojciec nigdy nie miał dla niego czasu, ale on będzie inny. On zabierze swego syna na korty tenisowe, będzie z nim grał w polo, będzie wypływał na połowy ryb na Pacyfiku, będzie podróżował, i w ogóle razem będą się czuli wspaniale. W nastroju euforii pojawił się w szpitalu o piątej, poprosił pielęgniarkę o przyniesienie szampana do pokoju Faye. Jego żona z wielkim trudem otworzyła oczy i robiła wrażenie, jakby nie wiedziała, co się wokół niej dzieje. Wyglądała na zupełnie wyczerpaną, nie miała siły usiąść na łóżku. Spytała słabym głosem:

– Co nam się urodziło? – Słyszac to pytanie, Ward doznał szoku. Jak to możliwe, że do tej pory nic jej nie powiedzieli?

– Naprawdę jeszcze nie wiesz?

Faye pokręciła przecząco głową.

– Mamy chłopca! Syna!

Uśmiechnęła się sennie do męża. Odmówiła spełnienia toastu. Czula się zupełnie rozbita, obolała i wycieńczona. Nawet najmniejszy ruch sprawiał jej ogromną trudność. Ward przysiadł na brzegu łóżka, patrzył na nią zatroskany.

– Kochanie – zaczął drżącym głosem – czy bardzo cierpiełaś?

Faye dzielnie potrząsnęła głową, ale jej oczy mówiły coś innego.

– Widziałeś go już? Jak wygląda? Do kogo jest podobny?

– Nie, nie widziałem go jeszcze. Mam nadzieję, że jest podobny do ciebie.

Ward pokazał Faye prezenty, a potem zostawił ją śpiącą. Nie miał serca dalej absorbować jej rozmową, chociaż utrzymywała, że dobrze się czuje. Na palcach wyszedł z pokoju i pobiegł na oddział noworodków. Pielęgniarka przez szybę pokazała mu dziecko. Chłopczyk nie był podobny do Faye, ale wyglądał zdrowo. Spod czapeczki wyslizgiwał mu się kosmyk blond włosów, jedyna wspólna cecha, jaką miał z matką. Warda rozpieiała duma, postanowił uczcić narodziny swego pierworodnego. Wyszedł ze szpitala, uruchomił dusenberga, z fasonem zajechał przed restaurację Cira, wiedząc, że właśnie tam zostanie najwięcej znajomych i przyjaciół. Przez cały wieczór mówił o dziecku, szczodrze częstował cygarami i upił się szampanem. W tym czasie Faye spała na szpitalnym łóżku, starając się zapomnieć o bólu.

W ciągu tygodnia jej stan poprawił się na tyle, że pozwolono jej opuścić szpital. Z każdym dniem powracała do normy, chciała sama zajmować się

dzieckiem, ale Ward przekonał ją, żeby zatrudnili nianię, bo w ten sposób szybciej odzyska siłę. Po dwóch tygodniach rekonwalescencję można było uznać za zakończoną. Faye z wielkim zapałem zabrała się do pielęgnacji noworodka, a Ward zauważył, że macierzyństwo jeszcze dodało jej uroku.

Synek otrzymał imię Lionel. Chrzciny odbyły się w Boże Narodzenie, w tym samym kościele, gdzie Thayerowie wzięli ślub.

– On jest najwspanialszym prezentem gwiazdkowym – żartował Ward po drodze z kościoła. Trzymał synka w ramionach, zerkając na żonę.

Faye powiedziała z uśmiechem:

– Lionel jest śliczny i bardziej podobny do ciebie.

– Jest słodki, bez względu na to, do kogo podobny.

Faye spojrzała na śpiące dziecko. Lionel był wyjątkowo grzecznym niemowlęciem. Prawie nie płakał podczas chrztu, nie reagował przestraszonym, gdy w domu nieustannie wędrował z rąk do rąk licznych gości. Owego czasu Thayerowie codziennie kogoś przyjmowali, aktorów, reżyserów, starych przyjaciół Warda z kawalerskich czasów. Przez dom przewijali się dziennikarze. Gratulacjom i żartom nie było końca.

– Faye, czy teraz interesuje cię tylko rodzenie dzieci?

– Tak – odpowiadała, stojąc u boku rozpromienionego Warda, który dawał wyraz swej radości, dzień w dzień wypijając morze szampana.

Po jakimś czasie Faye dokonała odkrycia, że jej figura zupełnie powróciła do normy i oboje z Wardem postanowili to uczcić kolacją na mieście. Poszli potańczyć do Baltimore Bowl, gdzie zaatakował ich tłum spragnionych sensacji reporterów.

– Wszystko przygotowane, abyśmy mogli znowu spróbować? – zapytał Ward żartobliwie, znacząco spoglądając na brzuch Faye.

Pamięć o bólu jeszcze ciągle napawała ją przerażeniem, ale z każdym dniem wspomnienie stawało się coraz bledsze. Pytanie Warda wydawało jej się godne rozważenia, chociaż jeszcze dwa tygodnie temu skrzywiłaby się tylko na samą myśl o ponownej ciąży i porodzie.

– Może jeszcze raz pojechalibyśmy w podróż poślubną do Meksyku? – zaproponował Ward pewnego dnia.

Faye przystała na ten pomysł z wielką ochotą. Wyjechali zaraz po Nowym Roku i spędzili w Acapulco trzy cudowne tygodnie. Raczej stronili od ludzi. Na dwa dni wypożyczyli jacht, żeglowali i łowili ryby. Pod koniec ostatniego tygodnia Faye źle się poczuła. Upatrując przyczyny w objadaniu się rybami i upale, nie brała pod uwagę żadnych innych okoliczności. Po powrocie Ward nakłonił ją do odwiedzenia lekarza. Diagnoza była jednoznaczna – ciąża.

Ward przyjął wiadomość z wielką radością. Wszystko przebiegało, jak sobie wymarzyli, znajomi żartowali:

– Czy nie mógłbyś zostawić tej biednej dziewczyny w spokoju, Thayer? Co się z wami dzieje? Faye, niedługo nie będziesz miała czasu, żeby się uczesać...

Tym razem Thayerowie zlekceważyli rady doktora, oddając się namiętności prawie do samego końca ciąży. Ward stwierdził, że jeżeli jego żona postanowiła na każde dwanaście miesięcy dziewięć spędzać w błogosławionym stanie, to on nie zamierza sobie ciągle odmawiać. Poród, krótszy i lżejszy, odbył się pięć dni po wyznaczonym terminie. W gorące wrześniowe popołudnie przyszedł na świat drugi syn Thayerów. Bobasowi bardzo się spieszyło na świat. Jego rodzice w wielkim pośpiechu jechali do szpitala. Mama z bólu zaciskała zęby i pięści, aby już dwie godziny potem odpoczywać ze świadomością, że ma dwoje dzieci. Tuż po porodzie Ward pojawił się w szpitalu z nowymi prezentami dla żony, szafirowymi kolczykami i pierścionkiem z trzydziestokaratowego złota. Synkowi dali na imię Gregory. Faye szybko doszła do siebie, ale postanowiła, że muszą nieco zwolnić tempo.

Kiedy Gregory skończył trzy miesiące, Ward zafundował rodzinie podróż do Europy, zarezerwował kabiny na statku Queen Elizabeth i wraz z nianią do dzieci wyruszyli na Stary Kontynent. Wszędzie, dokąd się udawali, zatrzymywali się w najbardziej luksusowych hotelach. Ich trasa wiodła przez Londyn, Paryż i Monachium do Rzymu. W drodze powrotnej zahaczyli o Cannes. Wiosna na południu Francji była tego roku wyjątkowo piękna. Z Cannes jeszcze raz pojechali do Paryża, a stamtąd wyruszyli do Ameryki. To była cudowna wyprawa. Faye czuła się szczęśliwa, jak każda kobieta mająca ukochanego męża i dwoje zdrowych, ładnych dzieci. Trzy razy zdarzyło się, że została rozpoznana przez dawnych wielbicieli. W ciągu zaledwie dwóch lat świat zdążył się przyzwyczaić do nowych idoli. Dawna gwiazda bez trudu mogła zachować incognito. Od zakończenia kariery Faye bardzo się zmieniła. Ciągle była piękna, ale zmieniła styl i wyglądała bardzo nobliwie. Doskonale czuła się w sportowych strojach, sandałach, z włosami przewiązanymi opaską, prowadząc dwóch małych chłopców. Wardowi serce rosło na samą myśl o żonie i dzieciach.

Po powrocie Thayerowie stwierdzili z zadowoleniem, że w ich domu nic się nie zmieniło, ale cały Hollywood aż huczał od plotek na temat publikacji czarnej listy. Ameryka wkraczała w mroczną epokę maccartyzmu. Czystki nie omijały kręgów artystycznych. Dziesiątki przyjaciół Faye, dawnych aktorów i reżyserów nigdzie nie mogło dostać żadnego zajęcia.

„Komunista” – to słowo było na ustach wszystkich. Coraz to wynajdywano nowe szczegóły w biografjach, posądzano o kolaborację i rujnowano czyjeś życie. Wiele przyjaźni nie wytrzymało tej próby. Emocjonalne więzy okazały się słabsze od propagandy. To był smutny czas. Faye właśnie wtedy doceniła fakt, że nic już jej nie łączy ze środowiskiem artystów filmowych. Najżałośniejsza w całej sprawie była ludzka małość. Wiele osób z powodu swoich przekonań posądzonych o kolaborację traciło nie tylko pracę i pozycję, ale także moralne wsparcie przyjaciół, którzy obawiali się, aby nie widywano ich z ludźmi z listy. Wytwórnia Warner Brothers na frontowej ścianie wywiesiła hasło jasno określające, po której opowiadała się stronie: „Robimy dobre filmy z dobrymi obywatelami”. Federalny Komitet do spraw Wystąpień Antyamerykańskich nigdy wcześniej nie działał tak aktywnie. W październiku 1947, za jego sprawą, zapadły wyroki skazujące w procesie tak zwanej Hollywoodzkiej Dziesiątki, znajomi Faye znaleźli się w więzieniu. Miało się wrażenie, że całe miasto ogarnęła psychoza. Ludzie opowiadali sobie niewiarygodne historie o przesładowaniach. W 1948 roku czystki osiągnęły szczyt. Prawie wszyscy przyjaciele Warda i Faye byli zmuszeni opuścić Hollywood. Wyjeżdżali więc na prowincję i tam zaczynali nowe życie, pracując jako hydraulicy, stolarze, zajmując się wszystkim, co pomogłoby im przeżyć. Ich dni w Hollywood były skończone.

Faye przyglądała się nowej rzeczywistości zdumiona, ciesząc się, że macki konfidentów nie mogą jej osiągnąć.

– Ward, jak to dobrze, że nie biorę udziału w tej grotesce. Jak mogło dojść do czegoś tak absurdalnego? – mawiała wtedy.

Mąż patrzył na nią uważnie i jak zwykle, domagał się, aby szczerze przyznała, iż rodzina jej wystarcza i nie tęskni za planem, nie tylko ze względu na koszmar czarnej listy.

– Jesteś pewna, że nie brak ci filmów, maleństwo?

– Nigdy nie zatęskniłam za nimi, nawet przez minutę.

Niezupełnie wierzył w te deklaracje. Ostatnimi czasy zauważył, że Faye bywała zmęczona i bez humoru. Wytłumaczył to sobie zbytnim natłokiem zajęć. Faye pracowała wtedy charytatywnie w lokalnym szpitalu, a gdy była w domu, większość czasu spędzała z synkami, dwuletnim Lionelem i dziesięciomiesięcznym, rozkosznym Gregorym. Na kilka dni przed jego pierwszymi urodzinami Faye oświadczyła Wardowi, że ich rodzina znowu się powiększy. Trzecia ciąża dawała jej się bardzo we znaki. Od początku nie czuła się najlepiej. Często ogarniało ją uczucie znużenia, nie miała ochoty wychodzić do miasta. Ward zauważył, że tym razem jej figura zmieniała się w szczególny sposób, zdawało się, że

Faye była nawet szczuplejsza niż zwykle, jedynie jej brzuch osiągnął monstrialne rozmiary. Około Bożego Narodzenia doktor zbadał ją dokładnie i uśmiechając się, wyjaśnił:

– Myślę, że na Wielkanoc szykuje się całkiem niezła niespodzianka. Oczywiście pod warunkiem, że nie urodzi pani wcześniej.

– Jak mam to rozumieć? – zapytała Faye zaintrygowana. Do rozwiązania pozostało jeszcze trzy miesiące, a ona już miała wielkie problemy z poruszaniem.

– Podejrzewam, że to mogą być bliźnięta.

Faye aż otworzyła usta ze zdziwienia. Nie brała pod uwagę takiej ewentualności, raczej zwałała swoje złe samopoczucie na karb przemęczenia.

– Czy jest pan pewien?

– Nie, ale możemy zrobić prześwietlenie, jednak dopiero przy porodzie okaże się, czy miałem rację.

Przyszłość pokazała, że lekarz się nie mylił. Urodziły się dwie dziewczynki, druga w dziewięć minut po pierwszej. Na wieść o tym Ward dosłownie oszalał ze szczęścia, obdarowując Faye dwoma rodzajami kolczyków, z diamentami i rubinami. Dwie pary kolczyków za dwoje dzieci. Bobasy wzbudziły wielkie zainteresowanie Grega i Lionela. Chłopcy nie rozumieli, dlaczego mama przyniosła ze szpitala dwa dzidzisie, a nie jednego.

– Po jednym dla każdego z was – wyjaśnił jowialnie Ward.

Bliźniaczki nie były identyczne, bo dwujajowe, ale dawało się zauważyć podobieństwo. Starsza dziewczynka, Vanessa, bardzo przypominała matkę, miała takie same zielone oczy, blond włosy, delikatne rysy i matczyne, łagodne usposobienie.

Młodsza Valerie swoje przyjście na świat obwieściła wielkim krzykiem, tak samo zresztą zachowywała się zawsze, gdy chciała jeść. Pierwsza zaczęła się uśmiechać. Miała wielkie, zielone oczy, subtelną twarz i gęste rude włosy.

– Mój Boże, skąd ona je wzięła? – dziwił się Ward na widok ognistej czupryny córki.

Z biegiem czasu uroda Valerie zaczęła rozkwitać, przechodnie oglądali się za śliczną małą dziewczynką. Czasami Faye martwiła się, że Vanessa żyje w cieniu siostry. Była spokojniejsza, zdawało się, że nie tylko akceptowała dominację Valerie, ale darzyła ją uwielbieniem. Zwykle zajmowała pozycję obserwatora, znajdowała upodobanie w książkach, nie brała udziału w dziecięcych bitwach, zdecydowanie lepiej czuła się w towarzystwie Lionela. Valerie od początku lgnęła do Grega, a ten odwdzięczał się za

okazane serce, ucząc siostrę sztuczek i samoobrony, którą opanował już we wczesnym dzieciństwie. Cała czwórka, pomimo różnych charakterów, potrafiła się ze sobą dogadać, znajomi odwiedzający Thayerów zachwycali się urodą ich dzieci. Lubili patrzeć na maluchy biegnące po ogrodzie, bawiące się z kucykiem, czy jeżdżące na karuzeli, którą ojciec kupił przed kilkoma laty. Sam Ward, pomimo skończonych trzydziestu dwóch lat, usposobieniem niewiele różnił się od chłopców. Chociaż uważał, że czworo dzieci to liczba optymalna, czasami żartobliwie nagabywał Faye o jeszcze jedno. Na te słowa Faye kręciła głową na znak dezaprobaty. Już przy czwórce berbeciów miała zajęte całe dni i nie wyobrażała sobie jeszcze jednego malca. Thayerowie w pełni korzystali z życia. Kupili dom w Palm Springs. Wyjeżdżali tam na weekendy i przynajmniej część zimy. Faye uwielbiała wyprawy do Nowego Jorku do przyjaciół, których odwiedzali z Wardem. Pewnego dnia Ward wyjawiał Faye, dlaczego rodzina, którą stworzyli, wydawała mu się doskonała. Opowiedział jej o swym smutnym dzieciństwie „bogatego biedactwa”, pełnym najkosztowniejszych zabawek i goryczy samotności. Jego rodzice nigdy nie mieli dla niego czasu, bezustannie zajmując się pomnażaniem fortuny albo działalnością w przeróżnych komitetach i organizacjach dobroczynnych. Jeżeli znaleźli trochę wytchnienia, to wyjeżdżali, ale nigdy nie zabierali ze sobą Warda. W rezultacie Ward poprzysiągł sobie, że jego rodzina będzie zupełnie inna, dlatego Thayerowie wszędzie wyjeżdżali z dziećmi, zabierali je nawet na wyprawy do Meksyku, poświęcali im dużo uwagi i na każdym kroku okazywali miłość. Cieszyli się towarzystwem malców, a ci rośli pod ich skrzydłami. Lionel, cichy i poważny, był bardzo przywiązany do Faye. Powaga syna deprimowała Warda, za to Greg przywodził mu na myśl jego samego w szczenięcych latach. Tak samo uwielbiał godzinami grać w piłkę, beztrudnie korzystać z uciech dzieciństwa. Valerie wyróżniała się największą zaborczością, zdawało się, że doskonale wie, ile ma uroku i wdzięku, co więcej, potrafiła to wykorzystać. Jej przeciwieństwem była Vanessa, nigdy niczego nie wymagająca, szczęśliwa, gdy mogła się czymś podzielić, wdzięczna za każde słowo rodziców, wycieczkę do zoo, przyjaźń Lionela. Potrafiła całymi godzinami leżeć pod drzewem, wpatrując się w niebo albo oglądać obrazki w książkach, oderwana od rzeczywistości, zatopiona we własnych myślach i marzeniach.

– W jej wieku byłam taka sama – powiedziała kiedyś Faye, spoglądając na córeczkę.

– O czym wtedy rozmyślałaś, kochanie? – zapytał Ward, biorąc ją za rękę i delikatnie całując w szyję. – Marzyłaś o zostaniu gwiazdą filmową?

– Czasami, ale gdy byłam dużo starsza.

Mała Vanessa nie wiedziała jeszcze wtedy, co to są filmy.

– A o czym teraz marzysz? – Ward uśmiechnął się do żony. Był bardzo szczęśliwy, dzięki Faye nie czuł się samotny. To było ważne. Jego rodzice nigdy nie sprawiali wrażenia szczęśliwych, jedynie zapracowanych. Oboje umarli młodo, chyba nawet nie wiedzieli, co to znaczy żyć! Ward obiecał sobie, że nigdy nie będzie ich naśladował i postara się, aby jego małżeństwo z Faye było nieprzerwanym pasmem przyjemności.

– Marzę o tobie, kochany, o dzieciach. Mam wszystko, czego pragnęłam, a nawet więcej – odpowiedziała na pytanie.

– Dobrze, tak powinno być – odrzekł, głęboko przekonany o słuszności swoich słów.

Czas mijał, dzieci pięknie rosły. Ward swoim zwyczajem pił za dużo szampana, ale zawsze był w dobrym humorze, bezkonfliktowy i ciągle chłopiący. Faye kochała go niezmiennie, więc przymykała oczy na jego drobne szaleństwa: przyjęcia do białego rana lub kilka kieliszków za dużo. Nie przeszkadzało jej to.

Sprawa sprzedaży domu po rodzicach Warda stała się chyba dosyć pilna. Doradcy prawni Warda pojawiali się u Thayerów częściej niż zwykle, lecz Faye postanowiła nie dowiadywać się żadnych szczegółów. Wychodziła z założenia, że pieniądze za dom należą do Warda, a przy tym, nawet gdyby chciała, nie miała czasu na konferencje z prawnikami, zbyt absorbowało ją wychowanie dzieci.

Mniej więcej w tym samym okresie wypadły drugie urodziny bliźniaczek, to wtedy Faye zauważyła, że Ward pije dużo whisky, za dużo. Poczuli się zaniepokojona.

– Czy wszystko w porządku? – zapytała któregoś dnia.

– W najlepszym – odpowiedział Ward, starając się potwierdzić słowa uśmiechem.

Prawnicy pojawiali się prawie codziennie, a jeśli nie, to telefonowali, lecz Ward utrzymywał, że nie ma się czym przejmować. Czujność Faye została uśpiona, sprawa wydawała się mało ważna. W porywie namiętności w zapomnienie poszła decyzja „o ostrożności”, a przy końcu maja 1951 roku Faye była pewna.

– Znowu? – Ward patrzył na żonę zaskoczony, bez niechęci, aczkolwiek daleko mu było do dawnej ekscytacji z powodu oczekiwania na dziecko. Głowę miał zaprzątniętą zupełnie innymi sprawami, ale o tym Faye nie miała pojęcia.

– Jesteś na mnie wściekły? – zapytała.

– Byłbym, gdyby to dziecko nie było moje, głuptasie – odpowiedział, uśmiechając się i tuląc żonę w ramionach. – Jak mógłbym być na ciebie wściekły?

– Pięcioro dzieci to spora gromadka – Faye także miała mieszane uczucia, rodzina z czwórką dzieci wydawała jej się doskonała. – A jeśli będą bliźnięta?

– Wtedy będziemy mieli sześcioro dzieci, to nawet fajnie brzmi. Jak tak dalej pójdzie, zrealizujemy nasz pierwotny plan – dziesięcioro dzieci.

Na te słowa cała czwórka malców wbiegła do pokoju, krzycząc, śmiejąc się, popychając wzajemnie, ciągnąc za włosy.

– Na Boga, uspokójcie się – skarciła je Faye.

W styczniu następnego roku urodziła się Anne Ward Thayer. Dziewczynka była tak mała i delikatna, że Ward bał się brać ją na ręce i przytulać, ale oczywiście był szczęśliwy i uczcił narodziny Anne kolejnym prezentem dla Faye – ogromnym szmaragdowym wisiorkiem. Jak zwykle przybył z podarunkiem do szpitala, lecz zachowywał się w nietypowy dla siebie sposób. Był zgaszony i nie okazywał entuzjazmu. Faye wytłumaczyła sobie, że narodziny piątego dziecka to swego rodzaju „rutyna” trudno więc oczekiwać wynajęcia orkiestry grającej hymny dziękczynne, ale w głębi serca czuła się rozczarowana brakiem żywszej reakcji.

Najbliższe dni przyniosły wytłumaczenie. Prawnicy zrezygnowali z prób porozumienia się z Wardem. Postanowili, że najwyższy czas, aby Faye poznała prawdę. W siedem lat po wojnie Stocznia Thayera bankrutowała. Trzy lata wcześniej przestała przynosić dochód, ale Ward nie poczynił żadnych kroków, aby zapobiec katastrofie. Nie słuchał rad, lekceważył napomnienia, żeby ograniczyć wydatki i spojrzeć prawdzie w oczy – stocznia popadała w ruinę. Prawnicy namawiali Warda do zajęcia się przedsiębiorstwem, ale ten stanowczo odmówił, przecież byłoby to powielenie zachowań ojca! Stwierdził jedynie, że nie ma zamiaru marnować sobie życia, pracując od rana do nocy. Chciał być ze swoją rodziną.

W końcu, przed dwoma laty, zaczęło brakować pieniędzy, a teraz nie zostało już nic. Faye słuchała prawników, przypominając sobie zdarczenia z ostatnich kilku miesięcy, kiedy widywała Warda nienaturalnie dla niego poważnego, spiętego, pijącego coraz więcej whisky. Przez ten cały czas nie wspomniał nawet słowem... Żyli na kredyt, a ona nic o tym nie wiedziała. Na kontach bankowych nie mieli ani centa, za to mieli długi, monstrialne drugie, zaciągnięte na prowadzenie ekstrawaganckiego życia. Faye czuła, jak ogarnia ją panika, przez chwilę miała wrażenie,

że dłużej nie zniesie obecności prawników. Po ich wyjściu poszła do biblioteki. W skupieniu przyswajała sobie nową rzeczywistość, oczekując powrotu Warda.

– Cześć, małeństwo. Co tutaj robisz tak wcześniej? Nie powinnaś przypadkiem być teraz na gorze i odpoczywać?

Odpoczywać? Odpoczywać? Jak mogła teraz odpoczywać? Byli bankrutami! Powinna być w mieście i szukać jakiejś pracy, żeby mogli przetrwać i spłacać długi. Podniosła zapłakaną twarz, nie wiedziała, od czego zacząć rozmowę z mężem.

– Faye, kochanie, co się stało? – Ward odezwał się pierwszy.

Nie wytrzymała, już nie tylko płakała, ale głośno szlochała. Jak on mógł do tego doprowadzić? Co on sobie wyobrażał, kiedy kupował biżuterię, samochody, futra, dom w Palm Springs i kto wie co jeszcze...

– Kochanie, co to ma znaczyć? Dlaczego płaczesz?

Usiadł przy Faye, próbując ją przytulić. Faye wielkim wysiłkiem woli opanowała szloch, wzięła głęboki oddech, popatrzyła na Warda i... nadal nie była w stanie nic powiedzieć, nie potrafiła go znienawidzić. Nagle przeraźliwie jasno uświadomiła sobie, że Ward nie był mężczyzną, pozostał chłopcem, nigdy nie wydorósł. Sześciolatek Lionel był bardziej praktyczny od swego trzydziestopięcioletniego ojca. Życie w luksusie należy do przeszłości, powiedziała sobie twardo, otarła łzy.

– Bill Gentry i Lawson Burford byli tu dzisiaj po południu.

Ward podniósł się z sofy, czuł, że ogarnia go złość. Podszedł do baru i nalał sobie drinka. Zmarnuje mnóstwo czasu na uspokajanie żony. Co za pech, cały dzień był przyjemny, a teraz taka historia!

– Nie pozwól, żeby ci dwaj zniszczyli twoją radość życia. Okropnie się naprzykrzają. Czego chcieli tym razem?

– Przypuszczam, że powiedziec mi kilka słów prawdy.

Ward spojrzał na nią zirytowany.

– Co ci powiedzieli?

– Wszystko – odpowiedziała, blednąc na wspomnienie rozmowy z prawnikami. – Powiedzieli, że nie mamy ani centa, że stocznia zbankrutowała, że będziemy musieli sprzedać dom, spłacić długi... że wszystko się zmieni. Musimy wydorosnąć i przestać udawać, że nie dotyczą nas żadne przyziemne sprawy, że jesteśmy inni od zwykłych ludzi.

Jedyna różnica pomiędzy Thayerami a „zwykłymi ludźmi” to fakt, że Ward nigdy nie poznał smaku pracy, a ma na utrzymaniu pięcioro dzieci. Gdybym wiedziała, co się wydarzy, nie zdecydowałabym się na ostatnie dziecko, pomyślała Faye. To oczywiste, że Ward nawet nie kiwnie palcem, aby rozwiązać problemy, dlatego nie czuła się winna, myśląc tak okrutnie

o własnej córce, zdawała sobie sprawę z bezradności męża i w związku z tym nie miała złudzeń. To na nią spadnie ciężar znalezienia wyjścia z opresji.

– Ward, musimy porozmawiać – rzekła.

Poderwał się z fotela i skierował w kierunku drzwi.

– Innym razem, Faye, jestem zmęczony.

– Do cholery, posłuchaj mnie! Jak długo jeszcze zamierzasz prowadzić grę? Dopóki nie pójdziemy do więzienia za długi? Dopóki nie wyrzucą nas z domu? Według Lawsona i Billa, nie mamy ani centa.

Prawnicy nie bawili się w subtelności, brutalnie oświadczyli Faye, że na spłatę długów pójdą wszystkie pieniądze, jakie uzyskają ze sprzedaży majątku, wszystkiego, co posiadali. A co będzie później?, zapytała samą siebie Faye.

Ward popatrzył jej w oczy.

– Więc co sugerujesz, co mam zrobić? Sprzedać samochód, a może posłać dzieci do pracy – mówił przerażony. Patrzył, jak walił się jego świat, a on nie potrafił nic na to poradzić, nie znał żadnej alternatywy.

– Musimy spojrzeć prawdzie w oczy, bez względu na to, jak jest straszna – rzekła Faye. Podeszła do Warda, oczy jej lśniły, ale nie od gniewu. Przez całe popołudnie myślała o Wardzie i zrozumiała, że nie może go winić, ale nie powinna pozwolić, aby nadal oszukiwał samego siebie. Musiał zmierzyć się z nowymi okolicznościami. – Musimy coś zrobić, Ward.

– Na przykład co?

Opadł bezwładnie na krzesło, zastanawiał się wcześniej nad swym położeniem, ale nie potrafił ogarnąć rozmiarów katastrofy. Może źle się stało, że nie porozmawiał z Faye, ale nie mógł powiedzieć jej szczerze, jak wyglądała ich sytuacja. Nie miał serca jej ranić, zamiast tego kupował jej biżuterię, chociaż wiedział, że nie przywiązywała do niej zbytnej wagi. Czy ona jeszcze go kochała? Na pewno kochała dzieci, a jego? Obawiał się, że Faye, znając prawdę, odejdzie od niego. Ta myśl nie dawała mu spokoju. Teraz wiedział, że żona nie zamierzała go opuszczać. Popatrzył jej w oczy. Zobaczył w nich nadzieję. Podeszedł do Faye, wziął ją w ramiona i rozplakał się jak dziecko. Faye przemawiała do niego łagodnie, gładziła po włosach. Nie zamierzała porzucać Warda, przynajmniej nie teraz, ale też nie zamierzała dłużej pozwalać mu uciekać od rzeczywistości.

– Ward, musimy sprzedać dom.

– Ale dokąd pójdziemy? – zapytał bezradnie.

– Znajdziemy jakieś mieszkanie. Sprzedamy meble, antyki, książki, moje futra, biżuterię – mówiła Faye, uśmiechając się, choć miała wrażenie, że

pęka jej serce. Musiała rozstać się z prezentami od Warda, z przedmiotami ofiarowanymi jej na ważne okazje, musiała sprzedać część swego życia, cząstkę samej siebie. Daremne żale, pomyślała gorzko. Biżuteria była warta fortunę, a oni nie mieli żadnego innego punktu zaczepienia. Jak myślisz, ile wynoszą długi?

– Nie mam pojęcia – Ward siedział z twarzą ukrytą w dłoniach. Faye nachyliła się nad nim, odsunęła jego ręce i patrząc mężowi prosto w oczy, powiedziała:

– Musimy się dowiedzieć. To dotyczy nas obojga, będziemy walczyć razem.

– Naprawdę uważasz, że damy sobie radę? – Świadomość ich położenia napawała go przerażeniem, nawet mimo obecności Faye u jego boku.

– Oczywiście – zapewniła, nie bardzo wierząc we własne słowa. Życie zrobiło jej brzydki kawał, a ona wbrew sobie uczestniczy w tym groteskowym oszustwie.

Ward poczuł ogarniającą go wielką ulgę. Raz czy dwa, pomiędzy kolejnymi drinkami, przemknęła mu myśl o samobójstwie. Cóż więcej mógł zrobić mały, słaby chłopiec wobec przeciwności losu? Tak, mały, słaby chłopiec to właśnie on, ukryty w ciele dorosłego mężczyzny. Bez Faye w ogóle nie odważyłby się podjąć wyzwania, z nią wydawało mu się to tylko odrobinę łatwiejsze.

Następnego dnia Faye zmusiła Warda do zobaczenia się z doradcami prawnymi. Według ich wyliczeń długi Thayerów wynosiły trzy i pół miliona dolarów. Słyszając to, Faye o mało nie zemdląła, a Ward zbłądł i zrobiło mu się słabo, z kalkulacji wynikało, że na sprzedaż muszą zostać wystawione wszystkie dobra Thayerów, a jeżeli uzyskają przyzwoite ceny, to, być może, zostanie jakiś niewielki kapitałik, który należałoby mądrze zainwestować, ale na długi czas trzeba się pożegnać z życiem z procentów. Przy tej konkluzji Bill Gentry spojrział znacząco na Warda, dając mu do zrozumienia, że musi pójść do pracy, przynajmniej jedno z nich musiało zacząć zarabiać na życie, zastanawiali się, czy Faye nie mogłaby znowu grać, ale powrót na ekrany po siedmiu latach nieobecności raczej nie rokował wielkich nadziei. Od dawna pod domem Faye nie kręcili się łowcy autografów, gazety przestały interesować się jej życiem, popularność należała do przeszłości. Gdyby bardzo chciała, w wieku trzydziestu dwóch lat ciągle miała szansę na oczarowanie publiczności, ale to byłoby jak odgrzewany kotlet, który nigdy nie smakuje tak dobrze jak świeży. Dlatego w jej głowie zaczynał kiełkować inny pomysł.

– A co ze stoczną? – zapytała Faye.

W rozmowach z prawnikami to ona przejęła inicjatywę, zadawała inteligentne i rzeczowe pytania. Ward, obserwując żonę, czuł ogromne zakłopotanie i, choć z pewnym zażenowaniem, również ulgę. Chciał się napić, chwilaми nie mógł znieść stanowczości prawników.

– Będziecie musieli ogłosić bankructwo.

– A dom? Jak panowie myślą, ile możemy za niego dostać?

– Pół miliona, pod warunkiem, że znajdziecie kogoś, kto się nim zachwyci. Realistycznie rzecz biorąc, mniej.

– W porządku, tyle na początek.

Faye wyjęła z torebki listę wszystkich nieruchomości i wartościowych przedmiotów, jakie posiadali z Wardem. Poprzedniej nocy, przed pójściem spać, spisała każdy drobiazg i wyliczyła, że przy odrobinie szczęścia powinno im się udać zebrać pięć milionów, a w najgorszym wypadku przynajmniej cztery.

– Dobra, sprzedamy wszystko, a co potem? – zapytał Ward z goryczą. – Ubierzemy dzieci we włosiennice i wyślemy na żebrzy? Przecież musimy gdzieś mieszkać, Faye. Potrzebujemy służby, ubrań, samochodów.

Faye potrząsnęła głową.

– Samochodu, nie samochodów, a jeżeli i na to nie będzie nas stać, to można jeździć autobusem.

Patrzyła na Warda z niepokojem. Coś jej mówiło, że zmiana stylu życia, dla niej bolesna, dla niego była prawie niemożliwa. Chciała mu pomóc w przejściu przez najgorszy okres, bo jedynym człowiekiem, którego nie chciała utracić, był właśnie mąż.

Na koniec spotkania wszyscy podali sobie ręce, uśmiechając się blado, jedynie Ward miał kamienny wyraz twarzy, zdawało się, że w ciągu dwóch godzin postarzał się o dziesięć lat. Jadąc do domu dusenbergiem, prawie w ogóle nie odzywał się do Faye. Na myśl, że być może ostatni raz prowadzi swój ulubiony samochód, łzy zakreśliły mu się w oczach. W domu niania powitała ich wiadomością, że Anne ma gorączkę i prawdopodobnie zaraziła się grypą od Val. Faye wezwała lekarza, ale nie chciała zajmować się dzieckiem.

W kilka godzin później niania znowu wystąpiła z sugestią, by spędziła trochę czasu z córką. W odpowiedzi zdobyła się tylko na szorstkie „nie”. Głowę miała zajęta zupełnie innymi sprawami. Chciałaby móc o nich nie myśleć, ale musiała przystąpić do działania, bez oglądania się na Warda.

Nazajutrz zadzwoniła do wszystkich agencji pośrednictwa handlu nieruchomościami i umówiła się, aby przyszli obejrzeć dom. Potem

skontaktowała się ze sklepami handlującymi antykami i na podstawie uzyskanych informacji zaczęła robić listy przedmiotów, które pójdą na sprzedaż. Ward przyglądał się temu oszołomiony. Jej widok, pochylonej nad papierami, skupionej, ze zmarszczonym czołem, wyprowadzał go z równowagi. Faye podniosła głowę znad papierów i zapytała z poważną miną:

– Co dzisiaj robisz?

– Jem lunch w klubie.

Następna sprawa, która będzie musiała pójść w zapomnienie, to wszystkie kluby Warda, przesiadywanie w drogich lokalach. Nieznacznie skinęła głową, a Ward wyszedł z pokoju. Wrócił do domu dopiero około szóstej, w bardzo dobrym nastroju. Przez całe popołudnie grał w kości i wygrał dziewięćset dolarów. Tak, tym razem wygrał, ale równie dobrze mógł przegrać! Faye nie komentowała, bez słowa poszła na górę. Nie chciała, żeby Ward marnował czas, kiedy mieli tyle do zrobienia. Jutro trzeba będzie wymówić służbie, zając się sprzedażą samochodów, a w końcu domu w Palm Springs. Łzy napłynęły jej do oczu, nie tyle z powodu sprzedaży majątku, ale dlatego, że ze wszystkim musiała się zmagać zupełnie sama. Czuła się tak, jakby śniła koszmar, z którego nie może się obudzić. Świat Thayerów przewrócił się do góry nogami. Nie powinna pozwalać sobie na rozmyślania, w przeciwnym razie zwariuje. Jeszcze dwa dni temu wszystko toczyło się tak szczęśliwie. Narodziny dziecka, kolejny olśniewający prezent od Warda, wyjazd na kilka dni do Palm Springs... i nagle koniec, na zawsze. Faye wchodziła wolno na schody, u ich szczytu stała niania ubrana w biały fartuch, trzymająca niemowlę w ramionach. Nie, tylko nie to, pomyślała Faye, nie miała czasu dla Anne, zbyt dużo się działo.

– Czy chciałaby pani nakarmić teraz dziecko, pani Thayer? – Była to raczej propozycja niż pytanie.

Faye wydało się, że opiekunka patrzyła na nią z wyrzutem. Na pewno miała na myśli swoją pensję i całodzienne nagabywanie jej o poświęcenie małej Anne chociaż chwili.

– Nie, pani Queen, przepraszam – odwróciła się tyłem. Czuła się tak winna, że nie miała odwagi spojrzeć niani w oczy. – Jestem za bardzo zmęczona.

Okłamała opiekunkę, nie mogła nakarmić dziecka, bo chciała przejrzeć biżuterię, nim przyjdzie Ward. Jutro miała spotkanie z Kleinem i musiała zdecydować, co zechce sprzedać. Wiedziała, że od niego dostanie uczciwą cenę, a poza tym nie było odwrotu, tak jak nie było czasu dla dziecka.

– Może jutro wieczorem – mruknęła do niani; wchodząc do pokoju, w którym znajdował się sejf z kosztownościami, z trudem powstrzymywała się od płaczu. Byłoby lepiej, gdyby wcale nie widywała niemowlęcia, nie teraz. Jeszcze dwa tygodnie temu Anne była wszystkim, o czym myślała, tylko nią się zajmowała. Dwa tygodnie – jak to mało czasu, a jak wiele się zmieniło. Faye ze łzami w oczach zamknęła za sobą drzwi. Niania na ten widok tylko pokręciła głową i poszła do pokoju dziecinnego.

Rozdział szósty

W lutym Dom Aukcyjny Christie's zabrał meble, antyki, sześć kompletów z chińskiej porcelany, które Faye i Ward kupili w ciągu ostatnich siedmiu lat, kryształowe żyrandole, perskie dywany. Wywieźli prawie wszystko, z wyjątkiem najpotrzebniejszych sprzętów. Faye zamówiła samochody w czasie, gdy dzieci były z nianią w Palm Springs. Nie chciała, aby były świadkami tych żałosnych czynności. Warda także namawiała na wyjazd do ich drugiego domu.

– Próbujesz się mnie pozbyć? – zapytał, patrząc na nią przez szkło kieliszka z szampanem. Ostatnimi czasy pijał alkohol w kieliszkach większych niż zwykle.

– Dobrze wiesz, że nie.

Usiadła przy nim, ciężko wzdychając. Była bardzo zmęczona, przez cały dzień znakowała meble. Czerwone naklejki na te, które miały być sprzedane, niebieskie na te, które zostawały. No cóż, niebieskich znaczków zużyła znacznie mniej, przyklejała je tylko na najprostsze domowe sprzęty, bez których nie mogliby się obejść. Ward powoli zaczynał nienawidzić codziennych nowinek o sprzedaży, kalkulacji, spłacie długów, samo słowo „dług” doprowadzało go do furii. Faye zdawała sobie sprawę z odczuć męża, ale nie zamierzała zmieniać postępowania. Wystarczy, że Ward nie musi spotykać się z prawnikami, odbywać z nimi długich rozmów. Taka taktyka miała także złe strony, jak sądziła Faye, uraziła męską dumę Warda, ale również była świadoma, że sytuacja przerastała jego możliwości. Cóż więc mogła zrobić? Pozwolić mu, aby nadal żył w świecie ułudy? Zaciągał nowe długi? Takiego rozwiązania w ogóle nie brała pod uwagę, uważała, że lepiej załatwić wszystko z marszu, aby jak najszybciej móc zacząć budować nowe życie. Przecież oboje byli ciągle bardzo młodzi, mieli siebie, mieli dzieci, powtarzała sobie bezustannie, starając się za-

panować nad przerażeniem. Każdy dzień był dla niej jak mozolna wspinaczka pod stromą górę, ze świadomością, że wystarczy jeden fałszywy ruch i runą w przepaść. Trzeba było iść powoli, nie oglądając się za siebie.

– Sprzedałam wczoraj karuzelę.

Sprzedaż – to był teraz jedyny temat ich rozmów. Niestety, w dalszym ciągu nie było amatora na dom i Faye zaczynała się tym martwić.

– Sprzedałam ją hotelowi, za przyzwoitą cenę.

– Cudownie. – Ward wstał nagle, podszedł do barku, aby nalać sobie drinka. – Jestem pewien, że dzieci oszaleją ze szczęścia, gdy się o tym dowiedzą.

– Nic na to nie mogę poradzić.

Ale ty mogłeś do tego nie dopuścić, pomyślała Faye, walcząc z chęcią oskarżenia męża. Ale co to da, oprócz chwilowej złośliwej satysfakcji? Nic, odpowiedziała samej sobie, zupełnie nic. Przecież Ward nie zna innego życia, nikt nie nauczył go radzenia sobie z problemami, no i przez te wszystkie lata było im razem tak cudownie. Nie, nie może go ranić, za bardzo kocha Warda, by – ulegając własnej frustracji i przerażeniu wykrzyczeć mu, że doprowadził ich do ruiny, że jemu zawdzięczają te koszarne kłopoty. Przyglądała mu się, gdy nalewał sobie drinka.

W ciągu ostatnich dwóch miesięcy bardzo się postarzał. Faye spostrzegła kilka siwych włosów pobłyskujących w blond czuprynie męża, zauważyła, że wokół oczu porobiły mu się zmarszczki, zastanawiała się, co mogłaby zrobić, aby ulżyć jego cierpieniu, aby mogli razem poczuć się silni i nie bać się jutra.

Ward również zadawał sobie pytania: Co teraz będzie? Dokąd pójdą, jeżeli sprzedadzą dom...? Nie potrafił na nie odpowiedzieć.

– Nie miałem prawa żenić się z tobą – stwierdził, opadając ciężko na fotel, czując się winnym wobec Faye, a jednocześnie rozczulając się nad sobą. Przed oczami stanęły mu dni tuż po wojnie, kiedy potrzebował Faye, kiedy wydawała mu się zupełnie niesamowitą osobą, i taka była. Ciągle budziła w nim zachwyty. Właśnie dlatego nienawidził się za to, do czego doprowadził.

Przyglądał się siedzącej żonie. Ostatnio bardzo ciężko pracowała, całymi dniami robiąc paczki i tobołki, sortując, dzieląc, znakując, chyba przez to schudła. Była szczuplejsza niż przed urodzeniem Anne, niż w ciągu kilku ostatnich lat. Większość prac domowych musiała wykonywać sama, bo armia służących została zredukowana do dwóch kobiet, które sprzątały i gotowały dla wszystkich, opiekunki starszych dzieci, która pracowała u nich od narodzin Lionela, i niani zajmującej się

Anne. Wiedział, że gdy sprzedadzą wielki dom, Faye zamierzała w ogóle zrezygnować z pomocy. Już teraz nie było nawet Arthura i Elizabeth, mimo sentymentu i przywiązania Faye musiała ich odprawić, żegnali ją ze łzami w oczach. Ward czuł, że nie jest oparciem dla żony. Kocha ją, ale nie wie, co więcej mógłby zrobić.

– Czy chciałabyś się ze mną rozwieść? – zapytał, trzymając w ręce opróżniony kieliszek. Nie na długo, skwapliwie uzupełniał ubytki.

– Nie – rzekła Faye stanowczo. Pokój był prawie pusty i jej głos odbił się echem pomiędzy ścianami. – Nie chcę się rozwodzić. Pamiętasz, ślubowałam, że cię nie opuszczę, że zostaję twoją żoną na dobre i na złe. Jeżeli teraz nam się nie układa, to trudno, musimy przetrwać. Takie jest życie.

– Takie jest życie? Dobre sobie, niedługo nie będziemy mieć dachu nad głową, nasi prawnicy pożyczają nam pieniądze na jedzenie i pensje dla służby, a ty masz zamiar przyjmować to ze spokojem. A jak myślisz, za co później będziemy kupować jedzenie? – zapytał Ward, nalewając sobie kolejnego drinka.

Faye z trudem powstrzymała się przed napominaniem go, by tyle nie pił. Wiedziała, że pewnego dnia będzie musiał przestać i przestanie. Wszystko znowu będzie normalne. Pewnego dnia...

– Ward, pomyśl, czy mamy inny wybór?

– Nie wiem. Przypuszczam, że ty masz zamiar powrócić do filmu, ale uważaj, nie jesteś już najmłodsza.

Ward był pijany i Faye przez chwilę miała ochotę przywołać go do porządku. W końcu zrezygnowała, przemawiając boleśnie beznamiętnym głosem:

– Wiem o tym, Ward, ale coś musi się nam udać.

– Nam? Może mnie? – Ward mówił podniesionym głosem, gestykułując. – Cholera, ja nigdy nie pracowałem. Jak myślisz, co mógłbym robić? Sprzedawać u Saksa buty twoim przyjaciółom?

– Ward, proszę... – odwróciła się, żeby nie zobaczyć jej łez.

Ward złapał ją za ramię, przyciągnął do siebie, patrząc na nią dziko, krzyczał:

– Przedstaw mi swój plan, pani Realistko. Jesteś tak odważna, tak śmiało spoglądasz prawdzie w oczy. Powiem ci coś, gdyby nie ty i twoja dociekliwość, żylibyśmy tak jak przedtem!

Więc to ona ma być winna?! Chyba oszalała! A może znowu okłamuje sam siebie? Może tylko chce wierzyć, że to ona doprowadziła do katastrofy.

– Gdyby nie moja dociekliwość, mielibyśmy pięć milionów długu, a nie cztery.

– Jezus, mówisz jak ci dwaj starzy nudziarze, Gentry i Burford. Co oni o tym wiedzą? I co, gdybyśmy mieli więcej długów?! – wykrzykiwał Ward, odsuwając się od Faye. – Przedtem żyliśmy przyzwoicie, nieprawdaż?

Ogarniała go furia, ale nie z powodu Faye. Nie mógł dłużej wytrzymać z samym sobą.

– Do cholery, przecież to była iluzja! Za kilka dni mogli się tu pojawić komornicy i zająć meble, potem przyszłaby kolej na dom. – Teraz krzyczała również Faye.

Ward zaśmiał się ironicznie:

– Rozumiem, ty chcesz ich wyręczyć.

– Przestań! Wszystko sprzedamy sami, a jeśli będziemy mieli odrobinę szczęścia, to może zostanie nam trochę pieniędzy, które dobrze ulokujemy, jeżeli, oczywiście, starczy nam na to rozumu. W najgorszym wypadku przynajmniej przez jakiś czas będziemy mieli za co żyć. I wiesz co? Najważniejsze, że ciągle mamy siebie i dzieci...

Ward nie chciał dłużej słuchać, wyszedł z pokoju, trzaskając drzwiami z taką siłą, że o mało nie wyleciały z futryny. Faye długo jeszcze po tej wymianie złych słów nie potrafiła opanować drżenia rąk, ale mimo to zajęła się pakowaniem.

Trzy tygodnie później sprzedano dom. To było straszne, lecz nie istniała żadna alternatywa. Nabywcy zapłacili mniej, niż Thayerowie oczekiwali, zbijali cenę, czepiając się każdego szczegółu, zaniedbanego ogrodu (ogrodnicy zostali odprawieni kilka tygodni wcześniej), szpecących śladów pozostałych po demontażu karuzeli. Pokoje nie wyglądały zbyt efektownie pozbawione mebli, żyrandoli i zasłon. Klucze do domu przeszły w ręce znanej aktorki i jej męża, którzy wypłacili Thayerom ćwierć miliona dolarów. Negocjacje przed transakcją trwały tydzień, urozmaicane wizytami nabywców, jeszcze przed kupnem panoszących się po domu, nie zwracających najmniejszej uwagi na Faye, ustalających detale z pracownikiem Agencji Pośrednictwa Handlu Nieruchomości. Złożona przez nich w końcu oferta opiewała na kwotę dużo niższą od pierwotnej i Ward nawet nie chciał słuchać o jej podpisaniu, zgodził się wreszcie po długich namowach i przekonywaniach ze strony Faye oraz Burforda i Gentry'ego. Podpisał dokument, a następnie zaszył się w swoim pokoju w towarzystwie dwóch butelek szampana i pięciu butelek dżinu. Usiadł na gołej podłodze, wpatrując się w wiszące na ścianach fotografie rodziców. Płakał, rozmyślając nad ich i swoim życiem, skrecającym w niezrozumiałym dla niego kierunku.

Faye zobaczyła męża dopiero późnym wieczorem, gdy przyszedł do sypialni położyć się spać. Nie miała śmiałości o nic go pytać, patrzyła na niego i chciało jej się płakać. Bała się, że Ward nie będzie potrafił przystosować się do nowego życia, a do starego przecież nie było powrotu. Dla niej bieda nie była nowym doświadczeniem, w pamięci ciągle miała żywe wspomnienia z dzieciństwa, kiedy jej rodzina borykała się z ubóstwem. Czuła się zmęczona, jak uczestnik maratonu, daleki jeszcze od linii mety. Co będzie z jej małżeństwem? Czy ona i Ward potrafią odnaleźć się na nowo? Jak długo jeszcze będzie trwał koszmar? Czy wszystko, co dobre, już się skończyło? Faye nie chciała się poddać, nie chciała, aby ruina materialna odcisnęła piętno na ich uczuciu, a jej mąż popadł w alkoholizm.

Ward stał nieruchomo, wpatrując się w żonę. Po chwili podszedł do fotela, usiadł w nim, wzdychając ciężko.

– Przepraszam, Faye, że jestem takim sukinsynem.

Próbowała się do niego uśmiechnąć, ale zamiast tego poczuła łzy spływające po policzkach.

– Wszystkim nam jest ciężko.

– Ale to moja wina, to właśnie jest najgorsze. Nie jestem pewien, czy byłbym w stanie wyprowadzić stocznię z kłopotów, ale mogłem chociaż spróbować.

– Ward, nigdy nie potrafiłbyś uzdrowić upadającego przemysłu, chociaż nie wiem, jak bardzo byś tego chciał. Nie możesz się za to obwiniać.

– Podniosła się i usiadła na brzegu łóżka. – Poza tym – uśmiechnęła się do niego smutno – przez moment naprawdę dobrze się bawiliśmy.

– A jeśli będziemy głodować? – Ward patrzył na Faye wzrokiem małego, przestraszonego chłopca.

Jakże niesamowicie zabrzmiało to pytanie, zadane przez kogoś, kto kilka lat żył na kredyt i wcale się tym nie przejmował. Dopiero dzisiejszego popołudnia, po podpisaniu aktu sprzedaży domu, dotarło do Warda, co się stało. Uświadomił sobie też, jak bardzo potrzebował Faye, bez względu na wszystko, nie wyobrażał sobie, aby mogła od niego odejść. Potrzebował jej wiary i wsparcia. Nie oczekiwał więcej, a ona w trwaniu przy mężu, nawet w najgorszych momentach, odnalazła sens bycia żoną.

– Nie będziemy głodować – mówiła do niego cicho. – Ty i ja damy sobie radę. Nigdy nie zdarzyło mi się głodować, choć czasami byłam tego całkiem blisko.

Zmęczona, zmuszała się do uśmiechu. Bolało ją całe ciało, odzywały się wszystkie zapakowane paczki, tobołki przesuwane z miejsca na miejsce.

– Ale twoi rodzice nie mieli pięciorga dzieci.

– Nie – po raz pierwszy spojrzała na niego czule – ale ja mam, i jestem bardzo szczęśliwa z tego powodu.

– Serio, Faye? Nie przeraża cię, że dzieci i ja, wszyscy jesteśmy uczepieni twojej spódnicy, a na dodatek ja jestem dorosły i najbardziej przerażony?

Faye podeszła do niego. Pogłaskała po włosach, identycznych z włosami Gregory’ego. Czasami uderzało ją podobieństwo między nimi, zwłaszcza gdy Ward zachowywał się w sposób bardziej pasujący do syna.

– Wszystko się ułoży. Obiecuję ci to, Ward – szepnęła, całując go w czubek głowy. Odwrócił się do niej, nie starając się nawet ukryć łez spływających mu po policzkach, zaczął szlochać.

– Pomogę ci, kochanie. Obiecuję, że zrobię wszystko, co tylko będę mogła – powiedziała Faye, pochylając się i całując Warda w usta. Wydawało im się, że pocałowali się pierwszy raz od wielu lat. Kilka minut później leżeli obok siebie w łóżku, pewni, że ich miłość nie wygasła. Poza tym stracili wszystko.

Rozdział siódmy

Thayerowie wyprowadzili się w maju. Ward i Faye uronili po kryjomu kilka łez, wiedzieli, że opuszczenie domu to jak ostateczne pożegnanie, wraz z nim odchodziła w przeszłość część ich samych. Lionel i Gregory także płakali, byli wystarczająco dumni, aby rozumieć, że już nie powrócą do domu swego dzieciństwa. Patrzyli w twarze rodziców, ich smutek upewnił chłopców, że nagle wszystko się zmieniło i oto stała przed nimi wielka niewiadoma. Vanessa i Val, zbyt małe, aby pojąć dramatyzm sytuacji, wydawały się nawet cieszyć z wyjazdu do Palm Springs. Wardowi w udziale przypadło przewiezienie dzieci. Osobiście zapakował bagaże, pousadzał całą gromadkę w jedynym pozostałym Thayerom samochodzie – starej furgonetce chrysler, niegdyś używanej tylko przez służbę – i odjechał. Dom w Palm Springs miał być sprzedany w czerwcu, ale na kilka tygodni dawał schronienie życiowym rozbitkom.

Znalezienie nowego lokum dla rodziny wzięła na siebie Faye. Według jej rachunków, po sprzedaży stoczni, domu w Beverly Hills, mebli, dzieł sztuki, starych książek, samochodów i domu w Palm Springs wraz

z wyposażeniem mieli szansę spłacić długi, z transakcji powinno pozostać pięćdziesiąt pięć tysięcy dolarów, które rozsądnie ulokowane mogły po jakimś czasie przynieść całkiem niezły dochód. Przeglądając ogłoszenia Faye zwracała uwagę przede wszystkim na cenę. Sprawdzając każde, które wydawało jej się sensowne. Niestety, w większości wypadków, niska cena oznaczała także bardzo niski standard mieszkania: małe, brudne pokoje, maleńkie ogródki, niebezpieczne dzielnice.

Pod koniec drugiego tygodnia, gdy zaczęła ją ogarniać rezygnacja, znalazła dom wystarczająco duży dla całej ósemki przyszłych lokatorów i nie tak przygnębiający, jak poprzednio oglądane. W domu były cztery sypialnie, więc każdą musiałyby dzielić dwie osoby: Lionel z Gregorym, bliźniaczki, Anne z opiekunką i Faye z Wardem. Na dole domu znajdował się duży pokój gościnny, tak brzydki, że aż piękny, wyposażony w tanie meble i, jak było można sądzić, od lat nie działający kominek.

Okna jadalni wychodziły na zaniedbany, a przez to ponury ogród. Kuchnia, urządzona w staroświeckim stylu, była na tyle obszerna, że bez trudu zmieścił się duży stół. W porównaniu ze starym, nowy dom zasługiwał na miano małego i obskurnego, ale Faye postanowiła nie wybrzydzać, bo nowa siedziba miała istotną zaletę – przystępną cenę. Mimo to Faye musiała długo przekonywać samą siebie, że w małym domu dzieci będą bliżej rodziców, że Ward nie będzie narzekał i nie odmówi wprowadzenia się, a dzieci nie rozplaczą na widok przygnębiających pokoi.

Dom znajdował się w dzielnicy Monterey Park, zamieszkaney przez tak zwane przyzwoite rodziny, daleko od Beverly Hills i dawnego przepychu, w którym żyli Thayerowie.

Po przyjeździe do Palm Springs, Faye opowiedziała o nowym domu, co chwila podkreślając, że nie będą tam mieszkać do końca życia, że w domu trzeba będzie przeprowadzić mały remont, w ogrodzie posadzić kwiaty, które z pewnością przydadzą miejscu wiele uroku. A wszystko to zrobią sami, całą rodziną, i będą się przy tym doskonale bawić. W tym eufemistycznym stylu przedstawione nowe miejsce zamieszkania prezentowało się całkiem nieźle, lecz Ward na osobności zapytał Faye wprost:

– Jak bardzo ten dom jest straszny, Faye?

Westchnęła głęboko. Musi powiedzieć prawdę, przecież wcześniej czy później sam zobaczy. Kłamstwo nie ma najmniejszego sensu.

– W porównaniu do tego, co mieliśmy?

Skinął głową.

– To nora, ale jeśli chociaż przez chwilę przestaniemy robić porównania, to może tam być całkiem przyjemnie. Ściany są świeżo pomalowane, jest czysto, pasują meble, które nam zostały, możemy stworzyć przyjemny nastrój, jeśli powiesimy ładne zasłony i będziemy hodować kwiaty i... – Faye wzięła głęboki oddech, starając się nie zauważać zawodu na twarzy Warda – mamy siebie. Wszystko będzie dobrze.

– Ciągłe to powtarzasz – powiedział Ward ze złością, jakby wszystkie ich kłopoty spowodowała Faye.

Ona sama zaczynała w to wierzyć, zastanawiała się, czy dobrze zrobiła, zmuszając męża do spojrzenia prawdzie w oczy. Jej własne rozważania zakrawały na absurd i z tego również zdawała sobie sprawę. Prędzej czy później musiało się skończyć życie ponad stan. Ward więcej nie podejmował tematu nowego domu, zdawało się, że zaakceptował przykrą konieczność.

Przeprowadzka do Los Angeles wypadła w środowe popołudnie. Faye przyjechała pierwsza, powiesiła na ścianach obrazy, wstawiła świeże kwiaty do wazonów, zaścieliła łóżka, zrobiła wszystko, co możliwe, aby uczynić dom przytulnym. Dzieci zaintrygowane nowym miejscem biegały, zaglądając w każdy kąt, cieszyły się na widok łóżek zasłanych ulubioną pościelą, pótek wypełnionych ulubionymi zabawkami, natomiast Ward wyglądał, jak gdyby miał za chwilę postradać zmysły, z miną straceńca rozglądał się po wykładanym boazerią pokoju gościnnym, nie odzywał się ani słowem, ale Faye wiedziała, że z wielkim trudem powstrzymywał się od łez. Wyglądał przez okno, rozglądał się po jadalni, zauważył stół z poprzedniego domu, instynktownie spojrzał na sufit, spodziewając się ujrzeć znajomy żyrandol, zapominając o jego sprzedaży przed kilkoma miesiącami. Na koniec tylko pokręcił głową. Pierwszy raz w życiu zdarzyło mu się być w tak biednym domu i oczywiście ogromnie go to przygnębiło.

– Mam nadzieję, że jest tu przynajmniej tanio – rzekł, po raz setny doświadczać poczucia winy.

Faye patrzyła na niego łagodnym wzrokiem.

– Nie zostaniemy tutaj na zawsze.

To samo powtarzała sobie, gdy lata temu chciała uciekać od ubóstwa domu rodziców, ale wtedy było jej znacznie trudniej. Tym razem była starsza, miała więcej doświadczenia, a nade wszystko miała pewność, że uda im się odzyskać to, co utracili.

Ward jeszcze raz rozejrzał się wokół, stwierdzając smutno:

– Nie wiem, jak dużo jeszcze jestem w stanie wytrzymać.

Słyszając to, Faye poczuła ogarniającą ją złość. Po raz pierwszy od kilku miesięcy zaczęła mówić podniesionym tonem:

– Ward, wszyscy w tej rodzinie starają się najlepiej, jak potrafią, więc ty także mógłbyś się zmobilizować. Nie da się cofnąć czasu i nie mam zamiaru udawać, że ten dom wygląda jak poprzedni, ale to jest nasz dom. Mój, dzieci i twój także. – Wstała z krzesła, drżąc na całym ciele.

Ward podziwiał żonę za wysiłek, który wkładała, aby przejście do nowych warunków było jak najmniej bolesne, ale wątpił, czy on sam jest w stanie zdobyć się na podobny hart ducha. Kładąc się do łóżka, stwierdził, że nie potrafi być twardy. Leżał nieszczęśliwy na materacu zalatującym stęchlizną, mieszającą się z zapachem nieświeżości, którym przeziaknięty był cały dom. Patrzył na firanki w oknach, dawniej wiszące w pokoju służby, na dodatek zupełnie nie pasujące do nowego pokoju. Miał wrażenie, że sam zamienił się w służącego, że cały czas tkwi w dziwnym, surrealistycznym śnie. Niestety, to nie był sen, tylko jawa. Ward odwrócił się do Faye, chcąc ją przeprosić za swoje zachowanie, usprawiedliwić się, powiedzieć kilka miłych słów, za późno, żona już spała, zwinięta w kłębek na brzegu łóżka, jak małe wystraszone dziecko. Czy ona też się boi?, zastanowił się. Sam żył w ustawicznym przerażeniu, nawet alkohol nie pomagał mu się rozluźnić, ani na chwilę nie mógł zapomnieć o niepewności jutra, z pewnością nie mieli dość pieniędzy na wynajęcie lepszego domu, ale Ward zadawał sobie pytanie, czy kiedykolwiek będzie stać ich na coś lepszego? Faye twierdziła, że ten dom jest tylko na jakiś czas, że muszą przetrwać najgorszy okres. Ward, leżąc w łóżku o zapachu pleśni, rozglądając się po ścianach pomalowanych jasnozieloną farbą, nie mógł sobie wyobrazić, że przyjdzie dzień, w którym coś się zmieni.

Hollywood 1952–1957

Rozdział ósmy

Ręka Faye drżała nad tarczą aparatu telefonicznego. Minęło sześć lat, od kiedy ostatni raz do niego dzwoniła. Nie wiedziała nawet, czy jeszcze pracuje, całkiem możliwe, że już nie, a może po prostu nie będzie chciał z nią rozmawiać? Ostatnim razem telefonował do niej, gdy Lionel był niemowlakiem, chcąc przekonać ją, żeby zaczęła grać, póki nie przeminęła sława. Teraz z pewnością przeminęła, ale nie to miała

na myśli Faye, wykręcając tak dobrze znany numer. Potrzebowała rady, czekała z tym telefonem aż do września, kiedy dzieci będą w szkole. Ward właśnie wyszedł, jak co dzień oświadczając, że w poszukiwaniu pracy, co zwykle kończyło się kilkugodzinnym lunchem ze starymi znajomymi w którymś z klubów albo w restauracji.

Ward twierdził, że przesiadywanie w lokalach jest niezbędne do zawierania znajomości, „wyrabiania kontaktów”. Był to już mocno przechodzony pretekst, poza tym Faye wiedziała, że kontakty z restauracji nigdy nie przynoszą pożądanego efektu.

W słuchawce odezwał się sygnał wolnej linii, a w chwilę potem dał się słyszeć głos sekretarki. Faye przedstawiła się, sekretarka poprosiła, by czekała momencik. „Momencik” w pojęciu Faye trwał całe wieki, aż nagle usłyszała znajomy głos:

– Mój Boże, duch z przeszłości. Czy to naprawdę ty, Faye Price?

Roześmiała się nerwowo, przez ułamek sekundy nie wiedząc, jak się zachować. Nagle zaczęła żałować, że przestała się widywać z Abe’em, że nigdy nie znalazła chwili czasu pomiędzy rozmowami z Wardem i zajmowaniem się dziećmi.

– To ja, ta sama Faye Price, tyle że teraz mam już kilka siwych włosów.

– To zawsze można zmienić, aczkolwiek nie przypuszczam, że dzwoniś do mnie właśnie z tego powodu. Czemu zawdzięczam niespodziankę i zaszczyt rozmawiania z tobą i czy masz już dziesięcioro dzieci?

Głos Abe’a brzmiał jak zawsze ciepło. Faye była wzruszona, że jej agent, z którym przyjaźniła się w czasie swej błyskotliwej kariery, ciągle miał ochotę i czas na rozmowę z nią. Zaraz po ślubie i decyzji o zakończeniu kariery, kontakty z Abe’em urwały się, a teraz po latach Faye znowu pukała do jego drzwi.

– Mam tylko pięcioro dzieci, jestem w połowie drogi.

– W połowie drogi wycofałaś się również z filmu, chociaż mogłaś tego nie robić i jeszcze długo, długo być na topie.

Faye odrobinę powątpiewała w opinię Abe’a, ale miło jej było słyszeć, że kiedyś naprawdę się liczyła.

Tak czy owak, pewnego dnia jej gwiazda zaczęłaby blednąć, z każdym działem się tak samo, a ona uniknęła tego dzięki małżeństwu, lecz dzisiaj musiała wykrzesać z siebie odwagę i zadać agentowi pytanie, które od dawna chodziło jej po głowie. Była pewna, że Abe domyślał się, co ją do niego sprowadziło, przecież czytywał gazety jak wszyscy inni, wiedział, w jakie kłopoty popadli Thayerowie – sprzedany dom, wyposażenie wystawione

na aukcję, zamknięta stocznia – szybkie spadanie, podobnie jak z wieloma gwiazdami, w których imieniu działał.

Bez względu na to, jak układały się czyjeś losy po zakończeniu kariery, nigdy nie zmieniał zdania o osobach, które lubił. Tak samo teraz był pełen współczucia dla Faye, bez grosza przy duszy, za to obarczonej mężem, który nigdy nie pracował, i pięciorgiem dzieci.

– Tęsknisz czasem za planem filmowym, Faye?

– Nie, jeżeli mam być szczerą – odpowiedziała. Istotnie nigdy nie przemknęła jej przez głowę tęsknota, przynajmniej do teraz.

– Przypuszczam, że nie masz czasu na sentymenty. Wyobrażam sobie, ile masz zajęć przy dzieciach.

Tak, dzieci, a do tego musiała pójść do pracy. Abe postanowił dodać Faye odwagi i jeszcze raz zagadnąć ją o powód zatelefonowania do niego.

– Czemu zawdzięczam przyjemność tej rozmowy, pani Thayer? – zapytał.

Zdawało mu się, że sam mógł bez trudu odpowiedzieć, może rola w sztuce, może epizod w filmie, znał Faye wystarczająco dobrze, by wiedzieć, iż dzwoni do niego właśnie z uwagi na zawód.

– Mam do ciebie prośbę.

– Mów śmiało.

Zawsze był bardzo bezpośredni i jeśli tylko mógł coś zrobić dla Faye, był gotów jej pomóc.

– Czy moglibyśmy kiedyś się spotkać?

– Oczywiście, Faye, wyznacz tylko dzień.

– Jutro?

Jutro, czyli właściwie natychmiast, musi im się beznadziejnie powodzić, pomyślał Abe.

– Świetnie, zjemy razem lunch w Brown Derby – zaproponował agent.

– Doskonale, do zobaczenia. – Faye odłożyła słuchawkę i przez ułamek sekundy poczuła tęsknotę za dawnymi czasami, wydały jej się tak odległą przeszłością... Uśmiechnęła się do własnych myśli i poszła na górę. Obawiała się, że gdy przedstawi swoją propozycję, Abe będzie ją miał za niespełna rozumu.

Następnego dnia zasiedli razem przy restauracyjnym stoliku. Faye opowiedziała o tym, co przydarzyło się jej ostatnimi czasy, o przeprowadzce do Monterey Park. Abe słuchał jej zszokowany, ale i zaskoczony, że mimo tylu niepowodzeń nie popadła w marazm, nadal miała wiele energii i pomysłów na życie, zastanawiał się tylko, czy znajdzie się ktoś, kto da jej szansę na ich urzeczywistnienie.

– Czytałam gdzieś, że Ida Lupino wyreżyserowała film dla Warner Brothers.

– Wiem, ale mało znajdzie się takich, którzy uwierzą w ciebie. Mówiąc szczerze, bardzo niewielu – rzekł Abe prosto z mostu. – Poza tym, co powie na to twój mąż?

Faye pokręciła głową, biorąc głęboki oddech. Patrzyła na Abe'a, myśląc, jak niewiele się zmienił. Ciągle miał taką samą fryzurę, był stanowczy, ale i uprzejmy, a nade wszystko zupełnie szczerzy. Faye instynktownie wyczuwała, że miała w nim przyjaciela, na którego ciągle mogła liczyć.

– Ward jeszcze o niczym nie wie. Najpierw chciałam porozmawiać z tobą.

– Czy on przypadkiem nie będzie się sprzeciwiał twojemu powrotowi do Hollywood?

– Nie w tym przypadku. Co innego, gdybym zechciała znowu grać, ale sama dobrze wiem, że jestem za stara i zbyt długo mnie nie było.

– Faye, masz dopiero trzydzieści dwa lata, wcale nie jesteś za stara, rzecz w tym, że dawno się wycofałaś. Ludzie szybko zapominają, a młodzież ma teraz innych idoli. – Abe wydobyl z kieszeni pudełko z cygarami. – Twój pomysł bardzo mi się podoba. Spróbujemy nim kogoś zainteresować.

– Zgadzasz się więc?

Abe popatrzył na nią znacząco.

– Czy chcesz, żebym został twoim agentem, Faye?

– Tak.

Popatrzyli na siebie, uśmiechając się.

– Zgoda, rozejrzę się wokół i zobaczę, co da się zrobić.

Faye wiedziała, że ta deklaracja oznaczała, iż Abe będzie szukał, aż znajdzie, była o tym przekonana. Miała pewność, że Abe dotrze do każdej odpowiedniej osoby i instytucji, a jeżeli nic nie znajdzie, to dlatego, że naprawdę niczego nie mógł załatwić. Przez następne sześć tygodni nie było od agenta wiadomości, aż w końcu któregoś dnia zatelefonował, prosząc o spotkanie. Faye nie śmiała wypytywać przez telefon o szczegóły, po prostu wsiała do autobusu jadącego z Monterey Park do Hollywood. Cała w nerwach wbiegła po schodach do biura, bez tchu otworzyła drzwi i usiadła na krześle. Ciągle piękna, przemknęło Abe przez głowę na widok Faye ubranej w czerwoną sukienkę i czarny wełniany płaszcz. Wyprzedając kosztowną garderobę, Faye postanowiła zatrzymać kilka markowych ubrań na wszelki wypadek. I dobrze zrobiła. Teraz powinna odpowiednio się prezentować. Patrzyła na Abe pytającym wzrokiem. Agent nachylił się do niej przez biurko, wziął ją za

rękę. Był świadomy, jak bardzo jej zależało na pozytywnym załatwieniu sprawy.

– Więc? – zaczęła Faye.

– Spokojnie, to nie wielkiego, ale zawsze coś na początek, znalazłem dla ciebie pracę asystentki reżysera w filmie realizowanym przez MGM. Nie obiecuji sobie zbyt dużo, pensję dostaniesz śmieszna, ale mojemu przyjacielowi Dore Schary, bardzo spodobały się twoje pomysły. Chciałby się z tobą spotkać i zobaczyć, co potrafisz. Przygotuj się dobrze, bo on wie, jak radzi sobie Ida Lupino, a chciałby mieć kobietę w zespole.

Czasy świetności Dore Schary dawno już przeminęły. Mało kto pamiętał, że kiedyś uważano go za najbardziej pomysłowego, otwartego reżysera, jakiego mieli w studio MGM.

– Czy on mi powie, że jestem dobra, to znaczy jeśli będę, czy da mi jakieś zadanie?

Bezustannie zadawała sobie te pytania, doskonale wiedząc, że nikt nie pozwoliłby jej reżyserować samodzielnie od pierwszego razu. Abe pokręcił tylko głową.

– Dore podpisał kontrakt z głównym reżyserem, ale uważaj, ten facet nie jest dobry. Gdyby miał reżyserować film samodzielnie, to nie doszedłby dalej niż do połowy. Skoro ty jesteś asystentką, to na tobie spoczywa odpowiedzialność, możesz to doskonale wyzyskać. Reżyser ma reputację takiego, który lubi wypić, spóźnia się na plan albo wcale nie przychodzi, więc będziesz miała wolną rękę. Co nie znaczy, że kiedy ci się powiedzie, to dostaniesz więcej pieniędzy lub zaszczytów. Na to przyjdzie czas.

Faye skinęła głową na znak, że rozumie.

– Czy ten film jest dobry?

– Może być dobry – Abe streścił scenariusz, odczytał nazwiska aktorów. – Faye, to jest twoja szansa, dokładnie to, czego chciałaś. Próbuj, co masz do stracenia?

– Niewiele – Faye wpatrywała się w agenta skupiona, myśląc o tym, co przed chwilą usłyszała, zaczynało jej się to podobać. – Kiedy zacznę?

Abe przelknął ślinę, wiedział, jak bardzo Faye lubiła pracować, jak pilnie studiowała scenariusze, jeszcze na długo przed rozpoczęciem zdjęć.

– Zaczynasz w przyszłym tygodniu – powiedział z cieniem uśmiechu.

– Mój Boże – jęknęła Faye, przymykając oczy.

Nie dość, że nie będzie czasu na dokładne przeczytanie scenariusza, to jeszcze pozostaje Ward i jego zupełnie nieprzewidywalna reakcja na nowe

zajęcie żony. Faye postanowiła nie kłopotać się Wardem i jego ewentualnymi obiekcjami. Nadarzyła jej się okazja dostania pracy, o jakiej marzyła, i nie miała zamiaru z niej zrezygnować. W głębi duszy sama miała wątpliwości, czy podoła zadaniu, ale bardzo chciała spróbować, myślała o tym od wielu miesięcy. Spojrzała w oczy Abe'owi Abramsonowi i powiedziała zdecydowanie:

– Biorę to.

– Nic nie wspomniałem o honorarium.

– Mniejsza o to, jestem zdecydowana.

Abe wymienił sumę, którą miała otrzymać Faye. Rzeczywiście marność nad marnościami, ale najważniejsze, że dano jej szansę.

– Na plan będziesz musiała przychodzić około szóstej rano, a jeżeli zajdzie potrzeba, to nawet wcześniej. Będziesz pracować do ósmej, dziewiątej wieczorem. Nie wiem, jak w tej sytuacji dasz sobie radę z opieką nad dziećmi. Może Ward będzie mógł ci pomóc? – zasugerował Abe, jednocześnie nie potrafiąc sobie wyobrazić Warda poważnie traktującego jakiegokolwiek obowiązki. Przez całe życie miał na usługi zastępy służby i pomocników, bez nich był kompletnie bezradny.

– Mam kobiety do pomocy, Abe.

– To dobrze. – Abe wstał z fotela, uśmiechał się, tak jak za dawnych czasów, no prawie tak samo.

– Dziękuję, Abe.

– Nie ma za co – rzekł, patrząc na dawną gwiazdę ze współczuciem, jednocześnie podziwiając jej wolę walki z przeciwnościami losu. – Jeśli możesz, to wpadnij jutro, żeby podpisać kontrakt. – Podpisanie kontraktu oznaczało jeszcze jedną długą przejażdżkę autobusem, a od przyszłego tygodnia będzie musiała pokonać trasę z jednego krańca miasta na drugi dwa razy dziennie. Nic to, najważniejsze, że miała pracę, dzięki Abe'owi. Dla niego była gotowa nie tylko jeździć godzinami autobusem, ale przejść gołymi stopami po rozżarzonych węglach. Praca! Nieważne, że za śmieszłą zapłatę, od której jeszcze dziesięć procent należało się agentowi, to wszystko się nie liczyło. Grunt, że coś się ruszyło.

Faye wyszła z biura radośnie podekscytowana. Miała ochotę krzyczeć, biegać, przeskakiwać po dwa stopnie schodów. Przez całą drogę w autobusie uśmiechała się do siebie, wpadła do domu, niemalże taranując drzwi. Natychmiast pobiegła do Warda siedzącego w pokoju gościnnym, wyraźnie cierpiącego po wypiciu zbyt dużej ilości szampana podczas lunchu z przyjacielem. Usiadła mu na kolanach, zarzuciła ręce na szyję i zapytała figlarnie:

– Zgadnij, co się stało.

– Jeśli mi powiesz, że jesteś w ciąży, to się zabiję, ale wcześniej zabiję ciebie – rzekł Ward, śmiejąc się.

– Guzik, zgaduj jeszcze raz.

– Poddaję się.

Dopiero z bliska Faye była w stanie dostrzec, że oczy Warda były przekrwione i zamglone.

– Dostałam pracę! – Faye zupełnie nie zwróciła uwagi na chwilowy szok, jakiego doznał mąż, i mówiła dalej:

– Będę asystentką reżysera w filmie, który od przyszłego tygodnia zaczyna realizować MGM.

Ward powstał z krzesła tak gwałtownie, że Faye o mało nie wylądowała na podłodze, wprost z jego kolan.

– Oszalałaś? Po co to zrobiłaś? To jest według ciebie praca?

Patrzył na nią wściekły, gdy ona zastanawiała się, jak właściwie Ward wyobraża sobie zarabianie na życie? Może ma nadzieję, że uda im się jakoś przeżyć za procenty od pięćdziesięciu pięciu tysięcy dolarów, że pieniędzy wystarczy na utrzymanie ośmiu osób?

– Dlaczego, do cholery, to zrobiłaś? – krzyczał tak, aż dzieci wyszły z pokoi i obserwowały kłótnię oparte o balustradę schodów.

– Jedno z nas musi pracować, Ward.

– Mówiłem ci już, że codziennie zawieram coraz bardziej obiecujące znajomości.

– Cudownie, w takim razie niedługo powinieneś mieć intratne propozycje, ale ja też chcę coś robić. To może być dla mnie wspaniałe doświadczenie.

– Do czego ci to potrzebne? Chcesz wrócić do Hollywood?

– Nie chcę już grać, chcę reżyserować. – Faye zmuszała się, aby nie podnosić głosu. Chciała szczerze porozmawiać z Wardem i bardzo jej się nie podobało, że świadkami sprzeczki są dzieci.

Poleciła im pójść do pokoi, ale one zignorowały nakaz. Ward zdawał się zupełnie nie zwracać na nie uwagi, już dawno przestały go żywotniej interesować.

– Myślę, że powinniśmy odłożyć tę rozmowę na później.

– Do diabła, rozmawiamy teraz! – krzyczał Ward. – Dlaczego mnie nie zapytałaś, zanim zgodziłaś się na tę pracę?

– Ta okazja nadarzyła się nagle.

– Kiedy?

– Dzisiaj.

– Doskonale, w takim razie odwołaj wszystko, zadzwoń i powiedz, że zmieniłaś zdanie i rezygnujesz.

Faye poczuła, że zaczyna tracić panowanie nad sobą, ogarniała ją furia.

– Dlaczego niby miałabym to zrobić? Ja chcę mieć tę pracę bez względu na marną zapłatę albo twoją opinię na ten temat. Właśnie tym chcę się zajmować i pewnego dnia będziesz zadowolony z mojej decyzji. Jedno z nas musi coś zrobić, żebyśmy się wygrzebali z tego bałaganu – wyrzuciła z siebie Faye i natychmiast pożałowała swoich słów.

– Jedno z nas? Oczywiście ty?!

– Może właśnie ja. – Faye starała się trzymać nerwy na wodzy.

– Świetnie. – Ward złapał marynarkę, rzucając wokoło wściekle spojrzenia. – Więc wołałabyś, żebym sobie poszedł?

– Naturalnie, że nie.

Ale Ward nie mógł już tego usłyszeć, wyszedł z domu, trzaskając drzwiami.

– Czy on jeszcze do nas wróci?! – zapytał Gregory, przekrzykując płaczące bliźniaczki.

– Na pewno wróci – uspokajała Faye, idąc po schodach do dzieci. Ogarnęło ją znużenie. Dlaczego Ward wszystko utrudniał?

Pewnie dlatego, że myśl o żonie utrzymującej rodzinę raniła jego męskie ego, rozmyślała Faye, zajmując się dziećmi. Wzięła na ręce Valerie i Vanesę, bez trudu mogła nosić obie naraz. Była silna, nie tylko fizycznie, i to również wprawiało Warda w irytację. Nie potrafił dać sobie rady z realiami, uciekał w picie, w zależności od nastroju winę za kłopoty rodziny przypisywał sobie albo jej. Konsekwencje zawsze ponosiła ona.

Tej nocy Faye nie spała do czwartej nad ranem, modląc się, żeby Ward nie rozbił się gdzieś samochodem. Wreszcie pojawił się kwadrans po czwartej, rozsiewając wokół odór dżinu, ledwie miał siłę, aby wczołgać się do łóżka.

Faye zrezygnowała z rozmowy. Poczekaj z tym do rana, zdecydowała, kiedy choć trochę będzie zdolny do myślenia. Rankiem Ward, rozstrojony i skacowany, wcale nie był lepiej usposobiony.

– Na litość boską, Ward, posłuchaj mnie – prosiła Faye, nerwowo spoglądając na zegarek, wiedząc, że musi zdążyć na autobus do Hollywood. Abe czekał na nią z umową i scenariuszem.

– Nie chce mi się słuchać tych bzdur. Jesteś kompletną wariatką, tyle samo wiesz o reżyserowaniu co ja, a ja nie wiem nic – odpowiedział Ward, patrząc na nią zły.

– To prawda, nie znam się na reżyserowaniu, ale mam zamiar się nauczyć, właśnie dlatego chcę dostać tę pracę, może potem zatrudnią mnie

po raz drugi, trzeci, aż wreszcie coś będę umiała. Nadal myślisz, że jestem pomyłona?

– Gównno.

– Ward, proszę, posłuchaj mnie uważnie i rozważ, co powiem. Producenci to ludzie o szerokich kontaktach. Nie muszą znać się na filmie, nie muszą nawet udawać, że lubią kino, choć lepiej, jeśli tak robią. Producenci są tylko pośrednikami, zawierają kontrakty, szukają sponsorów. To wymarzona praca dla ciebie! Pomyśl, masz rozległe znajomości, znasz bogatych ludzi, którzy z czystego snobizmu z przyjemnością inwestowaliby w filmy, chcąc poznać środowisko Hollywood; za jakiś czas, jeśli się postaramy, moglibyśmy pracować w duecie: ty jako producent, ja jako reżyser.

Ward spojrział na Faye, jakby naprawdę podejrzewał ją o szaleństwo.

– Dlaczego nie zaproponujesz, żebyśmy zagraли w wodewilu? Ty po prostu jesteś nienormalna i zamierzasz się publicznie ośmieszyć.

Faye nie miała czasu na jałową dyskusję, wzięła torebkę, płaszcz i poszła w kierunku drzwi,

– Śmiej się ze mnie, jeśli chcesz, Ward, ale pewnego dnia przekonasz się, że miałam rację. Powiem ci więcej, jeżeli kiedyś w końcu wydorosłesz, to może zainteresujesz się moim pomysłem, bo to nie jest takie szaleństwo, jak tobie się zdaje. Tymczasem pomyśl o tym, oczywiście, jeśli znajdziesz wolną chwilę pomiędzy kolejnymi drinkami – powiedziała, wychodząc i zostawiając Warda sam na sam z myślami.

Przez następne dwa miesiące Thayerowie prawie się nie widywali. Faye wychodziła z domu po czwartej, spędzała ponad godzinę w autobusie, pracowała do późna. Wracała po dziesiątej, kiedy dzieci już spały, a Ward, jak zwykle, miał wychodne. Nigdy nie pytała go, co robi. Po przyjeździe z pracy natychmiast kładła się do łóżka, czytając przed snem kawałek scenariusza. Pracowała jak wyrobnik, ale nie poddawała się. Jej stosunki z reżyserem układały się bardzo źle. Krytykował ją za każdą samodzielną inicjatywę, zawsze kiedy tylko pojawił się na planie. Na szczęście nie przychodził zbyt często, więc Faye nie musiała się nim przejmować. Współpraca między nią i aktorami układała się znakomicie. Faye zaskarbiła sobie ich sympatię, dzięki czemu w studio panowała wspaniała atmosfera, a praca nad filmem posuwała się szybko i sprawnie. W tydzień po zakończeniu zdjęć Ward zniknął z domu, zostawiając wiadomość, że wyjeżdża do Meksyku, ponieważ chce zobaczyć się ze starymi przyjaciółmi. Faye nie mogła pozwolić, by ogarnęła ją panika, zmusiła się do skupienia uwagi na dzieciach, z którymi prawie się nie widywała podczas kręcenia filmu.

Właśnie bawiła się z Anne, gdy do pokoju weszła służąca, oświadczając, że telefonuje Abe.

– Faye? – znany głos wibrował jej w uszach.

– Tak, to ja, Abe. – Faye wstrzymała oddech.

Boże, spraw, żeby spodobało im się, co zrobiłam, zaniosiła błagalne wezwanie.

– Mam dobre nowiny. Schary jest zachwycony.

– O Boże – łzy napłynęły jej do oczu.

– Chce ci dać drugi film.

– Będę reżyserować sama?

– Nie, będziesz jeszcze raz asystować, ale za lepsze pieniądze i lepszemu reżyserowi. Schary uważa, że dużo się od niego nauczysz.

Abe wymienił nazwisko reżysera. Faye zamarła, wiele o nim się mówiło, a kilka lat temu on właśnie był reżyserem jednego z filmów, w którym grała. Profesjonalizm tego człowieka zrobił na niej wówczas wrażenie. Przez moment chciała zapytać, kiedy będzie mogła spróbować samodzielnej reżyserii, ale natychmiast nakazała sobie być cierpliwą. Abe przedstawił jej szczegóły kontraktu i zapytał o jej decyzję.

– Zgadzam się – powiedziała Faye.

Thayerowie ciągle rozpaczliwie potrzebowali pieniędzy, kłopoty pojawiały jak grzyby po deszczu, a na dodatek Ward postanowił regenerować siły w Meksyku. Teraz, kiedy nie było ich stać na takie wydatki. Faye musi poważnie porozmawiać z Wardem natychmiast po jego powrocie. Pragnęła jego powrotu również dlatego, a może przede wszystkim dlatego, że tęskniła. Bez niego czuła się beznadziejnie samotna.

– Kiedy zaczynam, Abe?

– Za sześć tygodni.

– Dobrze. Będę miała trochę czasu dla dzieci.

Dla dzieci, a co z Wardem? – zastanowił się Abe. Faye już od jakiegoś czasu nie wspominała o mężu i agent wziął to za znak rozpadu związku, zresztą oczekiwał tego. W jego pojęciu Ward nie był zdolny zaakceptować drastycznych zmian, przystosować się do innego życia. Naturalną koleją rzeczy, małżeństwo Thayerów nie mogło wytrzymać próby czasu, a Faye musiała odnaleźć własną drogę. Abe nigdy do końca nie pojmował, dlaczego Faye była tak bardzo przywiązana do męża. Lata małżeństwa niczego nie zmieniły, wydawało się, że nic nie jest w stanie ostudzić jej uczuć do Warda, że jest jej potrzebny do życia jak powietrze.

W kilka dni później wrócił Ward. Na jego widok Faye zalała fala szczęścia. Wyglądał zdrowo, był opalony, rozluźniony, w ręce trzymał walizeczkę ze skóry aligatora, palił cienkie, kubańskie cygaro. Sprawiał wrażenie człowieka, któremu świat ściele się u stóp. Było już dobrze po północy,

więc Ward nie krył zaskoczenia, gdy zastał Faye w pokoju gościnnym, czytającą scenariusz.

– Udała się wycieczka? – zaczęła Faye chłodnym głosem, starając się ze wszystkich sił nie dać poznać, jak bardzo za nim tęskniła.

– Tak, przepraszam, że nie pisałem.

– Pewnie nie miałeś czasu – powiedziała Faye z sarkazmem. Patrzyła na męża z narastającym gniewem. Najpierw wyjechał jak gdyby nigdy nic, teraz wrócił i nawet nie pyta, jak sobie radziła. Nagle, w ułamku sekundy, zrozumiała wszystko. – Z kim byłeś?

– Ze starymi znajomymi – odrzekł, stawiając na podłodze elegancką walizeczkę i sadowiać się na sofie.

– Ciekawe, wcześniej nic nie wspominałeś.

– Dostyc nagle zdecydowałem się na wyjazd. – W oczach Warda pojawiło się zmieszanie. – Nie miałem okazji z tobą porozmawiać, byłaś zajęta filmem.

Ach, więc chodziło o rewanż za znalezienie pracy!, pomyślała.

– Rozumiem, oczywiście, ale następnym razem, jeżeli poczujesz nieodparty impuls wyjazdu na trzy tygodnie, spróbuj zadzwonić do wytwórni. Będziesz zaskoczony, jak łatwo się ze mną skontaktować.

– Nie wiedziałem o tym – odpowiedział bez przekonania.

– Domyślam się. – Faye zajrzała Wardowi w oczy. Była pewna, że zna prawdziwy powód pośpiesznego wyjazdu męża, tylko nie miała pojęcia, jak mu to powiedzieć.

Poranne gazety przedstawiły sytuację z całą jasnością. Faye pozostało tylko obudzić Warda i cisnąć mu nimi w twarz.

– Nie sądzę, aby publiczne deklaracje, w jakich kobietach gustujesz albo jaką masz opinię o tych, które zabierasz na wakacje, były w dobrym tonie.

Mówiąc to, Faye skręcała się w środku, miała ochotę zabić Warda. Była jednak zbyt dumna, aby okazać mu, jak bardzo czuła się zraniona jego romansem, choć wiedziała, że ta przelotna miłośćka to sposób Warda na radzenie sobie z kłopotami, ucieczka od rzeczywistości, podsycanie wiary, że ciągle należy do dawnego środowiska. Bez względu na motyw jego postępowania, między nimi wszystko skończone, pomyślała Faye.

Ward aż jęknął na widok artykułu.

„Dawny milioner, teraz bankrut. Ward Thayer IV i Maisie Abernathie wrócili z Meksyku. Po trzech tygodniach spędzonych na jachcie Maisie wyglądają na ogromnie szczęśliwych, zagadką pozostaje reakcja żony...”.

Faye patrzyła na Warda, po raz pierwszy w życiu otwarcie okazując mu nienawiść.

– Możesz ich poinformować, że odchodzę od ciebie. Nie życzę sobie być obiektem dociekań podobnych szmatławców. Ty sukinsynu, czy właśnie tak zamierzasz poradzić sobie z problemami? Włóczęc się z takimi jak ona? Na samą myśl o was robi mi się niedobrze.

Maisie Abernathie miała reputację zepsutej, zarozumiałej nimfomanki, która sypiała z prawie każdym mężczyzną, którego знаła, z wyjątkiem mnie, zwykł żartować Ward, ale teraz i jego włączyła do kolekcji.

Faye wyszła z sypialni, trzaskając drzwiami. Gdy Ward zszedł do kuchni, dowiedział się, że żona poszła odprowadzić dzieci do szkoły. W przerwie między filmami starała się spędzać z nimi jak najwięcej czasu, żeby jakoś wynagrodzić im ciągłą nieobecność, gdy pracowała. Tego poranka, idąc z nimi do szkoły, myślami była nieobecna.

Po powrocie do domu zastała Warda w kuchni, ubranego w niebieską piżamę kupioną przed laty w Paryżu, czekającego, aby z nią porozmawiać.

– Muszę z tobą pomówić – powiedział, zalękniony.

Faye przeszła obok, nie zwracając na niego uwagi. Chciała wyjść do biblioteki.

– Nie mam ci nic do powiedzenia, rób, co tylko chcesz, znajdę prawnika, który załatwi z Burfordem, co trzeba.

Powoli dochodziła do przekonania, że Maisie Abernathie nie była tylko chwilowym kaprysem.

– Naprawdę to takie proste? – złapał ją za ramię. Wyrwała się, unikając jego wzroku. Po chwili spojrzała mu prosto w twarz, tak nienawistnie, że zaczął się bać. W jednej chwili zdał sobie sprawę, co zrobił, z żalu pękało mu serce. – Faye, posłuchaj mnie. To wszystko było tylko głupią pomyłką. Po prostu musiałem się stąd wydostać, od dzieci krzyżujących przez całe dnie, ciebie nigdy nie było, ten dom mnie przygnębiał. Nie mogłem tego znieść.

– Dobrze, więc możesz się wyprowadzić na stałe. Przenieś się do Beverly Hills, do Maisie. Jestem pewna, że sprawisz jej wiele radości, gdy z nią zamieszkaasz.

– Jako kto? – spojrzał na żonę z goryczą. – Jej kierowca? Do diabła, ja nie mogę dostać żadnej pracy, a ty pracujesz całe dni. Jak, do cholery, mam się z tym pogodzić? Nie mogę tego wytrzymać. Nie tak mnie wychowano... sam już nie wiem.

Faye patrzyła na niego bez współczucia. Tym razem posunął się za daleko. Picie, użalanie nad sobą, niemożność znalezienia pracy, kłamstwa,

nim okazało się, że są bankrutami, była mu w stanie wybaczyć, tylko nie to. Ward wzrokiem żebrał o zrozumienie.

– Nie mogę dać sobie rady. Ty jesteś twarda. Masz siłę, której ja nie mam. Nie wiem, skąd ją bierzesz.

– To się nazywa charakter. Ty też go masz, ale nie dajesz sobie szansy, bezustannie racząc się alkoholem.

– Być może nie potrafię inaczej, zresztą sama o tym dobrze wiesz. Powinienem zostać na wakacjach na zawsze.

– Co? – Faye spojrzała na Warda blada, czując, jak ciarki przechodzą jej po plecach.

– Mam na myśli, że powinienem usunąć się z twojego życia – rzekł spokojnym tonem, bez cienia wątpliwości.

Teraz? Przecież to byłoby świństwo. Była przerażona, mimo wcześniejszych słów, tak naprawdę nie chciała stracić Warda, ciągle go bardzo kochała, na dodatek mieli pięcioro dzieci, w takiej sytuacji nie można ot tak sobie odejść.

– Jak nam wszystkim mógłbyś to zrobić? – spytała Faye.

Nie potrafił spojrzeć jej w oczy, tak jak nie potrafił pogodzić się z myślą, że ponosił odpowiedzialność za wszystko, co się stało. Miał świadomość, że nie jest w stanie pomóc Faye. Nie miał jej nic do zaoferowania, bo sprawiała wrażenie, że doskonale radzi sobie bez niego. Tak przynajmniej myślał, chcąc uspokoić sumienie. Starał się omijać wzrokiem jej twarz, bojąc się ujrzeć w niej rozpacz i bezradność.

– Ward, co się z nami dzieje? – zapytała łamiącym się, ochryplym głosem.

Ward westchnął głęboko. Podszedł do okna, spojrzał na podwórko sąsiadów i walające się tam śmiecie.

– Myślę, że już czas, żebym się wyprowadził, znalazł pracę i pozwolił ci zapomnieć, że się kiedykolwiek znaliśmy.

– A co z dziećmi? Im też każesz zapomnieć, że mają ojca? – Faye patrzyła na Warda, nie mogąc uwierzyć, że naprawdę zamierzał odejść, zdało jej się, że to tylko koszmarny sen.

– Będę ci przysyłał jakieś pieniądze – odwrócił się od okna i spoglądał na Faye.

– Chodzi o Maisie, prawda? Traktujesz ją poważnie? – zapytała, dochodząc do wniosku, że nic już nie może jej zaskoczyć. Pomyślała, że Ward desperacko chce powrócić do dawnego życia, a Maisie, bez wątpienia, była jego częścią.

– Nie, nie chodzi o nią. Ja po prostu muszę być gdzie indziej – powiedział z goryczą w głosie. – Myślę, że powinienem zostawić cię samą,

żebyś mogła zbudować sobie nowe życie. Gdybyś wyszła za jakiegoś znanego aktora, prawdopodobnie zaszłabyś daleko, ciągle masz na to szansę.

– Gdybym tego chciała, postąpiłabym tak wiele lat temu, ale ja chciałam ciebie.

– A teraz? – zapytał, krzesając z siebie odwagę, na którą stać go było po raz pierwszy od kilku lat. Nie mógł upaść niżej ani niczego więcej stracić. Nie miał już nawet Faye.

– Nie wiem, kim ty właściwie jesteś, Ward. Nie rozumiem, jak mogłeś pojechać z nią do Meksyku. Może rzeczywiście będzie lepiej, jeśli do niej wrócisz – rzekła, patrząc na niego pustym wzrokiem.

– Być może tak zrobię – odpowiedział, wchodząc na schody. Po chwili z sypialni zaczęły dochodzić odgłosy otwieranych szaf i szuflad, z których Ward wyjmował swoje rzeczy, pakując je do toreb.

Faye usiadła w kuchni, wpatrując się bezmyślnie w filiżankę z kawą. Rozmyślała o siedmiu latach małżeństwa i nagle zaczęła płakać. Uspokoiła się dopiero, gdy nadeszła pora odebrać dzieci ze szkoły. Gdy z nimi wróciła, Warda już nie było, więc dzieci nie zorientowały się, że tata zdążył wrócić i opuścić rodzinę. W związku z tym Faye nie musiała im niczego tłumaczyć. Wieczorem przygotowała obiad: wysuszoną pieczeń z baraniny, zapiekane ziemniaki zbyt długo przetrzymane w piekarniku, przypalony szpinak. Była rozstrojona, nie mogła skoncentrować się na gotowaniu. Przez cały czas zastanawiała się, dokąd poszedł Ward. Bez wątpienia, zatrzymał się u Maisie. Może robienie mu wyrzutów było błędem?

Położyła się do łóżka, rozpamiętując swe życie z Wardem. Sięgnęła wspomnieniami aż do czasów Guadalcanal, przypominała sobie ich wspólne marzenia, czułość... zaczęła płakać, zasnęła, tęskniąc za Wardem.

Rozdział dziewiąty

Drugi film, przy którym pracowała Faye, był o wiele trudniejszy od pierwszego. Reżyser nie schodził z planu, bezustannie wysuwał nowe, trudne żądania, wydawał Faye polecenia, krytykował jej pomysły. Bywały chwile, że Faye miała ochotę go sprać, ale na koniec współpracy została przez niego wtajemniczona. Nauczył ją rozmaitych

reżyserskich chwytów, tak bardzo potrzebnych, by mogła urzeczywistnić swoje ambitne plany. Praca przy realizacji tego filmu przyniosła jej wiele doświadczeń, z pewnością nauczyła więcej niż lata teoretycznych studiów. Faye była za to reżyserowi ogromnie wdzięczna. Ostatniego dnia zdjęć, schodząc z planu, obdarzył ją komplementem, który sprawił, że po jej policzkach potoczyły się łzy wzruszenia.

– Co ci powiedział? – dopytywali się świadkowie tej sceny.

– Powiedział, że bardzo chciałby ze mną jeszcze pracować, ale że to niemożliwe, bo następny film będę reżyserowała sama – wyjaśniła, z uśmiechem przyjmując gratulacje i uściski od aktorów świętujących zakończenie pracy. – Mam nadzieję, że się nie myli.

W dwa miesiące później okazało się, że reżyser wiedział, co mówi. Zaoferowano Faye pierwsze samodzielne zadanie reżyserskie, film kręcony w MGM. Dore Schary postanowił dać jej wielką szansę.

– Moje gratulacje, Faye.

– Dzięki, Abe.

– W zupełności ci się to należało.

Początek produkcji zbiegał się z nowym rokiem szkolnym. Lionel pójdzie wówczas do drugiej klasy. Greg do pierwszej, bliźniaczki do najstarszej grupy w przedszkolu. Tylko Anne, niespełna dwuletnia, miała pozostać w domu z opiekunką. Faye czuła się winna wobec swego najmłodszego dziecka, zawsze pozostającego jakby w cieniu starszych. Ciągle obiecywała sobie, że poświęci Anne więcej uwagi, ale nigdy nie miała wystarczająco dużo czasu, zawsze było coś do zrobienia, coś, co wymagało od niej uwagi i absorbowało czas, który chciała spędzić z córką. Trudno nagle rzucić wszystko i skoncentrować się na małym dziecku, usprawiedliwiała się Faye sama przed sobą. Przychodziło jej to tym łatwiej, że Anne nie była dzieckiem, które wymuszało zainteresowanie sobą. Wydawała się zadowolona z opieki bardzo kochającej ją niani i Lionela okazującego wielkie przywiązanie do małej siostrzyczki.

Perspektywa kręcenia pierwszego samodzielnego filmu wprawiała Faye w stan radosnej ekscytacji, ale nawet wtedy nie była w stanie przestać myśleć o Wardzie. Bezustannie zastanawiała się, co się z nim dzieje. Od dnia wyprowadzki nie dawał znaku życia. Pewnego dnia Louella Parsons zamieściła w swojej gazecie małą notatkę na jego temat. Niewiele z niej wynikało, ale przynajmniej nie padło przy okazji nazwisko Maisie Abernathie.

W tym stanie rzeczy błogosławiństwem dla Faye był szczelnie wypełniony czas. Głowę miała zajęta przygotowaniami do pracy, robieniem planów dotyczących filmu. Wreszcie poprosiła Abe o znalezienie

dla niej adwokata, a gdy dostała numer telefonu, z dnia na dzień odkładała rozmowę, znajdując rozliczne usprawiedliwienia na własną opieszałość.

W pewne lipcowe popołudnie, gdy dzieci bawiły się z nianią w ogrodzie pełnym własnoręcznie posadzonych kwiatów, w drzwiach domu ukazał się Ward. Ubrany w biały płócienny garnitur i niebieską koszulę wyglądał przystojniej niż kiedykolwiek wcześniej. Na jego widok Faye, przez ułamek sekundy, poczuła ogromną radość i równie wielkie pragnienie, by rzucić się w jego ramiona. Bardzo szybko stłumiła emocje, przypominając sobie, że Ward ją porzucił, nie dawał znaku życia i tylko Bóg wie, z kim i gdzie się podziewał. Faye popatrzyła na Warda speszona i zaraz potem spuściła wzrok.

– Słucham?

– Mogę wejść?

– Po co? – spoglądała na niego nerwowo. – Twój widok zdezorientuje dzieci.

Dopiero niedawno przestały się dopytywać o tatę. Faye była pewna, że Ward nie zamierza pozostać, nie chciała więc narażać dzieci na niepotrzebne stresy.

– Nie widziałem moich dzieci od prawie czterech miesięcy. Nie mógłbym chociaż wejść do środka i się z nimi przywitać?

Faye zawahała się przez moment. Patrzyła na Warda, stwierdziła, że wyszczupłał i dzięki temu, z niechęcią, ale musiała przyznać, wyglądał bardzo korzystnie. Podeszła kilka kroków w jego kierunku.

– Więc? – zaczęła.

Ward przestąpił próg. Nagle dom wydał się Faye brzydszy niż zazwyczaj, jakby zobaczyła go oczami Warda.

– Więc nic się tutaj nie zmieniło – dokończył Ward. Jego stwierdzenie sprawiło Faye przykrość.

– Przypuszczam, że ty mieszkasz w Beverly Hills – odcięła się, raniąc Warda dokładnie tak, jak zamierzała. Było to jednocześnie rewanżem za doznane krzywdy i przygotowaniem do kolejnej rozgrywki – zakładała, że celem jego wizyty nie mogło być nic innego jak dalsze sprawianie jej bólu.

– Nie mieszkam w Beverly Hills. Faye, czy ty naprawdę myślisz, że mógłbym wyprowadzić się tam, zostawiając was w tych warunkach? – zapytał.

Tak, właśnie tak myślała.

– Nie wiem, co mógłbyś, a czego nie mógłbyś zrobić – odpowiedziała, celowo nie zauważając, że trzymał w ręku czeki. Sama utrzymywała

dom z pensji i pieniędzy pozostałych po wyprzedazy majątku. Nie miała pojęcia, z czego żył Ward, i nie miała ochoty go pytać.

W tym momencie do pokoju wbiegły z krzykiem dzieci. Lionel zatrzymał się, szeroko otwierając ze zdumienia oczy, po chwili postąpił kilka kroków naprzód, ale został staranowany przez Grega, który rzucił się ojcu na szyję. Za nim podążyły bliźniaczki. Mała Anne wpatrywała się w Warda z otwartymi ustami, nie potrafiła sobie przypomnieć, kim jest ten mężczyzna. Przysunęła się do matki, gestem domagając się wzięcia na ręce, co Faye zrobiła, przypatrując się trójce dzieci całujących i ściskających ojca. Jedyne Lionel spoglądał na nią, jakby pytając, co ma zrobić.

– W porządku, Lionel, możesz przywitać się z tatą – powiedziała cicho, ale nawet mimo jej zapewnienia najstarszy syn stał z boku, przyglądając się rodzeństwu. Ward po chwili nakazał wszystkim umyć się i obiecał, że zaraz potem pójdą razem na hamburgery i lody.

– Masz coś przeciwko temu? – zapytał Faye, gdy dzieci pobiegły na górę.

– Nie – pokręciła głową. – Nie mam – spojrzała na niego niepewnie. Minęły tylko cztery miesiące, odkąd nie mieszkali razem, czy to możliwe, by przez tak krótki czas stali się sobie prawie obcymi ludźmi? pomyślała.

– Mam pracę, Faye – rzekł takim tonem, jakby oczekiwał fanfar. Faye powstrzymała się od uśmiechu.

– Och!

– W banku, nic wielkiego. Dostałem ją od jednego z przyjaciół ojca. Przez cały tydzień siedzę za biurkiem, a w piątek dostaję czek.

– Och!

– Nie umiesz nic innego powiedzieć, do diabła?! – zawołał ze złością.

Nigdy wcześniej jej takiej nie widział, chłodnej, obojętnej. Być może to praca w wytwórni ją zmieniła? Odetchnął głęboko i postanowił spróbować raz jeszcze.

– Pracujesz teraz? – zapytał, z góry wiedząc, że to niemożliwe, bo wtedy nie zastałby jej w domu z dziećmi.

– Mam jeszcze miesiąc wolnego, potem zaczynam swój własny film – odpowiedziała, zirytowana na swą gadatliwość. W końcu, co go to obchodziło, jak sobie dawała radę!

– Wspaniale! – Ward, zakłopotany, przestępował z nogi na nogę. Patrzył na Faye, nie bardzo wiedząc, co dalej mówić. Przewidujesz udział wielkich gwiazd?

– Kilku.

Ward zapalił papierosa. Dziwne, wcześniej tylko okazjonalnie palił cygara.

– Twój pełnomocnik nie kontaktował się z nami.

– Nie miałem czasu zająć się tym, ale już niedługo to się stanie.

– Och.

Dzieci zbiegły z góry umyte, gotowe na wyprawę do miasta. Ward pokazał im swój samochód, starego forda rocznik 49, ale dobrze utrzymanego.

– Na pewno to nie dusenberg, ale jest całkiem praktyczny. Jeżdżę nim do pracy – patrzył na żonę przepraszającym wzrokiem. Faye postanowiła mu nie mówić, że nadal musi korzystać z autobusu, a na dodatek miesiąc temu furgonetka ostatecznie odmówiła posłuszeństwa, pozbawiając rodzinę jedyne go środka transportu.

– Chciałabyś pojechać z nami, Faye?

Początkowo odmówiła, ale po chwili zdecydowała się wziąć udział w wyprawie, zarówno ze względu na dzieci, błagające, aby pojechali razem, jak i chęć dowiedzenia się, gdzie Ward mieszkał, gdzie był, czy nadal spotykał się z Maisie Abernathie. Usiłowała sobie wmówić, że to tylko ciekawość, że nie ma dla niej znaczenia, czy Ward robi wrażenie na kobietach. Trwała w tym przekonaniu do czasu, gdy znaleźli się w restauracji i zauważyła, że kobiety nadal patrzą na jej męża z wielkim zainteresowaniem. Faye mężczyźni nie odprowadzali wzrokiem. Kompletnie nie miała szans na zwrócenie na siebie uwagi, wszędzie chodziła z pięciorgiem dzieci i raczej nimi wzbudzała sensację, podsumowała z rezygnacją.

– Są cudowne – powiedział Ward w drodze do domu, wskazując na całą czwórkę harczującą na tylnym siedzeniu ciemnoniebieskiego forda.

– Świetnie umiesz z nimi postępować.

– Mówisz, jakby nie było cię kilka lat, a nie kilka długich miesięcy. Ward.

– Czasami mam wrażenie, że to były lata – zamilkł na chwilę, a gdy stali na czerwonym świetle, powiedział cicho:

– Naprawdę za wami tęskniłem.

My też za tobą tęskniliśmy, chciała wyrzucić z siebie Faye, ale zmusiła się do milczenia, z zaskoczeniem stwierdziła, że Ward trzyma ją za rękę.

– Nie przestaję żałować tego, co zrobiłem, jeśli to ma dla ciebie jakiegokolwiek znaczenie – powiedział niskim, cichym głosem. – Odkąd opuściłem nasz dom, nie umówiłem się już z żadną kobietą.

„Nasz dom” – te słowa wypowiedziane przez Warda zburzyły mur, za którym schroniła się Faye – wzruszona, odwróciła się do męża, po policzkach potoczyły jej się łzy.

– Kocham cię, Faye.

Usłyszała to, za czym tęskniła przez cztery miesiące. Podjechali przed dom, dzieci wyskoczyły z samochodu i rozpieczęły się po podwórku. Ward poprosił je, aby poszły do domu, obiecując, że za chwilę do nich dołączy.

– Kocham cię ponad wszystko, maleńka.

– Ja też cię kocham – powiedziała Faye, szlochając – źle mi było bez ciebie.

– Mnie też było okropnie. Myślałem, że umrę bez ciebie i dzieci, zdałem sobie sprawę, że nawet bez wielkiego domu...

– Nie potrzebujemy tego – przerwała mu i uśmiechnęła się – ale potrzebujemy ciebie.

– Nie tak bardzo jak ja potrzebuję ciebie, Faye Thayer – spojrzał na nią z wahaniem. – Czy może Faye Price?

– Nic z tych rzeczy – roześmiała się przez łzy, widząc obrączkę ślubną na palcu męża, ciągle ją nosił. Dokładnie w tym samym momencie przed dom wyszedł Greg, ponaglając Warda.

– Idę, synku, jeszcze minutkę! – odrzyknął Ward. Tyle mieli sobie z Faye do powiedzenia.

– Idź do nich, one też bardzo za tobą tęskniły.

– Nawet w połowie nie tak bardzo, jak ja tęskniłem za nimi – rzekł, wyciągając rękę i przytulając Faye. – Może moglibyśmy spróbować jeszcze raz? Zrobię, co tylko będziesz chciała. Przestałem pić zaraz, jak się wyniosłem. Uświadomiłem sobie, że byłem totalnym osłem. Mam nudną pracę, ale zawsze to coś na początek... – Łzy napłynęły mu do oczu, nie potrafił dłużej panować nad emocjami. Położył głowę na jej ramieniu, chwilę milczał, a potem mówił dalej:

– Nie wiedziałem, co ze sobą zrobić, gdy ty wychodziłaś do pracy. Nie czułem się mężczyzną, mam wrażenie, że nigdy nim nie byłem, ale mimo to nie chcę cię stracić. Proszę, kochanie, proszę cię.

Wziął ją w ramiona i Faye poczuła, że jej serce nie jest samotne. Szczerze powiedziawszy, nie przekreśliła Warda, nie była pewna, czy w ogóle było ją na to stać. Położyła mu rękę na ramieniu i zaczęła płakać.

– Przez moment bardzo cię nienawidziłam, to znaczy chciałam cię nienawidzić.

– Ja też chciałem cię znienawidzić, ale wiedziałem, że to ja popełniłem błędy.

– Może ja również się pomyliłam, może powrót do pracy nie był najwłaściwszą rzeczą.

Ward zaprzeczył ruchem głowy.

– Miałaś rację – uśmiechnął się przez łzy. – Pamiętasz swój szalony pomysł zrobienia mnie producentem? – Patrzył na nią czule. Jakaż ona jest wspaniała, jakie to szczęście znowu trzymać ją w ramionach, chociażby tylko przez chwilę.

– To nie był zwariowany pomysł. To jest całkiem możliwe, mogłabym cię nauczyć wszystkiego, co powinieneś wiedzieć. Mógłbyś przychodzić na plan, kiedy znowu będziemy kręcić – przekonywała, patrząc na niego z nadzieją.

– Nie mogę, jestem teraz mężczyzną pracującym codziennie od dziewiętej do piątej.

– W porządku, ale pewnego dnia mógłbyś to zmienić, jeśli tylko zechcesz – roześmiała się Faye. Ward westchnął, położył żonie rękę na ramieniu.

– To mrzonka, moja przyjaciółko.

– A może wcale nie – spoglądała na męża, zastanawiając się, co jeszcze przyniesie im życie. – Chodźmy do dzieci.

Ward zatrzymał się na progu brzydkiego domu w Monterey Park.

– Spróbujemy jeszcze raz? A właściwie, czy dasz mi szansę. Faye?

Patrzyła na niego dłuższą chwilę, a potem uśmiechnęła uśmiechem, w którym gościły doznany ból, gorycz rozczarowania i zrodzona z nich mądrość. Życie przestało ją głaskać po głowie, świat przewrócił się do góry nogami, a ona przetrwała. Teraz ten sam mężczyzna, który ją zranił, opuścił, okłamał, zdradził, prosił, aby znowu mogli spróbować razem żyć. W głębi serca Faye czuła, że mimo wszystkich doznanych od niego krzywd, ciągle miała w nim najlepszego przyjaciela, który ją kochał tak samo jak ona jego. Brakowało mu poczucia odpowiedzialności i siły, które miała ona, był daleko mniej odporny na przeciwności losu, ale może ręka w rękę, ramię przy ramieniu, może, po prostu może... W gruncie rzeczy Faye nie musiała zastanawiać się, czy chciała dać Wardowi szansę, była przekonana, że im się uda.

– Kocham cię, Ward – powiedziała, podnosząc na niego wzrok, znowu czuła się młoda. Cztery beznadziejnie długie miesiące bez niego należały do przeszłości, nigdy więcej nie chciałyby czegoś podobnego doświadczyć.

Stali na progu domu, całując się. Na ten widok dzieci poczęły się śmiać. Greg najgłośniej ze wszystkich. Po chwili cała rodzina śmiała się zgodnym chórem. W życiu Thayerów znowu zaświeciło słońce.

Rozdział dziesiąty

Ward nigdy już nie powrócił do wynajmowanego pokoju w West Hollywood. Przeprowadził się do domu w Monterey Park, nawet nie zauważając drażniącej go poprzednio brzydoty. Nagle ten dom zaczął mu się wydawać najpiękniejszy na świecie.

Cała rodzina spędziła trzy sielankowe tygodnie, zanim dzieci rozpoczęły nowy rok szkolny, a Faye pracę nad nowym filmem. Gdy nadszedł pierwszy dzień zdjęć, Ward zaproponował, aby Faye korzystała z samochodu. Była mu za to ogromnie wdzięczna, dzięki temu nie traciła godzin na dojazdy autobusem. W ogóle Ward zachowywał się wręcz nienagannie. Czasy bajecznych prezentów całkowicie odeszły w niepamięć, a zamiast nich pojawiła się radość wspólnego jadańia własnoręcznie przygotowywanych obiadów, kupowania w dniu wypłaty małych podarunków, jak radio, książka czy ciepły sweter. Nadeszły czasy dawania sobie wsparcia i opieki, okazywania wzajemnego przywiązania i miłości. Ward robił wszystko, aby Faye czuła się z nim szczęśliwa. Gdy była zmęczona aż do bólu, natychmiast przygotowywał dla niej kąpiel i lał do wody olejek kupiony specjalnie dla żony, zawsze miał czas i ochotę na rozmowę. Był wzruszający w swej opiekuńczości i czasami właśnie dlatego Faye płakała, nie mogła uwierzyć w odmianę losu. Każdego dnia Ward udawał, jak bardzo kochał Faye, z gruzów poprzedniego życia budowali związek silniejszy i dojrzałszy. Czas leczył rany.

Faye doskonale odnajdywała się w nowych realiach. Jej pierwszy samodzielny film dostał bardzo dobre recenzje, za którymi poszły propozycje reżyserowania trzech następnych z udziałem największych gwiazd.

Powoli Faye odzyskiwała pozycję w Hollywood, tym razem nie jako utalentowana piękność, ale obiecujący, inteligentny reżyser, obdarzony umiejętnością kierowania dużym zespołem. Panowała o niej opinia, że potrafiła zrobić arcydzieło nawet z najpośledniejszego scenariusza. Abe Abramson i Dore Schary byli z niej ogromnie dumni, uważali ją za swe odkrycie. Kiedy nadeszła pierwsza oferta na rok 1955, Faye przedstawiła Abe'owi pomysł, który od dawna czekał na urzeczywistnienie. Agent, dowiadując się szczegółów, o mało nie spadł z krzesła.

– Faye, i ty oczekujesz, że ja w tym wezmę udział? – zapytał zszokowany. Facet nie miał zielonego pojęcia o filmach, cóż to za pomysły?! Faye

musiała zwariować, wyskakując z tą koncepcją. Po raz pierwszy w czasie ich długiej znajomości zaprotestował przeciwko zamiarom Faye.

– Nikt nie pójdzie na ten układ. On nie ma doświadczenia. W wieku trzydziestu ośmiu lat wie tyle na temat produkcji filmów, ile wie mój pies.

– Jak możesz coś takiego mówić? Poza tym przez ostatnie dwa lata nauczył się sporo na temat finansów i ma wielu wpływowych przyjaciół – odparła Faye, przywołując w pamięci twarz Warda, który nareszcie zachowywał się jak dorosły, odpowiedzialny człowiek.

– Faye, ja po prostu nie jestem w stanie zachęcić kogoś do kupna twojego pomysłu.

– Jeśli tak, to znaczy, że nie jesteś w stanie sprzedać również mnie. Chyba jasno się wyraziłam?

– Faye, nie popełniaj błędów, nie niszcz wszystkiego, co zdobyłaś. Jeśli zrobisz fałszywy krok, konsekwencje mogą być nieobliczalne. Sama wiesz, jak trudno wylansować kobietę reżysera, jakie to budzi emocje. Wszyscy tylko czekają, żeby powinęła ci się noga. Niech ci się nie wydaje, że wtedy ktoś wystąpi z ofertą.

Abe gubił się w argumentach, za wszelką cenę chciał odwieść Faye od pomysłu zrobienia Warda producentem. Faye uniosła rękę zdobną jedynie w ślubną obrączkę, chcąc przerwać potok jego słów.

– Doskonale o tym wiem, Abe, a ty wiesz, czego ja chcę – wstała i popatrzyła na agenta. – Jestem pewna, że przy odrobinie dobrej woli mógłbyś wszystko zorganizować. Wybór należy do ciebie, moje warunki znasz.

Abe był tak wzburzony, że miał ochotę rzucić czymś w drzwi, które zamknęła za sobą Faye.

Ku jego ogromnemu zdumieniu MGM bez oporów zaakceptowało ofertę Faye.

– Oni są jeszcze bardziej szaleni od ciebie – skomentował, rozmawiając z nią przez telefon.

– Zgadzą się! – wykrzyknęła.

– Zaczynacie w przyszłym miesiącu, to znaczy Ward zaczyna pierwszy, potem ty się dołączasz. Dostaniecie własne biuro w budynku MGM – mówił Abe głosem, w którym nadal słychać było niedowierzanie i rezerwę. – I lepiej będzie, jeżeli szybko przyjdziecie podpisać kontrakt, żeby ci z MGM nie połapali się w tej aferze i nie zmienili zdania. Powodzenia!

– Przyjdziemy jeszcze dzisiaj po południu.

– Fajnie – jęknął Abe.

Kilka godzin później Thayerowie wkroczyli do biura agenta.

Faye rozpierała duma, gdy Ward składał swój podpis. Być może to okropne, ale chwilami Faye miała wrażenie, że powinna być wdzięczna losowi za tę nagłą wolność w ich życiu. Sądziła, że to właśnie ciężkie przeżycia zrobiły z Warda prawdziwego mężczyznę. Abe przyglądał się dopełnianiu formalności z mieszanymi uczuciami. Wiedział jednak, że Faye zrobi wszystko, co w jej mocy, aby im się powiodło. Ucisnął obojgu ręce, pocałował Faye w policzek. Po ich wyjściu pokręcił głową, zastanawiając się, co przyniesie najbliższa przyszłość. Nigdy nic nie wiadomo. No cóż, zobaczymy.

Film okazał się sukcesem, początkiem wspólnej, wielkiej kariery, owocującej dwoma, trzema filmami rocznie. W pierwszych miesiącach 1956 roku Thayerowie nareszcie mogli sobie pozwolić na opuszczenie znienawidzonego przez Warda domu w Monterey Park. Wynajęli inny, większy i ładniejszy. W 1957 roku, po pięciu latach banicji, powrócili do Beverly Hills. Tym razem jednak ich siedziba nie kipiała przepychem, zamieszkali w dobrze utrzymanym, dużym domu z frontowym i tylnym ogrodem. Dzieci za największą atrakcję uznały niewielki basen. Abe Abramson przyszedł obejrzeć dom, stwierdzając, że cieszy się, jakby był członkiem rodziny. Nic jednak nie równało się z radością Faye i Warda. Udało im się, powrót był słodki jak pierwszy dzień pokoju po zakończonej wojnie.

Znowu w Beverly Hills 1964–1983

Rozdział jedenasty

Biurowo Warda w budynku MGM nie wyróżniało się niczym szczególnym. Sam gospodarz wodził po nim obojętnym wzrokiem, dyktując sekretarce pisma. Faye uchyliła drzwi i popatrzyła na męża. Sprawiało jej to przyjemność. W wieku czterdziestu siedmiu lat bardzo dobrze się trzymał. Włosy przyprószone siwizną tylko dodawały mu uroku, błękitne oczy pozostały wyraziste. Na twarzy pojawiło się kilka zmarszczek, lecz ciało zachowało dawną sprężystość. Ward przechadzał się po pokoju, w ręce trzymał ołówek, poruszając nim, jakby odmierzał

wypowiadane słowa, za trzy tygodnie miała się rozpocząć produkcja następnego filmu. Ward miał co do niego wiele obaw. Jak do tej pory Ward Thayer Productions radziło sobie znakomicie, cały czas utrzymywało wysoki poziom realizacji, a to zobowiązywało. Ward okazał się genialnym producentem, wbrew początkowemu sceptycznemu sądowi środowiska Hollywood. Faye miała rację, jej wiara w męża nie była bezpodstawna. Ward bardzo szybko przyswoił sobie zasady gry w tej branży. Był dokładny i skrupulatny, nigdy nie spóźniał się z kosztorysami filmów, zawsze też potrafił zdobyć fundusze na nowe realizacje. W pierwszym rzędzie pieniądze w filmy inwestowali zamożni przyjaciele Thayerów, później Ward zdobywał gotówkę od wielkich przemysłowców, właścicieli fabryk, sieci sklepów, którym pochlebiało otarcie się o światki filmowy. Abe Abramson zwykł mawiać, że Ward mógłby oczarować nawet ptaki na drzewach, gdyby te były w stanie rzucić chociaż grosik na nowy film. Przy pierwszych sześciu produkcjach Faye prawie cały czas asystowała Wardowi. Wspólnie obmyślali każde posunięcie, zdarzało im się, że zarywali noce, razem planując, wybierając najkorzystniejsze rozwiązania ewentualnych problemów. Od siódmego filmu nastąpił ścisły podział ról. Faye nie miała już nic wspólnego z produkcją, zajmowała się tylko reżyserią. Thayerowie tworzyli zgrany tandem, produkowali hit za hitem. Czasami nazywano ich złotą Hollywoodzką Dwójką i choć nie obywało się bez potknięć, to większość ich filmów okazywała się strzałami w dziesiątkę.

Faye była diabelnie dumna z Warda. Przestał pić, nie miewał żadnych skoków w bok, pracował ciężko, dobrze sobie radził i Faye czuła się z nim absolutnie szczęśliwa. Szczęśliwsza niż w bajkowych czasach pierwszych lat po ślubie. Tamten etap życia wydawał jej się tak odległy, że z trudem odtwarzała w pamięci poszczególne wydarzenia. Faye była świadoma, że Ward z nostalgią wzdycha do czasów prosperity, łatwego życia, wycieczek, tuzina służących, luksusowych samochodów. Nie miał jednak powodów do narzekania. Powodziło im się teraz całkiem nieźle, lubili swoją pracę, dzieci były już prawie dorosłe.

Uśmiechnęła się, spoglądając na zegarek, za chwilę będzie musiała przerywać mężowi. Ward wyczuł jej obecność w pokoju, odwrócił się do niej i odwzajemnił uśmiech, ich oczy się spotkały. Mieli szczęście. Mimo wszystko życie bardzo hojnie ich obdarowało. Miłość i wzajemna fascynacja przetrwały wszystkie ogniowe próby i teraz jaśniały łagodnym, niezmaconym blaskiem.

– Dzięki, Angela, resztę możemy odłożyć do popołudnia. – Ward podszedł do żony i ucałował ją. – Wychodzimy? – spytał.

Ward od zawsze używał tego samego płynu po goleniu, którego zapach stał się dla Faye jakby sygnałem, że Ward jest blisko. Spojrzała na elegancki, wysadzany szafirami zegarek подарowany jej przed rokiem przez męża.

– Myślę, że tak, kochanie, nasza gromadka jest już prawdopodobnie na granicy hysterii – rzekła, mając na myśli ceremonię zakończenia roku szkolnego w liceum Lionela. Pierwsze z dzieci Thayerów kończyło szkołę średnią i chociaż Lionel był bohaterem dnia, to jednak reszta dzieci równie mocno przeżywała uroczystość.

– Histerię przewiduję tylko w przypadku Valerie – powiedział z przekąsem Ward. Roześmieli się oboje, zdawało im się, że bardzo dobrze znają każde ze swoich dzieci, jedynie Valerie ciągle ich zaskakiwała. Miała silną osobowość, mnóstwo energii i odrobinę za wysokie wymagania wobec otaczających ją osób. Rude włosy doskonale harmonizowały z ognistym temperamentem, pozostającym w wielkim kontraście do usposobienia siostry bliźniaczki, Vanessy. Greg także należał do dynamicznych nastolatków, zafascynowany sportem, dawał na tym polu ujście swojej energii. Najmłodsza córka Anne, zasłużyła sobie na miano „dziecka niewidzialnego”. Cicha, spokojna, większość czasu spędzała w swoim pokoju, czytając albo pisząc wiersze. Żyła we własnym świecie, jakby w izolacji od reszty rodzeństwa. Czasami, w towarzystwie Lionela, stawała się spontaniczna, ale jeśli tylko do rozmowy chcieli się włączyć inni, Anne natychmiast zamykała się w sobie. Faye miała wrażenie, że gdyby sama nie okazywała zainteresowania najmłodszym dzieckiem, szukając córki po całym domu, nawołując, to mogłoby się zdarzyć, że nie widziałaby jej przez kilka dni. Anne zdawała się być nieprzeniknioną młodą osobą, o niezbadanej, niemożliwej do poznania duszy.

Ward i Faye czekali na windę w pobliżu swoich biur w budynku MGM. Dwa lata temu Thayer Productions dostało własne pomieszczenia i w ten sposób zakończyła się działalność w prowizorycznie urządzonych pokojach. Przed przenosinami Faye przeprowadziła remont biur, zmieniała wystrój wewnątrz, zaaranżowała je w kolorach białym i bładoniebieskim, przyozdobiła chromowanymi elementami. Thayer Productions realizowało filmy dla MGM, zajmowało się też własnymi, niezależnymi produkcjami. Interesy szły bardzo pomyślnie, według opinii Warda, głównie dzięki talentom organizacyjnym i pomysłowości Faye. Ona sama uważała, że mąż przesadza w pochwałach, mówiła raczej o sukcesie, będącym rezultatem wspólnej pracy i zaangażowania, ganiła męża za niedocenianie własnej wartości. Jednak to rzeczywiście Faye odegrała wiodącą rolę w rozwoju kariery Thayerów. Długo przed Wardem poznała kulisy przemysłu filmowego, potrafiła

dzięki temu trafić do odpowiednich osób i nakłonić je do współpracy, z czasem Ward też wyrobił sobie pozycję, ale wiele zawdzięczał kontaktom żony.

W MGM lubiano go za miłe, bezkonfliktowe usposobienie, poczucie humoru, bezpretensjonalny styl bycia.

Winda przyjechała po chwili, zawożąc Thayerów na parter, a stamtąd Ward i Faye poszli na parking do swego dwuletniego, czarnego cadillaca. Nie był to jedyny samochód posiadany przez rodzinę, w ich garażu stały jeszcze furgonetka używana na wakacyjne wyjazdy i ciemnozielony jaguar Faye, ale mimo to często dochodziło do kłótni. Lionel i Greg nieustannie walczyli o kluczyki do furgonetki. Dzisiejsze popołudnie zakończy utarczki braci. Ward i Faye w prezencie z podwójnej okazji ukończenia szkoły i urodzin mieli ofiarować synowi małego mustanga, najnowszy model: czerwony, z uchylanym dachem, białymi ściankami wewnętrznymi i czerwoną tapicerką. Zakupiony poprzedniego wieczoru oczekiwał na stosowny moment w garażu sąsiadów. Wręczenie kluczyków miało się odbyć zaraz po uroczystości szkolnej, a przed przyjęciem wydawanym dla przyjaciół Lionela.

– To niesamowite – powiedziała refleksyjnie nastrojona Faye, spoglądając na Warda, gdy jechali do domu.

– Lionel wkracza w dorosłe życie, a wydaje mi się, że to wczoraj przyniosłam go w beciku ze szpitala.

Ward zamyślił się nad słowami żony. Najwcześniejsze dzieciństwo Lionela upłynęło w świetle, który dwanaście lat temu nieodwołalnie odszedł w zapomnienie. Mimo upływu lat, Ward ciągle wracał myślami do beztroski i urody życia tamtych dni, w głębi duszy bardzo za nimi tęsknił. Nie miał powodów do narzekań, ale i tak nie mógł się powstrzymać od nostalgicznych westchnień.

– Wiesz, Faye, nic się nie zmieniłaś od urodzenia Lionela – rzekł Ward, patrząc na żonę z podziwem. Ciągle wyglądała młodo. Aż trudno uwierzyć, że ta piękna kobieta obok niego jest po czterdziestce, zresztą nikt by nie uwierzył, pomyślał. Nienaganna figura, zielone, błyszczące oczy i wspaniałe blond włosy z lekkim brzoskwinowym refleksem. Ward dosyć szybko zaczął siwieć, ale jego aparycja nie ucierpiała z tego powodu. Faye nawet wołała go ze szpakowatymi skroniami, dzięki nim wyglądał poważniej i dojrzalej. Pochyliła się w stronę Warda i pocałowała go w szyję.

– To miłe, że tak mówisz, ale czas nie jest przyjacielem kobiet, wiem coś o tym, za to ty, mój najdroższy, wciąż jesteś nieodparcie pociągający.

Ward chrząknął zakłopotany, przyciągnął Faye bliżej siebie.

– Moja mała, będziesz słodka nawet za trzydzieści lat, oczywiście pod warunkiem, że będziesz mnie całowała w szyję, gdy prowadzę samochód.

Faye roześmiała się, przechylając głowę i ukazując swą długą, łabędią szyję, bez jednej, nawet najmniejszej zmarszczki. W takich momentach, zauważając nieprzemijającą urodę żony, Ward musiał przyznać, że jej decyzja o zakończeniu kariery, przy jego gorącym aplauzie, była zbyt pochopna. Jako reżyser także była znakomita. Niewiele istniało rzeczy, których nie potrafiłaby zrobić Faye, pomyślał. Ta świadomość kiedyś bardzo Warda męczyła, później przerodziła się w poczucie dumy z wszechstronnie utalentowanej żony. Co dziwniejsze, okazało się, że Ward także potrafi czegoś dokonać. Musiał tylko dać sobie szansę. Dokładnie tak, jak mówiła żona. Jej zapewnień słuchał z niedowierzaniem, ale teraz musiał przyznać, że miała rację. Jak zawsze.

– Chyba jesteśmy spóźnieni – Faye przerwała jego rozmyślania, spoglądając na zegarek. Ward zmarszczył czoło, nie chciał rozczarować Lionela, przychodząc po czasie na tak ważną uroczystość. Stosunki między nim a najstarszym synem nie należały do szczególnie wylewnych, inaczej niż z Gregiem, ale Lionel to pierworodny, no i miał dostać samochód...

– Dlaczego się uśmiechasz? – Faye spojrzała na męża zaintrygowana.

– Wyobrażam sobie minę Li, kiedy zobaczy mustanga.

– Chyba osłupieje z wrażenia – zachichotała Faye.

Ward zerknął na wyjątkowo dziś radosną żonę. Był świadomy, że Lionel zajmuje w jej sercu szczególne miejsce. Uważał, że Faye była w stosunku do niego nadopiekuńcza, starała się chronić syna nawet przed ewentualnymi niepowodzeniami. Lionel, mimo że rok starszy, był słabszy fizycznie od Grega, mniej odporny psychicznie i to, według Faye, stanowiło wystarczające usprawiedliwienie jej kwoczego macierzyństwa. Nigdy nie dopuszczała do siebie myśli, że Lionel powinien, dla jego własnego dobra, doświadczyć paru porażek, popełnić kilka błędów, aby później był w stanie ich unikać. Jednocześnie Ward musiał przyznać, że pozycja pupilka zdawała się być całkiem usprawiedliwiona. Lionel bardzo przypominał matkę, miał również podobny charakter: po cichu, wolno, ale wytrwale dążył do celu. Ich wzajemna więź czasem irytowała Warda, łapał się na tym, że chwilami był o Li zazdrosny. Sam nie umiał trafić do Lionela, ich stosunki były poprawne, ale chłodne. Co innego Greg, zawsze okazywał przywiązanie i fascynację ojcem. Od momentu, kiedy nauczył się chodzić, wybiegał Wardowi na spotkanie. Wyraźnie potrzebował akceptacji

ojca, chciał dzielić się z nim każdym przeżyciem. Temu bezkrytycznemu uwielbieniu trudno się było oprzeć. Być może zaborczość młodszego syna spowodowała, że Ward mało wytrwale szukał drogi do serca Lionela. W głębi duszy czuł, że powinien starać się zaprzyjaźnić z Li, ale po prostu nie miał pojęcia, jak się do tego zabrać. Nawet samochód to pomysł Faye, i to pomysł bezbłędny, zarazem i efektywny, i użyteczny. W zimie będzie dowozić Lionela na zajęcia w UCLA, latem do sezonowej pracy w firmie jubilerskiej Van Cleef i Arpels, gdzie młody Thayer miał być chłopcem do wszystkiego.

Pracę u jubilera Li wynalazł sam. Nie konsultując niczego z rodziną, poszedł na spotkanie z właścicielem sklepu. Ubrany z właściwą sobie skromnością, starannie obciętymi włosami, ujmująco grzeczny, zrobił na swym przyszłym szefie bardzo dodatnie wrażenie. Wieczorem podczas kolacji dowiedzieli się o sukcesie Li. Opowiadał o rozmowie z pryncypałem ogromnie podekscytowany, po dziecinnemu przeżywający każdą spędzoną w sklepie sekundę. Faye zasypywała Lionela gratulacjami, dyskretnie napominając Warda, aby się do nich przyłączył. Wyraził uznanie wbrew sobie, stwierdzając w duchu, że wybór syna mocno go rozczarował. Natomiast Greg bez cienia skrupułów oświadczył, że za żadne skarby nie chciałby znaleźć się na miejscu brata.

– Jesteś pewien, że nie wolałbyś pojechać z Gregiem w sierpniu do Montany? – zapytał wtedy Ward, mając na myśli plany Grega: sześciotygodniową pracę na ranczo, poprzedzoną biwakiem w Parku Yellowstone w towarzystwie szkolnych kolegów i nauczycieli.

– Nie, tato, tutaj będzie mi o wiele lepiej, naprawdę – odparł Li, niechętnie odnoszący się do projektów młodszego brata. Pytanie ojca lekko go przeraziło, obawiał się przez moment, że Ward nie pozwoli mu pracować w sklepie, nie doceni, że sam postarał się o to zajęcie.

– Rozumiem, tak tylko zapytałem – wyjaśnił Ward.

– Dzięki, tato – powiedział Lionel i odszedł do swojego pokoju.

Kilka lat wcześniej, gdy dzieci zaczęły dorastać. Thayerowie postanowili zlikwidować pokój gościnny. Dzięki temu posunięciu oraz przeprowadzce gosposi do pokoju dobudowanego nad garażem każde dziecko miało osobny pokój. Bliźniaczki nareszcie odseparowały się od siebie i choć na początku nie przejawiały wielkiego entuzjazmu, po jakimś czasie przyznały, że lepiej im się żyło osobno.

Ward i Faye, wjeżdżając na Roxbury Drive, dostrzegli sylwetki córek, które zniecierpliwione oczekiwaniem na rodziców wyszły na podjazd. Vanessa ubrana w białą płócienną sukienkę, z włosami przewiązanymi niebieską wstążką i w nowych sandałach na stopach wyglądała uroczo.

Niestety, tego samego nie dało się powiedzieć o Valerie. Przechadzała się w zielonej sukience, ledwie zakrywającej majtki i głęboko wyciętej na plecach. Krecja ściśle przylegała do ciała, niewiele miejsca pozostawiając wyobraźni, zielone szpilki, pełny makijaż i starannie polakierowane paznokcie dopełniały szokującego jak na piętnastolatkę wyglądu. Faye, patrząc na swą córkę, aż jęknęła z wrażenia. Ward uśmiechnął się porozumiewawczo do żony.

– Patrzenie i podziwianie... – poklepał Faye po ręce i dodał:

– Pozwól jej tak pójść, dzisiaj nie powinniście się sprzeczać.

– Wolałabym, żeby przed wyjściem zmyła z siebie te smarowidła.

Ward przymrużył oczy, powstrzymując się od śmiechu.

– Nie przejmuj się, zawsze możesz udawać, że to twoja daleka kuzynka. Zobaczysz, Valerie wyrośnie na prawdziwą piękność – dorzucił. – Pozwól jej być sobą.

– Mam nadzieję, że do tego czasu stracę wzrok i nie będę w stanie jej podziwiać – powiedziała poirytowana Faye.

Ward każdemu dziecku pozwalał „być sobą”. Każdemu, z wyjątkiem Lionela. W jego przypadku zawsze usiłował narzucić swoją wolę, upominać. Faye była zdania, że Ward stanowczo za dużo od niego wymagał, nie doceniał jego indywidualności, zdolności twórczych, wrażliwości, za to w stosunku do Val wykazywał aż nadto tolerancji, podobał mu się jej niezależny charakter, trudny do utrzymania w korbach. Faye zastanawiała się czasami, która z dziewczynek sprawiała jej więcej kłopotów – czupurna Valerie, czy wiecznie izolująca się od reszty rodziny Anne.

Vanessa wybiegła matce na powitanie. Faye ucałowała ją w policzek, pochwaliła sukienkę, położyła dłoń na ramieniu. Ten gest momentalnie wywołał zazdrość u Val.

– Pięknie wygląda, rzeczywiście, znalazła się Alicja z Krainy Czarów – zakpiła. – Mamo, czy ona nie jest już za stara na te fatałaszki? – ciągnęła Val, podchodząc do matki.

W miarę jak się przybliżała, Faye coraz wyraźniej widziała szczegóły makijażu córki: cienie na powiekach, grube kreski.

– Kochanie, dlaczego nie zmyjesz makijażu przed wyjściem? Chyba jest na to za wczesna pora – Faye spróbowała trafić do córki jako osoba znająca się na rzeczy. Łudziła się, że może ten argument zdoła ją przekonać.

Faye znała Valerie dostatecznie dobrze, by wiedzieć, iż nie zrobią na niej wrażenia żadne uwagi mówiące o zbyt młodym wieku, Val nigdy nie

przyjmowała ich do wiadomości, zawsze ignorowała wskazówki matki. Na wszystko miała własne poglądy. Bóg jeden wiedział, skąd je brała, bo oboje z Wardem starali się przekazać jej coś zgoła innego.

Piętnastoletnia Val mogła służyć za pierwowzór postaci zbuntowanej nastolatki z hollywoodzkiego filmu. Bywały chwile, że Faye chciało się krzyknąć na jej widok.

Tym razem także doprowadziła ją do ostateczności, ale z powodu uroczystości Lionela Faye nakazała sobie opanowanie i jeszcze raz spokojnie poprosiła Valerie o zmycie makijażu.

– Mamo, umalowanie się zajęło mi zbyt dużo czasu, abym mogła, ot tak, się umyć.

Zmusz mnie do tego, dodawała zwykle Val w takich wypadkach.

– Bądź rozsądna, kochanie, tym razem trochę przesadziłaś.

– I kto to mówi?

– Ruszaj się, gówniaro, zmywaj to – krzyknął Greg, wychodząc z domu.

Miał na sobie bermudy koloru khaki, niebieską koszulę i krawat tak pomięty, że można by sądzić, iż Greg przez kilka lat trzymał go pod materacem swego łóżka. Włosy, mimo wielu zabiegów, sterczały w nieładzie. Charakter i wygląd Grega były dokładną kopią Warda, z tą drobną różnicą, że syn nie respektował żadnych wymogów odnośnie stylu ubierania.

– Val, ty naprawdę głupio wyglądasz – skomentował starszy brat, ośmielony przyzwalającym wzrokiem matki.

– Pilnuj swego nosa, frajerze – odcięła się Valerie agresywnie.

– Wiesz, powiem ci coś. Nigdy nie umówiłbym się z dziewczyną mającą na twarzy taką ilość tapety – Greg patrzył na siostrę z dezaprobatą. – Masz za obcisłą sukienkę, strasznie sterczą ci cycki.

Val zaczerwieniła się lekko. Wyeksponowanie biustu było jej celem, ale nie po to, aby brat robił na ten temat złośliwe uwagi.

– W tych ciuchach wyglądasz na strasznie napaloną – bezlitośnie szydził dalej. Tym razem nie uszło mu na sucho. Siostra podeszła kilka kroków i zamierzyła się na niego.

– Hej, wy dwoje, uspokójcie się! Żadnych kłótni w dzień rozdania świadectw, rozumiecie? – pospieszył z interwencją Ward.

– On powiedział, że jestem napalona! – krzyknęła ze złością Valerie.

Vanessa przyglądała się scenie znudzona. Codziennie była świadkiem podobnych potyczek i po cichu przyznawała rację Gregowi. Jednak znała siostrę na tyle dobrze, by wiedzieć, że prędzej zawali się dom, niż Val ustąpi.

– Tato, ale ona naprawdę wygląda jak napalona. – Greg zasłaniał się ręką przed uderzeniem. Stojąca w pobliżu Faye usłyszała trzask pękającego materiału niebieskiej koszuli syna.

– Przestańcie! – krzyknęła.

Dlaczego zawsze muszą się kłócić w najmniej odpowiednim momencie?, zastanawiała się matka. Czasy czytania bajeczek przy kominku, kiedy cała piątka siedziała cicho, z wypiekami na twarzach wsłuchując się w słowa opowieści, należały do przeszłości. Od momentu gdy Faye, zmuszona okolicznościami, znowu zaczęła pracować, dziećmi zajmowały się opiekunki i niańki. Kobiety o złotych sercach, ale przecież obce. Czyżby to wypaczyło im charaktery? Czy dlatego chwilami zupełnie nie można było nad nimi zapanować? – pytała samą siebie.

Widząc bezradność Faye, Ward zdecydował się bardziej stanowczo wkroczyć do akcji. Podeszedł do Valerie, złapał ją za ramię i polecił ostrym tonem:

– Idź umyć twarz!

Val jeszcze przez moment rozważała protest, z determinacją patrząc ojcu w oczy.

– Wyjeżdżamy za pięć minut, z tobą lub bez ciebie. Decyduj! – dodał Ward, odwracając się do Faye. – Gdzie jest Anne? Nie mogłem znaleźć jej na górze.

– Przecież była w domu, kiedy dzwoniłem. Vanessa, nie wiesz, gdzie ona się mogła podziać?

Van tylko wzruszyła ramionami. Nikt nie znał ścieżek, którymi chadzała Anne. Przychodziła, wychodziła, nie opowiadając się nikomu. Często godzinami czytała w swoim pokoju.

– Myślałam, że jest na górze – zabrzmiała odpowiedź.

– Chwileczkę, widziałem, jak przechodziła przez ulicę – odezwał się Greg.

– Dokąd poszła? – Ward zaczynał się niecierpliwić.

Sytuacja przypominała mu rodzinne wakacje. Wtedy też desperacko starali się zapanować nad rozbrykanymi dziećmi. Ileż razy doprowadziły go do pasji! Ward stwierdził, że o prawdziwym odpoczynku można mówić dopiero, gdy dzieci wyjeżdżały na obozy, wówczas rodzice, choć przez kilka dni w roku, mieli święty spokój.

– Może ty wiesz, gdzie jest Anne?

Pytanie było skierowane do Valerie, ale ta nie mogła na nie odpowiedzieć. Niepostrzeżenie zniknęła w domu. W końcu skapitulowała, poszła umyć twarz. Może przy okazji zmieni sukienkę? Nie, lepiej nie mieć złudzeń, skarcił się Ward.

Poszukiwania Anne ciągle trwały, kiedy Val na powrót ukazała się w drzwiach. Makijaż tylko nieco stracił na sile wyrazu, zmiany sukienki w ogóle nie wzięła pod uwagę.

– Valerie, nie wiesz, dokąd poszła Anne? – Ward miał obłęd w oczach, zdawało mu się, że za chwilę pozabija dzieci.

– Wiem, do Clarków.

Oczywiście, dlaczego nikt nie wpadł na to wcześniej? Anne do perfekcji opanowała znikanie po angielsku.

Pewnego razu w Nowym Jorku przepadła na trzy godziny. Ward poszukiwał jej po całym domu towarowym, a kiedy stracił nadzieję, że ją jeszcze kiedykolwiek zobaczy, znalazł córkę śpiącą na tylnym siedzeniu samochodu.

– Czy mogłabyś pójść i przyprowadzić Anne? – raczej kazał, niż poprosił ojciec.

Młodociana królowa piękności skrzywiła się na znak dezaprobaty, ale widząc kategoriyczny wyraz twarzy Warda, nie śmiała protestować, okręciła się na pięcie i ruszyła do sąsiadów.

– Można by ją aresztować za sam wygląd – jęknął Ward, obserwując Val przebiegającą przez ulicę.

Po chwili Valerie doprowadziła zgubę. Anne wyglądała bardzo dziewczęco. Różowa sukienka nie miała ani jednej fałdki, pantofelki lśniły czystością, a świeżo umyte włosy były gładko zaczesane.

Wydawała się uosobieniem schludności i poprawności. Wsiadła do samochodu i usadowiła się na ostatnim siedzeniu furgonetki. Nie była to żadna demonstracja niezadowolenia, po prostu najbardziej lubiła to oddalone miejsce.

– Co robiłaś u sąsiadów? – zagadnął Greg, siadając naprzeciwko Anne. Miejsce obok niej pozostało puste, zwykle zajmował je Lionel. Między dziećmi Thayerów panowały od dawna ustalone układy. Nie było tajemnicą, że Anne nie miała wiele wspólnego z Gregorym i Valerie. Najchętniej spędzała czas z Lionelem, również z Vanessą, ale w mniejszym stopniu zdobyła jej zaufanie. To właśnie tej dwójce Faye czasem powierzała pieczę nad najmłodszą córką. W ten sposób nawiązało się między nimi porozumienie, w końcu Li stał się idolem Anne.

– Chciałam coś zobaczyć – brzmiała lakoniczna odpowiedź. Tym „czymś” był prezent dla Lionela. Piękny, mały, czerwony mustang. Ucieszyła się, że rodzice postanowili brata tak hojnie obdarować. Przez całą drogę do liceum nie odzywała się do nikogo, nie reagowała na zaczepki, chciała, aby niespodzianka pozostała niespodzianką. Gdy dojechali na miejsce, milcząca, skierowała się prosto do szkolnej auli.

Miotaly nią sprzeczne uczucia. Była dumna z Lionela, cieszyła się, że dostanie wspaniały prezent. Jednocześnie na myśl, że ukochany brat jesienią rozpocznie studia, wynajmie mieszkanie w pobliżu uniwersytetu i wyprowadzi się z domu, odczuwała nieznośny chłód, jakby lodowata dłoń ścisnęła jej serce. Mama martwiła się o Li, twierdziła, że jest na to za młody. Innego zdania był tata, mawiał, że Li musi trochę zmęźnieć. Wiadomo, tata był zazdrosny, że mama tak bardzo kochała Li.

Jak ona, Anne, da sobie radę bez Lionela? Jak będzie bez niego żyła? Bez przyjaciela i opiekuna, który zawsze robił jej najsmaczniejsze kanapki do szkoły. Czy odtąd będzie skazana na niedbalstwo Valerie i Vanessy wtykających jej do teczki zeschnięty żółty ser albo nieświeżą szynkę? Z kim teraz będzie rozmawiała? Kto podsunie jej interesujące książki, kto wytłumaczy zadania z matematyki? Kto zastąpi najlepszego przyjaciela?! Li zawsze miał dla niej czas, przytulał, gdy mama i tata pracowali do późna. Uświadomiła sobie, że brat zajmuje najwięcej miejsca w jej sercu, więcej niż rodzice.

Rozmyślania Anne przerwało pojawienie się Lionela. Wszedł na podwyższenie, aby odebrać świadectwo. Anne poczuła łzy spływające po policzkach. To początek pożegnania. Pierwszy krok brata w kierunku samodzielnego życia, a każdy następny nieuchronnie będzie prowadził do jednego: Li wyprowadzi się, a Anne zostanie zupełnie sama...

Greg patrzył na Li z podziwem i zazdrością. Oby udało mu się dorównać Lionelowi! Wiedział, że to tylko pobożne życzenie, bo stopnie sugerowały zgola co innego. Już wiele razy obiecywał ojcu, że się poprawi, ale nigdy jakoś się nie udało. Ma szczęście stary dziwak, wyprowadza się z chaty, idzie na studia, podsumował Greg. Sam nie zastanawiał się poważnie nad dalszą edukacją, z góry założył, że nie pójdzie do UCLA. To głupia szkoła. Po głowie chodziły mu miejsca typu Georgia Tech, gdzie mógłby zostać wielkim piłkarzem. Tata wspominał coś o Yale. Tak, to niezły pomysł. Jeśli udałooby mu się tam dostać, to czekałaby go kariera piłkarska, no i dziewczyny! Na samą myśl poczuł dreszczyk podniecenia.

Valerie obserwowała chłopaka siedzącego w trzecim rzędzie. Lionel przyprowadził go kilka razy do domu. To był dokładnie jej typ. Czarne włosy, ciemne oczy, wysoki, ładna cera, doskonały tancerz. Istniało tylko jedno ale, chodził z jakąś idiotką ze starszej klasy. Val była przekonana, że przewyższała tamtą urodą, pozostawało więc przystąpić do działań. Wystarczyłoby parę razy z nim porozmawiać, ale Lionel, oczywiście, nie chciał jej dopomóc i zaaranżować jakiejś dogodnej sytuacji. Sztywniak!

Nigdy nie zapoznał jej z żadnym facetem. Gregory też miał fajnych kumpli. Na przykład John Wells, całkiem miłutki, ale zbyt nieśmiały. Czerwienił się za każdym razem, gdy próbowała z nim zamienić kilka słów. Na dodatek John także zamierzał pójść do UCLA, aż westchnęła na myśl o minach koleżanek dowiadujących się o jej romansie ze studentem. Póki co nie miała się czym pochwalić, bo co znaczyło usidlenie trzech chłopaków z klasy? Nic szczególnego. Randki z nimi były nudne. Wszystkim, czego chcieli, było dotknąć jej cycków, zresztą więcej by nie dostali. „To” czekało na studenta.

Vanessa zerkała na siostrę bliźniaczkę. Po wyrazie twarzy Val domyśliła się, co tamtej chodzi po głowie, znała ją tak dobrze, że mogła bez ryzyka pomyłki wskazać chłopców, którzy podobali się siostrze. Od siódmej klasy przejawiała nimi żywiołowe zainteresowanie, kompletny bzik! Vanessa także lubiła ich towarzystwo, ale oprócz tego fascynowały ją książki i poezja. Van czasami zastanawiała się, czy Valerie poszła już na całość. Miała nadzieję, że nie. Przecież to mogłoby zrujnować jej życie. Oczywiście istniały środki antykoncepcyjne, ale można je było kupować dopiero po zaręczynach, gdy miało się więcej niż osiemnaście lat, czy coś w tym stylu, Vanessa słyszała, że jedna dziewczyna z młodszej klasy kupiła sobie pigułki, udając dwudziestolatkę, sama jednak nie potrafiłaby zrobić czegoś podobnego. Nawet nie chciało jej się wyobrażać sobie takiej sytuacji.

Gdyby Faye znała myśli Van, z pewnością odetchnęłyby z ulgą. Jednak w tym momencie cała jej uwaga była skoncentrowana na Lionelu, żadne inne dziecko nie istniało. Patrzyła na niego stojącego na podium, pięknego i niewinnego, ściskającego w dłoni dyplom szkoły średniej, przepustkę do dorosłego życia.

Wiedziała, że ta chwila oznacza początek jego zmagania z przeciwnościami. Miała nadzieję, że los okaże się łaskawy dla jej ukochanego syna. W myślach już składała mu życzenia wszelkiej pomyślności, po policzkach spływały jej łzy wzruszenia. Widząc to, Ward dyskretnie podał żonie chusteczkę. Faye odwróciła się w jego stronę z niepewnym uśmiechem. Ward i Lionel byli jej szczególnie drodzy, a ten drugi... Chciała go uchronić przed wszelkim cierpieniem, zapobiec każdemu niebezpieczeństwu, rozczarowaniu, smutkowi. Ward instynktownie przytulił Faye do siebie. On także był dumny z Lionela, ale pragnął dla niego nieco innych rzeczy, co innego chciał mu przekazać.

– Jakiż on słodki – szepnęła Faye. W jej oczach Li mimo wszystko był małym chłopcem.

– Wygląda jak mężczyzna – odpowiedział szeptem Ward. Nie był w pełni przekonany o prawdziwości swoich słów, ale wierzył, że kiedyś najstarszy

syn w pełni zasłuży na to miano. Na razie jego zachowanie i wygląd były według Warda zbyt zniewieściałe. Ale to się zmieni, gdy Lionel zamieszka sam, pomyślał.

Li przebiegł wzrokiem tłum rodziców, wyszukał w nim Faye i z uwielbieniem na nią patrzył. Spostrzegłszy to, Ward miał ochotę mocniej przytulić żonę do siebie, ale stwierdził, że odwzajemniła zachwycone spojrzenie syna, i w ten sposób oboje znaleźli się jakby w innym świecie, odizolowani od wydarzeń. Ward w poczuciu nagłego osamotnienia odsunął się od żony.

– On jest cudownym chłopcem – powiedziała Faye, wracając do rzeczywistości.

Owszem. Ward też tak uważał, ale był przekonany, że dla własnego dobra Lionel powinien wyprowadzić się z domu, nie mieszkać z matką, nie być tak blisko niej.

Zaraz po skończonej ceremonii, Li przybiegł do Faye, aby ją uściskać. Inni chłopcy z jego klasy poszli do swych sympatii.

– Jestem wolny, mam! Skończyłem szkołę – powiedział podekscytowanym tonem. Patrzył tylko na matkę, nikt poza nią nie istniał, nikt się nie liczył.

– Gratulacje, kochanie – odpowiedziała, całując go w policzek.

– Gratulacje, synu – Ward uścisnął mu po męsku rękę.

Życzenia zajęły jeszcze chwilę, a potem cała rodzina udała się na lunch do Polo Lounge w hotelu Beverly Hills. Li i Anne, jak zwykle, usiedli na najdalszym siedzeniu furgonetki. Faye i Ward z przodu. Greg i bliźniaczki pośrodku.

W Polo Lounge panował normalny w porze lunchu tłok. Przy stoliku siedzieli sławni i bogaci ludzie z filmowego świata: kobiety w jedwabiach, pobrząkujące złotą biżuterią, panowie w eleganckich garniturach. Kelnerzy roznosili zamówione potrawy, przynosili od stolika do stolika dzwoniący bez przerwy telefon, jako że na topie było oczekiwanie na ważną rozmowę. W pewnej chwili telefon przyniesiono do stołu Thayerów. Lionel usłyszał w słuchawce głos matki gratulującej mu pomyślnego zakończenia edukacji. Żart rozśmieszył wszystkich oprócz Warda. Jemu przyszło do głowy, że Li i Faye czasami zachowywali się jak para kochanków, takie sytuacje wyprowadzały go z równowagi.

Po lunchu Thayerowie pojechali do domu. Powoli zaczęli się schodzić przyjaciele dzieci. Dom i ogród ogarniało miłe zamieszanie. Nikt nie zauważył, gdy Ward i Faye wymknęli się do sąsiadów, by po kilku minutach przyjechać mustangiem. Ward podprowadził samochód prawie do krawędzi basenu, robiąc przy tym przerażoną minę. Faye siedziała na przednim siedzeniu. Dzieci patrzyły na siebie zdezorientowane,

z początku sądząc, że rodzice zwariowali. Ward wyskoczył z samochodu, podszedł do Lionela, wręczył mu kluczyki. Li patrzył na ojca z niedowierzaniem, wtem rzucił mu się na szyję, na przemian płacząc i śmiejąc się, zapytał:

– Naprawdę jest mój?

– Wszystkiego najlepszego, synu – odrzekł Ward, czując łyzy pod powiekami, wzruszony reakcją Li.

Ten jeszcze raz serdecznie uścisnął ojca. Anne, stojąc z boku, uśmiechała się radośnie. Lionel gestem ręki zaprosił rodzeństwo do samochodu. Natychmiast zareagowali, zajmując tylne siedzenie, rozpychając się przy tym i wymyślając sobie nawzajem.

– Nie przejmuj się, Li! – krzyknęła Faye.

Mąż wziął ją za rękę i poprowadził do domu.

– Wszystko będzie dobrze, mamy wspaniałe dzieci.

Ward na moment się odwrócił. Napotkał wzrok Lionela. Dwaj mężczyźni patrzyli sobie w oczy, uśmiechając się. Nie było potrzeby niczego wyjaśniać, dłużej dziękować. Lionel przekręcił kluczyki i odjechał, uwożąc podekscytowaną gromadkę. Ward wchodził na schody, mając wrażenie, że po raz pierwszy w życiu nawiązał bliższy kontakt z najstarszym synem.

Rozdział dwunasty

Przyjęcie z okazji ukończenia szkoły przez Lionela zgromadziło około setki osób, przede wszystkim przyjaciół młodych Thayerów. Faye i Ward dołożyli starań, by uczcić ten szczególny dzień w życiu syna. Impreza była zorganizowana z rozmachem, jakiego Thayerowie na ogół unikali. Do tańca przygrywał zespół, a dodatkową atrakcją miało być pieczenie kielbasek przy ognisku. Nastrój radosnego podniecenia udzielił się również rodzeństwu Li. Chcieli świętować każde na swój ulubiony sposób.

Greg zdecydował się wystąpić w pomiętym podkoszulku w paski, dżinsach i na bosaka. Faye nie wyraziła zachwytu na jego widok i już miała zamiar odesłać go na górę, ale ten przezornie zniknął jej z oczu. Poprosiła męża o interwencję.

– Pozwól mu być sobą, przecież nie robi nic złego – zaoponował jak zwykle Ward.

– Czemu mężczyzna, który zmienia koszulę trzy razy dziennie, nosi białe płócienne garnitury, tak niewiele wymaga od własnego syna? – spytała z dezaprobatą.

– Faye, teraz są inne czasy. My nawet w młodości byliśmy rodzajem dinozaurów, nie poddawaliśmy się żadnym trendom. Teraz jest inaczej. Nie możemy oczekiwać, że dzieci będą się ubierać według naszych upodobań. Grega nie interesują ciuchy, on ma zupełnie co innego w głowie.

– Na przykład, co? Piłkę? Dziewczyny? Plażę? – zareplikowała. Myśląc o Gregu, zawsze odczuwała rozczarowanie. Wolalaby, aby miał poważniejsze zamierzenia. Ward natomiast wydawał się akceptować Grega bezkrytycznie. Dla Faye było to oznaką niesprawiedliwości. Nie mieściło jej się w głowie, jak mógł być zachwycony wyglądem Grega, nie zauważając zupełnie osiągnięć Lionela. Cóż, ta kwestia od dawna była kością niezgody, wiele razy doprowadziła do kłótni. Faye i Ward jakoś nie potrafili dojść do porozumienia w niczym, co dotyczyło Lionela, padały bardzo nieprzyjemne słowa. Lecz dzisiaj nie mogli się pokłócić, tylko nie dzisiaj. Faye zdecydowała się ustąpić i nie nalegać, aby Greg się przebrał.

– W porządku, nie ma sprawy.

– Pozwól mu się dobrze bawić, niech się ubiera, jak chce.

– Ciekawe, czy będziesz jednakowo tolerancyjny, jeżeli chodzi o Valerie? – spytała Faye z przekąsem.

Rzeczywiście przemilczenie stroju Val było prawdziwym wyzwaniem. Dziewczyna miała na sobie niesamowicie obcisłą minisukienkę z białej skóry i dobrane do niej białe botki. Całą tę kreację najwidoczniej pożyczyła od którejś przyjaciółki.

Ward pochylił się nad barem, gdzie Faye nalewała drinki, i szepnął jej do ucha:

– Pod którą latarnią pracuje ta koleżanka? Nie mówiła ci przypadkiem?

Pokręciła głową w odpowiedzi. Doświadczenia z własnymi nastoletnimi pociechami przydawały się w pracy z aktorami na planie. Mając codziennie do czynienia z humorami dorastających dzieci, umiała radzić sobie z kapryśkami całkiem dorosłych, a jednak ciągle infantylnych i przez to czasem trudnych do zniesienia gwiazd filmowych.

– Myślę, że Vanessa stara się zdyskredytować wysiłki Valerie – rzekł Ward, patrząc na drugą córkę uczesaną niczym Alicja z Krainy Czarów i ubraną w różowo-białą sukienkę, krojem stosowniejszą dla małej

dziewczynki niż nastolatki. Trudno byłoby znaleźć bardziej do siebie niepodobne bliźnięta. Faye przyglądała się każdemu dziecku z osobna i po raz setny dochodziła do wniosku, że każde z nich to wielka indywidualność. Lionel, przystojny, elegancki, starający się wyglądać na dorosłego. Obok niego Greg aż nonszalancki w swej niedbałości, Valerie w kreacji z białej skóry i Vanessa w dziecinnej sukience. Byli tacy różni, i to nie tylko zewnętrznie.

Ward podał Faye drinka.

– Widziałeś Anne? – spojrzała na niego z niepokojem.

– Przed chwilą stała koło basenu z jakimiś dziećmi. Spokojnie, Lionel ma na nią oko.

Oczywiście Li zwykle zajmował się Anne, ale dzisiaj było jego święto, więc sam powinien rozejrzeć się za córką. Ward nawet ucieszył się, gdy zobaczył Lionela nalewającego sobie kieliszek białego wina. Nic by się nie stało, gdyby Li się upił. Dobrze by mu to zrobiło, może wreszcie przełamałby układność i akurtność, pomyślał Ward. Tak, odrobina szaleństwa jeszcze nikomu nie zaszkodziła, trzeba tylko unieszkodliwić Faye, nie pozwolić jej na zbytne kontrolowanie sytuacji. W ramach swego planu Ward poprosił żonę do tańca. Valerie patrzyła na tańczącą parę z niesmakiem, Vanessa z radością, a Lionel w środku tańca zarządził odbijanego. Ward odszedł, przez chwilę rozmawiał z przyjaciółmi, następnie udał się na inspekcję rozbawionego towarzystwa. Kilku kolegów Lionela było już mocno pijanych. Ale któż nie upiłby się w dzień rozdania dyplomów?, pomyślał Ward pobłaźliwie. W głowie miał już plan na wypadek, gdyby sytuacja się skomplikowała. Przede wszystkim nikomu pijanemu nie pozwoli prowadzić samochodu. Osobiście dopilnuje, żeby nic takiego się nie zdarzyło.

Zauważył Anne rozmawiającą z Johnem Wellsem, najlepszym przyjacielem Grega, miłym chłopcem, odnoszącym się do niego z ogromną sympatią, rzec można z uwielbieniem. Ward podejrzewał, że Anne durzyła się w Johnie, lecz ten nie zdawał się odwzajemniać uczucia dwunastolatki. W przeciwieństwie do Lionela nie traktował jej poważnie. Ward chętnie by do nich podszedł, jednak po chwili namysłu zrezygnował. Najmłodsza córka była nieśmiała, łatwo się peszyła, zamykała w sobie. Ciekawość ojca mogłaby ją wystraszyć, więc po co psuć jej nastrój? W tym momencie do rozmawiającej dwójki dołączył Lionel. Ward spostrzegł błyski podziwu w oczach Johna i Anne. Dzieciaki są cudowne, uśmiechnął się do siebie Ward, kierując się w stronę Faye, by ją wyrwać z objęć przyjaciół i sąsiadów; z satysfakcją stwierdził, że na całym przyjęciu nie było piękniejszej od niej kobiety. Nawet młode dziewczyny nie mogły się z nią równać.

Podszedł do żony.

– Zatańczysz? – spytał, dotykając lekko jej ramienia.

– Jasne – odpowiedziała z uśmiechem.

Zaproszeni goście bawili się doskonale. Nawet Anne promieniała. Sprawiało to chyba towarzystwo Lionela i Johna traktujących ją jak równą sobie. Anne była bardzo wysoka, miała włosy blond z brzoskwiniowym odcieniem, identyczne z włosami matki, zapowiadała się na wyjątkowo urodziwą dziewczynę, ale przesadnie krytyczny stosunek do samej siebie nie pozwalał jej tego dostrzec. Otwarcie twierdziła, że nigdy nie dorówna matce urodą. Bliźniaczkom zresztą też nie, zwłaszcza Vanessie, której subtelne rysy ją zachwycały. Lionel zawsze zapewniał Anne, że według niego jest najpiękniejsza z siostr. W odpowiedzi niezmiennie słyszał, że zwariował. Anne na dowód, że nie zasługuje na miano ładnej dziewczyny, pokazywała swoje, jak mawiała, kościste kolana. Niedawno z przerażeniem odkryła, że zaczęły jej się powiększać piersi, czuła się tym bardzo zakłopotana. Właściwie to czuła się zakłopotana wszystkim. Jedynie obecność najstarszego brata czyniła ją swobodną. Niepewność zniknęła jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

– Co sądzisz o swoim nowym samochodzie? – zapytał John brata swego najlepszego kumpla, jednocześnie podziwiając nienagannie zawiązany krawat Li. W ogóle uważał Lionela za kogoś wyjątkowego, ale nie śmiał mu tego powiedzieć.

– Ale pytanie – Li uśmiechnął się chłopięco. – Sądzę, że jest absolutnie fantastyczny. Nie mogę się doczekać jutra, żeby móc nim pojeździć.

Lionel bardzo lubił Johna. Nawet trochę go dziwiło, że ci dwaj się przyjaźnią. Większość kolegów Grega, jak i jego samego, interesowały tylko gra w piłkę i dziewczyny. John przychodził do domu Thayerów od kilku lat i Li intuicyjnie wyczuwał w nim bratnią duszę. Jego zainteresowania daleko wykraczały poza sport i podboje miłosne, był chłopcem o ciekawej osobowości. Może ta przyjaźń wynika z przyciągania przeciwieństw, pomyślał Lionel.

– W przyszłym tygodniu idę do pracy i będę świetny, mając własny samochód.

– Gdzie będziesz pracować? – zapytał John ze szczerym zainteresowaniem. Anne, milcząc, przysłuchiwała się rozmowie. Wpatrywała się w twarz Johna, fascynowały ją jego oczy.

– U Van Cleefa i Arpelsa, to sklep jubilerski w Beverly Hills. – Lionel chciał dorzucić jeszcze kilka wyjaśnień, zdając sobie sprawę, że koledzy Grega zwykle nie mieli pojęcia o takich sprawach.

– Wiem, znam to miejsce. Moja matka często tam zagląda, uważa, że mają całkiem ładne wyroby – odrzekł John ze śmiechem. Lionel poczuł się zaskoczony i uradowany, że John nie skrytykował jego zamiarów. – Myślę, że to będzie fajna praca.

– Pewnie, już mógłbym zacząć – oznajmił Li. – Zwłaszcza teraz – dodał z entuzjazmem, spoglądając na mustanga.

– Jesienią będziesz w UCLA, szczęściarzu, zazdroszczę ci, mam dosyć szkoły.

– Nie przesadzaj, został ci tylko rok.

– Dla mnie to wieczność – jęknął John.

– Co zamierzasz później?

– Nie myślałem o tym. Nie było w tym nic niezwykłego. Większość chłopców z ostatniej klasy nie miała jeszcze konkretnych planów.

– Ja będę studiował kinematografię.

– To wspaniale.

Lionel w odpowiedzi wzruszył skromnie ramionami. Od kilku lat zdobywał nagrody w konkursach, wiele czytał o filmie, przygotowując się do edukacji w UCLA. Uważał, że to dla niego wymarzone miejsce. Ward nie pochwalał tego wyboru. W swych zamysłach widział syna w jakiejś prestiżowej uczelni na wschodzie. Lionela kompletnie nie pociągała koncepcja ojca, bez żalu scedował ją na Grega.

– Przyjedź do mnie. Rozejrzysz się, może to ci pomoże wybrać szkołę – zaproponował Li, uśmiechając się przyjacielsko.

– Przyjadę na pewno – John popatrzył Lionelowi w oczy. Po chwili milczenia odwrócił się i dostrzegając w tłumie Grega, pośpieszył w jego stronę. Li poprosił Anne do tańca, ale jego propozycja spotkała się z kategoryczną odmową, połączoną z rumieńcem, który oblał twarz dziewczynki. Po chwili nalegań ustąpiła i ręka w rękę poszła z Lionelem na parkiet.

– Co to jest?

Chłopiec, z którym Valerie wałęsała się po domu, pałał żądzą włożenia jej ręki pod spódnicę, z rozwoju sytuacji wywnioskował, że jeżeli tylko znajdzie się odpowiednie miejsce, to nie powinien mieć problemów z realizacją swych zamierzeń. Pytanie dotyczyło przedmiotu, który nagle przykuł jego uwagę. Statuetka Oscara nie była taką znowu rzadkością w domach położonych w okolicach Los Angeles, ale chłopiec po raz pierwszy w życiu miał ją w zasięgu ręki.

– Oscar, wielkie rzeczy – odpowiedziała Val lekceważąco.

– Pewnie, że tak – rzekł chłopiec, dotykając figurki. Już wyobrażał sobie minę ojca, gdy mu powie, że dotykał prawdziwego Oscara. – Czyje to, mamy czy taty?

– Mamy – wyjaśniła z udawaną obojętnością. – Joey, chcesz piwo?

Joey nie dosłyszał pytania, bo w tym samym momencie odkrył następną statuetkę, na której widok o mało nie zemdleł z wrażenia.

– Boże, druga! Twoja mama dostała dwa Oscary! Za jakie filmy?

– O rany, nie pamiętam. Pytam cię, chcesz piwo czy nie?

– Tak, chcę.

Chłopiec wpatrywał się w figurki, kompletnie zapominając o swych pierwotnych zamiarach. Koniecznie chciał się dowiedzieć, za jakie filmy Faye dostała nagrody, ale Valerie nie przejawiała najmniejszej ochoty na rozmowę o karierze matki.

– Ona była kiedyś aktorką, prawda? – nalegał chłopiec.

Mało kto pamiętał role filmowe Faye, za to wszyscy znali ją jako reżysera, partnerkę producenta Warda Thayera z MGM.

Valerie nie cierpiała, kiedy wypytywano ją o rodziców. Nie interesowała się ich karierą. Miała reputację takiej, co to lubiła zabawy z chłopakami. Podeszła do sofy i usiadła, pokazując chłopcu wewnętrzną stronę ud.

– Palłeś kiedyś trawkę?

Joey postanowił nie przyznawać się do braku doświadczenia w używaniu narkotyków. Bał się wyjść na cieniasa. Val była dla niego uosobieniem światowości, dorosłości. Onieśmiałała go urodą i swobodnymi manierami. Właśnie dlatego, jak do tej pory, nie odważył się umówić z nią po lekcjach.

– Tak, paliłem raz – skłamał. – Porozmawiajmy o twojej mamie – nie wytrzymał i spróbował jeszcze raz.

– Nie, nie porozmawiamy o mojej mamie – Val skoczyła na równe nogi, miotając nienawistne spojrzenia.

– O rany, nie wściekaj się. Jestem ciekawy, to wszystko.

Val poszła wolno w stronę drzwi. Naciskając klamkę, odwróciła się na moment.

– To sam z nią pogadaj, snobie – odwróciła się na pięcie i wyszła z pokoju, potrząsając rudymi włosami.

Joey patrzył zmieszany na otwarte drzwi.

– Cholera – zaklął ze złością.

– Co? – w drzwiach ukazał się Greg, który przyszedł sprawdzić, co działo się w pokoju.

– Nic, to znaczy... odpoczywałem sobie, już wychodzę.

– Dobra, nie tłumacz się, ja to zawsze tutaj robię. Spoko – odpowiedział Greg, znikając tak nagle, jak się pojawił.

Joey wyszedł do ogrodu, gdzie właśnie rozpoczynała się wielka zbiorowa kąpiel w basenie. Goście wskakiwali do wody w ubraniach, kostiumach kąpielowych, jak kto chciał. Około trzeciej po przyjęciu nie było śladu, ostatni biesiadnicy poszli do domów. Lionel odprowadził Faye i Warda do drzwi sypialni. Wszyscy troje zatrzymali się na moment. Faye sennie ziewając, rzekła:

– Udane przyjęcie, prawda?

– Najlepsze na świecie – rzekł Lionel, całując matkę na dobranoc. Poszedł do swojego pokoju, usiadł na łóżku. Przez chwilę rozmyślał o wydarzeniach minionego dnia: dyplom, samochód, przyjaciele, muzyka i w końcu John, jakież to przemiły chłopak, miłszy od wielu innych, których znał.

Rozdział trzynasty

Porannek po przyjęciu oznaczał rozpoczęcie normalnego dnia pracy. Dzieci mogły odsypiać zarwaną noc, lecz Ward i Faye, mimo zmęczenia, musieli być w wytwórni o dziewiątej. Niedługo miała się rozpocząć realizacja nowego filmu, więc przed reżyserem i producentem piętrzyły się zadania związane z dopięciem na ostatni guzik wszelakich szczegółów organizacyjnych. Końcowe przygotowania zawsze wymagały ogromnej dyscypliny, zwłaszcza gdy Faye miała reżyserować. Podczas zdjęć przychodziła do studia przed szóstą rano, jeszcze zanim zaczęli się schodzić aktorzy. Siadywała sama wśród dekoracji, wczuwała się w atmosferę, przemyśliwała poszczególne sceny, które mieli kręcić. Czasami zostawała nawet w studiu na noc, spała w garderobie, do późna w noc planując następny dzień zdjęciowy. Analizowała scenariusz, aż stawał się jej tak bliski, jakby przeżywała jego wydarzenia w innym życiu.

Równie dużo wymagała od aktorów. Przede wszystkim była znana z egzekwowania dyscypliny pracy i tym zaskarbiła sobie ich szacunek. Reżyseria nie była dla Faye tylko wykonywanym, choćby i najlepiej, zawodem. Stała się jej powołaniem, dzięki niej mogła się spełnić. Ward kochał, gdy żona zapalała się, mówiąc o filmach, czasem nawet czuł się odrobinę zazdrosny o ten entuzjazm. Sam także lubił swoją pracę, ale daleko mu było do zaangażowania Faye. Dosłownie żyła filmem, pozwalala mu się bez reszty pochłonać. Zawsze podczas kręcenia zdawała się zupełnie wyrwana

z realiów dnia codziennego. Ward wiedział, że początek zdjęć sprawi, iż Faye stanie się zupełnie nieosiągalna, nawet dla niego. Nowy film zapowiadał się na wielkie wydarzenie. Thayerowie byli bardzo podekscytowani, a Faye przy każdej okazji podkreślała, jak bardzo żałowała, że Abe Abramson nie może już jej dopingować. Na pewno uwielbiałby ten film. Cieszyłby się wraz z Wardem i Faye, tak samo jak wówczas, gdy przyznano jej drugiego Oscara, tym razem za reżyserię. Zaraz potem umarł.

W drodze do wytwórni Faye rozmyślała o wydarzeniach minionego dnia.

– Cieszę się, że dzieci dobrze się bawiły.

– Ja też – przytaknął Ward, uśmiechając się.

Męczył go potworny kac. Teraz bardzo rzadko zdarzało mu się przebrać miarę i sam nie mógł się nadziwić, że kiedyś wypijał morze alkoholu. Młodość przemija, włosy siwieją, tyle rzeczy się zmienia, myślał refleksyjnie. Rzeczywiście wiele się zmieniło, ale miłość pozostała. W dziewiętnaście lat po ślubie, a w dwadzieścia jeden od pierwszego spotkania nadal namiętnie kochał żonę. Tego poranka, zaraz po wyjściu spod prysznic, kochał się z nią długo, zapominając o zmęczeniu i kacu. Wspomnienie doznanej rozkoszy sprawiło, że nieoczekiwanie wyznał:

– Ciągle doprowadzasz mnie do szaleństwa, wiesz...

Faye zaczerwieniła się, ale wyglądała na zadowoloną z tej spontanicznej deklaracji. Jej miłość także wytrzymała próbę czasu.

– Z wzajemnością, kochanie.

– To dobrze.

Ward zatrzymał samochód na parkingu przed budynkiem MGM. Stojący przy bramie strażnik uśmiechnął się do Thayerów. Lubił ich i szanował za punktualność i pracowitość, a także życzliwość i „normalność”. Mili ludzie z piątką fajnych dzieciaków, myślał.

– Bardzo będziesz dziś zajęty? – zapytała Faye, gdy czekali na windę.

– Tak sobie, a ty?

– Mam spotkanie z trójką aktorów – Faye wymieniła nazwiska. – Czuję, że to będzie długa rozmowa. Muszę im dokładnie wyjaśnić, o co mi chodzi, żeby byli przygotowani i wiedzieli, czego od nich oczekuję.

Film opowiadał o czterech żołnierzach walczących podczas drugiej wojny światowej. W żaden sposób nie można go było zakwalifikować do kategorii filmów „ładnych”, raczej przerażał dosłownością i brutalnością. Szefowie wytwórni optowali za powierzeniem reżyserii mężczyźnie, ale Dore Schary przekonał ich, że Faye na pewno sprosta zadaniu. W efekcie ten film Faye potraktowała jak wielkie wyzwanie i postanowi-

ła zrobić wszystko, aby nie zawieść pokładanego w niej zaufania. Na względzie miała także Warda, który włożył wiele wysiłku w zgromadzenie funduszy. Ewentualni sponsorzy odnosili się do projektu z nieukrywaną rezerwą. Kusily ich nazwiska gwiazd i reżysera, ale obawiali się, że publiczność zignoruje przygnębiający film, naszpikowany okrucieństwem. Po ubiegłorocznym zamachu na Johna Kennedy'ego ludzie pragnęli się odprężyć i zrelaksować, nikt nie miał ochoty na dalsze tragedie, ale Ward i Faye postanowili zaryzykować. Scenariusz oparty na znanej książce był znakomity. Stanowił doskonały materiał na wielkie dzieło filmowe. Ward wierzył w Faye, ale zdawał sobie sprawę, że ogólna nieprzychylność do tematu trochę ją irytowała.

– Wszystko będzie dobrze – powiedział, stojąc przed drzwiami biura. Oboje byli przekonani, że im się uda, ale przy każdej okazji jeszcze dodawali sobie otuchy.

– Jestem śmiertelnie przerażona.

– Wiem, ale nie myśl o tym. Odpręż się.

Łatwo mówić! Faye zapomniała o zdenerwowaniu dopiero, gdy rozpoczęły się zdjęcia. Film zupełnie ją pochłoniął, wychodziła z domu o piątej rano, kończyła pracę około północy albo później i czasami zostawała w studio na noc.

Ward wiedział, że na nic zdałyby się jego protesty i z własnej inicjatywy obiecał żonie, że dopilnuje dzieci. Faye zawsze bez reszty angażowała się w to, co robiła, obojętne, czy była to reżyseria, czy prowadzenie domu. Po skończonym filmie starała się nadrobić macierzyńskie zaległości, lecz podczas zdjęć nie była w stanie myśleć o niczym innym, nawet o dzieciach.

Gdy Faye decydowała się wracać do domu po zdjęciach, była zwykle zbyt zmęczona, aby prowadzić samochód. Wówczas Ward przyjeżdżał po nią, bojąc się, że zasnąłaby za kierownicą, wjechała na drzewo albo spowodowała ogromny karambol na autostradzie. Tej nocy pojawił się w biurze około pierwszej. Faye, zmęczona długim dniem pracy, osunęła się bezwładnie na siedzenie samochodu.

– Chyba umrę – powiedziała, na siłę otwierając klejące się oczy. Jej głos był głęboki i zachrypnięty od kilkugodzinnego mówienia i litrów wypitej kawy, która podrażniła jej przełyk. Prace nad filmem posuwały się całkiem sprawnie dzięki wysiłkom i poświęceniu Faye, nieustannie nadzorującej aktorów, udzielającej im rad i instrukcji.

– Głowa do góry, kochanie. Wszystko będzie dobrze.

– Ward, powiedz mi szczerze, co myślisz o tym filmie? Sądzisz, że mi się uda? – zapytała, z niepokojem oczekując odpowiedzi. Opinie Warda miały dla niej istotne znaczenie, bardzo się z nimi liczyła.

– Kochanie, ten film będzie twoim triumfem, nie tylko sukcesem, i jestem pewien, że dostaniesz za niego Oscara.

– Mniejsza o to. Ważne, żeby się spodobał, żeby był dobry, żebyśmy byli z niego dumni.

– Na pewno będziemy – powiedział z przekonaniem.

Ward darzył Faye ogromnym szacunkiem, tak samo jak ona jego. Podziwiała w nim upór i determinację, zdolność dokonywania zmian w życiu. Uważała, że jak na człowieka, który rozpoczął karierę zawodową w wieku trzydziestu ośmiu lat, nie mając praktycznie żadnych kwalifikacji, a jedynie dobrą wolę, udało mu się zejść bardzo daleko. Przemiana Warda graniczyła niemalże z cudem i tym bardziej była dumna z męża.

– Co tam w domu? – zapytała, zamykając oczy.

– W porządku – odpowiedział Ward cokolwiek wymijająco. Prawda nie przedstawiała się specjalnie różowo. Sprzątaczką zagroziła odejściem. Anne i Val ostro kłóciły się przez cały dzień, a Greg miał stłuczkę. No, ale mniejsza o to, najważniejsze, że już niedługo skończą się zdjęcia i Faye będzie mogła spędzać w domu więcej czasu.

Ward nie mógł się nadziwić, jak dawała sobie radę ze wszystkimi domowymi obowiązkami, on czuł się czasami zagubiony w gąszczu spraw związanych z dziećmi.

– Bliźniaczki codziennie chodzą pilnować dzieci. Greg przygotowuje się do wyjazdu na ranczo, czyli wszystko normalnie.

Ward celowo pominął szczegóły przygotowań Grega: bez przerwy dzwoniący telefon, trzaskające drzwi, tłumy kumpli wpadających na kilka minut, aby uzgodnić ostatnie detale i przy okazji porzucić lotkami w ulubioną wazę Faye.

– Z Lionelem prawie się nie widzimy, odkąd poszedł do pracy.

– Jest zadowolony? – zapytała Faye, otwierając oczy. Chciała osobiście porozmawiać z synem, ale ciągle się mijali.

– Myślę, że tak. W każdym razie nie skarżył się.

– To o niczym nie świadczy, on się nigdy nie skarży – powiedziała Faye, by po chwili zmienić temat. – Powinnam była zorganizować coś dla Anne, ale ta zmiana terminu kompletnie mnie zaskoczyła.

Nieprzewidziane perturbacje sprawiły, że realizacja przesunęła się z września na lipiec, co oznaczało rozstanie z dziećmi podczas wakacji. Faye nie była zadowolona z takiego obrotu sprawy, ale nie chciała powodować dodatkowych komplikacji i przystała na niedogodny dla siebie termin. Wtedy stanęła przed koniecznością zagospodarowania dzie-

ciom czasu w wakacje. Okazało się to trudne, zwłaszcza w przypadku Anne, która uparcie odmawiała wyjazdu na obóz.

– Co robi Anne całymi dniami?

– Spotyka się z koleżankami, kąpie się w basenie. Pani Johnson ma na nią oko aż do mojego przyjscia. W przyszłym tygodniu zabiorę ją i jeszcze kilkoro dzieciaków do Disneylandu.

– To wspaniale – powiedziała Faye, ziewając.

Ward podjechał przed dom i zaparkował samochód na chodniku. Mimo późnej pory dzieci jeszcze nie spały, Valerie paradowała po domu w niezwykle śmiałym bikini, na widok którego Faye doznała szoku. Była zbyt zmęczona, aby na gorąco wytłumaczyć córce niestosowność stroju, ale obiecała sobie, że z samego rana porozmawia z Val. Z pokoju Valerie dochodziła głośna muzyka, zagłuszająca słaby głosik Vanessy rozmawiającej z kimś przez telefon i od czasu do czasu próbującej wynegocjować z siostrą odrobinę ciszy.

– Gdzie jest Anne? – zapytała Faye.

Valerie wzruszyła ramionami, zajęta śpiewaniem do wtóru z głosem dochodzącym z radia.

– Czy możesz odpowiedzieć na pytanie?

– Chyba siedzi na górze.

– Śpi już?

– Prawdopodobnie śpi – odpowiedziała Val.

Vanessa pokręciła głową. Miała zdolność uczestniczenia w kilku rozmowach naraz, dzięki czemu sprostowała informację Val.

Faye poszła na górę, aby ucałować najmłodszą córkę na dobranoc. Po drodze stwierdziła, że Greg jeszcze nie wrócił do domu. Ciekawe, gdzie jest o tej porze, pomyślała rozgniewana. Chciała wiedzieć, co dzieło się z dziećmi. Bardzo się o nie martwiła, zwłaszcza gdy spędzała całe dni na planie i nie mogła sprawować takiej kontroli, jakby sobie tego życzyła. Ward był mniej rygorystyczny, pozwalał dzieciom robić to, na co miały ochotę. Mawiał, że chcąc za wszelką cenę utrzymać porządek, prędzej oszalałby, niż dopiął swego.

Faye delikatnie otworzyła drzwi pokoju Anne. Była gotowa przysiąc, że przez szparę między drzwiami i podłogą, jeszcze sekundę wcześniej widziała światło, a gdy zajrzała do środka, pokój spowijały ciemności. Córka leżała skulona na łóżku, przykryta kołdrą. Faye podeszła do niej, dotknęła miękkich włosów.

– Dobranoc, maleństwo – szepnęła i pochyliła się, aby pocałować ją w policzek.

Zamknęła za sobą drzwi. Kierując się do sypialni, marzyła o gorącej kąpieli. Gdy woda z bulgotem lała się do wanny, Faye przez parę minut rozma-

wiała jeszcze z Wardem na temat filmu. Na schodach dały się słyszeć kroki bliźniaczek, pukanie do sypialni rodziców i chóralne dobranoc. Przed pójściem do swojego pokoju Vanessa postanowiła zajrzeć jeszcze do Anne, zastała ją siedzącą na łóżku, czytającą „Przeminęło z wiatrem”.

– Widziałas się z mamą? – zapytała Van, patrząc siostrze badawczo w oczy. Miały one dziwny wyraz, jakby ostrzegały przed zbytnią poufałością. Jedyne w czasie rozmów z Lionelem świeciły łagodnym, ciepłym blaskiem.

Anne pokręciła przecząco głową.

– Jak to możliwe? – zdumiała się Van. – Pewnie udawałaś, że śpisz, prawda? – domyśliła się szybko i dodała:

– Ciekawe, dlaczego?

Anne wzruszyła ramionami.

– Byłam zmęczona.

– Bzdura – zezłościła się Vanessa. – Głupio się zachowałam. Mama zapytała o ciebie zaraz po przyjeździe z pracy. – Twarz Anne nie wyrażała żadnych emocji, oczy były zupełnie obojętne. – Myślę, że zrobiłaś jej świństwo – powiedziała Van, kierując się do wyjścia. Gdy dotykała klamki, usłyszała głos Anne:

– Nie mam jej nic do powiedzenia.

Vanessa odwróciła się, patrząc na siostrę zdeorientowanym wzrokiem.

Nikt inny poza Lionelem nie rozumiał obawy Anne. Nie chciała narażać się na odrzucenie. Matka nigdy nie miała dla niej czasu. Od najwcześniejszego dzieciństwa obok siebie widziała tylko coraz to nowe nianki, opiekunki, ponieważ mama zawsze była zbyt zajęta, by przytulić Anne. Ciągle miała coś pilnego do zrobienia: była zmęczona, miała coś innego na głowie, musiała przeczytać scenariusz albo porozmawiać z tatusiem. O czym więc mogły teraz rozmawiać? Przecież nie miały żadnych wspólnych tematów, nic je nie łączyło. Kim właściwie była matka? Kim była Anne? O wiele prościej było rozmawiać z Lionelem i unikać matki, tak jak ona unikała Anne od tak długiego czasu, od dnia jej narodzin.

Rozdział czternasty

Na początku jesieni Lionel przeprowadził się do mieszkania, które wynajął wraz z czterema przyjaciółmi, rozpoczął zajęcia na pierwszym roku UCLA.

W tydzień po opuszczeniu domu wpadł dowytwórni, aby zobaczyć się z matką. Stał w drzwiach studia, cierpliwie czekając na przerwę

w zdjęciach. Umiał sobie czas patrzeniem na matczyne zmagania z aktorami.

Wreszcie po godzinie z okładem Faye dała ręką znak, że zwalnia wszystkich na przerwę. Odwróciła się do drzwi i wtedy wreszcie zauważyła syna. Na jego widok przyspieszyła kroku, przywitała się z nim, całując go serdecznie.

– Musisz mi wszystko opowiedzieć – powiedziała takim tonem, jakby nie widziała Lionela od kilku lat. – Podoba ci się nowe mieszkanie?

– Tak, jest całkiem miłe. Faceci, z którymi mieszkam, są znośni. Na szczęście żaden z nich nie przypomina Grega – uśmiechnął się na wspomnienie bałaganu w pokoju brata.

– Byłeś w domu od czasu wyprowadzki?

– Raz czy dwa wpadłem po rzeczy. Widziałem się z ojcem. Mówił, że dobrze sobie radzisz.

– To prawda.

Lionel przesunął wzrokiem po dekoracjach.

– Wspaniałe wnętrza – ocenił.

Faye ucieszyła się z tej opinii. Lionel miał dużo wycucia, poza tym chętnie słuchała uwag obserwatorów z zewnątrz. Przychodząc codziennie do tego samego studia, spotykając tych samych ludzi, obawiała się, że popada w rutynę i nie jest w stanie dostrzec niuansów, a świeżość spojrzenia miała kapitalne znaczenie.

– Piękna scena – dodał Lionel.

– Pracujemy nad nią od tygodnia – odrzekła Faye z uśmiechem, kątem oka dostrzegając kręcącego się w pobliżu mężczyznę, odtwórcę głównej roli.

Aktor rzucił szybkie spojrzenie na Lionela. Paul Steele, bo tak brzmiało jego nazwisko, miał w Hollywood reputację perfekcjonisty i tym zapewne zdobył sobie sympatię Faye, która doceniając talent i przymioty charakteru, kręciła z nim drugi już film.

– I co myślisz? – zapytał Paul, siadając obok Faye.

– Myślę, że zdążyliśmy z tą sceną w ostatniej chwili.

– Też tak uważam – przyznał. – Wczoraj naprawdę się zmartwiłem. Miałem wrażenie, że nigdy nie zagramy tego tak, jak trzeba. Nie spałem całą noc, zastanawiałem się, jak do tego podejść.

– Dzięki takim jak ty, ten interes ciągle się kręci – rzekła Faye z uznaniem. Gdyby wszyscy aktorzy podchodzili do pracy w równie solidny i odpowiedzialny sposób...

Po chwili Paul wstał, popatrzył na Lionela i powiedział:

– Musisz być synem Faye.

Wszyscy reagowali tak samo, bezbłędnie zgadując pokrewieństwo między Li i Faye.

– Jak na to wpadłeś? – zapytali oboje ze śmiechem.

– Takie same włosy, nos, oczy... Słuchaj, chłopcze, jeżeli miałbyś fryzurę matki i założyłbyś sukienkę, to można by was brać za siostry.

– Nie jestem pewna, czy bym tego chciała – zastanowiła się Faye. – No dobra, powiem od razu, nie chciałabym.

– Pana gra zrobiła na mnie duże wrażenie, panie Steele – rzekł Lionel tonem pełnym szacunku.

– Dziękuję – odrzekł Paul, mile pochlebiony.

Faye uznała, że najwyższy czas na oficjalną prezentację i przedstawiła sobie mężczyzn.

– Twoja matka jest najbardziej wymagającym reżyserem, ale dla niej warto dać z siebie wszystko.

– Komplementy, komplementy – zaśmiała się. – Panowie, mamy jeszcze godzinę, czy mogę was zaprosić na lunch do baru w wytwórni?

– Boże, cóż za pytanie?! Jednakowoż może wyszlibyśmy na miasto, posiłek w barku grozi nam komplikacjami z trawieniem. Służę samochodem – rzekł Paul z emfazą.

– Bez przesady – Faye broniła swojej koncepcji.

Po wymianie jeszcze kilku żartobliwych argumentów za i przeciw, cała trójka udała się do barku. Po drodze Paul wypytywał Lionela o studia. Był pod wrażeniem syna Faye, jego inteligencji i wrażliwości, dojrzałości sądów niespotykanej u ludzi w tak młodym wieku, ogromnej wiedzy o przedmiocie, w którym się specjalizował. Dwaj mężczyźni prowadzili ożywioną rozmowę, aż do czasu, gdy Faye przypomniała im o końcu przerwy. Na zaproszenie Paula Lionel poszedł z nim do garderoby, przypatrywał się charakteryzacji, wysiłkom kosmetyczki i fryzjera zamieniających twarz Paula w twarz jeńca wojennego. Li bardzo chciał zostać w studio aż do końca zdjęć, ale nie mógł opuszczać zajęć, dlatego, nie kryjąc żalu, był zmuszony się pożegnać.

– Szkoda, że musisz już iść, bardzo dobrze mi się z tobą rozmawiało – wyznał Paul. Oświadczenie nie miało nic z konwenansu. Li szczerze przypadł mu do gustu, może nawet za bardzo... Przez szacunek dla Faye nie chciał dać tego po sobie poznać, poza tym Li był prawie dzieckiem. Paul nie miał zamiaru go deprawować, no i dziewice nie były w jego typie...

– Chętnie jeszcze wpadnę któregoś dnia, żeby popatrzeć. Mam wolne popołudnie pod koniec tygodnia – podchwycił Lionel skwapliwie.

Aktor nie był pewien, co właściwie było powodem ekscytacji młodego człowieka, film czy też coś zupełnie innego...

– Myślę, że mógłbym przyjść w piątek – powiedział Li, próbując spokład wzrok Steele’a.

– O zgodę spytaj mamę, ona jest szefem – rzekł Paul ostrożnie. Sytuacja stawała się coraz bardziej dwuznaczna. Kim właściwie był Lionel, chłopcem czy mężczyzną?

– W porządku, zapytam.

Paul pomyślał o ewentualnych obiekcjach, jakie może mieć Faye, słysząc pytanie syna. Przecież Paul nie robił tajemnicy ze swych upodobań.

– Do zobaczenia w piątek – powiedział Li na pożegnanie.

Paul patrzył na drzwi. O Boże, życie jest czasami cholernie skomplikowane! Tylko nie to, tylko nie z synem Faye Thayer... Sięgnął do kieszeni po trawkę, zrobił sobie skręta w nadziei, że uda mu się trochę uspokoić przed zdjęciami.

Kolejne podejście do sceny zakończyło się pełnym sukcesem. Paul bez entuzjazmu odniósł się do gratulacji Faye. Nie wiedzieć czemu, był smutny i chłodny. Faye nie mogła tego zrozumieć.

Ponowne pojawienie się Lionela w piątkowe popołudnie nikogo nie zaintrygowało. Wszyscy wokoło wiedzieli, że interesowało go kino, że z nim wiązał swoją przyszłość. Sama Faye nie przykładła żadnej wagi do wzajemnego zainteresowania, jakie okazywali sobie Li i Paul podczas lunchu. Wiedziała, oczywiście, o preferencjach aktora, ale przez myśl jej nie przeszło, że mógłby wykorzystać jej syna. Była tego absolutnie pewna.

– Dzień dobry, Paul – rzekł Li, przez moment wahając się, jak właściwie zacząć, po prostu „Paul” czy może „panie Steele”. Paul miał zaledwie dwadzieścia osiem lat, ale cieszył się dużym uznaniem, co troszkę onieśmiało Lionela, zaledwie osiemnastolatka.

– Cześć – odpowiedział aktor, starając się wypaść naturalnie.

Miał nadzieję, że spotkanie nie będzie miało dalszego ciągu, lecz los chciał inaczej. Późnym popołudniem Faye zaproponowała mu kieliszek wina, oczywiście w towarzystwie Lionela. Na jego widok Paul z trudem powstrzymał się od serdecznego uśmiechu. Być może, gdyby wmawiał sobie, że ten chłopak jest jeszcze dzieckiem, byłoby mu łatwiej oprzeć się urokowi Li. Jednak wystarczyło tylko przez moment popatrzeć w jego oczy: głębokie, rozumiejące, mądre i tajemnicze, jakby starały się ukryć coś przed światem... Paul doskonale znał ten rodzaj spojrzenia. Oczy przekazywały sygnały, poszukiwały wyciągniętej ręki. Doskonale pamięta, jak, mając osiemnaście lat, pragnął, aby ktoś odkrył tajemnicę i wyzwolił go z piekła samotności i wątpliwości, aby skończyło się

życie pełne przerażenia własnymi pragnieniami. Jaki właściwie sens ma wma-
wianie sobie, że Lionel to dziecko, zaprzeczanie, że to mężczyzna?

– Jak ci się podobała nasza dzisiejsza praca? – spytał Paul, wyrrywając się z kręgu własnych myśli.

– Myślę, że byliście bardzo dobrzy.

– Chciałbyś zobaczyć zdjęcia, które dzisiaj zrobiliśmy? – zapytał Paul z nutką nadziei w głosie. Oglądanie nakręconego materiału było bardzo ważne, a Li mógłby zwrócić uwagę na coś istotnego.

– Jasne! – odrzekł Li zachwycony, zaproszenie poczytywał za zaszczyt i z wrażenia aż szeroko otworzył oczy. Widząc to, Paul i Faye roześmiali się serdecznie.

– Posłuchaj, jeżeli będziesz z góry tak entuzjastycznie nastawiony, to niewiele nam pomożesz. Musisz zdawać sobie sprawę, że teraz jest konieczny krytyczny osąd, żebyśmy mogli wybrać najlepsze ujęcia – poinstruował aktor.

Około szóstej przeszli do sali kinowej. Paul i Lionel usiedli obok siebie, zgaszono światła i wtedy Paul poczuł dotyk kolana Li. Ogarnęło go podniecenie, ale dyskretnie odsunął nogę, starając się skoncentrować na tym, co widział na ekranie. Po zapaleniu świateł obaj mężczyźni szczegółowo przeanalizowali obejrzone fragmenty, ku obopólnemu zdumieniu stwierdzając, że odnieśli bardzo podobne wrażenia. Lionel wygłosił kilka błyskotliwych uwag, używał profesjonalnego słownictwa, czuł styl gry, czym, oczywiście, oczarował Paula. Zbliżała się siódma trzydzieści, gdy Faye postanowiła pójść do domu. Jak na nią była to bardzo wczesna pora, ale jutro czekał ją wyjątkowo ciężki dzień, a i zmęczenie wyteżoną pracą także dawało o sobie znać.

– Jesteś samochodem, kochanie? – zapytała Lionela.

– Tak, mamo.

– Dobrze, więc zostawiam was samych. Konam ze zmęczenia. Dobranoc, panowie – pożegnała się, całując Lionela i machając ręką do Paula.

Wrócili do przerwanej wyjściem Faye dyskusji. Nagle Paul poczuł się głodny. Spojrzał na zegarek i ze zdumieniem stwierdził, że nieopstrzeżenie upłynęło półtorej godziny. Studio opustoszało. Przyszło mu na myśl, że zjedzenie czegoś na mieście w towarzystwie Lionela to niezły pomysł.

– Mój żołądek dopomina się o swoje prawa. Skoczymy razem na hamburgera?

– Bardzo chętnie – odpowiedział Li – oczywiście, jeśli moje towarzystwo nie komplikuje twoich wcześniejszych planów – dodał, nagle pełen

podejrzeń, że zaproszenie wyniknęło z czystej grzeczności. Paul wyczuł obawy Lionela, więc dla dodania mu otuchy, poklepał go serdecznie po ramieniu. W pobliżu nie było żywej duszy, a zatem i ryzyka, że ten naprawdę przyjacielski gest mógłby być zupełnie inaczej zinterpretowany.

– Uwierz mi, od tygodni, może nawet od miesięcy, z nikim nie rozmawiało mi się tak fajnie jak z tobą – zapewnił Paul.

– Miło mi.

Po kilku minutach znaleźli się na parkingu.

– Jaki wspaniały samochód! – wykrzyknął Paul na widok czerwonego mustanga.

– Dostałem go z okazji ukończenia szkoły – wyjaśnił z dumą Lionel.

– To się nazywa prezent – rzekł Paul sentencjonalnie, przypominając sobie swoje zakończenie szkoły.

Gdy był w wieku Lionela, kupił pierwszy samochód, starego grata za siedemdziesiąt pięć dolarów. Cóż, jego rodzicami nie byli Ward i Faye Thayerowie i nie wychowywał się w Beverly Hills. Paul przeniósł się z Buffalo do Kalifornii, kiedy skończył dwadzieścia dwa lata i od tamtego czasu jego życie kompletnie zmieniło kierunek. Nagle zaczęło mu się powodzić, robił szybką i wielką karierę. Wystartował dzięki romansowi z jednym z producentów w Hollywood, ale pozycję niekwestionowanej gwiazdy zawdzięczał swojemu talentowi i ogromnej pracowitości. Jego współpracownicy wyrażali się o nim w samych superlatywach, podkreślając jego profesjonalizm. Ci, którzy znali go lepiej, przyznawali, że znalezienie się w jego towarzystwie to przyjemność. Był obdarzony poczuciem humoru i bezpretensjonalnym sposobem bycia. Od czasu do czasu pojawiały się, co prawda, plotki na temat jego życia prywatnego, narkotycznych szaleństw, wyszukanych praktyk seksualnych. Co by się jednak mówiło, Paul zachowywał się fair, nie wykorzystywał nikogo, nikt przez niego nie cierpiał. Gdy dostał rolę, pracował ciężko, starał się jak najlepiej, jak potrafił, poza tym był młody, a młodość musi się wyszumieć, mawiano, usprawiedliwiając jego ekscesy.

Tamtego wieczoru zabrał Lionela do baru z hamburgerami na Sunset. Jechał za nim, ostrożnie prowadząc swego srebrnego porsche. Ciągłe jeszcze walczył ze sobą. Nie chciał skrzywdzić Li w jakikolwiek sposób ani fizycznie, ani psychicznie. Pieprzony świat! Ten chłopak był tak piękny, ale i tak cholernie młody. Paul polubił go od pierwszej chwili znajomości, a gdy siedzieli w barze, wprost nie mógł od niego oderwać oczu. Po wyjściu na zewnątrz Lionel rozpląnął się w podziękowaniach za zaszczyt i przyjemność spędzenia z nim kilku godzin. Paul bił się z myślami, zaprosić go do

siebie czy nie? Co zrobić, jak się zachować, jak się dowiedzieć, kim właściwie jest Lionel? Czy ten chłopak już wie, a może nawet nie podejrzewa, co wtedy? Po chwili namysłu Paul doszedł do wniosku, że inicjatywa należy do niego, musi zrobić pierwszy krok, inaczej Lionel odjedzie czerwonym mustangiem. Odjedzie, to byłoby straszne. Nie mógł na to pozwolić, nie teraz...

– Może wpadniesz do mnie na drinka, jest dość wcześnie... – zaproponował wreszcie, ze wszystkich sił starając się ukryć zakłopotanie.

Oczy Lionela wyrażały bezbrzeżny zachwyt.

– Z największą przyjemnością.

Paul umierał z ciekawości: wie czy nie? Jak to odgadnąć?

– Mieszkam w Malibu. Chcesz jechać za mną, czy wolisz tutaj zostawić samochód? Mógłbym cię później odwiedzić.

– Nie sprawię ci kłopotu, jeżeli zostawię samochód? – zapytał przeornie Li, mając na względzie dystans między Malibu a swoim mieszkaniem.

– Najmniejszego. Nie chodzę wcześnie spać, a dzisiaj mogę się w ogóle nie kłaść, jutro zaczynamy zdjęcia już o czwartej.

– Czy mój samochód będzie tutaj bezpieczny? – zastanawiał się głośno Lionel. Rozejrzał się dookoła i uznał, że nic złego nie powinno się wydarzyć. Bar był otwarty przez całą noc, po chodniku kręciło się sporo ludzi. Kto chciałby się włamywać i mieć tylu świadków? Uspokojony, wsiadł do porsche'a Paula. Zapiął pas i nagle doznał wrażenia, że odjeżdża w całkiem inny świat. Siedział w przepięknym samochodzie, na czarnym skórzanym siedzeniu, deska rozdzielcza wyglądała jak wyposażenie samolotu. Paul po kilku sekundach wyprowadził samochód na autostradę, wrzucił trzeci bieg i już mknęli do Malibu, z radia sączyła się głośna muzyka, piosenka Rogera Millera „Król szos”, jakby parafraza sytuacji, w której znalazło się porsche wraz z jego dwoma pasażerami. Paul marzył o marihuanie, ale uznał, że lepiej nie palić w obecności Lionela. Nie wiadomo, czy był wprowadzony, a poza tym Paul nie był pewien swych własnych reakcji. Bał się, że mógłby pójść na całość... W czasie jazdy prowadzili utrzymaną w lekkim tonie rozmowę. Gdy znaleźli się w Malibu, Lionel czuł się zupełnie odprężony.

Paul otworzył drzwi domu i zaprosił gościa do środka. Nastrój domu urzekł Lionela, z okna rozciągał się widok na ocean. Pokój gościnnie był przytulny, pełen miękkich poduszek i siedzisk, kwiatów, nastrojowych lamp, oświetlających ulubione obrazy Paula. Pod jedną ze ścian znajdował się gustowny barek, pod drugą półki z książkami. Paul włączył magnetofon, po chwili muzyka wypełniła łagodnymi dźwiękami cały

pokój. Lionel usiadł na sofie, zachwyconym wzrokiem chłonał każdy szczegół wnętrza. Wziął podany przez Paula kieliszek z winem, podziękował, nie przestając rozglądać się po pokoju.

– Podoba ci się tu? – zapytał Paul. Sam, bez fałszywej skromności, był dumny ze swego domu. Jak na chłopca z biednej rodziny z Buffalo, udało mu się osiągnąć nie byle jaki sukces.

– Mój Boże, tu jest pięknie...

– Prawda? – ucieszył się Paul.

Siedząc w tym magicznym domu, Lionel doznawał wrażenia, że cały świat jest w zasięgu ręki, zaledwie kilka kroków dalej szumiał ocean, rozciągała się bezkresna plaża. Kiedy mężczyźni skończyli wino, Paul zaproponował spacer. Na dworze było całkiem ciemno, zbliżała się jedenasta. Paul zdjął buty. Lionel zrobił to samo. Szli ramię w ramię po miękkim, białym piasku. Lionel pomyślał, że nigdy wcześniej nie czuł się równie szczęśliwy, za każdym razem, gdy spoglądał na Paula ogarniało go zakłopotanie, powoli uświadamiał sobie, że, choć czas i miejsce miały swoje znaczenie, dobry nastrój to głównie zasługa Paula. Wystarczyło, że był tuż obok i cały świat mienił się tysiącem kolorów. W drodze powrotnej Paul zatrzymał się.

– Jesteś zmieszany, Li, prawda? – zapytał nagle, pozwalając sobie zdrobnić imię tak, jak robiła to Faye.

Lionel zdawał się w pełni akceptować niespodziewaną poufalskość. Pokiwał głową.

– Tak – chciał być zupełnie szczery. Może wtedy zrozumie, co się z nim dzieło? Jakież to dziwne, czuł się zarazem stary i młody. – Jestem zmieszany.

– Ze mną było tak samo, zanim przeniosłem się tutaj z Buffalo – głęboko odetchnął nocnym powietrzem. – Nienawidziłem tamtego miejsca. – Spojrzał Lionelowi w oczy i powiedział:

– Jestem gejem. – Słowa wymknęły mu się spod kontroli.

Co teraz będzie? A jeżeli Lionel go znenawidzi, przestraszy się i ucieknie? Pierwszy raz od kilku lat zdjął go strach. Momentalnie powróciły wspomnienia ze szkoły w Buffalo, miłość do pana Hoolihana, trenera od baseballu. Miłość bez słów, tylko patrzyenie na niego kąpiącego się pod prysznicem i pokusa, żeby dotknąć jego twarzy, ramienia, nogi, żeby dotykać go wszędzie, tam...

– Czy wiesz, co to znaczy? – Paul ciągle patrzył Lionelowi prosto w oczy.

– Tak, oczywiście.

– Chciałbym, żebyś dobrze mnie zrozumiał, nie chodzi tylko o homoseksualizm. Jest jeszcze pewien rodzaj samotności, dotyczący tylko

mężczyzn – usiłował wyjaśnić Paul. Lionel kiwał głową, nie odrywając od niego oczu. – Widzę, że doskonale wiesz, co mam na myśli. Wiesz, co kiedyś czułem, bo teraz ty sam to przeżywasz, prawda?

Łzy spływały Lionelowi po policzkach. Kiwał głową, nie mógł dłużej patrzeć na Paula, ukrył twarz w dłoniach i zaczął szlochać, czuł na sobie ciężar wszystkich lat spędzonych w samotności, niezrozumieniu samego siebie. Uspokoił się dopiero, gdy Paul wziął go w ramiona, przytulił mocno i znowu patrząc mu w oczy, wyznał:

– Zakochuję się w tobie i zupełnie nie wiem, co począć.

Lionel poczuł się wreszcie wolny. Nagle wszystko stało się jasne, uczucia, których wcześniej nie rozumiał albo nie chciał rozumieć, bo go przerażały... Nareszcie pojął, co się z nim działo.

– Jesteś dziewczicą? – zapytał cicho Paul.

– Tak – rzekł Lionel zachrypniętym głosem.

Nie wiedział, jak mu powiedzieć o swojej miłości. Miał nadzieję, że z czasem się dowie, teraz czuł się zupełnie zagubiony. Pragnął jedynie, aby Paul go nie odepchnął, żeby pozwolił mu być blisko, zawsze...

– Kochałeś się z dziewczyną?

Lionel pokręcił głową. Nigdy tego nie zrobił, nigdy tego nie pragnął, nawet myśli na ten temat były mu kompletnie obce.

– Ja też nie – powiedział Paul, kładąc się na piasku. Delikatnie wziął Lionela za rękę. – Wybór nie należy do nas, dokonuje się jeszcze przed naszym urodzeniem. Wierzę, że my, homoseksualiści, będziemy w pełni akceptowani, ale jesteśmy inni. Czujemy to, wiemy o tym, nawet gdy jesteśmy małymi chłopcami. Myślę, że ja też to czułem, ale bałem się do tego przyznać, nawet przed samym sobą.

– Ja tak samo. Bałem się, że ktoś to odkryje, dowie się, zobaczy moje myśli. Na przykład mój brat, typowy mięśniak, napalony na dziewczyny. Mój ojciec chciał, żebym był taki jak on, a ja po prostu nie mogłem, nie mogłem... – mówił Lionel, połykając łzy.

– Czy ktoś z rodziny wie?

Li pokręcił głową.

– Do dzisiaj nie byłem szczerzy nawet sam ze sobą.

Teraz chciał być szczerzy. Wiedział. Był pewien. Chciał być sobą. Chciał być z Paulem, tylko z nim. Czekał na niego całe życie, nie mógł go stracić.

– Pamiętaj, drogi powrotnej nie ma. Niektórzy mówią, że jest, ale ja w to naprawdę wątpię. Li, musisz wiedzieć, że potem nie będziesz mógł zmienić zdania. – Paul położył się na piasku, ręką podpierając głowę. Popatrzył za siebie. Byli zupełnie sami, ich rozmowie towarzyszyły

tylko światła domów, migoczące w oddali jak zaręczynowe pierścionki. – Li, nie chciałbym zrobić niczego, na co nie byłbyś gotowy.

– Ale ja jestem gotowy, wiem o tym. Wiem, że jestem gotowy. Do dzisiaj czułem się potwornie samotny, nie zostawiaj mnie teraz.

Paul wziął go w ramiona i mocno przytulił. Dobrze postąpił, dał mu wybór. Powiedział, że później trudno się wycofać, nie próbował go wykorzystać. Nigdy nikogo nie wykorzystywał. Nie mógłby, nawet gdyby nie wiem jak mu zależało.

– Idziemy do domu – podniósł się, podając rękę Lionelowi.

Lionel miał wrażenie, że z serca spadł mu wielki kamień. Nareszcie wie, kim jest, dokąd zmierza. Wie, i nagle nie jest to tak potwornie przerażające.

Weszli do domu, czuli się odświeżeni przez nocne powietrze. Paul nalał wina, rozpałił ogień w kominku i zniknął w sąsiednim pokoju, zostawiając Lionela sam na sam z myślami. Kiedy pojawił się znowu, był nagi, zatrzymał się na środku pokoju. Czekał. Lionel nie wahał się ani przez chwilę, bez słowa wstał i podszedł do Paula.

Rozdział piętnasty

O czwartej nad ranem następnego dnia Paul odwiózł Lionela pod bar z hamburgerami. Upłynęło zaledwie kilka godzin od czasu, kiedy zjedli wspólnie kolację, a ich losy zdążyły się ze sobą na dobre spleść. Lionel nigdy przedtem nie czuł tak wspaniałej intensywności istnienia. Miał wrażenie, że u ramion wyrosły mu skrzydła. Teraz wiedział, kim był. Nareszcie doświadczył czegoś pięknego i wzniosłego. Paul go kochał, życie nagle wydało mu się nieskończenie cudowne. Wysiadł z samochodu. Stał na chodniku, nie wiedząc, jak wyrazić przepętniające go uczucia.

– Nie wiem, co powiedzieć, to znaczy nie wiem, jak mam ci dziękować – powiedział w końcu nieśmiało, ze zdenerwowania przestępując z nogi na nogę.

– Daj spokój z podziękowaniami, zobaczymy się dzisiaj w nocy?

Ciałem Lionela wstrząsnął dreszcz podniecenia. W pamięci zawirowały wspomnienia ostatniej nocy, niesamowitych doznań, o których wcześniej nie miał pojęcia.

– Bardzo bym tego pragnął.

Paul zmarszczył czoło, myśląc, gdzie mogliby się umówić.

– Może spotkalibyśmy się tutaj o ósmej wieczorem? Czekaj na mnie w samochodzie, a potem razem pojedziemy do Malibu. Moglibyśmy zjeść po drodze albo ugotujemy coś u mnie. Co o tym sądzisz?

Umawianie się na mieście nie leżało w zwyczajach Paula, ale pracował do późna i nie był w stanie zorganizować niczego bardziej ekscytującego.

– Wspaniale – odpowiedział Lionel uradowany, ziewając sennie.

– Idź do domu i prześpij się trochę, szczęściarzu, ja muszę iść do roboty, na cały dzień.

Lionel popatrzył na niego ze współczuciem.

– Powiedz ode mnie cześć mojej mamie – ugryzł się w język, zszokowany własnymi słowami.

– Chyba lepiej będzie, jeżeli tego nie zrobię – uśmiechnął się Paul. Nie potrafił sobie wyobrazić reakcji Faye na wiadomość, że jej starszy, ukochany syn był gejem. – Jeśli o coś zapyta, powiem, że zjedliśmy po hamburgerze i poszedłem do domu, w porządku?

Lionel skinął głową. A co będzie, kiedy się wszystko wyda, przecież sam może się przed kimś wygadać? Za jakiś czas ludzie będą musieli się dowiedzieć... za jakiś czas, ale nie teraz. Teraz nie byłby w stanie odważyć się na taką szczerość. Ale w przyszłości będzie musiał, bo jak tu żyć, przez cały czas udając kogoś innego? Na razie nie chciało mu się nawet myśleć o tym, co dalej nastąpi. Chciał mieć tajemnicę, którą znał tylko jeden człowiek – Paul.

– Przyjemnego dnia i do zobaczenia – rzekł Li na pożegnanie. Odurzony wydarzeniami ostatnich godzin,omalże nie popełnił gafy, zapomniał, że znajdowali się na parkingu i pochylił się, chcąc ucałować Paula. Na szczęście jego kochanek wykazał się refleksem, zapobiegł sensacji, odsuwając się, przelotnie tylko gładząc Lionela po policzku.

– Trzymaj się, niedługo znowu się spotkamy.

Z tymi słowami Paul wrzucił bieg i odjechał w głąb ulicy. Li stał jeszcze chwilę na chodniku. Potem otworzył drzwi mustanga, wsiadł do niego pograżony w rozmyśleniach.

Cały dzień włókł się niemiłosiernie. Lionel nie mógł się doczekać wieczora. Punktualnie o ósmej zajechał przed bar z hamburgerami. Wyglądał niezwykle ponętnie. Starannie zaczesane włosy, ubranie jak spod igły i świeży zapach wody po goleniu świadczyły o staraniach Li. Paul docenił wysiłki swego młodego kochanka, nawet przez ułamek sekundy poczuł zażenowanie, jako że sam nie miał czasu umyć się po zdjęciach. Wsiadł z samochodu, podszedł do Lionela. Radość chłopaka była oczywista, nie potrafił jej ukryć. Cały aż drżał z emocji.

– Jaki miałeś dzień, Paul?

– Wspaniały, dzięki tobie – odpowiedział z szerokim uśmiechem. – Pamiętałem całą rolę, doskonale mi szło, ale popołudnie było okropnie męczące – dodał, patrząc po sobie. Wychodząc ze studia w pośpiechu, nie zmył charakterystyki, nie zdjął kostiumu. – Jedziemy do mnie, muszę się umyć i przebrać.

Szczerze powiedziawszy, Paul wolałby po obiedzie pójść z Lionelem do baru, w którym spotykali się homoseksualiści, ale czuł, że było jeszcze za wcześnie na wprowadzanie Li do tego jak dotąd zupełnie mu obcego świata. Instynktownie wyczuwał, że ich związek powinna otaczać atmosfera intymności, jeszcze jakiś czas. Postanowił więc chwilowo nie widywać się ze starymi przyjaciółmi, nie bywać w lokalach.

Wbrew wcześniejszym planom, Lionel pozostawił mustanga na parkingu i przesiadł się do samochodu Paula. Po drodze do Malibu zrobili zakupy w supermarkecie: sześć puszek piwa, wino, warzywa na sałatkę, świeże owoce, mięso na steki. Przygotowaniem obiadu miał się zająć Lionel. Gdy dotarli do domu, Paul natychmiast poszedł do łazienki, a Li, wedle obietnicy, zaczął gotować. Okazało się, że jego deklaracje kulinarne nie były bezpodstawne, po kilku minutach kuchnię wypełniły smakowite zapachy, które zwabiły Paula.

– Obiad będzie gotowy za pięć minut – oznajmił Li, podając Paulowi lampkę wina.

– Wspaniale, umieram z głodu.

Paul odstawił kieliszek, przysunął się do Lionela, chcąc go pocałować.

– Tęskniłem za tobą.

– Ja też.

Ręcznik, okręcony wokół bioder Paula, zaczął się wolno zsuwać. Lionel gorączkowo szarpał pasek szortów.

– Czy steki będą jadalne, jeżeli posmażą się odrobinę dłużej? – spytał Paul.

W gruncie rzeczy obiad mało go obchodził. Poza ciałem Lionela nic innego nie istniało. Tylko to było teraz dla niego ważne, po to żył w tym momencie. Paul powiodł ręką po obnażonym ciele kochanka. Pieszczocie odpowiedział jęk rozkoszy Li. Rozpoczął się szal namiętności, plątały się ręce, usta błądziły po włosach, szyjach, ramionach...

Rozdział szesnasty

Romans z Paulem sprawił, że Lionel czuł się jak młody bóg. Wszystko układało się pomyślnie, a studia dopełniały radości istnienia. Paul nadal współpracował z Faye i, oczywiście, zażyłość z jej synem musiał utrzymywać w najgłębszej tajemnicy.

Pewnego razu, przechodząc w pobliżu studia, Lionel zdecydował się odwiedzić matkę w pracy. Postanowił, że nigdy więcej tego nie zrobi. Udawanie, że nic go nie łączy z Paulem było zadaniem ponad jego siły. Z trudem powstrzymywał swoje odruchy i jednoznaczne pragnienia. Każde spojrzenie Faye odbierał jako potwierdzenie obawy, że matka wszystkiego się domyśla. Nigdy więcej nie skarże się na takie piekło sprzecznych uczuć.

– Ona jeszcze nie wie – żartował później Paul. – Mówiąc poważnie, myślę, że twoja matka potrafiłaby się pogodzić z prawdą.

– Owszem, ale jest jeszcze mój ojciec – westchnął Li. – On by tego nie zniósł, nigdy by nie zrozumiał.

– Przypuszczam, że masz rację – przyznał Paul. – Myślę, że ojcom w ogóle z trudem przychodzi zaakceptowanie synów takimi, jakimi są.

– Twoi rodzice wiedzą o tobie?

– Nie, na razie nie mam się czym przejmować. Jestem jeszcze dość młody, ale za dziesięć lat na pewno zaczną dopominać się o wnuki.

– Może do tego czasu będziesz miał żonę i pięcioro dzieci.

Obu rozśmieszyła absurdalność tej koncepcji. Niektórzy homoseksualiści mieli inklinacje biseksualne i zdarzało się, że zakładali rodziny, lecz nie było tak w przypadku Paula. Kobiety nie robiły na nim najmniejszego wrażenia. Co innego Lionel, chodzący afrodyzjak. Związek z nim był przesycony zmysłowością, erotyką w najczystszej postaci. Kochali się wszędzie: w łóżku, na podłodze przed kominkiem, na sofie, na plaży. Lionel czuł się w Malibu zupełnie zdomowiony, spędzał tam cały wolny czas, a że miał swój klucz, więc prosto po zajęciach jechał do domu Paula i czekał na niego z obiadem. Od miesięcy nie sypiał w wynajętym z kolegami mieszkaniu. Pojawiał się tam rzadko, jedynie po osobiste drobiazgi. Współmieszkańcy nie przepuszczali żadnej okazji, strojąc sobie z niego żarty.

– No dobra, Thayer, gadaj, co to za towarek? Jak ma na imię? Kiedy będziemy mieli okazję ją ujrzeć? A może to po prostu jedna z tych luźnych panienek i boisz się, że gdybyś ją przyprowadził, to musiałbyś się nią podzielić?

– Bardzo śmieszne – zbywał ich.

Tolerował ich dogadywanie, jednocześnie zastanawiając się, co by zrobili, gdyby znali prawdę. Nie było znowu nad czym tak się zastanawiać. Pewno nazwaliby go pieprzonym, obleśnym pedałem i kazali się wynosić.

– Powiedziałeś któremuś ze swoich przyjaciół? – zapytał Paul pewnego wieczoru, gdy wyczerpani miłością leżeli na podłodze koło kominika.

Lionel pokręcił głową:

– Nie.

Jego myśli natychmiast pozęgłowały do chłopców, z którymi mieszkał. Byli zwyczajni, typowi. Wysiłki intelektualne wynagradzali sobie, chodząc na podryw, sprowadzając panienki na noce. Co by się stało, gdyby nagle stanęli w drzwiach domu w Malibu i zobaczyli dwóch facetów leżących nago na podłodze? Chyba padliby trupem z wrażenia.

– Czy masz zamiar ukrywać się przez całe życie, Li? Wiesz, to naprawdę niełatwe. Doświadczyłem tego na własnej skórze. Boże, jakie to było gównno!

– Jeszcze nie jestem gotów się ujawnić.

Obaj doskonale o tym wiedzieli. Paul uszanował wolę Lionela, mimo że miał ogromną ochotę pokazywać się z nim na mieście. Chłopak był rewelacyjny i na pewno oczarowałby wszystkich starych kumpli Paula. Zachowanie dyskrecji wymagało jednak poświęceń. Co prawda, odkładanie na później ujawnienia się przypominało przedłużanie lontu, na którego końcu i tak tykała wielka bomba plotek i zgorzenia – syn Faye Thayer pedałem. Na dodatek wpłątany w romans z aktorem grającym główną rolę w jej filmie. Paul nie nalegał na ujawnianie prawdy także z obawy, że mogłaby na tym ucierpieć jego kariera, z góry zakładał, że Faye albo Ward nie przeszliby nad tym faktem do porządku dziennego. Okoliczności były dla niego ze wszech miar niekorzystne. Lionel miał o jedenaście lat mniej, podejrzania o uwiedzenie nasuwały się więc same. Agent Paula robił wszystko, aby wiadomość o upodobaniach aktora nie przedostała się do mediów. Przy każdej okazji kojarzył nazwisko Paula z nazwiskiem jakiejś aktorki. Publiczność zawsze lubiła zaglądać pod kołdrę idolom, a homoseksualizm jeszcze nikomu nie przysporzył fanów.

Święto Dziękczynienia Lionel spędził z rodziną, czując się wśród bliskich po raz pierwszy w życiu bardzo dorośle, a jednocześnie obco. Przysłuchując się rozmowom, odkrył, że nie miał im nic do powiedzenia. Greg wydał mu się infantylny, dziewczyny stworami z innej planety. Nie potrafił rozmawiać z rodzicami. Jediną znośną osobą była Anne, ale i tak nie mógł

się doczekać, kiedy wreszcie pożegna wszystkich i pojedzie do Paula. W zasadzie powinien zostać trochę dłużej, ale przewidując swoje odczucia, skłamał, że wybiera się z przyjaciółmi nad jezioro Tahoe. Dzięki temu wizyta ograniczyła się do niezbędnego minimum. Po wyjściu z domu natychmiast skierował mustanga na szosę prowadzącą do Malibu. Paul już czekał na niego, wypoczęty i stęskniony.

Cztery tygodnie później nadeszły święta Bożego Narodzenia. W ostatni dzień przed feriami Lionel udał się po świąteczne zakupy. Sprawił się szybko i postanowił wstąpić do wytwórni, żeby zobaczyć się z matką. Wszedł do budynku, ale nigdzie nie mógł jej znaleźć, w związku z tym poszedł prosto do garderoby Paula, zastał go siedzącego przed lustrem, palącego skręta z marihuany. Paul ucieszył się na jego widok, zaproponował wspólne dokończenie „działki”. Lionel przystał na to, aczkolwiek nie był wielkim entuzjastą trawki, zaciągnął się krótko i usiadł naprzeciwko aktora. Mężczyźni popatrzyli sobie w oczy.

– Miałbym dla ciebie propozycję, gdybyśmy akurat nie byli w tym miejscu – rzekł Paul, uśmiechając się i znacząco dotykając uda Lionela.

Zachichotali. Było im ze sobą tak dobrze, że czasami zapominali o ostrożności i stawali się lekkomyślni. Paul pochylił się, pocałował Lionela w usta.

Żaden z nich nie usłyszał ani kroków, ani lekkiego zgrzytu uchylanych drzwi. Dopiero po chwili Lionel zdał sobie sprawę, że nie byli sami, posłyszał czyjeś chrząknięcie. Oderwał się od Paula.

W progu ujrzał matkę patrzącą na nich obu pustym wzrokiem, z oczu płynęły jej ogromne łzy. Momentalnie stanął na równe nogi, po chwili Paul uczynił to samo. Wszyscy troje stali, patrząc na siebie szokowani.

– Mamo, proszę... – wyjąkał Lionel, wybuchając płaczem. Nie był w stanie wykonać najmniejszego ruchu, w mózgu kołatała mu myśl, że ugodził matkę prosto w serce. Faye opadła ciężko na krzesło.

– Nie wiem, co powiedzieć. Jak długo to trwa? – przemówiła wreszcie, spoglądając to na jednego, to na drugiego.

Paul milczał, nie chciał pogorszyć sytuacji, a nie miał pojęcia, co właściwie mógłby powiedzieć.

– Kilka miesięcy, tak mi przykro, tak mi przykro... – powtórzył Li, rozkładając ręce w geście bezradności. Rozpłakał się na dobre.

Paul podszedł do Lionela, czuł, że właśnie w tym momencie powinien być blisko niego, że nie mógł się wyprzeć wszystkich cudownych chwil, jakie ze sobą spędzili. Stanął tuż za plecami Li, patrzył na Faye. Dopiero teraz pojął rozmiar szaleństwa, jakim było wiązanie się z jej

synem, przecież mogła kompletnie zniszczyć całą jego karierę. Niewczesne żale, pomyślał. Stało się, nie można było cofnąć czasu.

– Faye, nikt nie jest skrzywdzony i nikt nie wie. Nigdzie nie bywaliśmy razem – powiedział, wiedząc, że sprawi jej to ulgę.

– Czy to był twój pomysł, Paul? – zapytała, podnosząc na niego oczy. W tym momencie najchętniej by go zabiła, ale jakiś wewnętrzny głos podpowiadał jej, że nie powinna wydawać zbyt surowych osądów. Kto wie, jak naprawdę do tego doszło? – Lionel, czy... czy to się zdarzało wcześniej? – patrzyła ze smutkiem na zapłakaną twarz syna. Nawet nie wiedziała, o co właściwie pytać, czy miała prawo znać szczegóły. Przecież gdyby Paul był dziewczyną, nie widziałaby w tym związku niczego nadzwyczajnego...

Faye czuła się kompletnie oszołomiona. W Hollywood było wielu homoseksualistów, ale nigdy nie interesowała się ich życiem, mało ją to obchodziło, kto z kim sypia. Do wczoraj, a dzisiaj... przed chwilą widziała swego syna całującego innego mężczyznę.

– Mamo, to był pierwszy raz i to nie jego wina. Już się taki urodziłem. Myślę, że w głębi serca czułem to od wielu lat, ale nie wiedziałem, co robić i wtedy on... – Lionel podniósł wzrok na Paula. Faye poczuła mdłości. – On był taki delikatny, wprowadził mnie... Nic na to nie poradzę, zrozum, taki jestem. Być może... – zaszlochał – być może nie będziesz w stanie dłużej mnie kochać, ale mam nadzieję, że tak.

Lionel podszedł do Faye. Paul odwrócił się tyłem, nie chcąc pokazywać łez. Pierwszy raz w życiu przyszło mu wziąć udział w takiej konfrontacji.

– Kocham cię, mamo, zawsze cię kochałem, zawsze będę cię kochał, ale Paula także kocham – wyznał.

Nagle poczuł się dorosły, zrozumiał, że nie mógł zaprzeczyć się samego siebie, bez względu na ból, jaki sprawi matce tym wyznaniem. Faye wstała, objęła mocno Lionela. W jej oczach pozostał małym chłopcem, kochanym, najlepszym na świecie.

– Kocham cię takim, jakim jesteś, Lionelu Thayer, zawsze będę cię kochać, nie zapomnij o tym – spojrzała mu głęboko w oczy. – Bez względu na to, co się będzie z tobą działo, czy co będziesz robił, zawsze będę po twojej stronie. – Li uśmiechnął się przez łzy. – Pragnę, żebyś był szczęśliwy, to wszystko. – Spojrzała znacząco na Paula. – Jeśli ty odnajdujesz się w takim życiu, to ja to akceptuję, lecz pamiętaj: bądź ostrożny i roztropny. Nie miej złudzeń, wybrałeś trudną drogę.

Lionel skinął głową i zamyślił się na chwilę. Od początku był świadomy, że jego wybór oznaczał problemy, ale to wrażenie zbladło przy poczuciu wolności, jakie daje życie w zgodzie z samym sobą.

Faye z oczami mokrymi od łez zwróciła się do Paula:

– Od ciebie oczekuję jednego. Nikomu nie mów, co między wami zaszło. Nie łam Lionelowi życia. Być może, będzie chciał zmienić zdanie, daj mu tę szansę. – Przeniosła wzrok na syna. – Ojciec nie powinien się dowiedzieć.

– Wiem, to znaczy domyślałam się. Nie mogę uwierzyć, jaka jesteś dla mnie dobra, mamó.

– Bardzo cię kocham, ojciec także.

Dwaj młodzi, przystojni mężczyźni... Boże, jakąż to potworna strata... Nie mogę tego pojąć, myślała Faye, wzdychając ciężko. Wychodząc z pokoju, odwróciła się na moment, patrzyła tylko na Lionela.

– Twój ojciec, chociaż cię kocha, nigdy nie zrozumie. To go kompletnie załamie – wyrzuciła z siebie.

– Wiem – odpowiedział.

Rozdział siedemnasty

Zdjęcia do filmu zakończyły się kilka dni po Nowym Roku. Na tę okoliczność wydano wielkie, trwające do rana przyjęcie. Dla Paula było ono szczególne i to nie ze względu na swój rozmach. Oznaczało zakończenie pracy z Faye, a to z kolei oznaczało wielką ulgę, z wiadomych powodów ich współpraca nie układała się już tak dobrze jak wcześniej. Pomimo jej wielkiej wyrozumiałości, Paul czuł się spięty i wiedział, że niekorzystnie odbija się to na jego pracy. Całe szczęście, że przez te ostatnie dni robili tylko same dokrętki.

Paul podejrzewał, że Faye było równie trudno sprostać sytuacji i zastanawiał się, czy otrzyma od niej propozycję zagrania w następnym filmie. Bardzo lubił dla niej pracować, ale nie potrafił wyzbyć się uczucia, że zawiódł jej zaufanie. Być może, w pewnym sensie rzeczywiście tak się stało. Nie powinien był zbliżać się do jej syna. Cóż, nie był to najlepszy pomysł, ale wtedy nie mógł się oprzeć Lionelowi: pięknemu, świeżemu, młodemu chłopcu, którego jedyną wadą był zbyt młody wiek. Fascynacja, której się poddał, była jak wiosenna burza, gwałtowna i krótka. Gdy się skończyła, różnica wieku stała się dla Paula poważną przeszkodą. Łapał się na ojcowaniu Lionelowi, tęsknocie za starymi znajomymi, barami, imprezami, na które chodził, żeby się wyszaleć. Li nie mógł mu zbyt wiele ofiarować, przede wszystkim nie miał jeszcze silnej, ukształtowanej psychiki. Co prawda, seks był nadal porywający, ale Paul nie cenił monogamii i po jakimś czasie przestało mu to

wystarczać. Tak to już z nim było. Czasem miał nawet wyrzuty sumienia. Ale nic nie jest proste, a już życie najmniej, myślał, jadąc do domu. Związek z Li właśnie się kończył.

Po wejściu do domu Paul udał się prosto do sypialni. Li spał. Nagi i piękny jak młody bóg. Na ten widok bezszelestnie zdjął z siebie ubranie, przysiadł na brzegu łóżka i powiódł palcem po nodze kochanka.

– Wyglądałeś jak śpiący Apollo – szepnął do Lionela wyciągającego rękę w geście powitania. Paul przytulił się do niego, a zaraz potem dał się ponieść namiętności, myśląc, że żaden inny mężczyzna na świecie nie doświadczył tyle szczęścia co on.

Rankiem następnego dnia, spacerując po plaży, prowadzili dyskusję o życiu. Poglądy Li wydawały się Paulowi tak irytująco naiwne, że aż śmieszne.

– Cały czas traktujesz mnie jak dziecko – wykrzyknął nagle Lionel, zirytowany lekko ironicznym uśmiechem Paula.

– Nie – skłamał Paul w odpowiedzi.

– No i dobra, bo przecież nie jestem dzieckiem, sporo już przeżyłem.

Paul nie mógł powstrzymać się od śmiechu, co, oczywiście, rozwścieczyło Li i doprowadziło do kłótni. Wyrzuciwszy z siebie żale, Lionel wsiadł do samochodu i po raz pierwszy od kilku tygodni pojechał do mieszkania wynajmowanego z kolegami. Po drodze zastanawiał się, jak teraz potoczą się losy ich związku. Paul po skończeniu filmu będzie siedział w Malibu, nie mając nic lepszego do roboty, natomiast on, Li, musi chodzić na zajęcia, których nigdy nie zaniedbał, nawet mimo intensywnego życia emocjonalnego.

Najbliższy czas pokazał, że ich wzajemna bliskość, poczucie jedności należały raczej do przeszłości. Nie potrafili się ze sobą porozumieć. Paul potrzebował psychicznego wsparcia, którego nie był w stanie zaoferować mu Lionel. Sam musiał rozstrzygać trapiące go dylematy, będąc z Li czuł się zupełnie osamotniony. Miał szczerze dość „szkolnej miłości”, jak ostatnio określał w duchu związek z Li.

Lionel wyczuwał nastroje Paula. Było oczywiste, że coś się między nimi popsulo. Rozmowy zastąpiła cisza, a dom w Malibu nagle zaczął wiać chłodem.

– Coś się między nami kończy, prawda, Paul? – zapytał któregoś dnia.

Paul popatrzył na Lionela i przez moment miał wrażenie, że stoi przed nim całkiem dorosły facet. To złudzenie, napomniał się w tej samej chwili, przecież on nie ma jeszcze dziewiętnastu lat, a ja mam prawie trzydzieści. Jezu, jedenaście lat różnicy... Nie bez znaczenia był fakt, że parę dni wcześniej Paul poznał bardzo interesującego czterdziestodwulatka.

Chętnie poświęciłby tej znajomości nieco uwagi i czasu. Jednak jak to przeprowadzić, kiedy Lionel nieustannie wisi mu na szyi? Paul patrzył na swą niedawną miłość i, ku swemu zdumieniu, odkrył, że gdyby nawet mógł, nie cofnąłby czasu. Nie żałował tego, co razem przeżyli. Poza tym chłopak odnalazł samego siebie, stał się radośniejszy. Nie, nie musi się czuć winny. Dobrze się bawili, ale nic nie może trwać wiecznie...

– Myśle, że tak, przyjacielu, ale przyjemnie nam było razem – odpowiedział Paul poważnie. Lionel skinął głową, zdawał sobie sprawę, że poza seksem nic się im ostatnio nie układało, ale mimo wszystko nie chciał, aby Paul odszedł.

– Masz kogoś innego? – zapytał.

– Jeszcze nie – odpowiedział Paul szczerze.

– Ale już niedługo będziesz miał?

– Nie wiem, pewnie tak, ale nie w tym rzecz – Paul wstał i zaczął przechadzać się po pokoju. – Po prostu muszę pobyć sam – odwrócił się twarzą do Lionela. – Zrozum, nasze związki rządzą się innymi prawami niż związki naszych rodziców. My się nie zakochujemy po to, żeby się pobrać, żyć długo i szczęśliwie, wychowując piętnaścioro dzieci. Z nami jest inaczej, trudniej. Rzadko się zdarza, że pary długo są razem, zwykle to jednodniowe, a właściwie jednonocne znajomości. Jeśli masz dużo szczęścia, możesz z kimś być przez sześć miesięcy, tak jak my. Zawsze jednak kiedyś się kończy i zaczynasz od nowa.

– Mnie to nie wystarcza – rzekł smutno Lionel. – Ja chcę więcej.

– Powodzenia – uśmiechnął się Paul. – Może ci się uda, ale większość z nas z czasem przestaje tęsknić za wielką miłością i zadowolą się przelotnymi romansami.

– Dlaczego?

– Prawdopodobnie to nie w naszym stylu. Nas urzeka przede wszystkim piękno fizyczne, ciało. Strach przed starością na pewno jest ostrogą w tej pogoni – mówił Paul refleksyjnie. Sam powoli zaczynał czuć się staro, dlatego czasami był szorstki dla Lionela. Dużo młodszy kochanek działał również stresująco, więc perspektywa związania się z kimś starszym wydała mu się niezwykle kusząca. Przecież z tym ponadczterdziecioletnim facetem będzie się czuł tak, jak Lionel czuł się z nim!

– Co zamierzasz teraz robić? – zapytał Li.

– Nie wiem, może wybiorę się w podróż.

– Czy, mimo wszystko, możemy się widywać od czasu do czasu?

– Oczywiście – podniósł oczy na Lionela. – Wiesz, było mi z tobą naprawdę cudownie...

– Nigdy cię nie zapomnę. Paul... nigdy, do końca życia.

Mówiąc to podszedł do niego. Objęli się i zaczęli całować. Li został w Malibu na noc, ale już wczesnym rankiem następnego dnia Paul odwiózł go do domu. Dziwne, ale Lionel był pewny, że upłynie bardzo dużo czasu, nim znowu zobaczy Paula.

Rozdział osiemnasty

W czerwcu 1965 roku cała rodzina Thayerów ponownie przybyła do licealnej auli na uroczystość rozdania dyplomów. Tym razem bohaterem dnia był Greg, który bynajmniej nie okazywał wielkiego przejęcia powagą chwili. Faye nie uroniła ani jednej łzy, ale w głębi duszy zarówno ona, jak i Ward czuli się ogromnie wzruszeni. Lionel, ubiegłoroczny absolwent szkoły, teraz słuchacz UCLA, stał z boku. Wyglądał bardzo nobliwie w nowym garniturze, zwłaszcza że miniony rok przydał mu dojrzałości.

Vanessa, porzuciwszy image Alicji z Krainy Czarów, założyła czerwoną minispódniczkę, szpileczki od Louisa i czerwono-białą bluzkę, którą Faye kupiła dla niej w Nowym Jorku. Dodatek do stroju stanowiła czerwona skórzana torebka na ramię. Ogólny podziw budziły jej długie, rozpuszczone blond włosy.

Nietrudno się domyśleć, że Valerie nie podzielała dobrego zdania o wyglądzie siostry. Jeszcze przed wyjściem z domu wygłosiła kilka negatywnych komentarzy na ten temat, podkreślając swoją nieomyślność w kwestii strojów i makijażu. Tak jak przed rokiem założyła zbyt obcisłą bluzkę, czarną minispódnicę, włosy upięła w imponujący kok. Jej makijaż nie wzbudził tylu emocji co poprzednio, ale ciągle szokował, jeśli wziąć pod uwagę, że Val brała udział w ceremonii rozdania świadectw szkoły średniej, a nie była na przyjęciu w Beverly Hills.

Faye przeszła do porządku dziennego nad stylem córki, stwierdziwszy, że nie jest w stanie niczego jej przetłumaczyć. Jeśli zdarzało się, że wychodziły gdzieś razem, to zostawiała wszystko w rękę opatrności, licząc, że ta pokieruje wyborem i Val nie włoży bluzki z dekoltem do pasa.

Thayerowie juniorzy powoli przestawali być dziećmi, w ciągu ostatniego roku nawet najmłodsza Anne przeobraziła się w trzynastoletniego podlotka z krągłymi biodrami.

Prezenterem dla Grega był samochód, żółta corvetta stingray z uchylanym dachem. Wręczenie kluczyków odbyło się na tydzień przed

rozdaniem dyplomów, ponieważ przyszedł właściciel tak długo wiercił rodzicom dziurę w brzuchu, nie mogąc się doczekać pierwszej przejażdżki, aż ci skapitulowali i dali mu je awansem. Greg wprost oszalał na widok corvetty. Najpierw obszedł ją kilka razy dookoła, potem odjechał z piskiem opon. Ward, widząc brawurę syna, natychmiast pomyślał, że będzie można mówić o dużym szczęściu, jeżeli w ciągu najbliższej godziny Greg zapłaci tylko kilka mandatów, a sam się nie zabije. Przez chwilę nawet pożałował, że usilnie namawiał Faye na kupno właśnie takiego szykownego i szybkiego auta, zdarzały się momenty, gdy naprawdę obawiał się o Grega i nawet myślał, że młodszy syn mógłby być odrobinę podobny do Lionela. W prawdziwe przerażenie wprawiała go perspektywa drogi do Alabamy, gdzie Greg miał zacząć studia na Uniwersytecie Stanowym jako stypendysta drużyny futbolowej prowadzonej przez słynnego trenera „Misia”. Oczami wyobraźni Ward już widział swego ulubieńca biorącego ostre zakręty, wyprzedzającego wszystkie inne samochody na drodze, jednym słowem zachowującego się jak mistrz kierownicy, w rzeczywistości nie mając po temu żadnych kwalifikacji. Całe szczęście, że przedtem Greg będzie miał okazję nabyć trochę doświadczenia, jeżdżąc po okolicy i na ranczo w Montanie, gdzie miał przez miesiąc popracować, tak jak przed rokiem. Ward nie mógł się doczekać swej pierwszej wizyty w Alabamie, ujżenia Grega grającego w prawdziwej, uznanej drużynie. Faye obiecała przyjazd pod warunkiem, że pozwoli jej na to czas. Myślała już o rozpoczęciu kolejnej realizacji.

Dyrektor szkoły odczytał nazwisko Thayer. Greg podniósł się z krzesła, przemaszerował między rzędami, odebrał dyplom i z bladym uśmiechem na ustach powrócił na miejsce. Fakt ukończenia szkoły nie robił na nim wrażenia, o wiele ważniejsze było stypendium w Alabamie. Wiadomość o nim bardzo szybko obiegła szkołę. Greg stał się lokalnym bożyszczem. Widząc syna odprowadzanego rozemocjonowanym wzrokiem kolegów i ich rodziców, Ward o mało nie pękł z dumy, z pewnością to Greg był słońcem jego życia, to o nim w nieskończoność opowiadał znajomym, to głównie jego sukcesami się cieszył. Lionel nadal stanowił dla niego zagadkę. Mimo czynionych wysiłków nie potrafił się z nim porozumieć. Pocieszał się tym, że więź łącząca syna z matką jest tak silna, iż Faye z pewnością wie, o co chodzi w życiu pierwotnym. Z relacji żony Ward orientował się, że ostatnimi czasami Li kręcił eksperymentalny film o balecie. Na tym kończyła się jego wiedza, nie potrafił jakoś przebić się do Li. A może zbyt łatwo zadowolił się stwierdzeniem, że ten był zupełnie inny niż Greg? W zasadzie dzieci nie sprawiały szczególnych kłopotów, nie wdawały się, dzięki Bogu, w żadne konaszchy z hippisami. Jedynie Valerie miała wyraźną słabość do dużo starszych

od siebie mężczyzn. Nie ma jednak rodzin idealnych, pocieszał się Ward. Dlatego gdy w maju przyprowadziła do domu dwudziestoczteroletniego adoratora, ograniczył się do powiedzenia Faye, aby zwróciła na nią uwagę i postarała się wyperswadować córce tego typu znajomości.

Przyjęcie na cześć Grega miało zupełnie inny przebieg niż ubiegłoroczna prywatka Lionela. Około północy całe towarzystwo było w sztok pijane, pozwalając sobie na zbyt swobodne zachowanie. Faye chciała co bardziej frywolnych biesiadników wyrzucić z domu, ale Ward mitygował jej zapały, stwierdzając, że taka jest teraz młodzież, więc niech się bawią, jak lubią. Nie podobało mu się jedynie, że Anne i bliźniaczki także brały udział w swawolach wstawionych znajomych Grega. Chciał, aby Faye posłała je do łóżek, lecz nie okazało się to proste. Dziewczyny nie miały zamiaru się kłaść. Sytuacja wymykała się rodzicom spod kontroli, ale około drugiej nad ranem nadeszło wybawienie. Sąsiedzi zirytowani hałasem i mało wybrednymi kawałami wezwali policję, która nakazała przyciszyć muzykę i zaprowadzić porządek. Ward był oburzony, nie mieściło mu się w głowie, że sąsiedzi nie wykazali zrozumienia dla młodzieńczej fantazji przyjaciół Grega. Faye nie podzielała jego opinii, przypomniała mu, że rok wcześniej, kiedy Lionel zaprosił gości, policja nie miała najmniejszego powodu do interwencji. W czasie gdy nadjechał radiowóz, bohater wieczoru, zmożony alkoholem, zasnął na sofie w pokoju gościnnym. Był zupełnie nieprzytomny, leżał bezwładny, przyodziany w ręcznik przepasany na biodrach, ramieniem obejmując swoją, równie nietrzeźwą, ostatnią zdobycz. Niestety, nie słyszał słów zachwyty wypowiedzianych przez wychodzących gości. Faye czyniła honory domu, głównie dlatego, aby mieć pewność, że wszyscy opuścili jej dom. Raz przyłapała parę udającą się w kierunku pokoju Grega. Ich zamiary były zupełnie jednoznaczne. Równie jednoznacznie wskazała im drogę do wyjścia.

Kiedy wreszcie ostatni gość opuścił ogród, Lionel i John Wells usiedli w starym hamaku, niedaleko basenu. Rozmawiali o UCLA, jako że od jesieni John rozpoczął tam edukację. Li czuł się pochlebiony rolą starszego, bardziej doświadczonego kolegi, chętnie odpowiadał na wszelkie pytania, rozwodził się nad swymi projektami dotyczącymi filmów.

– Dużo myślałem o studiowaniu sztuk pięknych – zwierzył się John, nadal najlepszy kolega Grega, chociaż w ciągu ostatniego roku ich przyjaźń znacznie zbladła. Coraz mniej ich łączyło. John należał do szkolnej drużyny piłkarskiej, lecz nie był tak zapalonym graczem jak Greg i, mówiąc szczerze, nie żałował, że przestanie trenować. Futbol go nie interesował, nie zamierzał zajmować się poważnie sportem. Greg nie potrafił tego pojąć. Kiedy okazało się, że John nie przyjął stypendium sportowego,

oferowanego przez Georgia Tech, uznał go za kompletnego idiotę. Ich znajomość z każdym dniem stawała się mniej zażyła. Greg nie ukrywał rozczarowania decyzją przyjaciela z dzieciństwa, patrzył na niego z niedowierzaniem. John czuł się zmęczony indagacjami Grega i usprawiedliwianiem się, jakby miał na sumieniu jakiś niewybaczalny błąd. Na szczęście Lionel nie interesował się grą w piłkę, był zupełnie niepodobny do Grega, a na dodatek okazywał Johnowi sympatię.

– W UCLA jest bardzo dobry wydział sztuk pięknych i wiedzy o teatrze – podpowiadał Li, wiedząc, że John nie był do końca zdecydowany, co studiować.

– To chyba nie w moim stylu – odrzekł, uśmiechając się nieśmiało. Zawsze podziwiał Lionela.

– Chciałbyś w przyszłym roku zamieszkać na osiedlu studenckim? John zawahał się przez moment.

– Nie jestem pewien. Moja mama myśli, że powinienem mieszkać w akademiku, ale mnie się ten pomysł nie podoba. Wolałbym znaleźć jakieś mieszkanie.

– Chyba jeden z moich kolegów ma zamiar się przeprowadzić – rzekł po chwili Li. Patrzył na Johna i zastanawiał się, czy dopasowałby się do reszty chłopaków. Byłby najmłodszy, ale to żaden problem. Nie palił, nie pił, nie robił niepotrzebnego rozgardiaszu, jak na przykład Greg. W gruncie rzeczy przypominał kolegów ze wspólnego mieszkania, którzy przypadli Lionelowi do gustu. Czasami w sobotnie noce trochę im odbijało, ale nigdy nie przesadzali i w przeciwieństwie do rówieśników sprząтали i dbali o czystość. Na ogół w mieszkaniu panował porządek. Dwóch z nich miało dziewczyny, które często zostawały na noc, ale nikomu to nie przeszkadzało. Faceci byli zgrani, nie zadawali zbyt wielu pytań. Lionel czasami zastanawiał się, czy wiedzieli o nim, lecz nigdy nie otrzymał żadnego znaku na tak.

– Chciałbyś z nami mieszkać, John? Czynsz jest niski – dodał. – Jak zareagowałiby twoi rodzice, gdybyś nie mieszkał w akademiku? – zapytał, uśmiechając się. Istniały momenty, kiedy wyglądał identycznie jak Faye. Choćby ten uśmiech – lustrzane odbicie twarzy matki. W ciągu ostatnich kilku miesięcy wyzbył się chłopięcych rysów, przeistaczając w młodego, przystojnego mężczyznę. Mijający go ludzie często wpatrywali się w niego z zachwytem. Podziwiali piękną, proporcjonalną budowę ciała, duże zielone oczy, złote włosy. Ubierał się ze smakiem w markowe ciuchy z dobrych sklepów. Gdyby tylko chciał, mógłby bez trudu zrobić karierę aktorską, ale tamta strona kamery nigdy go nie pociągała.

– No jak, co powiesz na moją propozycję?

Oczy Johna zapłonęły entuzjazmem.

– Naprawdę chciałbym z wami zamieszkać, zaraz jutro rano porozmawiam z rodzicami.

– Nie ma pośpiechu. Powiem moim współspaczom, że znam kogoś, kto przyszedłby na wolne miejsce. Na razie jeszcze nikogo nie szukaliśmy, ty jesteś jedynym kandydatem.

– Ile to może kosztować? Ojciec na pewno mnie o to zapyta.

Rodzice Johna byli dosyć zamożni, ale czekały ich spore wydatki. John był najstarszy z piątki rodzeństwa, a reszta też miała studiować. Na utrzymanie zarabiał ojciec, chirurg plastyczny. Matka zajmowała się domem. Była dekoratorem wnętrz, ale rodzina pochłaniała cały jej czas. Profesja ojca, bardzo poszukiwana i popłatna w Beverly Hills, przynosiła Wellsom całkiem niezły dochód, ale bez porównania mniejszy niż zarobki Warda Thayera produkującego rocznie dwa, niekiedy trzy przeboje kasowe. Matka Johna mimo wielu obowiązków należała do najpiękniejszych kobiet w okolicy. Nie bez wpływu na to był zawód męża i operacje korygujące niedociągnięcia natury. Tego lata zamierzała zoperować piersi. Nie wiedzieć czemu, bo nawet bez poprawek imponująco prezentowała się w kostiumie kąpielowym. Cztery siostry Johna także były bardzo atrakcyjne. Greg spotykał się z dwoma z nich, a jedna już od kilku lat durzyła się w Lionelu, który nie zwracał najmniejszej uwagi na ten afekt. John nigdy, nawet przez ułamek sekundy, nie zastanawiał się dlaczego.

– Jeżeli podzielić czynsz przez pięć, to wypadnie po sześćdziesiąt sześć dolarów na osobę miesięcznie. Dom jest w Westwood, gospodyni to miła osoba, nie wtrąca się do niczego. Nie mamy basenu, w garażu jest miejsce tylko na dwa samochody. Ty dostałbyś duży pokój z oknami od frontu, łazienkę dzieliłbyś z dwoma innymi chłopakami. W pokoju miałbyś łóżko i biurko, resztę musiałbyś zdobyć sam, chyba że Thompson odsprzedałby ci swoje graty. Nie sądzę, żeby chciało mu się targać wszystko do East Yale.

– Jejku! – Oczy Johna wyrażały bezgraniczny zachwyt. – Nie mów nic więcej, dopóki nie pogadam z tatą!

Lionel uśmiechnął się.

– Chcesz przyjść jutro i obejrzeć sobie mieszkanie? Jeśli się zdecydujesz, to przez lato będziemy mieszkać we dwóch, co bardzo podniesie koszty, ale nie mam ochoty wyprowadzać się na dwa miesiące. Za dużo byłoby z tym zachodu – wyjaśnił, wzruszając ramionami.

– Wiesz, jeśli raz się przeniesiesz w jakieś inne miejsce, to powrót do domu nie jest łatwy.

Zwłaszcza w jego przypadku, zwłaszcza teraz, kiedy nie miał ochoty odpowiadać na żadne zbędne pytania. Poza tym lubił swobodę, a mieszkając tylko z jednym kolegą, mógł się poczuć jak w swoim własnym domu.

– Domyślałam się, zatem wpadnę jutro i trochę się rozejrzę.

Lionel nie miał właściwie żadnych planów na sobotę, zamierzał długo spać, potem zrobić pranie. Dopiero wieczorem wybierał się na party.

– Jasne.

– O dziewiątej? – zapytał John z miną dziecka nie mogącego się doczekać przybycia świętego Mikołaja.

– A może lepiej po południu? – roześmiał się Li. – Doskonale.

Zeszli z hamaka. Lionel odwiózł Johna do domu, małej, zbudowanej w stylu francuskim willi w Bel Air.

Jadąc później do siebie, nieustannie myślał o byłym przyjacielu Grega, zdał sobie sprawę, że ten chłopak stawał się dla niego ważny. Nie mógł temu zaprzeczyć, ale nie miał żadnej pewności, czy jego uczucie będzie odwzajemnione. Nie zamierzał osaczać Johna, zaoferował mu pokój, ale nie z myślą uwiedzenia chłopaka. Nie wyobrażał sobie, aby mógł wykorzystać Johna, chociaż musiał przyznać, że jego bliska obecność będzie stanowiła trudną do odparcia pokusę. Myśli wirowały w głowie Lionela, kiedy dojechał na miejsce i zaparkował samochód przed domem, zastanawiał się, czy John także był gejem, a jeżeli tak, to czy do czegoś między nimi dojdzie... Przyszło mu do głowy, że wiązanie się z nim oznaczało branie na siebie odpowiedzialności. Szczególnie gdyby miało się to wydarzyć po raz pierwszy w życiu Johna, a Lionel podejrzewał, że nie miał doświadczenia... Boże, co się ze mną dzieje? A jeśli coś mi się tylko zdaje? Jeśli on nic do mnie nie czuje? Przecież w takim wypadku robienie jakichkolwiek podchodów byłoby czystym szaleństwem. Czystym szaleństwem, powtarzał sobie uporczywie. Umył zęby i położył się do łóżka. Leżąc w ciemnościach, wpatrywał się w sufit, starając się nie myśleć o Johnie. Próbował zasnąć, ale twarz chłopca pojawiła się w jego wyobraźni natychmiast po zamknięciu oczu. Walczył z marzeniami o długich, silnych nogach, szerokich ramionach, wąskich biodrach... zaczął ciężko oddychać z podniecenia...

– Nie! – krzyknął głośno i przekręcił się na drugi bok.

Znowu zamknął oczy, twardo nakazując sobie wyrzucić z umysłu myśli o Johnie. Ale te nie chciały się podporządkować. Jeszcze raz zobaczył Johna nurkującego w basenie, zapadł w sen i śnił o nim, o pocałunkach, pływaniu w ciepłym tropikalnym morzu, bieganiu po plaży, leżeniu przy jego boku. Obudził się dziwnie zmęczony i obolały. Postanowił pojeździć na rowerze. Jeździł po pustych ulicach, nadal stawiając sobie pytania. W końcu podjął decyzję. Powie Johnowi, że pokój już został wynajęty, przeprosi za nieporozumienie i jakoś się z tego wyplącze. Właściwie to mógł go nie fatygować, tylko zadzwonić, ale uznał, że

woli rozmowę twarzą w twarz. Nareszcie znalazł wyjście z sytuacji. Tego popołudnia powie Johnowi, że, niestety, ale oferta przestała być aktualna. Tak, to było jedyne rozwiązanie.

Rozdział dziewiętnasty

Porannek po przyjęciu był dla Grega prawdziwą drogą przez mękę. Miał kaca giganta, głowę rozsadał mu potworny ból, a ataki nudności ciągle podrywały go na nogi. Raz nawet nie zdążył dobiec do toalety i zawartość żołądka znalazła się na podłodze łazienki. Greg miał wrażenie, że nie dożyje wieczora. Podniósł się z łóżka, pokój zawirował mu przed oczami. Droga do kuchni wycisnęła z niego siódme poty. Ward już czekał z filiżanką czarnej kawy, grzanką i szklanką soku pomidorowego. Wystarczyło jedno spojrzenie na jedzenie, żeby żołądek podjechał mu do gardła. Ojciec nalegał, aby coś przegryzł.

– Odwagi, synu, to ci dobrze zrobi.

Fakt, ojciec miał sporo doświadczeń w walce z kacem, więc Greg mu zaufał i zmusił się do jedzenia. Ku swemu zdumieniu, rzeczywiście poczuł się nieco lepiej.

Po śniadaniu Ward wręczył mu dwie aspiryny, które przegnały zawroty głowy. Wczesnym popołudniem poczuł się na tyle dobrze, że wyszedł do ogrodu.

Valerie opalała się w bikini, które Faye zabroniła jej nosić, jeżeli w pobliżu znajdował się ktoś obcy. Cały kostium stanowiły dwa wąskie paski materiału, doskonale eksponujące kształty dziewczyny. Greg spojrzał na nią i musiał przyznać, że siostra miała całkiem dobrą figurę.

– Niezłe party, co, siora?

– Tak – odpowiedziała, otwierając oko. – Niezłe się spiłeś.

– Czy mama i tata bardzo się wściekali?

– Mama na pewno bardzo by się wściekła, ale ojciec ciągle jej powtarzał, że to twoje przyjęcie po rozdaniu świadectw.

Uśmiechnęła się. Sama także wypija kilka piw, dużo tańczyła.

– Zobaczmy, jak będzie wyglądać twoja impreza, poczekajmy na twoją kolejkę. Pewno też ci odbije.

Następna impreza będzie moja. Niestety, do spółki z Vanessą, dodała w myślach. Tego właśnie nie lubiła. Wszystkim musiała się z nią dzielić. Faye nigdy nie rozumiała, że Val chciała być traktowana odrębnie, robić

różne rzeczy sama, mieć swoich własnych przyjaciół. Siostra bliźniaczka dla Valerie była krzyżującą niesprawiedliwością i wyjątkową złośliwością losu. Nigdy więc nie pominęła okazji, żeby podkreślić swój indywidualizm. Nie życzyła sobie być częścią siostrzanego tandemu. Całe szczęście, że już tylko dwa lata będzie musiała znosić tę sytuację. Natychmiast po skończeniu szkoły wyprowadzi się z domu, to już zdecydowane. Vanessa miała zamiar pojechać na wschód do jakiejś renomowanej uczelni, ale Val ani myślała ruszać się z Hollywood. Miała inne plany, zostanie aktorką: wielką, sławną, uwielbianą przez tłumy, prawdziwą gwiazdą. Z góry odrzuciła koncepcję studiowania na odpowiednim wydziale UCLA, komu chciałoby się tak beznadziejnie tracić czas?! Val postanowiła chodzić na indywidualne zajęcia, jak robiły to zawodowe aktorki, gdy chciały podnosić kwalifikacje.

Val była przekonana, że pewnego dnia jej sława przyćmi sukcesy Faye. Kilka lat temu wyznaczyła sobie taki cel i zamierzała go zrealizować do samego końca, krok po kroku. Aktualnie rozglądała się za pracą, aby móc zacząć odkładać pieniądze na lekcje.

– O czym tak gorączkowo myślisz? – zapytał Greg, zauważywszy, że czoło siostry przecięła zmarszczka, która pojawiała się zazwyczaj, gdy Valerie obmyślała sposób usidlenia jakiegoś faceta.

W odpowiedzi wzruszyła tylko ramionami. Jeszcze długo nie zamierzała nikogo informować o swoich planach. Nikt by ich nie potraktował poważnie.

Greg poradziłby jej, żeby została fizykoterapeutką albo akrobatką i wystartowała się o jakieś durne stypendium sportowe. Vanessa zrobiłaby wszystko, aby ją przekonać do wspólnego wyjazdu na Wschodnie Wybrzeże. Mama wygłosiłaby długą gadkę o tym, jakie ważne jest wykształcenie. Lionel namawiałby ją, żeby poszła do UCLA, tylko dlatego, że on tam poszedł. Ojciec znowu miałby okazję chrząknąć, że makijaż szkodzi na cerę. Anne pewno w ogóle by się nie odezwała, tylko popatrzyła na nią jak na debila. Valerie znała rodzinę tak dobrze, że bez pudła mogła przewidzieć reakcje, gdy wyjawi swoje zamiary.

– Wspominałam ostatnią noc – skłamała w końcu.

Greg położył się na kocu obok siostry.

– Tak, party było odlotowe. Nie wiesz, co stało się z moją dziewczyną? – zapytał.

– Ojciec odwiózł ją do domu. Ledwie trzymała się na nogach. O mało nie zwymiotowała w samochodzie.

– Jezu, nic mi o tym nie wspomniał.

– Gdyby to było jedno z nas, nieźle byśmy oberwali.

Roześmiali się. W tym momencie zza węgła wyłoniła się Anne, z książką w rękę skierowała się w stronę hamaka.

– Gdzie idziesz, głucie? – zawołał zaczepnie Greg.

Patrzył na nią spod przymrużonych powiek, chroniąc oczy przed oślepiającym słońcem. Musiał przyznać, że figura Anne stawała się coraz bardziej ponętna. Talię miała tak szczupłą, że mógłby ją bez trudu objąć dłońmi, a piersi prawie tak duże jak biust Val. Siostrzyczka doroślała, ale ciągle się izolowała, nie można było w żaden sposób do niej dotrzeć. Sprawiała wrażenie, że nikt nie jest jej potrzebny do szczęścia. Jedyny wyjątek czyniła, oczywiście, dla Lionela. Odkąd się wyprowadził, Anne prawie przestała się odzywać. Greg nie ubolewał nad tym. O czym niby miałby z nią gadać? Nie interesowała się sportem, miała głupie koleżanki. Jej głównym adwersarzem była zawsze Val. To z nią Anne najbardziej się kłóciła.

– Gdzie idziesz, dzieciaku? – powtórzył Greg.

Valerie rzuciła okiem na siostrę i zaczęła się zastanawiać, czy tamta nie podwędziła jej kostiumu kąpielowego.

– Nigdzie – odpowiedziała Anne obojętnie.

– Ona jest dziwna, prawda, Val? – szepnął Greg.

– Tak – odrzekła, nie interesując się stwierdzeniem brata. Właśnie doszła do wniosku, że opalacze nie należały do niej. Jej kostium miał żółte paski po bokach.

– Zauważyłaś, jak ostatnio podrosła? Widziałaś te cycki? – roześmiał się Greg. – Są prawie takie jak twoje.

– No to co? – wzruszyła lekceważąco ramionami. Podniosła się z koła, wypięła biust i wciągnęła brzuch. – Za to ma krótkie nogi – odcięła się, spoglądając na własne i zastanawiając się, czy zbyt długo nie leżała na słońcu. Nie miała zamiaru przypominać raka, aczkolwiek w odróżnieniu od innych rudzielców, słońce było dla niej dość łaskawe.

– Lepiej uważaj, już jesteś przysmażony – napomniała Grega.

– Za chwilę się stąd zmywam. Jestem umówiony z Johnem, a potem chcę pojechać do miasta po dywaniki do samochodu.

– A co z Joan? – zapytała Val, mając na myśli małą blondynkę, którą ojciec poprzedniej nocy odwoził do domu. Joan szczyciła się największymi piersiami w całej szkole, ogromnymi jak balony. Mówiono o niej, że jest łatwa, co bardzo odpowiadało Gregowi.

– Zobaczą się z nią wieczorem.

Greg chodził z Joan od dwóch miesięcy, kiedy to wiadomość o jego stypendium obiegła szkołę.

– Czy John też z nią sypia?

Valerie już dawno wpadł w oko i miała nadzieję, że kiedyś umówią się na randkę.

– Nie. Nawet mu to sugerowałem, ale powiedział, że ma inne plany. – Popatrzył uważnie na Val. – Dlaczego pytasz? Masz na niego chrapkę, mała siostrzyczko?

Greg był największym kpiarzem z całej piątki rodzeństwa. Uwielbiał nabijać się z Valerie, a ta nigdy nie pozostawała obojętna i dawała się sprowokować.

– Do cholery, nie. Tak tylko zapytałam. Dziś wieczorem jestem umówiona – skłamała.

– Czyżby, z kim? – zapytał Greg z nie ukrywanym niedowierzaniem.

– Nie twój interes.

– Też tak myślę – uśmiechnął się.

Valerie miała ochotę go udusić.

– Nie masz dzisiaj randki, mała kłamczucho.

– Właśnie że mam, z Jackiem Barnesem.

– Bzdura, on chodzi z Lindą Hall.

Valerie poczerwieniała, ale nie od słońca, tylko ze złości. Anne, patrząc na nią, również była pewna, że Val skłamała.

– Być może on ją oszukuje – nie dawała za wygraną.

– Nie sądzę, chyba że ty zamierzasz jej zaszkodzić, dlatego właśnie chciałbym cię zapytać, czy...

Nie dokończył. Valerie płonęła gniewem.

– Odwal się! – krzyknęła i odwróciwszy się na pięcie, pobiegła do domu.

Greg wyciągnął się na kocu szczerze ubawiony. Niezły numer z mojej siory, pomyślał. Plotkując w męskim gronie, dowiedział się, że Val lubiła zabawy z chłopcami, ale przypuszczał, że nie szła na całość. Właściwie to był pewien, że ciągle była dziewicą, tak samo jak był przekonany, że nazmyślała o Barnesie. A jeżeli chodzi o Johna Wellsa, to oczywiście od dawna miała na niego chętkę, lecz John był bardzo oporny. W jego typie były całkiem inne dziewczyny, spokojne i ciche. Właściwie to trudno powiedzieć, bo był bardzo nieśmiały. Prawdopodobnie jeszcze z żadną nie spał. Biedny dzieciak! Niech się lepiej pośpieszy, nim zaczną go nazywać ciotą. Do cholery, być może powiedzą to samo o Gregu, przecież często widuje się ich razem. O nie, jemu to nie groziło, wszyscy dookoła wiedzieli o jego randkach z Joan.

– Ależ tu fajnie – zachwycił się John, jakby przechadzał się po Wersalu albo luksusowych apartamentach Hollywood, a nie studenckim mieszkaniu

w pobliżu UCLA. – Mój ojciec powiedział, że czynsz jest niski. Mama trochę protestowała, martwiła się, że nie będę mieszkał w akademiku, ale uspokoił ją, że jeśli ty tu jesteś, to będziesz na mnie uważał – zaczerwienił się, zdając sobie sprawę, że palnął głupstwo. – To znaczy, chciałem powiedzieć...

– W porządku – uspokoił go Lionel. Patrzył na Johna, starając się nie myśleć o marzeniach ubiegłej nocy. Miał wrażenie, jakby po raz drugi brał udział w sytuacji, która już kiedyś zdarzyła się w jego życiu, tylko że teraz John był nim, a on Paulem. Przechodzili z pomieszczenia do pomieszczenia. Lionel walczył z myślami o Johnie. Pokazał mu pokój po Thompsonie usytuowany akurat po drugiej stronie holu, naprzeciwko drzwi do jego pokoju. Gdyby zamienił się na pokoje i oddał swój, jedyny w domu z oddzielnym prysznicem, to mógłby zamieszkać zaraz obok Johna. Chłopaki na pewno ucieszyliby się z jego propozycji, a on byłby wtedy bliźniutko, na wyciągnięcie ręki... Całym wysiłkiem woli zmuszał się do skoncentrowania na pokazywaniu domu, objaśnianiu zwyczajów i reguł wspólnego życia.

– W garażu jest pralka, zwykle nikt jej nie używa przez kilka tygodni, a potem wszyscy chcą coś przeprać tego samego wieczora – wyjaśniał z uśmiechem.

– Moja mama powiedziała, że pranie mógłbym przywozić do domu.

John nie mógł się nadziwić, że Lionel i Greg byli rodzonymi braćmi. Ostatnie miesiące swojej przyjaźni z Gregiem postrzegał bardziej jako przyzwyczajenie niż rzeczywistą więź. Po prostu znali się dobrze, przez trzynaście lat chodzili do tej samej szkoły. Jednak od paru miesięcy w niczym się nie zgadzali, sprzecali bez przerwy o stypendia sportowe czy klasową dziwkę, z którą sypiał Greg. John nie znosił jej towarzystwa, więc coraz rzadziej spotykał się z Gregiem. Większość czasu spędzał samotnie. Rozmowa z kimś takim jak Lionel, rozsądnym i miłym, a na dodatek z tej samej uczelni, wydawała mu się prawie cudem.

– Naprawdę mi się tutaj podoba, Li.

Nawet gdyby to była obskurna nora, to John nie zamierzał z niej rezygnować. Wynajęcie mieszkania było dla niego aktem przejścia od dzieciństwa do dorosłości. Fakt obecności Lionela też miał swoje znaczenie. John za żadne skarby nie chciał wprowadzać się do akademika, przerażał go tłum obcych twarzy, nowe otoczenie. Prorokował, że po osiemnastu latach, spędzonych w domu z rodzicami i czterema siostrami, przenosiny do nowego miejsca będą dla niego bardzo bolesne. Sądził, że mieszkając z Lionelem, szybciej zaadaptuje się do nowych warunków.

– Chciałbyś tutaj mieszkać w lecie, czy wolisz wprowadzić się tuż przed rozpoczęciem zajęć?

Przez sekundę Li serdecznie siebie nienawidził, wydał się sobie napaśliwy. Cóż to za różnica, kiedy ten dzieciak się wprowadzi? Jego alter ego krzychało: „zostaw go w spokoju!”, żałował swego pytania, przecież oznaczało same kłopoty. Lecz cóż, stało się, nie da się cofnąć wydarzeń. John, niczego nie podejrzewając, chciał wziąć pokój, dwaj koledzy na wieść, że znalazł się nowy chłopak, byli wyraźnie zadowoleni, bo nie musieli sobie dłużej zawracać głowy szukaniem lokatora, daniem ogłoszenia czy wydzwanianiem do znajomych.

– Mógłbym wprowadzić się w przyszłym tygodniu?

– Tak szybko? – Lionel był odrobinę zszokowany.

– No nie – John zaczerwienił, się zakłopotany. – Może być później, jeśli tak będzie wygodniej dla ciebie. Pomyślałem tylko, że w środę jest pierwszy, więc z punktu widzenia opłat wydało mi się to logiczne. Poza tym znalazłem sobie pracę na lato u Robinsona, niedaleko stąd.

Dom Towarowy Robinsona sezonowo zatrudniał studentów. Słowa Johna przypomniały Lionelowi o jego zeszłorocznych wakacjach spędzonych u Van Cleefa i Arpelsa. Bardzo mu się tam podobało, ale tegoroczne wakacje miał spędzić, zajmując się filmem. Cóż, kręcenie filmu oznaczało poważną przysiadkę do przyszłego życia, rozwijanie pasji, a także zaliczenie całego roku zajęć na UCLA.

– Nie, John, nie miałem na myśli żadnych niewygód, pokój jest wolny. Przypuszczałem tylko, że potrzebna ci będzie chwila na zastanowienie...

Po co te usprawiedliwienia? Zaproponował Johnowi pokój, a tamten przyjął ofertę, teraz trzeba ponieść konsekwencje nierozważnego postępowania.

– Nie mam się nad czym zastanawiać. Pokój jest wspaniały.

Cholera! Lionel przyglądał się ciemnowłosemu chłopcu. Wspomnienie ciała Johna torturowało jego zmysły poprzedniej nocy.

– Świetnie, powiem o tym pozostałym chłopakom. Pewnie się ucieszą, jeden kłopot mniej. Może pomóc ci przy przewożeniu rzeczy? – zapytał nieoczekiwanie dla samego siebie.

– Nie chcę ci przeszkadzać... Myślałem o pożyczeniu samochodu od ojca i jutro przetransportowałbym część bagaży.

– Przyjadę po ciebie.

Twarz Johna zajaśniała dziecinny entuzjazmem.

– To naprawdę miłe z twojej strony, ale czy nie sprawi ci kłopotu?

– Żadnego.

– Mama powiedziała mi, że ma dla mnie pościel, jakieś lampki i trochę drobiazków.

– Doskonale.

Lionelowi serce zamierało z przerażenia na myśl, w jakie pakował się kłopoty.

– Li, może poszedłbyś ze mną na obiad? Chciałbym cię zaprosić, bo czuję się ogromnie zobowiązany.

Lionela ogarnął wstyd, wzruszyła go szczerość intencji chłopaka.

– John, nie musisz mnie nigdzie zapraszać. Fajnie, że się dogadaliśmy i już.

Dogadaliśmy się, dobre sobie! Nic nie było dogadane ani wyjaśnione i to właśnie przerażało Lionela. Co się stanie, jeśli któregoś dnia straci panowanie nad sobą? Jeśli John dowie się, że Li jest gejem?

– Naprawdę nie wiem, jak ci dziękować. Od dzisiaj rozpoczynam nowe życie – rzekł John, kładąc Lionelowi rękę na ramieniu.

Na samo wspomnienie znajomych z Beverly Hills High robiło mu się niedobrze. Nareszcie koniec z ich głupimi żartami, udawaniem, że interesuje się dziewczynami, choć w gruncie rzeczy uciekał od nich, udawaniem, jak to bardzo podobały mu się szkolne prywatki... Nareszcie nie będzie musiał widywać się z Gregiem. Będzie miał innego kolegę. Lionela. Przy nim nie wydawał się sobie dziwakiem. Li był spokojny i wyrozumiały. Nawet jeśli Li nie będzie zbyt często bywał w domu, to przecież od czasu do czasu porozmawiają przez chwilę, ich drogi się spotkają.

– Gdybyś tylko wiedział, jak bardzo nienawidziłem szkoły, Li. Nie mogłem się doczekać końca.

Lionel był zaskoczony.

– Dziwne, myślałem, że dobrze ci tam było. Jesteś wielką gwiazdą piłki nożnej

Przeszli do kuchni. Li wydobyl z lodówki coca-cola i wręczył puszkę Johnowi. Cola, jakaż ulga... Greg na pewno dałby mu piwo.

– W ostatnim roku zupełnie znenawidziłem szkołę. Miałem wszystkiego serdecznie dosyć. – John pociągnął łyk napoju i westchnął głęboko. – Nienawidziłem każdej sekundy spędzonej z tą cholerną drużyną piłkarską.

Lionel był zdumiony.

– Dlaczego?

– Trudno powiedzieć. Nie obchodziło mnie to. Byłem dobrym piłkarzem, ale co z tego? Wiesz, co działo się w szatni po przegranym meczu? Faceci płakali, razem z trenerem. Jakby rzeczywiście było o co! A sama gra: bieganie z jednego końca boiska w drugi i tłum chłopaków, których jedynym celem było dowalić przeciwnikowi. Nigdy to do mnie nie przemawiało.

– Dlaczego więc grałeś?

– Ze względu na ojca. On też grał, kiedy był w szkole. Żartował, że jeżeli któregoś dnia zmasakrują mi twarz, to on mi zrobi nową, za darmo. – John skrzywił się na myśl o tym. – Nie bawił mnie ten dowcip. – Uśmiechnął się do Lionela. – Mieszkanie tutaj wydaje mi się snem.

– Cieszę się, że podoba ci się pokój. To miłe, że będziesz w pobliżu, aczkolwiek ja niewiele czasu spędzam w domu. Jeślibyś czegoś potrzebował...

– Już wystarczająco dużo dla mnie zrobiłeś, Li.

Lionel dotrzymał słowa i następnego dnia zjechał samochodem przed mieszkanie rodziców Johna. Musieli obrócić trzy razy, żeby przewieźć wszystkie rzeczy. Przez kilka następnych dni spoza zamkniętych drzwi do pokoju Johna dochodziły dźwięki przesuwanych i ustawianych mebli. W sobotni wieczór oczom Lionela ukazał się wynik wysiłków kolegi. Mój Boże, ale tu ładnie...

Jedną ze ścian pokrywała tkanina, przeciwległą zdobiły plakaty. Nad łóżkiem wisiał obraz. Na podłodze leżał chodnik, zielen kwiatów i łagodne światło, sączące się z dwóch lamp, dopełniały wrażenia ciepła i przytulności wnętrza. Li był oczarowany. Całość wyglądała jak stylizacja z żurnala, a nie pokój studenta,

– Czy to dzieło twojej mamy? – nie mógł uwierzyć, że John sam urządził pokój. Chłopak zadbał nawet o, wydawałoby się, błahe szczegóły. Skrzynki po pomarańczach obciążone były materiałem, który korespondował z tkaniną na ścianie. Lionel nigdy nie wpadłby na to, żeby niski, szeroki parapet okienny zamienić za pomocą paru poduszek w dodatkowe siedzisko. Musiał przyznać, że inwencja Johna robiła wrażenie.

– Nie, skądże – rzekł z dumą.

Matka twierdziła, że ma talent i mógłby sporo osiągnąć jako dekorator. Każde wnętrze potrafił odmienić w ciągu kilku godzin.

Nie potrzebował nadzwyczajnych materiałów, brał, co leżało pod ręką. Jego plastyczna wyobraźnia sprawiała, że traciło bezosobowy, nijaki wygląd.

– Bardzo lubię taką robotę – dodał.

– Może któregoś dnia rzuciłbyś okiem na mój pokój? W porównaniu z twoim przypomina więzienną celę.

– Oczywiście, kiedy tylko zechcesz – odpowiedział John, rozglądając się dookoła. – Wiesz, mam dwa dodatkowe kwiaty i właściwie to miałem zamiar ci je podarować.

– Dzięki, ale obawiam się, że uschną, kiedy chwilę ze mną pomieszkają – uśmiechnął się Li.

– Nie martw się, zaopiekuję się nimi, żaden problem podlać kwiaty. Lionel spojrział na zegarek. Właśnie minęła siódma.

– Idziesz ze mną na hamburgera?

Kolejne *déjà vu*, dokładnie tak samo zaczęło się z Pauliem.

Na dodatek, nieświadomy niczego John zaproponował właśnie tamten bar. Lionel pogrążył się we wspomnieniach. W milczeniu jadł hamburgera, a jego myśli krążyły wokół Paula. Przypominał sobie pierwszą noc spędzoną w Malibu, ich wspólne chwile. Nagle zdał sobie sprawę, że nie widział go od kilku miesięcy, nie wiedział, co się z nim dzieje. Raz mignął mu na Rodeo Drive. Jechał bezowym mercedesem w towarzystwie przystojnego, trochę starszego mężczyzny. Rozmawiali o czymś żywo, wymieniali spojrzenia i uśmiechy... Czyż to nie dziwne, że po z górą roku znowu siedział w tym samym barze z najlepszym przyjacielem swego brata...

Po powrocie do domu okazało się, że są sami. Dwóch chłopaków nocowało u swoich dziewczyn, dwóch innych wyjechało na wakacje. Dom był pusty.

– Dzięki za obiad – powiedział John, sadowiąc się wygodnie na sofie w pokoju gościnnym.

Lionel nastawił płyte. Jak na gust Johna pokój był w opłakanym stanie, żyrandol straszył spalonymi żarówkami, po kątach czaił się mrok.

– Przydałoby się tu trochę popracować – rzekł, rozglądając się po pokoju i zapalając świeczkę.

– Obawiam się, że szybko zniechęcisz się bałaganiarstwem współlokatorów. Zwykle to miejsce wygląda jak po przejściu huraganu – zgasił jego zapal Lionel.

– A już myślałem, że to specjalność moich sióstr – roześmiał się John i po chwili poważnym tonem dodał:

– Jedynym mężczyzną, z którym do tej pory mieszkałem, był mój ojciec. Przyzwyczaiłem się do dziewczyn i nie znam reguł, które należy stosować, mieszkając z tyloma facetami. – Uśmiechnął się znowu. – Pewnie cię to dziwi.

– Wcale nie, mam trzy siostry.

– Ale masz także Grega, a ja zawsze byłem blisko z mamą i siostrami. Ojciec rzadko miał wolne chwile.

– W takim razie pomyśl sobie, że to tylko pewna odmiana, nim się ożenisz i znowu będziesz miał wokół siebie tłum kobiet.

Co ja wyprawiam, sprawdzam go? Przecież to nie fair. John to jeszcze dziecko. Dziecko? Czyżby? Gdy spotkałem Paula, byłem dokładnie w jego wieku... Ale Paul był starszy i miał o wiele więcej doświadczenia... Teraz to

mnie przypadłaby rola doświadczonego... Cóż, przeżyłem więcej od Johna... Jak to się zaczęło z Paulem? Poszliśmy na spacer po plaży, on powiedział coś o zakłopotaniu...

Niestety, nie byli na plaży, a John wcale nie wyglądał na zakłopotanego, z natury był nieśmiały i delikatny... Do diabła, Lionel nie przypominał sobie, by mówił kiedykolwiek o jakiejś dziewczynie...

Jeszcze chwilę rozmawiali, aż Lionel oświadczył, że idzie się wykąpać. John postanowił zrobić to samo. Nie minęło dziesięć minut, gdy Li usłyszał pukanie do drzwi.

– Przepraszam, pożyczylbyś mi szamponu?! – krzyknął John.

– Słucham? – Lionel wychylił głowę zza zasłony prysznicza. Ujrzał Johna, którego jedynym strojem był ręcznik okręcony wokół bioder. Jakież on piękny, przemknęło przez głowę Li. Przysunął zasłonę bliżej ciała, aby chłopak nie zobaczył, jakie robił na nim wrażenie.

– Pytałem, czy masz szampon.

– Tak, proszę – odpowiedział, podając butelkę.

John podziękował z uśmiechem. Po chwili powrócił z mokrymi włosami, po jego umięśnionym ciele toczyły się kropelki wody...

Lionel krążył po pokoju, starając się zapanować nad emocjami. W radiu Lennon i McCartney śpiewali *Yesterday*. O Boże, co ja narobiłem? Jak ja teraz będę żył, mając tego faceta cały czas w zasięgu ręki? Czy to się da ukryć? Nie chcę nikogo w nic wciągać! Moje życie to moja sprawa, myślał Lionel, gdy poczuł na ramieniu rękę Johna. Jego ciało przeszył dreszcz.

– Muszę ci coś powiedzieć, Li. Właściwie powinienem zrobić to wcześniej.

W oczach chłopca malował się lęk.

– Co się stało?

John pokiwał smutno głową i siadając na brzegu łóżka, rzekł:

– Wiem, że moja decyzja jest mocno spóźniona, ale bałem się, że... że byłbyś wkurzony. – Popatrzył zalekniony, lecz zdecydowany na absolutną szczerłość. – Myślę, że musisz to wiedzieć, jestem gejem – wyrzucił z siebie, jakby przyznawał się, że właśnie popełnił zbrodnię.

Lionel osłupiał. Zaskoczyła go prostota wyznania Johna. Odwaga, bo jakąż miał gwarancję co do jego reakcji? Usiadł na łóżku i zaczął się śmiać. Nie mógł się opanować, łzy napłynęły mu do oczu, a śmiech graniczył z histerią. Dopiero teraz John przestraszył się własnych słów. Po co mu to było? Z pewnością za chwilę zostanie wyrzucony z domu! Lionel, widząc jego przerażenie, momentalnie się uspokoił.

– Gdybyś tylko wiedział, co mi chodziło po głowie od dnia, kiedy tu zamieszkałeś. Gdybyś wiedział, jak się męczyłem... Jeszcze nie rozumiesz? Kochany, ja też jestem gejem.

– Naprawdę? Nigdy nie przypuszczałem...

Fakty wyglądały odrobinę inaczej. John czuł, że między nim a Lionelem coś się działo, że było między nimi jakieś tajemnicze porozumienie.

Następne dwie godziny spędzili, leżąc na łóżku Li. Lionel opowiedział o swoim związku z Paulem, a John pokrótce o dwóch romansach, które miał za sobą. W żadnym z nich nie było miłości, chodziło jedynie o czysty seks. Pierwszy kochanek był nauczycielem ze szkoły, straszącym go śmiercią, jeśli piśnie choć słówko. Drugi nieznajomym, który zgarnął go z ulicy. John nie oczekiwał niczego wielkiego po żadnym z nich, pragnął tylko upewnić się, kim był. Od dawna podejrzewał, że ma skłonności homoseksualne, ale obracając się w towarzystwie Grega Thayera, wielokrotnie słyszał, że pedał to najgorsze świństwo na świecie. Lionel patrzył na Johna ze zrozumieniem.

– Czy Greg wie o tobie? – zapytał John.

Li potrzęsnał głową.

– Wie tylko moja mama. Odkryła to w zeszłym roku.

Opowiedział Johnowi o zdarzeniu w garderobie i o tym, że ciągle czuł się winny na wspomnienie szoku, jakiego doznała, widząc ukochanego syna w objęciach mężczyzny. Potem dodał, że była dyskretna i wyrozumiała, nikomu nic nie powiedziała.

– Szczęściarż ze mnie, że mam taką matkę.

– Myślę, że moja matka tak łatwo by się z tym nie pogodziła, nie mówiąc o ojcu – wzdrygnął się John – zawsze chciał, żebym był wielkim sportowcem. To dla niego grałem w piłkę i bałem się, że pewnego dnia ktoś mi na boisku wybije zęby. Nienawidzę tego, nienawidzę...

– Moje biedactwo – rzekł Li ze współczuciem. – Mój ojciec ma Grega i w nim pokłada wszelkie nadzieje – uśmiechnął się do chłopaka, którego widywał od lat, ale znał dopiero od paru godzin. – Dzięki temu nie musiałem się zmuszać do wielu rzeczy, ale wiem, że ojciec mnie nie akceptuje, a gdyby wiedział, kim jestem, o Boże, umarłby chyba... John, czy ty się domyślałeś?

– Nie, ale czasami bardzo pragnąłem, żebyś był taki jak ja – odrzekł, uśmiechając się nieśmiało.

Lionel przegarnął czarne włosy opadające na czoło Johna.

– Dlaczego wcześniej nic nie wspomniałeś, ty mały potworze?

– Bo nie miałem pojęcia, jaka byłaby twoja reakcja. Może byś mnie uderzył, wezwał policję albo, co najgorsze, powiedział Gregowi... – skrzywił się. – Czy nasi współmieszkańcy też są gejami?

Lionel pokręcił głową.

– Nie, żaden z nich, jestem tego absolutnie pewien. Sam się przekonasz. Poza tym bardzo często nocują u nich dziewczyny.

– Czy oni wiedzą o tobie?

Lionel popatrzył na Johna poważnie.

– Nie, bo jestem bardzo ostrożny i byłoby dobrze, gdybyś się zachowywał tak samo. W przeciwnym wypadku wylecimy stąd obaj.

– Będę ostrożny, przyrzekam.

Lionel jeszcze raz pomyślał o możliwości zamiany pokoi i mieszkaniu blisko Johna. Wyciągnął się na łóżku, zaczął przyglądać chłopcu i już po sekundzie nie myślał o swoim projekcie. Przypomniawszy sobie erotyczne fantazje dręczące go poprzedniej nocy, wyciągnął rękę, delikatnie przyciągnął Johna. Przytulił go mocno, powiodł ręką po jego udach. Dotykał i całował każdy centymetr ciała Johna, rozpalając jego zmysły. Kochali się przez kilka godzin, aż wyczerpani i szczęśliwi zasnęli przytuleni do siebie w miłosnym uścisku. Po długich poszukiwaniach odnaleźli to, co w życiu najważniejsze i najcenniejsze.

Rozdział dwudziesty

Nowy semestr rozpoczął się we wrześniu. Lionel w końcu zdecydował się na zmianę pokoi. Przeprowadził się, nim chłopcy wrócili z wakacji. Żaden nie domyślał się, co działo się między Johnem i Lionelem. Obydwaj do perfekcji opracowali środki bezpieczeństwa. Na noc zawsze zamykali na klucz drzwi do sypialni, tajemnicą więc pozostawało, kto w czyim łóżku sypiał. Kochali się po cichu, na więcej pozwalając sobie tylko w te rzadkie wieczory, gdy zostawali sami. Byli bardzo ostrożni, nie chcieli dawać nawet najmniejszych powodów do domysłów. Lionel postanowił nie zwierzać się Faye. Powiedział, że ogólnie wszystko w porządku i nawet nie wspomniawszy o Johnie. Matka nie chciała być natręczywa, ale podejrzewała, że ktoś pojawił się w życiu syna. Wnioskowała to z radosnych błysków, jakie pojawiały się w jego oczach, ożywienia, z jakim z nią rozmawiał. Miała nadzieję, że sympatią Lionela był jakiś przyzwoity człowiek, który go nie wykorzysta, aby potem unieszczęśliwić, z tego, co wiedziała o środowisku homoseksualistów, wynikało, że ich związki nie trwały długo. Towarzyszyły im zdrady i niepewność. Prawdziwe uczucie było rzadkością. Nie takiego życia pragnęła dla ukochanego syna, ale rozumiała, że nie było alternatywy, więc

modliła się, aby Li nie doznał zbyt wielu krzywd. W listopadzie zaprosiła go na premierę swego ostatniego filmu. Nie była zaskoczona, gdy na widowni dostrzegła twarz Johna Wellsa. Wiedziała, że chłopcy mieszkali w tym samym domu, chodzili do UCLA. Nic nie wzbudzało jej podejrzeń aż do momentu, gdy wraz z grupą przyjaciół i bliźniaczkami wychodzili na kolację do restauracji Chasen's. Właśnie wtedy zauważyła, że chłopcy patrzyli na siebie w szczególny sposób. John w ciągu kilku miesięcy bardzo wydorósł, właściwie stał się mężczyzną. Oczywiście postanowiła z nikim nie dzielić się swymi spostrzeżeniami. Wieczorem, gdy w małżeńskiej sypialni komentowała z ożywieniem recenzje i reakcje publiczności, mąż nagle jej przerwał, zadając zaskakujące pytanie:

– Nie sądzisz, że John Wells jest ciotą?

Faye zamarła.

– John? – powtórzyła, starając się przybrać zdumiony wyraz twarzy. – Mój Boże, Ward, co ci przyszło do głowy? Jasne, że nie jest. Dlaczego mnie o to pytasz?

– On jakoś dziwnie wygląda. A ty nie zauważyłaś niczego?

– Nie – skłamała.

– Nie wiem. – Ward podszedł wolno do szafy, aby powiesić marynarkę. – Jest w tym chłopcu coś, co mi nie daje spokoju.

Faye poczuła, jak robi jej się zimno ze strachu. Ciekawe, czy Ward wiedział coś więcej, czy podejrzewał Lionela... Jeżeli tak, to co się stanie, gdy dowie się całej prawdy? Może powinnam porozmawiać z Li, przestrzec go? Nie szkodzi, jeśli uzna mnie za wariatkę, kto wie, co jest z młodym Wellsem... Greg też twierdził, że musi być z nim coś nie w porządku, kiedy odmówił przyjęcia stypendium w Georgia Tech... Może rzeczywiście miał rację? – zastanowiła się Faye, nagle uświadamiając sobie, że przejęła kryteria oceny Warda i Grega.

– Tylko dlatego, że nie chciał grać w piłkę, to od razu nazywasz go ciotą? – zapytała zła na samą siebie. – Czy na świecie istnieje tylko futbol?

– Nigdy nie widuje się go z dziewczynami – dorzucił Ward. Lionel także nie pokazywał się z dziewczynami, lecz takie spostrzeżenie byłoby zbyt niebezpieczne, więc Faye nie mogła się nim posłużyć jako argumentem. O ile знаła męża, uznał on, że najstarszy syn trzyma swe życie miłosne w najgłębszej tajemnicy. Nie dopuszczał nawet cienia możliwości, że Li mógłby interesować się mężczyznami. Nie, taka skłonność przekraczała zdolność jego pojmowania.

– Ward, jesteś niesprawiedliwy. Co to ma znaczyć? Polowanie na czarownicę?!

– Nie, po prostu nie chcę, żeby Lionel mieszkał pod jednym dachem z dewiantem i nawet nie zdawał sobie z tego sprawy.

– Przestań, on jest wystarczająco dorosły, by decydować, z kim chce, czy nie chce mieszkać.

– To fakt, ale jest tak bardzo pochłonięty przez te swoje filmy, że czasem mam wrażenie, iż kompletnie traci kontakt z rzeczywistością.

Przynajmniej tyle wiesz o swoim synu, tatuśku, pomyślała Faye złośliwie.

– Lionel ma ogromny talent – powiedziała, starając się zakończyć temat Johna Wellsa.

Jej spostrzeżenie chyba było słuszne. Może rzeczywiście coś bliższego łączyło Johna z Lionelem! Instynktownie chciała bronić obu chłopców. W przypadku Li nie wydawało jej się to skomplikowanym zadaniem, natomiast John... No cóż, wydorósł, to prawda. Ale jego sposób bycia zmuszał wręcz do snucia domysłów. Ta ciągła paplanina o wystroju wnętrza, to przewracanie oczami.

– Kochanie, widziałeś ostatni film Lionela? Jest naprawdę piękny – zagadnęła Faye.

Ward westchnął, siadając na brzegu łóżka. W wieku czterdziestu ośmiu lat był nadal przystojnym mężczyzną. Sylwetkę miał równie dobrą jak synowie.

– Mówiąc między nami, nie za bardzo mnie zainteresował.

Faye uśmiechnęła się wyrozumiale. Ward nie orientował się w nowych trendach w sztuce. Znakomicie radził sobie jako producent, ale jego poglądy na temat filmu były konserwatywne. Wprost nie znosił nowinek, filmów eksperymentalnych. Festiwal w Cannes nazywał dziwactwem. Tegoroczne decyzje Akademii Filmowej były dla niego rozczarowaniem, ponieważ Faye nie dostała Oscara. Na pocieszenie kupił jej pierścionek ze szmaragdem.

– Powinieneś zwrócić uwagę na nową falę. Jestem pewna, że kiedyś Lionel będzie sławny i zbierze laury – rzekła Faye.

– No to dobrze. Nie wiesz, czy dzisiaj telefonował Greg? Miałem się z nim umówić w sprawie przyjazdu na mecz.

– Nie, nie dzwonił i nie wiem, czy będę mogła z tobą pojechać. Przez następne trzy tygodnie codziennie mam spotkania z nowym scenarzystą.

– Nie możesz tego odwołać?

– Nie bardzo, ale może pojechałby Lionel?

Ward nie uważał Li za wymarzone towarzystwo podczas meczu piłkarskiego, lecz zdecydował się porozmawiać z synem, a przy okazji zasięgnąć języka na temat Johna Wellsa.

– Nie uważasz, że on jest pedałem? – zapytał bez ogródek.

Lionel zmusił się do zachowania obojętnego wyrazu twarzy. Nienawidził słowa „pedał”, zwłaszcza gdy dotyczyło jego albo kogoś z przyjaciół.

– Na Boga, jakie masz powody, żeby tak myśleć?

– Twoja matka także się oburzyła, gdy ją o to zapytałem, jesteście do siebie bardzo podobni – zauważył, a po chwili kontynuował temat Johna. – Nie potrafię tego sprecyzować, ale jak na mój gust to on dziwnie wygląda i ciągle mówi o wystrojach wewnątrz.

– Bez przesady, dlatego ma być pedałem?

– Nie, ale miej się na baczności, coś mi się zdaje, że ty mu się podobasz. Jeśli wyczujesz jakieś dwuznaczności, natychmiast wyrzuć go z domu. Nie wahaj się, nie musisz z nim mieszkać.

Po raz pierwszy w życiu Lionel miał ochotę uderzyć ojca. Z wielkim trudem zdobył się na normalne zachowanie aż do końca wizyty w domu rodziców. Nareszcie mógł dać upust wściekłości. Prowadził samochód jak wariat. Jechał sto pięćdziesiąt kilometrów na godzinę i pragnął, żeby nie kto inny, ale jego własny ojciec znalazł się pod kołami. Wchodząc do mieszkania, trzasnął drzwiami. Nie witał się z nikim, przeszedł przez korytarz i trzasnął kolejnymi drzwiami, tym razem od swego pokoju. Domownicy zamarli z wrażenia, rzadko zdarzało im się widzieć Li tak wzburzonego.

W kilka minut później John, zaniepokojony nietypowym zachowaniem kochanka, spytał:

– Co się stało, najdroższy?

Lionel popatrzył na niego i, niestety, musiał przyznać, że John wyglądał na zniewieściałego. Mocną psychikę i twardy charakter powlekało delikatne ciało. Twarz cherubinka okalała niemalże dziewczęca fryzura. Ubrania Johna zdawały się zbyt stylowe, perfekcyjnie dobrane, schludne jak u pensjonarki. Przy tym musiał przyznać, że takim właśnie go kochał, zachwycało go ciepło, otwartość, ciało, dusza. Wszystko, co dotyczyło chłopaka. Bez wątplenia, gdyby John był dziewczyną, już dawno byłiby zaręczeni ku ogólnemu aplauzowi.

– Co się stało? – powtórzył pytanie, sadowiąc się na krześle naprzeciwko Li.

– Nic, nie chcę o tym rozmawiać.

John przez moment patrzył w sufit, a potem przeniósł wzrok na przyjaciela.

– To dosyć głupia metoda radzenia sobie z kłopotami. Dlaczego nie chcesz się przede mną wygadać? – Wtedy przecucie wypowiedziało

mu, że może on jest przyczyną złego nastroju Lionela. – Zdenerwowałem cię czymś?

Lionel zatrwożył się zmartwioną miną Johna. Podszedł do niego i rzekł:

– Nie, to nie ma nic wspólnego z tobą. Po prostu wkurzyłem się na ojca.

– Powiedział coś o nas? – zapytał, przypominając sobie badawczy wzrok Warda, lustrujący każdy jego ruch podczas premiery filmu Faye.

– Czy on coś podejrzewa?

– Tak troszkę, coś tam mu świta – rzekł Li wymijająco.

– Co mu powiedziałeś? – nalegał John.

Zdrętwiał na myśl, że Ward mógłby zatelefonować do jego rodziców i podzielić się z nimi swymi rewelacjami. To oznaczałoby totalną katastrofę, trudną do wyobrażenia... Lionel pocałował go delikatnie w szyję.

– Uspokój się. On nie jest niczego pewien – powiedział miękko.

– Chcesz, żebym się wyprowadził? – John miał łzy w oczach.

– Nie! – krzyknął Li. – Jeśli się stąd wyprowadzimy, to razem. Na razie nie ma takiej potrzeby.

– Czy twój ojciec wygada mojemu tacie?

– Przestań! Dostajesz obsesji, czy co? Mój stary robi tylko insynuacje, wkurzył mnie trochę i tyle. Zrozum, to nie koniec świata.

Dla dobra sprawy Lionel zdecydował się na podróż do Alabamy. Patrzył na Grega ganijącego za piłką i nie był w stanie uwolnić się od wrażenia, że jeszcze nigdy w życiu nie czuł się tak dokumentnie znudzony. Na dodatek między nim a Wardem zapadały chwile kłopotliwego milczenia. Ojciec entuzjasmował się grą Grega, wymyślał sędziemu, głośno komentował. Robił wszystko to, co w opinii Li było błazenadą i bezsenssem. W drodze powrotnej, siedząc w samolocie, Lionel usiłował zainteresować ojca swym najnowszym projektem filmowym.

– Synu, czy ty naprawdę myślisz, że na tej swojej sztuce dorobisz się pieniędzy?

Li popatrzył na Warda ogłupiałym wzrokiem. Pieniądze, nigdy się nad nimi nie zastanawiał, jego nie interesowała twórczość komercyjna. Pracował nad filmami awangardowymi, nie chodziło mu o sukces finansowy. Starał się maksymalnie udoskonalić środki wyrazu, a nie zostać milionerem!

Ojciec i syn wpatrywali się w siebie z niedowierzaniem. Cóż to za idiota, myślał jeden o drugim. Spętani konwenansem dobrego wychowania, latami udawania miłości i przywiązania, nie byli w stanie wyrazić prawdziwych myśli. Na szczęście na lotnisku czekała na nich Faye. Na jej widok Ward momentalnie rozgadał się o fenomenalnej grze Grega. Rozpaczał, że nie oglądała

meczu w telewizji. Lionel miał w tym momencie minę męczennika, który za chwilę wyda ostatnie tchnienie. Smutny widok, dwaj mężczyźni bliscy więzami krwi i zupełnie sobie obcy, pomyślała Faye. Każde z Thayerów było indywidualnością i każde z nich kochała inaczej, ale miłość przecież niejedno ma imię.

Wykorzystując nadarzącą się okazję, postanowiła porozmawiać wreszcie z Lionelem. Odwiozła Warda do domu, a gdy zostali sami, zapytała:

– Czy było bardzo strasznie, maleńki?

Lionel tylko skrzywił się z niesmakiem. Nawet nie chciało mu się odzywać, miał wrażenie, że był to najbardziej wyczerpujący weekend w jego życiu.

– Beznadziejnie. Czuję się, jakbym rozmawiał po angielsku z Marsjaninem.

Faye zastanawiała się, czy zmęczenie było rezultatem znudzenia, czy ciągłej samokontroli.

– Moje biedactwo, a jak miewa się Greg?

– Jak zwykle.

Dalsze pytania były zbędne. Faye wiedziała, że bracia nie mieli ze sobą nic wspólnego.

– Czy ojciec wypytywał się o Johna? – poruszyła problem, który nie dawał jej spokoju od kilku dni.

– Nie, dlaczego miałby pytać? – odpowiedział Lionel, starając się ukryć zmieszanie. – A ciebie o coś pytał?

Patrzył na matkę, chciał wyczytać prawdę z jej oczu. Był pewien, że wiedziała o Johnie, nawet jeśli nikt jej niczego otwarcie nie powiedział.

– Wiesz, Li, myślę, że powinieneś być ostrożny.

– Jestem ostrożny, mamo.

Jego głos brzmiał bardzo młodo.

– Kochasz go?

Lionel pokiwał głową.

– Tak.

– Więc obaj powinniście być ostrożni dla waszego wspólnego dobra. Czy Wellsowie wiedzą o Johnie?

– Nie.

Faye poczuła ciarki przechodzące jej po plecach. Jak długo jeszcze można to utrzymywać w tajemnicy? Pewnego dnia wszystko się wyda i co wtedy? Ilu ludzi przeżyje tragedię... John, Lionel, Ward, Wellsowie... Ci ostatni najmniej ją martwili, lubiła ich, ale z góry zakładała, że to dla Warda homoseksualizm Lionela będzie jak grom z jasnego nieba.

Wellsowie trochę porozpaczają i już, ale Ward... Co z nim będzie? Czy dojdzie do konfrontacji z Lionelem?

Jak później będzie wyglądała ich rodzina? Jaki los zgotują sobie nawzajem Ward i Lionel?

Rozdział dwudziesty pierwszy

WBoże Narodzenie odbył się tradycyjny obiad rodzinny. Przy stole zasiedli w pełnym, siedmioosobowym składzie. Greg przyjechał do domu na krótkie ferie, po których wraz z ojcem jechał do Alabamy na kolejny mecz, a potem do Super Bowl. Ward namawiał Lionela, aby im towarzyszył. Syn wymawiał się nawałem zajęć i wcześniej poczynionymi planami, czym – oczywiście – wprowadził ojca w irytację. O mały włos doszłoby do kłótni, ale pojawienie się na stole ogromnego indyka spacyfikowało nastroje. Podano również szampana. Valerie wypila odrobinę za dużo i zaczęła robić uwagi na temat siostry bliźniaczki. Vanessa zmieniła fryzurę, założyła nową sukienkę i była absolutnie piękna. Po kątach szeptano, że zakochała się w chłopcu spotkanym kilka tygodni wcześniej w szkole tańca. Anne bardzo wyrosła, zrównała się z bliźniaczkami, powoli z dziewczynki zamieniała się w kobietę. Lionel wznosił toast na jej cześć, przypominając, że zbliżają się jej czternaste urodziny. Słyszając to Anne, nie wiedząc czemu, zaczerwieniła się. Po obiedzie usiadła z ulubionym bratem przy kominku. Wdali się w rozmowę. Lionel wyznał, że pragnąłby widywać ją częściej, ale nie pozwalały mu na to rozliczne zajęcia. Anne nieoczekiwanie zagadnęła go o Johna. Lionel dostrzegł dziwne błyski w jej oczach, jakby tajemne znaki, że domyśla się całej historii. Anne co jakiś czas zaskakiwała go swymi odkryciami czy przemyśleniami.

– Wszystko u niego w porządku, nie ma żadnych kłopotów z nauką. Nie widujemy się zbyt często.

– Mieszkacie w jednym domu, prawda? Spotkałam niedawno Sally Wells, mówiła mi, że John uwielbia wasze mieszkanie.

Sally Wells była dokładnie w wieku Anne, ale znacznie przewyższała ją dojrzałością i bystrością. W jej przypadku domyślenie się, co łączyło Lionela i Johna, było całkiem prawdopodobne. Li przyglądał się siostrze uważnie, ale doszedł do wniosku, że jego obawy były płonne. W oczach Anne odnalazł tylko niewinność.

- Tak, to prawda. John mieszka w naszym mieszkaniu.
- Strasznie dawno go nie widziałam – rzekła, robiąc pocieszoną minę.
- Przekażę mu twoje pozdrowienia.

Anne pokiwała głową.

Dalszą pogawędkę rodzeństwa przerwała ceremonia rozdawania gwiazdkowych prezentów. Ward i Faye patrzyli na dzieci rozpakowujące przygotowane upominki.

Za kilka dni miał się skończyć kolejny rok w życiu rodziny Thayerów, bardzo udany rok.

Lionel pożegnał się jako pierwszy. O tej samej porze wyszedł od rodziców John. Jeszcze przed świętami umówili się, że spędzą kilka dni tylko we dwóch, korzystając z nieobecności kolegów. Nareszcie mogli poczuć się swobodnie, przystroić dom kwiatami, wylegiwać długie godziny w łóżku, nie myśląc o zachowaniu pozorów. Wolność tak im uderzyła do głów, że nie zamknęli nawet drzwi frontowych i dlatego nie słyszeli ojca Lionela, który postanowił jeszcze raz spróbować przekonać syna do wspólnego wyjazdu na mecz Grega. Ward pukał kilka razy. W końcu nacisnął klamkę i wszedł do środka. Szybkim krokiem przemaszerował przez korytarz, stanął w progu pokoju gościnnego i onie-mał, widząc Johna Wellsa i Lionela w jednoznacznej sytuacji. Obaj byli ubrani, ale cóż to miało za znaczenie? Przytulali się, całowali, coś szep-tali!

– Ty mały skurwysynu, ty dziwko!!! – wrzasnął Ward.

Chłopcy skoczyli na równe nogi. Ward podszedł parę kroków, wymierzył Johnowi potężny cios w twarz. Nos Johna zaczął krwawić. Teraz nadeszła pora na Lionela. Zamierzył się na niego, lecz syn zasłonił się ręką. Ward ryczał jak zwierzę. Nie mógł uwierzyć, że to, co przed chwilą widział, było prawdą. Lionel płakał, powstrzymywał ojca przed furiackimi atakami na Johna. Robiło mu się niedobrze, gdy słyszał wy-zwiska. John, kompletnie bezbronny, rozpląkał się histerycznie. Lionel próbował zachować zimną krew. Miał wrażenie, że całe jego życie zamieniło się w wielki znak zapytania. Musi ojcu wytłumaczyć, że nie jest taki jak Greg, jak większość chłopaków... W końcu pięść Warda dosię-gnęła i jego twarzy.

– Tato, proszę, musimy porozmawiać...

– Zamknij się! Nie potrzebuję żadnych wyjaśnień! – krzyknął. Drżał na całym ciele jak w ataku epilepsji.

– Nie chcę cię więcej widzieć i ciebie też, zbrojeńcu! Zapomnij o pie-niędzach, nie dostaniesz już ani centa! Rozumiesz? I trzymaj się z dale-ka od mojej rodziny. Od dzisiaj nie jesteś moim synem! – wyrzucił

jednym tchem. W sekundzie świat przewrócił się do góry nogami. Jego pierworodny syn to ciota! Wolałyby umrzeć, niż dokonać takiego odkrycia. Bankructwo stoczni w porównaniu z tym było mało znaczącym drobiazgiem. – Skończyłem, czy wszystko jasne?!

Lionel pokiwał głową. Ward odwrócił się w stronę drzwi, ziemia usunęła mu się spod stóp. Wyszedł z domu i skierował się do najbliższego baru, gdzie jedną po drugiej wlał w siebie cztery szkockie. Faye, zaniepokojona przedłużającą się nieobecnością męża, zatelefonowała do Lionela.

– Kochanie, czy widziałeś się dzisiaj z ojcem? Nie mam pojęcia, gdzie się podział. O szóstej wyszedł ze studia i miał wracać prosto do domu. Wiedział, że oczekujemy gości.

Lionel nie potrafił wydusić z siebie słowa. Słuchał matki, zerkając na zapłakanego i przerażonego Johna.

Chłopak bał się, że Ward powie wszystko jego rodzicom. Dostał ataku hysterii. Lionel po wielu trudach zmusił go do przyłożenia sobie lodu na obolałe policzki i nos.

– Li, jesteś tam? – zapytała Faye drżącym głosem. Nagle zdała sobie sprawę, że musiało się wydarzyć coś potwornego.

– Tak... to znaczy – odpowiadał monosylabami – mamo, ja nie mogę... – nie dokończył, zaczął łkać.

– O mój Boże... – teraz była pewna, że stało się coś okropnego. Może Ward miał wypadek i dzwonił ze szpitala. Ogarniała ją panika.

– Kochanie, tylko spokojnie. Powiedz mi, co się stało?

– Ojciec tutaj był – wykrztusił Lionel. – On, to znaczy...

Faye domyśliła się reszty.

– Zobaczył cię z Johnem?

Wyobrażała sobie najgorsze, że widział ich razem w łóżku.

Zrobiło jej się słabo. Była o wiele bardziej tolerancyjna od Warda, ale nawet ona nie zniósłaby widoku dwóch mężczyzn uprawiających miłość.

– Tak. – Zrobił bardzo długą pauzę. – Powiedział, że nie chce mnie więcej widzieć, że nie jestem już jego synem.

– O mój Boże... Kochanie, spokojnie, wiesz, że to nieprawda. Ojciec nie był sobą, daj mu czas, na pewno wszystko odwoła.

Rozmowa trwała ponad godzinę. Faye zaproponowała, że przyjedzie, ale Lionel wolał zostać sam z Johnem.

Ward pojawił się w domu kompletnie pijany. Odwiedził wszystkie bary na swej drodze, chwiał się na nogach, bełkotał. Patrzył na Faye nienawistnie.

– Wiedziałeś o wszystkim?

Nie chciała go okłamywać, ale nie miała ochoty, żeby na jaw wyszła wielomiesięczna konspiracja.

– Miałam pewne podejrzenia co do Johna – odpowiedziała wymijająco.

– Wszawy, pieprzony skurwysyn – wybelkotał, rozkładając poły płaszcza. Po wyjściu z ostatniego baru przewrócił się i skaleczył rękę. Na koszuli widniały plamy z krwi. – Pytam, czy wiedziałas o naszym synu? A może od dzisiaj powinienem go nazywać naszą córką? – Podszedł do Faye, złapał ją za ramię. Z ust wionęło mu alkoholem. Cofnęła się. – Wiedziałas czy nie?!

– Ward, bez względu na wszystko Lionel jest ciągle naszym dzieckiem. Jest przyzwoitym, porządnym człowiekiem. To nie jego wina, że...

– Nie jego? No to czyja? Może moja?

Właśnie. Ward obawiał się, że ponosi odpowiedzialność za preferencje Lionela. W czasie wędrówki po okolicznych knajpach torturował się myślą, że to jego wina. Nie powinien pozwalać, aby Faye spędzała z nim tak dużo czasu, za to on za mało z nim przebywał. Pewno Li wyrastał w przekonaniu, że go nie kochał, odtrącał. Zawsze faworyzował Grega... zżerało go poczucie winy, ale ponad wszystkim królowała świadomość posiadania syna homoseksualisty. Jak do tego doszło? Jak Lionel mógł tak go poniżyć?

– Przestań się oskarżać, Ward.

Faye ujęła go pod pachami i podprowadziła do łóżka. Ward usiadł ciężko, a w chwilę później opadł bezwładnie, opierając głowę na jej ramieniu.

– Nie, to nie moja wina – usiłował znaleźć pocieszenie.

Dokładnie rok wcześniej Faye zadawała sobie podobne pytania, szukała w pamięci wydarzeń, które mogły sygnalizować błędy popełnione w wychowaniu Lionela. Spodziewała się, że Ward bardzo ciężko przeżyje prawdę o synu. Nauczona doświadczeniami ponaddwudziestoletniego małżeństwa, wiedziała, że Ward nie należał do twardych mężczyzn.

– To niczyja wina. Ani twoja, ani moja, ani jego, ani nawet Johna. Musimy zaakceptować Lionela takim, jakim jest.

– Ja się z tym nigdy nie pogodzę! Nigdy! Tak mu powiedziałem. On już nie jest moim synem.

– Właśnie, że jest! – zerwała się, odpychając od siebie Warda. – On jest naszym dzieckiem, – nieważne kalekim, głuchym, chorym psychicznie czy mordercą... Dzięki Bogu, jest tylko homoseksualistą. Li będzie moim synem aż do mojej albo jego śmierci, zapamiętaj to sobie, jest także

twoim synem! Nie interesuje mnie, czy się na to zgadzasz czy nie! – rozpląkała się. – Nie możesz go wykreślić z mojego życia. Albo dasz mu spokój, albo idź do diabła! Nie pozwolę ci go dręczyć, dosyć już się nacierpiał.

– Oto dlaczego Lionel stał się dewiantem! – krzyknął. – Przez całe życie go broniłaś, pozwalałaś na trzymanie się twojej spódnicy – usiadł na krześle i zapłakał gorzko.

– Dlatego teraz sam chodzi w spódnicy, przez ciebie, ty cholero. I tak mamy szczęście, że nie paraduje w sukienkach po ulicy. – Frustracja Warda zmieniła się w agresję.

Faye nie wytrzymała i wymierzyła Wardowi policzek. Mężczyzna nawet się nie poruszył. Patrzył przed siebie pustymi oczami.

– Nie życzę sobie, żeby przychodził do tego domu, a jeżeli to się kiedykolwiek zdarzy, wyrzucę go na zbity łeb własnymi rękami. Powiedziałem mu o tym, ciebie też ostrzegam. Wszyscy się dowiedzą. Jeśli ci się nie podobają moje decyzje, to możesz pakować manatki razem z nim. Lionel Thayer od dzisiaj nie istnieje, jasne?

Faye stała sparaliżowana gniewem i rozpaczą. Po raz pierwszy w życiu pożałowała, że została żoną Warda. Miała ochotę go zabić!

Wyszła z sypialni, trzaskając drzwiami. Położyła się spać w pokoju Lionela.

Nazajutrz, gdy zeszła do kuchni, zastała tam Warda pijącego kawę. Był w okropnym stanie, wyglądał, jakby w ciągu jednej nocy postarzał się o dziesięć lat. Czytał leżącą na stole gazetę, aż do momentu pojawienia się dzieci, wówczas odsunął ją od siebie i popatrzył na każdą twarz z osobna. W ten sposób rozpoczął się jeden z najkoszmarniejszych poranków w ich życiu. Ojciec wygłosił bezlitosną mowę, nazwał Lionela „skończonym pedałem”, powiedział o jego związku z Johnem Wellsem. Na zakończenie dodał, że ich brat nie ma wstępu do domu. Valerie, wysłuchawszy ojcowskich rewelacji zaniemówiła. Vanessa się rozpląkała. Greg skrzywił się z obrzydzeniem, skoczył na równe nogi i wykrzyknął:

– To nieprawda! – Obrona bardziej dotyczyła starego przyjaciela, Johna, niż brata, Lionela. To nieprawda! – powtórzył.

Ward popatrzył na niego groźnie, oczami wskazał na krzesło.

– Siadaj i ani słowa więcej. Wszystko, co usłyszeliście, jest prawdą. Wczoraj ich nakryłem.

Anne zrobiła się trupio biała. Faye miała wrażenie, że walił się w gruzy dorobek jej całego życia. Nienawidziła zachowania Warda, nienawidziła go za krzywdę wyrządzaną Lionelowi.

– Lionel nie ma prawa przekroczyć progu tego domu. On po prostu przestał istnieć, rozumiecie? Żadnemu z was nie wolno się z nim widywać. Pamiętajcie, jeśli będziecie się z nim spotykać, was również nie chcę znać, jasne?! Postanowiłem nie pomagać mu finansowo i nigdy, przenigdy nie zamienić z nim ani słowa, zrozumiano?

Ward wstał od stołu i wyszedł z kuchni żegnany ciężką ciszą. Wsiadł do samochodu. Wybierał się do Boba i Mary Wellsów.

Greg nie mógł powstrzymać się od płaczu. Co powiedzą koledzy, dowiadując się, że jego najlepszym kumplem ze szkoły był jakiś pedał? Dlaczego nie domyślił się niczego, kiedy ten palant nie przyjął stypendium w Georgia Tech? Vanessa bezradnie wpatrywała się w Faye.

– Mamo, czy ty uważasz tak samo jak tata?

Faye umierała z żalu nad życiem zmarnowanym u boku mężczyzny, który okrutnie zniszczył wszystko, co w trudzie budowała przez dwadzieścia lat. Czy on nie miał żadnych skrupułów? Nie pomyślał, na co naraził dzieci?

– Mamo, uważasz tak samo? – zapytała powtórnie Vanessa.

– Nie. Nadal kocham Lionela tak, jak kochałam go poprzednio. Zawsze będę go kochać, zawsze będę go wspierać, bo jest dobrym, przyzwoitym człowiekiem. Chcę, żebyście wiedzieli, iż bez względu na wszystko ja zawsze będę waszą matką i przyjacielem. Zawsze możecie do mnie przyjść, bo zawsze w moim sercu, życiu i domu będzie dla was miejsce.

Podeszła i ucałowała każde z czwórki płaczących dzieci. Próbowała utulić je w bólu, dodać otuchy.

– Może tata zmieni zdanie? – rzekła Val niepewnym głosem.

Nikt nie zauważył, że Anne wymknęła się z kuchni.

– Nie wiem, ale porozmawiam z nim. Pewnie po jakimś czasie ochłonie. Teraz nie jest w stanie rozsądnie myśleć.

– Ja też nie – powiedział Greg, uderzając pięścią w stół. – To jest najbardziej obrzydliwa rzecz, o jakiej słyszałem.

– Twoje odczucia są twoją prywatną sprawą, Greg. Nie obchodzi mnie, co Lionel robił z Johnem tamtego wieczoru. Jeżeli nikogo nie ranią, zachowują się w naturalny dla nich sposób, to ja ich akceptuję.

Faye zajrzała Gregowi głęboko w oczy i ujrzała w nich wyłącznie potępienie i obrzydzenie. Umysł Grega był wiernym odbiciem umysłu ojca. Greg nie zniósł napięcia panującego w kuchni, pędem pobiegł na górę, po chwili trzasnął drzwiami od swego pokoju. Wtedy właśnie Faye zauważyła nieobecność Anne. Biedne dziecko, ona dopiero musiała cierpieć! Bliźniaczki zamknęły się w swoich pokojach. Cała rodzina pograżyła się jakby w żałobie.

Faye zatelefonowała do Lionela, przestrzegając, że Ward skontaktował się z Wellsami. Następny telefon pochodził od rodziców Johna. Bob i Mary wpadli w histerię. Pomiędzy pogrozkami i żałami zapewniali Johna o miłości, ale nawet mimo to chłopak odchorował rozmowę nad muszłą klozetową.

Jeszcze tego samego dnia Faye pojechała do Lionela. Li zdał matce szczegółową relację z zachowania Johna, reakcji jego rodziców. Wiadomość, że Bob Wells wyrzucił Warda z domu, bardzo ją ucieszyła. Długo rozmawiali, zapewniając się nawzajem o przywiązaniu. Lionel dostał od Faye uroczystą obietnicę dalszej pomocy zarówno finansowej, jak i na drodze kariery zawodowej. Na koniec, dla potwierdzenia słownych deklaracji, przytuliła syna. Potem uściśnęła Johna. Robiła to trochę wbrew sobie. Gdyby to od niej zależało, życzyłaby sobie, aby ich losy potoczyły się inaczej.

Wieczorem odbyła się kolejna demonstracja humorów Warda, zniknął rankiem, nie pokazywał się przez cały dzień, a kiedy wreszcie się zjawiał, z pijackim uporem wracał do porannych zarządzeń. Siadając do obiadu, jeszcze raz poinstruował Faye i dzieci, że dla niego Lionel umarł, a dla reszty rodziny stał się persona non grata.

Słyszając słowa ojca, Anne wolno podniosła się z krzesła.

– Siadaj! – skarcił ją surowo.

Anne nie posłuchała.

– Nie usiądę. Od twojej gadki robi mi się niedobrze.

Ward obszedł stół dookoła, złapał córkę za ramię, siłą zmuszając do zajęcia miejsca. Po obiedzie Anne wstała znowu i sucho stwierdziła:

– Lionel jest lepszy od ciebie.

– Wynoś się z mojego domu.

– Z przyjemnością! – krzyknęła Anne, rzucając serwetkę w talerz z nietkniętym jedzeniem. Wybiegła z kuchni.

Za chwilę dał się słyszeć dźwięk silnika samochodu Grega, on również uciekał od rodziny. Valerie i Vanessa patrzyły na siebie zatrwożone, bały się o najmłodszą siostrę.

Tej nocy Anne niepostrzeżenie wymknęła się z domu, złapała okazję jadącą do dzielnicy, w której mieszkał Lionel. Poszła do niego. Nacisnęła parę razy na dzwonek, pukała, ale nikt nie otwierał. Postanowiła zadzwonić z budki. Była pewna, że ktoś jest w środku, bo widziała palące się światła. Wybrała numer na tarczy telefonu, usłyszała sygnał w słuchawce, ale nic ponadto. Lionel i John siedzieli w tym czasie w pokoju gościnnym. Słyszeli pukanie, słyszeli telefon.

– Chłopaki mają swoje klucze. Tak dobijać się może tylko mój pijany ojciec – rzekł Li w odpowiedzi na namowy Johna, aby sprawdzili, kto to był.

Anne zrezygnowała z dalszych prób osobistego skontaktowania się z bratem, wydobyła z kurtki ołówki, z kosza na śmieci wyciągnęła skrawek gazety i naskrobała na nim: *Kocham cię Li, zawsze będę cię kochała.* A. Wrzuciła swoje przesłanie przez otwór na listy. Lionel musi wiedzieć, że Anne nie odwróciła się od niego. Przecież już nigdy się nie zobaczą... Li nie miał wstępu do domu. Anne nie mogła tam dłużej wytrzymać. Pozostało tylko jedno rozwiązanie...

Tej nocy dziewczyna po cichu zapakowała mały plecak, założyła dzinsy, trampki i ciepłą kurtkę, włosy zaplotła w warkocz, poczekała, aż wszyscy zasną i wysliznęła się na dwór przez okno w swoim pokoju, zewnętrzne ściany były udekorowane gzymsami, po których Anne bez trudu dotarła na dół. Poszła prosto do bramy ogrodu, nie oglądała się za siebie. Miała w nosie dom, rodziców, rodzeństwo. Najkrótszą drogą udała się do autostrady wiodącej na północ. Tam zatrzymała samochód, nakłamała kierowcy, że jest studentką z Berkeley, która właśnie wraca na uniwersytet po feriach świątecznych. Mężczyzna nie pytał o nic więcej, podwiózł ją do Bakersfield.

W tym czasie Faye weszła do pokoju Anne. Na zasłanym łóżku znalazła kartkę: *Tato, jedno z nas musi odejść, żegnaj. Anne.* Ani słowa do nikogo poza nim, ani słowa do Faye. O mój Boże, co mnie jeszcze spotka? – pomyślała, idąc zadzwonić na policję, zatelefonowała także do Lionela, który powiedział jej o liściku napisanym na skrawku gazety. Czekając na przybycie policji, zastanawiała się, czemu los tak ciężko ją doświadcza. Ile może znieść jeden człowiek?

– Nie mogła uciec daleko. Prawdopodobnie siedzi gdzieś u przyjaciół – rzekł Ward beznamiętnym głosem, ciągle wpatrując się w kartkę pozostawioną przez Anne.

– Ona nie ma żadnych przyjaciół – odparła Valerie.

Tak wyglądała smutna prawda o życiu Anne. Wszyscy wiedzieli, że nie spotykała się z nikim po lekcjach. Zamykała się w swoim pokoju i czytała książki, coraz bardziej odizolowana od rówieśników i rodzeństwa, za jedyną bliską osobę uważała Lionela, ale teraz utraciła nawet jego, bo ojciec brutalnie zabronił im się widywać.

Faye przyglądała się Wardowi nienawistnie, po cichu życzyła mu śmierci. Zadzwoił dzwonek u drzwi. Policja! Oby tylko znaleźli Anne, nim stanie jej się coś złego.

Rozdział dwudziesty drugi

Następny kierowca podwiózł Anne do Fremont. Potem musiała poczekać kilka godzin na samochód jadący do San Francisco. Cała droga zajęła jej dziewiętnaście godzin. Podróżowała z miłymi ludźmi, którzy nabierali się na jej studia w Berkeley i żartobliwie nazywali ją „dzieckiem kwiatem”. Po przyjeździe do Frisco Anne poszła prosto na Haight Street, czuła się, jakby stąpała po podłodze ze złota, a nie twardego bruku. Oczarowana, patrzyła na płynący ulicą kolorowy tłum. Styl narzucali młodzi ludzie, poubierani w stroje, które sami musieli projektować i szyć, tak były niezwykle. Chłopcom włosy sięgały do pasa, a dziewczyny miały wplecione w nie kwiaty. Migwały ogolone głowy wyznawców Hare Kriszna przyodzianych w miękkie, pomarańczowe szaty. Wszyscy się uśmiechali i wyglądali na zadowolonych z życia. Byli tu również ludzie, którzy potrzebującym wydawali jedzenie, ktoś zaproponował jej LSD, kwas wolności.

– Nie, dziękuję – odmówiła grzecznie z nieśmiałym uśmiechem.

– Jak masz na imię?

– Anne – wyszeptła.

San Francisco było miejscem, za którym tęskniła przez lata, czując się wśród swojej rodziny samotnie. Obco. Najważniejsze, że zostawiła Lionelowi kartkę z zapewnieniem o miłości, inni jej nie interesowali. Miała nadzieję już nigdy ich nie oglądać. Po drodze z Los Angeles do San Francisco poważnie zastanawiała się nad zmianą imienia, ale kiedy przybyła na miejsce zorientowała się, że nikt nie rozpozna jej w kolorowym tłumie, zgubi się w nim i będzie anonimową dziewczyną, jedną z wielu. Na szczęście w jej wyglądzie nie było niczego zwracającego uwagę. Gdyby na jej miejscu była Val albo Van, natychmiast stałyby się sensacjami ulicy. Vanessa z powodu płowych, prawie białych włosów. Valerie z powodu ognistomarchewkowej czupryny. Bliźniaczki nie mogłyby oddalić się od domu niezauważone, ale ona, Anne, mogła bez trudu. Już w domu nauczyła się stosować sztukę mimikry. Czasami nawet ją bawiło, że rodzice nie mieli pojęcia, czy była w domu czy nie, co aktualnie robiła. Przyzwyczyła się do pytań: „Gdzie jest Anne?”, „Co robi Anne?”.

– Jesteś głodna, siostrzo?

Anne podniosła głowę i ujrzała twarz dziewczyny ubranej w coś, co wyglądało na prześcieradło przepasane purpurowym szmacianym pasem. Dziewczyna była bardzo szczupła, uśmiechała się, trzymała w ręce

ciastko. Anne podejrzewała, że mogło być nadziane kwasem albo jakimś innym narkotykiem, więc się zawahała.

– Nie bój się, jest czyste. Chyba jesteś tutaj nowa?, zapytała dziewczyna.

– Tak.

Dziewczyna z ciastkiem miała szesnaście lat, przyjechała do San Francisco z Filadelfii przed siedmioma miesiącami, w końcu maja. Od tamtego czasu rodzice jej poszukiwali, widziała nawet ogłoszenie w prasie, ale nie miała ochoty na nie odpowiadać. Po Haight Street krążył ksiądz, którego zadaniem miało być pomaganie uciekinierom, którzy zdecydowali się na powrót do domów. Nie miał zbyt wiele zajęcia. Dziewczyna z ciastkiem także do niego nie podchodziła.

– Mam na imię Daff. Masz dzisiaj nocleg?

– Jeszcze nie – pokręciła głową Anne.

– Znalazłoby się miejsce u Wallera. Mogłabyś tam zostać, jak długo ci się podoba. W zamian pomagałabyś tylko w sprzątaniu i gotowaniu.

Daphne, oczywiście, nic nie wspomniała o dwóch niedawnych przypadkach żółtaczk. Na pozór wszystko wyglądało pięknie. Anne, jako nowa, nie musiała od razu wiedzieć o panoszących się wszędzie szczurach, dzieciakach umierających z przedawkowania narkotyków. O czym tu zresztą gadać? Przecież takie rzeczy zdarzają się wszędzie, ale następował czas miłości, pokoju i radości, powetowania spustoszeń wywołanych wojną w Wietnamie. Nie liczyło się ani przedtem, ani potem. Ważne było tu i teraz. Daphne wzięła Anne za rękę i poprowadziła do domu na Waller Street. Tam zapoznała ją z około trzydziestoma stałymi bywalcami, w większości Indianami noszącymi bajecznie kolorowe stroje, przybrane piórami. Inni wyglądali bardziej zwyczajnie, podobnie jak Anne, ubrani w dzinsy; zaraz po przekroczeniu progu domu znalazła się jakaś życzliwa osoba, która zaproponowała nowej dziewczynie zmianę stroju. Już po chwili Anne włożyła sukienkę w odcieniu wyblakłego różu, buty na grubej gumowej podeszwie, rozpuściła włosy i dostała wianek z kwiatów na głowę. W tym stroju niczym nie różniła się od reszty mieszkańców komuny. Na kolację podano indiańską potrawę i chleb własnego wypieku. Potem odbyło się wspólne palenie trawki. Anne zaciągnęła się kilka razy, położyła na śpiworze przepelniona uczuciem radości i ciepła. W twarzach nowych przyjaciół widziała miłość i akceptację. Tęskniła za tym przez całe życie. Beverly Hills straciło swą realność. Przestały mieć znaczenie ordynarne awantury ojca, głupota Grega, egoizm bliźniaczek i nawet kobieta, która mieniła się matką Anne...

Kiedy po trzech dniach nadeszła pora inicjacji, aktu najwyższej miłości, uznała to za słuszne i dobre. Połknęła kostkę cukru nasączoną LSD,

wypiła wywar z grzybów halucynogennych. Po chwili odjechała w świat nieznanych doznań. Halucynacje wznosiły ją do nieba, by za chwilę strącić w piekielną odchłań. Z zakamarków podświadomości wypełzły przerażające stwory, z którymi Anne walczyła, krzycząc, machając konwulsyjnie rękami, aż mistrzowie ceremonii musieli je skrepować. Śpiewano jej piosenki i kołysano. Matka nigdy tego nie robiła... ani nawet Lionel... Tysiące rąk dotykały kolan, włosów, głosy uspokajały, dodawały pewności siebie. I nagle znalazła się w lesie pełnym elfów. Twarze pochylały się nad głową Anne, usta szeptały słowa otuchy, odpędzając strachy poprzedniego życia, żeby mogła się odrodzić, oczyścić, stać kimś innym, lepszym. Ręce poczęły rozpinać guziki, ściągać ubranie, dotykać. Ktoś wonnymi olejkami namaszczał jej ciało. Nasilające się dźwięki ekstatycznej muzyki potęgowały doznania, gdy dwóch wprowadzających pieściło intymne miejsce Anne, aż płakała i śmiała się z rozkoszy.

Do pokoju wchodziło coraz więcej świadków inicjacji. Siostry i bracia stworzyli krąg wokół wijącej się w transie Anne. Rytm muzyki przывodził do szaleństwa. Jeden z braci podszedł do dziewczyny, stanął między jej udami... Po nim podchodzili kolejno pozostali, aż wreszcie siostry zaczęły całować obolałe ciało Anne. Osunęła się w mrok, już nic nie czuła... zapanowała cisza, było ciemno. Anne należała do wspólnoty.

Kiedy się ocknęła, nie umiała zrekonstruować wydarzeń, rozpoznawała poszczególne twarze, ale nie pamiętała, co się z nią działo. Płacząc, wyciągała ręce, tuliła się do nowych przyjaciół. Potwierdzeniem przynależności do komuny była kolejna tabletka LSD. Anne stała się jedną z siostr mistrzyń rytuału. Przestała istnieć Anne Thayer, a narodził się Słonecznik, odżywiający się porcjami kwasu, doznający hipnotycznych transów dających poczucie pełni szczęścia. W trzy miesiące po przystaniu do grupy Słonecznik został przygarnięty przez Księżycyca; wysokiego, pięknego brata o płowych włosach, fizycznie podobnego do Lionela. Księżyc w każdą noc zabierał Słonecznik do swojego łóżka. Wszędzie chodzili razem, nigdy się nie rozstawali.

– Słoneczniku, chodź do mnie – mawiał Księżyc.

Anne doskonale wiedziała, jak go zabawić, które zioła mu podgrzać, kiedy przynieść narkotyki, kiedy i gdzie go dotykać.

Dzięki Księżycowi Słonecznik pełnił zaszczytną funkcję namaszczania ciał nowo przybyłych mieszkańców Waller Street. Bardzo się przykładał do swoich obowiązków. Wyrazem uznania była dodatkowa tabletką LSD.

Anne nie mogła się nadziwić, że wreszcie odnalazła radość życia i ludzi kochających i kochanych. Powoli zapominała o marności egzystencji w Beverly Hills, z każdym dniem coraz bardziej zapadały się w jej świadomości osoby kiedyś będące jej rodziną.

Pewnego wiosennego dnia Księżyc zauważył, że figura Słonecznika nieco się zaokrągliła. Oznaczało to, że Anne nie mogła już uczestniczyć w inicjacji.

– Nie płacz, kochanie – rzekł Księżyc, widząc łzy w oczach Słonecznika. – Teraz musisz przygotowywać się do rytuału o wiele ważniejszego niż przyjmowanie nowo przybyłych. Nie martw się, my wszyscy będziemy z tobą, kiedy przyjdzie na świat Mały Księżyc.

Od tego dnia Anne nie mogła zażywać kwasu, ale dostała pozwolenie wypalania tak dużo marihuany, jak tylko chciała. Z powodu ciąży i trawki Słonecznik miał wręcz wilczy apetyt, zachwycając tym Księżycą.

Anne miała już całkiem spory brzuch, gdy idąc po Haight Street, zobaczyła w tłumie twarz przypominającą jej kogoś z przeszłości. Niestety, nie była w stanie skojarzyć sobie żadnego nazwiska.

– Widziałam kogoś, kogo znam – powiedział Księżycowi wystraszony Słonecznik.

Księżyc wziął to za oznakę wchodzenia na wyższy stopień narkotycznego wtajemniczenia. On także czasami widywał swą żonę i dziecko, którzy zginęli w katastrofie morskiej na krótko przed jego wyjazdem z Bostonu i przybyciem do San Francisco. Najczęściej zdarzało mu się to podczas rytuału. Odkrycie Słonecznika nie zmartwiło go, ale przeciwnie, uznał, że to dobry znak, chociaż dopiero narodziny dziecka dadzą możliwość wzniesienia się na prawdziwe wyżyny Poznania.

– Kto to był, maleństwo?

– Nie wiem, nie pamiętam jego imienia.

Księżyc dał Słonecznikowi rzadki w tych dniach podarunek, pastylkę LSD. Mózg Anne został opanowany przez jedno imię – Jezus. Coś jednak podszeptowało jej, że to nie był on.

Księżyc patrzył na nią z uśmiechem. Jeszcze do urodzenia dziecka musiała się oszczędzać, dostawała tylko małe dawki narkotyków. Tyle, żeby nie zakłócić doznawanego oświecenia. Dziecko musiało przyjść na świat zdrowe, by mogli się nim cieszyć. Wszystko wskazywało, że potomek został poczęty podczas rytuału. Dlatego dziecko otrzyma specjalne błogosławieństwa i zostanie nazwane „John”. Słyszac to imię, Słonecznik nagle uprzytomnił sobie, kim była osoba widziana na Haight Street.

Rozdział dwudziesty trzeci

Jesteś pewien? – zapytał Lionel z niedowierzaniem. Johnowi dwukrotnie zdawało się, że zobaczył Anne, lecz za każdym razem trop się urywał. Poszukiwania Anne po całym San Francisco trwały trzeci miesiąc. John i Lionel czasowo porzucili naukę. Ward nie chciał słuchać o poszukiwaniach córki, a Bob i Mary Wells byli przekonani, że wyprawa do Frisco jak najbardziej leżała w interesie mężczyzn, przecież przy okazji mogli zawrzeć tysiące nowych znajomości w miejscowym środowisku homoseksualistów.

Lionel nie dawał za wygraną, według niego Anne nie mogła być gdzie indziej. To miasto miało reputację raj uciekinierów, mekki, do której zmierzali wszyscy niepokodzeni z losem, potem latami żyjący w komunach. Były ich tysiące. Gnieździłi się w małych, brudnych, często zarobaczonych mieszkaniach, pomalowanych na dzikie kolory. Z reguły jedyne wyposażenie ich domostw stanowiły chodniki i śpiwory. Lionel instynktownie czuł, że Anne żyła w jednym z takich domów, pozostawiała kwestia jej namierzenia. Wspólnie z Johnem codziennie, wzdłuż i wszerz, przeszukiwali ulice, ale bez rezultatu. Czas ich gonił, bo zobowiązali się powrócić do UCLA na letnią sesję egzaminacyjną i nadrobić zaległości w nauce.

– Jeżeli nie znajdziecie jej przez trzy miesiące, to dajcie sobie spokój – powiedział im Bob Wells na pożegnanie. – Nie macie żadnej gwarancji, że jest w San Francisco. Równie dobrze może być w Nowym Jorku albo na Hawajach.

Lionel wiedział, że Bob się myli, znał Anne. Był pewien, że tylko tam mogła się udać w poszukiwaniu miłości, której nigdy nie zaznała w rodzinie.

John zgadzał się z nim i obstawał, że tym razem na pewno zobaczył Anne spacerującą w pobliżu Ashbury, ubraną w purpurowe prześcieradło, w kwietnej koronie na głowie. Miała błyszczące, niewidzące spojrzenie. John zastanawiał się, czy Anne była w stanie go poznać. Przez ułamek sekundy, kiedy ich oczy się spotkały, miał wrażenie, że w jej wzroku zamigotało coś jak chęć przypomnienia. Potem śledził ją aż do starego, rozpadającego się domu, wyglądającego na przytulisko dla całej rzeszy narkomanów i uciekinierów. Gdy Anne stanęła w progu budynku, John był świadkiem osobliwej sceny. Na schodach ujrzał mnóstwo dziwacznie poubieranych ludzi, śpiewających pieśni indiańskie, którzy na widok dziewczyny rozstąpili się, torując jej drogę na górę, pomagając wspinać się po schodach. U ich szczytu

stał mężczyzna z płowymi włosami, który wziął ją na ręce i zaniósł do środka.

– Rzeczywiście, to mogła być ona – przyznał Lionel po wysłuchaniu relacji przyjaciela.

Niestety, podobnych scen odbywało się kilkadziesiąt każdego dnia. Jak się dowiedzieć, która z dziewcząt była Anne? Wielogodzinne przechadzki po Haight-Ashbury nie przynosiły widocznych rezultatów. Jeżeli naprawdę tam była, to dlaczego jeszcze jej nie odnaleźli, zastanawiali się wieczorami, jedząc późną kolację złożoną z hamburgerów. Mieszkali w hotelu opłacanym z pieniędzy pożyczonych od Faye. Nie brali udziału w nocnym życiu, byli na nie zbyt zmęczeni. Po prostu kładli się spać, aby raniem na nowo rozpocząć poszukiwania. Faye kilka razy przylatywała z Beverly Hills i pomagała im, ale w końcu Lionel przetłumaczył jej, że jeśli we dwóch nic nie wskórają, to jej obecność także na nic się nie zda. Z początku Faye nawet nie chciała słuchać, aż kiedyś sama wybrała się na Haight Street i wróciła do hotelu w stanie zupełnego szoku. Opowiadała potem, że stała pośrodku kolorowego tłumu. Typowa mamusia uciekiniera z dobrego domu: wyprasowane ubranie, uczesana, umyta. Ten tłum omijał ją łukiem jak szczury trutkę. W końcu Lionel, bez ogródek, nakazał jej wracać do domu.

Faye zajęła się pracą nad kolejnym filmem, próbowała namówić Warda do zatrudnienia asystenta producenta, inaczej z powodu jego pijaństwa film mógł zrobić totalną klapę. Ward awanturował się przy byle okazji, nie chciał rozmawiać z Lionelem nawet, gdy ten dzwonił, aby zdać relację z poszukiwań, zawsze kiedy usłyszał jego głos w słuchawce, wyłączał telefon. Doprowadzał tym Faye do pasji. Nie pozostawało nic innego, jak zainstalować drugi, przeznaczony tylko dla Lionela. Faye zauważyła, że bliźniaczki, bojąc się reakcji ojca, nigdy nie podnosiły słuchawki, gdy odzywała się druga linia. Dla nich wyeliminowanie Lionela z rodziny stało się faktem. Matka kochała najstarszego syna jeszcze bardziej niż przedtem. Jedyne on zdawał się opoką, na której mogła się wesprzeć. Od niego słyszała słowa otuchy w trudnych chwilach. Bardzo często rozmawiała z Mary Wells, za każdym razem podkreślając wdzięczność za włączenie się Johna w poszukiwania Anne. Wellsowie pocieszali Faye z całego serca, byli dumni z postawy swego syna, kochali go i akceptowali jego związek z Lionelem.

Między Thayerami panowało trudne do zniesienia napięcie. Pomimo zaginięcia Anne, Ward pojechał z Gregiem na mecz, a potem do Super

Bowl. Był pewien, że policja sprowadzi córkę do domu. Postanowił rozhisteryzowanej dziewczynie sprawić takie lanie, żeby odechciało jej się głupot raz na zawsze. Po powrocie z Super Bowl był zaskoczony, że Anne jeszcze się nie odnalazła. W końcu, z upływem czasu, zrozumiał, że sprawa była poważniejsza, niż mu się zdawało. Policjanci byli zmuszeni uprzedzić rodziców o możliwości śmierci dziecka lub długich, być może bezowocnych poszukiwań, po których zakończeniu Anne będzie figurowała w rejestrze zaginionych. Dla Faye brzmiało to jak wyrok, tak jakby naraz straciła dwoje dzieci. Desperacko potrzebowała zapomnienia, dlatego rzuciła się w wir pracy, a każdą wolną chwilę spędzała z bliźniaczkami. Dziewczynki były przygaszone, zmęczone niepewnością. Vanessa prawie w ogóle przestała się odzywać. Jej wielki romans z chłopcem ze szkoły tańca zgwał, nim jeszcze nabrał rumieńców. Atmosfera w domu przygnębiła nawet Valerie. Przestała szokować bliźnich makijażem i wyzywającymi strojami.

Faye przypominała kłębek nerwów. Szukała ukojenia, zaczęła nawet chodzić do kościoła, czego nie robiła od wielu lat. Ward, oczywiście, pocieszał się alkoholem. Z początku wracał pijany około pierwszej, drugiej w nocy, potem nie wracał wcale, zniknął z domu na kilka dni. Kiedy zdarzyło się to po raz pierwszy, Faye nie zmrużyła oka, przez całą noc zastanawiała się, co mogło mu się przytrafić. Podświadomie oczekując kolejnego ciosu, doszła do przekonania, że pewnie miał wypadek i już nie żyje. Kiedy ujrzała go o szóstej rano, przemijającego na paluszkach, z gazetą pod pachą, doznała zgoła innych skojarzeń. Przypomniała sobie, że wiele lat temu wydarzyła się podobna historia: Ward wracający nad ranem, zupełnie trzeźwy, bez śladów kaca, ale jakoś dziwnie unikający jej wzroku... Tamta kobieta nazywała się Maisie Abernathie, pojechał z nią do Meksyku, nawet pisali o tym w gazetach... Czy teraz znowu chodziło o nią? Niemożliwe, lecz coś w tym było. Ward powtarzał schemat sprzed lat... Faye nie była w stanie rozmawiać z mężem, nie interesowało jej, gdzie się podziewał. Ucieczka w pracę była jakimś sposobem, ale nocami płakała z żalu, że rodzina na jej oczach rozpada się na kawałki, a ona nie potrafi temu zapobiec.

Po pewnym czasie w MGM zaczęto szeptać, że Ward ma romans z gwiazdą popularnego programu telewizyjnego. Jeżeli dawać wiarę plotkom, związek był poważny. Faye modliła się, żeby nie dotarło to do prasy, bo wtedy dowiedziałyby się bliźniaczki. Nie wyobrażała sobie, że mogłaby mieć jeszcze jeden kłopot więcej, goniła resztkami sił. Była już

u kresu wytrzymałości, gdy w środku nocy zadzwonił Lionel z wiadomością, że prawdopodobnie odnalazł Anne. Prawdopodobnie, bo dziewczyna nosiła rodzaj hinduskiego sari, zachowywała się jak narkomanka i miała znacznie okrągłejsze kształty.

– Ale sądzisz, że to może być ona? – zapytała Faye, ocierając łzy.

Lionel stwierdził, że Anne bardzo się zmieniła. Była, jak to się określa, na haju i poruszała się zupełnie inaczej, może z powodu długiej szaty. Towarzyszyli jej członkowie jakiejś sekty, w której chyba była ważną postacią, ponieważ szła pośrodku całej grupy.

– Nie wiem, mamu. Nie jesteśmy pewni, czy to Anne – Li nie chciał rozbudzać w matce niepotrzebnych nadziei, starał się mówić bez emocji, zostawić trochę miejsca na wątpliwości – ale chciałbym cię zapytać, co mamy teraz zrobić?

– Powinniście zadzwonić na policję.

– A jeżeli się mylimy?

– Trudno, nie wy pierwsi i nie ostatni. Pamiętajcie o skontaktowaniu się z księdzem Paulem Brownem. On zna wszystkich uciekinierów i pomoże wam ustalić tożsamość tej dziewczyny.

Chłopcy przyrzekli niezwłocznie zatelefonować na policję i porozmawiać z Paulem Brownem.

– Myślisz, że powinnam przylecieć do was? – zapytała Faye.

Nie miała nic innego do roboty. Nie zamierzała czekać na Warda, który zupełnie nie przejawiał zainteresowania rodzinnymi sprawami. Właściwie wcale nie pokazywał się w domu, zdawał się oczekiwać, że to ona podejmie jakieś kroki w celu rozwikłania dziwnej sytuacji. Być może spodziewał się radykalnych decyzji, których sam nigdy nie umiał podejmować. Faye zastanawiała się, ile prawdy było w plotkach, ale nie miała siły do rozmowy z mężem. Rozwód po tylu latach małżeństwa wydawał jej się absurdem, ale nie znajdowała alternatywy. Postanowiła, że kiedy tylko odnajdą Anne, Lionel powróci na uczelnię, a ona sama odpocznie chwilę, wtedy dopiero weźmie się za porządkowanie małżeństwa, a właściwie załatwienie formalności rozwodowych.

O północy znowu odezwał się telefon.

– Li?! – krzyknęła do słuchawki.

– Tak, to ja. Policjanci uważają, że ta dziewczyna to Anne. Sprawdziła to specjalna brygada, penetrująca środowiska uciekinierów. Rozmawiałem też z księdzem Brownem. Wygląda na to, że Anne ma pseudonim Słonecznik. Istnieje tylko jedna wątpliwość. Słonecznik ma prawdopodobnie więcej niż czternaście lat.

Lionel nie wtajemniczał Faye w szczegóły, które ujawnił mu Paul Brown. Nie powiedział, że Anne żyła z sektą znaną z uprawiania podejrzanych praktyk erotycznych, z seksem grupowym włącznie, że kilka policyjnych nalotów na ich dom nie przyniosło rezultatu, ponieważ członkowie sekty deklarowali pełnoletniość. Ksiądz wiedział, że narkotyzowali się czymś, co nazywali magicznymi grzybkami, LSD, nie wspominając o marihuanie. Najgorsze jednak, że obserwowana dziewczyna spodziewała się dziecka. Lionel nie chciał martwić matki, zwłaszcza że mógł to być jednak fałszywy trop.

– Mamo, chcesz, żeby ją aresztowali, czy tylko zatrzymali do wyjaśnienia na czterdzieści osiem godzin?

– O Boże – jęknęła Faye. Nie widziała swego dziecka od pięciu miesięcy, a teraz musiała decydować, co ma z nią zrobić policja. – Nie mogliby jej po prostu zabrać na komisariat, a ty przecież poznałbyś Anne.

– Niestety – westchnął Lionel. – Dopóki nie ma pewności, muszą się trzymać przepisów. Na wypadek gdyby okazało się, że to nie Anne, a osoba powyżej osiemnastu lat, inaczej mogliby zostać oskarżeni o nieprawne zatrzymanie. Większość hippisów stara się żyć w zgodzie z policją, a oni też wolą być ostrożni, bo kilka razy podano ich do sądu – zakończył zmęczonym głosem.

– Dobrze, powiedz, żeby robili, co uznają za słuszne. Musimy się dowiedzieć, czy to ona.

– Jutro o dziesiątej umówiłem się z tajniakami, którzy mają czekać na Anne przed domem. Być może uda mi się z nią porozmawiać. Jeśli nie, to zgarną ją pod byle pretekstem, choćby narkotyzowania.

– Ona się narkotyzuje?! – krzyknęła Faye zszokowana.

Lionel popatrzył z wahaniem na Johna. Obaj mieli dosyć Haight-Ashbury. Brudu, smrodu, narkotyków, narkomanów... Gdyby nie iskierka nadziei, że ta dziewczyna to Anne, byli gotowi natychmiast wracać do Beverly Hills.

– Tak, mamo, prawdopodobnie. Ona, niestety, nie wygląda zbyt dobrze.

– Czy jest chora? – zapytała Faye przerażonym głosem.

– Nie, jest tylko trochę zaniedbana, bo mieszka w bardzo dziwnym miejscu z ludźmi, którzy należą do pewnego rodzaju orientalnej sekty.

– O Chryste...

Faye była przekonana, że Anne ogoliła sobie włosy na łyso, słyszała o takich zwyczajach. Żałowała, że dała się namówić na opuszczenie San Francisco. Była matką, czuła, że ta dziewczyna to Anne.

- Zadzwoń do ciebie jutro, gdy tylko się czegoś dowiemy.
- Przez cały dzień będę w wytwórni. Czy powinnam sobie zarezerwować lot?
- Uzbrój się w cierpliwość. Obiecuję zadzwonić, obojętnie czy to ona czy nie.
- Dziękuję ci, kochanie.

Lionel to wspañiały syn. Co z tego, że homoseksualista! Faye uważała, że był lepszym człowiekiem niż Greg. Obu ich kochała, ale Gregowi brakowało wrażliwości. On nigdy nie poświęciłby trzech miesięcy na to, żeby szukać siostry. Dał temu wyraz podczas ferii wielkanocnych, kiedy publicznie nazwał Lionela palantem, za wymienienie zakazanego imienia został przez Warda zgromiony wzrokiem, natomiast Faye zmusiła się do trzymania nerwów na wodzy i, mimo szczerej chęci, nie spoliczkowała ojca na oczach syna. Być może rozwód będzie najlepszy dla nich obojga? Chyba nie ma co liczyć na nagłą odmianę charakteru Warda...

Leżąc w ciemnościach, Faye długo nie zasypiała, rozmyślając o Anne. Przypominała sobie małą dziewczynkę uczącą się chodzić, mówić... Czas jej narodzin zbiegł się z nieszczęściami, utratą majątku, odejściem Warda, wysiłkami Faye starającej się zapewnić utrzymanie pięciorgu małym dzieciom. To na nią spadły wszelkie formalności związane ze sprzedażą domu, przeprowadzką do Monterey Park. Czy powinna obwiniać siebie za kłopoty wychowawcze? Przecież zrobiła dla Anne wszystko, co mogła, tylko że ta mała stała na z góry straconych pozycjach. Starsze dzieci doznały matczynej opieki. Anne miała niańki. Jak żywe stanęły Faye przed oczami sceny z Monterey Park, gdy opiekunka Anne nagabywała: „Może chciałaby pani posiedzieć z małą?”, „Może chciałaby pani ją nakarmić?”. „Nie, nie mam czasu, nie teraz” – odpowiadała. Anne ciągle odpychana, zaniedbywana, usiłowała znaleźć swoje miejsce w życiu. Mój Boże, jestem potworem, rozmyślała Faye. Jak mogłam wyrządzać jej taką krzywdę! Jestem złą, okropną matką, powtarzała sobie, zastanawiając się, czy uda jej się wyleczyć rany zadane Anne przez lekkomyślność. Może już za późno? Czy jeszcze kiedykolwiek jej rodzina będzie jednością? Czy uda ją się spoić, jak kawałki porwanej rodzinnej fotografii?

Rano obudziła się z bólem głowy, wzięła prysznic, przygotowała śniadanie dla bliźniaczek, a potem pojechała do biura w MGM. Zastała tam Warda, jak zwykle pochłoniętego własnymi sprawami. Nie zamienili ze sobą ani jednego słowa. Faye nie zamierzała dociekać, co robi i gdzie spędza nocę, jeżeli pokazywał się w domu, to przenosiła się do sypialni

Grega. Za jedyny powód do przerwania cichych dni uważała odnalezienie Anne, ale postanowiła nic nie wspominać, dopóki Lionel nie potwierdzi wiadomości.

Około południa zadzwonił telefon, sekretarka zaanonsowała Lionela.

– Li? – zapytała Faye z bijącym sercem.

– To ja, spokojnie, mam – odpowiedział.

Włos jeżył mu się na wspomnienie zabierania Anne z Waller Street. Na szczęście obyło się bez przemocy. Nikt nie doznał obrażeń, chociaż opiekun Anne, płowowłosa mężczyzna, rzucał wszystkim, co mu wpadło w ręce. Wykrzykiwał, że bogowie ześlą na nich karę za odebranie mu dziecka. Anne, zamroczone narkotykami, tylko uśmiechała się blado, chwilami robiąc wrażenie, że rozpoznaje brata. Dała się wyprowadzić na zewnątrz, była spokojna, lecz policjanci ostrzegali, że kiedy przestaną działać narkotyki, może stać się bardzo agresywna i wtedy będzie potrzebna fachowa pomoc medyczna.

Faye wstrzymała oddech.

– Czy to Anne? – wyrzuciła z siebie, nie mogąc dłużej czekać.

– Tak, mam. Ogólnie czuje się dobrze...

Nareszcie ją odnaleźli. Nareszcie... Ostatnie tygodnie wspólnych zmagania bardzo scementowały związek Johna i Lionela. Teraz obaj mieli pewność, że są sobie przeznaczeni, że będą razem aż do końca życia.

– Mów wszystko – nalegała Faye.

– Anne miewa się dobrze. Jestem z nią teraz na posterunku policji przy Bryant Street. Jeśli chcesz, mogę przejąć nad nią opiekę i wtedy, za dzień lub dwa, przyjechalibyśmy razem do domu. Potrzebujemy trochę czasu na formalności, a potem już Anne mogłaby zacząć się od nowa przystosowywać.

– Przystosowywać? O czym ty mówisz?

Prędzej czy później Faye pozna prawdę o Anne, lecz rozmowa przez policyjny telefon z pewnością nie była najlepszą okazją do wprowadzania jej w szczegóły.

– Mam, zrozum. Anne prowadziła tutaj zupełnie inne życie. Powrót do normalności zajmie jej trochę czasu.

Lionel starał się wyrażać bardzo taktownie i oględnie. Miał nadzieję, że matka niewiele słyszała na temat hippisów. Na pierwszy rzut oka dziewczyna wyglądała całkiem dobrze, może nawet szczęśliwiej niż przed ucieczką, ale wrażenie okazywało się złudne. Nastrojami Anne rządziły narkotyki, których odstawienie będzie dla niej bardzo bolesne. Policja przedyskutowała z Lionelem możliwość nałożenia na Anne sankcji za

używanie narkotyków, zdecydowano jednak, że z powodu jej wieku odstąpią od obowiązków. Pozostała jeszcze kwestia wyciągnięcia konsekwencji w stosunku do sekty, zaskarżenia ich o uprowadzenie i uwiedzenie nieletniej, lecz decyzje w tej sprawie Li pozostawiał rodzicom.

– Czy Anne się narkotyzuje? – dopytywała się Faye.

– Tak to można nazwać – odpowiedział Lionel po chwili wahania.

– Co ona bierze? Heroinę? – zapytała, błędąc.

Wiele słyszała o uzależnieniu od silnych narkotyków. Wiedziała, że przypadki wyjścia z nałogu prawie nigdy się nie zdarzały.

– Nie, uspokój się, mammo. Ona pali trawkę, łyka LSD i inne środki halucynogenne.

– Czy policja ją zatrzyma? – zaniepokoiła się Faye.

– Nie. Pomyślałem, że zabiorę ją do hotelu, żeby się wykapła i trochę doszła do siebie.

– W porządku, Li. W takim razie przylatuję najbliższym samolotem.

Lionel przygryzł wargi. Nie chciał, żeby matka widziała Anne w stanie zamroczenia narkotycznego. Jeśli Faye rzeczywiście przyleci następnym samolotem, to nie miał zbyt wiele czasu na doprowadzenie siostry do ładu. Na dodatek istniał jeszcze jeden szczegół, którego nie może przemilczeć.

– Mammo, jest coś, o czym koniecznie powinnaś wiedzieć.

Faye zamarła. Momentalnie przyszło jej do głowy, że Anne jest ciężko chora.

– O co chodzi, Li?

– Anne jest w ciąży.

– Boże miłosierny – jęknęła. – Przecież ona ma dopiero czternaście lat.

– Wiem, przykro mi, mammo.

– A co z ojcem dziecka?

Ojciec. Trudno o bardziej groteskowe słowo w przypadku, gdy istniało co najmniej trzydziestu ewentualnych tatusiów. Lionel nie miał serca powiedzieć jej o tym wprost, wykręcił się więc stwierdzeniem, że jeszcze nie rozmawiał z Anne o ciąży. Jednak Faye, tknięta złym przeżuciem, zanotowała w kalendarzu: „zatelefonować do doktora Smitha”. Wiele słyszała o tym lekarzu, wiedziała, że w zeszłym roku przerwał ciążę jednej z aktorek grających u Faye, porozmawia więc z nim na temat zabiegu Anne. Gdyby miał obiekcje co do jej wieku, to pojadą obie do Londynu czy Tokio. Faye nie dopuści więcej, żeby jej córka cierpiała, złamała sobie życie, rodząc dziecko, które prawdopodobnie zostało poczęte w wyniku jakiegoś obrzydliwego gwałtu. Wiadomość o ciąży kompletnie ją zdruzgotała, zatruliła radość z odnalezienia Anne.

Po rozmowie z Lionelem Faye się rozpląkała. Teraz nadszedł czas rozliczeń z Wardem, ustalenia nowych reguł gry. Faye otarła łzy, przypudrowała nos, wyprostowała się i poszła do biura męża. Po drodze zdecydowała się nie odwlekać przedstawienia Wardowi swych decyzji co do rozwodu. Po powrocie Anne obecność Lionela w domu będzie niezbędna, mąż musi odpowiedzieć sobie na pytanie, jak widzi kwestię dalszego ignorowania najstarszego syna.

– Czy pan Thayer jest u siebie? – zapytała sekretarkę, stojąc przed drzwiami do gabinetu Warda.

– Nie... nie ma go – odpowiedziała niepewnym głosem, upuszczając ołówek na podłogę.

– To kłamstwo. – Faye nie była w nastroju na wysłuchiwanie bzdur, z pewnością jest – nalegała, wskazując głową na drzwi.

– Nie ma go... to znaczy jest, ale powiedział, żeby mu nie przeszkadzano.

– Znowu pieprzy się na biurowej kanapie? – oczy Faye ciskały błyskawice.

Tajemnicą poliszynela było, do czego używano wyposażenia gabinetów. – To już naprawdę przesada – skomentowała, ruszając w stronę drzwi. – Nie martw się. Biorę wszystko na siebie – rzuciła przez ramię, naciskając klamkę.

W środku ujrzała Warda siedzącego za biurkiem naprzeciwko Carol Robbins, gwiazdy telewizyjnej opery mydlanej *Podążając za tobą*. Pozornie nic nie wskazywało na intymną sytuację, lecz Faye wiedziała, że związek tych dwojga wykraczał poza ramy czysto zawodowej znajomości.

W *Podążając za tobą* Carol odtwarzała postać pielęgniarki. Przemykała po ekranie w opiętym fartuchu, doskonale uwydatniającym jej ogromne piersi i wystający tyłek. Pewno te cechy anatomiczne zdecydowały, że w krótkim czasie stała się ulubienicą męskiej części widowni serialu. Na widok żony Ward puścił rękę aktorki, wyraźnie był speszony.

– Odnaleziono Anne. Pomyślałam, że może cię to zainteresuje – zwróciła się do męża, ignorując obecność Carol.

Ward otworzył szeroko oczy.

– Nic jej nie jest? – zapytał.

– Nie – odpowiedziała, celowo nie wspominając o narkotykach i ciąży. Gdyby szepnęła chociaż słówko, Carol z pewnością wypaplałaby wszystko pierwszemu napotkanemu pismakowi i za kilka godzin Thayerowie byliby ulubionym tematem całego Hollywood.

– Kto ją znalazł? Policja?

– Lionel – odrzekła Faye, patrząc na męża triumfalnie. – Za dwie godziny wylatuję do San Francisco. Jeśli zdołam, jeszcze dzisiaj przywiozę ją do domu. Możesz wpaść, żeby się z nią przywitać, kiedy trochę ochłonie.

– Czy jest jakiś powód, dla którego nie mógłbym przyjść dzisiaj do domu? – zapytał Ward, zaskoczony.

Faye uśmiechnęła się gorzko i zerknęła znacząco na biuściastą dziewczynę.

– To zależy od ciebie. Możesz się zastanawiać do jutra.

Wychodząc, pomyślała, że Ward bardzo się postarzał. Ciężko przeżył preferencje Lionela i nie bez znaczenia był fakt, że od pięciu miesięcy swoją frustrację topił w alkoholu. Faye także nie wyglądała najlepiej. Bezsenne noce, samotne zmagania odcisnęły swe piętno. Pojawiły się zmarszczki i siwe włosy. Ward znalazł pocieszenie w ramionach jakiejś podrzędnej aktorki z wielkimi cyckami. Faye przez moment pożałowała, że nie odplaciła mu pięknym za nadobne i nie znalazła adoratora.

– Powiem Anne, żeby do ciebie zadzwoniła. Oczywiście o ile będzie miała na to ochotę – dodała, na zakończenie trzaskając drzwiami.

Ward usiłował pozbiierać myśli. Siedząca naprzeciwko blond piękność o rubensowskich kształtach zaczęła mu nagle okropnie przeszkadzać.

Faye właśnie wrzucała do torebki szczoteczkę do zębów, trzymaną w szufladzie biurka na wszelki wypadek, gdy Ward wpadł jak burza do jej gabinetu.

– Co właściwie miałaś na myśli, przychodząc do mnie? – zapytał rozgorączkowany.

Nie mógł uwierzyć, że przed chwilą kazał się Carol zabierać do domu. Aktorka rozplakała się histerycznie i zagroziła, że oskarży go o wykorzystywanie seksualne. Ward bardzo się tym przejął, romans rozpoczął się niewinnie, lecz kilka tygodni temu wydarzenia wymknęły mu się spod kontroli.

– Przepraszam, ale śpieszę się na samolot – odpowiedziała, dobrze udając spokój.

– W porządku, w takim razie porozmawiamy w samolocie. Lecę z tobą.

– Nie potrzebuję twojej pomocy.

Oczy Faye były chłodne, Warda smutne.

– Nigdy jej nie potrzebowałaś, ale nie zapominaj, że Anne jest także moim dzieckiem.

– Jak dotąd ty sam o tym nie pamiętałeś – powiedziała, nie mogąc przepuścić okazji do zranienia Warda – byłeś zbyt zajęty wdziękami Carol.

– O tym także musimy w końcu porozmawiać.

Faye skinęła głową.

– Mówiąc szczerze, w pierwszej kolejności planowałam zająć się Anne i Lionelem, ale skoro już zaczęliśmy... Za parę tygodni powinnam się ze wszystkim uporać, znajduję czas na rozmowę z adwokatem.

– Jesteś zdecydowana? – zapytał, nie ukrywając przygnębienia.

Sam sobie zgotował taki los. Poczul się wykiwany przez życie, ale miał świadomość, że nie zrobił niczego, aby zapobiec katastrofie. Co innego Faye. Ona się nigdy nie poddawała. Chwytała się każdej możliwości. A on, Ward, czym mógł się pochwalić? Miał pięćdziesiąt lat, jego małżeństwo się rozpadło, syn był dewiantem, córka uciekła z domu i nie wiadomo co, gdzie i z kim w tym czasie wyprawiała.

– Szkoda, że musimy przez to przejść – rzekł smutno Ward.

– Mnie też jest przykro, ale mam nieodparte wrażenie, że to ty, nie ja, podjąłeś decyzję. Przestałeś bywać w domu. Nawet nie uznałeś za stosowne uprzedzić mnie o tym. Dziwne, że dotąd nie zabrałeś swoich ubrań.

– Sprawy jeszcze nie zaszły tak daleko, Faye.

– Nie bądź śmieszny. Ty już odszedłeś ode mnie, tylko nie powiedziałeś mi dlaczego.

Czyż to nie dziwne, klócić się w dzień odnalezienia Anne? Przecież powinni tańczyć z radości, zapomnieć o wszystkich wyrządzonych sobie przykrościach... Być może powinni, ale czy da się w jednej chwili wymazać z pamięci ból i rozczarowanie, daremne oczekiwanie na telefon?

– Nie wiedziałem, co ci powiedzieć, Faye.

– Najwidoczniej, i dlatego zdecydowałeś się od razu przystąpić do czynów.

Niestety, wszystko się zgadzało. Na dodatek opuścił Faye już po raz drugi i też wtedy, gdy było jej ciężko i potrzebowała jego wsparcia. Był słaby, nie potrafił stawiać czoła losowi, opierać się przeciwnościom. Pięć miesięcy temu, kiedy Lionel okazał się homoseksualistą, Carol zdawała mu się jedynym lekarstwem na nadszarpniętą godność i zakwestionowaną męskość. W jej ramionach na nowo poczuł się jak mężczyzna, ale w życiu nic nie ma za darmo. Ceną było małżeństwo, a właściwie jego koniec, podsumował z goryczą.

– Zadzwoń do ciebie zaraz po powrocie z San Francisco – rzekła Faye, wychodząc z biura.

– Lecisz o trzeciej, prawda? W takim razie mam rezerwację na ten sam samolot.

To nie ma sensu. Naprawdę nie chciała, żeby Ward jej towarzyszył. Nie miała ochoty na rozdierające sceny rodzinne, gdy Ward zobaczy Anne zamroczoną narkotykami. Nie miała chęci wysłuchiwać jego bezsensownych komentarzy, jakim to śmieciem jest Lionel. Nie, tylko nie to.

– Faye, nie widziałem Anne od miesiący – błagał Ward.

– W związku z tym nie sprawi ci różnicy, jeśli poczekaś jeszcze jeden dzień – odpowiedziała. Nagle poczuła do niego litość pomieszaną ze współczuciem. – No dobra, na dole czeka samochód.

Nie podobało jej się zachowanie Warda, nie lubiła jego skłonności do komplikowania już wystarczająco powikłanych spraw. Po drodze na lotnisko nie zamienili ze sobą ani jednego słowa. Przy odbiorze biletów okazało się, że nie mieli miejsc obok siebie. Gdy urzędniczka chciała zrobić im grzeczność i zamienić miejsca tak, by Thayerowie mogli siedzieć razem, Faye z uśmiechem powiedziała, żeby nie robiła sobie niepotrzebnego kłopotu. Siedząc w drugim końcu samolotu, Ward nie miał najmniejszych wątpliwości, że jego małżeństwo z Faye stanowiło całkowicie zamknięty rozdział. Najgorsze, że Carol była tylko miłostką, doraźnym lekarstwem na zmartwienia, potwierdzeniem męskości i niczym więcej. Czy Faye da temu wiarę? Nie, raczej każe mu się wynosić ze swojego życia.

Po wylądowaniu złapali taksówkę i razem udali się do hotelu Lionela. Faye postanowiła uprzedzić ewentualne szykany ze strony Warda, nawet uciekając się do szantażu.

– Powinieneś zdawać sobie sprawę, że Lionel i John poświęcili kilka miesięcy na odnalezienie Anne. Stracili cały semestr, codziennie przez kilka godzin przeczesywali ulice, żeby wpaść na jej ślad. Gdybyśmy zdali się tylko na policję, to do tej pory nie mielibyśmy pojęcia, gdzie jest Anne. Pamiętaj więc, jeżeli zrobisz chociaż jeden głupi komentarz na temat Li albo Johna, to nie rozstaniemy się w przyjaźni i nie dostaniesz ani centa z udziału majątku. Jeśli chcesz się rozwieść bezproblemowo, masz być przyzwity w stosunku do obu chłopców. Jasne? – spytała, patrząc na Warda lodowatym wzrokiem.

– A jeżeli ja nie chcę przyjacielskiego rozwodu? – odpowiedział pytaniem na pytanie.

– W tym wypadku nie waż się jechać ze mną do hotelu – odpowiedziała twardo, podnosząc rękę, aby dać taksówkarzowi sygnał do zatrzymania.

– Nie to miałem na myśli – sprostował Ward, łapiąc Faye za rękę. – Skąd wiesz, że w ogóle zgadzam się na rozwód? Jeszcze o tym nie rozmawialiśmy.

– Nie bądź śmieszny. – Faye skrzywiła się w gorzkim uśmiechu. – Nie widzimy się od czterech miesięcy, nie wracasz do domu na noc i myślisz, że zamierzam nadal być twoją żoną? Musiałabym być nienormalna.

– Faye, nie ty jesteś nienormalna, ale ja.

– W zupełności się z tobą zgadzam, ale to nie czas i nie miejsce na tę rozmowę – rzekła zirytowana. – Naprawdę ciekawi mnie, po co tu ze mną przyjechałeś?

– Ze względu na Anne i... chciałem być z tobą. Już od tak dawna...

– To nie moja wina.

– Wiem, moja – rzekł szczerze, gotowy przyznać się do błędów. Nareszcie poszedł po rozum do głowy. Za późno, dla nich obojga.

– Co ja słyszę? – rzekła Faye ironicznie. – Czyżby gwiazdeczka z opery mydlanej dała ci kosza po moim najściu dzisiejszego poranka?

– Nie, to ja dałem jej kosza.

No prawie... Carol fatalnie przyjęła jego decyzję wyjazdu z Faye do San Francisco. Musiał ją jakoś uspokoić, obiecał, że po jego powrocie pogadają bez emocji, lecz w głębi duszy nie miał zamiaru kontynuować romansu z dwudziestodwuletnią pannicą, przy której zaczynał się czuć jak podstarzały lowelas.

Uważał cały związek za definitywnie skończony, bez względu na to, czy Faye będzie nalegała na rozwód czy nie. Teraz potrzebował swojej żony, zresztą zawsze jej potrzebował. Romansując z Carol, postępował wbrew sobie, ale zdawało mu się, że Faye odwróciła się od niego, całkowicie opowiedziała się po stronie Lionela. Ward modlił się, aby żona dała mu następną szansę.

– Słyszałaś, co powiedziałem? Mówiłem, że skończyłem z tamtą dziewczyną.

– Mam to gdzieś.

– Doskonale, chociaż tyle się dowiedziałem.

– Dowiedz się jeszcze, że między nami wszystko skończone, koniec, *finito*. Czy dostatecznie jasno się wyraziłam?

– Nie zgadzam się!

Faye omal go nie uderzyła.

– Ward, zastanów się, co ty wyprawiasz? Pół roku temu wypiąłeś się na mnie, bo znalazłeś sobie jakąś prawie trzydzieści lat młodszą siksę. Teraz, skruszony, chcesz do mnie wrócić, tak? Nic z tych rzeczy! Ja chcę rozwodu.

Kierowca, zaintrygowany rozmową na tylnym siedzeniu, zerkał we wsteczne lusterko.

– A ja chcę być twoim mężem.

– Ty sukinsynu.
– Dobrze, wiem, że jestem sukinsynem, ale jesteśmy małżeństwem od dwudziestu jeden lat i nie chcę się z tobą rozstawać.
– Dlaczego? Pół roku temu ta decyzja nie nastęczała ci trudności.
Oboje wiedzieli dlaczego. Szok związany z Lionelem był zbyt wielki, aby nie odbił się na kondycji psychicznej Warda.
– Doskonale znasz przyczynę.
– To nie powód, żeby porzucać żonę.
– Tylko w ten sposób mogłem udowodnić moją męskość.
– To wybrałeś sobie beznadziejny sposób.
– Ty nigdy nie zrozumiesz, co ja wtedy przeżywałem.
– A teraz? Znowu zamierzasz się nad nim znęcać?
– Jestem wdzięczny, że odnalazł Anne – rzekł Ward wymijająco.
– Ale, oczywiście, nigdy mu nie przebacysz?
– Nie mogę mu przebaczyć.
– On jest twoim synem, Ward. Twoim i moim.
– Kobiety inaczej podchodzą do takich spraw.
– Być może, ale ja go kocham. On jest niezwykłym człowiekiem.
– Wiem – westchnął Ward. – Trudno mi powiedzieć, co teraz czuję, nie potrafię się w tym odnaleźć. Nie wiem, co o nim myśleć, a na dodatek jeszcze Anne...

Faye zmarszczyła czoło. Zastanawiała się, czy przestrzec Warda.

– Lionel myśli, że ona się narkotyzuje – powiedziała w końcu łagodnym głosem.

– Co bierze? – zapytał Ward załamany.

– Dokładnie nie wiadomo. Marihuana, LSD...

– Mogło być gorzej – odetchnął Ward.

– Jest gorzej – kontynuowała Faye. – Anne jest w ciąży.

Ward zamknął oczy i zacisnął pięści.

– Do jasnej cholery, co stało się z naszym życiem? Wystarczyło pół roku i nie ma do czego wracać.

Faye uśmiechnęła się blado. Ward miał rację, w ciągu sześciu miesięcy rodzina Thayerów praktycznie przestała istnieć. Trzeba było im teraz przede wszystkim siły, żeby mogli wyjść na prostą, tak jak kilkanaście lat temu.

Ward wziął Faye za rękę.

– Oboje przeszliśmy piekło.

Faye nie cofnęła dłoni. Potrzebowała Warda, potrzebowali siebie nawzajem. Najgorsze było dopiero przed nimi. Taksówka mknęła przez zatłoczone ulice miasta, a oni myśleli o swej małej córeczce.

Rozdział dwudziesty czwarty

Faye i Ward przybyli do hotelu San Marco tuż po piątej. Hotel mieścił się w niepozornym budynku, niedaleko Divisadero Street. Przez cztery miesiące jeden z pokoi był bazą wypadową Lionela i Johna. Faye obrzuciła budynek przelotnym spojrzeniem i popędziła na trzecie piętro, do Li.

Nie rozmawiała z recepcjonistą, nie chciała tracić ani sekundy, zapomniała nawet, że Ward był z nią. Zapukała cichutko do drzwi, za moment ukazał się w nich Lionel. Spoglądał na matkę, jakby wahając się, czy wpuścić ją do środka. Wolno uchylał drzwi, aż Faye dojrzała siedzącą tyłem do niej postać, ubraną w szlafrok Lionela, nieruchomą, z długimi włosami i bosymi stopami.

– Dzień dobry, kochanie – powiedziała Faye, siląc się na naturalny ton.

Podeszła do łóżka. Czy to ma być Anne? – pomyślała z niedowierzaniem, przyglądając się wydłużonej z wychudzenia twarzy, pokrytej plamami i zaczerwienionej od łez. Instynktownie postąpiła krok do tyłu, lecz nagle zdała sobie sprawę, że wymizerowana dziewczyna jest jej córką, tyle że zmienioną, wyniszczoną pięciomiesięczną tułaczką. Przyszło jej do głowy, że gdyby była na miejscu Johna, nie rozpoznałaby Anne. Na jej widok córka zwinęła się w kłębek, jęcząc cichutko. Miała nieprzytomny, nieobecny wzrok, typowy w przypadku nagłego odstawienia narkotyków. Lionel i John poili ją sokiem pomarańczowym i karmili batonami czekoladowymi, żeby nie traciła sił, zmusili ją do zjedzenia hamburgera, ale żołądek, odzwyczajony od normalnego jedzenia, nie przyjął go. Według Faye, Anne wyglądała makabrycznie, według Johna i Li, o wiele lepiej niż wówczas, gdy zabierali ją z Waller Street.

Lionel uważnie obserwował reakcję matki. Wiedział, że ostatkiem sił starała się opanować i nie dać ponieść emocjom. Jeżeli chodzi o Warda, to Li unikał jego wzroku. Nie śmiał mu spojrzeć w twarz, ale cieszył się obecnością ojca. Przynajmniej Anne coś dla niego znaczyła.

– Ona nie czuje się zbyt dobrze, mamó – wyjaśnił Lionel, wręczając siostrze następnego batona, którego wzięła drżącą ręką.

Było jej niedobrze i zimno, a przede wszystkim nie chciała być w tym miejscu, chciała wrócić do przyjaciół z Waller Street, do Księżycy, do rytuałów inicjacji. Należała do tamtego świata, była z nim zjednoczona... Położyła się na łóżku, połykając łyzy zmieszane z batonem. Przytknęła oczy.

– Czy ona jest chora?

Rozmawiali o Anne jak o nieobecnej.

– Nie, to zwykła reakcja organizmu po ustaniu działania narkotyków, za kilka dni powinna powrócić do normy – wyjaśnił Lionel, oburzony, że ignorowano siostrę.

– Możemy już dzisiaj zabrać ją do domu? – zapytała Faye.

Za wszelką cenę, jak najszybciej pragnęła wydostać córkę z San Francisco, zaprowadzić na badania do doktora Smitha. Przypuszczała, że aborcja nie wchodziła w grę, ale chciała zasięgnąć opinii specjalisty.

– Podróż byłaby chyba dla niej zbyt ciężkim przeżyciem. Daj jej dwa, trzy dni na przystosowanie, mamo.

– Przystosowanie? Do czego? – zdumiała się Faye. – Do nas?

– Czy była już badana? – zapytał Ward, unikając wzroku syna.

– Nie, ale myślę, że powinna – odrzekł Lionel.

Ward obszedł łóżko dookoła, przysiadł na jego brzegu.

Popatrzył na swe najmłodsze, tak strasznie wycieńczone dziecko. Przegarnął jej włosy z czoła, czując, jak do oczu napływają mu łzy. Dlaczego uciekła z domu? Co ją do tego popchnęło?

– Jak to dobrze, że znowu mogę cię zobaczyć – powiedział łagodnie.

Nie odsunęła się od niego, ale patrzyła wielkimi oczami przestraszonej sarenki. Powoli, sennie opadały jej powieki. Ward za nic nie chciał poddać się ogarniającej go panice. Odwrócił się do Faye, rzucił okiem na Lionela.

– Znasz w tym mieście jakiegoś lekarza?

– Nie, ale mam telefon lekarza policyjnego. Oni twierdzą, że trzeba Anne zbadać na miejscu, bez względu na to, czy później zrobicie to we własnym zakresie. Poza tym chcą porozmawiać z tobą i mamą.

Ward pokiwał głową, zdobył się na zadanie synowi pytania, ale nie był w stanie patrzeć na Johna. To ogromne podwójne łóżko, stojące pod ścianą, kłuło go w oczy jako oczywisty dowód bezceństw. Obrzydliwy widok. Teraz leżała w nim Anne, lecz wcześniej spało w nim dwóch facetów.

Ward nie chciał teraz o tym myśleć, jedno nieszczęście w zupełności mu wystarczało. Wydobył z kieszeni długopis i zanotował w kalendarzyku nazwiska policjantów, którzy udzielili Lionelowi wsparcia. Postawił znaczki przy dwóch, szczególnie oddanych sprawie. Lionel wspomniał jeszcze, że policja dysponuje drobiazgowymi informacjami na temat sekty, do której przystała Anne. Ward wzdrygnął się na myśl o rozmowie dotyczącej jego dziecka i potwornych eksperymentów, którym zapewne zostało poddane. No cóż, nie mógł się od niej wykręcić.

Faye zajęła miejsce Warda przy boku Anne. Czuła się jak w szpitalu podczas odwiedzin u ciężko chorego dziecka.

– Idź sobie, nie chcę tutaj być – mówiła Anne, rzucając się konwulsyjnie.

– Rozumiem cię, kochanie. Już niedługo pojedziemy do domu, do twojego własnego domu, do twojego łóżeczka.

– Ale ja chcę do Księżycy i do moich przyjaciół – łkała.

Miała czternaście lat, a mówiła jak pięciolatka. Faye nie dopytywała się, kim był Księżyc. Wywnioskowała, że to jego dziecko nosiła Anne pod sercem. Dopiero wtedy spojrzała na brzuch córki i... utraciła wszelkie złudzenia, z własnego doświadczenia wiedziała, że ciąża była zaawansowana, zdecydowała się zapytać prosto z mostu, nie zwracać uwagi na napomnienia Warda i Lionela, żeby nie denerwować małej.

– Który to miesiąc, Anne?

Starła się przemawiać łagodnie, ale jej próby spaliły na panewce. Pytanie zabrzmiało szorstko i nieprzyjemnie.

– Nie wiem – odpowiedziała lakonicznie Anne.

Zamknęła oczy. Nienawidziła ich wszystkich, zwłaszcza matki. To przez nią się tutaj znalazła. Gdyby nie ona, żyłaby nadal w komunie. Ona zawsze narzucała swoją wolę, dyktowała swoje warunki. Ale stop, tym razem jej się nie uda. Może ją sobie zabierać do Beverly Hills, a ona i tak ucieknie, teraz wiedziała, jakie to proste.

– Co to znaczy? Jeszcze nie byłeś u lekarza? – zapytała Faye zszokowana.

– Nie, opiekowali się mną przyjaciele – pokręciła głową Anne, wolno otwierając oczy.

– Kiedy ostatnio miałś okres?

Anne czuła się jak podczas przesłuchania na policji, z tą różnicą, że policjanci nie wypytywali jej o intymne szczegóły. Wiedziała, że nie musi odpowiadać matce, ale zawsze była jej posłuszna, bo nie potrafiła oprzeć się presji zależności rodzic–dziecko.

– W domu.

Pięć miesięcy temu, więc Anne zaszła w ciążę natychmiast po znalezieniu się w San Francisco!

– Czy wiesz, kto jest ojcem?

Lionel, słuchając rozmowy, nie mógł się nadziwić, jak matka mogła być tak natarczywa. Anne nie była gotowa na odpieranie napastliwości. Jeśli matka nie przestanie, to Anne ucieknie znowu i kto wie, czy uda im się odnaleźć ją po raz drugi.

– Tak – odpowiedziała dziewczynka, uśmiechając się do wspomnień.

– Czy to Księżyc?

Anne wzruszyła ramionami, nie zdając sobie sprawy, że matka nie spodziewała się tego, co miała za chwilę usłyszeć.

– Tak, i oni wszyscy.

Faye wstrzymała oddech. Chyba się przesłyszała, to musiała być jakaś fatalna pomyłka.

– Wszyscy? – powtórzyła za córką. Nic z tego nie rozumiała. Kim była osoba, z którą rozmawiała? Dziewczynką czy kobietą o wyjątkowo poplątanym życiorysie, oczekującą dziecka niezidentyfikowanego ojca? – Chcesz mi dać do zrozumienia, że zrobiłaś to ze wszystkimi mężczyznami z tej komuny? – zapytała, nie dowierzając własnym słowom.

– Tak.

Anne popatrzyła słodko na matkę. Usiadła na łóżku, poprosiła o podanie jej szklanki soku pomarańczowego.

Faye i Ward słyszeli co nieco o podobnych sektach, ale nawet w najkoszmarniejszych snach nie przyszło im śnić, że ich dziecko dotkną takie praktyki. Gdy Anne siedziała, jej brzuch wydawał się wręcz ogromny.

Ward przechadzał się nerwowo po pokoju, myśląc, co przytrafiło się jego niewinnemu dziecku.

– Zaraz zadzwonię do tych policjantów – powiedział do Lionela, nie zwracając uwagi na obecność Anne.

W tej chwili pragnął jedynie ujrzeć tych wszystkich sekciarzy za kratkami, tych pieprzonych sukinsynów...

Gdy wyszli z pokoju, Faye rozpląkała się na ramieniu Warda. Nie zwracała uwagi na to, że jej zachowanie wzbudza sensację.

– Mój Boże, co się z nią stało? Ona już nigdy nie będzie taka jak przedtem.

Ward miał dokładnie takie same obawy, ale postanowił się nie zdradzać. Pragnął być silny, pomóc żonie tak, jak ona pomogła jemu. To dzięki niej zrobił karierę, jakiej nigdy nie zrobiłby o własnych siłach. To ona pomogła mu stanąć na nogach, wyciągnęła przyjacielską dłoń, kiedy już sięgał dna. Teraz on pomoże jej, a jeżeli później nadal będzie chciała rozwodu, to cóż, zgodzi się, zasłużył na karę, zachował się jak łajdak i nie mógł po czymś takim oczekiwać pochwał. On i Faye musieli zrewidować swój stosunek do dzieci. Powinien przestać obwiniać siebie za homoseksualizm Lionela, a Faye przestać zadrećcać się poczuciem winy z powodu ucieczki Anne. Przecież mieli jeszcze troje dzieci i o nie także powinni się troszczyć.

– Nie martw się, kochanie. Ona w końcu dojdzie do siebie.

Przed wszystkim sam chciał w to uwierzyć.

– Anne musi pozbyć się tego dziecka. Kto wie, czym się faszerowała i jak to wpłynęło na ciążę – lamentowała Faye.

– Jasne, myślisz, że jest za późno na zabieg? – zapytał Ward naiwnie.

– Przecież ją widziałeś, to jest co najmniej pięćmiesięczna ciąża – zaśmiała się gorzko Faye.

A może była brzemienna, kiedy uciekała z domu? Jak do tej pory Faye nie brała tego pod uwagę, ale nie można było wykluczyć i takiej możliwości.

Na posterunku przy Bryant Street od razu spotkali się ze specjalistami do spraw przestępczości nieletnich. Od nich usłyszeli, że przypadek Anne był jednym z tysiąca podobnych. Dzieci i młodzież zjeżdżały się do San Francisco z całych Stanów, zatrzymywały się w domach jak ten na Waller Street. Niektórzy z nich mieli za sobą przeżycia o wiele gorsze niż Anne, wielu straciło życie, a nie tylko cnotę czy zdrowy rozsądek. Jedenastolatki umierały z przedawkowania heroiny, wyskakiwały przez okna po zażyciu LSD. Nieślubne dzieci rodziły się wprost na podłogach, a ich matkami były dwunasto- i szesnastoletnie dziewczynki, zdarzało się, że nieletnie matki wykrwawiły się na śmierć, bo nikt nie wpadł na pomysł, żeby wezwać karetkę.

Słuchając prawników, Faye dochodziła do przekonania, że oboje z Wardem powinni dziękować Bogu. Anne żyła, i to było najważniejsze. Chciała dowiedzieć się, jakie oskarżenie mogliby wnieść przeciwko członkom sekty. Ward zaznaczył, że najchętniej pozabijałby ich wszystkich własnymi rękami, a co najmniej zasądził dożywocie. Niestety, prawnicy musieli rozczarować Thayerów, zaskarżenie całej kolumny o zbiorowy gwałt wydawało się niemożliwe, rozpatrywanie indywidualnych pozwów ciągnęłoby się latami i, prawdopodobnie, zakończyło porażką. A poza tym, czy uzyskanie wyroków skazujących było jedynym zadośćuczynieniem, którego mogliby pragnąć rodzice? Czy właśnie to było teraz najważniejsze? Czy nie lepiej jak najszybciej oddać dziecko pod opiekę doświadczonego psychiatry, który pomógłby Anne zaakceptować powrót do normalnego życia?

Proces sądowy trwałby bardzo długo, nie przynosząc żadnej satysfakcji, a w rezultacie wyrządzając więcej zła, bo Anne musiałaby uczestniczyć w koszmarze kolejnych rozpraw. Czas będzie pracował na jej korzyść, zapomni. Poza tym wielu rodziców dzieci z Waller na pewno wyrzekłoby się ich, dowiedziawszy się, w co były zamieszane. Taka postawa rodziców nie była rzadkością, niestety. W ten sposób straciłyby jedyną szansę na rozpoczęcie, kiedyś w przyszłości, normalnego życia.

– A co z jej ciężą, co z tym Księżycem? – dopytywała się Faye.

W świetle prawa niewiele można mu było zarzucić, żaden z członków sekty nie był więziony czy przetrzymywany. Wszyscy przystąpili do niej z własnej woli. Księżyc nie używał przemocy i raczej należało wątpić, by ktokolwiek zeznawał przeciwko niemu. Anne także nie powiedziała o nim złego słowa. Była w nim ślepo zakochana, z nikim na jego temat nie rozmawiała, nawet z Lionelem. Faye i Ward zrezygnowali z pozwania go do sądu. Policjanci mieli rację. Nie pozostawało nic innego, jak wracać do domu i zrobić wszystko, żeby Anne pozbyła się wspomnień i małego potworka rozwijającego się w jej wnętrzu. Lionel zgadzał się, że to jedyne sensowne rozwiązanie, natomiast John milczał ze względu na Warda Thayera. Bardzo pilnował się, żeby panować nad emocjami i nie wdać się z nim w bójkę. Li zapewniał go, że ojciec teraz już by się tak nie zachował, ale John ciągle miał przed oczami tamten grudniowy dzień i pięść Thayera spadającą na jego policzek. Ward zachowywał się spokojnie, ponosiło go jedynie, gdy mówił o Księżycu lub Waller Street.

W nocy na zmianę dyżurowali przy łóżku Anne. Rano John zajął się nią, a Thayerowie dyskutowali o podróży powrotnej. Faye chciała wracać natychmiast. Lionel odradzał jej pośpiech. Anne była w odrobinę lepszej formie, ale miewała wcale nierzadkie chwile, kiedy zachowywała się jak niepoczytalna. Ward przychylił się do koncepcji Faye i w końcu osiągnięto kompromis. Ward wyczarterował firmowy samolot MGM.

Dla upewnienia się, że nic nie zostało przeoczone, zatelefonował do swojego adwokata, pokrótce przedstawił mu wypadki i uzyskał odpowiedź, że wymiar sprawiedliwości nie ma zbyt wiele do powiedzenia na temat wydarzeń w San Francisco. O czwartej trzydzieści po południu taksówka zawiozła całą piątkę na lotnisko. Anne ubrana była w szlafrok kupiony przez Faye na Union Street. Czuli się jak porywacze wprowadzający odurzonego dzieciaka. W taksówce panowała napięta atmosfera, kierowca nerwowo raz po raz zerkał we wsteczne lustro, zastanawiając się, czy aby wszystko jest w porządku. Po wejściu na pokład samolotu Ward otarł pot z czoła. Anne nie miała siły chodzić, więc musiał ją przenieść i po raz pierwszy od dwóch dni wypił coś mocniejszego. John i Lionel unikali rozmów z Wardem, w jego towarzystwie czuli się bardzo niezręcznie. On także nie starał się nawiązać kontaktu. Kiedy tylko mógł, zwracał się do nich za pośrednictwem Faye. Na lotnisku czekała limuzyna MGM. Najpierw podrzucili na miejsce chłopaków, a potem pojechali do domu.

– Po prostu nie wiem, jak mam z nim rozmawiać – westchnął ciężko John na wspomnienie kłopotliwych sytuacji z Wardem.

– Nie łam się, ja też nie wiem. Myślę, że on czuje się z nami skrępowany – pocieszył go Li, w głębi duszy przekonany, że ojciec ani na jotę nie zmienił o nim zdania i nie miał zamiaru znieść nałożonych na niego restrykcji. Przyszłość miała pokazać, że się nie mylił.

– On się zachowuje, jakby homoseksualizm był dżumą. Rozumiesz, najmniejsze dotknięcie może być śmiertelne.

Lionel uśmiechnął się do przyjaciela.

Po pięciu miesiącach dobrowolnej banicji powrócili na stare śmieci, do wynajmowanego mieszkania i kumpli. Postanowili jeszcze przez jakiś czas nie widywać się z Wellsami. Nie chcieli epatować ich opowieściami o Anne. Poza tym byli spragnieni normalnego życia. Ich pokoje czekały tak, jak je zostawili w styczniu. Faye płaciła za nich czynsz. Rozpakowali plecaki, ogarnęli się troszeczkę i poszli do pokoju gościnnego. Dziwne, tęsknili za normalnym życiem, tylko zapomnieli, że towarzyszyły mu udawanie i konspiracja. Widok kilku facetów siedzących z piwem przed telewizorem szybko ściągnął ich na ziemię. Jedynym plusem pobytu w San Francisco była prywatność pokoju hotelowego. Nikt nie wsadzał nosa w ich sprawy. Nie interesował się, czy spali razem, czy osobno. Teraz znowu musieli zacząć się ukrywać. Obaj zastanawiali się, czy współmieszkańcy wiedzieli o ich miłości. Przepuszczali, że tak, aczkolwiek Lionel kompletnie się tym nie przejmował. Owszem, był homoseksualistą, kochał Johna i co z tego? Poza tym nie różnił się od innych facetów. Weźmy, na przykład, chłopaków z mieszkania. Jeden z nich także miał siostrę, która nawiała do San Francisco. Jego rodzice byli przekonani, że już nie żyła. Miała zaledwie dwanaście lat, przed kilkoma miesiącami przepadła bez śladu. Lionel rozmawiał z nim przez chwilę, cały czas mając wrażenie, że kolega chce go o coś zapytać, ale nie zdobył się na odwagę.

Widok Anne wywołał u Vanessy i Valerie przerażenie. Nie przypuszczały, że siostra będzie tak osłabiona, by ojciec musiał nieść ją z samochodu. Kiedy stanęła przed nimi na drżących nogach, zobaczyły wystający brzuch. Van jęknęła, Val zaś tylko nerwowo przełknęła ślinę.

– Co ona zamierza teraz zrobić? – pytały Faye tego samego dnia wieczorem.

Niestety, matka nie potrafiła im odpowiedzieć. Przez głowę przelatywały jej tysiące koncepcji, ale przede wszystkim pragnęła położyć się do łóżka i odpocząć. Na nic nie miała sił.

Następnego dnia Anne została poddana badaniom lekarskim. Na szczęście nic nie wskazywało, że padła ofiarą przemocy. Nie miała na ciele śladów walki, ran, otarć. Sypiała z mężczyznami z własnej, nie-przymuszonej woli. Doktor wyliczył, że dziecko powinno przyjść na świat około dwunastego października. Rekonwalescencja potrwa około sześciu tygodni i zaraz potem Anne będzie mogła powrócić do szkoły. Rozpocznie naukę od zimowego semestru, czyli straci dokładnie jeden rok, ale to przecież nie tragedia, za dwa lata skończy podstawówkę i rozpocznie naukę w szkole średniej. Aborcja, oczywiście, w ogóle nie wchodziła w grę, ciąża była zbyt zaawansowana. Jedynym rozwiązaniem zdawało się nakłonienie Anne do wyrażenia zgody na oddanie dziecka do adopcji. Faye zeszywniała na myśl, jaki wpływ na płód mogły wyrzucić narkotyki. Lekarz pocieszył ją, że istniały tysiące bezdziejnych małżeństw, dla których możliwość przysposobienia dziecka, chociażby z kalectwem, była prawdziwym uśmiechem losu. Dla nich więc niechciane dzieci były, o ironio, prawdziwym szczęściem. Do ich domów trafiały dzieci poczęte podczas inicjacji, w narkotycznych transach, rodzone przez młode buntowniczkę z tak zwanych dobrych domów, sypiające z przypadkowymi mężczyznami. Dla większości tego typu matek były utrapieniem, niepotrzebną komplikacją, z chęcią więc pozbywały się noworodków, bez mrugnięcia okiem podpisując papiery adopcyjne. Lekarz wspomniał, że osobiście zna w Los Angeles kilka par oczekujących na dziecko. Jeżeli tylko Anne zgodziłaby się oddać swojego malucha, to łatwo znajdzie przyzwoitych rodziców i kochający, ciepły dom. Dziewczyna zaś powróciłaby do życia, jakie zazwyczaj prowadziły nastolatki, do szkoły i przyjaciół.

– Chcesz mi zabrać dziecko? – rozpląkała się Anne.

Faye próbowała ją otoczyć ramieniem, ale córka odsunęła się od niej z niechęcią.

– Nigdy go nie oddam, nigdy, pamiętaj! Słyszysz?! – krzyczała.

Faye nie zwracała uwagi na jej protesty. Postanowiła ją przekonać, używając wszelkich możliwych argumentów. Dostyc się już nacierpiała i nie było żadnego powodu, dla którego do końca życia miałby się przy niej kręcić jakiś niedorozwinięty bachor. Nie, tylko nie to! Wymieniła z doktorem porozumiewawcze spojrzenie. Na przekonanie Anne mieli cztery i pół miesiąca.

– Później spojrzysz na to inaczej, kochanie. Będiesz szczęśliwa, że zgodziłaś się na adopcję, zwłaszcza że dziecko może być upośledzone. – Faye starała się mówić rzeczowo, nie ulegać narastającym obawom. A jeżeli Anne ucieknie znowu? Albo uprze się, żeby zatrzymać dziecko?

Koszmar zdawał się nie mieć końca. Przez całą drogę do domu córka nawet nie spojrzała na matkę. Odwróciła się do okna i pochlipywała. Po przyjeździe Faye próbowała wziąć ją za rękę, ale Anne się odsunęła.

– Maleństwo, zrozum, to dziecko zrujnuje ci życie, nie możesz go zatrzymać – perswadowała matka, pewna poparcia ze strony ojca.

– Moje życie? A może twoje i taty? Wstydzisz się, to wszystko. Myślisz, że jeżeli pozbędziesz się dziecka, to wszystko będzie jak przedtem. Ciekawe, co masz zamiar ze mną zrobić przez następne cztery miesiące? Może schować mnie w garażu? Rób, co zechcesz, ale nie zabierzesz mi mojego dziecka! – krzyknęła Anne, odchodząc w stronę domu.

Tego było za wiele, Faye straciła kontrolę nad sobą.

– I zrobię. Pamiętaj, nie masz jeszcze nawet piętnastu lat!

Natychmiast pożałowała gwałtownego wybuchu, ale trudno, nie była w stanie się opanować. Tego samego dnia Anne znowu zniknęła. Pojechała do Lionela.

– Nie pozwolę im zabrać dziecka, nie pozwolę – płakała Johnowi w rękaw.

Lionel zdawał sobie sprawę, że Anne przysłała do niego po akceptację i wsparcie, nie zamierzał jednak ukrywać, że w kwestii dziecka solidaryzował się z rodzicami. Czternastoletnia matka to kompletny absurd! John w pełni się z nim zgadzał. Ubiegłej nocy dyskutowali o tym do późna, szepcząc, aby nie usłyszeli ich koledzy.

– Kochanie – Lionel wziął Anne za rękę. Jego twarz, ruchy, gesty, sposób mówienia bardzo przypominały Faye, ale Anne nigdy tego nie dostrzegała. Być może, rzeczywiście nie zauważała podobieństw, a może nie chciała widzieć, bo wtedy poczułaby do brata nienawiść. – Oni chyba mają rację. Pomyśl tylko, jak wielką odpowiedzialnością jest wychowywanie dziecka. Czy byłoby fair obarczać nią mamę i tatę?

Argument był celny.

– Nie zastanawiałam się nad tym, ale dałabym sobie radę. Poszłabym do pracy i zaczęła zarabiać – nie ustępowała Anne.

– A kto zajmowałby się dzieckiem, kiedy ty byłabyś w pracy? Kochanie, jesteś naprawdę za młoda.

– Mówisz jak oni – rozpląkała się Anne. Straciła ostatnią nadzieję, nawet Li stanął po ich stronie. – To moje dziecko, nie mogę go porzucić.

– Kiedyś będziesz miała inne dzieci.

– Co z tego? A gdyby ktoś oddał ciebie, bo pewnego dnia ja miałabym się urodzić?

Lionel z trudem powstrzymał się od śmiechu.

– Sądzę, że powinnaś sobie to jeszcze raz przemyśleć. Nie musisz już teraz podejmować decyzji.

Anne zgodziła się z sugestią Lionela. Pożegnała się i poszła do domu. Wchodząc po schodach, napotkała Val, która nakazała jej pozostawać w pokoju zawsze wtedy, gdy mieli do niej przyjść znajomi.

– Staniesz się pośmiewiskiem szkoły, jeżeli wyjdzie na jaw, że wpadłaś. Potrzebne ci to? Przecież za dwa lata będziesz w tej samej szkole – perorowała Valerie.

Faye skarciła ją za okrucieństwo, ale już niczego to nie zmieniło. Anne zapakowała torbę i o dziesiątej wieczorem znowu stanęła w drzwiach domu Lionela.

– Nie mogę z nimi mieszkać – oświadczyła krótko.

Li wysłuchał cierpliwie opowieści o kłótni z Val i westchnął ciężko. Nie mógł zaoferować siostrze zbyt wiele. Zatelefonował do Faye, powiedział, że Anne jest u niego. Poinformował kolegów, że siostra będzie spała w jego łóżku, a on na podłodze, ale oczywiście spał z Johnem.

Następnego dnia wszyscy troje poszli na spacer i wtedy Anne zadała bratu całą serię kłopotliwych pytań.

– Czy ty i John naprawdę śpicie razem każdej nocy?

Lionel chciał się wykręcić od odpowiedzi, lecz potem postanowił być szczery.

– Tak.

– Jak mąż z żoną?

Lionel kątem oka dostrzegł rumieniec na twarzy Johna.

– Podobnie.

– To dziwne – wyrwało się Anne nieopatrznie.

– Być może, ale tak to już jest między nami – roześmiał się Li.

– Nie rozumiem, dlaczego niektórym ludziom, na przykład tacie, tak bardzo się to nie podoba. Jeśli się kogoś kocha, to nie ma znaczenia czy to kobieta, czy mężczyzna.

Ciekawa refleksja. Lionel zastanawiał się, skąd jej to przyszło do głowy. Przypomniał sobie relację policjantów. Anne miała pewnie jakieś doświadczenia homoseksualne. Nie wypytywał jej, z góry zakładając, że niewiele z nich pamiętała. Na pewno chodziło o seks grupowy uprawiany po potężnej dawce LSD. On i John kochali się z miłości, a nie z potrzeby doznawania nowych, coraz niezwykleszych wrażeń.

– Nie każdy ma do tego negatywne nastawienie. Niektórzy ludzie najzwyczajniej się boją – rzekł Li poważnie.

– Dlaczego?

- Bo to odbiega od normy.
- Tak samo jak spodziewanie się dziecka w wieku czternastu lat?
- No cóż...

Anne poruszyła delikatną strunę. Wczorajszej nocy Li i John długo rozmawiali o jej sytuacji. W końcu Lionel wymyślił kompromisowe wyjście z rodzinnego impasu, zaraz po powrocie ze spaceru zatelefonował do domu. Odebrał Ward, który słysząc głos syna, natychmiast zawołał Faye. Na powrót zaczęły obowiązywać stare reguły. Lionel nie istniał. Po krótkiej rozmowie Faye odwróciła się do Warda i zreferowała mu pomysł Li na rozwiązanie problemu Anne odmawiającej mieszkania z rodzicami.

– Lionel pyta, czy wyrazimy zgodę, aby razem z Johnem wynajęli mieszkanie niedaleko UCLA. Anne zamieszkałaby z nimi aż do porodu. Potem wróciłaby do domu, a oni znaleźliby kogoś, kto zająłby pokój po niej.

– Co o tym myślisz? – zapytała, patrząc na męża.

Mimo wszystko to miło, że znowu był w domu, nawet tylko na jedną czy dwie noce. To także miało swoje znaczenie, jego obecność dodawała jej siły.

– Wyobrażasz sobie, na jakie Anne byłaby narażona widoki, mieszkając z nimi? – Ward zmarszczył czoło, powoli mieszał kawę.

Faye zrobiło się niedobrze.

– Wyobrażasz sobie, co ona sama robiła w tej odrażającej komunie? – odparła. – Nie oszukujmy się...

– Dobrze, dobrze, nie wchodźmy w szczegóły.

Nie chciał spojrzeć prawdzie w oczy, tak naprawdę uświadomić sobie, czego doświadczyła jego mała córeczka. Pomysł zamieszkania u boku Johna i Lionela postrzegał jako narażenie jej na deprawację lub co najmniej na kolejną dawkę zbytecznych stresów. Anne jednak była nieugięta, nie zamierzała wracać do rodziców. Thayerowie zostali sami. Bliźniaczki prowadziły ożywione życie towarzyskie, w domu właściwie tylko nocowały.

– Daj mi czas na zastanowienie – powiedział Ward, spoglądając na Faye.

Po namyśle wyraził zgodę. Faye natychmiast zawiadomiła Lionela i Johna. Chłopcy byli uradowani, za jednym zamachem uratowali Anne oraz wyzwolili się z niewygodnego układu mieszkaniowego, który od powrotu z San Francisco wyraźnie ich kępował. Cierpieli z powodu braku prywatności i konieczności udawania. W wieku dwudziestu lat obaj dojrzeli do decyzji ujawnienia się.

Faye pomogła im znaleźć małe, ale przytulne mieszkanie w Westwood, zaferowała sfinansowanie remontu, lecz John ubiegł ją, w ciągu kilku dni wyczarował zupełnie nowe wnętrza. W tym celu kupił kilka metrów szarej flaneli i różowego jedwabiu, udekorował nimi ściany, wytapicerował dwa tapczany kupione za piętnaście dolarów, przyniósł wyrzucone przez sąsiadów obrazy, zaopiekował się umierającymi kwiatami. W rezultacie mieszkanie zmieniło się w apartament urządzony przez profesjonalnego dekoratora wnętrz. Faye wychwalała Johna pod niebiosa, a pani Wells kupiła chłopakom w prezencie piękne lustro do powieszenia nad kominkiem. Przy okazji wyraziła swoje głębokie współczucie dla Anne, w głębi duszy dziękując Bogu, że podobny los nie spotkał którejś z jej córek.

Po przeprowadzce Anne spontanicznie wcieliła się w rolę pani domu. Codziennie sprzątała, przygotowywała obiady. Pewnego dnia, gdy John uczył ją przyrządzania pieczonej kaczki, przyznała, że żyje jej się lepiej niż w komunie. Lionel przygotowywał się do egzaminu z wiedzy o filmie, John zaś nieoczekiwanie podjął decyzję o porzuceniu nauki. Poznał znanego dekoratora wnętrz z Beverly Hills i postanowił pracować dla niego. Facet okazał się homoseksualistą, robił Johnowi awanse, co utrudniało ich współpracę. Napięta sytuacja trwała dwa miesiące, aż w końcu, a było to w ostatnim tygodniu sierpnia, chłopak opowiedział szefowi o Lionelu i związku z nim. W odpowiedzi mężczyzna zaśmiał się szyderczo, nazwał ich dzieciakami, lecz nie wymówił Johnowi pracy.

Faye często zaglądała do nowego mieszkania. Na osobności rozmawiała z Lionelem na temat Warda, swojej zgody na jego powrót i prób wzajemnego odnalezienia się. Interesowało ją nastawienie Anne do adopcji. Do produ pozostały już tylko dwa miesiące. Na dworze panowały straszliwe upały, w mieszkaniu nie było klimatyzacji, więc John kupił wachlarze. Teraz gdy pracował, nalegał, by płacić połowę czynszu. Chciał odciążyć w ten sposób Lionela. Faye była wzruszona jego dobrym sercem.

– Jesteś szczęśliwy, Li, prawda? – spytała pewnego razu, patrząc czule na syna.

Bardzo wiele dla niej znaczył, zależało jej na jego szczęściu. Lubiała też Johna, a od momentu kiedy obaj troskliwie zajęli się Anne, stał się jej szczególnie bliski.

– Tak, mam, jestem szczęśliwy – odrzekł Li.

Wyrósł na cudownego, ciepłego człowieka, nawet jeśli nie był taki, jakim oboje pragnęli go widzieć. Chyba nadeszła pora, aby przestać zadawać

sobie zbędne pytania o przyczyny, odpowiedzialność, winę... Ona była gotowa, ale Ward nadal czuł urazę, nie potrafił zaakceptować Li. Mimo to miała nadzieję, musiała ją mieć. Kiedyś Ward zrozumie.

– Cieszę się. Powiedz mi co z Anne, zdecydowała się już na oddanie dziecka?

Doktor wynalazł małżeństwo, które było zdecydowane zaadoptować malucha. Kobieta miała trzydzieści sześć lat, mężczyzna czterdzieści dwa, oboje byli bezpłodni. Instytucje, do których zwracali się z prośbą o pomoc w adopcji dziecka, orzekły, że są za starzy. Lekarze nie dawali im żadnych szans na posiadanie własnego potomstwa, zaadoptowanie dziecka Anne spełniłoby ich najgorętsze pragnienia. Nie wahali się nawet wówczas, gdy lekarz wysunął przypuszczenie, że dziecko może mieć jakieś drobne ułomności. We wrześniu Faye poprosiła Anne, żeby chociaż spotkała się i porozmawiała z tymi ludźmi. Tak też się stało. Kobieta i mężczyzna prawie błagali Anne o podpisanie papierów adopcyjnych. Obiecali jej, że będzie mogła odwiedzać dziecko. Lekarz i prawnik przysłuchujący się rozmowie skrytykowali ten pomysł, jako że zdarzały się już wypadki uprowadzania dzieci przez naturalnych rodziców, więc lepiej nie robić obietnic, które mogą później przysporzyć kłopotów. Kobieta, brunetka o pięknych brązowych oczach, prawniczka z wykształcenia, przyznała im rację. Mężczyzna, z zawodu okulista, był przypadkowo bardzo podobny do Anne. Dziecko mogłoby więc uchodzić za ich własne. Oczywiście pod warunkiem, że urodzi się podobne do Anne, a nie do reszty komuny, skonstatowała z gorzką ironią Faye.

– Dlaczego oni nie mogą mieć dzieci? – dociekała Anne, gdy wracały do domu.

– Nie pytałam o przyczynę – odpowiedziała Faye, modląc się, żeby córka zaakceptowała propozycję. Wydawało się, że nikt lepszy nie mógłby się pojawić. Oboje sprawiali wrażenie miłych i wrażliwych ludzi.

Dni mijały, a Anne nie podejmowała żadnej konkretnej decyzji. Jej brzuch osiągnął monstrialne rozmiary, jak gdyby oczekiwała bliźniąt. Czowała się coraz gorzej, trapiły ją rozliczne dolegliwości. Lionel podejrzewał, że bardzo się bała i wcale się temu nie dziwił. Miał nadzieję, że Anne nie będzie sama, kiedy rozpocznie się poród. Na wszelki wypadek, gdyby jednak tak się stało, powiedział jej, co ma wówczas robić. Przy okazji wybił jej z głowy szalony pomysł porodu naturalnego w domu, tak jak to się odbywało w komunie. Faye przykazała obu chłopakom, żeby natychmiast ją zawiadomili, gdy tylko Anne znajdzie się w szpitalu. Lionel obiecał, lecz Anne błagała, aby tego nie robił.

– Ona mi ukradnie dziecko, Li – powiedziała, patrząc na brata swymi ogromnymi, smutnymi niebieskimi oczami.

– Nie martw się, mama nie zrobi czegoś takiego. Po prostu chce być z tobą. Nikt nie zamierza ukraść ci dziecka, ty sama podejmiesz decyzję – uspokoił ją Lionel.

Nieustannie przekonywał Anne, że nie powinna decydować się na macierzyństwo, kiedy sama jest jeszcze dzieckiem. Tłumaczył jej, że to ogromna odpowiedzialność, obowiązki, o których nie miała najmniejszego pojęcia. Noc, gdy rozpoczął się poród, ostatecznie rozwiła jego wątpliwości. Anne z pewnością nie była w stanie sprostać macierzyństwu. W domu panowała normalna o tej porze cisza, kiedy z pokoju Anne dały się słyszeć histeryczne krzyki. Niezbity dowód, że zaczął się poród. John i Li wyskoczyli z łóżka, pobiegli do Anne, lecz drzwi jej pokoju były zamknięte na klucz. Nie reagowała na prośby otwarcia drzwi. W końcu, podczas gdy Li rozmawiał z Anne, John wyszedł na dach, przez okno wśliznął się do pokoju i otworzył drzwi Lionelowi. Anne leżała na łóżku, wijąc się z bólu, podłoga była mokra od wód płodowych.

– Li, tak się boję – powiedziała, przytulając się do brata.

Przyciągała go do siebie wraz z każdym nawrotem skurczów. Nikt jej nie uprzedził, że będzie tak bardzo cierpiała. Po drodze do szpitala, w taksówce, zaciskała pięści i krzyczała. Kiedy przybyli na miejsce, za nic na świecie nie chciała rozstać się z Lionelem. Uwiesiła mu się na szyi, błagając, aby jej nie opuszczał. Dopiero lekarz, który spokojnie, acz kategorycznie nakazał jej spokój, przywołał ją do porządku i wtedy bez dalszych protestów dała się odwieźć do sali porodowej.

– Nie mógłby pan dać jej środka uśmierzającego ból? – zapytał Li doktora.

– Niestety, obawiam się, że nie. Proszę się nie martwić, pana siostra jest młoda, szybko zapomni. Środki przeciwbólowe opóźniają poród – lekarz uśmiechnął się współczująco. – Dziewczyny w jej wieku nie są przygotowane do rodzenia ani psychicznie, ani fizycznie. Proszę mi wierzyć, zrobimy wszystko, żeby nie cierpiała zbyt długo – zapewnił doktor. Lionel patrzył na niego z powątpiewaniem. Ciągłe słyszał krzyk Anne, dochodzący z głębi budynku. – Czy zawiadomił pan matkę?

Lionel pokręcił przecząco głową. Spojrzał na zegarek, dochodziła jedenaasta, o tej porze rodzice zwykle już spali, ale dzisiaj działo się coś szczególnego. Podeszedł do automatu telefonicznego, drżącą ręką podniósł słuchawkę.

– Halo – odezwał się Ward.

– Jesteśmy z Anne w szpitalu – powiedział Li.

– Zaraz tam będziemy – odrzekł ojciec, łamiąc narzuconą przez siebie zmwę milczenia.

Dziesięć minut później Thayerowie przekroczyli bramę Centrum Medycznego UCLA. Doktor uczynił wyjątek i pozwolił Faye zostać z córką. Anne leżała na łóżku z szeroko rozwartymi nogami, wyła z bólu, błagała o środki znieczulające, przytulała się do ręki matki, próbowała usiąść i uciec. Faye nigdy w życiu nie czuła się równie bezradna, nigdy nie widziała czegoś równie wstrząsającego. W niczym nie mogła pomóc, jedynie być przy niej. Wyszła tylko raz, poprosić Warda, aby skontaktował się z adwokatem w sprawie dokumentów adopcyjnych na wypadek, gdyby Anne zgodziła się na zrzeczenie praw rodzicielskich. Po podjęciu decyzji musiała je niezwłocznie podpisać. Według prawa, po pół roku zrzeczenie praw rodzicielskich uprawomocniało się, tym samym czyniąc adopcję nieodwracalną. Miała nadzieję, że w ciągu sześciu miesięcy Anne zapomni o dziecku, zacznie prowadzić normalne życie i bez wahania dopełni ostatecznych formalności.

Faye wydawało się, że poród przeciąga się w nieskończoność. Anne błagała lekarza, żeby ją zabił, żeby wreszcie ustał ból. Koszmar zdawał się nie mieć końca, aż wreszcie ukazała się maleńka postać, która zadała matce tyle cierpienia. Wtedy stało się oczywiste, dlaczego poród był tak ciężki. Noworodek ważył około pięciu kilogramów. Na jego widok Faye pomyślała, że chyba każdy mężczyzna z komuny musiał mieć swój udział w tym chłopczyku, czy inaczej byłby tak duży?

Kilka godzin wcześniej Anne zgodziła się oddać dziecko. Wtedy, wstrząsana bólem, zgodziłaby się na wszystko.

Lekarz zabrał noworodka, na twarz matki założył maskę tlenową. Anne nigdy nie zobaczyła chłopca, nigdy nie dowiedziała się, jaki był duży. Faye po cichu wyszła z sali porodowej. Przed oczami ciągle miała twarz Anne wykrzywioną bólem, zastanawiała się, jaki ślad w jej psychice zostawi ten rok dramatycznych przeżyć!

Pół godziny potem Thayerowie opuścili szpital. Faye wzięła Warda za rękę, zaczerpnęła zimnego, nocnego powietrza. Według słów doktora, Anne powinna przespać wiele, wiele nadchodzących godzin. Nareszcie koszmar się skończył, wszystko minęło.

Rozdział dwudziesty piąty

Anne pozostała na oddziale jeszcze tydzień po porodzie. Nadal była bardzo obolała, ale z czasem wszelkie dolegliwości ustąpiły bez śladu. Niepokojąca była diagnoza psychiatry, który orzekł, że jeszcze długo będzie rozpamiętywała szok. Codziennie odwiedzał młodocianą położnicę, zadawał jej pytania, ale nie uzyskiwał odpowiedzi. Anne nie odzywała się do nikogo: ani do Warda, ani do Faye, ani do bliźniaczek, zignorowała nawet wizytę Johna i Lionela, którzy przynieśli jej ogromnego pluszowego misia, zbyt późno uświadamiając sobie, że maskotka może wywołać skojarzenia z utraconym dzieckiem. Maleństwo Anne zostało zabrane ze szpitala po trzech dniach. Nowi rodzice zgłosili się po nie zaopatrzeni w ubranka od Diora i dwa ręcznie robione koce. Posłali Anne wielki bukiet kwiatów, lecz ona nawet nie chciała na nie spojrzeć, kazała zabrać je z pokoju. Nienawidziła się za podpisanie dokumentów adopcyjnych, nie chciała, aby cokolwiek przypominało jej o dziecku. Minuty tuż po obudzeniu były jedynymi chwilami, kiedy było jej całkiem obojętne. Wtedy czuła się tak okropnie źle, że nawet nie chciało jej się myśleć o małym człowieczku, który, wydostając się na świat, zadał jej tyle bólu. Teraz pragnęła go zobaczyć, chciała chociaż wiedzieć, jak wyglądał, chciała zachować w sercu jego obraz. Wszyscy dookoła powtarzali, że dobrze zrobiła, oddając dziecko, a Anne nienawidziła ich pochwał. Przede wszystkim jednak miała ogromny żal do siebie, zwierzyła się w końcu Lionelowi. Słyszając to, John poczuł łyżę w oczach. Kochał ją jak własną siostrę, umarłby dla niej. Starał się ją pocieszyć, jak umiał najlepiej. Usiłował nawet żartować. Nie był to humor najwyższego lotu, ale Anne, rozumiejąc jego intencje, uśmiechnęła się lekko po raz pierwszy od tygodnia.

Tego samego dnia Thayerowie zabierali córkę do domu. Faye powiedziała więc Lionelowi, że mogą kogoś poszukać na miejsce Anne lub po prostu mieszkać tylko we dwóch.

Anne nie spodziewała się takiego obrotu sprawy. Na wieść, że dalej będzie mieszkać z rodzicami, popadła w głębokie przygnębienie, ale nie miała siły na opór. Gdy znowu znalazła się w rodzinnym domu, nie wychodziła za próg swego pokoju. Bliźniaczki, zwłaszcza Vanessa, próbowały nawiązać z nią kontakt, lecz za każdym razem słyszały „Wynoś się!”. Van przynosiła jej książki, płyty, raz czy dwa kupiła bukiet kwiatów. Anne wzięła te gesty za próbę manipulacji i posłała biedną Van do diabła. Dopiero w Święto Dziękczynienia zdecydowała się uczestniczyć

w rodzinnym obiedzie. Lionela nie było przy stole, posiedziała więc tylko chwilę, z nikim nie zamieniła ani słowa. Nie reagowała na zagadywania Van, nie wzruszał jej smutek w oczach matki. Nienawidziła ich wszystkich, cały czas rozmyślała o swoim dziecku. Teraz miałyby pięć tygodni. Czy już do końca życia będzie mogła myśleć tylko o swoim synku?

Do zdrowia fizycznego wracała szybko, chociaż niewiele ją to obchodziło. Lionel, który odwiedzał ją po kryjomu pod nieobecność ojca, miał nadzieję, że czas uleczy również chorą duszę siostry.

Zbliżało się Boże Narodzenie. Wtedy Faye zdecydowała się porozmawiać z Wardem na temat Lionela. Postanowiła poprosić go, aby ze względu na Anne pozwolił synowi spędzić święta z rodziną.

– Doskonale wiesz, co o nim sędzę i nie zamierzam udawać, że jest inaczej. Nie akceptuję tego, co robi ze swoim życiem – odpowiedział Ward stanowczo.

Faye usiłowała przekonać go na wszelkie możliwe sposoby. Mówiła, że sam nie był święty, zdradzał ją. Tym właśnie go rozdrażniła. Ward nie posiadał się z oburzenia, że żona mogła uczynić podobne porównanie. Jego heteroseksualne niestosowności i homoseksualizm Lionela!

– Zrozum, chciałam ci tylko udowodnić, że wszyscy popełniamy błędy – broniła się Faye.

– Lionel jest ciotą! – wykrzyknął Ward, powstrzymując się od płaczu.

– Jest homoseksualistą – poprawiła obraźliwe słownictwo męża.

– On jest nienormalny i dlatego nie chcę go widzieć w moim domu. Zapamiętaj to sobie raz na zawsze.

Dalsza rozmowa wydawała się zupełnie bezcelowa. W takich momentach Faye żałowała, że Ward wrócił do niej. Ich małżeństwo zbladło, w niczym nie przypominało dawnego, gorącego związku. Powracający motyw Lionela był przyczyną nieporozumień i kłótni. Całe szczęście, że rozpoczęła się realizacja nowego filmu, dzięki temu Faye rzadko bywała w domu. Ciężar resocjalizacji Anne spadł więc na Lionela, chyłkiem przemykającego się do pokoju siostry. Ktoś przecież musiał z nią rozmawiać, tłumaczyć najprostsze sprawy, odpowiadać na pytania. Jedyнным człowiekiem, który zawsze potrafił znaleźć z nią wspólny język, był właśnie Lionel. Niestety, czasem zdarzało się, że Ward celowo zamykał drzwi frontowe, w ten sposób uniemożliwiając Li wejście do domu. Faye nie cierpiała Warda za takie zachowania. Nie cierpiała samej siebie, gdy zdała sobie sprawę, że nadal kocha męża, że nie potrafi nawet sobie wyobrazić życia w samotności, bez Warda u jej boku.

W Boże Narodzenie, widząc, że przy rodzinnym stole zabrakło Lionela, Anne pojechała odwiedzić brata. Obaj chłopcy byli w domu. Welsowie, zapraszając syna, pominęli milczeniem osobę Li. Co prawda, akceptowali ten związek lub raczej się z nim pogodzili, ale tak oficjalne usankcjonowanie tej sytuacji przekraczało granice ich dobrej woli. W rezultacie Lionel i John spędzali święta u siebie, samotnie jedząc uroczysty obiad. Później odwiedziło ich kilku przyjaciół Johna i kolega Lionela ze szkoły.

Dziewczyna otoczona homoseksualnymi mężczyznami nie czuła się nawet odrobinę zakłopotana. Było jej z nimi lepiej niż z własną rodziną. Mijał kolejny tydzień jej poporodowej rekonwalescencji, z dnia na dzień powracała do formy. Straciła już zbędne kilogramy, oczy nabrały dawnego blasku. Wyglądała o wiele bardziej dojrzała niż reszta dziewcząt w jej wieku, zbliżały się jej piętnaste urodziny, przypadające na początek zimowego semestru nauki, co oznaczało powrót do szkoły. Anne była przerażona tą perspektywą, zwłaszcza świadomością, że będzie półtora roku starsza od pozostałych uczniów. Lionel doradził jej, aby się tym w ogóle nie przejmowała, tylko zacisnęła zęby i zdobyła się na dzielność. Stanowisko brata w dużej mierze wpłynęło na uspokojenie buntowniczych nastrojów Anne.

Ten szczególny dzień uczcili lampką szampana. Anne wręczyła chłopcom gwiazdkowe prezenty. Kaszmirowy szalik Johnowi i piękne, srebrne pióro od Tiffany'ego Li. Tylko oni byli jej przyjaciółmi, tylko ich traktowała jak rodzinę. Późnym wieczorem John odwiózł ją volkswagenem garbusem kupionym do spółki z Lionelem.

– Wesolych świąt – powiedział na pożegnanie.

– Wzajemnie – uściśnęła go, wyskakując z samochodu.

Pobiegła na górę do swojego pokoju. Chciała jak najszybciej przymierzyć blad różowy sweterek z angory, który dostała od Lionela, oraz maleńkie kolczyki z perełkami, подарowane przez Johna. Szybko uporała się ze zmianą stroju i popatrzyła w lustro z promiennym uśmiechem. Była tak zachwycona sobą, że nie usłyszała siostry, po cichu otwierającej drzwi i podpatrującej jej radość. Val czuła się wyjątkowo znudzona nieudanym dniem. Najpierw nawalił Greg, obiecywał, że razem pójdą do znajomych, a potem wystawił ją do wiatru i wybrał się sam. Co gorsze, Vanessa umówiła się ze swym adoratorem i teraz gdzieś się z nim zabawiła, a ona, Valerie, siedziała sama w domu. Nawet starzy wypuścili się na miasto, cóż za beznadziejny wieczór.

– Skąd masz ten sweter? – zapytała Val, mając cichą nadzieję, że siostra pozwoli jej przymierzyć nowe stroje. Byłaby to duża rzecz, jako że nigdy

się niczym nie dzieliła, zamykała drzwi na klucz, nie pożyczała ciuchów, nie prosiła o nie innych.

– Dostałam od Li – odpowiedziała Anne.

– Prezencik dla ulubienicy, co?

Uszczypliwość zabolala ją, lecz nie pokazała tego po sobie. Nigdy nie okazywała uczuć, była w tym mistrzynią.

– Nie jesteście ze sobą szczególnie związani, o ile mi wiadomo – odcięła się Anne w zaskakująco dorosły sposób.

– To co z tego? On jest także moim bratem, nieprawdaż?

– A ty jego siostrą i może dlatego powinnaś od czasu do czasu coś dla niego zrobić.

– Dla niego? Ja? On mnie nie potrzebuje, przecież nie jestem pedalem.

– Wynos się z mojego pokoju! – krzyknęła Anne, nie mogąc znieść jej prostactwa. Podeszła krok do przodu, patrząc na siostrę rozognionymi oczami.

– Dobra, dobra, nie podniecaj się – powiedziała Val szyderczo.

– Wynos się z mojego pokoju, ty dziwko!

Tego było za dużo.

– Gdybym była tobą, staranniej dobierałabym słowa. Przecież to nie ja wpadłam, a potem sprzedałam dzieciaka.

Anne podniosła rękę, zamierzyła się, lecz Val zdążyła się uchylić, jednocześnie popychając siostrę, aż ta boleśnie uderzyła się ramieniem o drzwi. Dziewczyny patrzyły na siebie rozjuszone. Anne ponownie się zamierzyła, i tym razem nie chybiła, potem złapała Valerie za rękę, wykręciła jej i wycedziła przez zęby:

– Zabiję cię, jeśli kiedykolwiek spróbujesz to powtórzyć, rozumiesz?

W tym momencie zazgrzytał klucz w drzwiach frontowych, do domu wrócili rodzice. Po minach, tudzież opuchliznach córek, od razu domyślili się, co zaszło podczas ich nieobecności. Ward wręczył każdej z nich torebkę z lodem. Faye uparła się, żeby pojechać do szpitala na prześwietlenie ramienia Anne. Lekarz nie stwierdził złamania ani przemieszczenia kości, powiedział, że wszystko skończy się na ogromnym, bolesnym siniaku. Około północy wrócili ze szpitala i już od progu usłyszeli dzwoniący telefon. Odebrała Faye, w słuchawce dźwięczał histeryczny głos Mary Wells, wykrzykującej pojedyncze słowa o pożarze, choince... Faye nie bardzo mogła zrozumieć, o co właściwie jej chodziło, dopiero po chwili dotarło do niej, że musiała się wydarzyć jakaś tragedia... Co się stało, gdzie? U Wellsów czy u Lionela? Mary Wells nie reagowała na pytania, w kółko powtarzała: „Pożar”, „Choinka”. W końcu słuchawkę przejął Bob Wells.

– W domu chłopców był pożar. Przed pójściem spać zapomnieli wyłączyć lampki na choince. John...– słowa utknęły mu w gardle. Słyszał łkanie żony, z głębi domu dochodziła muzyka. Kiedy nadeszła wiadomość, Well-sowie mieli gości, nikt nie pomyślał o wyłączeniu gramofonu. – John nie żyje – dokończył Bob.

– Boże, nie... a co z Li? – szepnęła Faye do telefonu.

– Jest ciężko poparzony, ale żyje. Pomyśleliśmy z żoną, że powinniście wiedzieć... Właśnie dzwoniło do nas... to znaczy dzwoniła policja...

Faye osunęła się ciężko na krzesło, nie słuchała, co dalej mówił Bob Wells. Anne popatrzyła na matkę wielkimi, przerażonymi oczami.

– Co się stało? – zapytała.

– Wypadek. Li jest poparzony – wyrzuciła z siebie Faye.

Przez chwilę miała wrażenie, że jej serce przestało bić. Li był o włos od śmierci. John nie żył, biedne dziecko...

– Co się stało? – powtórzyła Anne, połykając łzy.

– Nie wiem dokładnie, jak do tego doszło, zapaliła się choinka. John nie żyje... Lionel jest w szpitalu.

Jak to możliwe, że John nie żył, przecież rozmawiała z nim parę godzin wcześniej...

Blizniaczki stały oparte o balustradę schodów, słuchając matki z niedowierzaniem. Vanessa instynktownie przytuliła Anne. Ward ukradkiem wycierał łzy, drugą ręką szukał w kieszeni kluczyków do samochodu. Chwilę potem już byli w drodze.

Lionel leżący na szpitalnym łóżku miał opatrunki na poparzonych ramionach i nogach.

– Mamo, ja naprawdę próbowałem – mówił, łkając. – Naprawdę... Ale dym był za gęsty... Nie mogłem oddychać...

Obudził się pierwszy. W domu było czarno od dymu. John nie reagował na próby obudzenia. Lionel, krztusząc się, wyniósł go na zewnątrz, robił mu sztuczne oddychanie. W końcu, wyczerpany, stracił przytomność, znaleźli ich strażacy, którzy wezwali pogotowie. W szpitalu pielęgniarka powiedziała mu, że John zmarł na skutek zaccadzenia.

– To moja wina, mamo. Nigdy sobie nie wybaczę, to ja zapomniałem wyłączyć lampki, to moja wina... – płakał.

Powoli docierało do niego, jak wielką poniósł stratę, dręczyły go wyrzuty sumienia, siebie obarczał winą za śmierć przyjaciela. Faye usiłowała mu wytłumaczyć, że to nieprawda, pocieszała go, całowała zapłakaną twarz syna. Lionel był tak pogrążony w rozpacz, że nie czuł bólu. Bliski hysterii krzyczał, że nigdy sobie nie wybaczy. Ward stał przy łóżku, w głowie miał

pustkę, czuł się zupełnie bezradny. Patrzył na Lionela i nagle zobaczył w nim tamtego małego, jasnowłosego chłopca, biegającego za kucykiem po trawniku, jeżdżącego na karuzeli w ogrodzie dawnego domu. Przecież ten rozpaczający mężczyzna jest także jego małym synkiem... Chyba po raz pierwszy w życiu Ward poczuł, jak bardzo jest mu bliski. Pochylił się nad synem, wziął go w ramiona i przytulił, po policzkach płynęły mu łzy. Faye patrzyła na obu mężczyzn, myślała o Johnie. Dziękowała Bogu, że jej syn ocalał.

Rozdział dwudziesty szósty

Pogrzeb był koszmarem, jakiego Faye jeszcze nie doświadczyła. Mary Wells, szalona z rozpacz, chciała wskoczyć za trumną do grobu. Bob zanosił się od płaczu. Siostry Johna stały z boku, skamieniałe z żalu. Lionel, ubrany w czarny garnitur, wyglądał na wyższego niż zwykle. Był tak blady, że Faye instynktownie podtrzymywała go w obawie, że zaraz zemdleje, zauważyła, że na palcu nie obandażowanej ręki nosił cieniutką obrączkę ślubną. Modliła się, żeby Ward nie dokonał tego samego odkrycia. Teraz już wiedziała dokładnie, kim dla Lionela był John Wells. Patrzyła na syna współczującym wzrokiem. Li poniósł największą stratę w swym całym dotychczasowym życiu, być może w całym życiu.

Anne stała u boku Lionela. Płakała, od czasu do czasu zerkała na brata.

Poprzedniej nocy Faye i Ward ustalili zgodnie, że Lionel powinien przez jakiś czas zamieszkać z rodziną. Po pogrzebie ojciec wziął go pod rękę i udali się na krótki spacer. Greg wyszedł z domu zaraz po powrocie z cmentarza. Śmierć przyjaciela ze szkolnej ławy niewiele go obeszła. Bez cienia żalu przeszedł nad nią do porządku dziennego.

– Co mam gadać? – wzruszył ramionami, rozmawiając z Val. – Facet był tylko pieprzoną ciotą – skomentował, zapominając o ich dawnej przyjaźni.

Faye obserwowała Anne, martwiła się o nią. Dziewczynka bardzo dużo przeszła w ciągu ostatnich kilku miesięcy, ale chyba powoli dochodziła do siebie. Odwrotnie niż Li, który załamał się zupełnie, bez końca rozpamiętywał tragiczny wieczór, analizował, czy miał chociaż cień szansy na uratowanie Johna. To przez niego umarł John, to jego wina...

Nigdy sobie tego nie wybaczy, to on zapomniał wyłączyć lampki, kiedy kładli się spać. Wypili za dużo wina i te pieprzone migoczące lampki. Dlaczego o nich nie pamiętał?! To wszystko jego wina... Nigdy dotąd nie zwierzał się ojcu, nigdy dotąd ojciec go nie słuchał, ale musiał z kimś porozmawiać, musiał przed kimś otworzyć duszę. Prześladowała go myśl, że również rodzice Johna jemu przypisują winę za śmierć syna.

– Powinni mnie obwiniać, wiesz, tato – powiedział łamiącym się głosem.

Ward słuchał go, a nienawiść i uraza, jakie dawniej czuł do syna, zamieniały się we współczucie. Może w gruncie rzeczy wcale nie było w nim nienawiści, może tylko chciał nienawidzić? Faye miała rację, nadszedł czas na uporządkowanie sytuacji w rodzinie, od dzisiaj, od zaraz.

– My także obwinialiśmy cię o wiele rzeczy i myliliśmy się – rzekł Ward, wzdychając. Patrzył na mijane drzewa, jakoś ciągle nie miał odwagi spojrzeć synowi w oczy. Patrzenie na drzewa było o wiele prostsze. – Nie rozumiałem, dlaczego jesteś tym, kim jesteś. Myślałem, że to przeze mnie, ale na tobie wyładowywałem agresję. Byłem w błędzie – tłumaczył Ward, zebrał całą odwagę i spojrzał na syna. Ujrzał łzy spływające mu po policzkach. Takie same, jakich pełne były jego oczy. – Myliłem się, przypisując sobie winę, tak jak ty nie masz racji, obciążając siebie. Li, zrobiłeś wszystko, żeby uratować Johna, nie mogłeś zrobić niczego więcej – zatrzymali się na chwilę. Ward wziął syna za rękę. – Wiem, jak bardzo chciałeś go ocalić – głos mu się załamał. – Wiem, jak bardzo kochałeś Johna.

Nie chciał wiedzieć, ale wiedział. Stał naprzeciwko syna, popatrzył mu głęboko w oczy i przygarnął do siebie. Poczuł jego policzek na swoim policzku, usłyszał jego bijące serce przy swoim sercu. Lionel płakał w jego ramionach jak mały chłopczyk.

– Próbowałem, tato, próbowałem... za późno wyniosłem go na powietrze – ciałem Li wstrząsało łkanie. Ward przytulił go jeszcze mocniej, jak gdyby chciał go obronić przed kolejnym ciosem.

– Wiem, synu, wiem...

Po cóż jeszcze raz powtarzać, że zrobił wszystko, aby ocalić życie przyjaciela? Przecież te deklaracje nie ożywią Johna...

Li znowu zamieszkał w swoim pokoju, przypominającym mu lata szkolne. Nic się w nim nie zmieniło i nie miał żadnych nowych przedmiotów, które mógłby dostawić, wszystko pochłonęły płomienie. Ocalało jedynie parę drobiazgów mocno osmalonych przez ogień, no i stary mustang zaparkowany przed domem. Nim Faye kupiła Lionelowi najpotrzebniejsze rzeczy, Ward pożyczał mu swoje przybory do golenia. Ojciec i syn spędzali teraz ze sobą bardzo dużo czasu.

Niebawem po pogrzebie Greg wyjechał na uczelnię. Anne w dniu piętnastych urodzin ponownie przekroczyła próg szkolny. Początki nie były łatwe. Sama sobie wydawała się stara w porównaniu z resztą klasy. Stara i na niewłaściwym miejscu, zacisnęła zęby. Musi być dzielna, tak jak radził Li. Kilka tygodni później przyszedł czas zdjęcia bandaży z ran Lionela. Poparzenia pozostawiły widoczne ślady, ale gorsze były blizny, których nie można było dostrzec gołym okiem, a głęboko w sercu cały czas się jątrzące. Lionel nie zgłosił się na uczelnię w dzień rozpoczęcia nowego semestru. Nie zgłosił się także w ciągu kilku najbliższych dni. Nikt się temu nie dziwił.

Wielkie zdumienie natomiast wywołało oświadczenie Warda, że został przez Lionela zaproszony na lunch do Polo Lounge. Siedząc przy restauracyjnym stole, stwierdził, że syn wyglądał o wiele starzej, niż wskazywała jego metryka. Osobista tragedia odcisnęła piętno na twarzy Li, czyniąc ją poważną i zasepioną. Ward ciągle ubolewał nad życiem, jakie prowadził Lionel, żałował, że syn należał do kompletnie dla niego niezrozumiałego świata homoseksualistów, ale zaczął go szanować. Podobał mu się jego system wartości, poglądy, sposób rozumowania. Dlatego był ogromnie rozczarowany, gdy Li powiedział mu, że postanowił przerwać studia.

– Bardzo długo się zastanawiałem nad tą decyzją, chcę, żebyś poznał ją pierwszy, tato.

– Dlaczego nie chcesz się dalej uczyć? Przecież zostało ci tylko półtora roku, zdaję sobie sprawę, że teraz jesteś przygnębiony i rozstrojony, ale to minie.

– Nie wrócę tam, tato. Nic mnie już nie łączy z uczelnią. Dostałem ofertę pracy nad filmem i mam zamiar podjąć się tego zadania.

– A co dalej? Za trzy miesiące skończą się zdjęcia i znowu znajdziesz się w punkcie wyjścia – odpowiedział Ward z pozycji człowieka doświadczonego.

– Tak samo jak ty, tato? – droczył się Li.

Ward nie był zachwycony nowiną ogłoszoną przez syna, ale pochlebiał mu, że prowadzili szczerą, męską rozmowę.

– Chciałbym trochę bardziej rozwinąć skrzydła – argumentował Lionel.

– Masz dopiero dwadzieścia lat, po co ten pośpiech? – dziwił się Ward.

Obaj zdawali sobie sprawę, że wiek nijak miał się do dojrzałości psychicznej Li. Nie było takiej możliwości, by na powrót stał się beztróskim młodzieńcem, który pozwala rodzicom sobą sterować. Dokładnie wiedział,

kim jest i dokąd zdąży. Dziwne i smutne, że dopiero śmierć Johna stała się pomostem, na którym wyszli sobie naprzeciw ojciec i syn.

– Cóż, przykro mi z powodu twojej decyzji.

– Domyślam się.

– Od kogo dostałeś ofertę pracy?

– Wytwórnia Foksa – rzekł Li z tajemniczym uśmiechem.

– No, no, no – Ward był pod wrażeniem. Dla Foksa nie pracował byle kto, ekipy do filmów zawsze wyłaniano w drodze konkursu. – Miałem nadzieję, że będziesz się trzymał z daleka od tego śliskiego, filmowego interesu.

– Zdaje się, że ty i mama całkiem go lubicie – wzruszył ramionami Li.

– Owszem, ale czasem bywamy bardzo zmęczeni – westchnął Ward, mając na myśli swoje aktualne samopoczucie.

Teraz kiedy sytuacja rodzinna jako tako się ustabilizowała, nadszedł czas na upragniony wypoczynek. Ward marzył o długiej podróży i postanowił dołożyć wszelkich starań, aby przekonać Faye do swego pomysłu. Wspólny wyjazd, coś jak miesiąc miodowy. Wiedział, że żona nie ma w planie żadnego nowego przedsięwzięcia, więc postanowił wykorzystać moment i porwać ją na włóczęgę.

– Li, czy zamierzasz w najbliższym czasie wyprowadzić się z domu? – zagadnął Ward.

– Tak, chyba zacznę sobie czegoś szukać. Nie chciałbym ci dłużej wchodzić w drogę.

– Przepraszam, nie chciałem cię urazić i zupełnie nie to miałem na myśli – sprostował ojciec, patrząc zakłopotanym wzrokiem. – Wprost przeciwnie, chciałbym, żebyś został w domu i przy okazji miał oko na dziewczyny. Zgoda?

– Oczywiście – odpowiedział Li. – Ale o co chodzi?

– Chcę zabrać mamę na urlop. Oboje potrzebujemy odpoczynku.

Od momentu zakończenia romansu i powrotu na łono rodziny, Ward nie spędził z żoną nawet pięciu minut w samotności. Ostatnie dziewięć miesięcy było twardą szkołą życia. Podróż zdawała się idealną metodą na powrót do równowagi.

– Znakomicie, tato, z przyjemnością zajmę się dziewczętami, a tobie i mamie wakacje bardzo dobrze zrobią, zasłużyliście na nie.

Ward uśmiechnął się rozpromieniony. Li i on byli przyjaciółmi, jak nigdy wcześniej. Łączyła ich prawdziwie męska zażyłość i zrozumienie, nawet jeśli komuś mogło się to wydawać odrobinę dziwne.

Wieczorem Ward przedstawił żonie swoje zamiary.

– Nie chcę słyszeć żadnych wykrętów ani usprawiedliwień, że dzieci to albo tamto, że musisz porozmawiać z aktorami na temat najnowszego scenariusza. Wyjeżdżamy za dwa tygodnie od dzisiaj.

Bilety na samolot już czekały, trasa wycieczki miała wieść przez Paryż i Rzym do Szwajcarii.

– Mówisz poważnie, mój mężu? – zapytała Faye, zakładając Wardowi rękę na szyję.

– Jak najbardziej i pamiętaj, że jeśli nie pojedziesz z własnej woli, porwę cię. Wyjeżdżamy na co najmniej trzy tygodnie.

Ukradkiem zajrzał do kalendarza żony i wiedział, że mogła sobie pozwolić na tak długą nieobecność.

Faye biegła w koszuli nocnej po sypialni, kręciła piruety i w głos śmiała się na myśl o wakacjach.

– Już nie pamiętam, kiedy ostatnio byliśmy tylko we dwoje, Faye.

– Tak... – odrzekła zamyślona.

Wiele razem przeszli, dwa razy niemal rozpadło się ich małżeństwo. Musieli być świadkami tragedii, które dotknęły ich córkę i syna, życie rzucało im wyzwania, którym trudno sprostać. Gdyby przed rokiem ktoś zapytał Faye, czy jej małżeństwo przetrwa emocjonalną zawieruchę, bez wahania odpowiedziałaby, że nie. A jednak... Los jeszcze raz okazał się łaskawszy, niż przypuszczała. Mimo wszystko nadal kochała Warda, może nawet mocniej i dojrzalej niż kiedykolwiek. Akceptowała go takim, jakim był. Czy to nie szczególnie dar losu, że po dwudziestu dwu latach małżeństwa nadal odkrywała w Wardzie coś nowego i fascynującego? Teraz już wiedziała, że będzie kochać Warda Thayera zawsze, z tymi refleksjami położyła się do łóżka, wprost w ramiona męża, który podarował jej namiętność pierwszych wspólnie spędzonych nocy.

Rozdział dwudziesty siódmy

Tamtego roku Paryż wydawał się najczarowniejszym miejscem na świecie. Ward i Faye przechadzali się po jego zabytkowych uliczkach, nie mogąc nacieszyć się sobą. Wpadali na zupełną cebulową do Les Halles, spacerowali po Polach Elizejskich, jadali obiady u Maxima i w Brasserie Lipp, wstępowali na drinka do Café Flore i Deux Magots. Popijając wino, śmiali się i całowali. Dokładnie tak to sobie wyobrażał

Ward. Ani sekundy nie poświęcili smutkom i niepowodzeniom minionego roku. Całym sercem oddawali się urokom drugiego miodowego miesiąca, zapomnieli o troskach dnia codziennego: dzieciach, filmach, obowiązkach...

Pewnego dnia, gdy już dotarli do Lozanny, Faye, patrząc na połyskliwą taflę jeziora Lemana, uśmiechnęła się, i powiedziała:

– Wiesz, jestem zadowolona, że wyszłam za ciebie.

– Strasznie się cieszę, ale właściwie dlaczego mi to mówisz? – zapytał Ward, przyglądając się żonie z zaciekawieniem.

– No cóż – westchnęła, odwracając się w jego stronę – jesteś miłym człowiekiem. Czasami robisz zamieszanie, ale jesteś wystarczająco inteligentny i rozsądny, żeby w porę się opamiętać – odparła, mając na myśli konflikt między Wardem i Lionelem, no i mężowskie zdrady, których dopuścił się, gdy rodzina przeżywała szczególnie dramatyczne chwile.

– Staram się, ale nawet mimo to daleko mi do ciebie, Faye.

– Bzdura.

– Zaczynasz posługiwać się słownictwem Val.

– Nie jestem od ciebie mądrzejsza. Sęk w tym, że zawsze chciałeś, by życie stosowało się do twoich wyobrażeń.

– Nie mam tak silnej woli jak ty, Faye. Czasami brakuje mi wytrwałości i wtedy chcę uciekać od kłopotów – wyznał Ward.

Już dwa razy balansował na skraju przepaści, lecz wyszedł z opresji obronną ręką dzięki pomocy żony.

– Mnie także zdarzają się chwile zupełnej bezradności, kiedy mam ochotę rzucić wszystko i uciec jak najdalej – zwierzyła się Faye, ku wielkiemu zaskoczeniu męża. – Ale wtedy zastanawiam się, kto zająłby się naszymi dziećmi? Kto opiekowałby się tobą? Jestem cholerną egocentryczką, wydaje mi się, że wszystko runęłoby w gruzy, gdyby mnie zabrakło. Podejrzewam, że to nieprawda, ale nawet jeśli się mylę, to przekonanie nadaje sens mojemu życiu.

– Cieszę się – rzekł Ward, biorąc żonę za rękę. Czuł się, jakby byli na pierwszej randce. – Masz rację. Wszystko by się zawaliło, gdybyś ty się poddała i to cudownie, że jesteś silna.

– Uważaj, może pewnego dnia zniknę i będę miała romans z szatnia-rzem z wytwórni – zażartowała Faye.

Wardowi nie spodobał się dowcip żony.

– Mówiąc szczerze, obawiam się, że mogłabyś to zrobić.

– Grunt to być sobą – odparła, w głębi duszy ciesząc się, że mąż był o nią zazdrosny.

– Wiem, dlatego nie mogę ci pozwolić rozbrykać się zanadto.
– Ojej, naprawdę? – spytała z kokieteryjnym błyskiem w oczach.
Niedługo potem siedzieli w samolocie lecącym do Ameryki.

– Mielіśmy wspaniały urlop, prawda, kochanie?

– Prawda – przyznała Faye, biorąc męża pod rękę i opierając głowę na jego ramieniu. – Właściwie mogłabym spędzić całe życie na słodkim nieróbstwie.

– Nie kłam – zgał ją żartobliwie Ward. – Co byś zrobiła bez swojej ukochanej pracy? Już słyszę, jak niebawem zaczniesz wyrzekać, że wszyscy są niemożliwi, kostiumy źle uszyte, dekoracje śmierdzą, nikt nie umie roli, z tego powodu będziesz wyrywała sobie z głowy piękne blond włosy. Tak, tak, moja miła, nie mogłabyś żyć bez pracy.

Faye roześmiała się, słysząc opis Warda, kwintesencję jej dnia powszedniego spędzanego w MGM.

– Rzeczywiście, nie chciałabym już teraz pożegnać się z wytwórnią, ale kiedyś to zrobię. Może wkrótce...

– Powiedz tylko słówko.

– Okay, dowiesz się pierwszy – powiedziała z tajemniczym uśmiechem.

Dwa tygodnie później machina codzienności pracowała na pełnych obrotach. Faye dostawała amoku z powodu zamieszania na planie. Jej największa gwiazda stroiła fochy, dwóch innych aktorów się narkotyzowało, jeszcze inny upijał się regularnie każdego dnia po lunchu, statyści straszili wymówieniem angaży. Natomiast stosunki domowe układały się więcej niż poprawnie. Anne całkiem nieźle radziła sobie w szkole, przestała przeżywać stresy związane z wejściem w nowe środowisko. Bliźniaczki jak zawsze nie nastęrczały większych problemów, czasem tylko Val czymś się popisywała, lecz w jej przypadku było to zupełnie normalne. Greg zawiadomił o sukcesach na uniwersytecie. Lionel znalazł sobie mieszkanie i wyprowadził się od rodziców. Faye martwiła się o jego kondycję psychiczną. Sądziła, że samotność nie jest dla niego lekarstwem. Na szczęście, dobrze wiodło mu się w filmie kręconym dla Foksa.

Wyprowadzkę Li poprzedziły perypetie z Anne, która uparła się, że chce mieszkać razem z bratem. Lionel długo musiał jej tłumaczyć, że ich drogi się rozeszły, że trzeba żyć na własny rachunek, poczuć się odpowiedzialnym za swoje losy. Doradził jej, aby spróbowała nawiązać w szkole nowe przyjaźnie, odświeżyć stare, pokazać, że zależy jej na ludziach. Między wierszami dał jej do zrozumienia, że skończył się dla niej czas taryfy ulgowej, że już dłużej nie mogła izolować się od ojca i matki, stwarzać sobie iluzje, że on, Li, będzie się nią bez końca opiekował.

Dzień, kiedy Lionel zapakował swoje rzeczy do bagażnika samochodu i odjechał do nowego mieszkania, był dla Anne niezwykle przygnębiający. Popatrzyła na odjeżdżający samochód, a potem ze łzami w oczach pobiegła do pokoju, zamknęła drzwi na klucz i przesiedziała w samotności aż do wieczora. Widząc smutek córki, Faye natychmiast przeraziła się, że cały trud wyciągania jej z depresji w jednej chwili poszedł na marne. Co prawda, Anne już od dawna nie wspominała o dziecku, lecz jej równowaga była nadal krucha. Faye modliła się o córkę, gdy więc następnego dnia Anne oświadczyła, że wybiera się do kina, matka pomyślała, że Bóg wysłuchał jej prośb.

Samej Faye także nie było łatwo zapomnieć o wydarzeniach ubiegłego roku, dlatego jeszcze bardziej niż zwykle pozwoliła się pochłonać pracy nad filmem. Ceremonia rozdania Oscarów, którą zorganizowano w Civic Auditorium w Santa Monica, była jedyną chwilą wytchnienia. Na galę jechała razem z Wardem, Lionelem i bliźniaczkami. Anne miała zostać w domu, gdyż matka uznała, że jest jeszcze zbyt młoda na udział w tego typu imprezach.

Faye wybierała się do Santa Monica bardziej z sentymentu niż w nadziei na otrzymanie nagrody. Dawniej, w młodości, gdy parała się aktorstwem, noc Oscarów należała do najważniejszych wydarzeń w roku, później przyszyły istotniejsze sprawy.

– W końcu mam już dwie statuetki – powiedziała do Warda, zakładając na szyję sznur pereł.

– Chwalipięta – przedrzeźniał ją mąż.

– Nie o to mi chodziło.

Przeglądała się w lustrze. Tego wieczoru chciała być olśniewająca, a przynajmniej nie różnić się od tych wszystkich piękności. Miała czterdzieści siedem lat. Jezu, czterdzieści siedem! Jak czas szybko leci... Zdawało jej się, że jeszcze wczoraj miała dwadzieścia pięć, była bez pamięci zakochana w Wardzie Thayerze i chodziła z nim na tańce do Mocambo.

– Jesteś śliczna – rzekł Ward, wsuwając żonie rękę za dekolt i wodząc palcami po ciągle krągłych, pełnych piersiach. – Na pewno dostaniesz Oscara.

– Daj spokój.

W słowach Faye pobrzmiwała odrobina kokieterii. Między nią i mężem układało się ostatnio wspaniale, tak jak tylko mogła sobie wymarzyć. Jemu poświęcała najwięcej uwagi, z nim pragnęła spędzać dużo czasu. Jego towarzystwo sprawiało, że czuła się odprężona i młoda.

Kiedy wychodzili z domu, wszyscy w eleganckich wieczorowych strojach, Anne, stojąc pośrodku pokoju gościnnego, wyglądała jak biedne, zagubione,

samotne dziecko. Faye przypomniła sobie baśń o Kopciuszku. Czyżby zachowała się jak zła macocha? Może byłoby lepiej, gdyby nawet straciła jeden dzień szkoły w zamian za odrobinę przyjemności? Matka i córka ciągle nie potrafiły się porozumieć, odnaleźć wzajemnej bliskości. Oddzielał je mur wieloletnich uprzedzeń. Anne w duchu obwiniła Faye o wywarcie na nią presji, tylko dlatego podpisała papiery adopcyjne. Tamto wydarzenie ostatecznie oddaliło ją od matki. Jedynym godnym zaufania człowiekiem pozostał Lionel.

Po drodze wstąpili po Li, który, ubrany w czarny frak ojca, wyglądał wyjątkowo przystojnie. Usadowiwszy się na tylnym siedzeniu jaguara, rozprawiał z bliźniaczkami, z przodu samochodu dochodziły narzekania Warda. Nie rozumiał, dlaczego tak ciężko prowadziło mu się samochód. Wypytywał żonę, czy nie zauważyła jakichś defektów.

W Civic Auditorium oczom Thayerów ukazała się cała plejada najznakomitszych aktorów i innych postaci z filmowego świata. Po hallu przechadzali się Richard Burton i Liz Taylor. Na szyi Liz migotał słynny diament wielkości pięści. Dały się zauważyć siostry Redgrave. Audrey Hepburn, Leslie Caron, był też Mel Ferrer...

Faye dostała nominację w kategorii najlepszego reżysera i stanęła w szranki z Antoine Lebouchem i Mikiem Nicholsem, żeby wspomnieć najgroźniejszych rywali. O palmę pierwszeństwa w kategorii najlepszej aktorki ubiegały się Anouk Aimee, Ida Kaminska, siostry Redgrave, a najlepszego aktora – Scofield, Arkin, Burton, Caine i McQueen. Bob Hope, konferansjer, bawił zgromadzonych anegdotami, gdy nagle wśród śmiechów dał się słyszeć werdykt jury w kategorii najlepszego reżysera – pani Thayer. Na dźwięk swego nazwiska Faye wstała z fotela i na miękkich nogach podeszła do sceny. Stała twarzą w twarz z widownią, poczuła łzy nabiegające do oczu. W jednej chwili pamięć podsunęła jej obrazki z minionych dwudziestu pięciu lat, począwszy od czterdziestego drugiego roku, kiedy odbierała swojego pierwszego Oscara. Dwadzieścia pięć lat, tak dawno, a Faye miała wrażenie, że wszystko zdarzyło się wczoraj...

– Dziękuję, bardzo dziękuję wszystkim, mojemu mężowi – mówiła drżącym głosem – mojej rodzinie, współpracownikom, moim przyjaciółom – zakończyła z promiennym uśmiechem.

Ogarnęła ją euforia, na drugi dzień ledwie pamiętała resztę wydarzeń tego wieczora. Do Beverly Hills wrócili około drugiej nad ranem i chociaż było już bardzo późno, postanowili całą rodziną pójść do Moulin Rouge, zatelefonovali również do Anne, mając nadzieję, że zechce się przyłączyć do wspólnej fety. Niestety, dziewczynka nie podnosiła słuchawki. Lionel słusznie zgadywał, że jej zachowanie było typową demonstracją obojętności.

Wstawał już nowy dzień, gdy opuścili restaurację. Odwieźli Lionela i pojechali do domu. Siedzące z tyłu jaguara bliźniaczki były markotne i milczące. Vanessa zasypiała ze zmęczenia, a Valerie zmagając się z trawiącą ją zazdrością o matczyzny triumf.

– Dobrze się bawiliście, dziewczynki? – zapytała Faye, odwracając się do córek.

W myślach ciągle przeżywała swojego trzeciego Oscara. Niewiarygodne, zdobyła trzy nagrody Akademii Filmowej... Jeszcze raz okazała się najlepsza. Statuetka została oddana do grawera, lecz Faye ciągle czuła pod palcami jej chłód i kształt. Uśmiechnęła się do Val.

– W porządku. Chyba musisz być całkiem zadowolona z siebie – rzekła Valerie cierpko, starając się ukryć złość.

Faye domyślała się, co nurtuje córkę.

– Te uroczystości są zawsze bardzo ekscytujące – odparła z zamiarem zmienienia tematu na nieco bardziej neutralny. Val wzruszyła ramionami.

– Słyszałam, że czasami Oscary dostaje się ze współczucia – zaatakowała.

– O, mam nadzieję, że nie jest ze mną jeszcze tak źle! – Faye z trudem powstrzymała się od śmiechu.

Valerie w pewnym sensie miała rację. Rzeczywiście, komisja Akademii przyznawała od czasu do czasu nagrody szczególnie zasłużonym twórcom i dla postronnego obserwatora mogło to wyglądać na współczucie albo nawet litość.

– Myślisz, że w moim przypadku kierowali się współczuciem?

– Kto wie? – odpowiedziała lekceważąco i odwróciła wzrok.

Po przyjeździe do domu pobiegła do swojego pokoju, by w samotności rozpamiętywać sukces matki. Sukces, który ją, Val, bardzo zabolął, który uważała za niesprawiedliwy i niezasłużony.

Nazajutrz, gdy w szkole składano jej gratulacje, za wszelką cenę próbowała umniejszyć rangę wydarzenia.

– Matka dostała Oscara i co z tego? – komentowała krótko, natychmiast zmieniając temat na coś, co ją interesowało, na przykład The Supremes.

Miała dość słuchania zachwytyw na temat Faye Thayer. Marzyła o dniu, w którym zostanie wielką aktorką, tak wybitną, że wszystkie dokonania matki staną się śmiechu warte. Ona im jeszcze pokaże, jej matka jeszcze przekona się, że Val ma wielki talent... Byleby dobrnąć do końca szkoły, przetrwać tych kilka miesięcy i zacząć realizować plan.

Trzy Oscary? Do diabła z nimi i z matką! Trzy Oscary? Wielkie rzeczy.

Rozdział dwudziesty ósmy

Wdwa miesiące po wyprawie do Santa Monica Thayerowie wybrali się na kolejną uroczystość. Tym razem bohaterkami dnia były bliźniaczki, świeżo upieczone absolwentki szkoły średniej. Cała rodzina, łącznie z Gregiem, który przyjechał na wakacje, po raz trzeci zasiadła w szkolnej auli, żadne z nich nie płakało ze wzruszenia.

– My chyba też zasłużyliśmy na dyplom – szepnął Ward, pochylając się do ucha żony.

Faye zachichotała cichutko. Mąż miał rację, rodzicom także coś się należało. Szkolne uroczystości stały się elementem ich życia, za dwa lata Greg skończy uniwersytet, a Anne liceum. Co jakiś czas przed oczami Warda i Faye przesuwała się kawalkada młodych, odświętnie ubranych ludzi, odbierających świadectwa. Tym razem w tłumie znajdowały się bliźniaczki. Obie założyły proste, białe sukienki. Wersję Vanessy ozdabiała wysoka stójka i delikatna aplikacja na dole, przy listwie. Valerie zdecydowała się na strojnniejszy wariant – suknię z organdy i niebotyczne szpilki. Niestosowne buty w porównaniu z inną rewelacją córki nie zrobiły na Faye większego wrażenia. Istniał o wiele ważniejszy problem. Val uparcie odmawiała dalszej edukacji. Nie chciała nawet słuchać o żadnym uniwersytecie. Ani na wschodzie, ani na zachodzie. Miała własną wizję swojej przyszłości. Będzie pracować jako modelka, starając się jednocześnie o małe role w filmie. Pozostały czas wypełni jej nauka sztuki aktorskiej, co nie znaczy, że ma zamiar studiować odpowiedni wydział, na przykład, na UCLA. To nie dla niej. Ona, Val, będzie pobierała prywatne lekcje. Będzie uczyć się od mistrzów. Była pewna, że to najszybsza i najprostsza droga do celu. Chciała widzieć świat u swoich stóp.

Plany Valerie stały się przyczyną kilkumiesięcznego rodzinnego konfliktu. Rodzice nalegali, by jednak zdobyła solidne wykształcenie, lecz ich argumenty trafiały w próżnię. Ward zagroził, że jeśli Val będzie się upierać, to po skończeniu liceum nie dostanie pieniędzy na utrzymanie i będzie zmuszona poradzić sobie sama. Od początku tej wyimaginowanej, błyskotliwej kariery. Dziewczyna w ogóle nie zareagowała na ostrzeżenie ojca, wręcz je zbagatelizowała. Spodziewała się, że rodzice będą oponować, więc już wcześniej zrobiła rozpoznanie i zdobyła adres domu, w którym mieszkało osiem dziewcząt zainteresowanych aktorstwem, stawiających swe pierwsze kroki przed kamerami. Dwie z nich grały w operach

mydlanych, jedna w filmach pornograficznych, ale o tym Val nawet matce nie wspomniała, następna robiła furorę w horrorach, cztery wyrastały na wzięte modelki. Dla Faye brzmiało to jak opowieść o domu publicznym, dla Val jak o krainie szczęśliwości. Matka nie kryła swej dezaprobaty, lecz Val przytomnie zgasiła jej sprzeciw. Niedługo skończy osiemnaście lat, więc rodzice nie będą mieli nad nią żadnej władzy. W tydzień po rozdanu świadectw zakomunikowała o swojej wyprowadzce do, jak go nazwała, domu młodych aktorek. Ward i Faye czuli się bezsilni, rzeczywiście nie mieli nad nią żadnej władzy, nie tylko dlatego, że kończyła osiemnaście lat.

Vanessa rozesłała podania o przyjęcie do wszystkich bardziej renomowanych uczelni Wschodniego Wybrzeża, z każdej dostała pozytywną odpowiedź i po namyśle zdecydowała się pójść do Barnarda w Nowym Jorku. Opuszczała dom pod koniec czerwca, kiedy to miała podjąć pracę jako recepcjonistka w jednym z nowojorskich wydawnictw. Greg wyjeżdżał z przyjaciółmi do Europy, więc w domu pozostawała jedynie Anne, która nie dała się przekonać do wyjazdu na obóz. Twierdziła, że jest za stara i zadowolony tygodniowym campowaniem z Lionelem. Niestety, Li był tak zajęty, że żadne wyjazdy nawet nie wchodziły w grę. Na dodatek, Faye i Ward mieli pełne ręce roboty. Po trzecim Oscarze Faye wprost nie mogli się opędzić od atrakcyjnych ofert, więc lato Anne zapowiadało się na długie i samotne. Ward wymógł na żonie obietnicę kolejnego urlopu w Europie, który miał dojść do skutku zaraz po zakończeniu realizacji najnowszych filmów.

Prywatka na cześć bliźniaczek była najbardziej zwariowana ze wszystkich dotychczasowych.

– Chyba już jesteście za starzy na takie atrakcje – westchnęła Faye, konająca ze zmęczenia, gdy ostatni gość opuścił ich dom.

– Mów z siebie. Osobiście uważam, że teraz siedemnastoletnie dziewczyny są o wiele atrakcyjniejsze niż dawniej – odparł Ward przewrotnie.

– Uważaj, co mówisz – pogroziła mu żartobliwie palcem.

Była już czwarta nad ranem, o piątej musiała wstać, ponieważ na wczesny ranek umówiła całą ekipę na kręcenie długiej, trudnej sceny. Ward zamierzał odsypiać zarwaną noc, a potem wyjść gdzieś z Anne i Lionelem. Valerie umówiła się na randkę. Vanessa miała własne, sekretne plany. Nikt nie wiedział, gdzie zapodział się Greg. W zasadzie nietrudno było zgadnąć, że albo był na jakimś meczu, albo pił piwo, albo podrywał dziewczyny. Nigdy się nie tłumaczył, wychodząc z domu, ale że potrafił zadbać o siebie, więc rodzice nie martwili się zbyt.

Wedle zapowiedzi, Val wyprowadziła się do nowego mieszkania dokładnie w tydzień po dostaniu dyplomu.

Stała się dziewiątą mieszkanką domu, w którym nikt nigdy nie zwracał sobie głowy sprzątaniami, lodówka zawsze świeciła pustkami, a po kuchni wały się puste butelki po wódce i wodzie sodowej, czasem trafiały się przywiedle cytryny. Mieszkanki rzadko się ze sobą widywały, każda miała swoje życie, swojego chłopaka oraz oddzielną linię telefoniczną.

– Uwielbiam to miejsce – powiedziała do Vanessy na krótko przed jej wyjazdem do Nowego Jorku.

– A jak tam lekcje gry? – zapytała siostra rzeczowo.

– Nie miałam czasu się zapisać – odpowiedziała Val, wzruszając ramionami.

– Byłam zajęta chodzeniem na zdjęcia próbne.

Szczęśliwym miesiącem okazał się sierpień. Vanessa zdążyła się już zainstalować w Nowym Jorku, pochłaniała ją praca w wydawnictwie, z niecierpliwością oczekiwała rozpoczęcia nauki. Mieszkała w hotelu Barbizon i właśnie tam pewnej ciepłej nocy odebrała telefon od Valerie szczebioczącej, że dostała rolę w horrorze.

– Czyż to nie wspaniale? – zapytała entuzjastycznie.

Van spojrzała na zegarek, była trzecia.

– Na czym polega twoje zadanie? – spytała, ziewając.

Właściwie to cieszyła się z telefonu siostry, żeby tylko nie czuła się taka senna.

– Chodzę dookoła planu, z oczu i nosa tryska mi krew.

– Cudownie – zakrztusiła się Van. – Kiedy zaczynasz?

– W przyszłym tygodniu.

– Fajnie. Czy rozmawiałaś już z mamą?

– Nie miałam czasu, zadzwonię do niej w tym tygodniu.

Obie siostry podejrzewały, że Faye nie zachwyci rola Valerie. Nigdy jej nie rozumiała, nigdy nie była z niej w pełni zadowolona. Do diabła z opiniami matki! Ona także nie od razu została gwiazdą. Na rok przed przyjazdem do Hollywood występowała w reklamach mydła i dzięki nim została zauważona.

Van popierała dążenia siostry i dlatego powstrzymała się od przypomnienia jej, że matka nie musiała robić z siebie idiotki, chodząc po scenie z krwawiącymi oczami i nosem.

– Jak ci się pracuje, Van?

Vanessa doskonale wiedziała, że Val zadała to pytanie jedynie przez grzeczność. Tak naprawdę to nie interesował jej nikt poza nią samą.

– Dobrze – odpowiedziała, ziewając znowu.

– Wiesz, ta robota jest w gruncie rzeczy nudna, ale poznałam miłą dziewczynę z Connecticut. Planujemy wynająć razem mieszkanie.

– Aha. – Valerie zbyła krótko informację. – Niedługo znowu do ciebie zadzwonię – dodała, kończąc rozmowę.

– Dziękuję. Uważaj na siebie.

Vanessa odłożyła słuchawkę. Przez chwilę rozmyślała o siostrze. Jak to możliwe, żeby bliźnięta nie miały ze sobą nic wspólnego? Jak to możliwe? Przecież przez tyle lat żyły pod jednym dachem i przez dziewięć miesięcy siedziały obok siebie w brzuchu mamy? Los spletał jej przykrego figła, obdarzając siostrą, z którą nie potrafiła się dogadać. Dlaczego Valerie nie była chociażby taka jak jej koleżanka z Connecticut?

Mniej więcej w tym samym czasie Anne poznała Gail. Wszystko zaczęło się, gdy Faye dała jej pieniądze na dwie pary nowych butów. Wybrała się wtedy na Rodeo Drive, spacerowała wzdłuż ulicy, oglądała wystawy, patrzyła na mijających ją przechodniów. W pewnej chwili dostrzegła dziewczynę jedzącą loda. Miała ładną, różową torebkę. Dziewczyna uśmiechnęła się do niej. Wówczas przypomniała sobie, że już raz ją widziała. Przed godziną, kiedy wstąpiła do Daisy na hamburgera. Anne odwzajemniła uśmiech, dziewczyna wydawała jej się zjawiskowo piękna. Miała miękkie kasztanowe włosy spływające prawie do pasa, łagodne brązowe oczy. Wyglądała na jakieś osiemnaście lat.

– Cześć, mam na imię Gail – zaczęła dziewczyna.

– Jestem Anne.

Rozmowa prawdopodobnie utknęłaby w tym punkcie, lecz Gail przejęła inicjatywę. Opowiadała o znakomitych skórzanych spódnicach, które widziała w Giorgio's, szykownych butach sprzedawanych w tym samym sklepie. Anne patrzyła na nią zachwyconym wzrokiem. Potem rozmowa skoncentrowała się na muzyce, Beatlesach, Elvisie Presleju, jazzie. W końcu poruszyły żelazny temat, szkołę.

– W przyszłym roku wybieram się do Westlake – powiedziała Gail.

– Naprawdę? Ja też tam idę! – krzyknęła Anne.

Cóż to za szczęśliwy przypadek. Następny, bo wcześniej okazało się, że dziewczyny były w tym samym wieku. Gail wyjaśniła szczerze, że przez rok nie chodziła do szkoły ze względu na kłopoty zdrowotne. Chorowała na anoreksję. Spotkanie to Anne odebrała jak uśmiech losu. Wreszcie będzie miała przyjaciółkę! Uznała, że w rewanżu za szczerość powinna powiedzieć również o sobie. Oczywiście nie wszystko. Nigdy i nikomu nie powie o dziecku, którego się wyrzekła.

– Uciekłam z domu i zawałam rok w szkole – brzmiało lapidarne wyjaśnienie.

– To fajnie! – Gail poczuła dreszczyk emocji przebiegający jej po plecach.

Anne starała się przybrać zblazowaną minę. Nowa przyjaciółka bardzo ją zaciekawiała, przedtem nikt nie określił ucieczki z domu jako „fajnej”.

– Co robiłaś na gigancie? – zapytała Gail, nie kryjąc fascynacji postępkiem Anne.

– Zamieszkałam na Haight-Ashbury.

– Jeżku – pisnęła Gail. – Naprawdę? Brałaś narkotyki?

Anne zawahała się przez moment.

– Słowo daję, nie ma w nich nic nadzwyczajnego – odpowiedziała wykrętnie.

Uważała inaczej, ale pamiętała, jak wysoką cenę zapłaciła za tych kilka miesięcy palenia trawki. Gail wydawała jej się bardzo miłą osobą, lecz było w niej coś, co nakazywało Anne powściągliwość w opowiadaniach o San Francisco. Może zbyt duża fascynacja jej, Anne, ucieczką? Miała wrażenie, że Gail pochodzi z bogatej bezkonfliktowej rodziny. Była taka otwarta i pewna siebie. W myślach porównywała ją do koleżanek ze szkoły i dochodziła do wniosku, że obracała się w nudnym, bezbarwnym środowisku. Właściwie to w szkole budziła coś na kształt niezdrowej sensacji. Prawie nikt z nią nie rozmawiał, ale każdego zżerała ciekawość, co przydarzyło jej się na Haight. Gail była zupełnie inna. Miała styl i na pewno bogatą osobowość.

– Jeśli chcesz, to obejrzymy buty w Giorgio’s – zaproponowała, wyrywając Anne z chwilowego zamyślenia.

Po wejściu do sklepu okazało się, że Gail miała w nim otwarty kredyt. Znali ją wszyscy sprzedawcy, obsługiwali ze szczególną uprzejmością. Nie ulegało wątpliwości, Gail musiała być kimś ważnym, zwykle kiedy nastolatki wchodziły do drogich, ekskluzywnych sklepów, obsługa starała się, by wizyta była jak najkrótsza. Tym razem, dzięki Gail, Anne dostała całą i uprzejme zaproszenie. Może coś będzie jej odpowiadać. W końcu, nie kupiwszy niczego, wyszły, chichocząc, odprowadzane uśmiechami i spojrzzeniami.

– Teraz pokażę ci buty, które ja oglądałam – powiedziała Anne.

Spędziły całe popołudnie, chodząc od sklepu do sklepu, przymierzając buty, ubrania, śmiejąc się i rozmawiając.

– Twoja mama musi często zaglądać do Giorgio’s, jeśli są tam dla ciebie tacy mili.

Gail zamilkła, patrzyła przed siebie.

– Moja mama dwa lata temu zmarła na raka. Miała trzydzieści osiem lat – rzekła cicho, patrząc Anne w oczy.

Anne doznała szoku. Nigdy przedtem nie słyszała podobnie potwornego wyznania. Natychmiast pomyślała o Faye, zdarzało się, że nienawidziła jej z całego serca, ale nie potrafiłaby sobie wyobrazić życia bez niej.

W oczach Gail malował się smutek i ból.

– Masz rodzeństwo? – zapytała Anne po chwili.

– Nie, tylko ojca. On nie ma nikogo poza mną i chyba dlatego trochę mnie psuje. Staram się nie wykorzystywać go, ale przyznaję, że czasami trudno mi się oprzeć pokusom. Lubię mieć to, czego pragnę – uśmiechnęła się.

– A mój ojciec popada w przygnębienie, gdy widzi mnie płaczącą.

– Biedny człowiek – skomentowała Anne, mając na myśli tatę Gail.

– Opowiedz mi o swoich rodzicach.

Anne nie cierpiała nawet o nich myśleć, a co dopiero opowiadać! Trudno. Gail była z nią szczerą, więc należało jej się to samo.

– Moi rodzice są w porządku.

– Dogadujecie się?

Anne wzruszyła ramionami. Nie wiedziała, co odpowiedzieć.

– Nie zawsze. Trochę za bardzo przejęli się moją ucieczką.

– Ufają ci teraz?

– Myślę, że tak.

– Uciekłaś jeszcze raz?

– Nie. – Anne pokręciła zdecydowanie głową.

– Masz rodzeństwo? – Gail była widocznie zaintrygowana nową znajomą.

– Dwie siostry i dwóch braci – odpowiedziała, przechadzając się między półkami kolejnego sklepu z butami.

– Szczęściara.

– Czyżby? Ja tak nie sądzę.

– Opowiedz mi o nich.

Anne westchnęła i przewróciła oczami.

– Mój najstarszy brat, Lionel, jest naprawdę okay. W tym roku kończy dwadzieścia jeden lat – mówiła, nie mając zamiaru wtajemniczać Gail w preferencje brata.

– Rzucił studia i teraz kręci film dla Foksa. – Wielkie słowo „Foks” wymówiła niedbałym tonem, czym zrobiła na Gail ogromne wrażenie. – Mój drugi brat, Greg, to palant, dostał się na Uniwersytet Alabama, bo

przyznano mu stypendium sportowe. Jest o rok młodszy od Li. Moje siostry są bliźniaczkami. Jedna właśnie wyjechała na wschód, do Barnarda. Druga została tutaj, ponieważ interesuje ją aktorstwo.

– Dobrze ci.

– Zawsze rozumiałam się z Lionelem... – Anne zrobiła pauzę, poszukując w pamięci odpowiednich słów – z innymi bywało różnie. Czasem dziwnie.

Ciekawe, że reszta rodzeństwa także uważała Anne za dziwną osobę. Gail kupiła dwie pary identycznych butów, różniących się tylko kolorem. Spojrzała na zegarek.

– Umówiłam się z ojcem o czwartej przy Beverly Wilshire. Może chciałabyś, żeby cię gdzieś podwieźć?

Anne nie była pewna, jak zareagować. Miała ochotę pojechać z Gail, ale...

– Nie chciałabym robić kłopotu.

– Przestań, mój tata uwielbia być uprzejmym.

Na przykład podwozić nieznanym paniom. Anne rozbroiła naiwność Gail. Może właśnie dlatego coraz bardziej ją lubiła. Odnajdywała w niej dawno przez siebie utraconą prostotę i świeżość.

Dziewczęta przeszły przez Wilshire Boulevard, zatrzymały się przed wejściem do luksusowego hotelu i oczekiwały na przyjazd ojca Gail. Gdy w końcu na horyzoncie zamajaczył wielki rolls-royce, na którego widok Gail pomachała ręką i podskoczyła kilka razy, Anne pomyślała, że to po prostu żart. Nie mogła uwierzyć, że ojciec jej koleżanki posiada tak imponujący samochód. Rolls zatrzymał się przy krawężniku, wysiadł z niego postawny mężczyzna o szerokich ramionach. Już wiedziała, do kogo była podobna Gail.

– Tato, to jest moja nowa koleżanka. W przyszłym roku idziemy do tej samej szkoły.

Ojciec popatrzył na Anne z przyjaznym uśmiechem, uściślił sobie dłonie. Bill Stein nie był oszałamiająco przystojny, ale miał dobre, ciepłe oczy i wzbudzał zaufanie. Był z zawodu prawnikiem, doradcą wielkich gwiazd Hollywood, więc rodzice Anne na pewno musieli go znać. Bill zabrał dziewczęta do Will Wrigth's na Sunset Boulevard, kupił po ogromnej porcji lodów i powiedział, że zamówił na wieczór stolik w Trader Vic's, gdzie wspólnie z Gail zjedzą obiad, a potem z przyjaciółmi pójdą do kina. Okazało się, że mają zamiar obejrzeć jeden z filmów Faye i War-da.

Anne, która nie przedstawiła się z nazwiska, napomknęła tylko, że już ten film widziała i całkiem jej się podobał. Siedząc przy kawiarnia-

nym stoliku, Anne nie mogła nie zauważyć, że Bill przez cały czas ją obserwuje, jak gdyby starając się odgadnąć, kim naprawdę była. Najdziwniejsze jednak, że wcale jej ta jawna inwigilacja nie przeszkadzała. Co więcej, miała poczucie bezpieczeństwa, którego rzadko z kim zaznawała.

Gdy podjechali przed dom Thayerów, Anne pożegnała się z Gail i Bilem, żałując, że musi się z nimi rozstać, ze smutkiem patrzyła na znikającego za rogiem szarego rolls-royce'a. Dała Gail swój numer telefonu, zaprosiła ją do siebie na jutro i miała nadzieję, że spotkanie dojdzie do skutku.

Po wejściu do domu stwierdziła z zaskoczeniem, że ojciec siedział w kuchni, zatopiony w lekturze gazety, z kieliszkiem wina w dłoni.

– Cześć, maleństwo! – krzyknął do córki.

Zakomunikował, że matka wróci za parę godzin i wtedy razem zjedzą obiad. Ucieszyła go radosna mina Anne.

– Co dzisiaj robiłaś? – zapytał.

Popatrzyła na niego przez chwilę, a potem wzruszyła ramionami.

– Nic szczególnego – odpowiedziała.

Odrzuciła się na pięcie, wyszła z kuchni i zniknęła za drzwiami swojego pokoju. Uśmiechnęła się do siebie, rozmyślając o nowej koleżance.

Rozdział dwudziesty dziewiąty

Kobiecey hotel Barbizon był dla Vanessy domem od jej pierwszego dnia w Nowym Jorku. Znajdował się w przyjemnej, bezpiecznej okolicy. Przyzwoicie wyposażony, miał nawet basen i kafejkę umieszczone na parterze budynku. W tym samym hotelu mieszkała Louise Matthinson, nowa przyjaciółka Van, z którą spędzała weekendy na Long Island. Postanowiły zamieszkać razem, znalazły lokum na West Side. Vanessa prorokowała, że Ward i Faye umarliby z wrażenia, widząc miejsce, w jakim znalazła się ich córka. Jednak dom miał wielką zaletę. Był o kilka kroków od uniwersytetu, a w pobliżu mieszkało mnóstwo studentów. Dziewczęta wprowadziły się na miesiąc przed rozpoczęciem nauki, zagospodarowały i ustaliły podział zajęć domowych.

Upalnego sierpniowego popołudnia, stwierdziwszy, że stara winda znowu nie działa, Vanessa wspinała się na trzecie piętro objuczona torbami z zakupami. U szczytu schodów spostrzegła nieznanego mężczyznę,

wysokiego, o miłej twarzy i rudawych włosach. Miał na sobie bawełnianą podkoszulkę i szorty. W rękę trzymał plik papierów.

– Może ci pomóc? – zagadnął.

Dziewczyna już miała zamiar podziękować za uprzejmość, lecz nieznajomy wydawał jej się interesujący. Miał inteligentne spojrzenie. Może to mężczyzna jej marzeń? Typ intelektualisty, na którego bezowocnie usiłowała natrafić, pracując w wydawnictwie Parkera. Przede wszystkim zaciekaiała ją teczka z papierami. Pomyślała, że musi to być jakiś rękopis.

W trakcie dalszej rozmowy okazało się, że nie myliła się w swych przewidywaniach.

– Jesteś nową lokatorką? – zapytał, zabierając od Van ciężkie torby i podążając za nią do mieszkania.

Widział ją wcześniej. Mieszkał w tym domu od kilku lat, to znaczy od kiedy rozpoczął studia. Nawet po ich skończeniu nie chciał mu się szukać innego mieszkania. Na samą myśl o przeprowadzce dostawał straszego bólu głowy. Przerażała go perspektywa przenoszenia w inne miejsce swych wszystkich drogocennych papierów, też pracy doktorskiej. W planach miał pisanie sztuki teatralnej.

– Wprowadziłam się tutaj dwa tygodnie temu razem z przyjaciółką.

– Zamierzasz pisać pracę magisterską?

Był znawcą studentek, zwykle bezbłędnie rozpoznawał ich wiek. Nic dziwnego, obracał się w środowisku już od sześciu lat i przez ten czas przez jego życie przewinęło się wiele z nich. Vanessa spojrzała na niego ubawiona, cieszyło ją, że wyglądała poważnie.

– Nie, zaczynam studia. Będę na pierwszym roku, ale dzięki za komplement.

Uśmiechnął się, pokazując ładne, równe zęby.

– Nie ma za co. Mam nadzieję, że się jeszcze kiedyś spotkamy.

– Jeszcze raz dziękuję za pomoc.

Nieznajomy wyszedł.

Wieczorem, siedząc przed lustrem, Van opowiedziała Louise o spotkaniu z mężczyzną.

– Z tego, co mówisz, wynika, że ten facet musi być bardzo miły. Ile ma lat?

– Nie wiem, ale chyba sporo. Wspomniał coś o doktoracie, miał nawet ze sobą rękopis.

– Może tylko chciał zrobić na tobie wrażenie?

– Nie sędzę. Pewnie ma około dwudziestu pięciu lat.

Louise natychmiast skreśliła go z listy swych zainteresowań.

Sama niedawno skończyła osiemnaście lat i gustowała co najwyżej w dziewiętnastolatkach. Dwadzieścia pięć lat oznaczało dla niej kogoś w rodzaju emeryta.

Niedaleka przyszłość pokazała, że Van nie myliła się zbyt co do wieku nieznanego. W rzeczywistości miał dwadzieścia cztery lata. Louise i Van spotkały go wieczorem, gdy wracały z weekendu w Quogue. Właśnie podjechał przed dom wysłużonym MG, a one wysiadły z taksówki, która przywiozła je z Penn Station. z bagażnika samochodu wyciągały torby, rakietki tenisowe, kapelusze, aparat fotograficzny.

– Hej, może wam pomóc? – zawołał, jednocześnie uświadamiając sobie, że nie zna imion dziewcząt.

Podszedł do taksówki, wziął większość bagażu. Idąc wąskimi, stromymi schodami, wykonywał karkołomne ewolucje, by się z nim zmieścić. Vanessa podążała tuż za nim, co chwila dziękując, starając się pomóc. Mężczyzna miał wtedy okazję stwierdzić, że sąsiadka oprócz pięknych nóg, co zauważył wcześniej, miała także śliczne zielone oczy i blond włosy w najjaśniejszym odcieniu, jaki kiedykolwiek widział. Kiedy wreszcie dotarli na trzecie piętro, nieco zdyszany, zapytał:

– Zawsze zabieracie ze sobą tyle rzeczy?

Louise popatrzyła na niego zakłopotana i weszła do mieszkania.

– Może miałabyś ochotę wstąpić do mnie na kieliszek wina? – zaproponował, korzystając z chwilowej nieobecności Lou.

Vanessa nie wiedziała, co odpowiedzieć. Bardzo jej się podobał, ale przecież go nie знаła. Nie miała zwyczaju odwiedzać mężczyzn w ich mieszkaniach. Wydawało jej się to zbyt jednoznaczne, poza tym wiele słyszała o podrywaczach wykorzystujących młode, naiwne studentki. Widocznie wahanie i wątpliwości malowały się na twarzy Van, bo nieznanomy pospieszył z zapewnieniem:

– Przysięgam, że cię nie zgwałcę.

Van zaczerwieniła się.

Mężczyzna zastanawiał się, ile miała lat. Wyglądała na dwadzieścia jeden, ale skoro dopiero zaczynała studia, to mogła mieć dwadzieścia, a może nawet dziewiętnaście? Przyglądał się jej, dochodząc do wniosku, że ta mała coraz bardziej go intryguje. Była niezwykle delikatna, subtelna, czyli dokładnie w jego typie.

Van znalazła kompromisowe wyjście, zaprosiła go na piwo. Louise dotrzymania im towarzystwa. Mężczyzna zgodził się, chociaż piwo nie było tym, co tygrysy lubią najbardziej. Wszedł do środka. Rzucił okiem na kwiaty, czasopiśma. Na dłużej zatrzymał wzrok na fotografii przedstawiającej grupę ludzi, stojącą w pobliżu basenu. Wśród nich była jego nowa znajoma.

– To moja rodzina – wyjaśniła Van, widząc zaciekawienie na twarzy mężczyzny.

Nie miała zamiaru wprowadzać go w szczegóły, lecz wtedy z kuchni wyłoniła się Louise.

– Zainteresuj się, kim jest jej mama.

Vanessa zrobiła się czerwona jak burak. Nienawidziła wychodzić na chwalipiętę. Niestety, było za późno. Lou wywołała reakcję łańcu- chową.

– No – młody człowiek z rudawymi włosami uśmiechnął się do Van – kim jest twoja mama?

– Wampirem, a twoja?

– ... i co dalej?

– Chcesz jeszcze piwa?

– Jasne. Spojrzał na rodzinną fotografię. Próbował przypomnieć sobie, kim mogła być pani uśmiechająca się do obiektywu.

– Powiesz mi, kim jest twoja mama, czy będę musiał sam zgadnąć?

– No dobra, wielkie rzeczy, moją mamą jest Faye Thayer.

Mówienie o matce wprawiało ją w zakłopotanie. Obawiała się, że ludzie będą się po niej spodziewać czegoś szczególnego. A jeżeli Van okaże się przeciętną dziewczyną, będą skłonni ją krytykować.

– Podobają mi się niektóre jej filmy – rzekł, kiwając głową.

– Mnie również – przyznała Vanessa. Odetchnęła, że temat matki zakończył się na wymienieniu nazwiska i kilku zdawkowych uwag. – Jak ty właściwie masz na imię?

– Jason Stuart. Kim są pozostałe osoby ze zdjęcia? – zapytał.

– Moi bracia i siostry.

– Spora gromadka.

Zupełnie co innego niż w przypadku Jasona, jedynego syna adwokata z New Hampshire. Jego rodzice byli już starszymi ludźmi, ojciec prowadził małe biuro prawne i zamierzał jeszcze bardziej ograniczyć działalność.

Chodząc do szkoły średniej, Jason rozważał nawet możliwość studiowania prawa i przejęcia praktyki ojca, w końcu jednak zdecydował się na literaturę. Po doktoracie napisze sztukę teatralną, zwierzył się Vannessie ze swych marzeń, pijąc trzecie piwo. W budynku panował potworny upał, więc gdy Louise poszła spać, Jason zaproponował Van spacer po Riverside Drive. Idąc wolno, noga za nogą, opowiadali sobie o Nowej Anglii, skąd wywodził się Jason, i Beverly Hills, gdzie wychowała się Van.

– Jesteśmy z dwóch różnych światów – rzekł Jason, patrząc na dziewczynę.

Wydawała mu się bardzo dojrzała jak na swój wiek, spokojna, bezpretensjonalna.

– Mam siostrę bliźniaczkę, ona też jest z innego świata niż ja. Wszystkim, czego pragnie, jest zostać wielką gwiazdą filmową. Właśnie dostała rolę w horrorze, a jej zadanie polega na opryskiwaniu aktorów krwią lejącą się jej z uszu.

Jason zrobił zabawną minę. Roześmiali się oboje.

– Chciałbym napisać sztukę, ale za żadne skarby nie chciałbym w niej zagrać.

Vanessa pomyślała przez chwilę o Lionelu. Doszła do wniosku, że bardzo by się polubili z Jasonem. W pewien sposób byli do siebie podobni.

– Mój brat także robi filmy.

– Cóż za rodzina – skomentował Jason z podziwem.

– Tak, jesteśmy trochę nietypowi, z rodzicami została już tylko Anne, reszta się wyprowadziła i żyjemy na własny rachunek.

Biedna Anne z jej ciemnymi wspomnieniami z Haight, obciążona cierpieniami urodzenia i pozbycia się przypadkowo poczętego dziecka. Vanessa nigdy nie rozumiała swej najmłodszej siostry. Czasami jej współczuła, ale nie pojmowała, co mogło rozgrywać się w jej głowie. Anne, cała rodzina, Kalifornia wydały jej się nagle bardzo odległe. Kiedy się znowu spotkają, kiedy znowu razem usiądą przy stole? Może na Boże Narodzenie?

– Lubisz swoją rodzinę? – zapytał Jason.

– Nie wszystkich – przyznała szczerze.

Nie zamierzała opowiadać mu zbyt dużo, na przykład o Lionelu albo Anne, lecz nie chciała także kłamać.

– Mój najstarszy brat jest bardzo fajny.

Zamyśliła się. Szanowała Li za życie w zgodzie z samym sobą, rozumiała, jak wiele wymagało to odwagi.

– Ile ma lat?

– Dwadzieścia jeden, ma na imię Lionel, drugi brat, Greg, ma dwadzieścia lat, później jest osiemnastoletnia Val, moja bliźniaczka, oraz Anne, piętnastolatka.

– Rodzice nie marnowali czasu – skomentował z uśmiechem Jason. Van odpowiedziała tym samym. – Może zjedlibyśmy jutro razem lunch? – zapytał, stojąc pod drzwiami na trzecim piętrze.

– Nie mogę, jutro pracuję.

– Mógłbym po ciebie przyjechać.

W gruncie rzeczy planował spędzić cały dzień w domu na pisaniu, lecz nie mógł oprzeć się pokusie pobycia w towarzystwie Vanessy.

- Ale czy to nie sprawi ci kłopotu?
- Sprawi, oczywiście, ale cię lubię i mogę sobie pozwolić na zbumelowanie godzinki albo dwóch.
- Dzięki, cześć – powiedziała Van, znikając za drzwiami swego mieszkania.

Nazajutrz Jason przyszedł po nią do recepcji Parkera. Najpierw poszli na długi spacer, a potem do restauracji ze zdrową żywnością i zamówili kanapki z avocado. Mieli sobie wiele do powiedzenia. Jason okazał się interesującym rozmówcą, poważnie myślącym o życiu. Przedkładał pisanie sztuk teatralnych nad pisanie scenariuszy filmowych. Namawiał Van, aby porzuciła pomysły pisania scenariuszy i wzięła się za teatr.

– Dlaczego? – zapytała. – Bo ty uważasz to za lepsze? Scenariusze wcale nie muszą być głupie ani mniej ciekawe od sztuk. Wszystko zależy od autora. Jasonowi bardzo zaimponowało, że Van broniła swoich przekonań. Zaproponował, żeby zjedli razem kolację.

– Nie mogę, obiecałam Louise, że spotkamy się ze znajomymi.

Trudno, nie chciał być natarczywy. A może w życiu Van był ktoś inny? Gdyby tylko zdobył się na odwagę i poszedł z nią na spotkanie z przyjaciółmi, to wtedy sytuacja przedstawiałaby się o wiele jaśniej. Tak, ale może jego zachowanie byłoby odebrane jako napastliwość?

Wieczorem w małej restauracyjce na Houston Street Vanessa i jeszcze kilka osób zasiedli do spaghetti. Nie wiadomo, czy kolacja przeciągała się w nieskończoność, czy Van była znudzona rozmową znajomych, w każdym razie jej myśli krążyły wokół Jasona. Jej manipulacje przy drzwiach mieszkania były dość hałaśliwe. Miała nadzieję, że zwróci to uwagę sąsiada i będzie mogła jeszcze dziś zobaczyć Jasona. Niestety, podstępny manewr okazał się nieskuteczny. Dziewczyna nie wiedziała, że jej intelektualista postanowił nieco zwolnić tempo. Stan zawieszenia trwał aż do połowy następnego tygodnia, wówczas to Jason dostrzegł Van wracającą z pracy.

– Jak się miewasz? – zagadnął ją na schodach.

Twarz dziewczyny rozjaśniła się w uśmiechu, już myślała, że całkiem o niej zapomniał.

– Świetnie. A jak tam twoja sztuka?

– Żadnych postępów. Cały czas pisałem ten cholerny doktorat.

W planach miał jeszcze podjęcie pracy na pół etatu w szkole dla chłopców. Potrzebował pieniędzy, ledwie wiązał koniec z końcem. Praca na pewno odbije się na pisaniu, ale cóż, samą sztuką żyć się nie da. Bez wątplenia Jason należał do ludzi bardzo poważnie podchodzących do życia, a teraz na horyzoncie jego żywotnych zainteresowań pojawiła się Vanessa. Tym razem nie marnował czasu

na trzymanie się strategii i zaprosił ją na obiad do małej włoskiej restauracji w centrum miasta. Własne towarzystwo, dobre jedzenie i czerwone wino wprawiło ich w zadowolenie. Po wyjściu z lokalu postanowili przejść się kawalek, dla ochłody. Było już dobrze po pierwszej, okolica nie robiła wrażenia spokojnej, więc Van instynktownie przysunęła się do Jasona. Ten opiekuńczym gestem otoczył ją ramieniem, a na dziewczynę spłynęło błogie poczucie bezpieczeństwa. Wolno stąpali po schodach wiodących na górę, jakby podświadomie opóźniając moment rozstania. Wreszcie stanęli przed drzwiami mieszkania Jasona.

– Wejdiesz na drinka?

Vanessa już czuła się wstawiona i podejrzewała, czym zakończyłaby się wizyta. Nie była przygotowana na tego rodzaju doświadczenia.

– Nie, Jason, dzięki, nie dzisiaj – odmówiła grzecznie.

Był wyraźnie rozczarowany.

Van poszła do siebie. Kładąc się do łóżka, jeszcze raz pomyślała o Jasonie. Po raz pierwszy w życiu zdarzyło jej się pragnąć kogoś. Do tej pory nie angażowała się w żadne związki, a już z pewnością nie szła na całość jak, na przykład, Valerie. Aż tu nagle doświadczała obcego jej uczucia – pożądania! Czyżby Jason stawał się dla niej kimś ważnym?

Przez następne dni, metodą prób i doświadczeń, usiłowała odpowiedzieć sobie na to niepokojące pytanie. Chciała mieć pewność. Rzuciła się w wir spotkań z przyjaciółmi, nawet poszła na lunch z szefem. Facet najwyraźniej miał na nią chętkę, lecz Vanessa demonstracyjnie odsuwała się od niego, gdy tylko pozwalał sobie choćby na najmniejszą poufalskość. Bez względu na to, z kim była, przystojny pan o imieniu Jason ciągle stał jej przed oczami. Spotkała go dopiero w sobotę. Weszła do pralni, taszcząc torby wypchane ubraniami. Jason już tam był.

– Jak leci, dziecinko? – zapytał, kładąc nacisk na ostatnie słowo.

Van udała, że nie zrozumiała prowokacji zawartej w pytaniu mężczyzny.

– Okay – odpowiedziała. – Działania bohaterów posuwają akcję do przodu? – zdecydowała się podtrzymać rozmowę,

– Nie bardzo. I im, i mnie przeszkadzają upały.

Ostatnie dni Jason spędził na dachu, opalając się i czytając. Nie skorzystał z zaproszenia rodziców na krótkie wakacje w New Hampshire. Nie lubił tamtego miejsca, wydawało mu się okropnie nudne. Nie to co Nowy Jork ze wszystkimi swymi pokusami!

Jakże mógłby opuścić mieszkanie teraz, gdy zaledwie jedno piętro niżej mieszkała pokusa nie mająca sobie równych w całym pulsującym życiu mieście. Nigdy tak się nie zdarzyło, aby jakaś kobieta miała na niego podobnie stymulujący wpływ.

– Na razie, dzieciaku – powiedział krótko, wychodząc.

Bał się, że uczucia miał wypisane na twarzy. Nie chciał, aby zostały wykryte w jakimś mało stosownym momencie. Po godzinie usłyszał kroki na schodach. To musiała być Vanessa.

– Może wpadniesz coś przegryźć? – zapytał, gestem zapraszając do środka.

Van postawiła na podłodze torbę z praniem, zastanawiała się, dokąd zmierzał Jason. Czy miała być kolejną zdobyczą, czy może kimś wyjątkowym?

– Ja... to znaczy... z przyjemnością – wykrztusiła wreszcie.

Zgodziła się z obawy, że Jason w końcu zniechęci się jej niezdecydowaniem, z drżącym sercem przekroczyła próg mieszkania. Czuła się odrobinę dziwnie. Jason odstawił torbę z bielizną. Przyniósł ją blisko ściany, tak że nie zachodziła obawa, iż osobiste rzeczy Van zaczną wypadać, uprawiając właścicielkę w zakłopotanie.

Poczęstował ją kanapkami z tuńczykiem i lemoniadą. Początkowe napięcie zaczęło stopniowo opadać. Vanessa rozmawiała ze swadą, pojadała chrupki.

– Lubisz Nowy Jork? – zapytał Jason.

Nie spuszczał z niej oczu. Działo się między nimi coś fascynującego, i to w oszałamiającym tempie. Za oknem rozszalała się burza, świat utonął w deszczowej powodzi, a pokój Jasona był naelektryzowany zmysłowością dwóch przebywających w nim osób.

– Och tak, bardzo.

– Dlaczego?

– Nie wiem, po prostu cieszę się, że jestem tutaj.

– Ja też.

Przeszył ją lekki dreszczyk. Nagle Jason przyciągnął Vanessę do siebie, a ona poddała się jego pragnieniu. Dotyk jego dłoni, które w piśszczocie obrysowywały zarys jej bioder, był pewny i delikatny zarazem. Tak delikatny, że dziewczyna ledwie orientowała się, co się działo. Całowali się, leżąc na kanapie. Dłonie Jasona rozpoczęły wędrówkę po ciele Van i posuwały się coraz niżej, aż znalazły się między jej udami.

– Nie, proszę, nie – jęknęła Vanessa, patrząc na Jasona przerażonym wzrokiem.

Nic z tego nie rozumiał. Wyglądał na urażonego.

– Ja, po prostu, nigdy...

Ach, no jasne... Jason wziął ją w ramiona i mocno przytulił. Van wdychała zapach jego ciała. Co to było? Mydło cytrynowe, woda kolońska, a może

coś innego... Nieważne co, pachniało cudownie. Jason podparł głowę na łokciu, patrzył dziewczynie w twarz, teraz rozumiał jej obawy i tym bardziej jej pragnął.

– Nie zdawałem sobie sprawy – powiedział łagodnie, tonem usprawiedliwienia. – Wołałabyś, żebyśmy odłożyli to na później?

Vanessa wiedziała, że dawał jej czas. Była to dla niej ostatnia szansa, żeby się wycofać, z wolna pokręciła głowę, nie chciała niczego odkładać, ani minuty dłużej. Jason przeniósł ją na łóżko w sypialni, delikatnie zdjął z niej ubranie. Nagi położył się koło niej. Pieścił i całował całe jej ciało, centymetr po centymetrze. Poza nimi nie było już nikogo na świecie, zdawało im się, że płyną w powietrzu. Ich oddechy i bicie serc zlewały się, aż w końcu stali się jednością... Potem długo leżeli przytuleni do siebie, zasłuchani w krople deszczu uderzające o parapet, Vanessa uśmiechnęła się do Jasona, a on znowu był gotowy do miłości. Wodził ustami po jej ciele, coraz niżej i niżej. Pieścił najczulsze miejsce, aż otworzyła przed nim swe ciało. Wtedy wszedł w nią po raz drugi i przeniósł w świat nieprzeczuwanych przeżyć.

Rozdział trzydziesty

Akcja! – po raz jedenasty wykrzyknął reżyser. Valerie znowu udała się na przechadzkę wokół sceny, strasząc strużkami krwi spływającymi jej po policzkach i sączącymi się z nosa. Jeżeli ujęcie się nie udało, Val musiała zmywać czerwoną farbę i zaczynać całą operację od nowa. Było to jedno z najbardziej nużących zajęć, jakich się podjęła, ale wykonywała je z wielką starannością, traktując jako etap do sławy. Pewnego dnia wszystko się zmieni, nikt nie będzie nią dyrygował. A partnerować będą jej najlepsi. Na przykład Robert Redford, może Dustin Hoffman...

Reżyser po raz dziewiętnasty krzyknął: „Akcja!” i Val po raz dziewiętnasty przemaszerowała z zakrwawionym obliczem. Farba mieszała się z makijażem, tworząc na twarzy Valerie obrzydliwą papkę. Reżyser zwyzyślał charakteryzatora z powodu źle dobranej konsystencji kosmetyków, wrzasnął: „Cięcie”! Faye, obserwująca poczynania córki, schowała się za kuliszy. Było jej wstyd. Valerie w rozmowie z ojcem określiła swoją rolę jako małą i bez znaczenia. Rzeczywistość okazała się gorsza, rola była po prostu żalonna.

– Szkoda, że Val nie robi niczego przyzwoitego ze swoim życiem. Dlaczego nie chce się uczyć?

– Może coś z niej będzie. Tobie się udało, Faye.

– Ja zaczynałam prawie trzydzieści lat temu. Czasy się zmieniły.

– Ale zawsze od czegoś trzeba zacząć – mitygował Ward żonę, mając wrażenie, że jest nadto krytyczna.

– Zgoda, ale ona nawet nie umie się poruszać!

– Ciekawe, czy byłabyś lepsza, mając oczy pokryte farbą. Osobiście uważam, że Val całkiem nieźle sobie radzi.

– A ja uważam, że robi z siebie idiotkę – zaproponowała Faye.

Natychmiast po uporaniu się z pierwszą rolą, Val otrzymała kolejną propozycję, utrzymaną dokładnie w tym samym stylu. Oczywiście przeczytała to sobie za ogromny sukces. Matka nie podzielała jej entuzjazmu, postanowiła więc delikatnie wypytać córkę, czy granie w horrorach rzeczywiście ją zadowala. Słyszając pytanie Faye, Valerie dosłownie eksplodowała gniewem.

– Ty zaczynałaś od płatków mydlanych i owsianki, ja zaczynam od krwi, ale w gruncie rzeczy chodzi o to samo. Pewnego dnia, jeśli tylko będę chciała, osiągnę to samo co ty – oznajmiła buńczucznie, rzucając nienawistne spojrzenia.

Patrząc na spierające się kobiety, Ward skłaniał się do opowiedzenia po stronie Valerie. Jego biedna, mała córeczka tak desperacko chciała dorównać matce, że płaciła za to ogromną cenę. Szkoda mu było ambitnej Val. W przeciwieństwie do siostry, Anne przeżywała dni prawdziwego rozkwitu, zaakceptowała szkołę, była spokojniejsza, dojrzałsza. Miała przyjaciółkę, z którą spędzała dużo czasu. Wreszcie nie czuła się osamotniona. Ward otarł się kiedyś o Billa Steina, ojca koleżanki Anne, i miał o nim jak najlepsze zdanie. Fakt, że nazbyt rozpieszczał swoją córkę był zrozumiały, jeśli wziąć pod uwagę, że poza nią nie miał nikogo na świecie. Anne z pewnością przypadła mu do serca, bo traktował ją na równi z Gail.

– Jesteś dla mnie naprawdę dobry, Bill – powiedziała któregoś dnia, ciągle trochę onieśmielona bezpośrednią formą, w jakiej się do niego zwracała. Cóż, Bill jej na to pozwolił, a właściwie to nawet poprosił.

– Dlaczego miałbym być inny? Jesteś miłą osobą, Anne. Lubię twoje towarzystwo.

– Kocham was oboje, ciebie i Gail.

Słowa popłynęły wprost ze skołatanego serca Anne. Bill popatrzył jej głęboko w oczy, jak zwykle ujrzał w nich smutek. Nie znał dokładnie historii jej życia, wiedział, że około dwóch lat temu uciekła z domu

i zamieszkała w komunie na Haight, zastanawiał się, co jej się tam mogło przytrafić. Raz nawet zapytał o to Gail, ale ona także nie знаła szczegółów.

– Anne nigdy o tym nie mówi, tato. Naprawdę niczego nie wiem. Sądzę, że rodzice niezbyt miło ją traktują.

– Też tak podejrzewam.

– Nie chodzi o to, że są dla niej wredni albo coś w tym stylu. Ich po prostu nigdy nie ma w domu. Nikogo nie ma, bo jej siostry i bracia są już dorośli i mieszkają osobno, więc Anne siedzi sama, ewentualnie z gospożą, zazwyczaj nawet samotnie jada, ale twierdzi, że zdążyła się do tego przyzwyczaić.

– Może z nami będzie jej weselej – podsumował sentencjonalnie Bill.

Ojciec i córka wzięli Anne pod swe opiekuńcze skrzydła. Otoczona ich miłością i troską zaczęła rozkwitać jak piękny kwiat. Bill uwielbiał patrzeć na zajęte sobą dziewczęta. Obserwował je podczas wspólnego odrabiania lekcji, rozmów, gdy żartowały albo nurkowały w basenie. Robił im niespodzianki, obdarowywał upominkami, zachowywał się wedle porzekadła, że życie jest krótkie i trzeba z niego korzystać. Sens tej mądrości pojał dopiero po śmierci żony. Właśnie o niej myślał, kiedy pewnego ciepłego, jesiennego dnia siedział z Anne na brzegu basenu.

– Czasami popadasz w głęboką zadumę, Anne. O czym wtedy myślisz?

– O niczym szczególnym – odparła wymijająco. Nie chciała, aby Bill znał treść jej myśli.

– Dni spędzone na Haight? – pytał dalej.

Anne podniosła wzrok na Billa, ich oczy się spotkały. Na twarzy dziewczynki malowało się cierpienie, którego przyczyn Bill nie znał, a pragnął poznać, bo Anne była mu równie bliska jak jego własna córka.

– Coś w tym rodzaju – zaczęła dziewczynka ostrożnie, aby już po chwili otworzyć swą duszę bardziej, niż zamierzała. – Wyrządziłam krzywdę komuś, na kim bardzo mi zależało. Nie potrafię przestać myśleć o tym zdarzeniu.

Po policzkach spływały jej łzy. Bill wyciągnął do niej rękę w przyjacielskim geście, oczy mu zwilgotniały.

– Ja nikomu nie wyrządziłem krzywdy, ale straciłem kogoś, kto był mi najdroższy. Może więc doświadczyliśmy tego samego? A może to nawet lepiej, jeżeli rozstajemy się z kimś z własnej woli?

Bill zastanawiał się, co wydarzyło się w krótkim życiu Anne, że tak bardzo to nią wstrząsnęło. Przecież Anne i Gail wydawały się radosnymi,

beztroskimi nastolatkami. Ich młodzieńczy entuzjazm wywoływał uśmiech na jego twarzy.

– Śmierć żony musiała być dla ciebie straszna – rzekła Anne z niezwykłą u tak młodej osoby powagą.

– To prawda – przyznał, zaskoczony obrotem rozmowy. – To była najgorsza rzecz, jaka mnie spotkała – dodał, wiedząc już, że Anne potrafi zrozumieć cudze cierpienie.

– Bardzo podobnie było ze mną.

Poczuła, że ma ochotę zwierzyć się Billowi. Powstrzymała ją świadomość, że mogłoby to oznaczać koniec przyjaźni z Gail. Czasami lepiej zachować dyskrecję.

– Co ci się przydarzyło?

Anne nie odpowiedziała, popatrzyła tylko Billowi w oczy. Pomyślała o swoim synku, którego nigdy nie widziała, nie miała pojęcia, co się z nim dzieło, czy się normalnie rozwijał...

– Przepraszam, Anne, nie chciałem być wścibski.

Przytulił ją mocno, a ona w jego ramionach poczuła się bezpiecznie. Chwilę później na horyzoncie pojawiła się Gail z lunchem dla wszystkich. Na jej widok Anne nieco się zmieszała, co nie uszło uwagi przyjaciółki. Przez kilka następných dni Gail nawet trochę uważniej niż zwykle ją obserwowała, ale nie zauważyła niczego szczególnego. W końcu dziwne zachowania, częste zmiany nastroju to w przypadku Anne rzecz zupełnie zwyczajna. Uspokojona, nadal umawiała się z przyjaciółką. Pewnego dnia Anne przybyła na spotkanie wcześniej, niż było planowane, w ten sposób nadarzyła się kolejna okazja pobycia sam na sam z Billem. Mężczyzna, zaskoczony wizytą, poprosił Anne o chwilę cierpliwości, a sam poszedł wziąć prysznic. Gdy wrócił, zastał dziewczynę zatopioną w lekturze czasopisma. Anne bez słowa odłożyła gazetę, wstała i podeszła do niego. Bill wziął ją w ramiona i pocałował namiętnie.

– O Boże, Anne, przepraszam cię. Nie wiem, co się ze mną dzieje – usiłował się tłumaczyć.

Anne w odpowiedzi pocałowała go jeszcze goręcej, wsunęła ręce pod szlafrok Billa i powiodła dłońmi po jego ciele. Mężczyzna, zupełnie oszołomiony gwałtownością dziewczyny, ujął jej dłonie, pocałował delikatnie koniuszki palców. Stało się dla niego jasne, że Anne nie były obce sprawy seksu. Świadczyła o tym umiejętność, z jaką rozpałiła jego zmysły. Anne i Bill. Szesnastolatka z ojcem najlepszej przyjaciółki! Czyżby obłęd!

– Musimy porozmawiać – rzekł Bill rzeczowo, szczerze owijając się szlafrokiem. – Nie wiem, co się ze mną dzieje.

– Ja wiem, co dzieje się ze mną – stwierdziła Anne cicho. – Zakochałam się w tobie.

Tak wyglądała prawda. Anne kochała czterdziestodziewięcioletniego faceta! Było między nimi, bagatelka, trzydzieści trzy lata różnicy!

– Ja też cię kocham, ale nie pozwolę, żeby do czegokolwiek między nami doszło – stwierdził przytomnie.

Anne zakreśliły się łzy w oczach, przestraszyła się, że Bill odrzucił jej miłość. Nie przeżyłaby tego. Już i tak za dużo przeszła, więcej było ponad jej siły.

– Dlaczego nie? Co w tym złego? Inni ludzie też się w sobie zakochują.

– Oczywiście, ale nie zapominaj o różnicy wieku między nami.

Trzydzieści trzy lata różnicy, a na dodatek Anne była niepełnoletnia... Może wyglądałoby to inaczej, gdyby dziewczyna miała dwadzieścia lat, a jej wybranek pięćdziesiąt trzy i nie był ojcem najlepszej przyjaciółki, może...

– Nieprawda, historie jak nasza również się zdarzają – mówiła Anne, z determinacją potrząsając głową. – Kochałabym cię, nawet gdybyś był sto lat starszy. Kocham cię, nie pozwolę ci odejść.

Bill uśmiechnął się leciutko, pocałował Anne, rozkoszując się smakiem jej ust i cudowną delikatnością skóry. Jako prawnik doskonale wiedział, że uprawianie seksu z nieletnią uznawano za gwałt, nawet jeśli odbywało się za przyzwoleniem.

– Powiedz, Anne, robiłaś to już wcześniej? Bądź ze mną szczerą, potrafię dużo zrozumieć – poprosił Bill.

– Tak, ale całkiem inaczej. To stało się kiedy... kiedy byłam w Haight – wyznała, zakłopotana. Nie miała pojęcia, jak wytłumaczyć Billowi to, co tam widziała i czego doświadczyła. – Ja... to znaczy...

– Nie musisz mi niczego mówić, jeśli nie chcesz – przerwał, widząc zmieszanie dziewczyny.

– Chcę, żebyś wiedział. – Zdecydowała, że zda mu lakoniczną relację. – Mieszkałam w komunie, brałam LSD, zdarzały się też inne rzeczy, ale głównie brałam kwas, paliłam marihuanę. Grupa, z którą mieszkałam, uprawiała dziwne praktyki.

– Zgwałcili cię? – zapytał przerażony.

Anne wolno pokręciła głową, przez cały czas patrząc Billowi w oczy, za wszelką cenę chciała być z nim szczerą.

– Nie, zrobiłam to, bo chciałam, ze wszystkimi. Niewiele z tego pamiętam, bo ciągle byłam odurzona. Nie wiem już sama, co było jawą, a co złudzeniem. Kiedy przyjechali po mnie rodzice, byłam w piątym miesiącu

cięży. Trzydzieści miesięcy temu urodziłam dziecko. Rodzice zmusili mnie do zrzeczenia się praw rodzicielskich. Nigdy nie widziałam mojego synka. Oddałam dziecko i to był mój największy błąd. Nigdy sobie nie wybaczę. Nigdy! Codziennie dręczą mnie pytania bez odpowiedzi: gdzie jest moje maleństwo, czy mu dobrze, czy jest zdrowe...?

– Słusznie postąpiłaś, Anne. Inaczej zrujnowałabyś sobie życie – rzekł Bill, przejęty opowieścią.

– Tak samo mówią moi rodzice – westchnęła. – Nie mają racji.

– A co ty zrobiłabyś z dzieckiem?

– To, co robi każda matka – powiedziała Anne łamiącym się głosem. – Nie powinnam była go oddawać.

Bill już zamierzał pocieszyć ją, mówiąc, że kiedyś jeszcze będzie miała inne dzieci, lecz w tym momencie dał się słyszeć zgrzyt klucza w zamku i w drzwiach ukazała się Gail. Anne i Bill uśmiechnęli się do niej niewinnie. Przez następne dwa miesiące spotykali się ukradkiem, rozmawiali, chodzili na spacer. Gail niczego nie była świadoma i Anne miała nadzieję, że jej przyjaciółka nigdy niczego nie odkryje. Bardzo siebie pragnęli, lecz ich związek pozostawał platoniczny, zaplanowali, że kiedy Gail wyjedzie na Boże Narodzenie do babci, Anne powie rodzicom, iż święta spędzi ze Steinami. Wtedy nareszcie będą mogli być tylko we dwoje.

Rozdział trzydziesty pierwszy

Sporo czasu upłynęło, nim Louise domyśliła się, co się działo między jej współmieszkanką a sąsiadem z drugiego piętra. Nie okazywała dezaprobaty, ale w skrytości ducha uważała, że Jason jest stanowczo za stary dla Vanessy, a przy tym zupełnie ją absorbuje. W końcu dziewczyny prawie przestały się widywać. Dni płynęły jeden za drugim, dzielone między zajęcia na uczelni a spotkania z przyjaciółmi. Nadeszło Święto Dziękczynienia, a wraz z nim pierwszy śnieg. Jason i Vanessa uczcili to wydarzenie długim spacerem i rzucaniem śnieżkami w Riverside Park. Zwykle popołudnia spędzali w bardziej inspirujący sposób, obcując ze sztuką przez duże S. Opera, balet, koncert w Carnegie Hall, Guggenheim, Muzeum Sztuki Nowoczesnej – oto czemu warto było poświęcić czas. W kinach nie bywali, jako że Jas pogardliwie odnosił się do filmów. Nie wygasał także spór dotyczący pisania scenariuszy, ponieważ Van zdecydowała, że nie podda się bez walki i będzie broniła swego zdania.

Wielkimi krokami zbliżało się Boże Narodzenie, czyli krótkie ferie zimowe.

– Będę za tobą strasznie tęskniła – oświadczyła Vanessa, odkładając czytaną książkę.

Jason popatrzył na nią,

– Przecież dla ciebie to frajda, chociaż na kilka dni wrócić do celuloidowego raję – odpowiedział, mając na myśli Los Angeles. – Będziesz mogła chodzić do kina, objadać się prażoną kukurydzą i frytkami – ironizował. – Potem przyjedziesz do mnie i wszystko wróci do normy.

Vanessa roześmiała się. Według Jasona, Kalifornia była targowiskiem próżności i tandety. Kobiety obwieszane błyskotkami świeciły niczym bożonarodzeniowe choinki, nawet tamtejsi mężczyźni byli niewolnikami mody. Wszyscy nieustannie się śpieszyli, co gorsza, nie wiedząc dokąd! Na pewno podobnie myślał o Valerie, która dostała kolejną rolę w horrorze. Tym razem wcieliła się w postać straszdyła o ciele pokrytym zieloną, obleśną papką. Van czasami trochę niepokoił zasadniczy stosunek Jasona do świata i ludzi, zastanawiała się, jak wypadłaby konfrontacja jego obrażeń z codziennością jej rodziny. No cóż, nie ma par idealnych, a Van wystarczająco dobrze czuła się z Jasonem, aby tolerować jego zapatrywania.

– Co będziesz robił w święta? – zapytała. Jason jeszcze nie wiedział. Do rodziców raczej się nie wybierze. Nie utrzymywał z nimi specjalnie zażytych kontaktów. Oni zresztą również nigdy nie telefonowali.

– Będę za tobą tęsknił – odpowiedział, całując rękę dziewczyny.

– Kiedyś razem pojedziemy do Kalifornii.

Nie zdarzyło się, aby serio rozmawiali o wizycie w domu Thayerów. Oboje uważali, że jeszcze za wcześnie. Taka wizyta mogłaby wywołać niepotrzebne zamieszanie i nieporozumienia.

Rodzice Vanessy na pewno potraktowaliby Jasona jako oficjalnego narzeczonego córki. Tymczasem żadne z nich nie myślało o ślubie. Cieszyli się swoją miłością i to im w zupełności wystarczało, nie potrzebowali legalizacji związku.

– Zadzwoń do ciebie, Jas – zapewniła Van, żegnając się z Jasonem na lotnisku, w przeddzień Wigilii.

Było jej smutno z powodu rozstania, tym bardziej że zostawiała Jasona w Nowym Jorku. Uśmiechnęła się i pospieszyła do odprawy. Niebawem samolot podkołował na pas startowy i uniósł się w powietrze.

Jason westchnął, owinał szalik wokół szyi, włożył ręce do kieszeni, wolnym krokiem ruszył w stronę drzwi. Na dworze sypał gęsty śnieg, Van siedziała w ciepłej kabinie samolotu, Van... Ostatnimi czasy myśli o niej nigdy go nie opuszczały. Uświadomił sobie, nieco tym przerażony, że był w niej bardzo zakochany. Z początku myślał o niezobowiązującym romansie. Dziewczyna mu się podobała, a na dodatek mieszkała w tym samym domu, więc spotkania z nią nie stanowiły większego kłopotu. Jednak im bliżej ją poznawał, tym większą rolę zaczęła odgrywać w jego życiu. Wszystko w niej go zachwycało: inteligencja, uroda, życzliwość. Okazała się wspaniałą kochanką. Bez niej mieszkanie Jasona wyglądało jak ponura nora. Może on także powinien pojechać do rodziców? Może, ale nie lubił ich odwiedzać. Przygnębiała go małomiasteczkowa martwość New Hampshire, gderliwość starzejącej się matki, pijaństwo ojca. Nie wiedział, jak wytłumaczyć Van swoje nikłe zainteresowanie rodziną, nie był pewien, czy potrafiłaby zrozumieć jego uczucia. Jej bliscy byli zupełnie inni i cieszyła się na spotkanie z nimi. Radość Van była wyraźnie wyczuwalna, gdy zadzwoniła w kilka godzin po opuszczeniu Nowego Jorku.

– Co tam w świecie filmu? – zapytał Jas, starając się ukryć swój mało świąteczny nastrój.

– Wszystko po staremu. Ale że nie ma tutaj ciebie, dlatego mniej mi się podoba. Następnym razem przyjedziemy oboje.

Jason wzdrygnął się. Nie mógł sobie wyobrazić tego spotkania z rodziną Van. Matka, wielka sława filmowa, pewnie przygotowuje śniadanie ubrana w suknię z lamy i wysokie szpilki.

– Co słyszeć u bliźniaczki?

– Jeszcze się z nią nie widziałam. Wpadnę do niej wieczorem. Wiesz, tutaj jest dopiero ósma.

– To dlatego, że macie zepsute zegarki – zażartował. Serce mu się krajało, dwa tygodnie bez Van to całe wieki. – Przekaż jej moje pozdrowienia.

Jason rozmawiał z Val kilka razy przez telefon. Polubił ją, chociaż wydawała mu się zupełnie inna niż Vanessa.

– Jasne.

– Zadzwoń do mnie i powiedz, czy jest już całkiem zielona. – Jason orientował się w aktorskich dokonaniach Valerie, doprowadzały go one do paroksyzmów śmiechu. Ostatnia rola Val, w której była zmuszona występować w kostiumie pokrytym zieloną, oślizłą substancją, stała się obiektem bezlitosnych żartów Jasa oraz okazją do wywodów na temat płaskości i tandetności sztuki Hollywood, Van odpierała te ataki, stwier-

dzając, że powstają tam także prawdziwe, wielkie dzieła. Nawet jej matka ma na swoim koncie wybitne filmy, które kiedyś będą umieszczone w archiwach Muzeum Sztuki Nowoczesnej. Poza tym Valerie miała dopiero osiemnaście lat! Van zawsze czuła się zobowiązana do wspierania dążeń siostry. Z takim też, pełnym życzliwości, nastawieniem pojechała do jej mieszkania i już od progu zaczęła zmieniać zdanie. W pokojach panował niesamowity bałagan. W zlewie nie mieściły się brudne naczynia, stół w pokoju gościnnym zajmowały talerze z niedojedzonym obiadem, po podłodze wałały się puste butelki po alkoholu. Łóżka straszyły zmierzwioną pościelą. W łazience leżały stosy nieświeżej bielizny. Wszędzie unosił się ciężki zapach perfum, przemieszany z zaduchem od dawnego niewietrzonego mieszkania. Pośrodku tego rozgardiaszu siedziała Val, najspokojniej w świecie malując paznokcie i opowiadając siostrze o roli w horrorze.

– Wtedy wychodzę z za węgła i zarzucam ręce, o tak – zademonstrowała, o mały włos nie tłukąc lampy. – Potem krzyczę – to także zademonstrowała, aż Vanessa musiała zatkać sobie uszy.

Patrzyła na swą bliźniaczkę z sympatią. Miło było spotkać się z nią raz na jakiś czas.

– Nauczyłaś się nowych sztuczek – pochwaliła Van.

– Codziennie ćwiczę – roześmiała się Val.

Van rozejrzała się dookoła.

– Jak możesz wytrzymać w tym bałaganie?

Sama zwariowałaby w ciągu dwóch dni, lecz siostra zdawała się o wiele szczęśliwsza niż za szkolnych czasów, gdy mieszkały w domu z rodzicami.

– Robię to, na co mam ochotę – odpowiedziała Val, wzruszając ramionami.

– Co przez to rozumiesz? – Van była ciekawa, czy w życiu siostry pojawił się ktoś ważny. Uważała, że Val powinna jej się zwierzyć, jako że wiedziała o Jasonie. – Zdarzyły ci się jakieś wielkie porywy serca, odkąd wyjechałam?

Val westchnęła. Spotykała się z kilkoma mężczyznami. Jeden z nich naprawdę ją interesował, z trzema sypiała. Ale po co wprowadzać Van w szczegóły? Lepiej zaoszczędzić jej zbędnego szoku, zdecydowała. Dla Val te randki nie miały wielkiego znaczenia, ot trochę wina, trawki i seksu w jakimś wynajętym mieszkaniu albo garsonierze. Większość jej znajomych postępowała w podobny sposób, taki obowiązywał styl. W skład codziennego menu Val wchodziły tabletki antykoncepcyjne, jeśli zabrakło jej własnych, zawsze mogła liczyć na którąś ze współmieszkanek. Ktoś powiedział

jej, żeby używała pigułek tego samego rodzaju, ale stosowanie się do tej rady nastęczało zbyt wiele kłopotów. W najgorszym wypadku zdecydowałyby się na skrobankę. Nie ma głupich, nie urodziłaby dziecka, jak ta mała idiotka, Anne.

– A co u ciebie? – zapytała Val, kończąc wywody na swój temat. Podziwiała połyskujący na paznokciach lakier. – Jaki jest ten twój facet?

– Jason?

– Nie. King Kong – roześmiała się Valerie.

– Jak dla mnie jest bardzo miły, ale tobie by się pewnie nie spodobał.

– To znaczy, że jest okularnikiem, poważnym kujonem i właśnie to ci się w nim podoba.

– Mniej więcej, on pisze doktorat – powiedziała Van z dumą, Val spojrzała na siostrę szeroko otwartymi oczami. Już z opisu Jason wydał jej się niewydarzonym nudziarzem. Nienawidziła intelektualistów. W jej typie byli dobrze zbudowani, długowłosi mężczyźni, demonstrujący nagie torsy, wyglądające spod rozpiętych koszul.

– Ile lat ma ten facet? – zapytała podejrzliwie.

– Dwadzieścia cztery.

– Myślisz, że się z tobą ożeni?

– Nie zależy mi na tym. Oboje wolimy wolne związki. Na razie chcę skończyć studia i zająć się pisaniem scenariuszy. Jesteśmy ze sobą, to nam wystarcza.

– Dobra, dobra, tylko uważaj, żebyś nie wpała. Bierzesz pigułki?

Vanessa speszyła się obcesowością siostry. Nawet nie wspomniała, że sypiała z Jasonem, a Val już zadawała jej takie niedyskretne pytania. W odpowiedzi pokręciła nieznacznie głową.

– Nie bierzesz?!

– Nie, to sprawa Jasona – wyznała Van, păsowiejąc na twarzy.

Valerie roześmiała się głośno. Przez pokój przemknęła dziewczyna w sukience w paski, z włosami upiętymi w fikuśny kok.

– Czy mama widziała twoje mieszkanie? – zmieniła temat Vanessa, która nie mogła sobie wyobrazić wizyty Faye w podobnym miejscu. Gdyby teraz tu weszła, godziny Val byłyby policzone.

– Tylko raz i przed jej przyjściem posprzątałyśmy. Dziewczyny wyszły, byłam sama z matką.

– Dzięki Bogu, inaczej drogo musiałybyś zapłacić.

Nawet jeśli udało jej się wyprowadzić Faye w pole, to i tak oszukiwała samą siebie, zawierając podejrzane znajomości, wachając kokainę, paląc haszysz i grając w podrzędnych filmach, a wszystko to traktując jako konieczność na drodze do sławy.

– Matka nigdy nie pozwalała mi się zabawić – powiedziała gorzko Valerie.

Gdyby Faye była inna, Val przyjęłaby nawet propozycję zagrania w filmie pornograficznym. Odmówiła tylko ze względu na matkę.

Jadąc do domu, Van rozmyślała o siostrze. Uderzyła ją dekadencja, w jakiej żyła Val, zobojętnienie na samą siebie, powolne staczenie się. Cóż, nic nie mogła dla niej zrobić, żadne argumenty nie przekonałyby jej do zmiany postępowania; Val należała do wyjątkowo upartych osób, nigdy nie zawracających z raz obranej drogi. Oby tylko nie stała jej się żadna krzywda.

– Co słysząc u bliźniaczki? – zapytał Ward, widząc Van wracającą z odwiedzin. W jej oczach dostrzegł niepokój.

– W porządku.

– Czy bardzo straszne jest jej mieszkanie?

Rzeczywiście nie mogli wiedzieć, jak okropnie mieszkała Val, ale mogły do nich dotrzeć inne pogłoski, dotyczące jej rozwiązanego trybu życia. Hollywood było na tyle małe, że plotki rozchodziły się w mgnieniu oka.

– Takie sobie. Dużo dziewczyn nie przejmujących się porządkami, zostawiających brudne talerze na podłodze – selekcjonowała wiadomości. Uznała, że nie będzie się wtrącać w sprawy Valerie. – Trochę większy bałagan, niż my zwykle mieliśmy w naszych pokojach – skłamała Van.

– Aż tak źle? – zażartował Ward, po chwili dodając:

– Jutro przyjedzie Greg.

W drzwiach domu ukazała się Anne.

– Cześć, dzieciaku! – zawołała Vanessa.

Anne podeszła i ucałowała siostrę w policzek. To dziwne, ale Van była gotowa przysiąc, że poczuła w jej włosach zapach męskiej wody po goleniu. Mała Anne doroślała. Tuż po świętach skończy szesnaście lat i, stwierdziła, wygląda prześlicznie, zmieniła styl ubierania. Miała na sobie krótką spódnicę, eksponującą piękne, smukłe nogi, a włosy przewiązane wstążką. Wyglądała prawie jak jej, Val, rówieśnica. Uśmiechnęła się, patrząc na tę cudowną metamorfozę w wyglądzie siostry.

– Kiedy tak wyrosłaś? – spytała z podziwem.

Ward również spoglądał na Anne z uznaniem. Udało jej się nawiązać nowe znajomości, dobrze się uczyła. Spośród grona nowych koleżanek szczególnie miła zdawała się Gail Stein, może odrobinę rozpieszczona, ale bardzo oddana Anne. Dobrze wychowana, z przyzwoitego domu. Długo z Faye oczekiwali na tę zmianę. Pragnęli, by córka zapomniała

o Haight, zaczęła na nowo żyć. I teraz oboje byli wdzięczni losowi, że tak się stało.

Anne nie marnowała czasu na pogawędki z Van. Uśmiechnęła się tylko i zniknęła za drzwiami swego pokoju. Tak samo zachowała się po uroczystym obiedzie w Boże Narodzenie. Ciągłe się izolowała i tak chyba już miało pozostać. Wyciągnęła z szafy mały plecaczek, wrzuciła do niego trochę drobiazgów. Jutro zaczynało się jej sam na sam z Billem Steinem.

Rozdział trzydziesty drugi

Na długo przed świętami Anne powiedziała matce o zaproszeniu do spędzenia ferii w domu Steinów. W pierwszym odruchu Faye sprzeciwiła się, ale córka zaczęła ją usilnie przekonywać, pogrywając na nucie uczuć macierzyńskich. Tłumaczyła, że Gail czuje się samotna, że nie ma matki, nie lubi ferii, bo wtedy siedzi całymi dniami w domu i się nudzi.

– Gail mieszka zaledwie kilka kilometrów stąd, czy naprawdę musisz tam nocować, Anne? Nie mogłybyście umawiać się u nas?

– U nas także nikogo nie ma, więc co to za różnica? Gail wołałaby, żebym ja przyjechała do niej.

Dziewczynka patrzyła na rodziców błagalnym wzrokiem. Oboje dostrzegli w nim te same iskierki paniki, które przywiozła ze sobą z Haight, za żadne skarby nie chcieli jeszcze raz przechodzić przez podobne piekło, postanowili więc pójść na ustępstwa.

– Pozwól jej pojechać, kochanie – zachęcał Ward. – Nic w tym złego. Bill Stein jest bardzo troskliwym ojcem, a jeśli Anne dojdzie do wniosku, że wołałaby być z nami, to w każdej chwili może wrócić.

– Kto oprócz was jeszcze tam będzie?

Faye nigdy nikomu nie dowierzała do końca, zwłaszcza jeżeli chodziło o dzieci. Tym razem przeczucia jej nie myliły.

– Tylko sprzątaczką i kucharką – skłamała Anne, pomijając nawet ogrodnika.

Obie kobiety zatrudnione u Steinów dostały urlopy na całe ferie i wyjeżdżały w tym samym czasie co Gail, lecz Faye nie miała o tym najmniejszego pojęcia.

Z matczynym przyzwoleniem Anne pobiegła do swojego pokoju, spakowała najszykowniejszą bieliznę, jaką posiadała. Specjalnie na tę okazję

kupiła dwie nocne koszulki, zatelefonowała po taksówkę i już dziesięć minut później otwierała drzwi domu Billa przy Charing Cross Road w Bel Air. Weszła do środka z bijącym sercem. Bill czekał na nią w pokoju gościnnym, zaskoczył ją dziwny wyraz twarzy mężczyzny, mieszanina niepewności i niepokoju. Całą poprzednią noc Bill nawet nie zmrużył oka, przewracając się z boku na bok, myśląc o Anne. W końcu doszedł do wniosku, że nie może wdać się w romans z szesnastolatką. Nie może przekreślić swojego życia i przyszłości Gail ewentualnymi pomówieniami o gwałt na nieletniej. Ujrawszy dziewczynę stojącą w progu, poprosił, by usiadła i zaczął jej tłumaczyć nieroztropność ich pomysłu. Na zakończenie dodał, iż lepiej byłoby, gdyby Anne czym prędzej pojechała do domu i zapomniała o tym niewydarzonym planie.

– Dlaczego mam odejść? Dlaczego? Przecież czekaliśmy od miesięcy?
– zapytała, patrząc na Billa zdesperowanym wzrokiem.

– Bo zrobimy wielki błąd. Jestem dla ciebie za stary, masz dopiero piętnaście lat – powiedział łagodnie, acz stanowczo.

– Za kilka dni skończę szesnaście lat – uściśliła Anne, pochlipując.

Bill przegarnął jej włosy opadające na czoło. Taki niewinny dotyk wystarczył, aby ciało mężczyzny przeszył dreszcz podniecenia. Jego słodki, zakazany owoc siedział na odległość wyciągniętej ręki. Sytuacja wymagała radykalnych rozwiązań, w przeciwnym wypadku Bill straci panowanie nad sobą. Mój Boże, czyż to nie złośliwość losu, że najśladza istota na świecie ma dopiero piętnaście lat.

– Nawet nie jestem dziewicą – przypomniała Anne ze łzami w oczach. Bill był uosobieniem jej marzeń, nagrodą za gorycz cierpienia i samotności.

– To nie ma znaczenia, zostawmy twoją przeszłość. Nie musisz więcej czuć się winna za to, co zrobiłaś po narkotykach. Teraz chodzi o coś zupełnie innego. Nasz związek może być tragiczny w skutkach. Wolałbym ci oszczędzić smutku.

Przede wszystkim to Billowi los mógł wystawić słony rachunek za znajomość z Anne. Wystarczy, że jej rodzice dowiedzieliby się, że sypiał z nią, a żaden adwokat nie wybroniłby go przed więzieniem. Prawdopodobieństwo wydania się sekretu było ogromne, bez względu na to, jak oboje byliby ostrożni. Poza tym, jak długo można spotykać się ukradkiem? Tym razem szczęśliwie nadarzyła się okazja, dająca namiastkę prywatności opłaconą kłamstwami. Oprócz Thayerów ofiarą mistyfikacji padła także Gail, której Anne obiecała codzienne telefony do Nowego Jorku, tylko po to, by koleżanka nie zadzwoniła do jej domu.

– Jeśli zmusisz mnie do odejścia, wtedy znowu ucieknę – zagroziła Anne. Postawiła wszystko na jedną kartę. – Bill, ja żyję tylko dla ciebie.

Bill poczuł bolesne ukłucie w serce, popatrzył na Anne zatroskanym wzrokiem. Ta nastolatka przeżyła i widziała w swym życiu więcej od niejednej dorosłej kobiety. Czy jest jej pisane kolejne rozczarowanie? Czy nie wystarczy czas spędzony na Haight-Ashbury, komuna, ciąża i dziecko, które musiała oddać wbrew swej woli, konflikty z rodzicami? Czy można się zdobyć na brutalne okrucieństwo wobec kogoś, kto już się tyle wcześniej napłakał?

Wiedział, że to retoryczne pytania. Anne spoglądała na niego przejmująco smutnymi oczami, była jednym wielkim oczekiwaniem.

– Kochanie, proszę... Nie możesz tutaj zostać...

– Dlaczego nie?

Bill usiadł na sofie obok Anne. Nawet jej nie dotknął, a jego zmysły już płonęły, z trudem przychodziło mu panowanie nad sobą, w końcu był mężczyzną w sile wieku.

– Bo cię za bardzo kocham.

Wziął ją w ramiona i pocałował, cały czas pomny swej decyzji, że odwiezie ją do domu. Niestety, to żelazne postanowienie znacznie straciło na sile, gdy poczuł miękki język Anne w swoich ustach. Jego ręka, jakby stracił nad nią kontrolę, powędrowała między uda dziewczyny. Zawsze, kiedy udało im się ukraść minutkę sam na sam, dawali upust namiętności, krok po kroku, zmierzając w stronę spełnienia.

– Maleństwo, tak bardzo cię pragnę – szepnął Bill zachrypniętym głosem. – Ale, proszę, nie możemy tego zrobić.

– Właśnie, że możemy – odparła Anne.

Powoli kładła się na sofę. Bill pochylał się nad nią, głos zdrowego rozsądku przemawiał coraz ciszej, zamiast niego szeptało лихо, podpowiadające, że nic się nie stanie, jeżeli zrobią to raz. Tylko raz i nigdy więcej. Ten jeden raz się zapomną, a potem już nie... Czyste szaleństwo! Bill zerwał się na równe nogi.

– Nie i jeszcze raz nie – powiedział, dysząc ciężko.

– Kocham cię całym sercem – usłyszał w odpowiedzi cichy głos Anne.

– Ja też i dlatego poczekam dwa lata. Jeśli jesteśmy sobie przeznaczeni, wówczas się z tobą ożenię, ale teraz nie zmarnuję ci życia.

Ni z tego, ni z owego Anne roześmiała się w bardzo młodzieńczy sposób.

– Uwielbiam cię – rzekła uradowana. – Naprawdę ożenisz się ze mną? – Już dawno nikt nie sprawił jej tyle radości, zerkała na Billa z nieukrywanym zadowoleniem.

– Naprawdę. – Decyzja zapadła podczas wczorajszej bezsennej nocy. Bill miał nadzieję, że Gail zaakceptuje jego małżeństwo, przecież słyszało się o parach z jeszcze większą różnicą wieku i nikt jakoś z tego powodu nie rozdzierał szat. – Jeśli jesteś na tyle szalona, żeby być moją żoną, to ja chcę być twoim mężem, za dwa lata będziesz miała osiemnaście lat, a ja pięćdziesiąt jeden.

– Cudownie.

– A gdybyś miała trzydzieści lat, a ja sześćdziesiąt trzy? – zażartował Bill dla rozładowania atmosfery.

Jego oświadczyzny były zupełnie poważne. Niczego nie pragnął bardziej, jak obdarować Anne ciepłem i opieką, ochronić ją przed smutkiem. Wyczuwał, że rodzice nie dali jej zbyt wiele, z pewnością mniej, niż on dał Gail. Fakt, że jego córka była jedynaczką, a Anne miała czwórkę rodzeństwa. Słyszał też, że przyszła na świat, gdy rodzina przeżywała poważne kłopoty. Nie było to jednak żadne usprawiedliwienie dla pozbawienia dziecka miłości. Pragnął jej wszystko wynagrodzić, sprawić, żeby zapomniała, jak smakują łzy.

– To świetnie brzmi – odparła Anne na żartobliwe pytanie Billa. – O ile umiem liczyć, gdy będę miała sześćdziesiąt lat, ty będziesz miał dziewięćdziesiąt trzy, jesteś pewien, że wtedy nie zechcesz mieć młodszej kobiety?

Roześmieli się oboje, początkowe napięcie ustępowało, oboje odzyskiwali humor.

– Czy mam rozumieć, że jesteście zaręczeni?

Uśmiechnęli się do siebie. Anne usiadła Billowi na kolanach i pocałowała go.

– Tak, jesteśmy zaręczeni i kocham cię jak wariat.

Pocałował ją czule, jego ciało znowu przestawało słuchać nakazów rozsądku. Czy warto było się dręczyć, jeżeli i tak? Ten jeden raz... tylko jeden... zatracić się... zaznać rozkoszy... Bill z największym trudem pannał nad spalającymi go emocjami.

– Doprowadzasz mnie do szału – powiedział.

– Cieszę się. – Wyglądała bardzo kobieco i dojrzałe. – Mogę jeszcze chwilę zostać?

Czemu nie? Po co stwarzać sztuczne ograniczenia? Zostawali już sami, kiedy Gail nie było w domu, a gosposia miała wolne. Co prawda, wtedy zawsze ktoś mógł się pojawić, trzeba było zachować pozory. Dzisiaj byli zupełnie sami. Mieli pewność, że nikt nie przyjdzie. Bill zaproponował, że podgrzeje wodę w basenie, aby mogli razem popływać. Anne zgodziła się chętnie. Nie zawracała sobie głowy zakładaniem kostiumu kąpielowego,

wskoczyła do wody naga i zanurkowała aż do dna. Potem wynurzyła się i leniwie unosiła na wodzie. Niebieska toń rozmywała ponętne kształty Anne. Rodzina ciągle nie dostrzegała jej wielkiej urody, wciąż była małą Anne. Dopiero Bill Stein zobaczył w niej zapowiedź kobiety przez duże K, uosobienie zmysłowości. Stał na brzegu basenu, zdjął ubranie i wskoczył do wody, podpłynął do Anne, przyciągnął ją, aż ich mokre ciała przylgnęły do siebie na całej długości. Ucałował jej usta. Nie był w stanie dłużej czekać. Wyniósł ją z wody i owinał ręcznikiem. Chciał jak najszybciej znaleźć się w łóżku. Nic do siebie nie mówili, nie potrzebowali słów. Kiedyś będziemy mieli piękne dzieci, pomyślał Bill, pochylając się nad twarzą Anne. Musnął ustami jej czoło, a potem kochali się gorąco, zapamiętale, zniknęła przeszłość, świat cały, wszelkie myśli, ale nie mieli trudności ze zrozumieniem siebie. Kochali się, aż razem doszli do wielkiego wyzwolenia i zmęczeni padli na poduszki, złączeni uściskiem.

Rozdział trzydziesty trzeci

Idylla – jedyne słowo oddające nastrój wspólnych dni Billa i Anne. Bez narkotyków, bez grzybków, rytuałów, a jedynie z miłością i akceptacją, które on wniósł do jej życia, i radością, którą ona ofiarowała. Przez dziesięć dni nie chcieli pamiętać o czekających ich dwóch trudnych latach. Cieszyli się sobą, dokonywali fascynujących odkryć na swój temat. Codziennie wieczorem rozpalali ogień na kominku. Siadywali przy nim, grając w karty lub słuchając muzyki. Bill czasem czesał i układał długie włosy Anne, czytał jej książki, odpowiadał na niezliczone pytania. Przy niej czuł się najmądrzejszym opiekunem, ale przede wszystkim mężczyzną. Po raz pierwszy od śmierci żony miał wrażenie, że jest najbardziej pożądanym kochankiem. Anne dopiero teraz dowiedziała się, co to znaczy kogoś kochać. Czulością i łagodnymi gestami Bill uczył ją radości dzielenia z inną istotą cudu wspólnoty, zobaczyła siebie odbitą w nim jak w lustrze. Odkryła cudowność należenia do kogoś. Bill pokazał jej miłość.

Anne sumiennie telefonowała do Gail, do Nowego Jorku, dowiadując się, że koleżanka bardzo przyjemnie spędzała czas w towarzystwie babci. Nigdy natomiast nie zadzwoniła do domu. Wiedziała, że rodzice tego od niej nie oczekiwali. Jeżeli chcieliby się z nią skontaktować, mogli zadzwonić

do Steinów. Biedni, nie mieli pojęcia, co robiła córka i upłyną jeszcze dwa lata, nim się dowiedzą.

– Co będzie, gdy Gail odkryje naszą tajemnicę? – zapytała Anne, przeciągając się pod kołdrą.

To była już ostatnia wspólna noc. Chociaż czas samotności we dwoje spędzili w większości w łóżku, to jednak Bill wciąż czuł niedosyt. W ciągu ostatnich dziesięciu dni kochał się więcej razy niż w ciągu ostatnich dziesięciu lat.

– Nie wiem – westchnął, odpowiadając na pytanie. – Myślę, że najpierw będzie zszokowana, ale potem nas zaakceptuje. Chyba najlepiej będzie, jeśli Gail nie będzie o niczym wiedziała jeszcze rok lub nawet dłużej. Tymczasem wydorosłeje i wtedy łatwiej przyjdzie jej zrozumienie, co do siebie czujemy.

Anne pokiwała głową na znak zgody.

– Myślę – kontynuował Bill – że powinniśmy dać jej jakiś znak, że jest w kręgu naszej miłości. Nie chciałbym, żeby Gail poczuła się odrzucona. Nadal ją kocham tak jak przedtem, ale teraz kocham także ciebie. Mam prawo jeszcze raz się ożenić. Gail uważa tak samo, chociaż z pewnością będzie zaskoczona, że moją żoną zostanie jedna z jej przyjaciółek.

Słuchając Billa, Anne wyobraziła sobie ich ślub. Siebie w długiej białej sukni. Gail w roli druhny, kroczącą u jej boku. Bajkowe marzenie, które się spełni najwcześniej za dwa lata. W ciągu tych dwóch lat wiele może się wydarzyć, pomyślała Anne. Wiedziała o tym lepiej niż ktokolwiek inny. Opowiedziała Billowi o Lionelu i jego tragicznie zakończonym związku z Johnem. Od pożaru minął prawie rok, a Li ciągle nie mógł się otrząsnąć. Prowadził pustelnicze życie. Rankiem wychodził do pracy, wieczorem wracał do domu, z nikim się nie widywał. Ciągle rozpaczał po utracie ukochanego. Bill szczerze współczuł Lionelowi. Doskonale znał uczucie pustki i bezsensu po odejściu najbliższej osoby. Doświadczył go, gdy zmarła żona.

– Musimy być bardzo ostrożni, kochanie, i to nie tylko z Gail, ze wszystkimi.

– Wiem, już wcześniej miewałam tajemnice – rzekła Anne przewrotnie.

Bill uśmiechnął się porozumiewawczo, pochylił głowę i pocałował pierś Anne.

– Mam nadzieję, że z nikim nie miałaś takiego sekretu jak ze mną – zażartował.

– Nie, inne – szepnęła.

Poczuła, że powoli, nieodwołalnie, z rosnącym podnieceniem pograża się w mroku rozkoszy. Seks z Anne przestawał być dla Billa powodem do nieustannego zdręczania się poczuciem winy. Powodowała nim miłość, chciał być z Anne do końca życia, nigdy jej nie opuści. Zapewnił ją o tym, wczesnym popołudniem odwożąc do domu. Sielanka dobiegła końca. Kochankowie wyglądali na zmęczonych bezsennymi nocami, spędzonymi na rozmowach i miłości. Czekala ich dwuletnia próba wzajemnej cierpliwości. Czas kradzionych chwil we dwoje, pilnie strzeżonych przed wścibskimi oczami.

Wchodząc do domu, Anne zaskoczyła domowników niezwykłym u niej blaskiem w oczach, z walizką w ręce przeszła przez hol, stanęła na progu kuchni.

– Dzień dobry, kochanie – przywitała ją Faye.

Razem z Wardem spędzali leniwą, rodzinną niedzielę. Cała ekipa filmowców dostała wolny dzień.

– Dobrze się bawiłaś? – zapytał Ward.

– Uhm – mruknęła Anne.

– Pewnie przez dziesięć dni na okrągło chodziłaś w piżamie – stwierdził ojciec. – Dziewczyny w twoim wieku mają to do siebie, że nigdy nie chce im się przebierać – dokończył z uśmiechem.

Anne skinęła głową i poszła do swojego pokoju. Vanessa, która tylko przysłuchiwała się rozmowie, zwróciła uwagę na tajemnicze iskierki rozświetlające oczy siostry. Była do tego stopnia zaintrygowana, że nawet postanowiła z nią porozmawiać. Niestety, następnego dnia tylko minęły się w drzwiach, gdy Anne wychodziła do szkoły. Wieczorem Van spakowała rzeczy i wróciła do Nowego Jorku, nie mając pojęcia, co tak radykalnie odmieniło wyraz oczu siostry.

Rozdział trzydziesty czwarty

Po feriach życie szybko powróciło do utartego rytmu. Wszyscy udali się do swych zwykłych zajęć. Valerie do horrorów, eksperymentów z narkotykami, przygód z mężczyznami, Van w Nowym Jorku zajęła się intensywnie nauką do egzaminów. Greg, jak zawsze, miał mnóstwo problemów z zaliczeniem semestru i znowu przysięgał sobie, że to już się nigdy nie powtórzy. Anne większość czasu spędzała w szkole albo bawiła u przyjaciół. Właściwie przestała wieczorami bywać w domu,

nawet szesnastych urodzin nie świętowała z rodzicami, a z Gail i Billem, którzy zabrali ją do bistro na małą ucztę. Faye nie widziała w tym nic złego. Cieszyła się, że Anne ma prawdziwych przyjaciół i przypomniała córce, żeby od czasu do czasu kupiła Gail jakiś drobiazg w dowód wdzięczności i przywiązania.

W lutym niespodziewanie zatelefonował Lionel, zapraszając Faye i Warda na wspólny lunch. Było to na tyle niezwykle, że Faye natychmiast pomyślała o jakiejś radosnej wieści, którą syn ma im do zakomunikowania. Może dostał ciekawą propozycję pracy, a może postanowił wznowić studia? Przyszłość pokazała, że koncepcje matki całkowicie rozminęły się z rzeczywistością.

W umówiony dzień zasiedli we trójkę przy restauracyjnym stoliku. Lionel miał trochę niewyraźną minę. Ward natychmiast zaczął podejrzewać, że syn za chwilę uraczy ich wyznaniem, iż zakochał się w jakimś facecie. O nie, tylko nie to, pomyślał, walcząc z atakiem mdłości.

– Dostałem kartę mobilizacyjną – wyrzucił z siebie Li.

Faye i Ward popatrzyli po sobie zupełnie zszokowani wiadomością. Żadne z nich nawet przez moment nie przypuszczało, że wojna w Wietnamie mogłaby mieć jakikolwiek związek z ich rodziną. Ward uważał się za patriotę, ale nawet mimo to nie zamierzał oddawać syna na odstrzał.

– Powiedz tym generałom, że jesteś homoseksualistą – poradził szybko, pierwszy raz nie używając inwektywy na określenie skłonności Lionela.

– Nie mogę, tato.

– Nie powinieneś się wstydzić, teraz chodzi o twoje życie. To jedyne wyjście, inaczej będziesz musiał uciekać do Kanady.

– Nie chcę uciekać, tato. To nie byłoby w porządku.

– Na Boga, dlaczego nie? – zapytał Ward, wzburzony, uderzając pięścią w stół.

W zamieszaniu i hałasie panującym w restauracji nikt nie zwrócił uwagi na gwałtowny gest Warda. Hollywoodzkie lokale charakteryzowały się ogromnym liberalizmem obyczajów. Sensacji nie wywoływały szokujące stroje czy skandaliczne słownictwo, którym posługiwali się goście, skądinąd wielkie gwiazdy, cieszące się szacunkiem i uwielbieniem kinomanów. Gdyby nawet ktoś wszedł do baru zupełnie nago albo wydzierając się wniebogłosy, pozostali goście nie zainteresowaliby się nim, myśląc, że to tylko próba przed kolejną sesją zdjęciową.

– Li, musisz się wyplątać z tego bagna. Nie chcę, żebyś szedł na wojnę.

– Ja też nie chcę – dodała Faye, ocierając łzy.

– Wiem, mamo – rzekł Li, biorąc matkę za rękę. – Muszę przyznać, że wcale nie cieszy mnie perspektywa wyjazdu do Wietnamu, ale nie mam wyboru. Wczoraj stanąłem przed komisją, niczego przed nimi nie ukrywałem. Wiedzą, że jestem homoseksualistą, pracuję jako filmowiec, zaproponowali mi, żebym zrobił film o wojnie.

Faye i Ward odetchnęli z ulgą.

– Mówili, dokąd cię wyślą?

– Nie precyzowali, ale w Wietnamie byłbym około roku, a potem wysłaliby mnie do Europy, także na rok.

– O mój Boże – jęknął Ward.

W ciągu dwóch tygodni Lionel załatwił formalności związane z woj-
skiem, opuścił swoje małe mieszkanie. Pozostały do wyjazdu czas postanowił spędzić z rodzicami. Ward i Faye wcześniej wychodzili z pracy, każdą wolną chwilę poświęcali Li. Ostatniego wieczora zasiedli do uroczystej kolacji. Spełniając toasty na cześć syna, oboje się rozplakali. Nazajutrz o szóstej rano podjechała taksówka, która zabrała Lionela na lotnisko. Faye, stojąc w drzwiach domu, machała synowi ręką na pożegnanie. Nagle osunęła się w ramiona Warda i wybuchnęła histerycznym płaczem. Dręczyła ją myśl, że już nigdy nie zobaczy Li. To samo podejrzewał Ward, tulił żonę i płakał równie głośno, jak ona. Anne w milczeniu obserwowała ich rozpacz. Wieczorem, gdy spacerowała z Billem, opowiedziała mu o obawach rodziców.

– Czy to możliwe, że Lionel, do tej pory rozpaczający po stracie Johna, wyjazd do Wietnamu traktuje jako okazję do spotkania ze śmiercią? – rozmyślała głośno.

– Jestem pewien, że to nieprawda – odparł Bill. – Li robi to, co uważa za słuszne. Ja także byłem na wojnie, mówiłem ci o tym, i jakoś nadal żyję. Twój brat będzie filmowcem, a nie żołnierzem. Nic mu się nie stanie.

W skrytości ducha Bill nie był przekonany o słuszności swych słów. Na wojnie umierali przecież nie tylko żołnierze. Ginęli także dziennikarze czy filmowcy zbyt nisko latający helikopterami, gdy chcieli z bliska nakręcić zdjęcia walk. Pozostawało jedynie modlić się, żeby Li zachował rozsądek, a ocena jego stanu ducha mijała się z prawdą.

Z całej rodziny Thayerów tylko Val nie przejmowała się wyjazdem Lionela. Za bardzo absorbowano ją własne życie, żeby myśleć o innych. Właśnie dostała propozycję zagrania małej roli w filmie o potworach, kręconym na przedmieściach Rzymu i aż płonęła z ekscytacji. Obsada była międzynarodowa, chociaż gwiazdy nie pierwszej wielkości.

– Czyż to nie cudownie? – zapytała Vanesę, kiedy telefonowała, że będzie przejeżdżać przez Nowy Jork, więc mogłyby się spotkać.

W odpowiedzi Van mruknęła, że, oczywiście, to fantastyczna propozycja i zaprosiła siostrę w odwiedziny, podczas których kogoś jej przedstawi.

Val wynurzyła się z samolotu, potrząsając burzą czerwonych włosów, upiętych w wielki kok, z mnóstwem pejsików i loczków. Ubrana w czerwoną skórzaną spódnicę, purpurowe pończochy i futro oraz zamszowe długie buty w takim samym kolorze wyglądała jak tandetna reklama kasyna w Las Vegas. Van zerkała to na siostrę, to na Jasona odzianego w stonowane zielenie i szarości, myśląc, że zaproszenie Valerie nie było najlepszym pomysłem.

– Mój Boże, czy mnie wzrok myli? – jęknął Jason, w równym stopniu wstrząśnięty strojem, co oszołomiony urodą Val.

– Hollywood w całej krasie – skwitowała Van.

Val przywitała się wylewnie z siostrą, nieco zbyt poufale z Jasonem. Bił od niej ciężki zapach perfum. Włosy pachniały marihuaną. Wieczorem wybrali się do Greenwich Village do kafejki jazzowej, gdzie słuchali muzyki i zjedli kolację. Potem wrócili do mieszkania Jasona, opróżnili butelkę tequili, Val rzuciła na stół pudełko skrętów z marihuaną.

– Czestujcie się – zaprosiła.

Z wprawą się zaciągnęła. W jej ślady poszedł Jason, tylko Vanessa ciągle się wahała. Do tej pory tylko raz paliła skręta i nie zrobiło to na niej większego wrażenia.

– Nie bądź wapniakiem, zapal sobie, siostrzyczko – zachęcała Val.

Van zaciągnęła się głęboko, po czym stwierdziła, że nie czuje niczego niezwykłego. Cała trójka była przekonana o swojej normalności. Tylko nie wiadomo czemu, zaczęli wertować książkę telefoniczną w poszukiwaniu otwartej dwadzieścia cztery godziny na dobę pizzerii. Wysiłki zakończyły się fiaskiem, więc w ataku narkotycznego głodu spustoszyli lodówki w mieszkaniach Jasona i Van. Konsumpcji zawartości spizarek towarzyszyły wybuchy śmiechu. Aż trudno uwierzyć, że marchewka czy ser mogą tak rozbawić człowieka... Połykając wszystko, co nadawało się do jedzenia, Jason nie przestawał obserwować Valerie. Nie mógł się nadziwić, jak dwie tak różne istoty mogły być siostrami, i to na dodatek bliźniaczkami, zdumienie nie opuściło go nawet następnego dnia, gdy już zupełnie przytomnym okiem spoglądał na Val podającą dokumenty urzędnicze na lotnisku. Na długą podróż Valerie założyła jasnozielony kostium, własność jednej z mieszkanek domu wschodzących gwiazd.

– Pa, pa, trzymajcie się ciepło – rzuciła Val na pożegnanie. – On jest słodki – szepnęła konfidencko do Van.

– Dzięki.

Jeszcze tylko całuski, ostatnie uśmiechy i kalifornijski huragan o imieniu Valerie zniknął za drzwiami prowadzącymi na płytę lotniska.

– Jak to możliwe, że jesteście bliźniaczkami? – zastanawiał się głośno Jason.

– Nie mam pojęcia, zamieniłbyś mnie na nią? – zapytała Van, siląc się na żartobliwy ton.

Pod żartem kryła się poważna obawa, Vanessa przez całe życie czuła się zdominowana przez Val. Gdy zaczęły dorastać, uważała, że jest mniej atrakcyjna w porównaniu z wyzwoloną, nowoczesną siostrą. Przez nią straciła kilku chłopców, których Val uwiodła niemalże na jej oczach. Dobrze wiedziała, że gdyby Jason dał najmniejszy sygnał, natychmiast wykorzystałaby go do nawiązania przelotnego romansu. Nie miałyby cienia skrupułów, nawet jeśli chodziłoby o chłopaka siostry bliźniaczki. Taka była rudowłosa Valerie Thayer. Czasami kobieta fatalna, czasami podrzędna aktorka, ale zawsze łakomy kąsek dla mężczyzn.

– Nie – odpowiedział Jason, wdzięczny losowi za podsuniecie mu spokojniejszej z bliźniaczek o nazwisku Thayer.

Związek Jasona i Van był na tyle silny, że po pewnym czasie zamieszkali razem w mieszkaniu na drugim piętrze. Osamotniona Louise znalazła sobie nową koleżankę i obiecała zachować całkowitą dyskrecję na wypadek, gdyby dzwonił rodzice Van. Wtedy Lou miała poprosić ich o chwilę cierpliwości, zbiec piętro niżej i zawołać ją do telefonu. Szczęśliwie Ward i Faye dzwoniłi bardzo rzadko, więc układ funkcjonował doskonale. Van asekurowała się także na okoliczność przyjazdu rodziców. Gdyby coś takiego wpadło im do głów, miała na kilka dni przeprowadzić się z powrotem do Louise. Ostrożność była mocno przesadzona. Ward i Faye mieli czas szczelnie wypełniony realizacją filmów. Lionel ciągle siedział w Wietnamie i, dzięki Bogu, był cały i zdrowy. Valerie postanowiła przedłużyć kontrakt we Włoszech, ponieważ dostała epizodyczną rolę w westernie. To było dla niej całkiem nowe zadanie. Czas urozmaicała sobie jeszcze zdjęciami reklamowymi w Mediolanie. Jedynym szczegółem zatajonym przed Faye był fakt, że fotografowano ją bez ubrania.

I tak dzieci Thayerów rozjechały się po całym świecie. W Beverly Hills pozostała tylko Anne. Pod koniec lata Ward wpadł na pomysł urządzenia wielkiego pikniku w Lake Tahoe. Istniały powody, aby przy-

puszczać, że Li dostanie dwutygodniowy urlop, Greg upora się z wakacyjną pracą, Val wróci z kontraktu we Włoszech. Nawet Anne miała ochotę pojechać, pod warunkiem że będzie mogła zabrać Gail. Van również zapowiedziała swój przyjazd i pomyślała, że przy okazji mogłaby przedstawić rodzinie Jasona.

– Mam wyjechać na dwa tygodnie do celuloidowego raj? – skrzywił się z niesmakiem, słysząc propozycję.

– Tak, i nie wykręcaj się doktoratem. Do wyjazdu skończysz, poza tym chciałabym cię zapoznać z rodzicami i resztą rodzeństwa.

Dokładnie tego się obawiał, konfrontacji. On, chłopiec z małego miasteczka i ludzie, których wyobrażał sobie jako nieprzystępnych, bogatych snobów, a w najlepszym razie kurioza w stylu Val.

– Już znasz Valerie, więc nie jedziesz całkiem w nieznanie – zachęcała Van, nie zdając sobie sprawy jak chybiony to argument.

– O Boże – jęknął.

Jason dwoił się i troił, aby uniknąć podróży do Kalifornii. Niestety, Van była nieprzejednana. Codziennie po powrocie z księgarni, gdzie załatwiła sobie sezonową pracę, molestowała Jasa o wspólny wyjazd do Lake Tahoe.

– Czy nie możemy pomówić o czym innym? – irytował się. – John Kennedy nie żyje, polityka w tym kraju to jedna wielka granda, twój brat jest w Wietnamie, a ty nie dajesz mi spokoju z wakacjami. Musisz być taka uparta?

– Tak. – Wiedziała, że Jason obawiał się spotkania z jej rodziną, ale nie rozumiała powodu. Według niej, Thayerowie byli bardzo zwykłymi ludźmi. – Będę cię męczyć, aż się zgodzisz.

– Cholera! – krzyknął. – No dobra, pojedę z tobą!

– No nareszcie, przekonywanie ciebie zajęło mi dwa miesiące.

Mając zgodę Jasona, Van zatelefonowała do Faye, oznajmiając, że z kimś przyjedzie.

– Kto to jest, kochanie? – zapytała matka, starając się powściągnąć ciekawość i niepokój. Natychmiast ogarnęły ją złe przeczucia, że chłopak Van to jakiś typ spod ciemnej gwiazdy. Może wykorzystuje ją seksualnie albo coś w tym stylu? Przecież ona ciągle była okropnie naiwna i łatwowierna. Byleby tylko nie zadała się z typem podobnym do widzianego przez nią tydzień temu z Valerie. Straszliwa kreatura, ledwie trzymał się na nogach, na kilometr cuchnęło od niego marihuaną. Wyglądał jak prowincjonalny fryzjer! Faye postanowiła poważnie porozmawiać z Val, może nawet kazać jej przeprowadzić się do domu. Coraz częściej docierały do niej niepokojące plotki, zwłaszcza odkąd córka powróciła z Włoch. No tak, jeżeli matka nie

miała żadnej kontroli nad dzieckiem mieszkającym w tym samym mieście, to jak mogła wiedzieć, z kim zadawało się dziecko studiujące na drugim końcu kraju? Pozostawało jedynie wierzyć w zdrowy rozsądek Van, a skoro wyrażała chęć przedstawienia ukochanego, należy koniecznie na to przystać. Dom w Lake Tahoe był wystarczająco duży, aby pomieścić niespodziewanych gości.

– Kim jest ten chłopiec? – powtórzyła pytanie Faye. – Studiujecie razem?

– Nie, on pisze doktorat.

– Ile on ma lat? – Faye nie ukrywała zdumienia.

– Sześćdziesiąt pięć – Van nie mogła powstrzymać się od wygłupów. – Mamo, odpręż się. Ma dwadzieścia pięć lat. Dlaczego mnie pytasz o jego wiek?

– Czy przypadkiem nie jest dla ciebie troszeczkę za stary? – Faye nie mogła powstrzymać się od tej uwagi.

– Nie zauważyłam. Porusza się całkiem sprawnie, nieźle tańczy, jeździ na rowerze...

– Daj spokój. Na ile poważny jest wasz związek? Dlaczego chcesz go przywieźć?

Van nie nadażwała odpowiadać na pytania matki. Całe szczęście, że Jason nie słyszał rozmowy.

– Niezbyt poważny. Po prostu jesteśmy dobrymi przyjaciółmi – odparła, czując narastającą złość. – Ciekawe, dlaczego o takie same rzeczy nie wypytyjesz Val?

Czemu właśnie jej, Van, przypadła rola pokornej owieczki? Chłopcy mogli robić, co im się podobało, Val kompletnie wymykała się spod kontroli, a Anne miała własne życie, o którym rodzice nic nie wiedzieli. Greg od trzech lat rzucał się na wszystko, co się ruszało. Bóg jeden wiedział, co wyczyniała Val. Anne również nie była bez grzechu, bo jak inaczej wytłumaczyć ten tajemniczy wyraz oczu, który Van zauważyła podczas ostatniej wizyty w Beverly Hills. Każde miało coś na sumieniu, a rodzice ciągle atakowali Vanessę, bo tylko ona nie miała śmiałości być wobec nich niegrzeczną. To nie fair nie doceniać czyjś dobrego wychowania.

– Kochasz go? – niespodziewanie subtelnie zapytała Faye.

– Nie wiem – odpowiedziała Van niepewnie. – Bardzo go lubię i mam wrażenie, że każdy mógłby się z nim zaprzyjaźnić.

– Czy on jest twoim chłopakiem?

Van uśmiechnęła się.

– Mniej więcej.

– W porządku. Porozmawiam z ojcem i zobaczymy, co on powie na twój pomysł.

Ward właściwie o nic nie pytał, z miejsca zgodził się na przyjazd Jasona. Poradził żonie, żeby miała więcej dystansu wobec dzieci i przestała je traktować jak bezradne istoty. Dobrze sobie, dla Faye na zawsze pozostaną małymi dziećmi, nawet kiedy będą już mieli własne rodziny.

Rozdział trzydziesty piąty

Pierwsi do Lake Tahoe przybyli Faye i Ward. Chcieli pobyć sami, nim zjadą się dzieci. Zachwycił ich wynajęty dom. Na każdym z jego rogów wznosiła się wieżyczka, na dole znajdował się pokój gościnny oraz jadalnia z kominkiem i stołem mogącym pomieścić osiemnastu biesiadników. Na górze urządzono dwanaście sypialni, czyli więcej niż potrzebowali Thayerowie. Nastrój ciepła i przytulności dawały proste drewniane sprzęty, rogi jeleni wiszące na ścianach, mosiężne naczynia, indiańskie makatki i chodniki. W sumie doskonałe miejsce na krótkie, miłe wakacje. Faye i Ward zajęli dużą, staroświecką sypialnię, przylegającą do łazienki i buduaru.

– Kiedyś chciałabym na stałe osiedlić się w takiej okolicy – rzekła Faye, spoglądając rozmarzonym wzrokiem na romantyczne jezioro okolone szuwarami. – Przeprowadzę się, gdy zrezygnuję z pracy.

– Zrezygnujesz, ty? – zapytał Ward z niedowierzaniem. Wizja żony, kobiety eleganckiej, światowej, doskonałej w swojej profesji, spędzającej resztę życia na spacerach wokół jeziora, wydała mu się zupełnie abstrakcyjna.

– Założę się, że już po dwóch dniach lenistwa marzyłabyś o powrocie do Hollywood.

– Nieprawda, kochanie. Już niedługo cię zaskoczę.

Faye coraz częściej doznawała uczucia, że jej zawodowe wielkie pięć minut definitywnie zbliżało się ku końcowi. Osiągnęła, co było do osiągnięcia. Ponadto piętnaście lat reżyserowania wydawało jej się dostatecznie długim czasem.

– Jesteś jeszcze za młoda, żeby wycofywać się z zawodu, kochanie. Co byś robiła?

Faye uśmiechnęła się figlarnie.

– Przez całe dni siedziałabym z tobą w łóżku.

– To mi się podoba. W takim razie powinnaś natychmiast ogłosić koniec kariery – skomentował Ward. – Myślisz, że bez trudu wytrzymasz dwa tygodnie z naszymi rozbrykanymi dziećmi? – zapytał, sam radując się na myśl o spotkaniu z Gregiem i Lionelem.

Zdawało mu się, że minęły wieki, odkąd ostatnio rozmawiał z synami, dlatego tak bardzo ucieszył się na widok Lionela, dwa dni później podjeżdżającego przed dom wynajętym samochodem.

– Mój Boże, chłopie, ależ zmężniałeś, a jaki jesteś opalony – mówił Ward, kordialnie obejmując syna.

Jak na jego oko, Li był w znakomitej formie. Mając dwadzieścia dwa lata wyglądał na cztery, pięć więcej, ale to tylko przydawało mu urody. Na dodatek wyzbył się delikatnych, kobiecych gestów, więc Ward natychmiast z nadzieją pomyślał, że może syn zmienił zdanie i nie należał już do świata, którego nie mógł pojąć. Nie omieszkał go o to zapytać, gdy wieczorem usiedli razem na werandzie. Naiwność ojca szczerze ubawiła Li.

– Nie, tato – wyjaśnił rzeczowym, życzliwym tonem. – Nie zmieniłem zdania. – Ward poczuł się zakłopotany.

– To nie jest kwestia woli. Wiesz, od śmierci Johna nie miałem nikogo.

Twarz Li posmutniała na myśl o straconej miłości. Od pożaru minęło już z górą półtora roku, a John ciągle żył w pamięci Lionela. Wietnam, chociaż oznaczał nieustanne niebezpieczeństwo, pozwalał zapomnieć o smutku, kazał koncentrować się na przetrwaniu. Poza tym nic tam nie przypominało miesięcy spędzonych z Johnem, nie atakowało wyobraźni obrazkami z przeszłości.

W dwa dni po przyjeździe Li zaczęli przybywać pozostali wczasowicze. Jako pierwsi Jason i Vanessa. Przylecieli do Reno, a potem wypożyczyli samochód i dotarli nim do Lake Tahoe. Gdy znaleźli się na miejscu, Van wyskoczyła z samochodu, przeciągnęła się i pomachała do Lionela, który zmierzał w ich kierunku. Jas tylko rzucił okiem na Li i już wiedział, kim był brat Vanessy. Ciekawe, dlaczego utrzymywała w tajemnicy jego homoseksualizm?

– Cześć! – krzyknął Li. – Jestem Lionel Thayer.

– Jason Stuart – brzmiała lakoniczna odpowiedź.

Mężczyźni uścisnęli sobie dłonie, wymieniając przy okazji spostrzeżenia na temat niezwykłej urody okolic Lake Tahoe. W tym momencie pojawili się Faye i Ward, oboje w kostiumach plażowych. Ward niósł w ręce ekwipunek wędkarski, który prawdopodobnie na nic się nie przydał, jako że w wiadrze nie było nawet maleńkiej płotki. Faye uśmiechała się,

wysłuchując złorzeczeń męża na nieudany połów. Jason nie mógł się oprzeć wrażeniu, że matka Vanessy była nie tyle piękną, co wręcz magiczną istotą. Mimo czterdziestu ośmiu lat zachowała doskonałą, młodzieńczą figurę. Miała żywe, błyszczące oczy, swobodny sposób życia, ogromne poczucie humoru. Przemawiała głębokim, zmysłowym głosem. Każdym spojrzeniem hipnotyzowała Jasona, kiedy wieczorem wdali się w dyskusję na temat jego pracy naukowej. Okazało się, że Faye sporo wiedziała o zainteresowaniach Jasona, ale nie dlatego, że Van coś jej wcześniej napomknęła, nie. Faye orientowała się po prostu w wielu zagadnieniach, o większości z nich miała własne zdanie, które umiała logicznie uzasadnić. Jason wsłuchiwał się w jej monolog i nagle przyszło mu do głowy, że dzieciństwo spędzone u boku tak nadzwyczajnej matki nie mogło należeć do najłatwiejszych. Trudno jej było dorównać urodą, z błyskotliwością także mogłyby być spore kłopoty. Te dwa spostrzeżenia tłumaczyły, dlaczego Vanessa wyrosła na cichą i zamkniętą w sobie, a Valerie przeobraziła się w kompletną wariatkę. Najwidoczniej Van z góry zrezygnowała z prób dorównywania matce, natomiast Val postanowiła zrobić wszystko, aby zadziwić świat i przyćmić Faye. To dziwne, ale Jas miał wrażenie, że wysiłki tej drugiej były z góry skazane na niepowodzenie, bez względu na to jak szokujące założyłaby stroje, jak piękny zrobiłaby sobie makijaż. Mimo tych zabiegów nadal pozostanie jedynie cieniem matki, bo nie miała jej klasy i charyzmy.

Lionel z pewnością nie starał się prześcignąć Faye, zajmował się filmami, ale całkiem innym ich gatunkiem. Chodził własnymi drogami. Greg, który przyjechał nazajutrz, zrobił na Jasonie wrażenie oczka w głowie Warda. Dwaj mężczyźni nie odstępowali się na krok. Greg rozprawiał nieustannie o meczach piłkarskich, pochłaniał litry piwa. Jego towarzystwo było nawet odrobinę męczące, dlatego Jason nie pojmował przyczyny, dla której to właśnie on został pupilkiem Warda. Z pewnością Greg i Lionel nie mieli sobie zbyt wiele do powiedzenia, może nawet Greg sprawił bratu ból, wyszydając jego homoseksualne skłonności. Jason raz czy dwa próbował nawiązać z nim rozmowę, lecz zawsze kończyło się to na kilku zdaniach od niechcenia wypowiedzianych przez Grega, pochłoniętego rozmyślaniami na całkiem inny temat.

Wreszcie, jako ostatnie, pojawiły się Val i Anne. Valerie ociągała się z wyjazdem do ostatniej minuty, ponieważ miała nadzieję dostać angaż do kolejnego horroru. Niestety, tym razem się nie udało, co chwilowo popsusło nastrój młodej aktorki. Trudno, za dwa tygodnie rozpoczynała się realizacja następnego filmu i tej szansy Val na pewno nie przeoczy. Horror

stały się jej specjalnością. Grała w nich regularnie, zarabiała i nie przejmowała się złośliwymi żartami znajomych i rodziny.

– No, Val – krzyczeli, gdy Lionel zgasił światło w pokoju gościnnym – pozwól nam usłyszeć słynny krzyk Valerie Thayer!

Nie trzeba jej było dwa razy powtarzać, Val stanęła w pobliżu kominka, zrobiła przerażającą minę wampira z imponującym wytrzeszczem oczu, nabrała powietrza w płuca i wydała z siebie świdrujący w uszach wrzask. Przedstawienie było na tyle przekonujące, że widzowie zamarli z wrażenia. Widząc zachwyty w ich oczach, Val osunęła się na ziemię, udając, że zemdląca. Owacjom nie było końca. Publiczność krzyczała, domagała się bisów. Jason najgłośniej ze wszystkich. Po południu Van, Jas i Val poszli popływać na kajakach, świetnie się bawili, głównie dzięki nieprzebranemu repertuarowi żartów zwariowanej siostry Van. Jason nie ukrywał swojej sympatii dla Val, a ta dla udowodnienia, że odwzajemnia jego uczucia, wręczyła mu prezent w postaci żaby znalezionej na drodze. Jas odskoczył z obrzydzeniem, Van wrzasnęła, a Valerie zarzuciła obojgu sztwygniactwo.

– Do diabła, w Rzymie pracowałam z dwoma setkami żab, a wy boicie się jednej.

Cała trójka wybuchnęła śmiechem. Do domu dobiegli, bawiąc się w berka.

W tym samym czasie Ward, Lionel i Greg zajmowali się łowieniem ryb. W rezultacie złapali parę płoci i za wszelką cenę starali się przekonać Faye, żeby je usmażyła. Odparła, że jako wytrawni wędkarze sami powinni się zająć przyrządzaniem zdobyczy. Anne nie chciała iść na ryby, nie miała ochoty na pływanie kajakiem, w końcu więc wylądowała na plaży z matką. Przez cały czas miała znudzoną minę i Faye pomyślała, że leżenie na piasku także nie było szczytem marzeń córki. Anne narzekała na brak towarzystwa, jako że Gail w ostatniej chwili odwołała przyjazd do Lake Tahoe, tłumacząc, że nie chce być intruzem podczas rodzinnego zjazdu, i zamiast do Lake Tahoe pojechała z ojcem do San Francisco. Anne czuła się bez niej samotna. Już pierwszego dnia napisała list. Faye widziała ją rozmawiającą przez telefon. Pomyślała wtedy, że nastolatki źle znoszą rozstania z przyjaciółmi i wreszcie to dobrze, że Anne miała kogoś, za kim tęskniła. Krótkie wakacje wszystkich wprawiały w dobre humory. Ward i Jason zostali wielkimi przyjaciółmi, bliźniaczki doskonale się ze sobą bawiły, stopniowo nawet Greg zdawał się bardziej rozluźniony niż na początku. Pewnego dnia, gdy Jason pojechał z Faye do miasta, Anne zaproponowała Van długi spacer. Przez jakiś czas siostry szły obok siebie w milczeniu, Van zerknęła na Anne, nie mogąc się nadziwić, jak ta szybko doroślała.

– Podoba mi się twój kolega – zaczęła Anne typowym dla siebie przyciszonym głosem.

– Jason? Tak, ja też go lubię, jest bardzo miły.

– Ty także mu się podobasz.

Siostry zgodnie pokiwały głowami. Jason nie ukrywał uczuć żywnionych do Van. Wyraźnie spodobała mu się także jej rodzina. Przed wyprawą do Lake Tahoe obawiał się, że spotka ludzi całkiem nie w jego typie, z góry źle do niego nastawionych, ponieważ nie pochodził z Kalifornii. Tymczasem poznał sympatyczną rodzinę. Każde z nich było indywidualnością, ale starali się nawzajem szanować, chociaż trudno było doszukać się pomiędzy nimi innych, poza fizycznymi, podobieństw.

– Myślisz, że za niego wyjdiesz? – zapytała poważnie Anne.

Vanessa wiedziała, że każdy spekulował na temat jej ewentualnego małżeństwa z Jasonem. Ona sama, mając dziewiętnaście lat, zupełnie nie myślała o zakładaniu rodziny; ani teraz, ani przez następne kilka lat.

– Nigdy nie rozmawiamy o ślubie.

– Dlaczego nie? – Anne wyglądała na zaskoczoną.

– Mam dużo do zrobienia. Chcę skończyć szkołę... pójść do pracy... spróbować pisać.

– To ci może zająć lata.

– Nie spieszy mi się.

– Założę się, że jemu się spieszy. Jest od ciebie dużo starszy. Czy ci to przeszkadza, Van?

Ciekawe, co Van powiedziałaaby na wiadomość, że jej siostra ma o trzydzieści trzy lata starszego narzeczonego.

– Czasami. Dlaczego pytasz?

– Tak sobie.

Usiadły na kamieniach przy strumieniu, zanurzyły stopy w wodzie. Anne patrzyła przed siebie rozmarzonym, nieobecny wzrokiem, Van znowu dostrzegła w jej twarzy ten sam wyraz, jaki zauważyła w Boże Narodzenie.

Pomiędzy siostrami były tylko trzy lata różnicy, ale jakoś ciągle nie potrafiły się porozumieć. Chwilami miało się wrażenie, że Anne była dziesięć lat starsza, przygaszona złymi doświadczeniami.

– Na twoim miejscu wyszłabym za niego, Van – powiedziała z mądrą miną.

– Dlaczego?

– Ponieważ możesz już nie znaleźć równie dobrego człowieka. Dobry mężczyzna to największy skarb.

– Naprawdę tak myślisz?

Van doznała lekkiego szoku, patrzyła na Anne przenikliwym wzrokiem. Mój Boże, to musi być jakaś aluzja. Czyżby w życiu małej był jakiś facet? – pomyślała. Anne nigdy nikomu się nie zwierzała. Nikt nie wiedział, co czuje i myśli. Stanowiła zagadkę ta na pół kobieta, na pół dziewczynka. Tym razem jednak Van była pewna, że siostra miała na myśli miłość, inaczej skąd wzięłyby się te sugestie dotyczące małżeństwa?

– A co słyhać w twoim serduszku? Zamieszkał w nim ktoś ważny? – zapytała Van, starając się nie pokazywać nadmiernego zainteresowania tematem.

Anne podejrzenie szybko wzruszyła ramionami.

– Nie, nic takiego.

– Naprawdę?

– Naprawdę.

Czuła, że Anne skłamała, ale nie chciała być natarczywa, założyła klapki i zaproponowała powrót do domu. Postanowiła z kimś podzielić się spostrzeżeniami na temat siostry. Lionel wydawał się najwłaściwszą osobą.

– Myślę, że Anne ma kogoś.

– Dlaczego tak sądzisz?

Lionel po śmierci Johna był tak pogrążony w rozpacz, że nie dostrzegął i nie czuł niczego poza własnym bólem. Później wyjechał do Wietnamu i jego obecność w życiu Anne należała już do przeszłości.

– Po prostu przeczuwam. Nie mogę dać żadnego racjonalnego wytłumaczenia. Ale spójrz na nią, Li, ona inaczej wygląda.

Van ugryzła się w język.

– A co z tobą, siostrzyczko? Czy na twój wygląd także ma wpływ młody człowiek, którego ze sobą przywiozłaś? Bardzo jesteś zaangażowana?

Van skrzywiła się z niesmakiem. Czy każdy musiał wypytywać ją o Jasona?

– Co się z wami dzieje?! Dokładnie o to samo pytała mnie Anne. Nie wiem, czy do końca życia zostanę z Jasonem.

– Szkoda, myślę, że on jest bardzo fajny.

Van uśmiechnęła się przewrotnie.

– Nie możesz go mieć, jest mój.

Lionel załamał ręce w teatralnym geście rozpacz.

– Co za pech!

Z mroków korytarza wyłonił się Greg.

– O co chodzi? – zapytał, zerkając to na Li, to na Van.

Vanessa dała jakąś wykrętną odpowiedź, odwróciła się na pięcie i ruszyła w poszukiwaniu swego przyjaciela, który nieoczekiwanie stał się przebojem wakacji, znalazła go w towarzystwie Valerie, strojącej sobie bezlitosne żarty z jego powagi i stateczności. Ward i Faye siedzieli na werandzie, popijając białe wino. Anne rozmawiała przez telefon.

– Pewnie dzwoni do Gail – rzuciła Faye.

Ward wzruszył ramionami. Dlaczego całe życie nie mogło wyglądać tak jak dzisiejszy dzień; beztrudnie, leniwie, z całą rodziną w komplecie? Dzieci napawały go dumą. Nie każde z nich robiło to, co sam uważałby za stosowne, ale wszystkie umiały dawać sobie radę. Ward w głębi serca ciągle miał nadzieję, że Lionel zacznie się interesować kobietami, Val zaś podejmie naukę, zamiast zdzierać gardło w podrzędnych filmach. Dzięki Bogu, Anne powróciła do formy, Vanessa dobrze się uczyła, a Greg osiągał sukcesy w sporcie. Co prawda, ostatnio trochę opuściło go szczęście.

Właśnie to było powodem, że Greg postanowił porozmawiać z Lionelem, gdy udali się na spacer po plaży. Na wydmach znaleźli długi pień, na którym usiedli, przyglądając się zachodowi słońca.

– Nie mam pojęcia, jak o tym powiedzieć ojcu. Li... to znaczy jeśli wywałą mnie z drużyny...

Greg zamknął oczy niezdolny do dokończenia kwestii. Poza faktem, że Ward byłby kompletnie załamany niespodziewanym końcem kariery syna, było jeszcze coś. Chłopaków w wieku Grega, których wyrzucono z uniwersytetu, natychmiast wysyłano do Wietnamu. Lionel już nieraz widział jemu podobnych, umierających od ran albo skazanych na kalectwo do końca życia.

– Po jaką cholere zrobiles taką głupotę?! – krzyknął Li.

Wiosną Greg został przyłapany na paleniu trawki, co zaraz zaowocowało zakazem występów w drużynie. Ojcu dało się wmówić, że doznał kontuzji. Niestety, przyplątało się do tego parę oblaných egzaminów, i groźba usunięcia z uczelni stała się całkiem realna.

– Boże, mogą mnie wyrzucić ze studiów, jeśli tylko zechcą – jęknął Greg. Nie walczył ze łzami, nareszcie miał okazję się wygadać.

Lionel ujął go za ramiona i potrząsnął, mówiąc:

– Nie możesz do tego dopuścić. Musisz wziąć się w garść i wygrzebać z tego bagna, znajdź sobie korepetytora, zrób coś!

Li dobrze wiedział, co czekało brata, gdyby zawałił studia.

– Chyba będę musiał kłamać – zawodził dalej Greg.

– Przestań, głupku!

Obaj byli nieco skrepowani tą sytuacją. Nigdy nie mieli ze sobą dobrego kontaktu. Definitywnie odsunęli się od siebie, gdy Li stwierdził, że międy nim a Gregiem jest przepaść nie do przebycia.

Od tamtej pory właściwie ze sobą nie rozmawiali, życie jednak płata figle. Greg musiał przed kimś otworzyć duszę, nie mógł zdobyć się na to z Jasonem, ponieważ prawie go nie znał, z oczywistych względów nie mógł pogadać z ojcem. Pozostał więc tylko Li, który świetnie wczuł się w rolę pocieszyciela strapionych, aczkolwiek nie żałował przy tym cierpkich słów.

– Jeśli skłamiesz, to będziesz ostatnią ofiarą i wtedy na pewno cię wyrzucą. Pamiętaj, musisz zdać egzaminy, bo inaczej ani się obejrzysz, a już będziesz siedział w Wietnamie. A tam potrzebują dokładnie takich jak ty; młodych, zdrowych, silnych i głupich.

– Dzięki!

– Nie ma za co. Kiedy mówię głupi, to mam na myśli, że szkoda twojego życia na gnicie w dżungli. Chłopie, nie masz pojęcia, co tam się dzieje. – Lionel wytarł łzy toczące mu się po policzkach. – Codziennie widzę facetów w twoim wieku, umierających na moich oczach i nic nie mogę na to poradzić.

Li rozplakał się na dobre. Przerażeniem napawała go myśl o Wietnamie. Greg jakby na nowo zobaczył brata. Podziwiał jego odwagę. Widział w nim prawdziwego mężczyznę. Jeśli kogoś pokroju Li można nazywać tym mianem, dodał w duchu.

– Muszę wrócić do drużyny.

– Spróbuj zdać egzaminy, to cię nie wyrzucą.

– Spróbuję, Li, przysięgam.

– Dobra.

Lionel zmierzwił włosy brata, gest z dzieciństwa. Greg położył mu rękę na ramię i obaj pomyśleli o obozie, na który pojechali jako kilkuletni chłopcy.

– Nienawidziłem cię wtedy – wyznał Greg. Roześmiali się. – Naprawdę nienawidziłem Van i Val, chyba nienawidziłem wszystkich. Byłem zazdrosny, chciałem być jedynakiem.

– W pewien sposób nim byłeś, jako ukochany syn taty – rzekł Li.

– Wtedy nie zdawałem sobie z tego sprawy – pokręcił głową Greg.

Filozoficzna postawa Lionela zrobiła na nim duże wrażenie. Ostatnio w pełni uzmysłowił sobie, że ojciec zawsze go faworyzował i to go zawstydzalo, postanowił więc zmienić temat.

– Przynajmniej nigdy nie nienawidziłem Anne.

– Nie byłeś wyjątkiem. Anne zawsze była zbyt mała na nienawiść – uśmiechnął się Li.

No cóż, zawsze uważana za małeństwo, Anne niepostrzeżenie dorosła i stała się jeszcze bardziej tajemnicza. Codziennie telefonowała do Billa. Umierała z tęsknoty za nim. Wszyscy myśleli, że dzwoni do Gail, jedynie Vanessa utrzymywała, że Anne ma chłopaka, ale nie było sposobu na potwierdzenie tych domysłów.

Wakacje nieubłaganie zbliżały się ku końcowi. Ostatniej nocy Val usiadła przy drzwiach swojego pokoju, czekając na odgłos kroków Van, zbiegającej na dół, do Jasona. Wreszcie je usłyszała, odczekała dwie minuty, potem podeszła pod drzwi Jasona i zapukała w nie. Zpokoju dał się słyszeć chichot, później westchnięcie, a na koniec męski głos oznajmił:

– Proszę.

Val otworzyła drzwi i z uwodzicielskim uśmiechem skierowała się w stronę łóżka Jasona, który zaniemówił z wrażenia. Bez słowa przysiadła na pościeli, niemalże miażdżąc Vanessę ukrytą pod kołdrą. Jeszcze tylko chwila konsternacji i już cała trójka śmiała się do łez z żartu Valerie. Potem długo rozmawiali. W końcu postanowili zawołać Grega i Lionela i napić się z nimi piwa. Dwa tygodnie w Lake Tahoe stały się później dla wszystkich jednym z najmilszych wspomnień.

Rozdział trzydziesty szósty

Ku swojemu zdumieniu, Vanessa nie miała trudności z namówieniem Jasona na spędzenie jeszcze kilku dni z jej rodziną w Los Angeles. Swoją czas poświęciła im Val. Oprawadzała siostrę z chłopakiem po studiach filmowych, zabierała na przyjęcia, do restauracji. Wszędzie działało się coś interesującego.

Ward i Faye skoncentrowali się na pracy nad nowym filmem, a Anne, jak zwykle, zaszyła się w swoim pokoju. Lionel polecił z powrotem do Wietnamu, przez Hawaje i Guam. Po dwóch dniach Van i Jason wrócili do Nowego Jorku, życie od nowa wkroczyło na ścieżkę monotonnej codzienności.

We wrześniu Van zainaugurowała drugi rok studiów. Greg zaś rozpoczął ostatni. Niestety, tylko rozpoczął, zaraz po powrocie z wakacji dowiedział się, że skreślono go z listy zawodników drużyny futbolowej. Smutek topił w alkoholu i nie trzeźwiał przez tydzień. W ten sposób nie stawiał się na dwa egzaminy, z którymi zalegał od czerwca.

Nie zdziwił się więc, gdy dostał wezwanie na rozmowę z dziekanem. Szacowny starszy pan oznajmił mu z przykrością, że decyzją Rady Wydziału został skreślony z listy studentów. Greg powrócił do Los Angeles jak wojownik po przegranej bitwie, na tarczy. Nie śmiał spojrzeć w oczy ojcu, który nie krył rozczarowania losami syna. Po sześciu tygodniach okazało się, że życiem Grega zdażyła się już zainteresować Armia Stanów Zjednoczonych. Otrzymał wezwanie na komisję wojskową, co oznaczało, że niedługo już drugi Thayer wylądował w Wietnamie.

Greg ciężko opadł na fotel i tak przesiedział kilka godzin, nie zdając sobie sprawy z upływającego czasu, z odrętwienia wyrwała go dopiero Anne, wracająca od Steinów. Chodziła tam zawsze po szkole, odrabiała z Gail lekcje, a potem Bill odwoził ją samochodem, co dawało im obojgu kilka cennych minut intymności. Zwykle gdy Anne wracała do domu, zastawała tylko gosposię, zdziwiła się więc, widząc Grega. Siedział w pokoju gościnnym jak skamieniały, z pustym wzrokiem utkwionym w sufit. Pomyślała, że musiało się wydarzyć coś złego.

– Co ci się stało? – zapytała.

Greg i Anne nie żyli ze sobą w przyjaźni, ale współczuła mu, że wyrzucono go ze studiów. Wiedziała, jak ważna była dla niego gra w drużynie piłkarskiej, rozumiała więc przygnębienie brata, ale teraz miał szczególnie smutną minę.

– Dostałem wezwanie na komisję wojskową – oznajmił Greg.

– Nie...

Wystarczyło już, że Lionel był w Wietnamie. Dlaczego jeszcze miał narażać się Greg?

Nim Anne odpowiedziała sobie na pytanie, do domu wrócili Faye i Ward. Oboje w doskonałych humorach, dyskutujący o obsadzie najnowszego filmu.

Ward zatrzymał się w progu pokoju tknięty złym przeczuciem. Po minie syna wnioskował, że nie dowie się niczego wesołego, oby tylko nie chodziło o Lionela...

– Złe wieści? – zapytał szybko.

Greg pokiwał głową:

– Tak.

Bez słowa wręczył ojcu wezwanie. Ward spojrział i opadł bezwładnie na fotel, za chwilę to samo zrobiła Faye. Gdzie jest sprawiedliwość na tym świecie? Wszystkim, czego pragnęli, był koniec tej bezsensownej wojny. Wystarczy, że codziennie drżeli o życie Lionela! Czy następny syn musi wyruszyć w drogę, z której mogło nie być powrotu? Faye spojrzała na Warda bezradnie.

– Czy nie ma przeciwko temu żadnego prawa?

Ward pokręcił głową i popatrzył na Grega. Komisję wyznaczono mu za trzy dni, generałowie nie marnowali czasu. Greg jeszcze raz pomyślał o Kanadzie, ale ucieczka wydawała mu się aktem tchórzostwa, zwłaszcza gdy Li narażał się w Wietnamie. Nie było wyboru.

Czwartego grudnia skierowano Grega na przeszkolenie w Fort Benning, w Georgii. Nadeszło Boże Narodzenie, wyjątkowo smutne i puste, Valerie wyjechała z przyjaciółmi do Meksyku, Vanessa pojechała z Jasonem do New Hampshire. Greg siedział w bazie wojskowej. Lionel w Wietnamie, a Anne przeniosła się do Steinów. Gail znowu spędzała święta w Nowym Jorku.

Dwudziestego ósmego stycznia Greg został wysłany do Sajgonu, a stamtąd prosto do Bazy Lotniczej Bien Hoa, zlokalizowanej na północy. Nie mógł nawet skontaktować się z bratem. Li liczył dni do wyjazdu z Wietnamu. Już tylko trzy tygodnie. Miał dosyć wojny. Dosyć do końca życia! Codziennie umierał ktoś, kogo znał. Niektórzy ginęli na dzień przed planowanym powrotem do domu. Taki sam los mógł spotkać także i jego, więc nawet siedząc w samolocie lecącym do Los Angeles, modlił się o życie, aż ujrzał na horyzoncie zarys rodzinnego miasta. Niestety, nie udało mu się skontaktować z Gregiem. Wiedział, że brat trafił do oddziału dowodzonego przez faceta mającego w zwyczaju posyłać zielonych rekrutów od razu na najcięższe odcinki walk.

Po trzech tygodniach spędzonych w Bien Hoa Pierwsza Dywizja przeprowadziła kilka akcji zaczepnych, podczas których Greg przeszedł swój chrzest bojowy. Dane mu było posmakować strachu, krwi i zwycięstwa. Jego najlepszy kumpel dostał postrzał w brzuch, ale lekarz powiedział, że nic mu nie będzie i udzielił urlopu na czas powrotu do zdrowia. Dziesiątki żołnierzy poległo, siedmiu zaginęło bez wieści, wszyscy byli przerażeni. Greg zastrzelił dwie kobiety i psa, zastrzelił, bo znaleźli się na linii ognia. W wyniku akcji dwie wsie zostały zrównane z ziemią, wiele osób wzięto do niewoli. Po ustaniu strzałów, o piątej nad ranem, gdy w akompaniamencie śpiewu ptaków wstawał nowy dzień, Greg dostał rozkaz udania się na patrol. Uszedł zaledwie parę kroków i zakończył swe krótkie życie, wchodząc na zamaskowaną minę. W ułamku sekundy jego ciało rozpadło się na miliony kawałeczków, poszybowało w górę, a potem spadło krwawym deszczem na zszokowanych żołnierzy.

Tego samego dnia po południu Lionel już wiedział o śmierci brata. Tragicznie bezsensownej, jak śmierć Johna. Dlaczego akurat Greg? Przecież ten chłopak nigdy nikomu nie wyrządził żadnej krzywdy? Kurwa!

– wrzasnął Lionel. Potem oparł się o ścianę i płakał, coraz głośniejsze. Udało mu się przeżyć rok piekła. Jego brat miał mniej szczęścia, przeżył zaledwie dziewiętnaście dni. Zostały po nim tylko wspomnienia.

Msza żałobna w Pierwszym Kościele Prezbiteriańskim w Hollywood zgromadziła wszystkich bliższych i dalszych znajomych Grega, jego nauczycieli ze szkoły. Ward siedział w ławce półprzytomny ze zgrzyzoty. Najukochańszy syn, radość jego życia, as futbolu, cała nadzieja na przyszłość zgasła jak świeczka na wietrze. Gdyby te dupki z uniwersytetu w Alabamie nie wyrzuciły Grega z drużyny albo gdyby przynajmniej pozwolono mu zostać na uczelni, to jego syn żyłby do tej pory, pomyślał z nienawiścią. Ale właściwie dlaczego ma ich nienawidzić? Greg sam sobie zgotował zły los. Przeciągnął strunę, dał się wyrzucić ze studiów, to była absolutnie jego wina. Ale ktoś był winny jego śmierci? Ktoś za nią odpowiadał, nieprawdaż? Pastor modlił się za duszę Grega, mówił o nim jako o zmarłym. Może to tylko koszmarny sen?

Po mszy składano Thayerom kondolencje. Ward tylko kiwał głową, cały czas zerkał na Lionela, jakby się ciągle utwierdzając, że jego drugi syn żyje. Patrzył także na córki, zostało mu czworo dzieci, jedno z nich odeszło. Na zawsze.

Rozdział trzydziesty siódmy

W kilka dni po mszy za Grega, Vannessa wyjechała z powrotem do Nowego Jorku, a Val wróciła do swojego zwariowanego mieszkania. Lionel większość czasu spędzał na samotnym prześiadaniu w domu, rodzice byli w pracy, Anne w szkole. Czuł dziwną potrzebę przebywania w pokoju Grega. Wspominał dawne czasy, gdy John odwiedzał Thayerów jako szkolny kolega Grega... Minęło kilka lat i żadnego z nich nie było; ani brata, ani jego kolegi. Kiedyś ich drogi się rozeszły... a teraz znowu gdzieś tam połączyły. Miał wrażenie, że zacznie krzyczeć, z bezsilności i rozpacz...

Pewnego popołudnia postanowił pojeździć po mieście. W garażu stał jego czerwony mustang... i samochód Grega... nie chciał patrzeć, ten widok ranił jego duszę... Wyprowadził auto. Już za tydzień miał wyjechać do Niemiec, zdecydował się odwiedzić ulubione miejsca, bo długo ich nie zobaczy, zaparkował samochód przed barem z hamburgerami. Jego uwagę zwrócił szary rolls-royce, był pewien, że gdzieś już widział to auto.

Wszedł do baru, zamówił hamburgera i colę, usiadł przy ladzie. Popatrzył w znajdujące się naprzeciwko niego lustro i ze zdumieniem stwierdził, że widzi w nim odbicie swojej najmłodszej siostry w towarzystwie dużo starszego mężczyzny. Trzymali się za ręce. Anne piła koktajl mleczny i chichotała. Nagle, o Boże, Anne i ten facet zaczęli się całować! Lionel był wstrząśnięty, amant jego siostry był w wieku Warda i nie grzeszył urodą. Któż to może być? – myślał gorączkowo Li. Gdzieś go spotkałem... zaraz, zaraz przecież to ojciec tej... jak ona się nazywa? Sally?... Jane?... Nie... Gail, tak, Gail.

Wstali od stolika, mężczyzna otoczył Anne ramieniem, przed wyjściem zdążyli się jeszcze dwa razy pocałować, po drodze do samochodu jeszcze jeden całus. Upłynęła długa chwila, nim wreszcie silnik zawarczał i auto odjechało. Lionel z wrażenia stracił apetyt. Wyjął pieniądze, położył należność na ladzie, w kilku susach dopadł mustanga i szybko ruszył do domu. Na miejscu dowiedział się, że Anne właśnie wróciła od Steinów i zamknęła się w swoim pokoju, za chwilę przyszli rodzice. Lionel wyglądał, jakby zobaczył ducha. Faye natychmiast to dostrzegła uważnym, matczynym wzrokiem.

– Czy coś się stało, kochanie?

Lionel westchnął głęboko. Nie wiedział dokładnie, co zrobić. Może powinien porozmawiać z Anne? A jeżeli ona znowu ucieknie z domu? Kto jej będzie szukał? Tym razem Li nie mógł marnować czasu. Nic nie mówić? Nie, to byłoby naprawdę głupie. Wstał z krzesła, delikatnie zamknął drzwi.

– O co chodzi, Li? – Faye zaczynała się niecierpliwić.

Atakowały ją dziesiątki myśli, znowu kłopoty z dziećmi; Van, Val, a może Anne...

Lionel wziął głęboki oddech i powiedział:

– Chodzi o Anne. Widziałem ją dzisiaj z pewną osobą...

Zrobiło mu się niedobrze. Ten facet był starszy od Warda i nietrudno sobie wyobrazić, co razem robili...

– Z Gail? – zapytała naiwnie Faye.

Była coraz bardziej zdenerwowana. Gail wydawała się bardzo miłą dziewczyną, chodziła do tej samej szkoły co Anne i miała niezwykle opiekuńczego ojca...

– Nie, nie z Gail – wycedził Li. – Z jej ojcem. Anne siedziała z nim w barze, do którego poszedłem na hamburgera, trzymali się za ręce i całowali.

Ward zaniemówił z wrażenia, jeszcze tego brakowało... Faye patrzyła na Li z niedowierzaniem.

– Niemożliwe. Jesteś pewien, że to była Anne?

Lionel pokiwał głową, nie miał najmniejszych wątpliwości.

– Jak do tego doszło?

– Może trzeba ją zapytać?

Serce Faye prawie przestało bić na wspomnienie, ile razy Anne zostawała u Steinów do późna, a ona o nic jej nie pytała. A jeżeli wtedy Gail nie było w domu? Albo gorzej, była i... o Jezu, jeśli ten facet jest zбочony... Faye zaczęła płakać, wydarzenia ostatnich dni zupełnie ją przerażały. Nie radziła sobie z własnymi emocjami. Nie była w stanie znieść więcej, zwłaszcza w sprawach Anne.

– Idę po nią – zdecydowała.

Ward złapał ją za ramię.

– Chyba wcześniej wszyscy powinniśmy się uspokoić i porozmawiać bez emocji. Może Lionelowi coś się przywidziało – rzekł, patrząc przeprasząco na syna.

Wiedział, że zachowuje się jak dziecko, ale za wszelką cenę chciał odsunąć od siebie nową tragedię. Bóg jeden wiedział, co znowu zmalowała Anne. Poza tym dziewczyna miała już siedemnaście lat, więc trudno było sprawować nad nią kontrolę. Nie udawało im się to, nawet gdy była czternastolatką...

– Jestem zdania, że powinniśmy z nią porozmawiać – naciskała Faye.

– Dobrze, ale bez oskarżeń – zgodził się Ward.

Pukając do drzwi pokoju córki, Faye miała jak najlepsze intencje, nie potrafiła jednak ukryć wzburzenia, gdy poprosiła ją ze sobą. Anne była prawie pewna, że wyszła na jaw jej pilnie strzeżona tajemnica. W pokoju, do którego zaprowadziła ją matka, ujrzała także Lionela.

– Cześć, Li – rzuciła.

W odpowiedzi otrzymała tylko niedbałe skiniecie głową. Wtedy inicjatywę przejął Ward.

– Anne, musimy porozmawiać. Nikt cię o nic nie podejrzewa, ale trzeba wyjaśnić pewną sytuację.

Anne poczuła, że zbliża się katastrofa. Nie rozumiała tylko, co Lionel robił pośród jej adwersarzy. Przecież on zawsze jej bronił. Co go skłoniło do przejścia na drugą stronę? Dlaczego ją zdradził?

– Twój brat sądzi, że widział cię dzisiaj w pewnym miejscu. Być może pomylił cię z kimś innym...

Lionel modlił się, żeby Anne zaprzeczyła. Jeśli potwierdzi, trzeba będzie wytoczyć temu facetowi proces o gwałt...

– ... to był bar z hamburgerami. Gdzie się znajdował, synu? – zapytał Ward.

Lionel podał adres. Serce Anne przestało bić.

– Najważniejsze jednak, że byłaś tam z mężczyzną.

– No to co? Ojciec Gail zabrał mnie na koktajl mleczny, kiedy jechaliśmy do domu.

Anne popatrzyła na Lionela ze złością. Dopiero wtedy Li zdał sobie sprawę, że jego siostra przestała być dzieckiem. Stała przed nim piękna młoda kobieta.

Nagle wszystko stało się jasne, wydarzenia całego ubiegłego roku nabrały zupełnie innego wymiaru; szybka aklimatyzacja Anne w nowej szkole, ciągła nieobecność w domu.

– Masz obłeśne myśli – rzuciła, patrząc na brata.

– Całowałaś się z tym facetem.

– To przynajmniej udowadnia, że nie jestem lesbijką – wycodziła. W jednej chwili znenawidziła chłopaka, który kiedyś był najbliższą jej istotą.

Lionel złapał ją za ramię.

– On jest od ciebie trzydzieści lat starszy.

– Dokładnie trzydzieści trzy. – Oczy Anne płonęły gniewem. Nikt nie mógł jej powstrzymać, na zawsze należała do Billa.

– Nic mnie nie obchodzi, co o mnie myślicie. Nigdy nie traktowaliście mnie przyzwoicie – zawahała się przez chwilę, spoglądając na Li. – Z wyjątkiem ciebie, ale to było dawno temu. – Przeniosła wzrok na rodziców. – Za to wy zawsze byliście zaabsorbowani tylko własnymi sprawami. Bill dał mi więcej przez dwa lata niż wy przez piętnaście. Niestety, nie liczyłam się dla was, mieliście ważniejsze sprawy. Filmy, interesy, zdrady, romanse. Nigdy nic o mnie nie wiedzieliście. Poruszałam się po omacku, aż spotkałam Billa i Gail.

– Czyżbyście tworzyli trójkąt? – zapytał Li, rewanzując się za wcześniejszą zniewagę.

– Nie. Gail nawet o niczym nie wie.

– Dzięki ci, Boże, i za to. Jesteś głupia, Anne. Godzisz się być lafiryndą jakiegoś starca. Robisz to samo, co robiłaś w Haight, z jedną tylko różnicą, teraz się nie odurzasz. Jesteś dziwką tego starego dziada!

Tego było za wiele. Anne podeszła do Lionela i zamierzyła się na niego. Chłopak zdążył się odsunąć, nim dosięgnęła go ręka siostry. Faye zaczęła krzyczeć:

– Przestańcie! Nie mogę na to patrzeć! Uspokójcie się!

– Co zamierzasz z nią zrobić, mammo?

Anne znowu przewróciła sobie życie do góry nogami. Co takiego było w tej dziewczynie, że musiała wszystko zniszczyć?

– Możecie się wypchać! – wrzasnęła Anne. – Za dziesięć miesięcy skończę osiemnaście lat i wtedy guzik mi zrobicie. A do tego czasu, proszę, możecie mnie torturować, zamykać w domu, ale za dziesięć miesięcy, zapamiętajcie moje słowa, wyjdę za niego.

– Oszalałaś, Anne! Bill widzi w tobie tylko kawałek młodej, zdrowej dupy! – krzyknął Lionel.

– Nie masz bladego pojęcia, jakim człowiekiem jest Bill Stein – odcięła się Anne.

Faye powoli, z przerażeniem stwierdziła, że Anne miała wobec Billa zupełnie poważne zamiary.

– Dziecko, czy ty jesteś z nim w ciąży?

– Nie – rzekła Anne nienawistnie i dodała:

– Raz już dostałam nauczkę.

Wtedy do akcji wkroczył Ward.

– Mówię ci, że ani za dziesięć miesięcy, ani za dziesięć lat nie wyjdiesz z tego człowieka, zaraz zadzwonię do mojego adwokata i na policję. Wniosę przeciwko niemu oskarżenie.

– Z jakiego powodu? Dlatego, że mnie kocha? – zapytała Anne ironicznym tonem.

Nigdy nie szanowała rodziców. Nie miała za co, a teraz te dwie żałosne kreatury pieniły się ze złości, bo ktoś pokochał ich dziecko, któremu sami nigdy nie byli w stanie dać miłości.

– W świetle prawa stosunki seksualne z nieletnią uważane są za gwałt – wyjaśnił Ward lodowatym głosem. – Bill może pójść za to do więzienia.

– Będę zeznawała przeciwko wam – odparła Anne.

– To niczego nie zmieni.

Anne była przerażona. Musi coś zrobić, żeby go obronić. Spojrzała na ojca błagalnym wzrokiem.

– Zrób ze mną, co chcesz, ale nie krzywdź Billa.

Faye poraziła desperacja córki, więc sprawy miały się na tyle poważnie, że Anne była gotowa narazić siebie, żeby oszczędzić mężczyznę. Aż tak bardzo go kocha...

– Może powinniśmy najpierw z nim porozmawiać, zobaczymy, co on nam powie. Jeśli obieca nie widywać się z Anne, to odstąpimy od oskarżenia – zaproponowała.

Ward z początku nie dawał się przekonać, ale w końcu ustąpił. Polecił Anne zadzwonić do Billa, poprosić go o przyjazd i koniecznie powiedzieć, o co chodzi. Dziewczyna wykręciła numer Steina i natychmiast zaczęła płakać.

Po przekroczeniu progu domu Thayerów Bill stanął oko w oko z bliskim furii Wardem, ciskającym nienawistne spojrzenia Lionelem, załamana Faye i roztrzęsioną, płaczącą histerycznie Anne. Podszedł do niej, wytarł mokre policzki i mocno ją przytulił. Wtedy zdał sobie sprawę, że wszyscy zgromadzeni uważnie mu się przypatrywali. Nawet nie usiłował się usprawiedliwiać.

Rozumiał zdenerwowanie Warda, ponieważ sam miał córkę w wieku Anne, ale musiał im powiedzieć, że kierowały nim jedynie szlachetne pobudki. Długo rozwodził się nad samotnością Anne, szokiem, jakiego doznała, oddając dziecko do adopcji. Poczuciem winy, które dręczyło ją po powrocie z Haight. Cierpliwie wyjaśniał, że dziewczyna zawsze czuła się wyobcowana, gorzka, niekochana.

W trakcie długiego przemówienia nie padło ani jedno słowo usprawiedliwiające jego postępowanie.

Thayerowie słuchali Billa z narastającym zdumieniem, nareszcie poznawali duszę Anne. Docierało do nich, że przez siedemnaście lat byli ślepi i głusi, w ogóle nie znali swego dziecka. W końcu Anne znalazła sobie oparcie w samotnym, łakącym miłości mężczyźnie, który ją zrozumiał, a ona w zamian obdarzyła go zaufaniem.

Ten związek może wydawał się szokujący, lecz opierał się na prawdziwym uczuciu i to ma największe znaczenie, mówił dalej Bill. Gdy tylko Anne skończy osiemnaście lat, natychmiast wezmą ślub, z aprobatą rodziców lub bez, nieważne. O swoim życiu Anne zdecyduje sama. Jeśli będzie chciała kontynuować naukę, to proszę bardzo, jeśli nie, będzie robiła to, na co będzie miała ochotę. Decyzja dotycząca ślubu jest nieodwołalna, nawet gdyby przeciwko niej protestowała Gail, zakończył.

Zapanowała cisza. Anne usiadła na sofie, uśmiechając się promiennie do Billa. Kochany Misio, ale im przyłożył!

Thayerowie patrzyli na siebie, doznając mieszanych uczuć. Ward nie pojmował, co Anne widziała w Billu, raczej niskim, banalnie wyglądającym podstarzałym mężczyźnie. Koncentracja na wyglądzie zewnętrznym nie pozwalała mu dostrzec, że Bill dał Anne akceptację i poczucie bezpieczeństwa, które były o wiele cenniejsze od najbardziej nawet oszałamiającej aparycji. Oboje musieli przyznać, że ich córka Anne była naprawdę szczęśliwa, związek z Billem wyraźnie wychodził jej na dobre, nie doznała od niego krzywd, nie wykorzystywał jej, nie miał zamiaru porzucić.

– Co o tym myślisz? – zapytała Faye, nadal zdezorientowana, choć Stein już dość dawno opuścił ich dom.

– Myślę, że robi potworne głupstwo.

Faye westchnęła. Wydarzenia z życia córki przypominały jej scenariusz kiepskiego romansidła.

– Ja też tak uważam, ale Anne jest zupełnie innego zdania.

– Najwyraźniej. – Ward wziął żonę za rękę. – Co oni wyczyniają? Lionel ma te swoje dziwne skłonności, których nigdy nie zrozumieję, Val żyje jak w amoku, tylko kariera, Van mieszka z tym chłopakiem i myśli, że my o niczym nie wiemy.

Faye uśmiechnęła się łagodnie. Sama nie widziała nic zdrożnego w fakcie, że Van mieszkała z Jasonem. Przecież dziewczyna miała już dwadzieścia lat, a Jas robił wrażenie bardzo przyzwoitego młodego człowieka.

– A teraz jeszcze Anne... – ciągnął Ward. – Boże, Faye, on jest od niej trzydzieści trzy lata starszy!

– Wiem, a do tego paskudny. Gdyby wyglądał tak jak ty, wtedy nie dziwiłabym się Anne. – Faye się uśmiechnęła.

Ward przekroczył pięćdziesiątkę, ale ciągle był w doskonałej formie. Mógł uchodzić za znacznie młodszego. Nosił się elegancko, był bardzo zadbany, zachował świetną figurę. Co innego Bill; mały, niepozorny, może tylko jego oczy zwracały uwagę...

– Ward, czy mamy dać pozwolenie na ten związek?

Chodziło bardziej o względy emocjonalne niż prawne, bo za miesiąc Anne będzie już pełnoletnia.

– Nie widzę powodu, dla którego powinniśmy się zgodzić.

– Może należy w końcu przestać walczyć z wiatrakami? – zasugerowała Faye, mając na myśli Lionela, Val, Vanessę. Wszyscy oni postawili na swoim.

– Co przez to rozumiesz? Mamy im pozwolić na afiszowanie się razem?! – krzyknął Ward. – Przecież ona ma dopiero siedemnaście lat!

Fizycznie rzeczywiście Anne była zaledwie siedemnastolatka, ale psychicznie chyba czuła się dużo, dużo dojrzałej.

– Fakt, ale sypia z tym mężczyzną od ponad roku.

Ward zmarszczył czoło.

– Nagle stałaś się bardzo liberalna.

– Może tylko się zestarzałam.

– I zmańdrałam – dodał Ward, całując żonę w policzek. – Kocham cię, maleństwo.

– Ja też cię kocham.

Postanowili jeszcze raz wszystko przeanalizować i porozmawiać z Anne za kilka dni. W końcu zdecydowali się dać jej i Billowi błogosławieństwo. Przy okazji poprosili Anne o bardziej dyskretne zachowanie.

Bill Stein należał do osób dosyć znanych w Hollywood. Klientami jego kancelarii prawnej były sławne osobistości ze świata filmu, nie zależało mu więc, żeby jego romans stał się sensacją miasta. Datę ślubu wyznaczono na pierwsze dni stycznia następnego roku, tuż po osiemnastych urodzinach Anne.

Wcześniej, w Wielkanoc, odbyły się ciche zaręczyny. Narzeczony ofiarował Anne pierścionek z ogromnym brylantem. Wtedy też oficjalnie o całej sprawie dowiedziała się Gail, z początku zszokowana i zakłopotana, z czasem przyzwyczaiła się do myśli, że ojciec pojmie za żonę jej przyjaciółkę. Kochała ich oboje, chciała, aby jak najlepiej ułożyło im się w przyszłości.

Obie dziewczyny zdecydowały się uczestniczyć w zajęciach szkoły letniej, bo tym sposobem ich edukacja dobiegłaby końca przed zimowymi feriami. Anne po ślubie nie musiałyby już chodzić do szkoły, natomiast Gail mogłaby wyjechać do Nowego Jorku, podjąć dalszą naukę w Szkole Wzornictwa Parsona.

Do chwili wyjazdu do Niemiec Lionel nie pogodził się z zamiarami siostry, nie akceptował jej związku z Billem.

– To się jeszcze może dla ciebie bardzo źle skończyć – powiedział jej na pożegnanie.

Anne popatrzyła na niego chłodno, ciągle urażona.

– Akurat ty nie powinienesz wydawać zbyt wielu opinii.

– To, że jestem gejem, nie ma wpływu na mój zdrowy rozsądek.

– Ale powinno mieć na twoje serce.

W głębi duszy Lionel był skłonny przyznać Anne rację. Od powrotu z Wietnamu cały jego system wartości legł w gruzach. To, co dawniej było ważne, niemal święte, teraz wydawało się nieistotne. Nawet śmierć przestała go przerażać, w Wietnamie codziennie ktoś umierał... Na świecie nie było już Johna i Grega. Pozostała pustka. Czy to dlatego szczęście Anny wydawało mu się tak trudne do zrozumienia?

Rozdział trzydziesty ósmy

Osiemnastego stycznia 1970 Anne Thayer i Bill Stein stanęli przed ołtarzem Temple Israel na Hollywood Boulevard. Anne protestowała przeciwko obecności jakichkolwiek osób trzecich, lecz Bill przekonywał ją do kompromisu:

– Pozwól rodzicom zorganizować coś małego. Sprawisz im przyjemność i łatwiej im będzie zaakceptować nasz ślub.

Anne niechętnie przystała. Od dwóch lat czuła się żoną Billa i nie potrzebowała fanfar. Gail myślała, że to głupie z jej strony, nie chcieć ani długiej sukni, ani welonu.

To nawet bardziej niż skromnie, myślała Faye, porównując zaślubiny córki z przepychem własnego wesela. Anne przybyła do kościoła ubrana w prostą, białą sukienkę z golfem. Nie miała wiązanki. Jediną ozdobą był zaręczynowy pierścionek. Długie blond włosy zaplotła w warokocz. Pod koniec ceremonii na jej palcu zajaśniała złota obrączka wysadzana maleńkimi diamentkami. Symbol małżeństwa jakoś nie pasował do młodziutkiej twarzyczki Anne, ale ona nie zdawała sobie z tego sprawy. Nareszcie spełniło się to, o czym śniła od dwóch lat, od dnia kiedy się poznali. W przeszłość odchodziło samotne dzieciństwo. Wreszcie miała wszystko, czego pragnęła. Liczył się tylko Bill. Ward, patrząc na córkę, znowu miał wrażenie, że odchodziła z domu osoba zupełnie im nieznaną. Anne tylko przemknęła przez ich życie, zawsze ukryta za zamkniętymi drzwiami. Wszystko, co pamiętał z jej dzieciństwa, to pytanie: „Gdzie jest Anne?”

Po ślubie młoda para i zaproszeni goście udali się do Thayerów na mały lunch i lampkę szampana. Faye, siedząc za stołem, z trudem zdobywała się na zdawkowe uśmiechy. Nie mogła wyzbyć się myśli, że bierze udział w jakiejś surrealistycznej inscenizacji, która skończy się kiedyś i Gail z ojcem odjadą do domu. Rzeczywistość przedstawiała się inaczej, to Anne odchodziła z Billem. Na pożegnanie ucałowała rodziców, a Faye o mało nie popełniła gafy, chcąc zapytać córkę, czy dobrze wszystko przemyślała.

Gail podczas całego przyjęcia była nieco przygaszona, ale naprawdę cieszyła się szczęściem ojca i jego wybranki. Na drugi dzień we trójkę pojechali do Nowego Jorku. Gail miała tam rozpocząć naukę, a nowożeńcy wyruszali dalej, w kilkutygodniową podróż do San Juan, St. Thomas, St. Martin’s i St. Croix. W Nowym Jorku Bill planował odwiedzenie kilku sklepów jubilerskich, chcąc kupić swoim kobietom parę drobiazków.

– Bregdorf, Bendel, Bloomingdale! – wykrzykiwały chórem.

– Za bardzo mnie rozpieszczasz – szepnęła Anne, całując męża w szyję.

– Jak się czujesz w roli mojej żony? – zapytał Bill, kiedy pierwszej nocy leżeli w wielkim łożu.

– Cudownie – odpowiedziała, poprawiając fikuśną koszulę nocną, ślubny prezent od Val.

Chociaż ona zachowała się ładnie, mimo że nie rozumiała jej, Anne. Zresztą nigdy jej nie rozumieli, nawet nie starali się o to, z wyjątkiem Li... kiedyś... dawno... Vanessa nie przyjechała na ślub, wymówiła się studiami. Li ciągle był w Niemczech. Mało ją to obchodziło, należeli do przeszłości.

– Mam wrażenie, jakbym całe życie była twoją żoną – uśmiechnęła się Anne.

– Ja też tak czuję – wyznał Bill.

Za jego plecami aż roiło się od złośliwych plotek. Czasami w komentarzach starych przyjaciół wyczuwał zazdrość. Nieźle ci się trafiło, mawiali. Nic sobie nie robił z ich złośliwości. Jediną rzeczą, jakiej pragnął, było otoczyć swój skarb prawdziwą opieką i czułością.

Nazajutrz, zaraz po śniadaniu, spakowali rzeczy i udali się na lotnisko. Anne przez chwilę myślała, żeby zatelefonować do rodziców, w końcu jednak zdecydowała, że nie ma im nic do powiedzenia.

– Jesteś trochę niesprawiedliwa – łagodnie zganił ją Bill. – Starają się, jak mogą. Nigdy nie byliście zbyt blisko, więc nie oczekuj, że nagle zaczną cię w pełni rozumieć. Daj im trochę czasu.

Dobre sobie! Jak mogła udawać, że kocha te dwie osoby, zwane rodzicami, które ukradły jej dziecko, straszyły, że wytoczą Billowi proces, chciały złamać jej życie. Całe szczęście, że ten koszmar już się skończył, pomyślała, patrząc na męża.

Odwróciła się do Gail. Obie dziewczyny nie mogły się doczekać zakupów w Nowym Jorku. Gdy wreszcie tam dotarli, dwa dni upłynęły im na radosnym buszowaniu po sklepach. Gail dostała futerko z nerek o sportowym kroju i stopy sprzętu narciarskiego, sześć sukienek, tyleż samo par butów oraz złotą bransoletkę, która tak zachwyciła Anne, że na drugi dzień mąż kupił jej identyczną. Poza tym obdarował ją dwoma futrami z nerek, krótkim i długim, sukienkami, bluzkami, spódnicami, stosami włoskich butów, pierścieniem ze szmaragdem, kolczykami z perłami od Van Cleefa, dwiema złotymi bransoletami o prostym wzorze, i jeszcze jedną od DaVida Webba, wyobrażającą lwa połykającego jagnię.

– Co ja mam z tym zrobić? – zapytała Anne kokieteryjnie.

Hotelowy pokój tonął w pudłach, torbach, papierach. Wszędzie wisiały nowe ubrania, w walizce Anne spoczywało sześć puzderek po brzeży wypełnionych biżuterią. Hojność Billa czasami wprawiała ją w zakłopotanie, więc cieszyła się, gdy wreszcie wybrał coś dla siebie: płaszcz z futrzanym kołnierzem i złoty zegarek.

Ostatniego wieczora przed wyjazdem umówili się na drinka z Vanesą i Jasonem. Anne wkroczyła do Oak Room przyodziana w eleganckie

czerwone spodnie, kremową jedwabną tunikę. Na ramiona miała narzucone futro z norek, w rękę trzymała elegancką torebkę ze skóry aligatora. Na jej widok goście restauracyjni na chwilę oderwali się od jedzenia, Vanessa zaś miała trudności z rozpoznaniem siostry, zdołała ją ściągnąć królewskie klejnoty. W uszach miała perłowe kolczyki, na palcach lśniły brylanty, a przegub dłoni zdobiła imponująca bransoleta w kształcie lwa, którego oczami były dwa duże rubiny.

– Anne? – zapytała niemądrze.

Tylko fryzura, zwykły warkocz, i skromny, prawie niedostrzegalny makijaż, przypominały dawną Anne. Wyglądała, jakby żywcem wyjęta z najnowszego numeru „Vogue’a”...

– Zrobiliśmy strasznie dużo zakupów – powiedziała Anne. Zerknęła na Billa. – On mnie psuje.

– Widzę to.

Kelner przyjął zamówienie, dla Anne kieliszek dubonet, dla Vanessy i Jasona szkocka whisky, dla Billa martini z lodem, dla Gail białe wino. Przy stole wspomniano wakacje w Lake Tahoe, rozmawiano o bieżących sprawach, planach na przyszłość. Anne zagadnęła Jasona o pracę. Ten z dumą odpowiedział, że w terminie obronił doktorat i teraz wykładał literaturę na Uniwersytecie Nowojorskim. Obecne zajęcie niezbyt go pasjonowało. Jego gorącym pragnieniem było pisanie sztuk teatralnych.

– Próbuję nakłonić Van do współpracy, ale ona odmawia uparcie – poskarżył się.

– Mam dosyć nauki – zwierzyła się Vanessa Billowi.

Musiała wytrzymać jeszcze rok, a potem chciała pójść do pracy i pozostać w Nowym Jorku. Anne podejrzewała, że z powodu Jasona. Również go lubiła, ale nie rozumiała, dlaczego nie proponuje Van małżeństwa. Ich związek wydawał jej się dziwactwem. Byli razem od dwóch lat i nigdy nie rozmawiali o ślubie, nie chcieli mieć dzieci. Stworzyli jakiś sztuczny układ, wypełniony rozmowami o pracy i pisaniu sztuk teatralnych.

– To potwornie nudne – skomentowała Gail. – Chociaż Jason jest całkiem miły.

Anne skinęła głową. Jej niby-szwagier był miły, ale nie dorównywał Billowi, najcudowniejszemu mężczyźnie, jakiego знаła.

– Nie rozumiem tego dzieciaka – powiedziała Van, jadąc z Jasonem do domu. – Anne jest taka młodziutka, a wyszła za mąż za starszego pana, ubiera się w norki, obwiesza diamentami.

– Może to jest dla niej ważne – odparł Jas.

Właściwie także nie pojmował postępowania Anne, ale lubił ją. Nie uważał, żeby była tak inteligentna czy interesująca jak Van, lecz może

po prostu dokładnie jej nie znał, zawsze wydawała mu się zamknięta w sobie.

– To nie jest dla niej ważne – zaprotestowała Van. – Ją nie obchodzą ani norki, ani biżuteria. On chce jej robić prezenty, a ona je przyjmuje i nosi, żeby sprawić mu przyjemność.

Wiedziała, że jedyną osobą z rodziny, która uwielbiała klejnoty i futra, była Val. Gdyby żył Greg, to prawdopodobnie także odnalazłby upodobanie w podobnym stylu życia, pozostali mieli mniej kosztowne gusty.

– Ja po prostu nie wiem, co ona widzi w facecie w tym wieku – westchnęła Van.

– Jest dla niej bardzo dobry i to nie tylko w materialnym sensie. Jeśli jest spragniona, zaraz podaje jej szklankę wody. Jeśli jest zmęczona, to kładzie ją spać. Jeśli jej się nudzi, to zapewnia jej rozrywkę, organizuje wycieczkę do Europy, zabiera na tańce, do przyjaciół. Ona nie musi go o nic prosić, bo on odgaduje jej pragnienia. Jest w tym niestrudzony. Faceci w jego wieku nie mają wiele więcej do zaoferowania kobietom – zakończył Jason, uśmiechając się dwuznacznie.

– To znaczy, że ty mi nigdy nie podarujesz pierścionka z brylantem wielkości jajka?

– Naprawdę chciałabyś? – zapytał, otwierając drzwi.

– Nie.

Pragnienia Vanessy były bardzo konkretne i nie miały nic wspólnego z kufrem pełnym klejnotów. Marzyła o dalszym szczęśliwym związku z Jasonem, za osiem, dziesięć lat chciała mieć dziecko, a może nawet kilkoro.

– Więc czego chcesz? – zapytał Jas.

Van wzruszyła ramionami, rzucając płaszcz na krzesło.

– Opublikować książkę, dostać dobre recenzje...

Nie wspomniała, że w przyszłości widziała się w roli matki ich dziecka. Uważała, że jeszcze za wcześnie na takie wyznania.

– To wszystko? – Jason miał bardzo rozczerowaną minę.

– Może jeszcze chcę ciebie – mrugnęła Van.

– To już masz.

Usiadła na kanapie. Jason rozpałił ogień na kominku. Czuli się tu komfortowo; ze swoimi książkami i papierami wokół, z ciągle rozłożonym „Sunday Timesem”, jego trampkami i jej butami leżącymi na podłodze, i z jego okularami na biurku.

– Rzeczywiście uważam, że to wszystko, co chcę, Jase.

– Masz zwykłe cele, moja przyjaciółko. A z tą książką to poważnie? – zapytał, przytulając Van mocno.

– Tak, ale najpierw chcę skończyć szkołę i dostać pracę.

– Pisanie książek to cholernie ciężkie zadanie – westchnął. – Myślę, że powinniśmy współpracować przy mojej sztuce. – Uśmiechnął się z nadzieją w oczach.

– Może kiedyś.

Jason położył Van na tapczanie, pocałował ją w usta i wsunął rękę pod bluzkę.

W tym samym czasie Anne i Bill leżeli w satynowej pościeli w pokoju hotelu Pierre. Jego język leniwie wspinał się po jej udzie, a ręce delikatnie unosiły peniuar obsyty puchem marabuta, aż w końcu sfrunął na podłogę...

Miłość, namiętność, wzajemna więź były takie same. Trampki czy puch marabuta nie miały znaczenia...

Rozdział trzydziesty dziewiąty

Wmaju Steinowie wybrali się na kilka dni do Nowego Jorku. Bill w interesach, natomiast Anne chciała zobaczyć się z Gail. Zatrzymali się znowu w hotelu Pierre. Anne odwiedzała luksusowe sklepy, gdyż Bill był zajęty sprawami zawodowymi. Pewnego słonecznego popołudnia spotkali się na lunchu w Côte Basque. Anne, ubrana w piękną białą sukienkę i płaszcz od Bendela, szła przez salę restauracyjną, wzbudzając ogólny podziw. Na jej widok oczy Billa zajaśniały radością.

– Jak tam dzisiejsze zakupy? – zapytał na przywitanie.

– Wspaniale!

Zdarzały jej się jeszcze niekiedy spontaniczne, wręcz dziecinne zachowania, ale wyglądała jak kobieta z klasą. Nosila rozpuszczone włosy, stosowała makijaż. Robiła wrażenie znacznie starszej, niż była w rzeczywistości. Gail uważała, że przyjaciółka prezentuje się wspaniale. Jej samej w Nowym Jorku wiodło się dobrze. Miała chłopaka i zamierzała wyprowadzić się z hotelu Barbizon, aczkolwiek ojciec nie pochwalał tego pomysłu.

– To moje dzisiejsze nabytki – powiedziała Anne, wskazując na swój strój idealnie wypielęgnowaną ręką, ozdobioną perłami przywiezionymi przez męża z Hongkongu.

– Widzę, że ci się podobają.

– Bardzo – potwierdziła.

Kelner podał zamówione jedzenie oraz wodę mineralną dla Anne i białe wino dla Billa. Po lunchu Bill miał kolejne spotkanie w interesach, a Anne wyruszała na zakupy u Bloomingdale’a. Później miała się spotkać z Gail.

Bill czasem myślał, że żona powinna znaleźć sobie jakieś konkretne zajęcie. Może powinna jeszcze się uczyć? Musi coś robić, inaczej popadnie w obłęd. On też pragnął dziecka, ale nie tak desperacko. Lekarz powiedział, że jest zdolna zajść w ciążę, musi tylko uzbroić się w cierpliwość. W żadnym razie nie powinna spędzać czasu tylko na mierzeniu temperatury i oczekiwaniu pierwszych symptomów.

– Dzwoniłaś już do Vanessy?

Anne potrząsnęła nieznacznie głową, biorąc z talerzyka ciasteczko.

– Dlaczego nie?

Anne unikała kontaktów z rodziną, nawet z Lionelem, którego kiedyś bardzo kochała, zachowywała się, jakby i rodziców, i rodzeństwo chciała raz na zawsze wyrzucić z pamięci. Wystarczył jej Bill, lecz on starał się nakłonić ją do zmiany postępowania. Sam nie wyobrażał sobie, aby Gail kiedykolwiek wykreśliła go ze swego życia.

– W zeszłym tygodniu mama powiedziała mi, że Van ma egzaminy.

Było oczywiste, że Anne zwyczajnie nie miała ochoty telefonować do siostry. Tak samo nigdy nie dzwoniła do Val, nie rozmawiała z nią od miesięcy.

– Może jednak znalazłaby chwilkę na drinka? – nalegał Bill.

– W porządku, zadzwonię do niej wieczorem – obiecała Anne na odczepnego.

Bill z góry wiedział, że Anne nigdzie nie zatelefonuje. Wieczorem, jak zwykle, usiadł nad wykresem temperatury, zaczął liczyć; czternaście dni, dni płodne, dni niepłodne, znowu się nie udało... kompletna paranoja... Według Billa, najlepiej byłoby nie przejmować się aż tak bardzo. Postanowił nawet, że wyjadą do Europy na wakacje, żeby chociaż na chwilę przestała myśleć o dziecku. Zaproponował, aby Gail wybrała się razem z nimi, ale córka miała już własne plany i odmówiła.

– O czym myślisz, kochanie? – zapytał Bill, gdy przechadzali się po Madison Avenue.

Próbował zachęcić ją do wyjazdu do Europy, zainteresować czymkolwiek. Co będzie, jeśli nigdy nie będą mieli dziecka albo przyjdzie im czekać kilka lat? Przecież Anne nie mogła tylko siedzieć w domu i liczyć dni... Sytuacja stawała się nieznośna. Pragnienie posiadania dziecka przyćmiewało wszystko inne. Anne rozprawiała tylko o zajściu w ciążę, czasami mówiła

o potrzebie naprawienia błędu przeszłości. Myślała, że dziecko zastąpi jej utraconego synka. Bill słuchał jej i wiedział, że jest to niemożliwe. Nie mógł odnaleźć w Anne swej nieżyjącej żony. Kochał Anne bardzo gorąco, ale inaczej, bo nikt nie był w stanie zastąpić mu zmarłej żony, po której pozostała tylko bolesna pustka. Identycznie było z synkiem Anne, żadne inne dziecko go nie zastąpi.

– Nie sądzisz, że byłoby fajnie pojechać do Saint Tropez? Moglibyśmy wynająć łódź – kusił Bill. Anne uśmiechnęła się do niego czule. Nikt przedtem tak bardzo o nią nie dbał.

– Myślę, że to świetny pomysł. Przepraszam, że jestem taka marudna. Chyba znasz powody...

Bill wziął Anne w ramiona.

– Znam, ale może lepiej byłoby pozwolić działać Matce Naturze? Twój czas na pewno nadejdzie, kochanie. Poza tym, czy same starania nie są słodkie?

– Tak – przyznała Anne.

Bill ciągle miał w uszach jej płacz, gdy ostatnio dostała okres, zawiedziona nadzieja przerodziła się w złość. Anne wykrzykiwała, że gdyby nie Faye, to teraz miałyby trzypółrocznego synka.

– Tylko tego potrzebujesz? – zapytał Bill, głęboko urażony.

– Tak, tylko tego! – wrzasnęła Anne.

Zrobiło mu się jej tak bardzo żal, że nawet zaproponował zaadoptowanie dziecka w podobnym wieku. Anne odmówiła, pragnęła „swojego własnego dziecka”, którego ojcem będzie Bill Stein. Nieustannie oskarżała matkę o złamanie jej życia. Co prawda, nie mówiła jej tego, ale nienawistne spojrzenia, rzucane przy każdym spotkaniu, były wymowniejsze od wszelkich słów.

– Czy myślisz, że to się kiedykolwiek zdarzy? – spytała, idąc obok Billa Madison Avenue.

To samo pytanie zadawała mu już setki razy, w różnych miejscach i w różnych sytuacjach. Do dnia ślubu używali środków antykoncepcyjnych i była to całkowicie inicjatywa Billa. Anne zachowywała się lekko-myślnie, za wszelką cenę pragnęła dziecka.

– Oczywiście, że to się zdarzy, moje maleństwo. Za sześć miesięcy od dzisiaj będziesz miała brzuch okrągły jak piłka, będziesz się skarżyć na niewygody i nienawidzić mnie za to.

Uśmiechnęli się do siebie i rozstali do wieczora. Bill pospieszył na spotkanie w interesach, a Anne pobiegła do Bloomingdale’a.

Przechadzała się między rzędami ubrań, zatrzymała na chwilę przy wieszakach z dziecinnymi kaftanikami. Popatrzyła na nie tęsknym wzrokiem,

przez moment chciała kupić jeden z nich, tak na szczęście. Potem zrezygnowała, przypomniawszy sobie, że kiedyś kupiła parę maleńkich różowych bucików i nigdy nie założyła ich na nóżki swojego małenstwa. Wspomnieniami przeniosła się do czasów, gdy mieszkała z Johnem i Lionelem, zrobiło jej się smutno. Johna już nie było, a z Li prawie nie rozmawiali. Ich więz należała do przeszłości. Nie potrafiła mu wybaczyć, że tak bardzo ją zawiódł. Mało wiedziała o jego życiu. Wrócił z Niemiec i starał się o pracę w jakiejś wytwórni filmowej. Anne westchnęła ciężko. Ruchomymi schodami zjechała piętro niżej. Znalazła się w świecie bajecznie kolorowych torebek ze skóry i zamszu. Kazała sobie zapakować parę sztuk, wiedząc, że większości z nich nie będzie nosić, tak samo jak bransolety z diamentami, którą Bill kupił jej na pocieszenie. Nie radowały jej prezenty.

Przed wyjazdem do Saint Tropez jeszcze raz udała się po poradę do ginekologa. Powiedział jej z całym przekonaniem, że na pewno zostanie matką. Na pewno, to tylko kwestia czasu!

– Zrelaksuj się i nie myśl o tym – poradził Bill, z racji wieku mający bardziej filozoficzne nastawienie do życia.

Jakimś cudem trzy tygodnie w Saint Tropez upłynęły pod znakiem wakacyjnej beztroski, nie padło ani jedno słowo o ciąży. Anne nosiła džinsy, trampki, kolorowe bawełniane podkoszulki. Jej jasne włosy jeszcze wypływały od słońca i stały się prawie białe. Przy okazji zakupów w Cannes okazało się, że trochę przytyła. Nie mogła się zmieścić w spodnie o rozmiarze, jaki zwykle nosiła. Bill pomyślał, że chyba zna przyczynę. W Paryżu nabrał zupełnej pewności, gdy żona nie miała siły na spacer, ciągle była senna, a na propozycję wypicia kieliszka dubonet wzdrygnęła się z niechęcią. Wszystko wskazywało, że wielkie marzenie Anne miało się spełnić. Bill nie robił jednak żadnych sugestii, nie chciał rozbudzać nadziei, która jeszcze mogła okazać się płonna. Dopiero po powrocie do Los Angeles przypomniał jej, że już dawno nie miała okresu. Anne momentalnie wszystko przeliczyła i aż otworzyła usta ze zdumienia.

– Myślisz, że...

Nie śmiała nawet wypowiedzieć słowa „ciąża”. Czekala z utęsknieniem od sześciu miesięcy, czyli wieki.

– Tak, moja maleńka. Podejrzewam to od paru tygodni – potwierdził Bill, obejmując promieniejącą uśmiechem Anne. – Upewnijmy się, a potem urządzimy sobie wielkie święto.

Nazajutrz Anne pobiegła zrobić testy ciążowe. Nie mogła się doczekać wyników. Wykręciła numer przychodni i usłyszała, że pod jej nazwiskiem figuruje plus, jest w ciąży... Bill znalazł ją wpatrującą się w telefon, nie

dowierzała temu, co usłyszała. Na jego widok Anne zerwała się na równe nogi:

– Jestem, jestem, jestem...! – krzyczała, skacząc i kręcąc piruety. Bill uśmiechnął się, urzeczony jej szczęściem. Dopiero teraz zauważył, a może pozwolił sobie zauważyć, że figura Anne nieco się zaokrągliła.

Dla uczczenia radosnej nowiny poszli na kolację do Beverly Hills Hotel, lecz Anne po krótkim czasie zaczęła przysypiać nad stołem, więc wrócili do domu i położyli się do łóżka. Bill od razu zaczął snuć plany dotyczące przebudowy domu i dostosowania go do potrzeb powiększającej się rodziny. W pokoju gościnnym można by urządzić pokój dziecienny, nad garażem dobudować pokój dla opiekunki, gospozię przenieść tam, kucharkę gdzie indziej – przez głowę Billa przelatywały tysiące koncepcji. Wielka radość zdawała się nie mieć końca, życie nagle nabrało żywszych kolorów, alkwiane sprawy układały się nawet lepiej niż przedtem. Anne ciągle mówiła o ich „małym chłopczyku”, tak jakby koniecznie musiał urodzić się chłopiec, następca tamtego, który teraz skończyłby cztery lata... Jeden z weekendów spędzili z przyjaciółmi, którzy z wolna przestawali plotkować za plecami Billa. Stali się życzliwsi, okazywali Anne sympatię, wyrażali podziw dla jej urody. Anne z dnia na dzień wyglądała lepiej, ciąża wyraźnie jej służyła.

Za przyzwoleniem lekarza postanowili pojechać do Gail, do Nowego Jorku. Niestety, na dzień przed wyjazdem Anne zaczęła nieznacznie krwawić, więc ginekolog nakazał jej położyć się do łóżka i odpocząć, z miejsca ogarnęła ją panika, lecz doktor uspokajał, że krwawienia w czasie ciąży nie muszą być zapowiedzią poronienia. Większość kobiet miewała lekkie plamienia i szczęśliwie rodziła dzieci. Mijały dni, a plamy z krwi nie przestawały się ukazywać. Bill wezwał innego lekarza, lecz ten tylko potwierdził opinię kolegi po fachu. Anne wpadła w rozpacz, nie ruszając się z łóżka, płakała. Wreszcie po tygodniu, w środku nocy, obudziły ją straszliwe bóle. Miała wrażenie, że ktoś nasypał jej do środka rozżarzonych węgli, które raniły jej wnętrzności, przysparzały potwornego cierpienia. Bill natychmiast zadzwonił do lekarza, owinał Anne w koc i zawiózł do szpitala.

Trafili do gabinetu zabiegowego. Anne kurczowo trzymała rękę Billa, błagała go, żeby nie odchodził. Lekarz pozwolił mu zostać, tym samym skazując Billa na dwie godziny patrzenia na cierpienie i rozpacz Anne. Po dwóch godzinach ból ustał, krwotok zatamowano. Anne straciła dziecko, którego tak bardzo pragnęła. Przewieziono ją do izolatki. Konsylium lekarskie nie potrafiło znaleźć przyczyny poronienia, po prostu organizm odrzucił płód.

Po powrocie do domu Anne przez kilka tygodni nie wstawała z łóżka. Lekarz pozwolił jej chodzić, ale była tak przygnębiona, że najmniejszy ruch kojarzył jej się z wysiłkiem nie do pokonania.

Schudła prawie siedem kilogramów, wyglądała mizernie, z nikim nie chciała rozmawiać. Faye dowiedziała się o tragedii córki bardzo okrutną drogą. Li zadzwonił do Stanów ot tak sobie, bez powodu, wówczas to Bill powiedział mu o nieszczęściu. Lionel zawiadomił matkę, a ta usiłowała skontaktować się z Anne, lecz córka nie chciała podejść do telefonu, zdesperowany Bill wyjaśnił Faye, że Anne nie życzy sobie żadnych rozmów. Dla siebie zachował wiadomość, że na sam dźwięk imienia matki dostawała ataków hysterii. Krzyczała, że to jej wina, że gdyby jej nie zmusiła do oddania dziecka, to teraz miałyby syna. Nienawidziła wszystkich, czasami dostawało się także Billowi. Był już listopad, gdy wreszcie udało mu się przekonać Anne do ruszenia się z domu. Pojechali do Nowego Jorku.

– Ona wygląda strasznie – powiedziała Gail ojcu po spotkaniu z Anne.

– Wiem – odrzekł Bill. Starał się, jak mógł, żeby Anne poczuła się lepiej, lecz wszelkie jego wysiłki spełzały na niczym. – Bardzo to przeżyła.

Mijały dwa miesiące, a Anne ciągle rozpamiętywała stratę. Nie cieszyły jej zakupy, nowa biżuteria, nawet świąteczna wyprawa do Saint Moritz.

Wreszcie w styczniu zaczęła odzyskiwać humor. Powoli wracała do dawnych nawyków, z upodobaniem odwiedzała sklepy, częściej telefonowała do Gail, umawiała się z nielicznymi znajomymi. Odkurzyła zwyczaj zapisywania temperatury i po miesiącu stwierdziła, że znowu nie ma okresu. Niestety, tym razem ciążę utrzymała tylko sześć tygodni. Poroniła pierwszego marca, w dwa tygodnie po zrobieniu testów.

Bill nie posiadał się z rozpaczy. Powoli zaczynał obwiniać siebie o skazywanie żony na ból i depresję. Anne zamknęła się w sobie. Całymi dniami leżała w łóżku, patrząc w sufit. Milczała. Billa przerażał stan Anne, wolałby, żeby szalała, krzyczała, płakała, może wtedy szybciej pozbyłaby się smutku, zamiast tego Anne popadła w rodzaj odrętwienia, w oczach miała tylko pustkę. Wyrzuciła wykresy temperatur, termometr schowała na dno szuflady. Kilka razy napomknęła, że pokój dziecienny należałoby przerobić na zwykły pokój mieszkalny. Billowi krajało się serce. Nie był w stanie jej pomóc. Pewnej nocy wyznała mu, że kłopoty z donoszeniem ciąży mogą mieć swe źródło w narkotykach, które zażywała w San Francisco. Bill przypomniał jej, że to było pięć lat temu, więc nie może mieć żadnego związku z jej zdrowiem teraz. Anne była głucha na jego argumenty.

Pograżała się w wyrzutach sumienia, uparcie twierdziła, że przez własną głupotę już nigdy nie będzie miała dziecka.

Anne nadal unikała rodziców, zwłaszcza Faye. Gdyby nie Bill, od czasu do czasu przynoszący nowiny, w ogóle nie wiedziałyby, co u nich słychać. Ostatnio obilo mu się o uszy, że Thayerowie pracowali nad nową, gigantyczną produkcją i szukali odtwórczyni głównej roli.

– Może powinni zaangażować Val? – zasugerował Bill, gdy jedli razem z Anne lunch. Próbował oderwać ją od rozpamiętywania swego życia. Pracował także nad własną kondycją psychiczną. Tłumaczył sobie, że nawet jeśli nie był w stanie dać Anne dziecka, to przynajmniej dał jej opiekę i poczucie bezpieczeństwa, a to już bardzo dużo. Anne zmagła się z przekonaniem, że unieszczęśliwiła Billa, bo nie mogła urodzić mu dziecka. Nie potrafiła dać sobie rady z wyrzutami sumienia. Była kobietą bezpłodną!

– Tylko wtedy, gdy będą potrzebować kogoś dysponującego tak fantastycznym krzykiem jak Val – odparła Anne, uśmiechając się leciutko. Następnie przybliżyła mężowi sławny wrzask Valerie Thayer.

Ostatnio częściej bywała w dobrym nastroju.

Tymczasem Faye i Ward mieli problemy z obsadzeniem głównej roli. Przeglądali stopy zdjęć, szukając idealnej kandydatki. Potrzebna im była całkiem nowa twarz, świeża, piękna i autentyczna.

Wydawało się, że nie ma aktorki spełniającej ich oczekiwania. Czuli się zniechęceni, wtedy to Ward wysunął zaskakującą kandydaturę.

– Val? – Faye westchnęła z powątpiewaniem. – To chyba nie jest dobry pomysł.

Za nic na świecie nie chciałyby posądzeń o protekcjonalizm. Jej dzieci nigdy nie grały w filmach Faye. Trzymała się tej zasady przez dwadzieścia lat pracy zawodowej, teraz musiałaby ją złamać. Poza tym Val miała trudny charakter i niezwykle rzadko przyjmowała uwagi matki. Trudno było też powiedzieć coś o jej grze, jako że nie miała na swym koncie żadnej znaczącej roli.

– Nie wiem, Ward.

– Słuchaj, wzięliśmy pod uwagę wszystkie aktorki z Los Angeles i nikt nam nie pasuje. Gdzie mamy szukać? W Nowym Jorku, w Europie, na Księżycu?

– A jeśli Val się nie sprawdzi?

– To ją wylejesz.

– Wyleję moje własne dziecko? – Faye była zdumiona rozumowaniem męża.

– Sądzę, że nie będzie to konieczne – rzekł Ward z przekonaniem. – Ta rola może zmienić całe życie Val, my potrzebujemy jej, a ona szansy.

– Zachowujesz się, jakbyś był jej agentem – powiedziała Faye, uśmiechając się wyrozumiale. – Cóż, sądzą jednak, że Val się nie nadaje do tej roli.

– Dlaczego jesteś taka uparta? – Ward wziął z biurka zdjęcie oprawione w ramkę i podał Faye. – Spójrz tylko, Val wygląda dokładnie tak, jak wyobrażamy sobie bohaterkę.

– W porządku, poddam się.

Faye uznała swój dalszy opór za bezcelowy. Ward był absolutnie pewien, że dokonała dobrego wyboru. Valerie spełniała warunki, ale Faye niepokoiła myśl o współpracy z córką. Obawiała się jej wybuchowości. Czuliła, że nie będzie łatwo. Ale przekonanie, że może ułatwić swemu dziecku karierę, było również kuszące.

– Jesteś cudowna, wiesz? – rzekł Ward, podchodząc do żony.

– Obyś tylko mógł to samo powiedzieć o Val po zakończeniu zdjęć – odpowiedziała Faye z nieco udawaną rezerwą.

Rozdział czterdziesty

Czy możesz powtórzyć to jeszcze raz?! – krzyknęła Val do słuchawki.

Telefon zadzwonił, kiedy siedziała w domu, malując sobie paznokcie i zastanawiając się, czy ma gdzieś pójść na kolację. W lodówce, jak zwykle, nie było nic do jedzenia. Dziewczyny namawiały ją na kawałek kurczaka w barze, ale Val nie chciało się wychodzić z domu. Miała zły dzień, zdenerwował ją aktualny narzeczonny. Wszyscy faceci są tacy sami, myślą tylko o łóżku, Val pozbyła się dziewictwa sześć lat temu i nie była w stanie pamiętać mężczyzn, z którymi zdarzyło jej się sypiać.

– Dostałaś propozycję zdjęć próbnych w filmie Faye Thayer – powtórzył grzecznie agent.

Val zaczęła się śmiać.

– Zdajesz sobie sprawę, z kim rozmawiasz? – Na pewno coś mu się pomyliło. – Nazywam się Valerie Thayer.

Chciała jeszcze dodać „ty ośle”, ale powstrzymała się. W przyszłym tygodniu miała zgłosić się na zdjęcia próbne filmu o narkotykach. Oferowano jej małą rolę, ale wiązały się z nią zawsze jakieś pieniądze. Chociażby na czynsz za mieszkanie. Val grała od czterech lat. Ciągle czekała na

swoje wielkie pięć minut, ale nawet przez myśl by jej nie przeszło, że to właśnie matka da jej szansę na życiowy przełom.

– Mówię poważnie, Val. Dostałem telefon z biura twojej matki.

– Zwariowałeś – Val odstawiała buteleczkę z lakierem do paznokci – czy stroisz sobie żarty? Dobra, strasznie to zabawne. A teraz powiedz mi, po co naprawdę zadzwoniłeś?

– Już powiedziałem. Masz się zgłosić jutro o dziewiątej rano.

Agent zaczynał się denerwować. Biuro Faye Thayer nie telefonowało do niego codziennie, z reguły nie współpracował z dużymi wytwórniami. Dostarczał obsady do filmów drugiej kategorii: horrorów, soft porno, przedstawień topless.

Chciał wziąć scenariusz, żeby Val mogła go w nocy przeczytać, ale sekretarka powiedziała, iż nie wolno jej go udostępniać. Dodała jeszcze, że pani Thayer nie ma w biurze. Zostawiła jedynie wiadomość, aby Valerie zgłosiła się jutro o dziewiątej. O co im, do diabła, chodziło?, pomyślał wtedy zaintrygowany.

Val nie posiadała się ze zdumienia. Dlaczego zadzwonili do agenta, a nie bezpośrednio do niej? Zżerała ją ciekawość, więc postanowiła porozmawiać z matką. Telefon nie odpowiadał. Rodzice prawdopodobnie gdzieś wyszli, gospościa miała wolne. To smutne, że nikt nie podnosił słuchawki w miejscu dawniej pełnym ludzi. To samo pomyślała Faye, gdy wrócili do pustego domu. Reszta wieczoru zeszła Val na rozstrząsaniu rozmaitych możliwości. Jaką to niespodziankę szykowała jej matka? Podekscytowana, nie mogła zasnąć. Nad ranem trochę się zdrzemnęła, ale wstała już o szóstej. Umyła i wysuszyła włosy. Długo oglądała twarz, sprawdzając, czy nie pojawiła się na niej jakaś krostka. Po namyśle zdecydowała się założyć prostą, czarną sukienkę, tak na wypadek gdyby oferta była poważna. Sukienka nie była może najodpowiedniejszym strojem na tę porę dnia, lecz doskonale eksponowała jej długie nogi i pełne piersi. Jadąc do studia, Val powtarzała sobie, żeby nie okazywać przesadnego zainteresowania, nie dać tym matce satysfakcji. Zaparkowała samochód przed wytwórnią. Trzęsąc się, mimo wszystko, ręką nacisnęła klamkę. Była pół godziny spóźniona. Zbyt długo robiła sobie makijaż! Sekretarka zgromiła ją wzrokiem. Faye popatrzyła znacząco na zegarek i niestosowną sukienkę córki. Ward w drugim końcu pokoju rozmawiał z dwoma innymi mężczyznami, przeglądali jakieś fotosy. Ojciec spojrział na Val, leciutko skinął jej głową.

– Dzień dobry, Valerie.

Ton głosu i zachowanie Faye nie miały ani cienia poufałości, sugerując, że jest to poważne, profesjonalne spotkanie, jak z każdą inną aktorką.

Czyżby matka usiłowała dodać jej odwagi? Val nagle poczuła obawę. Starła się nie myśleć o jej trzech Oscarach. Modliła się, aby mogła podołać zadaniu. Miała swoją wielką szansę i za nic nie chciała jej zmarnować.

– Poprosiliśmy cię, abys spróbowała zagrać parę scen – wyjaśniła Faye, podając córce scenariusz.

– Tak, wiem to od mojego agenta. O jaką dokładnie rolę chodzi? – zapytała Val.

– Młodej kobiety, która... – Faye przybliżała postać bohaterki.

Val słuchała, ale pytanie, co skłoniło matkę do zaangażowania jej, wciąż wracało.

– Czy mogę się chwilę zastanowić? – spytała, patrząc matce w twarz. Zawsze zazdrościła Faye urody, przeszłości, sukcesów, kariery aktorskiej, z której tak łatwo zrezygnowała.

Val kiedyś wечно z nią walczyła, a teraz miały ze sobą współpracować, życie jest dziwne... Val zauważyła także, że wydarzenia ostatnich lat odcisnęły swoje piętno na wyglądzie matki. Faye wyraźnie się postarzała. Ciekawe, czy to ona wpadła na pomysł, aby zaproponować jej rolę? Nie, to niemożliwe! Prawdopodobnie była to sugestia taty. Faye na pewno sądzi, że Val nie potrafi grać, więc teraz będzie musiała zmienić zdanie. Udowodni matce, że ma zadatki na wielką aktorkę.

– Przejdź na dziesięć minut do pokoju obok, a potem wróć do nas.

A jeśli Val nie da sobie rady? – tę obawę zobaczyła w oczach matki. Nagle dotarło do niej, że Faye jest profesjonalistką, wymagającym reżyserem, znawcą prawdziwego talentu. Nie przeraziło jej to, a wręcz odwrotnie, zmobilizowało do pokazania, na co ją stać.

Szybko przebiegła wzrokiem swój tekst, wczuła się w rolę. Była gotowa, mogła zacząć. Nie patrzyła do scenariusza. Grała jak natchniona, dawała z siebie wszystko. Ward patrzył na córkę, wiedział, jak bardzo jej zależało, by dobrze wypaść. Faye rozplakała się ze wzruszenia. Matka i córka długo patrzyły sobie w oczy, Val także zaczęła płakać. Podeszły do siebie, ścisnęły się, płakały, śmiały.

– Dacie mi tę rolę? – zapytała w końcu Val, śmiejąc się przez łzy.

– Tak, do diabła! – odpowiedziała Faye bez namysłu.

– Hurra! – wrzasnęła Val w niepowtarzalny, charakterystyczny tylko dla niej sposób.

Rozdział czterdziesty pierwszy

Zdjęcia do filmu rozpoczęły się w maju. Val nigdy wcześniej tak ciężko nie pracowała. Cała ekipa spędzała na planie długie, męczące godziny. Faye szczególnie dużo wymagała od Val. Dzięki temu dziewczyna nareszcie zrozumiała, jaką cenę płaci się za sławę, ile potu kryje się za każdą zdobytą statuetką Oscara. Przestała być zazdrosna o sukcesy matki, zaczęła ją szanować. Po każdym dniu pracy umierała ze zmęczenia. Miała wrażenie, że kolejny dzień na planie jest ponad jej siły. Matka była pierwszą osobą, która postawiła przed nią tak wysoko poprzeczkę, ale również wiele nauczyła, Val była jej za to ogromnie wdzięczna. Po trzech tygodniach pracy partner Val, George Waterston, zaproponował, że odwiezie ją do domu. Val widywała George'a wcześniej, ale nigdy z nim nawet nie rozmawiała. Wiedziała, że aktor nie był zadowolony z perspektywy współpracy z nią. Wolał grać z uznaną gwiazdą. Faye musiała włożyć sporo wysiłku w przekonanie go do zaakceptowania kandydatury Val. Po długich oporach wreszcie się zgodził, ale pod warunkiem. Jeżeli Val się nie sprawdzi, to zostanie zwolniona. Była to sprawa między Faye a Waterstonem, ale plotki dotarły do Valerie. Czuła się urażona stanowiskiem aktora. Nie wiedziała, jak go traktować. Wróg czy partner?

Jej samochód był zepsuty, więc postanowiła nie demonstrować urazy.

– Jasne, dzięki – powiedziała, wsiadając do auta.

Podawała adres i najspokojniej w świecie zasnęła. Obudziła się dopiero, gdy George delikatnie potrząsał jej ramieniem. Spojrzała na niego zakłopotana.

– Czyżbym spała?

– Widać nie jestem dla ciebie specjalnie interesującym towarzyszem.

George był szatynem z niebieskimi oczami, obdarzonym spokojnym, głębokim głosem. Miał trzydzieści pięć lat i należał do idoli Val. Granie z nim było jakby potwierdzeniem ziszczania się marzeń. Co prawda, w MGM aż huczało od plotek, że Val dostała angaż dzięki matce, ale postanowiła udowodnić złym językom, że były w błędzie. Miała zamiar zupełnie znokautować niedowiarków.

– Przepraszam, jestem bardzo zmęczona – usprawiedliwiła się Val.

– Wyglądałem dokładnie tak samo, kiedy pierwszy raz pracowałem dla Faye. Nawet zdarzyło mi się zasnąć za kierownicą. Obudziłem się na sekundę przed zderzeniem z drzewem. Później bałem się prowadzić.

Twoja matka wie, co robi. Umie z nas wycisnąć nie tylko siódme poty, ale jeszcze potrafi dotrzeć do naszych serc i dusz. Może dlatego tak chętnie do niej wracamy?

Val w pełni zgadzała się z refleksjami partnera. Pośród całej tęczy nowych doznań, takich jak miłość, szacunek, podziw, zaczynała także odczuwać działanie magnetyzmu matki.

– Masz rację. Wiesz, ciągle nie mogę uwierzyć, że dała mi tę rolę – wyznała zadziwiona. – Nie podobało jej się to, co robiłam. Rzeczywiście nie dokonałam zbyt wiele, to znaczy zagrałam sporo, ale wszystko to role bez znaczenia.

George znał zawodową przeszłość Val i dlatego tak protestował przeciwko jej obsadzeniu. Na początku robiła na nim wrażenie małej ładaczniczki, której matka podsunęła smakowity kasek, z czasem zdał sobie sprawę, że był niesprawiedliwy w ocenach, a Val wydała mu się zagubiona i bezradna. Współczuł jej, znajdowała się w niewesołym położeniu, za współpracowników przyszło jej mieć sławną matkę i jego, równie popularnego aktora. Biedna, mała Val, kopcuszek w wielkim mieście.

– Faye kiedyś śmiertelnie mnie przerażała – powiedział wesołym tonem, chcąc trochę rozładować atmosferę.

Val przechodziła prawdziwe przeistoczenie. Skończyła z wyzywającym makijażem, obcisłymi, kusymi sukienkami. Przychodziła do pracy w dżinsach i bawełnianych koszulkach. Upodobniła się do swej bohaterki, Jane Dare, jakże innej od niej samej.

– Twoja matka to naprawdę „ktoś”, Val.

George po raz pierwszy nazwał ją po imieniu.

– Kiedy jestem na planie, zapominam, że jest moją matką. Widzę tylko wydzierającą się na mnie babę. Czasem tak mnie wyprowadza z równowagi, że mam ochotę ją zabić.

– To dobrze. Faye chce, żebyś się tak czuła.

Val westchnęła ciężko. Rozejrzała się po wnętrzu białego cadillaca z otwieranym dachem. Z trudem nacisnęła na klamkę u drzwi. Nagle odwróciła się i spojrzała na George’a nieco zaambarasowana.

– Może wejdiesz na drinka albo kawę? Nie wiem, czy mamy coś do jedzenia, ale zawsze można zamówić pizzę.

– A może poszlibyśmy gdzieś na pizzę? – zaproponował, patrząc na zegarek. – Za godzinę byłabyś z powrotem. Chcę jeszcze raz przejrzeć jutrzejsze sceny. – Pomyślał chwilę. – A może popracowalibyśmy razem?

Val uśmiechnęła się z niedowierzaniem. Chyba śni. George Waterston proponuje wspólną próbę? To zbyt piękne, żeby mogło być prawdziwe.

– Oczywiście. Mam nadzieję, że nie zasną znowu.

Pojechali do przytulnej restauracji, zjedli pizzę, a potem pomknęli do Beverly Hills, do domu George’a. Przez dwie godziny czytali swoje role, próbowali różnych intonacji, gestów, aż wreszcie osiągnęli efekt, o jaki im chodziło. Val miała wrażenie, że uczestniczy w zajęciach szkoły dramatycznej, prowadzonych przez mistrza. Dokładnie o dziesiątej George odwiózł ją do domu. Oboje byli bardzo zmęczeni, Val pomachała mu ręką na pożegnanie. Weszła do domu, rzuciła się na łóżko. Pomyślała przez chwilę, dlaczego do tej pory nie spotkała nikogo równie miłego jak George? Ba, połowa kobiet na świecie chciałaby poznać kogoś takiego, ale to ona miała szczęście codziennie z nim pracować.

Praca nad filmem szła całkiem sprawnie, Val jeszcze kilkakrotnie pojechała do George’a próbować kolejne sceny. Nie zapraszała go do siebie, bo w jej domu panował totalny chaos, który przeszkadzałby im w pracy. George napomknął, że powinna wynająć sobie inne, jak to określił, przyzwoite mieszkanie. Stawał się kimś w rodzaju opiekuńczego starszego brata. Przedstawiał Val swoim przyjaciółom, wprowadzał na salony hollywoodzkiego high life’u.

– Jak możesz mieszkać w takim piekle? – zapytał ją pewnego razu, mając, oczywiście, na myśli jej mieszkanie.

Rozmawiali otwarcie o wszystkim, spędzali ze sobą dwanaście godzin na planie, a potem jeszcze dwie, trzy pracując w domu.

– Faceci będą myśleć, że jesteś łatwa.

Już myśleli i dawali temu wyraz, źle ją traktując.

– Nigdy nie było mnie stać na lepsze lokum.

George osłupiał. Thayerowie należeli do najzamożniejszych ludzi w mieście, dlaczego więc nie pomagali córce finansowo?

– Odkąd się wprowadziłam, nie wzięłam od rodziców ani centa.

Prosenie o wsparcie nie było w stylu Val.

– Uparto biedactwo, co? – zażartował George, uśmiechając się serdecznie.

Val zauważyła, że zaczynała się do niego bardzo przywiązywać, za bardzo, napominała się. Granie w tym filmie było jak bajka, która wcześniej czy później musi się skończyć. Wtedy też odejdzie i George. Szkoła. Na razie cieszyła się jego towarzystwem. Poznała jego czternastoletniego syna i szczerze polubiła. George ożenił się w wieku osiemnastu lat, rozwiódł się, gdy miał dwadzieścia jeden. Jego była żona wyszła ponownie za mąż za Toma Grievesa, gwiazdę futbolu. Ojciec widywał się z synem w weekendy, czasami w środowe wieczory i wtedy Val przyłączała się do spotkań, zaprzyjaźniła się z Danem. Pewnego dnia George wyznał

jej, że ciągle marzy o założeniu dużej rodziny, Val wiedziała z plotek, że nawet próbował, ale wszystkie jego związki nie wytrzymały próby czasu. W pierwszych dniach lipca gazety po raz pierwszy połączyły nazwiska Thayer i Waterston.

– Mam nadzieję, że to nic poważnego – powiedziała Faye, pokazując Wardowi artykuł.

– Dlaczego nie?

Ward podejrzewał, że było wręcz odwrotnie, i cieszył się, zawsze lubił George'a. Wydawał mu się jednym z najprzystojniejszych ludzi, jakich znał.

Faye patrzyła na to z innego punktu widzenia. Kiedy szło o sprawy zawodowe, była bardzo zasadnicza.

– Romanse oderwą Val od pracy.

– Nie w tym przypadku, co więcej, sądzę, że może się przy okazji czegoś nauczyć.

Faye mruknęła coś pod nosem. Wyszli do pracy.

Jak zwykle martwiła się o Val właściwie bez powodu, bo córka grała doskonale. Faye nie mówiła jej tego, bała się, że Val spocznie na laurach. Na dodatek zbliżał się termin wyjazdu do Nowego Jorku, na uroczystość z okazji ukończenia studiów przez Vanesę. Faye nienawidziła mieszania spraw osobistych i zawodowych. Uważała, że kontakty towarzyskie z aktorami na czas kręcenia filmu należy odłożyć, bo raczej źle to wpływa na pracę. Val stawała jej się coraz bliższa, ale dla dobra sprawy trzymała córkę na dystans. Teraz była przede wszystkim jej reżyserem i szefem, a nie matką.

Dowiedziawszy się o planach Val, George postanowił także pojechać do Nowego Jorku.

– Nie byłem tam od roku – powiedział. – Mógłbym zabrać ze sobą Dana.

Val i George byli serdecznymi przyjaciółmi. Wszędzie widywano ich razem.

– Zwykle zatrzymuję się w Carlyle – dodał George.

– Rodzice, siostra, brat i szwagier zrobili rezerwację w Pierre – przypomniała sobie Val.

Stało się tak za radą Billa, który ostatnio trochę zbliżył się do Warda. Kilka razy nawet umówili się na tenisa.

– Może zamieszkałabyś ze mną i Danem w Carlyle? Faye nie będzie przeciw temu protestować, z zasady unika prywatnych rozmów z aktualnie u niej grającymi aktorami. Twierdzi, że ją to rozprasza. Teraz jesteś dla niej Jane Dare, a nie Valerie Thayer. Ja chwilowo przestałem być George'em Waterstonem, zamieniłem się w Sama.

– Jesteś pewien, że Danowi nie będzie przeszkadzała moja obecność? – upewniła się, przystając na propozycję.

– Przestań, on cię uwielbia.

Rzeczywiście przez cały czas lotu do Nowego Jorku Dan wpatrywał się w Val jak urzeczony. George musiał złożyć trzy autografy, co ich sprowokowało do żartów. Kiedy zasnął, Val i Dan grali w karty, a potem oglądali film, jedno z ostatnich dokonań George’a. Z nowojorskiego lotniska limuzyną ruszyli do Carlyle, gdzie czekał na nich apartament z trzema sypialniami, z maleńką kuchenką, przestronnym pokojem wypoczynkowym, którego okna wychodziły na park. Rozpakowali bagaże, po czym udali się na kolację.

– No, mała – powiedział George, gdy Dan poszedł na górę spać. – Jutro cały świat się dowie, że ze sobą chodzimy. Czy jesteś gotowa stawić czoło krwiożerczym reporterom?

– Tak – zapewniła rozbawiona Val.

Najśmieszniejsze, że nie można było tu mówić o romansie z prawdziwego zdarzenia, łączyła ich jedynie przyjaźń. Jeszcze jakiś czas spędzili przy stoliku, słuchając Bobby’ego Shorta grającego na fortepianie.

Na drugi dzień rano zatelefonowała Vanessa, zaproponowała Val wspólny lunch. Chciała, żeby siostra opowiedziała jej o filmie, bo Faye, z którą Van jadła obiad poprzedniego dnia, konsekwentnie unikała zawodowych tematów.

– Musisz mi powiedzieć wszystko.

– W porządku, a czy mogłabym przyjść z George’em?

Val uważała, że zostawienie George’a i Dana byłoby niegrzeczne.

– Jakim George’em? – zapytała Van.

– George’em Waterstonem – odpowiedziała Val bez emocji.

– Żartujesz?! To on jest z tobą?!

– Tak. Przylecieliśmy razem z jego synem. George uznał, że też może pozwolić sobie na chwilę wytchnienia w Nowym Jorku, kiedy ja będę świętować z tobą. Przy okazji, gratulacje z okazji ukończenia uniwersytetu. Przy najmniej jedna z nas zdobyła przyzwoite wykształcenie!

– George Waterston! Val, nie mogę w to uwierzyć! – Van zakryła ręką słuchawkę, przekazując Jasonowi ekscytującą nowinę. – Jesteście parą? – zapytała po chwili.

– Nie, jesteśmy tylko przyjaciółmi.

Van nie dawała temu wiary. Odłożyła słuchawkę, zrelacjonowała Jasonowi rozmowę z siostrą, na koniec stwierdzając, że Waterston musi mieć wobec Val poważne zamiary, skoro chciało mu się przyjeżdżać z nią do Nowego Jorku.

– Nigdy nic nie wiadomo, wy, ludzie z Hollywood, jesteście dziwakami – skomentował Jason żartobliwie.

W przyszłym tygodniu Van i Jason przeprowadzą się do nowego mieszkania, znaleźli apartament na SoHo i chcieli zdążyć zaprezentować go Faye i Wardowi, którzy jakby zaakceptowali wolny związek córki. Faye, rozmawiając z Van o jej przyszłości, w głębi serca żywiła nadzieję, że córka wspomni coś o ślubie. Niestety, nie doczekała się nawet najmniejszej sugestii.

– Biedna kobieta – powiedział później Jason, mając na myśli Faye. – Tak strasznie jej zależy na twojej reputacji. Moglibyśmy się przynajmniej zaręczyć.

– To by wszystko zepsuło – odparła Van.

– Jesteś nienormalna.

– Nie jestem. Nie potrzebuję kawałka papieru. Oboje mamy inne cele niż uszczęśliwianie rodziców – przypomniała Van, wymieniając sztukę teatralną, książkę, a przede wszystkim znalezienie pracy.

Jason ostatnio coraz częściej myślał o prowadzeniu bardziej ustabilizowanego życia, przeciwnie do Vanessy. Ciągle czuła się wystarczająco młoda, aby nie myśleć o zakładaniu rodziny. Jediną sprawą, która ją teraz przyprawiała o dreszczyk podniecenia, było spotkanie z Val i jej przyjacielem.

Umówili się u PJ Clarka. Punktualnie o trzynastej do lokalu wkroczyli Val, George Waterston oraz Dan. George był ubrany bardzo zwyczajnie; w dżinsy, bawełnianą koszulkę i buty od Gucciego, założone na gołe stopy. Dan, przyodziany w niebieską koszulę i szorty, wyglądał jak każdy inny nastolatek, Val miała na sobie czerwoną suknię, wzorowaną na strojach cygańskich. Van najwyraźniej była pod wrażeniem George’a. Nie spuszczała z niego oczu. Podczas lunchu Jason i George rozmawiali ze sobą jak dwaj starzy przyjaciele. Dan dostał od Jasa przyrzeczenie wspólnej wyprawy na mecz piłkarski, Vanessa patrzyła na Val. Miała wrażenie, że w życiu siostry wszystko się zmieniło. Wyraźnie wysubtelniała, przycichła. Wyglądała na spokojną, szczęśliwą i spełnioną, zbyt szczęśliwą, by wiarygodne były jej deklaracje jedynie o przyjaźni z George’em. On także wydawał się darzyć Val znacznie intensywniejszym uczuciem. O filmie prawie nie rozmawiano, Val opowiedziała siostrze o pierwszym dniu na planie, o tym, jak bardzo przerażała ją matka.

– Zawsze śmiertelnie bałam się tej kobiety – wyznała.

Vanessa spojrzała na nią zaskoczona. Valerie naprawdę się zmieniła, a może wreszcie dorosła?

– Myślałam, że raczej jej zazdrościłaś, niż się jej bałaś.

– I jedno, i drugie – westchnęła Val. – Ciągłe się jej boję, kiedy razem pracujemy, ale teraz już jej nie zazdrozczę. Widzę, jak ciężko pracuje, i myślę, że zasłużyła na wszystkie nagrody. Przedtem nie mogłam tego uznać, nawet w duchu.

– Święte słowa – szepnęła Van.

Postronny obserwator nigdy nie wpadłby na pomysł, że Van i Val były siostrami, na dodatek bliźniaczkami. Vanessa była cichą, spokojną intelektualistką. Oczywiście chciała osiągnąć sukces, ale na zupełnie innym polu niż siostra. Nie zamierzała wracać do Los Angeles. Jej miejsce było w Nowym Jorku; u boku Jasona i wśród przyjaciół ze studiów, blisko świata wydawców, którym chciała kiedyś przedstawić swój rękopis. Porzuciła nawet zamiar pisania scenariuszy filmowych, decydując się na książkę. Obok Valerie, rudowłosa, demoniczna piękność, jakby z natury przypisana środowisku Hollywood. Niepostrzeżenie, w ciągu dwóch miesięcy, przeobraziła się w kobietę z klasą. Czasy wrzasków i ciała ociekającego zieloną substancją na zawsze odeszły w zapomnienie. Wytrawny znawca natury ludzkiej mógłby już przepowiedzieć Val wielką karierę. Faye także to już wiedziała – Valerie, podobnie jak jej matka, miała niezwykle magnetyzm.

Na ceremonii rozdania dyplomów Faye patrzyła z rozrzewnieniem na swoje dzieci. Rzadko udawało się je zebrać razem. Wytworna Anne, ubrana w stroje z najdroższych magazynów, z małymi diamentkami, połyskującymi w uszach, stała wsparta na ramieniu Billa. Vanessa, ładna, poważna absolwentka wyższej uczelni z dumą obnosząca uniwersytecką tokę, Valerie, posągowo piękna i zupełnie tego nieświadoma, co tylko wzmagало jej urok. Lionel, dzisiaj jakby szczęśliwszy niż zwykle, czyżby w jego życiu ktoś się pojawił? Faye nie śmiała o to zapytać. Ward, oczywiście, też. W końcu Lionel był dorosłym, dwudziestopięcioletnim mężczyzną. Rodzice kochali go takim, jakim był, tak samo jak pozostałe dzieci. Wiedzieli, że Anne nie wybaczyła Faye zmuszenia jej do oddania dziecka, Val ciągle bywała zazdrosna o sukcesy matki, Vanessa poszła swoją drogą, powoli traciła kontakt z rodziną, a Grega już nie było... Faye często o nim rozmyślała, tęskniła za jego niesfomymi, rudymi włosami, spontanicznością, radością życia... Wardowi zawsze najbliższy był młodszy syn, szczególnie boleśnie odczuł jego śmierć. Nawet teraz, gdy patrzył na Van ściskającą w dłoni dyplom, jego myśli zaprzętało wspomnienie ukochanego syna.

Na szczęście popołudnie upłynęło w mniej nostalgicznym nastroju. Faye zarezerwowała stolik w Edwardian Room, zleciła przystroić go białymi kwiatami. Pośród śmiechów Ward wręczył Vanessie prezent. W rezultacie długotrwałych debat rodzice postanowili symbolicznie usankcjonować nieformalny związek córki. W rękach Van znalazły się dwa bilety lotnicze do

Europy wraz z hojnym czekiem i paroma rezerwacjami w najlepszych hotelach. W ten sposób Jason został oficjalnie uznany za towarzysza życia Van.

– Tylko nie rozrabiajcie za bardzo podczas wakacji – zażartował Ward, mrugając porozumiewawczo.

Uszczęśliwiona para postanowiła wyjechać zaraz po przeprowadzce do SoHo. Jason mógł dowolnie dysponować czasem, jako że zrezygnował z pracy na uczelni i zamierzał poświęcić się wolnemu zawodowi literata. Ward również wolałby, żeby ten związek nabrał bardziej konkretnego kształtu, lecz na razie nic na to nie wskazywało. Równie nie dopowiedziana była sytuacja pomiędzy George’em Waterstonem i Val. Ward z radością udzieliłby im błogosławieństwa. Pozostawali jeszcze Anne i Bill, który po początkowych konfliktach i wzajemnych niechęciach zdawał się zdomawiać w rodzinie. Gail, zaproszona przez Anne, siedziała w drugim końcu stołu, żywo rozprawiając o wzornictwie i projektowaniu, wakacyjnej pracy u Billa Blassa. Jej rozmówcą był Lionel opowiadający ze swadą o swym najnowszym filmie.

Po skończonej kolacji Faye i Ward wolnym krokiem podążali w stronę hotelu Pierre. Nagle Ward wziął żonę za rękę, pociągnął w stronę stojącej w pobliżu taksówki i zażyczył sobie przejażdżkę dookoła Central Parku. Wsiadli do samochodu. Ward czule pocałował Faye. Ta odwdzieczyła mu się uśmiechem. Niezmiennie kochała męża, po całych wiekach małżeństwa.

– Muszę powiedzieć, że doczekaliśmy się wspaniałych dzieciaków.

Faye skinęła głową. Wysiedli z taksówki, zaczęli spacerować po parkowych alejkach.

– Ty jesteś piękniejsza niż wszystkie nasze dzieci razem wzięte.

– Mój najdroższy – Faye pocałowała męża i uśmiechnęła się. – Teraz już wiem, że nie bez powodu podejrzewałam cię o lekkiego bzika.

– To prawda, oszalałem dla ciebie.

Wzięli się za ręce i popatrzyli sobie w oczy. Spędzili razem szmat życia, idąc ramię przy ramieniu.

Rozdział czterdziesty drugi

Może wybierzemy się gdzieś na obiad, kochanie? – zaproponował Bill. Annie pokręciła przecząco głową. Właściwie była zadowolona z pobytu w Nowym Jorku, chociaż na początku bardzo wzbierała się przed przyjazdem. Bill twierdził, że powinna pojechać, by nie robić przykrości Van, a przy okazji odwiedzić Gail. Ostatni

argument w końcu ją przekonał. Bill zaproponował nawet kolejną wycieczkę do Europy i wtedy Nowy Jork potraktowałiby jedynie jako przystanek. Anne jednak odrzuciła jego pomysł, twierdząc, że nie jest w nastroju na podróż. Czowała się zmęczona, znużenie nie opuszczało jej od kilku miesięcy, tak jakby ciągle nie mogła dojść do siebie po poronieniu.

– Dlaczego po prostu nie możemy czegoś zamówić i zjeść tutaj? – obruszyła się Anne.

Wiedziała, że Gail umówiła się gdzieś z Li. Oboje bardzo przypadli sobie do gustu, ponadto Gail miała wielu przyjaciół homoseksualistów.

Anne nie chciała im towarzyszyć, obawiała się, że Bill byłby znudzony, a i sama nie miała zbyt wiele do powiedzenia Lionelowi. Jason i Vanessa urządzali obalewanie mieszkania, Val miała swojego gwiazdora. Spotkanie z rodzicami w ogóle nie wchodziło w grę. Anne nie miała ochoty znowu ich oglądać. Wystarczy raz dziennie.

– Jesteś pewna, że wolisz zostać w hotelu?

Bill mimo wszystko myślał, że głupio jest marnować wieczór w Nowym Jorku na siedzenie przed telewizorem.

– Nie chce mi się nigdzie stąd ruszać.

– Źle się czujesz?

Zachowanie Anne zaczynało Billa niepokoić. Pomyślał o matce Gail.

Po powrocie do Los Angeles Anne stanowczo oświadczyła:

– Nie pójde do lekarza. Czuję się świetnie.

Bill postanowił nie zważać na opór. Niektóre osoby były mu zbyt drogie, żeby łatwo ustępować, a Anne była najważniejsza. Nie dopuści, żeby stała jej się jakaś krzywda. Nigdy!

– Nie czujesz się świetnie. Wyglądasz beznadziejnie, w Nowym Jorku nie chciało ci się wychylić nosa spod kołdry.

Tak faktycznie było. Anne codziennie zamawiała kolację do pokoju, a następnie natychmiast kładła się do łóżka. Miał wrażenie, że spała cały czas.

– Jeśli sama nie zapiszesz się do lekarza, to ja to zrobię w twoim imieniu.

Bill nie miał innego wyjścia, zamówił wizytę. Pozostawała jeszcze kwestia wyciągnięcia Anne z domu. Powiedział, że zabiera ją na lunch, a zamiast do restauracji zawiózł ją do lekarza. Zdawszy sobie sprawę z intrygi, Anne dostała ataku furii.

– Oszukałeś mnie! – krzyczała.

Bill zdecydowanym ruchem otworzył drzwi gabinetu. Badanie nie potwierdziło jego obaw. Wszystko zdawało się bez zarzutu; płuca, serce, ci-

śnienie krwi, morfologia. Steinowie wyszli i dopiero wtedy lekarzowi przyszła pewna myśl. Wziął próbkę krwi pobraną z ramienia Anne i poddał ją testowi ciążowemu. Wieczorem zatelefonował do Billa z nowiną, że jego żona jest w ciąży. Ucieszył się, ale natychmiast pomyślał o dwóch poprzednich tragediach.

– Nie wpadaj w panikę – poradził mu doktor. – Niech Anne zachowuje się tak jak do tej pory. Jej organizm sam wie, czego mu potrzeba. Daj jej spać do woli, niech się dobrze odżywia i, w miarę możliwości, niczym nie denerwuje. Najlepiej byłoby, gdyby jak najwięcej leżała.

Bill pokiwał głową, odłożył słuchawkę. Nieprzytomny z wrażenia poszedł do pokoju, w którym Anne oglądała telewizję. Właśnie zamierzała zadzwonić do Gail.

– Myślę, że rzeczywiście powinnaś do niej zadzwonić.

– A to z powodu?

– Żeby podzielić się z nią wiadomością.

– Jaką wiadomością? – Anne nic nie rozumiała.

– Jesteś w ciąży. – Bill pochylił się i pocałował żonę.

Oczy Anne rozszerzyły się ze zdumienia.

– Jestem w ciąży? Skąd to wiesz?

– Przed chwilą telefonował lekarz. Nie mówiąc nam nawet, zrobił test.

– Jestem w ciąży? – powtórzyła Anne, jakby nie pojmowała sensu swoich słów. Nagle rzuciła się Billowi na szyję.

– O Jezusie, jak się cieszę...

Anne nie informowała nikogo o swym odmiennym stanie aż do momentu, gdy skończył się krytyczny trzeci miesiąc ciąży. Termin porodu lekarz określił na połowę lutego. Może w dzień świętego Walentego? Jej pierwsze dziecko miałyby już pięć i pół roku. Bill obchodził się z Anne jak z jajkiem. Rozpieszczał ją jeszcze bardziej, jeśli to w ogóle było możliwe. Nie pozwalał jej się przemęczać, nie namawiał na wychodzenie z domu.

Faye dosyć często do niej telefonowała, za każdym razem zapewniając córkę, że wszystko będzie dobrze. Anne rozmawiała z nią lodowatym głosem, monosylabami odpowiadając na pytania.

Nie cierpiała telefonów od matki, przypominały jej o pięcioletnim synku, z tego samego powodu unikała Lionela. Nie chciała wspominać czasów, gdy mieszkali razem z Johnem i oczekiwała narodzin pierwszego dziecka.

Gail przejawiała niezwykle zainteresowanie ciążą Anne. Dzwoniła z Nowego Jorku, pytając ją, jak duży ma brzuch. Przyszła matka niezmiennie odpowiadała: „ogromny” albo „monstrualny”.

Gdy pewnego razu spotkała na Rodeo Drive Valerie, ta zgodziła się z jej ocenami.

Był listopad, przed miesiącem zakończono zdjęcia do filmu. Montowano go dniem i nocą, aby zdążyć z premierą przed Bożym Narodzeniem, bo wtedy mógłby ubiegać się o nominację do tegorocznych Oscarów.

Anne już z oddali dostrzegła siostrę, a także zaparkowany przy krawężniku samochód George'a Waterstona z nim samym w środku. Idąc w ich kierunku, zastanawiała się, czy ciągle są po prostu przyjaciółmi, jak to deklarowała Val.

Jedna rzecz nie ulegała wątpliwości, Val wyglądała pięknie, nawet piękniej niż zwykle. Właśnie wychodziła od Georgia z nową sukienką, kupioną specjalnie na przyjęcie, które miało się odbyć tego wieczora. Anne zamierzała w tym samym sklepie uzupełnić swoją garderobę. Wszystkie rzeczy zrobiły się za małe, nawet te kupione specjalnie na ciążę.

– Jak się czujesz? – zapytała Val i zdawała się autentycznie zainteresowana odpowiedzią.

Wiedziała, jak bardzo Anne pragnęła dziecka, i wiedziała dlaczego.

– Grubo – roześmiała się Anne.

– Świetnie wyglądasz.

– Dzięki. Co u ciebie słyszać, Val?

Siostry rzadko do siebie dzwoniły. Trudno było uwierzyć, że dorastały w tym samym domu, bo też właściwie Val dopiero dojrzewała, a Anne stała się dorosła w ramionach Billa.

– Zaproponowano mi nową rolę.

– Domyślam się, że nie mama.

Val pokręciła szybko głową. Praca z Faye była niezapomnianym przeżyciem, ale Val nie miała ochoty na zbyt szybką powtórkę. Większość aktorów pracujących z panią Thayer przyznawała, że potem potrzebowała oddechu. Nawet George twierdził, że Faye można sprostać raz na trzy lata.

– Nie, nie mama – Val wymieniła nazwisko reżysera oraz innych aktorów, jej ewentualnych partnerów. – Jeszcze się nie zdecydowałam. Mam też inne propozycje.

Kariera Val po wcześniejszych falstartach nareszcie nabierała tempa. Anne cieszyła się z tego. Wieczorem zrelacjonowała Billowi spotkanie z siostrą.

– Ona pewnego dnia będzie największą sensacją Hollywood. Tak jak kiedyś wasza matka.

Val zdawała się z dnia na dzień nabierać klasy. Stawała się gwiazdą. Otaczała ją aura sukcesu. Jej ruchy nabrały gracji, nawet kiedy wysiadała z samochodu, nic nie traciła na wdzięku i elegancji. Nie to co dawniej: obcisłe, czarne sukienki i wykrzywione szpilki o dziesiątej rano. Anne przeczuwała, że człowiekiem, któremu siostra zawdzięcza tak wiele, jest George Waterston.

– On chyba jest więcej niż przyjacielem Val? – spekulowała Anne, próbując usadowić się wygodnie na krześle. Poczula się dobrze dopiero, gdy mąż podłożył jej poduszki pod plecy.

– Chyba tak – potwierdził Bill. – Ale to dobrze, że się nie afiszują. George jest wielką gwiazdą i jeszcze będą mieli po dziurki w nosie popularności.

Rzeczywiście Val i George utrzymywali swój związek w tajemnicy. Nawet Dan długo o niczym nie miał pojęcia. Dzięki odrobinie ostrożności wścibscy paparazzi nie mieli okazji do sensacyjnych spekulacji. Val była przekonana, że prędzej czy później coś wywęszą, ale i ona, i George byli przygotowani na konfrontację. Nawet na nią czekali. Val i George wdzili ich za nosy od trzech miesięcy. Po powrocie z Nowego Jorku ich znajomość stawała się coraz bardziej intymna. Rozumieli się bez słów, rozkwitała miłość.

Faye, oczywiście, szybko zorientowała się w sytuacji, ale nie protestowała, postanowiła zaufać córce. W sierpniu, kiedy Dan wyjechał z matką na wakacje, Val przeprowadziła się do posiadłości George'a, położonej na odludziu, otoczonej gęstym lasem. Po przyjeździe Dan został wtajemniczony. George coś tam wspomniał o małżeństwie, ale obojgu nie było spieszno do ołtarza. Potrzebowali czasu na upewnienie się co do swych uczuć.

– Myślisz, że zniesiesz mieszkanie tutaj do końca życia u boku dziadka i chłopca? – zapytał George tamtego dnia, kiedy Val spotkała Anne. Pod słowem „dziadek” rozumiał siebie, a „chłopiec” Dana.

– To bardzo miła perspektywa – odpowiedziała Val z przekonaniem. – Chociaż to miejsce nie jest tak urocze jak moje poprzednie mieszkanie.

George wzdrygnął się z obrzydzenia.

– Masz na myśli tę podłą pakamerę pełną starych pudeł? To cud, że cię nie aresztowano za sam fakt mieszkania tam!

– George, co ty wygadujesz?

– Prawdę!

Val poinformowała rodziców o swym nowym adresie. Poczula się mile rozczarowana brakiem krytycznych komentarzy. Była dorosłą kobietą, ale

zależało jej na dobrych układach z domem, zwłaszcza po pracy z Faye. Matka wiele zyskała w oczach Val, zaskarbiła sobie jej szacunek. Faye również musiała przyznać, że upór Valerie w dążeniu do celu był w pełni uzasadniony.

– Val, jesteś bardzo, bardzo dobra – stwierdziła Faye po skończeniu montażu filmu. – Jeśli mam być z tobą do końca szczerza, to ojciec wysunął twoją kandydaturę. Ja się wahałam, ale teraz widzę, że niepotrzebnie. Dziecko, droga do kariery stoi przed tobą otworem.

Val nie mogła uwierzyć, że te słowa powiedziała Faye Thayer.

– Mamo, kiedyś cię nienawidziłam – przyznała się ze łzami w oczach. – Zazdrościłam ci tych trzech cholernych Oscarów.

– One nie mają żadnego znaczenia – rzekła Faye. – Wasza wspaniała piątka to moje Oscary.

– Mówiłam, że nagrody są nieważne, ale to nieprawda. One są ważne, bo udowadniają, że ciężko pracujesz, że jesteś dobra. Mamo... jesteś cudowna... jesteś najlepsza.

Kobiety zaczęły płakać, obejmując się. Dla Val była to wiekopomna chwila. Nareszcie między nią i matką zapanował pokój, po długich, długich zmaganiach. Może i Anne kiedyś pogodzi się z matką?

Rzecz jasna, George znał treść rozmowy między Faye i córką, Val opowiadała mu o wszystkim. Był nie tylko jej kochankiem, był również jej przyjacielem.

– Wiesz, trochę zazdrościsz twojemu szwagrowi – rzekł George, siedząc w ciepłe płomieni kominka.

Val spojrzała na niego zaskoczona.

– Zazdrościsz Billowi? Czego? Przecież masz więcej od niego – uśmiechnęła się. – Masz mnie, więc czego ci jeszcze brakuje?

– Raczej kogo – odpowiedział, rewanzując się uśmiechem. George należał do ludzi szanujących proste wartości, ceniących życie rodzinne. Jego upodobania nie były typowe dla gwiazd Hollywood. – Zazdrościsz mu tego dzieciaka.

– Dziecka? – Val nigdy dotąd nie myślała o dziecku. Przede wszystkim liczyła się jej kariera. Dzieci? Owszem, za parę lat. Najpierw musi się znaleźć na szczycie filmowego Olimpu. – Naprawdę chciałbyś mieć dziecko, George?

– Może jeszcze nie teraz, ale za jakiś czas na pewno.

– Kiedy? – zapytała przerażona Val.

– Co powiedziałaś na przyszły tydzień? – zażartował. – Mówiąc poważnie, za rok lub dwa.

– W takim razie nie mam nic przeciwko temu.

– To świetnie – odetchnął z ulgą George.

Chwilę później pochylił się nad twarzą Val, szepnął coś o konieczności ćwiczeń i zamknął ją w swoich ramionach.

Rozdział czterdziesty trzeci

Jak się czujesz, kochanie? – Bill spojrzał na Anne współczującymi oczyma.

– A jak ty byś się czuł? – roześmiała się. – Okropnie. Jestem gruba, nie mogę się ruszać, nie mogę oddychać. Kiedy leżę, to dziecko mnie dusi; kiedy usiądę, to dostaję bóleści.

Był już dziewiąty lutego, czyli do daty porodu pozostało zaledwie pięć dni, ale pomimo niewygód Anne była w doskonałym nastroju. Tak bardzo pragnęła dziecka, że zupełnie nie przejmowała się swoim zmienionym wyglądem. Jediną rzeczą, o jakiej marzyła, było trzymanie maleństwa w ramionach i patrzeć w jego twarzyczkę. Ciągle twierdziła, że urodzi się chłopiec. Bill życzył sobie dziewczynki. Mawiał, że już zdążył się do nich przyzwyczać.

– Chcesz wyjść coś zjeść? – Anne roześmiała się i przecząco pokręciła głową, żadne ubrania na nią nie wchodziły, wszystko zrobiło się za małe, nawet buty. Do użytku nadawały się tylko trzy sukienki. Były koszmarnie. Jednak nie wybierała się do Georgia po nowe stroje, bo tak naprawdę to ich nie potrzebowała. Nie miała ochoty nigdzie bywać. Czuliła się okropnie niezręczna, bez przerwy coś ją uwierało, wołała więc na bosaka chodzić po domu, najlepiej w koszuli nocnej. Tego wieczora zjadła na kolację trochę zupy i kawałek sufletu, więcej nie mogła w siebie zmieścić. Gdy później wybrali się na spacer, Anne bardzo szybko się zmęczyła i co parę kroków przystawała, by chwilkę odsapnąć. Bill zaproponował, że pojedzie po nią samochodem, ale Anne uparła się, że o własnych siłach dotrze do domu. Wyglądała na tak bezbronną i bezsilną, że Billowi nieustannie było jej żal. Ona zdawała się w pełni akceptować swą chwilową niedyspozycję. Nazajutrz wstała wcześniej od Billa, zrobiła mu śniadanie. Tryskała energią, postanowiła jeszcze raz posprzątać pokój dziecienny, co Bill nazwał niedorzecznym pomysłem. Próbował ją odwieść od podejmowania zbyt, jego zdaniem, forsownych wysiłków. Jednak, wychodząc do pracy, posłyszał szum odkurzacza dochodzący z głębi domu. Postanowił więc wpaść do domu

w ciągu dnia, sprawdzić, jak się Anne czuje. Pojawił się w domu w okolicach lunchu i znalazł żonę leżącą na łóżku, liczącą minuty pomiędzy skurczami.

– Czy to już? – zapytał Bill.

– Chciałam być pewna, nim oderwę cię od pracy albo wyciągnę z lunchu w Polo Lounge.

Bill podszedł do Anne, nerwowym ruchem zabrał jej stoper, którym odmierzała czas między nawrotami bólu.

– Nie powinnaś była zabierać się za odkurzanie pokoju dziecinnego.

– Kiedyś przecież muszę urodzić to dziecko – odparła Anne z uśmiechem.

Bill odwołał lunch i zadzwonił po lekarza. Następnie zatelefonował do sekretarki, informując ją, że nie wróci już dziś do kancelarii. Doktor stwierdził, że rozpoczął się poród. Bill próbował wyperswadować Anne pomysł pozostania w domu, lecz ona pomna swych poprzednich doświadczeń, nie chciała jechać do szpitala. Mówiła, że nie ma aż takiego pośpiechu. Wypiła trochę zupy, od czasu do czasu wstawiała z łóżka, chodziła po sypialni. Około czwartej bóle się nasiliły, nie mogła się już podnosić, z trudem przychodziło jej mówienie. Anne zorientowała się, że dłużej nie może odwlekać wyjazdu do szpitala. Bill pakował niezbędne żonie drobiazgi, a ona w łazience zmieniała ubranie. Wtedy odeszły wody płodowe, marmurowa podłoga zrobiła się mokra, bóle porodowe stały się nie do wytrzymania. Bill był bliski paniki, trzęsącymi się rękami pomagał Anne założyć sukienkę.

– Mówiłem ci, że nie powinniśmy czekać tak długo – mamrotał, mocując się z ubraniami.

A jeżeli dziecko zacznie się rodzić w domu? A jeżeli dziecko urodzi się martwe?, myślał, blednąc raz po raz.

– Wszystko będzie dobrze – próbowała go uspokoić.

W końcu Anne miała na sobie ubranie. Bill złapał ją na ręce, bosonogą zaniósł do samochodu.

– Potrzebuję butów – wyjąkała, siląc się na uśmiech.

Bill jednym susem znalazł się w domu, złapał sandały i już mknęli do szpitala Cedars Sinai. Przepisy ruchu drogowego stały się nieważne, jedynym istotnym elementem samochodowego wyposażenia był pedał gazu. Rolls-royce zamienił się w karetkę pogotowia. Anne co parę sekund krzyczała, że czuje już główkę dziecka. Dotarli do szpitala. Bill wziął Anne na ręce i zaniósł do środka, zapominając nawet zatrzęsnać drzwi samochodu. Lekarz przywołany z oddziału porodowego stwierdził, że nie ma ani

minuty do stracenia, zdecydował się przyjąć poród od razu, bez przewożenia pacjentki na oddział.

– Czuję główkę... O Boże, Bill, jak to boli...

Anne przechodziła katusze, chwilami krzyczała, patrzyła na męża błagalnym wzrokiem. Bill o mało nie zemdlął z wrażenia. Nie widział, jak rodzi się Gail. W tamtych czasach nie było to możliwe. Anne opowiadała mu o narodzinach swego pierwszego synka, ale żadne relacje nie były w stanie oddać bezmiaru cierpienia, jaki teraz widział. Niestety, pielęgniarka powiedziała, że jest za późno na podanie Anne jakichkolwiek środków uśmierzających, zamiast tego poprosiła Billa o pomoc. Poleciała, aby złapał żonę za ramiona i mocno przytrzymał.

– Przyj, Anne, za całej siły, jeszcze – kierowała akcją porodową położna.

– No dalej, małeńka, najmocniej jak możesz.

Twarz Anne zrobiła się czerwona z wysiłku.

– Nie mogę... za bardzo mnie boli.. nie mogę... boli... Bill... boli!!!

Zebrała wszystkie siły, jeszcze raz wstrzymała oddech i parła. W końcu lekarz wziął skalpel i zręcznym ruchem wykonał nacięcie, dzięki któremu główka dziecka wyjrzała na świat. Potem wszystko poszło gładko, chwilę potem gabinet wypełnił się krzykiem noworodka. Bill zdumiał się jego widokiem. Najpierw wydał mu się brzydki, ale już po kilku sekundach uważał, że chłopiec jest najpiękniejszy na świecie. Małe, różowe ciało spoczęło w ramionach wyczerpanej matki.

On jest śliczny... śliczny... śliczny!

Anne tylko tyle była w stanie powiedzieć, spoglądając to na Billa, to na dziecko. Pielęgniarka przykryła ją kocem i długimi korytarzami powiozła do izolatki na oddziale położniczym. Bill dumnie kroczył obok.

– Następnym razem jednak przyjedziemy wcześniej, żebym nie musiała rodzić w drzwiach szpitala.

Bill patrzył na żonę dumny i nareszcie odprężony. Przeszła przez potworny ból, tak strasznie się o nią bał... A teraz, przytulając synka, jest wreszcie szczęśliwa. Nie chciała się z nim rozstać nawet, gdy pielęgniarka przyszła zabrać go do kąpieli. Biedna kobieta musiała ją przekonywać o niezbędności tego zabiegu. Po kąpieli dziecka przyszła pora na toaletę położnicy. Później Bill i Anne zaczęli dzielić się swym szczęściem ze światem. Najpierw zadzwonili do Gail, która, usłyszawszy o dziecku, rozplakała się ze wzruszenia. Anne poprosiła ją, by zechciała zostać matką chrzestną. Bill namawiał żonę na odpoczynek, lecz ona czuła się zbyt podniecona. Rozpierała ją energia, spełniło się jej wieloletnie marzenie, urodziła syna. Teraz każda chwila bez niego wydawała się czasem straconym, zadzwoniła po pielęgniarkę i poprosiła o przyniesienie

małego. Pielęgniarka spełniła jej życzenie, przy okazji udzielając fachowej rady co do karmienia piersią. Anne rozpięła koszulę, przysunęła synka do siebie, a maleństwo łapczywie złapało pierś mamy. Bill patrzył na nich ze łzami w oczach. Nigdy w życiu nie widział czegoś tak pięknego i nigdy tego nie zapomni.

O narodzinach kolejno dowiedzieli się Val, Jason i Vanessa, Lionel. Na samym końcu Anne poinformowała, chociaż niechętnie, Faye i Warda. Mały miał nosić imię Maximilian, zdrobniale Max. Faye cieszyła się na równi z Anne. Była aż nadto świadoma, jak bardzo córka pragnęła dziecka. Następnego dnia przyszła do niej w odwiedziny, taszcząc wielkiego pluszowego misia dla Maksa, dla Anne miała piżamę.

– Pięknie wyglądasz, kochanie.

– Dziękuję, mamó.

Rozmowa wyraźnie się nie kleiła. Stare nieporozumienia i żale dawały o sobie znać. Przepaść między nimi wydawała się nie do przebycia. Bill wyczuł ciężką atmosferę, wchodząc do pokoju niebawem po Faye. Na szczęście, przyniesiono małego Maksa. Jego osóбка sprawiła, że wszystko inne przestało się liczyć. Pochylili się nad nim, ochom i achom nie było końca. Faye zgodziła się, że chłopiec jest podobny do ojca. Na krótkie odwiedziny wpadli także Val i George. Na ich widok pielęgniarki pobiegły po notesy na autografy, Val już stała się sławna, jej plakaty rozlepiono w całym mieście, na film ludzie walili nieprzebranymi tłumami.

Faye obserwowała obie córki, siedząc na krześle w rogu pokoju. Anne opowiadała o porodzie, karmieniu niemowlęcia, Val zadawała pytania, śmiała się. George i Bill stali obok łóżka, z zaciekawieniem przyglądali się małemu Maksowi grzecznie śpiącemu w ramionach mamy.

Nazajutrz Bill przywiózł do domu żonę i synka. Tak bardzo chciał z nimi być, że postanowił przez kilka dni zaniedbać kancelarię. Pielęgnował dziecko, zmieniał pieluszki, doskonale odnajdywał się w roli ojca.

– Wiesz – powiedziała Anne w jakiś czas po powrocie ze szpitala. – Zrobiłabym to jeszcze raz.

Bill jęknął. On, niestety, nie był pewien, czy chciałby jeszcze raz patrzeć na cierpienie żony.

– Mówisz poważnie? – zapytał zszokowany.

– Tak – odpowiedziała, czule głaszcząc główkę Maksa otwierającego buzię w poszukiwaniu piersi mamy. – Naprawdę zrobiłabym to jeszcze raz.

– W porządku, ty tu rządzisz – zgodził się Bill, nagle zdając sobie sprawę, że musi ponieść konsekwencje posiadania dwudziestoletniej żony.

Anne zaśmiała się radośnie, ale w jej oczach tkwił ciągle cień smutku. Teraz już wiedziała, że Max nie będzie w stanie zastąpić jej pierwszego synka. Synka, którego prawdopodobnie nigdy nie zobaczy, nie dowie się, kim zostanie, jak dorośnie... On już nie pojawi się w jej życiu... Jeśli nawet nie było jej pisane więcej dzieci, to przynajmniej miała to jedno, i Billa. Oni jej wystarczali.

Rozdział czterdziesty czwarty

Wnoc rozdania nagród Amerykańskiej Akademii Filmowej Anne zwróciła się do Billa z zaskakującym pytaniem:
– Czy myślisz, że grubo wyglądam?

Obróciła się dookoła, zawirowała bladoniebieska sukienka, przetykana złotą nitką, zamigotały szafiry, które zdobiły jej uszy i oplatały szyję. Wyglądała pięknie i czuła się wspaniale. Emanowało z niej poczucie zadowolenia i spełnienia. Nie patrzyła już na świat wystraszoną, niepewnym wzrokiem.

– Wyglądasz śliczniej od każdej gwiazdy filmowej – zapewnił ją mąż.

Pomógł jej założyć pelerynkę z nerek. W pośpiechu wyszli z samochodu, nie chcieli się spóźnić. Mieli jeszcze wstąpić po Faye i Warda, a potem wspólnie udać się do Music Center na ceremonię wręczenia Oscarów. Na miejscu spotkali się z Val i George'em oraz Lionelem. Razem stanowili niezwykle elegancką grupę; mężczyźni w czarnych garniturach, kobiety w wytwornych sukniach, ozdobione wspaniałą biżuterią. Wszystkie trzy były do siebie podobne, choć nie w sensie fizycznym. Po prostu miały klasę. Valerie założyła suknię w kolorze szmaragdowym, włosy upięła w wysoki kok, w uszach połyskiwały jej szmaragdy pożyczone od Anne. Faye wyglądała dystyngowanie w szarej, prostej sukni od Norella.

W Nowym Jorku Vanessa siedziała przed telewizorem, jak zawsze w dżinsach, żałowała, że nie było jej z resztą rodziny.

– Nie wyobrażasz sobie, jaka to frajda być tam i widzieć wszystko na własne oczy – powiedziała do Jasona.

Jej oczy zajaśniały na widok ludzi, których znała. Kamerzysta raz po raz prześlizgiwał się po twarzy Valerie. W tym roku Jason także zainteresował się Oscarami. Kiedyś zupełnie je ignorował, ale odkąd Van pojawiła się w jego życiu, nieuchronnie musiał na nie zwrócić uwagę. Dzisiaj i on, i Van byli

przygotowani na spędzenie całej nocy przed telewizorem. Na pierwszy ogień poszły nagrody o mniejszym znaczeniu: za efekty specjalne, efekty dźwiękowe, scenariusze, muzykę, piosenki. Van i Jas niecierpliwili się, czekali na jedną, jedyną kategorię...

Clint Eastwood, który w ostatniej chwili zastąpił Charltona Hestona, zmagającego się gdzieś z zepsutym samochodem, wręczył przyjacielowi Faye Oscara za reżyserię. George usłyszał swoje nazwisko wśród nominowanych za najlepszą rolę męską, ale nagrodę dostał kto inny. Chwilę później na scenę została poproszona Faye.

– W kategorii „Najlepsza aktorka” nominacje uzyskały... – Faye przeczytała listę nazwisk, a na ekranach telewizorów ukazały się twarze, wśród nich także i twarz Val, która ze zdenerwowania wstrzymywała oddech, kurczowo ściskając rękę George’a

– ... zwyciężyła... Valerie Thayer. Oscar za rolę w filmie *Cud!*

Entuzjastyczny krzyk w apartamencie na nowojorskim SoHo chyba słyszano aż w Hollywood. Vanessa śmiała się i płakała, tańczyła, skakała. Jason fikał koziołki na łóżku, rozsypując dookoła siebie prażoną kukurydzą. W Music Center w Hollywood Val wstała z krzesła i prawie pofrunęła na scenę, podążały za nią kamery i błyskały flesze aparatów fotograficznych. W połowie drogi zatrzymała się, posłała George’owi pocałunek. Faye wręczyła córce statuetkę, dyskretnie ocierając łzę z policzka. Podeszła do mikrofonu.

– Nawet się nie domyślcie, jak bardzo ta dziewczyna zasłużyła na Oscara. Miała najwredniejszego reżysera w Hollywood.

Sala zatrzęsała się od śmiechu. Faye postąpiła dwa kroki w tył, uściśnęła i ucałowała Val, która płakała ze wzruszenia.

– Dawno temu ta kobieta dała mi życie, a teraz dostałam od niej nawet więcej – wyjąkała Val przez łzy. – Nauczyła mnie, co to znaczy ciężko pracować... ofiarowała mi wielką szansę... dziękuję ci, mamoo...

Rozległy się brawa, Val triumfalnie prezentowała Oscara.

– ... dziękuję tacie za wiarę we mnie. Lionelowi, Vanessie i Anne za znoszenie mnie przez tyle długich lat – przełknęła ślinę, miała kłopoty z mówieniem....i dziękuję Gorge’owi...

Nie mogła wydusić z siebie ani słowa więcej, zesza ze sceny i znalazła się wprost w ramionach George’a.

Gala dobiegała końca. Thayerowie postanowili uczcić sukces.

Val zatelefonowała do Van, jak tylko nadarzyła się okazja. Ich rozmowa, jak i każda rozmowa tego wieczora, nie miała zbyt wiele sensu. Wszyscy gratulowali Val, ściskali ją, całowali, klepali po plecach, krzyczeli coś na wiwat. Nawet Anne była radośniejsza niż zwykle. Siedząc przy stole

u Chasena, gdzie poszli na małe obławianie, na prawo i lewo rozdawała uśmiechy, dużo mówiła. Lionel przyprowadził ze sobą swego nowego przyjaciela. Kogoś, kto grał z George'em kilka lat temu. Mężczyźni zdawali się dobrze znać i bardzo lubić. Faye dostrzegła w oczach syna od dawna nieobecny blask. Ostatnim razem widziała go tak rozpromienionego jeszcze za życia Johna... Dla Li znowu zaświeciło słońce... Val dostała upragnionego Oscara... Anne doczekała się dziecka... Van była mądrą, inteligentną dziewczyną... Faye myślała o dzieciach i o tym, że nadszedł czas zamknąć pewien rozdział życia.

– No jak, kochanie, zegnamy się z filmem? – zapytała Warda po powrocie do domu.

– Znowu? – zdziwił się. – Chyba już wiem, o co ci chodzi. Zawsze kiedy nie dostaniesz Oscara, chcesz zakończyć karierę.

Faye ubawiło stwierdzenie męża, pokręciła przecząco głową.

– Szkoda, że prawda jest bardziej skomplikowana – powiedziała, odkładając sznur pereł; pierwszy prezent, jaki dostała od Warda, i jedyny klejnot, którego nie sprzedała, gdy lata temu zbankrutowali. Te perły były dla niej bezcenne. Symbolizowały ich wspólne życie. Faye od jakiegoś czasu rozważała odejście. Miała wrażenie, że teraz nadeszła najbardziej odpowiednia chwila.

– Myślę, że dokonałam wszystkiego, czego chciałam, przynajmniej w sensie zawodowym.

– To straszne – Ward wyglądał na niepokieszonego. – Jak możesz coś takiego mówić, w twoim wieku?

Faye uśmiechnęła się, była ciągle bardzo piękną kobietą.

– Tak się składa, że mam pięćdziesiąt dwa lata, zrobiłam pięćdziesiąt sześć filmów, mam pięcioro dzieci i jednego wnuka. – Celowo pominęła pierwsze dziecko Anne, uważała, że nie należało do rodziny Thayerów. – Mam męża, którego uwielbiam, jestem zaprzyjaźniona z wieloma osobami. Mówiąc krótko, ciąg dalszy nie nastąpi. Może chciałabym teraz trochę odpocząć? Nasze dzieci powyrastały na przyzwoitych ludzi, cóż mogę jeszcze zdziałać? Nic. Na ekranie ukazują się literki: Koniec.

Faye uśmiechnęła się do męża, a ten po raz pierwszy przyjął jej sugestie poważnie.

– Co chciałabyś robić po wycofaniu się?

– Nie wiem... może pojechać na rok na południe Francji?

Faye nie podobały się żadne scenariusze, które jej ostatnio przedstawiono. Chyba rzeczywiście nie było już na co czekać? W końcu odchodziła z poczuciem dobrze spełnionego obowiązku. Val rozpoczęła swoją

kariere w imponującym stylu. Faye utorowała jej drogę do Oscara, a teraz zostawiała ją z nagrodą jak ze spadkiem.

– Mogłabyś napisać moje pamiętniki – zażartował Ward.

– Sam to zrób. Ja nie chcę pisać nawet swoich.

– Powinnaś.

Z pewnością mieli interesujące, bogate życie.

– Wobec tego jedźmy do Francji na miesiąc lub dwa. Jeśli ci się spodobą, to wtedy zostaniemy na dłużej – zaproponował Ward.

W wieku pięćdziesięciu sześciu lat Ward zaczynał znowu tęsknić za starymi czasami luksusu i dostatku. Co więcej, teraz było ich na to stać, aczkolwiek nikt nie trwoniał pieniędzy tak jak kiedyś. To było zupełnie *de mode*.

– W porządku, zastanówmy się – rzekła Faye, dając początek dyskusji, w wyniku której postanowili wyjechać w czerwcu, na rok.

Wynajęli dom na południu Francji na cztery miesiące, a potem mieszkanie w Paryżu na pół roku. Faye przed wyjazdem postanowiła spotkać się z każdym dzieckiem. Jej podejrzenia dotyczące Lionela potwierdziły się, w jego życiu pojawiła się nowa miłość. Mężczyzna odwzajemniał uczucia Li, mieszkali razem w Beverly Hills.

Valerie była pochłonięta przygotowaniami do najnowszej roli. George i ona zgodnie zaplanowali ślub na końcowe miesiące tego roku. Faye zobowiązała ich do przyjazdu do Francji przynajmniej na część miodowego miesiąca.

Spotkanie z Anne spędzało Faye sen z powiek. Kontakty z najmłodszym dzieckiem nigdy nie układały się pomyślnie, ale wyjazd na dłużej bez pożegnania mógłby całkowicie je zrujnować. Dlatego pewnego popołudnia Faye zebrała całą odwagę i poszła do Steinów, zastała Anne bawiącą się z małym Maksem. Dziewczyna nie wyglądała najlepiej, a przyczyną była kolejna ciąża.

– Czy to nie za szybko? – zmartwiła się Faye.

Anne uśmiechnęła się, pamięć ludzka jest zawodna.

– Pomiędzy Lionelem i Gregiem było tylko dziewięć miesięcy różnicy...

Tak, biedny rodzicu, wychodzisz ze skóry, żeby twoje dzieci były lepsze niż ty sam, szczęśliwsze, bezpieczniejsze, mądrzejsze, nie popełniały błędów... a tymczasem historia lubi się powtarzać... Val i jej dążenie do zrobienia kariery. Anne i jej tęsknota za dużą rodziną Li i Van, oni także nosili w sobie cząstkę rodziców. Gdyby żył Greg, to zachowywałby się dokładnie jak Ward za młodych lat...

– Masz rację – pokiwała głową Faye.

Oczy kobiet spotkały się. Anne patrzyła na matkę bez wyrzutu, tak jakby dano jej ostatnią szansę na pogodzenie się, zresztą kto wie, może rzeczywiście więcej nie będą miały okazji szczerze porozmawiać?

– Anne, ja... – Faye nie wiedziała, jak zacząć rozmowę. Między nią i Anne było dwadzieścia lat niedopowiedzeń, a może pięć... – popełniłam w postępowaniu z tobą wiele błędów. Chyba dla żadnej z nas nie jest to tajemnicą?

Anne popatrzyła na matkę łagodnym wzrokiem.

– Mamo, myślę, że sama prowokowałam kłopoty. Nie chciałam, żeby ci było ze mną łatwo... Nigdy nie rozumiałam, o co wam wszystkim chodziło.

– Ja nie rozumiałam ciebie. Moim największym błędem był wieczny brak czasu dla ciebie. Gdybyś tylko urodziła się rok albo dwa wcześniej...

Pobożne życzenia. Nikt nie mógł cofnąć czasu, wymazać z pamięci bankructwa.. Haight... ciąży... oddanego obcym ludziom dziecka... Oczy kobiet spotkały się ponownie. Faye zdecydowała się powiedzieć to, co od dawna leżało jej na sercu. Ciepłym gestem wzięła Anne za rękę.

– Przepraszam cię za tamto dziecko... Anne, myliłam się, ale wtedy naprawdę sądziłam, że nie możesz go zatrzymać. – Oczy obu kobiet napęłniły się łzami. – Anne, myliłam się.

– Nie, nie myliłaś się – córka pokręciła głową. – Przecież wtedy miałam czternaście lat, nie miałam wyboru...

– Ale ciągle nie potrafisz zapomnieć.

– Zaakceptowałam to. Teraz wiem, że wtedy nie mogłam postąpić inaczej.

Po tych słowach wzięła matkę w ramiona, jakby mówiąc:

„Wybaczam ci”. Ważniejsze było, że wybaczyła sobie, na tyle że przestały ją dręczyć duchy przeszłości.

– Będę za tobą tęskniła, mamo – powiedziała, stojąc z Faye przy samochodzie.

– Ja też będę za tobą tęskniła.

Faye będzie brakowało wszystkich dzieci. Miała nadzieję, że przyjadą do Francji w odwiedziny.

Po drodze do Europy Thayerowie zatrzymali się w Nowym Jorku u Jasona i Vanessy, którzy robili to, co ich pasjonowało. On pisał sztukę teatralną, ona pracowała w wydawnictwie, nocami tworzyła powieść, żadne z nich nie wspomniało o małżeństwie, ale też nie zdradzało zamiaru porzucenia partnera.

Siedząc w samolocie do Paryża, Faye pogrążyła się w nostalgicznych rozmyślaniach.

– Każde z naszych dzieci jest na swój sposób wspinał.

– Tak samo jak ich matka.

Ward był dumny ze swej żony, zawsze ją podziwiał, od trzydziestu lat, od dnia, gdy spotkali się w Guadalcanal... Gdyby wtedy wiedział, jakie czeka ich życie... Faye przypomniała mężowi, że ich życie jeszcze się nie skończyło. Pocałowali się, wzniesli toast szampanem. Kobieta siedząca nieopodal Faye szepnęła do towarzyszącego jej mężczyzny, wskazując na Faye, że jest podobna do aktorki, którą uwielbiała trzydzieści lat temu.

Ward posłyszał szept, mrugnął porozumiewawczo do żony, a następnie oboje zaczęli planować rok we Francji. Nawet nie podejrzewali, że przyjdzie im tam spędzić dziesięć lat.

Nie zdawali sobie sprawy, jak szybko mijał czas. Dzieci przyjeżdżały i wyjeżdżały, Valerie wyszła za George'a. Urodziła im się córeczka, którą na cześć babci nazwano Faye. Anne miała jeszcze czwórkę dzieci. Radzono jej za każdym razem, żeby poszła po linii najmniejszego oporu i urodziła bliźnięta. Vanessa wydała trzy książki. Sztuki Jasona zaczęto wystawiać na Broadwayu. Faye widziała jedną z nich w Nowym Jorku i była zachwycona. Valerie zdobyła drugiego Oscara. George także doznał się nagrody. Wszystkim wiodło się znakomicie.

Po jedenastu latach za granicą, w wieku sześćdziesięciu czterech lat, Faye pewnej nocy zasnęła na wieki. Thayerowie mieszkali wtedy w pięknej willi w Cap Ferrat, którą chcieli podarować dzieciom jako wakacyjną posiadłość.

O zmierzchu samolot wylądował w Los Angeles. Ward wyszedł na płytę. Wracał sam. Faye odeszła. Otworzyły się klapy samolotowego bagażnika, dźwig wolno opuszczał trumnę. Jej naprawdę już nie było. Pozostało tylko ciało, które spocznie w Hollywood, mieście przez Faye ukochanym, gdzie była aktorką, żoną, matką, reżyserem... Jak to możliwe, że nie było już osoby, która spędziła z Wardem prawie czterdzieści lat, która pomogła mu stanąć na nogi, gdy staczał się na dno; dzięki której przetrwała cała ich rodzina? Co działo się w życiu Warda, nim poznał Faye? Nie pamiętał... Pamiętał tylko lata spędzone z nią. Luksus, bieda, film za filmem kręcone dla MGM, wielka szansa dana Val... Czy to już naprawdę przeszłość?

Anne wzięła Warda za rękę.

– Tato, chodźmy do domu.

Ward miał zamieszkać ze Steinami. Dawny dom Thayerów już sprzedano. Po raz pierwszy Ward wyglądał na starego, zmęczonego człowieka. Nie

mógł uwierzyć, że Faye odeszła. Na zawsze... za dwa dni miał się odbyć pogrzeb. Przyjdą wszyscy, których kochała. Pogrzeb? Nie, to niemożliwe. Wystarczyło, że Ward zamknął oczy i Faye znowu z nim była. Bo ona nigdy tak naprawdę nie odejdzie, zawsze będzie w jego sercu i wspomnieniach i były jeszcze dzieci, a każde z nich nosiło w sobie cząstkę matki.